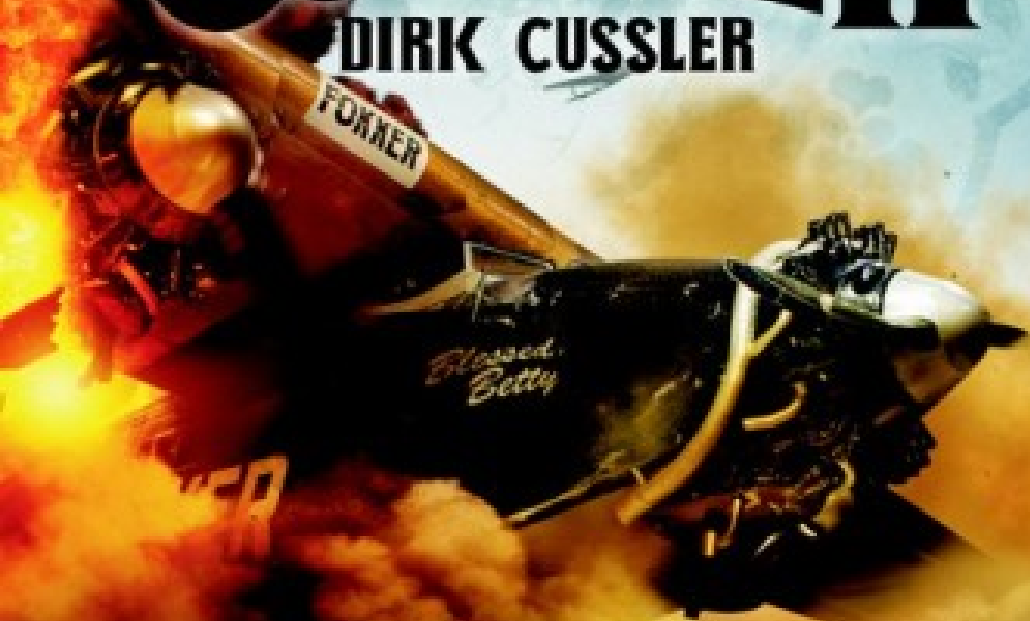


NAJNOWSZA POWIEŚĆ Z DIRKIEM PITTEM



CLIVE CUSSLER

DIRK CUSSLER



SKARB
CZYNGIS-CHANA

CLIVE CUSSLER
DIRK CUSSLER

SKARB
CZYNGIS-CHANA



Przekład
MACIEJ PINATRA

AMBER 2007

Rip by „SiG”

Redakcja stylistyczna
Eugeniusz Melech

Redakcja techniczna
Andrzej Witkowski

Korekta
Magdalena Kwiatkowska
Elżbieta Steglańska

Ilustracja na okładce
Larry Rosant / Artist Partners Ltd

Opracowanie graficzne okładki
Wydawnictwo Amber

Skład
Wydawnictwo Amber

Druk
Wojskowa Drukarnia w Łodzi

Tytuł oryginału
Treasure of Khan

Copyright © 2006 by Sandecker, RLLLP.
By arrangement with Peter Lampack Agency, Inc.,
551 Fifth Avenue, Suite 1613, New York, NY 10176-0187 USA.
All rights reserved

For the Polish edition
Copyright © 2006 by Wydawnictwo Amber Sp. Z o.o.

ISBN 978-83-241-2818-1

Warszawa 2007. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. Z o.o.
00-060 Warszawa, ul. Królewska 27
Tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Kerry z wyrazami miłości

D.E.C.

Carska nawałnica

Dryfujący okręt mongolski



10 sierpnia 1281 roku
Zatoka Hakata, Japonia

Arik Timur wpatrzył się w ciemność, przechylił głowę w stronę burty i nastawił ucha. Odgłos wioseł przybliżał się. Timur skrył się w mroku. Tym razem intruzi spotkają się z gorącym powitaniem.

Plusk wioseł ucichł. Łódź dobiła do burty okrętu. Na niebie widniał tylko wąski sierp księżyca, lecz noc była pogodna i zaglowiec oświetlały gwiazdy. Timur przykłęknął i obserwował, jak przez nadburcie przechodzi ciemna postać, a za nią następne. W końcu na pokładzie znalazło się kilkunastu mężczyzn. Intruzi mieli pod skórzanymi zbrojami jaskrawe jedwabne stroje, szeleszczące przy każdym ruchu. Uzbrojeni byli w katany, ostre jak brzytwa jednosieczne miecze.

Pułapka została zastawiona, a oni połknęli przynętę. Mongolski dowódca odwrócił się do chłopca stojącego u jego boku i skinął głową. Majtek natychmiast zaczął bić w ciężki dzwon z brązu, który trzymał w ręku, i nocną ciszę rozdarł dudniący dźwięk. Zaskoczeni nagłym alarmem napastnicy zamarli. Z mroku wyskoczyło trzydziestu wojowników uzbrojonych we włócznie z metalowymi grotami. Natarli na wrogów z zabójczą furią. Połowa przeciwników zginęła natychmiast, gdy groty przebiły ich zbroje. Pozostali spróbowali stawić opór, ale szybko zostali pokonani. Po kilku sekundach wszyscy intruzi leżeli martwi lub konający na pokładzie okrętu. Wszyscy z wyjątkiem jednego.

Mężczyzna w haftowanej czerwonej szacie z jedwabiu i workowatych spodniach wpuszczonych w buty z niedźwiedziej skóry zaskoczył obrońców swoją szybkością. Odwrócił się i runął na nich. W mgnieniu oka powalił na pokład trzech ludzi. Jednego niemal przeciął na pół ciosem miecza.

Widząc to, Timur zerwał się na nogi, dobył miecz i rzucił się naprzód. Napastnik odparował pchnięcie włócznią obrócił się i zamachnął się na niego zakrwawionym mieczem. Mongolski dowódca,

który zabił już wielu ludzi i znał się na walce, zrobił zręcznie unik. Koniec ostrza rozciął mu ubranie na piersi i minął skórę o milimetry. Kiedy miecz przeciwnika opadł, Timur uniósł swój i ugodził napastnika w bok. Intruz zeszytniał, gdy klinga przebiła mu serce. Pochylił się lekko w stronę Mongoła, przewrócił oczami i padł martwy.

Obrońcy wydali okrzyk zwycięstwa, który rozszedł się echem po zatoce, dając znać reszcie floty mongolskiej, że tej nocy japoński atak się nie powiodł.

- Dzielnie walczyliście - pochwalił Timur swoich ludzi, w większości Chińczyków. - Wrzucicie ciała Japończyków do morza i zmyjcie ich krew z pokładu. Dzisiejszej nocy możemy spać spokojnie.

Przykłęknął obok martwego samuraja i wyrwał mu z rąk zakrwawiony miecz. W słabym świetle latarni okrętowych obejrzał dokładnie japońską broń, podziwiając jej doskonałe wykonanie i ostrą jak brzytwa klingę. Skinął z satysfakcją głową i wsunął kataną do pochwy przy swym pasie.

Kiedy zwłoki napastników wyrzucano bezceremonialnie za burtę, do Timura podszedł kapitan okrętu, Koreańczyk imieniem Jon.

- Doskonale walczyliście - powiedział - ale ile jeszcze ataków na mój okręt będę musiał znieść?

- Ofensywa lądowa znów nabierze tempa, kiedy tylko przybędzie południowa flota Jangcy. Przeciwnik zostanie wkrótce pokonany i te nocne napady ustaną. Być może to, co stało się dzisiaj, podziała na wroga odstrasżająco.

Jon chrząknął sceptycznie.

- Mój okręt powinien być już z powrotem w Pusan. Ta inwazja zamienia się w klęskę.

- Przybycie tutaj dwóch flot powinno być lepiej skoordynowane, ale nie ma wątpliwości co do ostatecznego wyniku walki. Zwycięzimy - odparł gniewnie Timur.

Kiedy kapitan odszedł, kręcąc głową Timur zaklął pod nosem. Był zdany na koreański okręt i załogę oraz armię chińskich piechurów. Wiedział, że gdyby wylądowała tu mongolska konnica, ten wyspiarski kraj zostałby pokonany w tydzień.

Timur musiał jednak przyznać rację kapitanowi. Inwazja istotnie utknęła w martwym punkcie. Gdyby był przesądny, uważałby, że wisi nad nimi jakaś klątwa. Kiedy wielki Kubilaj-chan, cesarz Chin i władca imperium mongolskiego, zażądał od Japończyków złożenia mu hołdu i spotkał się z odmową wysłał flotę inwazyjną żeby ich ujarzmić. Ale okrętów, które wyruszyły do Japonii w 1274 roku, było o wiele za mało. Zanim flota mongolska dobiła do brzegu, zdziesiątkował ją potężny sztorm.

Teraz, po siedmiu latach, nie można było popełnić tego samego błędu, Kubilaj-chan zorganizował potężne siły inwazyjne, złożone z koreańskiej floty wschodniej i głównej grupy bojowej z Chin, południowej floty Jangcy. Na japońskiej wyspie Kiusiu miało wylądować sto pięćdziesiąt tysięcy chińskich i mongolskich żołnierzy, by pokonać wojowniczych władców, broniących tego kraju. Ale flota inwazyjna nie została jeszcze skonsolidowana. Flota wschodnia, płynąca z Korei, przybyła pierwsza. Żądni chwały, spróbowali wylądować na północ od zatoki Hakata, lecz szybko utknęli. W obliczu zażartej obrony Japończyków musieli się wycofać i czekać na przybycie drugiej floty.

Z rosnącą pewnością siebie Japończycy zaczęli podejmować walkę z flotą mongolską. Nocami na zatokę wypuszczały się łodzie i atakowały mongolskie okręty, stojące na kotwicy. Samuraje okaleczali zwłoki, zabierając głowy ofiar jako trofea. Po kilku japońskich atakach okręty floty inwazyjnej zaczęto wiązać razem dla bezpieczeństwa. Zasadzka Timura polecała na tym, że zacumował okręt samotnie na krańcu zatoki, żeby zwabić japońskich napastników.

Choć nocne wypadki samurajów nie miały znaczenia strategicznego, działały deprymująco na siły inwazyjne. Po opuszczeniu Pusan żołnierze gnieździli się od niemal trzech miesięcy na koreańskich żaglowcach. Brakowało żywności, okręty niszczały, szerzyła się biegunka. Ale Timur wiedział, że przybycie południowej floty Jangcy zmieni sytuację. Doświadczone i zdyscyplinowane siły chińskie łatwo pokonają słabo zorganizowanych samurajów, gdy masowo wylądują. Oby tylko przybyły.

Następny poranek był pogodny i słoneczny. Od południa wiał silny wiatr. Z rufy swojego okrętu kapitan Jon obserwował zatłoczoną zatokę Hakata. Widok floty koreańskiej robił wrażenie. Na wodzie stało niemal

dziewięćset jednostek pływających różnych kształtów i wielkości. Przeważały szerokie, mocne dżonki. Niektóre miały zaledwie sześć metrów długości, inne - jak żaglowiec Jona - ponad dwadzieścia cztery. Prawie wszystkie skonstruowano specjalnie do tej operacji. Ale flota wschodnia to nic w porównaniu z siłami, które dopiero miały przybyć.

O wpół do czwartej po południu rozległ się okrzyk obserwatora i wkrótce w całej zatoce zabrzmiały podniecone głosy i bębny. Na horyzoncie pojawiły się pierwsze okręty południowych sił inwazyjnych, płynące ku japońskim wybrzeżom. Z godziny na godzinę było ich coraz więcej, rosły w oczach, aż w końcu całe morze wypełniły ciemne, drewniane kadłuby i krwistoczerwone żagle. Z Cieśniny Koreańskiej wyłoniło się ponad trzy tysiące okrętów, transportujących sto tysięcy żołnierzy. Tak ogromnej floty inwazyjnej nie widziano potem przez niemal siedemset lat, do czasu lądowania aliantów w Normandii.

Czerwone jedwabne żagle okrętów wojennych łopotały na horyzoncie. Przez całą noc i dużą część następnego dnia do wybrzeża zbliżały się kolejne eskadry chińskich dżonek i zajmowały pozycje w zatoce Hakata i wokół niej, podczas gdy dowódcy wojskowi opracowywali strategię desantu. Flagi sygnałowe powiewały wysoko na okręcie admiralicji.

Ze swoich stanowisk obronnych za kamienną tamą Japończycy patrzyli ze zgrozą na potężną flotę. Przeważające siły wroga zwiększały determinację niektórych obrońców. Inni, załamani, modlili się z rozpaczą do bogów o pomoc z nieba. Nawet najodważniejsi samuraje zdawali sobie sprawę, że jest mało prawdopodobne, by przeżyli atak.

Ale tysiąc mil morskich na południe pojawiła się siła potężniejsza od floty inwazyjnej Kubilaj-chana. Na ciepłych wodach zachodniego Pacyfiku w pobliżu Filipin pojawił się tajfun. Zapoczątkowała go burza z piorunami, która przerwała front wysokiego ciśnienia, powodując zderzenie ciepłego powietrza z zimnym. Porywając ciepłe powietrze z powierzchni morza, wiatr stopniowo przeistoczył się w nawałnicę. Pędził przez ocean, nabierając niszczycielskiej siły. Jego prędkość rosła, aż przekroczyła dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Supertajfun, jak to się teraz określa, posuwał się niemal prosto na północ, a potem dziwnym trafem skręcił na północny wschód. Dokładnie na jego drodze znalazły się południowe wyspy japońskie i flota mongolska.

Siły inwazyjne u wybrzeży Kiusiu, obojętne na zbliżającą się nawałnicę, szykowały się do wspólnego uderzenia.

- Mamy rozkaz dołączyć do zgrupowania na południu - zameldował Timurowi kapitan Jon, gdy w jego eskadrze wymieniono flagami sygnały. - Pierwsze oddziały lądowe są już na brzegu i zabezpieczają port do wyładunku następnych. Mamy wypłynąć z zatoki Hakata w ślad za flotą Jangcy i przygotować się do wysadzenia na ląd naszych żołnierzy jako wsparcia.

- Wreszcie moi ludzie znów staną na twardym gruncie - odrzekł Timur. Jak wszyscy Mongołowie, przywykł do walki na końskim grzbiecie. Atak z morza był dla Mongołów czymś nowym. Zastosowano go dopiero w ostatnich latach w celu podbicia Korei i południowych Chin.

- Wkrótce będziecie mieli okazję powalczyć na lądzie - odparł Jon, zajęty nadzorowaniem podnoszenia kamiennej kotwicy okrętu.

Gdy wypływali z zatoki Hakata za głównymi siłami floty i kierowali się wzdłuż wybrzeża na południe, Jon patrzył z niepokojem na pociemniałe niebo. Przesłaniała je rosnąca w oczach chmura. Zerwał się wiatr i morze się wzburzyło. W dżonkę uderzyły mocno strugi deszczu. Koreańscy kapitanowie rozpoznali oznaki nadciągającego szkwału i oddalili się od lądu. Chińczycy, mniej doświadczeni w żeglowaniu na pełnym morzu, dalej płynęli wzdłuż brzegu.

Timur nie mógł zasnąć na rozkołysanej koi i wyszedł na pokład. Ośmiu jego ludzi trzymało się nadburcia, cierpiąc na chorobę morską. Nocną ciemność rozjaśniały maleńkie światełka, płaszące ponad falami - to latarnie na innych okrętach znaczyły pozycję floty. Wiele żaglowców było nadal powiązanych razem. Timur patrzył, jak małe skupiska ogników unoszą się i opadają na wzburzonym morzu.

- Nie będę mógł wysadzić twoich żołnierzy na ląd! - krzyknął do niego kapitan. - Sztorm wciąż przybiera na sile. Musimy wypłynąć na pełne morze, żeby nie rozbić się o skały.

Timur nie zamierzał protestować i tylko skinął głową. Choć niczego bardziej nie pragnął niż opuszczenia ze swoimi ludźmi rozhuśtanego okrętu, wiedział, że próba dotarcia do brzegu byłaby głupotą. Jon miał rację. Perspektywa dalszej żeglugi nie wyglądała zachęcająco, ale nie mogli zrobić nic poza ucieczką przed sztormem.

Kapitan kazał podnieść żagiel lugrowy na fokmaszcie i wziąć kurs na zachód. Gwałtownie miotany rosnącymi falami okręt zaczął się powoli oddalać od lądu.

Wśród reszty floty panowało zamieszanie. Kilka chińskich żaglowców usiłowało wysadzić żołnierzy na brzeg. Część okrętów, głównie z floty wschodniej, poszła w ślady Jona, kierując się na pełne morze. Niewielu jednak wierzyło w to, że znów uderzy tajfun i zniszczy flotę, tak jak w 1274 roku. Wkrótce okazało się, że byli w błędzie.

Supertajfun przybierał na sile i był coraz bliżej, niosąc ze sobą ulewny deszcz. Niedługo po świcie niebo poczerniało i sztorm zaatakował z pełną mocą. Siekące poziomo strugi deszczu rozdierały żagle statków. Fale rozbijały się o brzeg z hukiem, który słychać było z odległości wielu mil. Szybkość wyjącego wichru przekroczyła prędkość huraganu czwartej kategorii i supertajfun w końcu uderzył w Kiusiu.

Trzymetrowa ściana wody wdarła się na ląd. Zatapiała domy, wioski i umocnienia. Tonęły setki ludzi. Wiatr wyrывał z korzeniami drzewa, różne szczątki szybowały w powietrzu jak pociski. Od ciągłej ulewy co godzinę przybywało trzydzieści centymetrów wody. Rzeki występowały z brzegów. Osunięcia ziemi pochłaniały kolejne ofiary, pod zwałami gliny znikwały w ciągu sekund całe wsie i miasta.

Ale kataklizm na lądzie nie dorównywał temu, co się działo na morzu. Flotę mongolską atakował nie tylko silny wiatr i ulewny deszcz, lecz również ogromne fale. Sztorm przewracał jedne okręty, inne rozbijał na kawałki. Żaglowce zakotwiczone blisko brzegu wpadały na skały i się roztrzaskiwały. Po potężnych uderzeniach wody z wielu kadłubów zostawały tylko drzazgi. W zatoce Hakata powiązane razem dżonki rozrzucone zostały po morzu. Gdy jeden żaglowiec szedł na dno, pociągał za sobą inne. Uwięzieni na szybko tonących okrętach marynarze i żołnierze nie mieli szans. Ci, którym udawało się wydostać na powierzchnię rozszalałego morza, ginęli wkrótce pod falami, gdyż bardzo niewielu umiało pływać.

Timur i jego ludzie trzymali się kurczowo okrętu miotanego niczym korek w pralce. Jon umiejętnie prowadził dżonkę przez paszczę sztormu, sterując tak, by dziób ukośnie ciął fale. Kilka razy żaglowiec przechylił się mocno na burtę i Timur pomyślał, iż zaraz się przewróci. Ale Jon stał

niewzruszenie przy sterze i okręt z powrotem się prostował. Kapitan szczyrzył zęby w zawziętym uśmiechu, zmagając się z żywiołem. Poblądł, gdy nagle z mroku wyłoniła się monstrualna, dwunastometrowa fala.

Wielka góra wody zwałała się na nich z hukiem grzmotu. Przykryła okręt niczym lawina, grzebiąc go pod pianą. Na kilka sekund koreański żaglowiec całkowicie zniknął pod powierzchnią szalejącego morza. Ludzie pod pokładem poczuli, jak od gwałtownego zanurzenia żołądki podchodzą im do gardeł, zauważyli też, że wycie wichru ustało i wokół zrobiło się ciemno. Drewniany okręt powinien był się rozpaść na kawałki od uderzenia fali. Jakoś to jednak wytrzymał. Kiedy gigantyczna fala przetoczyła się dalej, wyłonił się spod wody.

Gdy fala przetaczała się przez pokład, Timur zdołał uchwycić się szczebla drabinki. Teraz zobaczył ze zgrozą, że stracili maszty. Za rufą rozległ się krzyk. Timur rozejrzał się po pokładzie i z przerażeniem stwierdził, że Jon, pięciu koreańskich marynarzy i kilku jego żołnierzy wypadli za burtę. Powietrze rozdarły paniczne wrzaski, które wkrótce zagłuszyło wycie wiatru. Timur mógł tylko bezradnie patrzeć, jak tonących ludzi zabiera wielka fala.

Pozbawiony masztów i załogi żaglowiec był teraz całkowicie na łasce sztormu. Przechylał się, wznosił i opadał, atakowany i zalewany przez fale. Miał tysiąc okazji, by zatonać, ale dzięki prostej, mocnej konstrukcji utrzymywał się na wodzie, podczas gdy wokół niego szły na dno dziesiątki chińskich jednostek.

Po kilku godzinach wiatr stopniowo ustał, a deszcz przestał padać. Na chwilę pokazało się słońce i Timur myślał, że to koniec sztormu. Ale znaleźli się tylko w oku cyklonu, co dało ludziom chwilę wytchnienia przed następnym uderzeniem żywiołu. Timur odszukał pod pokładem dwóch koreańskich członków załogi i zmusił ich do pomocy przy prowadzeniu żaglowca. Gdy znów zerwał się wiatr i powrócił deszcz, Timur i dwaj marynarze przywiązywali się na zmianę do steru i walczyli z zabójczymi falami.

Nie znając swojej pozycji, dzielnie utrzymywali okręt na wodzie. Nie wiedzieli, że wiatr wieje teraz z północy, spychając ich na pełne morze. Po uderzeniu w Kiusiu tajfun stracił nieco energii, ale w porywach wciąż

miął prędkość ponad stu czterdziestu kilometrów na godzinę i brutalnie miotał okrętem. Timur niewiele widział przez siekący deszcz. Kilka razy omal nie wpadł na brzeg, mijając o włos skały wyłaniające się z mroku. Ludzie na statku nawet nie wiedzieli, jak bliscy byli śmierci.

Tajfun szalał całą dobę, potem wiatr osłabł, a ulewa zamieniła się w zwykły deszcz. Koreański statek, uszkodzony i przeciekający, ciągle utrzymywał się na powierzchni. Choć kapitan i załoga zginęli, inni przetrwali wszystko, co zgotował im zabójczy sztorm. Kiedy morze zaczęło się uspokajać, uwierzyli, że los się do nich uśmiechnął.

Reszta mongolskich sił inwazyjnych nie miała takiego szczęścia. Tajfun zniszczył niemal całą flotę Jangcy. Rozbiła się o skały lub zatonięła na morzu. Wybrzeże zaśmiecały szczątki wielkich chińskich dzonek, koreańskich okrętów wojennych i barek wiosłowych. W wodzie, wśród wycia wiatru, rozlegały się krzyki konających. Wielu żołnierzy, ubranych w ciężkie skórzane zbroje, szło na dno natychmiast po wpadnięciu do morza. Inni walczyli o to, żeby pozostać na powierzchni, ale zalewały ich nadciągające bez końca fale. Nieliczni szczęśliwcy, którym udało się wydostać na ląd, zginęli z rąk samurajów. Po przejściu sztormu na plażach wały się stopy trupów. U wybrzeży Kiusiu stało tak wiele na wpół zatopionych wraków, że można było przejść po nich suchą nogą z jednej strony zatoki Imari na drugą.

Niedobitki floty inwazyjnej powróciły do Korei i Chin z nieprawdopodobną wiadomością że matka natura znów pokrzyżowała Mongołom plany podboju Japonii. Ta katastrofa była druzgocącym ciosem dla Kubilaj-chana, największą porażką Mongołów od czasu rządów Czyngis-chana. Pokazała światu, że siły wielkiego imperium nie są niezwyciężone.

Japończycy uznali nadejście zabójczego tajfunu za cud. Mimo zniszczeń wyspa Kiusiu uniknęła inwazji i agresor poniósł klęskę. Większość uważała, że stało się tak za sprawą jedenastogodzinnych modłów w świątyni bogini Słońca w Ise. Boska interwencja to pewny znak, że niebiosa błogosławią Japonię i chronią ją przed najeźdźcami. Wiara w kamikaze, czyli „boski wiatr”, była tak silna, że przetrwała w Japonii przez wieki. Stąd też pochodzi nazwa pilotów-samobójców z okresu II wojny światowej.

Na pokładzie koreańskiego okrętu Timur i jego ludzie nie mieli pojęcia, co spotkało flotę inwazyjną. Przypuszczali, że przegrupuje się ona po sztormie i będzie kontynuować natarcie.

- Trzeba dołączyć do reszty floty - powiedział Timur. - Nasz władca oczekuje zwycięstwa i musimy spełnić nasz obowiązek.

Był tylko jeden problem. Po trzydniowym dryfowaniu w sztormie bez masztów i żagli nie wiedzieli, gdzie są. Pogoda się poprawiła, ale w polu widzenia nie było innych okrętów. Co gorsza, nikt na pokładzie nie znał się na morskiej nawigacji. Jeden z dwóch ocalałych członków koreańskiej załogi był kucharzem, a drugi stolarzem okrętowym.

- Japonia musi być na wschód od nas - zwrócił się Timur do stolarza. - Zrób nowy maszt i żagle. Popłyniemy według słońca i gwiazd w kierunku lądu i znajdziemy naszą flotę.

Stolarz próbował protestować.

- Okręt jest uszkodzony, przecieka! Musimy popłynąć na północny zachód, do Korei, żeby się uratować! - krzyknął.

Ale Timur nie chciał o tym słyszeć. W pośpiechu zrobiono tymczasowy maszt i wciągnięto nań prowizoryczne żagle. Mongolski żołnierz, który z konieczności stał się żeglarzem, poprowadził okręt na wschód, by jak najszybciej znów stanąć na lądzie i wziąć udział w walce.

Minęły dwa dni. Timur i jego ludzie wciąż widzieli tylko błękitne morze. Japoński ląd się nie pojawił. Porzucono pomysł zmiany kursu, gdy od południowego zachodu znów nadciągnął sztorm. Tropikalna burza posuwała się wolniej niż tajfun, szerszym frontem. Okręt przez pięć dni zmagał się z silnym wiatrem i ulewnym deszczem. Wydawało się, że uszkodzony mugun dożywa swych dni. Podmuchy wichury znów porwały za burtę prowizoryczny maszt i żagle. Stolarz bez przerwy uszczelniał przecieki poniżej linii wodnej. Co gorsza, urwał się cały ster i zabrał ze sobą dwóch żołnierzy, którzy trzymali się go kurczowo, by ratować życie.

Kiedy wydawało się, że okręt dłużej nie przetrwa, sztorm ustał. Ale gdy pogoda się poprawiła, ludzi na pokładzie ogarnął jeszcze większy niepokój niż przedtem. Od ponad tygodnia nie widzieli lądu i zaczynało

brakować żywności. Ludzie błagali Timura, by płynął do Chin, ale uniemożliwił to przeciwny wiatr, prąd morski i brak steru. Dryfowali po oceanie bez żadnej orientacji, bez możliwości kierowania okrętem.

Timur stracił poczucie czasu. Godziny rozciągały się w dni, dni w tygodnie. Gdy wyczerpały się zapasy, wycieńczona załoga zaczęła łowić ryby i gromadzić wodę deszczową do picia. Ponurą sztormową pogodę zastąpiło bezchmurne niebo i słońce. Wiatr osłabł i zrobiło się ciepłej. Przy lekkiej bryzie okręt z ospałą załogą sunął wolno bez celu po gładkim morzu. Wkrótce zawisło nad nim widmo śmierci. Ludzie zaczęli umierać nocami z głodu i każdego ranka znajdowano nowe zwłoki. Timur patrzył na swoich żołnierzy z poczuciem winy. Zamiast zginąć w walce, padną z głodu gdzieś na oceanie, daleko od domu.

Ludzie wokół niego drzemali w południowym słońcu, gdy nagle przy lewej burcie wybuchło zamieszanie.

- To ptak! - krzyknął ktoś. - Spróbujmy go zabić!

Timur podniósł się z pokładu i zobaczył, że trzech ludzi stara się otoczyć dużą mewę z ciemnym dziobem. Odskakiwała w bok, patrząc na nich czujnie. Jeden z żołnierzy chwycił sękatą, opaloną ręką drewniany młotek i rzucił nim w ptaka w nadziei, że go ogłuszy lub zabije. Mewa zrobiła zgrabny unik, z głośnym wrzaskiem oburzenia zamachała skrzydłami i wzbija się w powietrze. Kiedy zawiedzeni żołnierze klęli, Timur przyglądał się uważnie białemu ptakowi, który szybował na południe, stapiając się stopniowo z horyzontem. Patrzył zmrużonymi oczami na odległą błękitną linię, gdzie niebo stykało się z morzem, i nagle uniósł brwi. Zamrugał powiekami, wyteżył wzrok i dostrzegł na horyzoncie małą zieloną wypukłość. Stwierdził też, że wilgotne morskie powietrze, do którego przyzwyczały się jego płuca, miało teraz inną woń. Poczul słodki, kwiatowy aromat.

- Przed nami jest ląd - powiedział ochrypłym głosem do ludzi na pokładzie i wskazał kierunek, gdzie poleciała mewa. - Musimy tam dopłynąć.

Wycieńczona załoga odżyła na te słowa. Ludzie wpatrzyli się w odległy punkt na horyzoncie, a potem zebrali resztki sił i wzięli się do pracy. Odpilowali deskę z pokładu, opuścili ją za rufę i przywiązali linami, by posłużyła za ster. Kiedy trzej ludzie kierowali okrętem, pozostali wiosłowali miotłami, deskami, a nawet szablami.

Odległy punkt rósł wolno, aż stał się szmaragdową wyspą z wysoką górą. O skalisty, pionowy brzeg rozbijały się fale. Nastąpiła chwila paniki, gdy okręt dostał się w prąd, który zniósł go w kierunku małej zatoki otoczonej poszarpanymi głazami.

- Skały przed dziobem! - krzyknął stary stolarz.

- Wszyscy na lewą burzę! - zawołał Timur, kiedy zbliżali się do czarnej skalnej ściany. Ludzie zaczęli gorączkowo wiosłować, czym tylko się dało. Dziób w ostatniej chwili oddalił się od skał i wszyscy wstrzymali oddech, gdy kadłub otarł się lewą burtą o podwodne głazy.

- Nie ma tu miejsca do zejścia na ląd - powiedział stolarz. - Musimy zawrócić na morze.

Timur spojrział na wysoką, porowatą skalną ścianę na brzegu. Na poziomie linii wodnej, po lewej stronie od dziobu okrętu, dostrzegł mały, owalny otwór ciemnej groty.

- Zawracamy - rozkazał.

Wyczerpani ludzie skierowali okręt z powrotem na morze. Kiedy płynęli wzdłuż lądu, zobaczyli, że wysoki brzeg opada w jednym miejscu. W końcu stolarz wypowiedział słowa, które załoga chciała usłyszeć.

- Tutaj możemy przybić do brzegu - oznajmił i wskazał dużą zatokę.

Timur skinął głową i zmęczeni ludzie ostatkiem sił skreślili w stronę lądu. Wpłynęli do zatoki i poprowadzili okręt ku piaszczystej plaży. Wkrótce pokryty skorupiakami kadłub zarył się w dno tuż przy brzegu.

Wszyscy byli tak wyczerpani, że ledwo mogli zejść z pokładu. Timur wziął miecz i powłókł się z pięcioma ludźmi na poszukiwanie jedzenia i słodkiej wody. Usłyszeli szum. Przedarli się przez gąszcz wysokich paproci i dotarli do laguny z wodospadem spływającym ze skalnej półki. Rzucili się w tamtą stronę, czerpiąc dłońmi chłodną wodę.

Szczęście trwało krótko. Nagle rozległo się bicie w bęben na pokładzie koreańskiego muguna, sygnał wzywający do walki. Timur zerwał się na nogi.

- Wracamy na okręt! - krzyknął do swoich ludzi.

Nie czekając na nich, puścił się pędem do zatoki. Ból i słabość, które czuł przedtem w nogach, zniknęły pod działaniem słodkiej wody i przyływu adrenaliny. Biegł przez dżungłę, a bicie w bęben brzmiało

coraz głośniej w jego uszach. Wreszcie minął kępę palm i wypadł na piaszczystą plażę.

Natychmiast zauważył powód alarmu. Przez zatokę, w kierunku stojącego na mieliźnie żaglowca, płynęło wąskie kanu. W łodzi siedziało kilku mężczyzn bez koszul, którzy rytmicznie poruszali drewnianymi wiosłami w kształcie łopat. Zbliżali się szybko do brzegu. Mieli ciemnobrązową skórę i czarne, kręcone włosy, krótsze niż on. Na ich piersiach wisiały naszyjniki z kości.

- Co mamy robić? - zapytał żołnierz, który wszczął alarm i dopiero teraz przestał bić w bęben.

Timur się zawahał. Wiedział, iż jego ludzie są w takim stanie, że mogłaby ich pokonać grupka starych bab.

- Weźcie włócznie - powiedział. - Sformujcie linię obrony na plaży. Niedobitki jego oddziału, uzbrojone w kilka włóczni, które jeszcze im pozostały, ustawiły się w szereg. Timur wiedział, że jeśli trzeba będzie, oddadzą za niego życie w walce. Sięgnął do rękojeści samurajskiego miecza, który teraz nosił przy pasie.

Kanu sunęło prosto w kierunku mężczyzn na plaży. Wioślarze milczeli. Kiedy dziób zazgrzytał o piasek, wyskoczyli z łodzi, wciągnęli ją szybko na brzeg i stanęli obok niej. Przez kilka sekund obie grupy patrzyły na siebie podejrzliwie. W końcu jeden z tubylców podszedł do Timura. Był starszy od innych, miał nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu i długie siwe włosy związane w koński ogon. Nosił naszyjnik z zębów rekina i trzymał w ręku sękaty kij. Przyglądał się Mongołowi błyszczącymi piwnymi oczami i uśmiechał szeroko, odsłaniając rząd białych zębów. Przemówił szybko melodyjnym językiem. Jego słowa brzmiały jak przyjazne powitanie. Timur skinął lekko głową. Nie spuszczał z oka wioślarzy przy kanu. Stary mężczyzna coś jeszcze powiedział, a potem nagle wrócił do łodzi i sięgnął do środka.

Timur zacisnął mocniej palce na rękojeści japońskiego miecza i posłał swoim ludziom ostrzegawcze spojrzenie. Uspokoił się, gdy stary człowiek uniósł do góry tłustego, piętnastokilowego tuńczyka. Na ten znak inni tubylcy wyjęli z kanu trzcinowe kosze z rybami i skorupiakami. Postawili je u stóp ludzi Timura. Wyglodniali żołnierze rzucili się na jedzenie. Stary mężczyzna podszedł do Timura i poczęstował go wodą z bukłaka ze świńskiej skóry.

Kiedy obie grupy nabrały do siebie zaufania, tubylcy wskazali dżunglę, gestami zachęcając rozbitków, żeby szli za nimi. Timur i jego ludzie z wahaniem zostawili swój okręt. Po kilku kilometrach dotarli do małej polany, gdzie stało kilka chat krytych strzechą. Otaczały zagrodę, w której dzieci bawiły się ze stadem świń. Na przeciwległym krańcu polany wznosiła się większa chata z wysokim dachem - dom wodza, którym ku zaskoczeniu Timura okazał się stary siwowłosy mężczyzna.

Mieszkańcy wioski gapili się na gości, gdy pospiesznie przygotowywano ucztę. Azjatyckich wojowników podjęto w osadzie z wielkimi honorami. Okręt, ubiory i broń świadczyły o wyższości obcych. Warto mieć takich sprzymierzeńców w wojnie z wszelkimi potencjalnymi wrogami. Chińscy i koreańscy żołnierze cieszyli się po prostu, że żyją. A przyjaźnie nastawieni tubylcy zapewnili im obfitość jedzenia, dach nad głową i towarzystwo kobiet. Timur, jedząc z wodzem tubylców pieczone ślimaki, zastanawiał się w duchu, czy jeszcze kiedyś zobaczy Mongolię.

W ciągu następnych kilku tygodni członkowie floty mongolskiej stopniowo zadomowili się w wiosce. Timur początkowo odmawiał mieszkania w obozie i co noc spał na niszczącym okręcie. Dopiero gdy puściły nadwerężone sztormami wręgi i wrak spoczął na dnie zatoki, przeniósł się niechętnie do osady.

Myślał o swojej żonie i czwórce dzieci, ale po zatonięciu okrętu zaczął tracić nadzieję na powrót do domu. Jego podwładnym spodobało się nowe życie na tropikalnym odludziu. Woleli je o wiele bardziej niż służbę wojskową w Chinach pod rozkazami mongolskiego władcy. Timur nie mógł się z tym pogodzić. Był lojalnym poddanym chana i wiedział, że ma obowiązek powrócić do służby przy pierwszej nadarzającej się okazji. Ale jego okręt leżał w kawałkach na dnie zatoki i nie było możliwości powrotu do ojczyzny. Timur z rezygnacją przyzwyczaił się stopniowo do życia rozbitka na wyspie.

Mijały lata. Z czasem Timur i jego ludzie nauczyli się śpiewnego języka wyspiarzy. Mongolski dowódca lubił chwile, gdy on i siwy wódz opowiadali sobie nawzajem różne historie. Pewnego razu Mahu - takie imię nosił wódz - snuł opowieść o tym, jak jego przodkowie zaledwie kilka pokoleń temu przebyli wielkie morze na ogromnych żaglowcach. Dudnienie i dym wydobywający się ze szczytu góry były zaproszeniem od bogów, by się tu osiedlić. Odtąd bogowie zapewniają im dobrą pogodę, obfitość jedzenia i wody.

Timur się zaśmiał. Jak prymitywni tubylcy, którzy z trudem przeprawiają się w małych kanu na sąsiednie wyspy, mogli pokonać ocean?

- Chciałbym zobaczyć któryś z tych waszych wspaniałych statków - powiedział kpiąco.

- Pokażę ci go - obruszył się Mahu. - Zaprowadzę cię do niego. Widząc, że stary wódz nie żartuje, Timur przystał na jego propozycję.

Po dwóch dniach wędrówki przez wyspę zaczynał już żałować swojej decyzji, gdy nagle zarośnięta ścieżka doprowadziła ich do małej piaszczystej plaży. Wódz wskazał bez słowa coś na drugim krańcu plaży.

Timur początkowo widział tylko dwa wielkie pnie drzew, leżące na brzegu. Gdy znów spojrział na zwalone drzewa, uświadomił sobie, że to nie są zwykłe pnie, lecz elementy masywnego statku, zagrzebanego do połowy w piasku.

Nie wierzył własnym oczom. Pobiegł w tamtą stronę jak zahipnotyzowany. Choć stary żaglowiec najwyraźniej tkwił na plaży od lat, może nawet od dziesięcioleci, wydawał się nienaruszony. Timur przekonał się, że to dwukadłubowiec z płaskim pokładem, wspartym na dwóch wielkich kłodach. Statek miał niemal dwadzieścia metrów długości, ale tylko jeden maszt. Pokład już się rozpadł, lecz masywne podpory wyglądały jak nowe. Timur nie wątpił, że to statek dalekomorski. Opowieść Mahu okazała się prawdziwa. Timur patrzył z podnieceniem na szczątki żaglowca i wyobrażał sobie ucieczkę z wyspy.

- Popłyniemy do domu, do mojego władcy - mruknął.

Z ekipą tubylców pod kierownictwem koreańskiego stolarza okrętowego Timur wziął się do odbudowy starego żaglowca. Ścięto pobliskie drzewa i zrobiono z nich pokład. Z włókien kokosowych spleciono liny i powiązano nimi kadłuby i podpory. Z trzciny zrobiono duży żagiel i umocowano go do masztu z pnia młodego drzewa, rosnącego przy plaży. W ciągu kilku tygodni niemal zapomniany statek został wydobyty z piasku i przygotowany do rejsu przez ocean.

Timur wiedział, że większość jego dawnej załogi będzie się bała ponownie narażać życie w niebezpiecznej morskiej podróży. Mieli już na wyspie żony i dzieci. Na ochotnika zgłosiło się zaledwie trzech żołnierzy i stary Mahu. Tylu ludzi ledwo wystarczyło do obsługi starego żaglowca, ale Timur zaakceptował bez sprzeciwu decyzję tych, którzy postanowili zostać.

Zgromadzono zapasy, potem czekali kilka dni, aż Mahu oznajmi, że nadeszła właściwa pora.

- Bogini Hina zapewni nam teraz bezpieczną podróż na zachód - powiedział do Timura, gdy wiatr zmienił kierunek. - Ruszajmy.

- Zamelduję naszemu władcy, że ma nową kolonię na tym odległym lądzie! - zawołał Timur do swoich ludzi zebranych na plaży, kiedy statek pokonał fale przyboju, i bryza popchnęła go ku pełnemu morzu. Zaopatrzona w wodę pitną, suszone ryby i miejscowe owoce załoga statku była przygotowana do spędzenia wielu tygodni na oceanie.

Gdy zieloną wyspę zasłoniły fale za rufą, ludzie na statku poczuli niepokój. Przypomniła im się mordercza walka z żywiołem ponad dziesięć lat temu. Czy siły przyrody znów pozwolą im przetrwać?

Jednak Timur nie tracił pewności siebie. Ufał staremu Mahu. Choć wódz tubylców był mało doświadczonym żeglarzem, bez trudu czytał z gwiazd, w dzień śledził ruch słońca, obserwował chmury i fale. Wiedział, że wiatry na południe od wyspy wieją jesienią na zachód i będą im stale wydymały żagle w kierunku domu. Mahu potrafił łowić tuńczyki żyłką z kościanym haczykiem, używając na przynętę latających ryb, i mógł urozmaicić ich jadłospis w czasie długiego rejsu.

Kiedy ląd zniknął z oczu, żegluga okazała się zaskakująco łatwa dla niedoświadczonej załogi. Co dzień witało ich pogodne niebo i spokojne morze. Przez dwa tygodnie płynęli z wiatrem. Czasem tylko jakiś szkwiał

wypróbowywał wytrzymałość statku i dawał załodze okazję do zgromadzenia wody deszczowej. Mahu cały czas obserwował słońce i gwiazdy. Kilka dni później zauważył niezwykle wypiętrzenie na południowym zachodzie.

- Łąd na południe od nas - oznajmił. - Dwa dni drogi stąd.

Wszyscy poczuli ulgę, że znów staną na ziemi. Ale gdzie są, co to za łąd ?

Następnego ranka na horyzoncie pojawił się jakiś punkt. Rósł z każdą godziną. Nie była to jednak ziemia, lecz inny statek na ich kursie. Kiedy się zbliżył, Timur zobaczył niską rufę i białe, trójkątne żagle, które wydymał wiatr. Żaglowiec wyglądał na arabski statek handlowy. Gdy podpłynął bliżej i opuścił żagle, z pokładu pozdrowił ich szczupły, ciemnoskóry mężczyzna w jaskrawej szacie. Timur przyglądał mu się przez chwilę. Uznawszy, że nic im nie grozi, wspiał się na burtę żaglowca.

Kapitanem statku handlowego z Zanzibaru był jowialny muzułmanin, który od dawna wymieniał towary z dworem wielkiego chana. Zmierzał teraz do Szanghaju z ładunkiem kości słoniowej, złota i przypraw, by wymienić je na chiński jedwab i porcelanę. Załoga Timura, zaproszona na pokład, patrzyła ze smutkiem, jak opuszczony przez nich katamaran zaczyna samotnie dryfować po Pacyfiku.

Muzułmański kupiec uznał, że uratowanie życia mongolskiemu dowódcy zapewni mu lepszą pozycję w interesach. Nie zawiódł się. Gdy statek zawinął do Szanghajskiego portu, natychmiast wybuchła wrzawa. Wieść o powrocie żołnierzy trzynaście lat po nieudanej inwazji na Japonię rozeszła się lotem błyskawicy. Timura i jego ludzi powitali przedstawiciele dworu i zabrali ich do Cesarskiego Miasta. Po drodze Timur wypytywał ich o to, co się działo podczas jego nieobecności.

Wiele wiadomości go przynębiło. Usłyszał, że inwazja na Japonię skończyła się katastrofą, gdyż tajfun zniszczył ponad dwa tysiące okrętów i zginęło blisko sto tysięcy ludzi. Dowiedział się ze smutkiem, że wielu jego towarzyszy nie powróciło z niedobitkami floty. Równie przykra była informacja, że japońskie wyspy nie zostały dotąd podbite. Choć Kubilaj-chan zamierzał po raz trzeci spróbować inwazji, jego doradcy zdołali mu to wyperswadować.

W ciągu niespełna piętnastu lat nastąpił kres dominacji imperium. Po porażce w Japonii nie powiodła się również wyprawa do Wietnamu w celu stłumienia rozruchów. Koszty przedłużenia Wielkiego Kanału do Czangtu zrujnowały gospodarkę. Stan zdrowia władcy wzbudzał niepokój i zastanawiano się z obawą kto będzie jego następcą. Ludność już buntowała się przeciwko temu, że cesarstwem Jüan rządzi Mongoł. Po pokonaniu dynastii Song w 1279 roku i zjednoczeniu Chin przez Kubilaj-chana jego imperium chyliło się teraz zwolna ku upadkowi.

Gdy orszak przybył do stołecznego Dadu, Timura i jego ludzi zaprowadzono do Cesarskiego Miasta i prywatnych komnat władcy. W przeszłości Timur widywał Kubilaj-chana wiele razy i zaszokowało go to, co teraz zobaczył. Na wyściełanym szezlongu leżał gruby, zaniedbany mężczyzna, odziany w jedwabny strój, spoglądający na niego ponuro czarnymi oczami. Przybity niedawną śmiercią ukochanej żony i stratą drugiego syna, Kubilaj szukał pocieszenia w picu i jedzeniu. Nadużywał jednego i drugiego. Wprawdzie osiągnął sędziwy wiek osiemdziesięciu lat, ale nadmiar trunków i potraw rujnował mu zdrowie. Timur zauważył, że otyły chan opiera zniekształconą przez artretyzm stopę na podnóżku, a w zasięgu ręki ma dzbanek kumysu.

- Wróciłeś po długiej nieobecności, by na nowo objąć swoje obowiązki, Timurze - stwierdził władca ochryplym głosem.

- Jestem na twoje rozkazy, panie - odrzekł Timur i skłonił się nisko.

- Opowiedz o swoich przygodach, Timurze, o tajemniczym lądzie, gdzie trafiłeś jako rozbitek.

Dla Timura i jego ludzi przyniesiono rzeźbione krzesła. Mongolski dowódca opisał potężny tajfun, który odepchnął jego okręt daleko od Japonii, i późniejsze przeżycia na morzu. Gdy rozdano czarki z alkoholem, opowiedział o szczęśliwym dotarciu do zielonej wyspy i gościnności jej mieszkańców. Przedstawił Mahu i wyjaśnił, że pomagał mu on żeglować przez ocean na dużym dwukadłubowcu, dopóki nie spotkali arabskiego statku handlowego.

- Niezwykła podróż - powiedział Kubilaj. - Czy lądy, które napotkałeś, są urodzajne?

- O tak. Gleba jest żyzna, klimat łagodny i często pada deszcz, co sprawia, że wszystko tam dobrze rośnie.

- Gratuluję, mój władco - odezwał się pomarszczony mężczyzna z długą siwą brodą stojący u boku chana. Na konfucjańskim doradcy Kubilaja opowieści Timura najwyraźniej nie robiły wielkiego wrażenia. - Znow powiększyłeś imperium o nowe ziemie.

- Czy to prawda, że zostawiłeś tam garnizon? - zapytał władca. - Te ziemie są teraz pod rządami Mongołów ?

Timur wiedział, że jego ludzie, którzy zostali na wyspie, od dawna nie są żołnierzami. Ich lojalność wobec chana była wątpliwa na długo przed dotarciem do lądu.

- Tak - skłamał. - Mały kontyngent wojskowy rządzi tamtym krajem w twoim imieniu, panie. - Spojrzał ze wstydem na Mahu, ale stary wódz tubylców tylko skinął głową. Rozumiał politykę imperium.

Kubilaj popatrzył w przestrzeń, jakby dostrzegł coś daleko poza murami pałacu.

- Chciałbym zobaczyć to cudowne miejsce, ten kraj, gdzie słońce świeci dla mojego imperium - szepnął w końcu z rozmarzeniem chan.

- Tak, to niemal raj na ziemi. Piękny jak wszystkie ziemie pod twoimi rządami, panie.

- Znasz drogę powrotną, Timurze?

- Nie znam się na nawigacji morskiej, panie, ale Mahu potrafi czytać z gwiazd i słońca. Sądzę, że umiałby znaleźć drogę powrotną do swojej ojczyzny i doprowadzić tam mocny statek.

- Dobrze służyysz imperium, Timurze. Twoja lojalność zostanie sowicie wynagrodzona. - Kubilaj stracił oddech i zakaszłał się, opluwając jedwabną szatę.

- Dziękuję, mój władco - odrzekł Timur i znow się skłonił. Zjawili się dwaj strażnicy pałacowi i wyprowadzili mongolskiego dowódcę i jego ludzi z komnaty chana.

Gdy Timur opuszczał pałac, czuł smutek. Wielki Kubilaj-chan, który rządził jednym z największych imperiów w historii świata, w przeciwieństwie do swojego dziadka, krwiożerczego zdobywcy, był światłym władcą. Chętnie przyjmował kupców i podróżników z odległych krajów, ustanowił prawa sprzyjające tolerancji religijnej, popierał badania naukowe w dziedzinie geografii, astronomii i medycyny. Teraz był bliski śmierci, a bez niego imperium musiało się stać mniej postępowym państwem.

Kiedy Timur wyszedł poza teren pałacu, nagle zauważył, że u jego boku nie ma Mahu. Ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że stary wódz został w komnacie władcy. Czekał na niego, ale po kilku godzinach wyruszył ze stolicy do swojej rodzinnej wioski. Już nigdy nie zobaczył tego starego człowieka, któremu tyle zawdzięczał, i często zastanawiał się nad jego dalszym losem.

Zaledwie dwa miesiące później ogłoszono smutną wiadomość o śmierci wielkiego władcy. Kubilaj-chana pokonał w końcu podeszły wiek i opilstwo. W Dadu, które wybrał na stolicę swojego imperium, odbyła się uroczysta ceremonia pożegnalna. Potem na południe od miasta, noszącego dziś nazwę Pekin, zbudowano ołtarz ku czci władcy, który stoi do dzisiaj. Po publicznym nabożeństwie ozdobny karawan z trumną wielkiego chana wyjechał ze stolicy na północ. W asyście tysiąca konnych żołnierzy orszak żałobny dotarł do Mongolii, ojczyzny Kubilaja. Zwłoki chana złożono do sekretnego grobu w górach Chentej, wraz z konkubinami, zwierzętami i bogactwami z całego imperium. By zapewnić zmarłemu władcy spokojne życie pośmiertne i zamaskować miejsce jego wiecznego spoczynku, teren stratowano koźmi. Grabarzy zabito, a dowódców orszaku żałobnego zobowiązano pod karą śmierci do zachowania tajemnicy. Po kilku latach miejsce pochówku mongolskiego władcy poszło w zapomnienie, a pamięć o Kubilaj-chanie rozwiął wiatr wiejący niestrudzenie na zielonych, lesistych zboczach łańcucha górskiego.

Tysiąc sześćset kilometrów na południe wielka chińska dżonka wymknęła się przed świtem ze swojego basenu portowego w Szanghaju i popłynęła cicho w dół Żółtej Rzeki do Pacyfiku. Była jednym z bardzo niewielu pełnomorskich statków handlowych w cesarskiej flocie. Miała ponad sześćdziesiąt metrów długości i kilkanaście żagli na czterech wysokich masztach. Ponieważ w cesarstwie Jüan wciąż panowała żaloba, na dżonce nie powiewała żadna bandera umożliwiająca jej identyfikację.

Nieliczni ludzie na brzegu zastanawiali się, dlaczego ten duży statek, który zwykle stawiał żagle z wielką pompą wychodzi z portu tak wcześnie. Tylko garstka gapiów zauważyła, że na pokładzie jest zaledwie

połowa załogi. Jeszcze mniej obserwatorów dostrzegło dziwny widok przy sterze. Obok kapitana stał ciemnoskóry starzec z rozwianymi, siwymi włosami i wskazywał słońce wschodzące na niebie. W dziwnym języku podawał trasę żaglowca, który oddalał się od cywilizacji i zapuszczał na wody rozległego niebieskiego oceanu, by dotrzeć do dalekiego i niezaznaczonego na mapach celu.

Ślad dynastii

4 sierpnia 1937 roku

Szang-tu, Chiny

Przytłumione grzmoty w oddali przypominały bicie w bęben wojenny. Najpierw rozległ się cichy huk, kilka sekund później donośny łoskot. Przerwy między odgłosami budziły złudną nadzieję, że to koniec hałasu. Potem w powietrzu znów rozległ się drażniący huk, i wszyscy czekali na uderzenie.

Leigh Hunt wstał ze świeżo wykopanego rowu, wyciągnął ręce do góry i oparł ostrożnie dłoń na szczycie ceglanego muru obok siebie. Wykształcony w Oksfordzie archeolog z British Museum był ubrany w długie spodnie khaki i tego samego koloru koszulę z dwiema kieszeniami. Obie części jego przepoconego stroju pokrywała teraz cienka warstwa pyłu. Zamiast klasycznego hełmu tropikalnego, dla ochrony głowy przed letnim słońcem nosił sfatygowany filcowy kapelusz. Spojrzał zmęczonymi piwnymi oczami wzdłuż szerokiej doliny na wschód, w kierunku hałasu. W falującym od porannego upału powietrzu po raz pierwszy zobaczył na horyzoncie obłoczki dymu.

- Tsendyn, wygląda na to, że artyleria jest coraz bliżej - powiedział nonszalancko w stronę rowu.

Niski mężczyzna w cienkiej wełnianej koszuli, przewiązany w pasie czerwoną szarfą wygramolił się bez słowa z dołu. W rowie za jego plecami ekipa chińskich robotników dalej kopała suchą ziemię ciężkimi łopatami i kilofami. W przeciwieństwie do pracujących Chińczyków ten niski, szeroki w barach mężczyzna miał skośne oczy i ciemną cerę. Miejscowi od razu wiedzieli, że jest Mongołem.

- Pekin padł. Już widać uchodźców - odrzekł, wskazując wąską drogę gruntową, oddaloną o półtora kilometra. W kurzu toczyło się wiele wozów zaprzężonych w woły. Wiozły dobytek chińskich rodzin uciekających na zachód. - Musimy opuścić wykopaliska, zanim zjawia się tu Japończycy.

Hunt odruchowo dotknął rewolweru Webley Fosbery kaliber 455 w kaburze na biodrze. Dwa dni wcześniej ostrzelał nocą grupkę rabusiów, którzy grasowali w okolicy i próbowali ukraść skrzynię z wykopanymi artefaktami. Korzystając z chaosu panującego w Chinach, wszędzie włóczyły się bandy złodziei, ale większość była nieuzbrojona i naiwna. Walka z japońską armią cesarską to całkiem inna sprawa.

Japonia szybko podbijała Chiny. Odkąd w 1931 roku japońska armia kwantuńska zajęła Mandzurię, celem japońskich militarystów było skolonizowanie Chin na wzór Korei. Po sześciu latach szermierki słownej i inscenizowanych incydentów Japończycy dokonali inwazji na północne Chiny w obawie, że oddziały nacjonalistów Czang Kaj-szeka urosną w siłę.

Choć Chińczycy mieli dużą przewagę liczebną nad Japończykami, ustępowali im pod względem wyposażenia, wykszolenia i dyscypliny. Czang Kaj-szek wykorzystywał posiadane środki najlepiej, jak mógł. Walczył z Japończykami za dnia, wycofywał się nocą i próbował spowolnić ich marsz naprzód, prowadząc wojnę na wyczerpanie.

Hunt wsłuchiwał się w kanonadę artylerii japońskiej, która sygnalizowała upadek Pekinu. Wiedział, że Chińczycy są w tarapatkach. Wkrótce padnie stołeczne miasto Nankin i siły Czang Kaj-szeka wycofają się jeszcze dalej na zachód. Z poczuciem osobistej porażki spojrzął na zegarek.

- Każ kulisom przerwać pracę w południe - zwrócił się do Tsendyna. - Po południu zabezpieczymy artefakty, dokończymy dokumentację i dołączymy do uciekinierów zmierzających na zachód.

- Polecisz pan jutro do Nankinu? - zapytał Tsendyn.

- W tych warunkach nie ma to sensu. Jeśli zjawi się samolot, wezmę najważniejsze artefakty i polecę na północ, do Ułan Bator. Obawiam się, że będziesz musiał załadować pozostałe przedmioty, sprzęt i zapasy do pociągu towarowego. Powinno ci się udać dotrzeć do Ułan Bator za kilka

tygodni. Zaczekam tam na ciebie. Potem pojadę na zachód koleją transsyberyjską.

- Dobry plan. Chińczycy się nie utrzymają.

- Mongolia Wewnętrzna ma dla Japończyków niewielkie znaczenie strategiczne. Prawdopodobnie ścigają tylko niedobitki sił, które broniły Pekinu - odrzekł Hunt i wyciągnął rękę w kierunku odległej kanonady. - Podejrzewam, że wkrótce się cofną i przez kilka dni, czy nawet tygodni, będą plądrowali Pekin, zanim wznowią ofensywę. Mamy mnóstwo czasu na ewakuację.

- Szkoda, że musimy zostawić to wszystko właśnie teraz. Prawie skończyliśmy odkopywać Pawilon Wspaniałej Harmonii – powiedział Tsendyn, patrząc na labirynt rowów, które ciągnęły się wokół nich jak okopy I wojny światowej.

- Wielka szkoda - przyznał Hunt i pokręcił ze złością głową. - Ale przynajmniej wiemy, że to miejsce zostało już dokładnie przeszukane.

Kopnął wydobyte z ziemi kawałki marmuru, które leżały na stosie u jego stóp, i obserwował, jak na szczątkach wspaniałej niegdyś budowli cesarskiej osiada pył. Podczas gdy większość współczesnych mu archeologów szukała w Chinach prehistorycznych grobowców wypełnionych artefaktami z brązu, Hunt koncentrował się na znacznie późniejszym okresie panowania dynastii Jüan. Spędzał już trzecie lato na terenach Szang-tu, gdzie odkopywał pozostałości letniej rezydencji cesarskiej, którą zbudowano w 1260 roku. Patrząc na nagie zbocze wzgórza upstrzone stertami świeżo wykopanej ziemi, trudno było sobie wyobrazić dawną świetność pałacu i terenów wokół niego, prawie osiemset lat temu.

Choć zachowane chińskie źródła historyczne podają niewiele szczegółów na temat Szang-tu, można je znaleźć w książce Opisanie świata weneckiego kupca i podróżnika Marco Polo, który barwnie przedstawił w niej XIII-wieczne Chiny i Jedwabny Szlak. Rezydencję wzniesiono na dużym wzgórzu w samym środku ogrodzonego murami miasta. Pałac otaczały drzewa i ścieżki z lazurytu, które nadawały budowli magiczną niebieskawą barwę. Między budynkami dworskimi wokół pałacu Ta-an Ko, czyli Pawilonu Wspaniałej Harmonii, były piękne ogrody i fontanny. Rezydencję wzniesiono z zielonego marmuru, położono, wyłożono glazurą i ozdobiono zapierającymi dech malowidłami i rzeźbami najbardziej utalentowanych chińskich

rzemieślników. Używane początkowo jako letnia rezydencja, gdzie cesarz chronił się przed pekińskim upałem, Szang-tu szybko stało się ośrodkiem naukowym i kulturalnym z centrum medycznym i obserwatorium astronomicznym. Miasto było rajem dla krajowych i zagranicznych badaczy. Wiatr wiejący stale na szczycie wzgórza chłodził gości i władcę imperium, które rozciągało się od Morza Śródziemnego do Korei.

Ale letnia rezydencja chyba najbardziej słynęła z rozległych terenów łowieckich. Leżały w zamkniętym parku o powierzchni ponad czterech tysięcy hektarów. Wśród drzew, strumieni i gęstych traw władca i jego goście polowali dla przyjemności na jelenie, dziki i inną zwierzynę. Rezerwat przecinały podwyższone ścieżki, by myśliwi nie moczyli sobie nóg. Zachowane tapiserie pokazują władcę polującego w parku na swoim ulubionym koniu z tresowanym gepardem myśliwskim u boku.

Rezydencja przez stulecia stała opuszczona, była plądrowana i niszczała, aż zostały z niej tylko ruiny. Hunt ledwo mógł uwierzyć, że przed wiekami zobaczyłby tu zielone ogrody, fontanny, strumienie i drzewa. Teraz szeroka trawiasta równina sięgała do odległych brązowych wzgórz. Nie było tu życia, o minionej chwale miasta szeptał tylko wiatr wśród wysokich traw. Xanadu - taką nazwę Szang-tu spopularyzował poemat Samuela Taylora Coleridge'a - istniało już tylko w wyobraźni.

Za zgodą rządu Republiki Chińskiej Hunt trzy lata temu rozpoczął wykopaliska. Łopata za łopatą odsłaniał fragmenty Pawilonu Wspaniałej Harmonii i zdołał powiązać je ze sobą. Zidentyfikował salon, kuchnię i jadalnię. Przedmioty z brązu i porcelany, wydobyte z ziemi, mówiły o codziennym życiu w pałacu. Ale, ku swemu rozczarowaniu, Hunt nie odkrył ani terakotowej armii, ani waz z okresu panowania dynastii Ming - niczego, co przyniosłoby mu sławę. Prace były prawie zakończone, do odkopania pozostały jedynie szczątki sypialni władcy. Większość kolegów Hunta już uciekła ze wschodnich regionów Chin, by nie utknąć w zamęcie wojny domowej, jak też uniknąć obcej inwazji. Hunt czerpał jednak perwersyjną przyjemność z panującego zamieszania i niebezpieczeństwa nadciągającego z rejonu Mandżurii. Uwielbiał starożytność i dramat, wiedział, że jest w samym środku wydarzeń tworzących historię.

Wiedział też, że British Museum będzie zadowolone ze wszystkiego, co im dostarczy na planowaną wystawę obrazującą dzieje Xanadu. Chaos i zagrożenie, które stwarzała japońska inwazja, były mu na rękę. Dodawały uroku artefaktom i powinny ułatwić ich transport na zachód. Miejscowe władze już opuściły pobliskie wioski, a urzędnicy państwowi nadzorujący wykopaliska nie pojawiali się od tygodni. Hunt liczył na to, że bez trudu wywiezie wykopane przedmioty z kraju. O ile, oczywiście, sam się stąd wydostanie.

- Chyba już wystarczająco długo trzymam cię tutaj, z dala od twojej rodziny, Tsendyn. Wątpię, żeby Rosjanie pozwolili Japończykom zająć Mongolię, więc powinieneś być tam bezpieczny.

Mongoł wyszczerzył w uśmiechu ostre zęby.

- Żona ucieszyłaby się z mojego powrotu.

Rozmowę przerwał im daleki warkot samolotu. Na południe od nich na niebie rósł szary punkt. W końcu skręcił na wschód.

- Japoński samolot zwiadowczy - domyślił się Hunt. - Zły znak dla chłopców Czang Kaj-szeka. Japończycy panują w powietrzu.

Wyjął paczkę papierosów bez filtra Red Lion i zapalił. Tsendyn patrzył nerwowo na oddalający się samolot.

- Uważam, że im szybciej się stąd wyniesiemy, tym lepiej - powiedział.

W jednym z rowów za nimi wybuchło nagle zamieszanie. Któryś z chińskich robotników wystawił głowę ponad krawędź i zaczął coś szybko mówić.

- O co mu chodzi? - zapytał Hunt i odstawił herbatę.

- Mówi, że znalazł jakieś lakierowane drewno - wyjaśnił Tsendyn. Podeszli obaj do rowu i spojrzeli w dół. Robotnik pokazywał łopatą ziemię, pozostali tłoczyli się wokół. U jego stóp widać było ledwo odsłonięty płaski, żółty, prostokątny przedmiot wielkości półmiska.

- Tsendyn, ty to wykop - mruknął Hunt i odpędził gestem Chińczyków.

Mongoł zeskoczył do rowu i zaczął ostrożnie usuwać ziemię kielnią i szczotką. Hunt wyjął ołówek i notes. Poszukał w nim odręcznego szkicu właściwego rejonu wykopalisk i rowu i starannie zaznaczył miejsce znalezienia przedmiotu. Potem przerzucił kartki i na pustej stronie zaczął rysować artefakt. Tsendyn delikatnie kopał wokół przedmiotu.

Kiedy Mongoł usunął ziemię, Hunt zobaczył żółtą lakierowaną, drewnianą skrzynkę. Każdy centymetr kwadratowy jej powierzchni pokrywały namalowane szczegółowo zwierzęta i drzewa. Szkatułka była inkrustowana masą perłową. Hunt zauważył, że na wieku widnieje słoń. Tsendyn delikatnie oczyścił całą skrzynkę, uniósł ją ostrożnie z ziemi i postawił na płaskim kamieniu na zewnątrz rowu.

Wszyscy chińscy robotnicy przerwali kopanie i stłoczyli się dokoła. Większość znalezionych dotychczas przedmiotów stanowiły porcelanowe skorupy, czasem zdarzała się jadeitowa rzeźba. Skrzynka była z pewnością najbardziej intrygującym odkryciem podczas trzech lat pracy.

Hunt obejrzał dokładnie szkatułkę, potem ją podniósł. W środku było coś ciężkiego, co przesunęło się, gdy trzymał ją w ręce. W połowie wysokości skrzynki wyczuł pod kciukami krawędź wieka. Spróbował otworzyć szkatułkę. Wieko, zamknięte przez prawie osiemset lat, najpierw stawiało opór, potem wolno ustąpiło. Hunt postawił skrzynkę, przesunął ostrożnie palcami wzdłuż całej krawędzi wieka i uniósł je. Tsendyn i robotnicy pochyłili się, żeby zajrzeć do środka.

W szkatułce leżały dwa przedmioty. Hunt wyjął je i pokazał wszystkim. Żółta skóra zwierzęca w czarne cętki, zapewne lamparta lub geparda, była zwinięta jak papirus i związana na końcach rzemykami. Malowana tuba z brązu miała na jednym końcu zdejmowaną pokrywkę. Chińscy robotnicy wyszczerzyli zęby w uśmiechu i zachichotali. Nie wiedzieli, jakie znaczenie mają znalezione przedmioty, ale domyślali się słusznie, że są ważne.

Hunt odłożył skórę geparda i obejrzał ciężką brązową tubę. Pozieleniała ze starości, co tylko uwydatniało ozdobny wizerunek smoka na całej jej długości. Ogon wyimaginowanej bestii oplatał koniec tuby niczym zwój liny.

- Niech pan to otworzy - przynaglił niecierpliwie podekscytowany Tsendyn.

Hunt łatwo zdjął pokrywkę, uniósł tubę do oka i zajrzał do niej. Potem skierował otwarty koniec tuby ku ziemi i wytrząsnął na dłoń jej zawartość.

Trzymał w ręce zwój jasnoniebieskiego jedwabiu. Tsendyn strzepnął leżący obok koc i rozpostarł na ziemi. Hunt zaczął, aż opadnie kurz, potem przykleknął obok koca i ostrożnie rozwinął jedwab. Tkanina miała niemal półtora metra długości. Tsendyn zauważył, że gdy zawsze opanowany Hunt wyglądał jedwab, drżały mu lekko ręce.

Na tkaninie widniał malowniczy krajobraz. Górski szczyt, doliny, wąwozy i strumienie były pięknie przedstawione, ze wszystkimi szczegółami. Ale jedwab najwyraźniej nie służył tylko do ozdoby. Miejsce wzdłuż lewej krawędzi zajmował długi tekst. Hunt rozpoznał pismo ujgurskie, najwcześniejszy mongolski język pisany, przejęty od pierwszych osadników tureckich, którzy osiedlili się na azjatyckich stepach. Prawą stronę tkaniny wypełniały mniejsze obrazki. Ukazywały grupę kobiet, stada koni, wielbłądów i innych zwierząt, oraz oddział uzbrojonych żołnierzy wokół kilku drewnianych skrzyń. W części z krajobrazem nie było żadnej żywej istoty, z wyjątkiem samotnego stworzenia na samym środku jedwabiu. Baktrian, dwugarbny wielbłąd, stał na wzniesieniu, okryty derką ozdobioną dwoma słowami. Co dziwne, ronił wielkie łzy, które spadały na ziemię.

Gdy Hunt przestudiował uważnie malowidło na jedwabiu, poczuł gwałtowne bicie serca. Na czoło wystąpił mu pot. Zmusił się, żeby wziąć głęboki oddech. Pomyślał, że chyba śni.

- Tsendyn... - wymamrotał. - To pismo ujgurskie. Potrafisz je odczytać?

Oczy mongolskiego asystenta powiększyły się do wielkości srebrnych dolarówek, kiedy również on pojął znaczenie obrazu. Jąkał się i zaczął, próbując przetłumaczyć tekst.

- Z lewej strony jest opis tego regionu na obrazie. „W domu na szczycie Burchan Chałdun w górach Chentej śpi nasz władca. Rzeka Onon gasi jego pragnienie między dolinami przeznaczenia”.

- A co znaczą te słowa na wielbłądzie? - szepnął Hunt, wskazując drżącym palcem środek jedwabiu.

- Kagan Temudżyn - odrzekł cicho Tsendyn tonem pełnym czci.

- Temudżyn - powtórzył jak w transie Hunt. Choć chińscy robotnicy nie zdawali sobie z tego sprawy, Hunt i Tsendyn doznali szoku, gdy uświadomili sobie, jak doniosłego odkrycia dokonali. Hunt analizował obraz na jedwabiu. Próbował w duchu zakwestionować jego wartość, ale

to, co namalowano na tkaninie, było zbyt wymowne. Płaczący wielbłąd, złożone ofiary, opis regionu... No i imię na grzbiecie baktriana. Temudżyn. Tak nazwano przy narodzinach chłopca, który potem stał się największym zdobywcą w historii. Świat miał go zapamiętać jako Czyngis-chana. Stary jedwab wskazywał okolicę, gdzie w tajemnicy pochowano tego wielkiego władcę. Nie mogło być inaczej.

Hunt osunął się na kolana, gdy zdał sobie z tego sprawę. Grób kagana był jednym z najbardziej poszukiwanych przez archeologów miejsc. Czyngis-chan zjednoczył plemiona mongolskie i rozpoczął podboje, jakich potem nikt już nie dokonał. Między 1206 i 1223 rokiem naszej ery Mongołowie zajęli nawet tak odległe kraje, jak Egipt na zachodzie i Litwa na północy. Czyngis-chan zmarł w 1227 roku u szczytu swej potęgi i został potajemnie pochowany w mongolskich górach Chentej, niedaleko swojego miejsca urodzenia. Zgodnie z mongolską tradycją złożono go do grobu wraz z czterdziestoma konkubinami i niesłychanymi bogactwami, potem mogiłę starannie zamaskowano. Szeregowych żołnierzy, którzy towarzyszyli orszakowi żałobnemu, zabito, a ich dowódcom kazano przysiąc pod karą śmierci, że nigdy nie zdradzą tajemnicy.

Uczestnicy pogrzebu do końca zachowali milczenie. Gdy wymarli, zniknął wszelki ślad lokalizacji grobu. Tylko pewna wielbłądzica, jak mówi legenda, trafiła tam dziesięć lat później. Samicę baktriana, która urodziła wielbłąda pochowanego potem wraz z Czyngis-chanem znaleziono płaczącą w górach Chentej. Jej właściciel zorientował się, że samica opłakuje swojego potomka, leżącego w ziemi pod jej kopytami w miejscu, gdzie musiał być złożony do grobu władca. Dochował jednak tajemnicy i Czyngis-chan dalej spoczywał w spokoju w mongolskich górach, gdzie się urodził.

Teraz legenda odżyła na malowanym jedwabiu przed oczami Hunta.

- To największa świętość - szepnęła Tsendyn. - Zaprowadzi nas do grobowca wielkiego chana. - Powiedział to z czią graniczącą ze strachem.

- Tak - odrzekł bez tchu Hunt, wyobrażając sobie, jaką się okryje sławą jeśli odnajdzie grób Czyngis-chana.

Nagle się przestraszył, że chińscy robotnicy zorientują się, jak cenny jest znaleziony jedwab. Szybko zrolował tkaninę, wsunął do tuby i

schował do lakierowanej skrzynki razem ze skórą geparda. Potem owinął szkatułkę szmatą i włożył do skórzanej torby, której nie wypuścił z ręki przez resztę dnia.

W miejscu, gdzie odkryto skrzynkę, przekopano ziemię, ale nie natrafiono na inne artefakty i Hunt kazał przerwać pracę. Robotnicy w milczeniu załadowali kilofy, łopaty i szczotki na drewniany wóz, a potem ustawili się w kolejce po zapłatę. Choć zarabiali grosze, bardzo zależało im na pracy, którą trudno było dostać w biednych chińskich prowincjach.

Kiedy sprzęt i artefakty znalazły się na trzech drewnianych wozach, a chińscy robotnicy zostali odprowadzeni, Hunt zjadł z Tsendynem kolację i wycofał się do swojego namiotu, żeby się spakować. Zapisując przebieg dnia w notesie, po raz pierwszy poczuł niepokój. Po odkryciu w ostatniej chwili tak cennych przedmiotów, zaczął nagle wyraźniej dostrzegać niebezpieczeństwo wokół siebie. W prowincji Szensi często okradano wykopaliska. Pewien archeolog został pobity przez złodziei szukających artefaktów z brązu sprzed trzech tysięcy lat. Była jeszcze japońska armia. Może nie zrobiliby krzywdy obywatelowi brytyjskiemu, ale mogli mu zabrać artefakty. Kto wie, czy odnalezienie grobu Czyngis-chana nie stanie się dla niego przekleństwem, podobnie jak dla lorda Carnarvona i jego ekipy przekleństwem było podobno odkrycie grobowca Tutanchamona.

Hunt ukrył torbę ze szkatułką pod swoim łóżkiem polowym. Źle spał, w głowie kłębiły mu się różne myśli. Grozę nocy potęgowało wycie wichru, który szarpał namiotem aż do świtu. Hunt wstał o brzasku półprzytomny i odetchnął z ulgą kiedy zobaczył, że torba jest nadal pod jego łóżkiem, a na zewnątrz nie ma japońskich żołnierzy. Tsendyn stał niedaleko i piekł na otwartym ogniu kozie mięso. Towarzyszili mu dwaj chińscy chłopcy, którzy byli jego pomocnikami.

- Dzień dobry panu. Herbata gotowa. - Mongoł się uśmiechnął i wręczył Huntowi kubek parującego płynu. - Wszystko spakowane, muły zaprzęzione do wozów. Możemy ruszać w każdej chwili.

- Doskonale. Bądź tak dobry i załaduj mój namiot. Zaopiekuj się też torbą która jest pod łóżkiem.

Hunt usiadł na drewnianej skrzyni. Patrzył na wschód słońca i delektował się herbatą.

Pierwszy daleki wystrzał armatni zabrzmiał godzinę później, gdy oddalali się od Szang-tu na trzech wozach ciągniętych przez muły. W odległości półtora kilometra od terenu wykopalisk, na wietrznej równinie, karawana minęła wioskę Lansui i dołączyła do kolumny uchodźców zdążających na zachód. Koło południa dotarli do starego miasta Duolun, gdzie zatrzymali się na posiłek w ruderze udającej przydrożną gospodę. Po zjedzeniu miski klusek bez smaku i rosółu upstrzonego martwymi owadami pojechali na dużą płaską łąkę na obrzeżach miasta. Hunt siedział na jednym z wozów i wpatrywał się w niebo. W ustalonym czasie usłyszał cichy warkot i zobaczył mały, srebrzysty punkt, który rósł w oczach. Kiedy samolot zbliżył się do prowizorycznego lotniska, Hunt wyjął z kieszeni chustkę do nosa, przywiązał ją do patyka i wbił go w ziemię, by ten prymitywny rękaw lotniskowy wskazał pilotowi kierunek wiatru.

Pilot z wprawą zatoczył nisko szeroki łuk i wylądował na trawie. Huntowi ulżyło na widok trzysilnikowego Fokkera F.VIIIb, samolotu przystosowanego do pokonywania długich tras nad odległymi pustymi obszarami. Zauważył, że pod oknem kokpitu po stronie drugiego pilota jest namalowana nazwa Blessed Betty.

Ledwo ucichły silniki, drzwi samolotu otworzyły się gwałtownie i na ziemię zeskoczyli dwaj mężczyźni w znoszonych skórzanych kurtkach lotniczych.

- Hunt? Jestem Randy Schodt - przedstawił się wysoki pilot o surowych rysach. Mówił z amerykańskim akcentem. - Mój brat Dave i ja mamy cię zabrać do Nankinu. Tak przynajmniej jest w umowie - dodał i poklepał złożony papier w kieszeni kurtki.

- Skąd się tu wzięli jankesi ? - zdziwił się Hunt.

- To lepsze niż robota w domu, w stoczni w Erie w Pensylwanii. - Dave Schodt wyszczerzył zęby, zawsze skory do żartów.

- Lataliśmy dla chińskiego ministerstwa kolejnictwa. Pomagaliśmy przedłużyć linię Pekin-Szanghaj. Ale ta fucha nagle się skończyła z powodu Japońców - wyjaśnił z krzywym uśmiechem Randy Schodt.

- Jest drobna zmiana planów - powiedział Hunt. - Musicie mnie dostarczyć do Ułan Bator.

Schodt podrapał się w głowę.

- Do Mongolii? Dobra, dopóki oddalamy się od armii Nipponu, nie ma problemu.

- Wytyczę trasę i zobaczę, czy mamy taki zasięg, żeby tam dolecieć - wtrącił się Dave i ruszył z powrotem do samolotu. - Mam nadzieję, że na miejscu znajdziemy jakąś stację benzynową. - Roześmiał się.

Z pomocą Schodta Hunt pokierował załadunkiem najważniejszych artefaktów i narzędzi. Skrzynie wypełniły niemal całe wnętrze. Hunt wziął torbę ze szkatułką i położył ją ostrożnie na przednim siedzeniu pasażera.

- To będzie o dwieście czterdzieści kilometrów bliżej niż do Nankinu. Ale musimy doliczyć drogę powrotną, co przekroczy kilometraż ustalony w umowie z British Museum - powiedział Schodt i rozpostarł na stosie skrzyń mapę regionu. Stolica Mongolii, Ułan Bator, położona sześćset czterdzieści kilometrów od granicy z Chinami, była oznaczona gwiazdką.

- Macie moje upoważnienie - odrzekł Hunt i wręczył pilotowi odręcznie napisane polecenie zmiany trasy. - Zapewniam was, że muzeum zgodzi się ponieść dodatkowe koszty.

- Jasna sprawa, przecież nie chcą, żeby twoje artefakty trafiły na wystawę w Tokio. - Schodt roześmiał się i wetknął kartkę do kieszeni. - Dave wyznaczył trasę do Ułan Bator i obiecuje, że damy radę skoczyć tam bez międzylądowania. Będziemy lecieli nad pustynią Gobi, więc masz szczęście, że w „Blessed Betsy” są dodatkowe zbiorniki paliwa. Możemy startować.

Hunt podszedł do dwóch wozów nadal załadowanych sprzętem i artefaktami. Tsendyn stał przy nich, trzymał wodze muła i głaskał uszy zwierzęcia.

- Tsendyn, mieliśmy ciężkie, ale owocne lato. Byłeś nieoceniony. Bez ciebie nie odnieśliśmy sukcesu.

- To zaszczyt pracować dla pana. Przyszłe pokolenia będą panu wdzięczne.

- Zawieź resztę sprzętu i artefaktów do Szyciaczuangu i złap pociąg do Nankinu. Spotka się tam z tobą przedstawiciel British Museum i zorganizuje transport tych rzeczy do Londynu. Będę na ciebie czekał w Ułan Bator. Zbadamy nasze ostatnie odkrycie.

- Nie mogę się tego doczekać - odrzekł Tsendyn i uścisnął mu dłoń.

- Do zobaczenia, przyjacielu.

Hunt wsiadł do załadowanego Fokkera i trzy dwustudwudziestokonne silniki gwiazdziste Wright Whirlwind ożyły. Tsendyn przyglądał się, jak Schodt odwraca samolot w kierunku wiatru, a potem popycha przepustnice do oporu. Maszyna z ogłuszającym rykiem potoczyła się po łące, kilka razy odbiła się i opadła, wreszcie uniosła wolno w powietrze. Schodt zatoczył wdzięczny luk nisko nad ziemią, skierował samolot na północny zachód ku granicy z Mongolią i stopniowo nabrał wysokości.

Tsendyn stał na łące i patrzył, jak maszyna maleje na horyzoncie. Kiedy ucichł warkot silników, włożył rękę do przepastnej kieszeni kurtki i się uspokoił. Pojemnik z brązu nadal tam był. Od wczesnych godzin ostatniej nocy.

Po dwóch godzinach lotu Hunt sięgnął po torbę i wyjął lakierowaną skrzynkę. Nudził się w samolocie, a jednocześnie wciąż był podekscytowany odkryciem. Nie mógł usiedzieć spokojnie na miejscu i korciło go, żeby jeszcze raz dotknąć obrazu na jedwabiu. Kiedy trzymał szkatułkę w rękach, czuł znajomy ciężar brązowej tuby, która przetaczała się w środku. A mimo to miał wrażenie, że coś jest nie tak. Uniósł wieko i zobaczył, że ciasno zrolowana skóra geparda leży tam, gdzie była. Podobnie jak brązowa tuba. Ale gdy ją uniósł, wydała mu się cięższa, niż pamiętał. Drżącą ręką zdjął szybko pokrywkę. Na jego kolana wysypał się piasek. Kiedy wypadło ostatnie ziarenko, zajrzał do środka. Zwój jedwabiu zniknął.

Hunt wybałuszyl oczy. Uświadomił sobie, że został oszukany. Nie mógł złapać tchu. Po chwili szok przerodził się w gniew. Hunt odzyskał mowę i zawołał do pilotów:

- Zawracamy! Musimy natychmiast zawrócić!

Ale dwaj bracia nie słuchali go. Mieli teraz własny problem. Dużo poważniejszy.

Bombowiec Mitsubishi G3M, znany na Zachodzie jako Neli, leciał samotnie na wysokości dwóch tysięcy siedmuset metrów, dokonując

rozpoznania. Sprawdzano czujność radzieckiego lotnictwa, które podobno pojawiło się w Mongolii.

Po łatwym zdobyciu Mandżurii i wkroczeniu do północnych Chin Japończycy zainteresowali się syberyjskimi portami morskimi i kopalniami węgla. Przewidując zamiary Japończyków, Rosjanie wzmocnili siły obronne na Syberii i podpisali pakt obronny z Mongolią który umożliwiał im rozmieszczenie wojsk w tym pustynnym kraju. Japończycy zbierali dane wywiadowcze i sprawdzali gotowość tych sił obronnych przed ofensywą na północ, która miała ruszyć z Mandżurii w połowie 1939 roku.

Załoga Neli nie zauważyła we wschodniej Mongolii śladów obecności militarnej Rosjan. Nie rozmieszczano wojsk, nie budowano lotnisk polowych. Japoński pilot doszedł do wniosku, że jeśli w Mongolii działają radzieckie siły, to muszą być dalej na północ. W dole widział tylko od czasu do czasu jakieś plemię koczownicze, wędrujące przez pustynię Gobi ze stadem wielbłądów.

- Nic, tylko piasek - powiedział, ziewając, drugi pilot, młody porucznik Miyabe. - Nie wiem, dlaczego naszego dowódcę tak interesuje ten rejon.

- Pewnie jako przedpole bardziej wartościowego terytorium dalej na północy - odparł kapitan Nobuji Negishi. - Mam nadzieję, że przeniosą nas na front, kiedy ruszy ofensywa. Tracimy całą zabawę, siedząc w Szanghaju i Pekinie.

Gdy Miyabe wpatrywał się w płaski teren pod samolotem, dostrzegł kątem oka jasny błysk. Spojrzał w kierunku horyzontu, zobaczył źródło światła i zmrużył oczy.

- Panie kapitanie, samolot przed nami, nieco poniżej - zameldował, wskazując obiekt dłonią w rękawicy.

Negishi popatrzył w tamtym kierunku. Srebrzysty, trzysilnikowy Fokker leciał na północny zachód w kierunku Ułan Bator.

- Jest na naszym kursie - powiedział podekscytowany Negishi. - Nareszcie mamy okazję powalczyć.

- Ale to cywilny samolot, panie kapitanie. Chyba nawet nie chiński - odrzekł Miyabe, przyglądając się oznakowaniu Fokkera. - Mamy rozkaz atakować tylko chińskie maszyny wojskowe.

- Latanie tutaj wiąże się z ryzykiem - odparł Negishi. - Poza tym to będą dobre ćwiczenia strzeleckie, poruczniku.

Kapitan wiedział, że żaden japoński wojskowy nie został jeszcze ukarany za agresywne zachowanie w Chinach, a on, pilot bombowca, miał teraz wyjątkową okazję, by strącić nieprzyjacielski samolot. Nie zamierzał zmarnować takiej szansy.

- Strzelcy na stanowiska - rozkazał przez interkom. - Przygotować się do walki powietrznej.

W pięcioosobową załogę Neli natychmiast wstąpiła energia. Szybko obsadzili stanowiska bojowe. Zamiast występować w roli celu szybszego myśliwca, bo zwykle taki był ich los, załoga bombowca nagle sama stała się myśliwym. Kapitan Negishi obliczył w pamięci kurs, cofnął przepustnicę i przechylił samolot w szerokim skrucie w prawo. Znaleźli się teraz za Fokkerem.

Negishi znów pchnął przepustnicę i zbliżył się do srebrzystego trójsilnikowca. Mitsubishi rozwijał maksymalną prędkość trzystu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i był prawie dwukrotnie szybszy od Fokkera, więc łatwo go dogonił.

- Strzelec dziobowy, przygotować się - rozkazał Negishi, gdy bezbronna maszyna urosła w celowniku.

Ale trójsilnikowiec nie zamierzał łatwo się poddać. Randy Schodt pierwszy zobaczył bombowiec. Nadzieja, że japoński samolot przeleci obok rozwiąła się, kiedy Mitsubishi zajął pozycję za ich ogonem. Nie mogąc uciec szybszej maszynie, Schodt zrobił coś innego.

Strzelec pokładowy w dziobie japońskiego bombowca właśnie naciskał spust karabinu maszynowego, gdy trój silnikowiec skrzył ostro w lewo i jakby znieruchomiał w powietrzu. Pociski chybiły celu i Mitsubishi minął Fokkera.

Negishiego kompletnie zaskoczył ten nagły manewr. Zaklął i spróbował skierować bombowiec z powrotem w stronę ściganego samolotu. Zaterkotał karabin maszynowy bocznego strzelca, który posłał w kierunku Fokkera długą serię.

W środku trójsilnikowca Hunt przeklinał głośno pilotów, kiedy skrzynie z artefaktami zaczęły koziółkować po ładowni. Głośny trzask powiedział mu, że przy gwałtownym skrucie samolotu rozbiła się

porcelana. Dopiero gdy Fokker przechylił się ostro w prawo, Hunt zobaczył przez boczne okno japońską maszynę i zdał sobie sprawę, co się dzieje.

Schodt próbował wszystkich znanych mu sztuczek, żeby zgubić mitsubishi. Miał nadzieję, że bombowiec zrezygnuje z pościgu. Ale japoński pilot, wściekły, że nie udało mu się pierwszy atak, nieustępliwie gonił Fokkera. Schodt wiele razy wyhamowywał maszynę, by pozbyć się napastnika, i Mitsubishi musiał wtedy zataczać krąg, żeby znów wziąć ich na cel. W końcu jednemu ze strzelców dopisało szczęście.

Pod gradem pocisków Fokker stracił ster kierunku. Negishi wiedząc, że samolot nie może już skręcać w lewo ani w prawo, wyszczerzył w uśmiechu zęby jak wilk i podszedł bliżej. Kiedy strzelec znów nacisnął spust, kapitan zobaczył z zaskoczeniem, że Fokker zbacza w prawo i wyhamowuje.

Bracia jeszcze się nie poddali. Dave tak manipulował przepustnicami dwóch silników na skrzydłach, że Randy wciąż mógł robić uniki przed mitsubishi. Seria pocisków minęła kadłub, a Hunt skrzywił się, gdy roztrzaskała się następna skrzynia z artefaktami.

Negishi rozszyfrował już taktykę przeciwnika. Zatoczył szeroki łuk i zbliżył się do Fokkera z boku. Tym razem nie było ucieczki przed ogniem z japońskiego bombowca. Pociski podziurawiły silnik na prawym skrzydle. Buchnął z niego dym i Schodt odciął dopływ paliwa, żeby uniknąć pożaru. Walczył jak umiał o utrzymanie samolotu w powietrzu na dwóch pozostałych silnikach i starał się wydostać spod ostrzału, ale wybiła jego godzina. Celna seria strzelca w wieżyczce Mitsubishi zniszczyła stery wysokości i ostatecznie zakończyła lot „Blessed Betty”.

Bez możliwości kontrolowania pułapu poważnie uszkodzony Fokker zaczął lotem ślizgowym schodzić w dół. Schodt patrzył bezradnie, jak jego maszyna zbliża się do ziemi. O dziwo, samolot zachowywał równowagę i opadał z ledwo opuszczonym dziobem. Schodt wyłączył silniki i poczuł, że koniec lewego skrzydła zawadza o wydmy.

Załoga japońskiego bombowca obserwowała z pewnym rozczarowaniem, jak srebrzysty trójsilnikowiec koziołkuje na ziemi. Nie

było eksplozji ani płomieni. Fokker wykonał dwa obroty i zatrzymał się podwoziem do góry w piaszczystym wąwozie.

Mimo trudności ze strąceniem cywilnej maszyny, na pokładzie Mitsubishi wybuchła radość.

- Dobra robota, panowie, ale następnym razem musimy się bardziej postarać - powiedział Negishi i skierował bombowiec z powrotem do bazy w Mandżurii.

Schodt i jego brat zginęli natychmiast, gdy przy pierwszym obrocie Fokkera został zmiażdżony kokpit. Hunt przeżył katastrofę, ale miał złamany kręgosłup i niemal urwaną lewą nogę. Zmarł w pogniecionym wraku dwa dni później. Tuż przed śmiercią przycisnął do piersi szkatułkę i przeklął swojego pecha. Wydając ostatnie tchnienie, nie wiedział, że trzyma w rękach klucz do najwspanialszego skarbu, jaki kiedykolwiek zobaczy świat.

CZEŚĆ I

Wielka fala

Wielka fala na jeziorze Bajkał



2 czerwca 2007 roku
Jezioro Bajkał, Syberia

Spokojne, przezroczyste wody najgłębszego jeziora świata mają barwę polerowanego szafiru. Zasilany przez zimne rzeki, wolne od mułu i osadów, Bajkał jest krystalicznie czysty. Pomaga w tym maleńki skorupiak *Baikal epishura*, pożerający algi i plankton, które zanieczyszczają większość słodkowodnych jezior. W rezultacie woda jest zdumiewająco przejrzysta. W pogodny dzień z jej powierzchni można zobaczyć srebrną monetę leżącą na głębokości trzydziestu metrów.

Otoczona od północy zaśnieżonymi, urwistymi szczytami górkimi, a od południa gęstymi brzołowymi, modrzewiowymi i sosnowymi lasami, Błękitna Perła Syberii jest oazą piękna w surowym krajobrazie. Położone w samym środku południowej Syberii jezioro w kształcie półksiężyca, o długości sześciuset czterdziestu kilometrów, ciągnie się z północy na południe w kierunku granicy z Mongolią i ma w niektórych miejscach głębokość półtora kilometra. Bajkał to jedna piąta globalnych zasobów słodkiej wody; więcej niż wszystkie północnoamerykańskie Wielkie Jeziora połączone razem. Na brzegach Bajkału jest zaledwie kilka niewielkich wiosek rybackich, toteż nic nie zakłóca tam spokoju. Tylko na jego południowym krańcu są większe skupiska ludzkie. Siedemdziesiąt kilometrów na zachód położony jest półmilionowy Irkuck, a niedaleko wschodniego brzegu Bajkału znajduje się stare miasto Ułan Ude.

Theresa Hollema podniosła wzrok znad laptopa i przez chwilę podziwiała purpurowe góry nad jeziorem. Ich szczyty sięgały białych obłoków. Holenderska geofizyk była zachwycona pogodnym, błękitnym niebem, które rzadko widywała nad Amsterdamem, gdzie mieszkała. Oddychała głęboko rześkim powietrzem i podświadomie starała się chłonąć scenę wszystkimi zmysłami.

- Ładny dzień, prawda? - zapytała Tatiana Bordzin niskim, pozbawionym emocji głosem, charakterystycznym dla Rosjan mówiących po angielsku. Urzędowy ton i obojętne zachowanie nie pasowały do jej wyglądu. Choć przypominała miejscową Buriatkę, była Mongołką. Miała długie czarne włosy, śniadą skórę i ciemne oczy w kształcie migdałów. Jej intensywne spojrzenie stwarzało wrażenie, że bierze wszystko bardzo poważnie.

- Nie miałam pojęcia, że Syberia jest taka piękna - odrzekła Theresa. - Widok tego jeziora zapiera dech. Tak tu spokojnie...

- Teraz tak, ale w jednej chwili to się może zmienić. Sarma, północno-zachodni wiatr, potrafi wpaść na jezioro z siłą huraganu. Tutejsze cmentarze są pełne rybaków, którzy zlekceważyli moc Bajkału.

Theresa poczuła lekki dreszcz. Miejscowi stale mówili o duchu jeziora. Zasoby wodne Bajkału były dumą mieszkańców Syberii. Ruch na rzecz ochrony tego akwenu przed skażeniami przemysłowymi miał światowy zasięg. Rosyjskie władze były zaskoczone powszechnym oburzeniem, kiedy pięćdziesiąt lat temu postanowiono zbudować papiernię na południowym brzegu jeziora. Theresa miała nadzieję, że nie pojawi się tu armada pontonów Greenpeace'u, żeby ją stąd usunąć.

Przekonywała sama siebie, że jej działalność jest stosunkowo nieszkodliwa. Royal Dutch Shell przyjął zlecenie na zbadanie złóż ropy, które podobno znajdowały się pod jeziorem, ale nie było mowy o robieniu odwiertów ani drażeniu szybów wydobywczych. Koncern chciał po prostu zademonstrować swoje możliwości właścicielom eksploatowanych już pól naftowych na Syberii, w nadziei na szerszą współpracę.

Przed przyjazdem na Syberię Theresa nigdy nie słyszała o Konsorcjum Naftowym Awarga, ale wiedziała, że na rosyjskim rynku paliw są obecne różne przedsiębiorstwa. Branżę opanowało kilka gigantów sponsorowanych przez państwo, takich jak Jukos i Gazprom, ale - jak wszędzie na świecie - pewien udział w tym interesie miały również małe firmy. Z tego, co Theresa dotąd widziała, wynikało, że Konsorcjum Naftowe Awarga w ogóle się nie liczy.

- Wygląda na to, że żałują pieniędzy na badania - powiedziała żartem do dwóch towarzyszących jej kolegów z Shella, kiedy wchodzili na pokład wynajętego „statku badawczego”.

- Sprytnie go zamaskowali - odrzekł wysoki, wąsaty Jim Wofford, sympatyczny, stale uśmiechnięty geofizyk z Arkansas.

Czarny kuter rybacki z wysokim dziobem był starą zniszczoną łajbą którą dawno już należało oddać na złom. Wszędzie odłaziła farba, cuchnęło zgniłym drewnem i martwymi rybami. Metalowych części od dawna nie polerowano, pokłady zmywał tylko deszcz. Theresa zauważyła z niepokojem, że pompa bez przerwy usuwa wodę z zęzy.

- Nie posiadamy własnego statku - wyjaśniła Tatiana. Reprezentowała Konsorcjum Awarga i tylko ona kontaktowała się z ekipą Shella.

- W porządku. Nie oczekiwaliśmy wygód. - Wofford się uśmiechnął.

- Fakt, ale założę się, że gdzieś na pokładzie jest ukryty kawior - odrzekł partner Wofforda, Dave Roy, sejsmolog mówiący z miękким bostońskim akcentem. Roy wiedział, że w jeziorze Bajkał żyją olbrzymie jesiotry, z których można uzyskać do dziewięciu kilogramów kawioru.

Theresa pomogła Woffordowi i Royowi załadować monitory, kabel i sonar holowany na ciasny pokład rufowy ośmiopółmetrowej łodzi.

- Kawior? Z twoim upodobaniem do piwa? - zadrwiła Theresa.

- To doskonale połączenie - odparł Roy z powagą - Sól w kawiorze wywołuje pragnienie, które najlepiej gasi napój z zawartością słodu.

- Innymi słowy, to dobry pretekst, żeby pić więcej piwa.

- A kto potrzebuje pretekstu, żeby pić piwo? - obruszył się Wofford.

- Poddam się. - Theresa się roześmiała. - Jestem daleka od tego, żeby się kłócić z alkoholikiem.

Tatiana przysłuchiwała się temu bez rozbawienia. Kiedy cały sprzęt znalazł się na pokładzie, skinęła głową szyprowi kutra. Mężczyzna w wełnianej czapce miał groźną minę i nos jak kartofel, czerwony od ciągłego picia wódki. Dał nura do małej sterówki, uruchomił kopącego diesla, a potem odcumował łódź. Wyłynęli na spokojne wody portu rybackiego w małej miejscowości turystycznej Listwianka na południowo-zachodnim brzegu Bajkału.

Tatiana rozłożyła mapę jeziora i wskazała rejon sześćdziesiąt pięć kilometrów na północ od Listwianki.

- Będziemy pracowali tutaj, w zatoce Peszanaja - powiedziała do geologów. - Rybacy donoszą o licznych plamach ropy na powierzchni wody w tym rejonie.

- Ale chyba nie każesz nam węszyć na dużej głębokości, Tatiana? - zapytał Wofford.

- Zdaję sobie sprawę z ograniczonych możliwości sprzętu, który mamy do dyspozycji. Choć kilka wycieków zaobserwowano na środku jeziora, jest tam tak głęboko, że nie możemy zbadać tego rejonu. Skoncentrujemy się na badaniach czterech miejsc na południu Bajkału. Wszystkie są blisko brzegu i zapewne jest tam płytko.

- Łatwo to sprawdzić - odrzekł Roy i podłączył kabel do transmisji danych do sonaru zaburtowego. Nie tylko przetwarzał on sygnały akustyczne na obraz dna akwenu, ale podczas holowania jego procesor obliczał również głębokość.

- Czy te wszystkie miejsca są przy zachodnim brzegu? - zapytała Theresa.

- Tylko nasz obecny rejon docelowy w zatoce Peszanaja. Pozostałe są przy wschodnim brzegu, więc żeby do nich dotrzeć, będziemy musieli przeciąć jezioro.

Stary kuter minął wodolot zawijający do portu w Listwiance po powrocie z miejscowości Bajkał na drugim brzegu rzeki Angary. Smukły, kryty statek pasażerski wyglądał obco wśród starych, drewnianych łodzi rybackich, które zapelniały tutejsze wody. Kuter opuścił port i skierował się na północ wzdłuż skalistego zachodniego brzegu zimnego jeziora. Ku wodzie opadał zielonym dywanem gęsty las. Wśród drzew widniały faliste fragmenty porośnięte trawą. Patrząc na soczyste barwy krajobrazu, Theresa nie potrafiła sobie wyobrazić, jak wygląda ten region w środku zimy, gdy Bajkał pokrywa ponadmetrowa warstwa lodu. Dobrze, że jest tutaj w lecie.

Choć, w gruncie rzeczy, nie miało to dla niej wielkiego znaczenia. Uwielbiała podróże i chętnie odwiedziłaby te strony w styczniu, żeby doświadczyć czegoś nowego. Miała bystry, analityczny umysł i wybrała zawód geofizyka ze względu na możliwość podróżowania do odległych zakątków świata. Długie pobyty w Indonezji, Wenezueli i na Bałtyku urozmaicały od czasu do czasu dwutygodniowe wyprawy, takie jak ta, gdy zlecano jej zbadanie jakichś obiecujących złóż ropy. Praca w branży zdominowanej przez mężczyzn całkiem jej odpowiadała. Dzięki żywiołowości i pogodnemu usposobieniu łatwo przełamywała bariery w stosunkach z mężczyznami, których jeszcze nie urzekła jej zgrabna figura, ciemne włosy i piwne oczy.

Sześćdziesiąt pięć kilometrów na północ od Listwianki w zachodni brzeg jeziora wrzyna się płytka zatoka Peszanaja, którą otacza wąska, piaszczysta plaża. Szyper skierował kuter do zatoki, a Tatiana odwróciła się do Theresy i oświadczyła:

- Zaczniemy tutaj.

Gdy łódź dryfowała z silnikiem pracującym na biegu jałowym, Roy i Wofford opuścili na wodę sonar zaburtowy, a Theresa umocowała do nadburcia antenę GPS i połączyła ją z komputerem sonaru. Tatiana zerknęła na głębokościomierz zamontowany w sterówce i powiedziała:

- Głębokość trzydzieści metrów.

- Niezbyt głęboko, to dobrze - odrzekła Theresa, kiedy kuter znów ruszył naprzód i zaczął holować sonar trzydzieści metrów za sobą. Na kolorowym monitorze przesuwiał się cyfrowy obraz dna jeziora, który powstawał po przetworzeniu przez procesor fal dźwiękowych.

- Dopóki głębokość nie przekroczy pięćdziesięciu metrów, możemy mieć pełnowartościowe dane - powiedział Wofford. - Do badań poniżej tej granicy potrzebny będzie dłuższy kabel i większy statek.

- I więcej kawioru - dodał Roy.

Kuter pływał wolno po zatoce tam i z powrotem. Szyper obracał lekko kołem sterowym, czwórka pasażerów pochylała się na rufie nad monitorem sonaru. Doświadczeni poszukiwacze ropy wypatrywali na dnie jeziora oznak jej obecności. Kiedy widzieli jakieś niezwykle formacje geologiczne, zaznaczali ich położenie. By potwierdzić ewentualne wycieki węglowodorów, potrzebne byłyby dalsze badania podłoża lub analizy chemiczne próbek wody, ale sonar wskazywał miejsca, na których należy się skoncentrować.

Kiedy dotarli do północnego krańca zatoki, Theresa wyprostowała się i przeciągnęła. Szyper zawrócił i naprowadził kuter na ostatnią linię poszukiwawczą. Theresa zauważyła na środku jeziora duży ciemnoszary statek. Zmierzał na północ. Na pokładzie rufowym miał helikopter starego typu. Rotory śmigłowca wirowały, jakby maszyna szykowała się do startu. Theresa zobaczyła ze zdziwieniem, że na maszcie powyżej powiewają dwie bandery - rosyjska i amerykańska. Czyżby jakaś wspólna ekspedycja? Czytając o Bajkale, dowiedziała się, że zachodnich naukowców interesuje unikatowa flora i fauna tego niezwykle czystego jeziora. Ściągali tu geofizycy, mikrobiolodzy i ekolodzy z całego świata.

Dwadzieścia minut później dopłynęli do południowego krańca zatoki i zakończyli poszukiwania. Theresa uznała, że są trzy miejsca warte dalszych badań.

- Pierwsza część dzisiejszego programu z głowy - powiedział Wofford.
- Dokąd teraz?

- Przetniemy jezioro i zaczniemy tutaj - odrzekła Tatiana, stukając szczupłym palcem w mapę. - Trzydzieści pięć kilometrów na południowy wschód od naszej obecnej pozycji.

- Zostawmy sonar w wodzie - powiedziała Theresa. - Wątpię, żeby ten kuter rozwijał większą prędkość niż nasza szybkość poszukiwawcza, więc będziemy mogli przyjrzeć się głębinom jeziora.

- Oczywiście - odparł Wofford. Usiadł na pokładzie i położył nogi na krawędzi burty. Kiedy obserwował monitor, na jego twarzy pojawił się nagle wyraz zdumienia. - Dziwne - mruknął.

Roy pochylił się i spojrział na ekran. Ciemny obraz dna jeziora zastąpiły nagle spiczaste linie skaczące tam i z powrotem.

- Sonar zahacza o dno? - zapytał. Wofford sprawdził głębokość.

- Nie, płynie czterdzieści metrów nad dnem.

Zakłócenia trwały kilka sekund, potem zniknęły tak nagle, jak się pojawiły. Na monitorze znów przesuwwały się wyraźne kontury dna jeziora.

- Może któryś z tych wielkich jesiotrów próbował zaatakować nasz sprzęt? - zażartował Wofford z ulgą, że urządzenie znów działa prawidłowo. Nagle rozległo się niskie, głębokie dudnienie, które rozeszło się po wodzie. Trwało dużo dłużej niż grzmot, miało niższy ton i było dziwnie przytłumione. Wszyscy popatrzyli na północ, w kierunku hałasu, ale nie zauważyli jego źródła.

- Coś budują? - zapytała Theresa.

- Możliwe - odparł Roy. - Ale bardzo daleko.

Zerknął na monitor sonaru i dostrzegł krótkotrwałe, minimalne zniekształcenie obrazu. Potem na ekran powróciły czyste kontury dna jeziora.

- Cokolwiek to jest - skrzywił się Wofford - wolałbym, żeby nie narobiło nam kłopotów.

2

Szesnaście kilometrów na północ Rudi Gunn wyszedł na skrzydło mostka szarego rosyjskiego statku badawczego „Wierieszczagin” i popatrzył na lazurowe niebo nad sobą. Zdjął grube okulary w rogowej oprawce, wytarł starannie szkła i znów spojrzał w górę. Pokręcił głową, wrócił do sterowni i mruknął:

- Brzmi jak grzmot, ale na niebie nie ma ani jednej chmurki.

Jego słowa wywołały serdeczny śmiech tęgiego mężczyzny z czarnymi włosami i brodą. Doktor Aleksander Sarkow przypominał cyrkowego niedźwiedzia. To wrażenie łagodziła wesołość i ciepłe spojrzenie ciemnych, żywych oczu. Geofizyk z Instytutu Limnologii Rosyjskiej Akademii Nauk lubił się pośmiać, zwłaszcza z nowych amerykańskich przyjaciół.

- Wy, ludzie z Zachodu, jesteście zabawni - zachichotał.

- Musisz być wyrozumiały dla Rudiego, Aleksander - odpowiedział ciepły, głęboki głos z drugiego końca sterowni. - Nigdy nie mieszkał w strefie trzęsień ziemi.

Zielone, opalizujące oczy Dirka Pitta błyszczały wesoło, gdy usprawiedliwiał swojego zastępcę. Szef Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych wstał od baterii monitorów i przeciągnął się. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i dotykał dłońmi sufitu. Ponad dwadzieścia lat podwodnych przygód odcisnęło piętno na jego ciele, ale wciąż był szczupły i w dobrej formie. Tylko kilka dodatkowych zmarszczek wokół oczu i siwizna na skroniach wskazywały, że toczy walkę z wiekiem.

- To trzęsienie ziemi? - zapytał ze zdziwieniem Gunn, zastępca dyrektora NUMA, absolwent Annapolis i były komandor marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Wyjrzał przez okno sterowni. - Przeżyłem kilka, ale nie słyszałem ich, tylko je czułem.

- Przy słabych grzechoczą naczynia, ale silniejsze potrafią hałasować jak przejeżdżające obok lokomotywy - odrzekł Pitt.

- Pod jeziorem Bajkał występują silne ruchy tektoniczne - dodał Sarkow. - W tym regionie często zdarzają się trzęsienia ziemi.

- Osobiście mogę się bez nich obejść - powiedział Gunn i wrócił na swoje miejsce przy monitorach. - Mam nadzieję, że nie przeszkodzą nam w zbieraniu danych o prądach w jeziorze.

Z pokładu „Wierieszczagina” prowadzono wspólne rosyjsko-amerykańskie badania nieoznaczonych na mapach prądów w Bajkale. Pitt nie lubił tkwić w waszyngtońskiej kwaterze głównej NUMA i kierował teraz małym zespołem tej rządowej agencji naukowej, który współpracował z miejscowymi naukowcami z Instytutu Limnologicznego w Irkucku. Rosjanie dostarczyli statek z załogą, Amerykanie zaawansowane technicznie boje pomiarowe i sprzęt monitorujący, który pokazywał trójwymiarowy obraz dna jeziora i prądów. Głębokość Bajkału powodowała jedyną w swoim rodzaju cyrkulację wody, często nieprzewidywalną. Miejscowi opowiadali o wirach i łodziach rybackich wciąganych pod powierzchnię przez własne sieci.

Zaczawszy od północnego krańca jeziora, zespół naukowy rozmieszczał wiele miniaturowych sensorów, zamontowanych w pomarańczowych bojach, które były tak obciążone, że unosiły się na różnych głębokościach. Boje stale mierzyły temperaturę, ciśnienie i pozycję, przekazując dane do szeregu dużych podwodnych transponderów, ulokowanych w wyznaczonych miejscach. Komputery na pokładzie „Wierieszczagina” przetwarzały dane z transponderów na trójwymiarowe obrazy graficzne. Gunn zerknął na monitory przed sobą, a potem skoncentrował się na jednym. Ekran pokazywał środkową część jeziora. Widok przypominał rząd pomarańczowych koralików unoszących się w misce z niebieskimi lodami. Nagle kulki podskoczyły gwałtownie do górnej krawędzi ekranu.

- O rany! Albo przechylił się jeden z naszych transponderów, albo na dnie jeziora są jakieś silne zaburzenia - stwierdził Gunn.

Pitt i Sarkow odwrócili się i popatrzyli na monitor. Pomarańczowe punkty sunęły szybko ku powierzchni.

Sarkow uniósł brwi.

- Prąd się wznosi. W niesamowitym tempie. Trudno mi uwierzyć, że trzęsienie ziemi było aż tak silne, żeby to spowodować.

- Może nie samo trzęsienie ziemi - odparł Pitt - tylko jakiś skutek uboczny, który wywołało. Na przykład podwodne osunięcie gruntu.

Pitt miał rację. To, co podejrzewał, zdarzyło się dwieście dziesięć kilometrów na północ od „Wierieszczagina”, dwieście dziesięć metrów pod powierzchnią, w wyniku trzęsienia ziemi o sile sześć i siedem dziesiątych stopnia w skali Richtera. Dudnienie, które wcześniej rozeszło się po jeziorze, było odgłosem fal uderzeniowych. Choć sejsmolodzy ustalili później, że epicentrum trzęsienia ziemi znajdowało się w pobliżu północnego krańca jeziora, do zniszczeń doszło w połowie jego zachodniego brzegu, niedaleko dużej, suchej i nagiej wyspy Olchon, położonej blisko środka Bajkału. Na wprost wschodniego wybrzeża wyspy dno jeziora opadło gwałtownie wzdłuż stromego zbocza, ciągnącego się do najgłębszej części akwenu.

Sejsmolodzy odkryli wcześniej pod dnem jeziora mnóstwo linii uskokowych. Jedno pęknięcie biegło przy wyspie Olchon. Gdyby geolog podwodny zmierzył szerokość tej szczeliny przed trzęsieniem ziemi i po nim, zauważyłby, że powiększyła się o niecałe trzy milimetry. Ale i tyle wystarczyło, by nastąpiło to, co naukowcy nazywają „rozerwaniem uskoku” z przemieszczeniem pionowym, czyli podwodne osunięcie gruntu.

Niewidocznym skutkiem trzęsienia ziemi było oderwanie się wielkiej bryły osadów aluwialnych o grubości niemal dwudziestu metrów. Luźna masa zsunęła się do podziemnego wąwozu jak lawina, rosnąc i nabierając szybkości. Góra skał, szlamu i mułu opadła prawie kilometr w dół, niszcząc podwodne wzniesienia i wypiętrzenia na swojej drodze, a potem uderzyła w dno jeziora na głębokości tysiąca pięciuset metrów.

W ciągu paru sekund w chmurze mułu na dno opadły miliony metrów sześciennych osadów. Przytłumione dudnienie szybko ucichło, ale została wytworzona ogromna energia. Ruchome osady pchnęły ścianę wody najpierw w kierunku dna, a potem ku powierzchni. Efekt był taki jak wiosłowanie dłonią wody w wannie. Miliony litrów wody musiały się gdzieś podziać.

Podwodne osunięcie gruntu było skierowane na południe, i w tamtą stronę zaczęła się posuwać rosnąca ściana wody. Na północ od tego miejsca jezioro pozostało stosunkowo spokojne, ale w przeciwnym kierunku została uwolniona niszczycielska siła. Taką ruchomą ścianę wody na morzu określono by jako tsunami; na jeziorze taka fala nazywa się sejsza.

Na powierzchni pojawiło się trzymetrowe wypiętrzenie wody, które sunęło na południe. Gdy fala dotarła do płytszej części jeziora, urosła i przyspieszyła. Wszystkich na jej drodze czekała śmierć.

Na mostku „Wierieszczagina” Pitt i Gunn patrzyli na zabójczą falę z coraz większym niepokojem. Powiększona trójwymiarowa mapa Bajkału ukazywała wirujące i podskakujące gwałtownie pomarańczowe punkty na południe od wyspy Olchon.

- Wyświetl tylko boje na powierzchni, Rudi - powiedział Pitt. - Musimy się dowiedzieć, co się dzieje na górze.

Gunn wpisał do komputera krótkie polecenie i na monitorze ukazał się dwuwymiarowy obraz boi powierzchniowych, rozmieszczonych na odcinku ośmiu kilometrów. Wszyscy w sterowni wpatrzyli się w ekran. Pomarańczowe boje, ciągnące się rzędem z północy na południe, podskakiwały jedna po drugiej.

- To bardzo wysoka fala. Kiedy przechodzi, podrywa sensory do góry prawie na pięć metrów - stwierdził Gunn. Sprawdził pomiar jeszcze raz, potem z ponurą miną pokiwał głową.

- Osunięcie gruntu z pewnością mogło wywołać taką falę - odrzekł Sarkow i wskazał mapę jeziora przypiętą do przegrody. - W drodze na południe fala przejdzie przez płytką deltę rzeki Selenga. Może tam straci energię.

Pitt pokręcił głową.

- Kiedy dotrze do płytkiej wody, skutek prawdopodobnie będzie odwrotny i jej siła wzrośnie. Z jaką szybkością się przesuwa, Rudi?

Gunn poruszył myszą komputera i narysował linię między dwiema bojami, żeby zmierzyć dzielącą je odległość.

- Sygnały z sensorów wskazują, że ma prędkość około dwustu kilometrów na godzinę.

- Więc będzie u nas za niecałe pięćdziesiąt minut - obliczył Pitt. Jego umysł pracował już na pełnych obrotach. Wiedział, że „Wierieszczagin” to mocna i stabilna jednostka. Jest szansa, że przepłynie przez falę niemal bez uszkodzeń. Bardziej ucierpiałyby małe kutry rybackie i statki towarowe na jeziorze. Nie były przystosowane do pokonywania pięcimetrowych fal. Niebezpieczeństwo groziło też mieszkańcom nisko

położonych terenów wokół Bajkału. Czekala ich niespodziewana powódź.

- Aleksander, proponuję, żebyś polecił kapitanowi wysłać ostrzeżenie do wszystkich jednostek pływających na jeziorze. Kiedy zobaczą falę, będzie za późno, żeby zejść jej z drogi. Musimy skontaktować się z władzami na lądzie i powiedzieć im, że trzeba ewakuować ludzi mieszkających na brzegach jeziora, bo grozi im powódź. Nie ma czasu do stracenia.

Sarkow podszedł do radia i sam nadał ostrzeżenie. W głośniku rozległy się liczne głosy. Odbiorcy komunikatu zgłaszali się, by uzyskać potwierdzenie wiadomości. Choć Pitt nie znał rosyjskiego, zorientował się po sceptycznym tonie rozmówców, iż podejrzewają, że Sarkow jest pijany albo oszalał. Zawsze opanowany Sarkow poczerwieniał ze złości i wyrzucił z siebie do mikrofonu stek przekleństw.

Ostrzeżenie potraktowano poważnie dopiero wtedy, kiedy skraj przechodzącej fali omal nie przewrócił kutra w małej, zacisznej zatoce Aja, i szyper zameldował o tym histerycznym głosem. Pitt obserwował przez lornetkę horyzont. Zobaczył kilka czarnych kutrów, płynących w kierunku Listwianki, by się tam schronić. Towarzyszył im mały frachtowiec i wodolot.

- Chyba ich przekonałeś, Aleks - powiedział Pitt.

- Tak - odrzekł Sarkow z pewną ulgą. - Milicja w Listwiance zaalarmowała wszystkie posterunki wokół jeziora. Jeżdżą od domu do domu i ewakuują ludzi. Zrobiliśmy, co mogliśmy.

- Bądź tak uprzejmy i powiedz kapitanowi, żeby zwiększył prędkość do maksymalnej i skierował statek do Listwianki - poprosił z uśmiechem Pitt, bo Sarkow zapomniał o ich własnym bezpieczeństwie.

Kiedy „Wierieszczagin” wziął kurs na Listwiankę i przyspieszył, Gunn spojrzął na mapę Bajkału i przesunął palcem wzdłuż południowego krańca jeziora, który wyginał się na zachód.

- Jeśli fala nadal będzie szła na południe, powinniśmy uniknąć jej uderzenia - zauważył.

- Na to liczę - odparł Pitt.

Sarkow popatrzył przez szybę sterowni w kierunku zachodniego brzegu.

- Jesteśmy dwadzieścia dziewięć kilometrów od Listwianki - poinformował. - Chyba nie zdążymy.

W Listwiance wyla stara syrena alarmowa. Mieszkańcy w panice wyciągali na brzeg małe łodzie, większe przywiązywano mocno do nabrzeży. Dzieci wysłano ze szkoły do domów, żeby ostrzegły rodziców, pospiesznie zamykano sklepy koło portu. Ludzie mieszkający wokół jeziora przenosili się na wyżej położone tereny i czekali, aż przetoczy się ściana wody.

Sarkow wyglądał przez szybę sterowni.

Na horyzoncie kilka statków puło pełną parą w kierunku Listwianki, jakby przyciągał je tam magnes. Kapitan „Wierieszczagina”, Jan Charitonow, cichy, spokojny mężczyzna, trzymał mocno koło sterowe i popędzał w duchu swój statek. Jak wszyscy w sterowni, zerkał od czasu do czasu na północ i szukał wzrokiem oznak, że nadciąga wielka fala.

Pitt popatrzył uważnie na wyświetlacz radaru. Piętnaście kilometrów na południowy wschód od ich pozycji zobaczył nieruchomy obiekt. Wskazał Sarkowowi ekran.

- Najwyraźniej ktoś nie odebrał ostrzeżenia.

- Pewnie ma wyłączone radio - mruknął Rosjanin, spojrzawszy w lewo i uniół lornetkę do oczu. Dostrzegł w oddali czarny punkt, który posuwał się wolno na wschód.

- Płynie prosto na falę. - Chwycił mikrofon radia i kilka razy wywołał samotny kuter rybacki, ale odpowiedziała mu cisza.

- Ta ignorancja będzie ich kosztowała życie - powiedział. Pokręcił głową i odwiesił mikrofon. W tym momencie usłyszeli głośny warkot, od którego zaczęły drżeć szyby sterowni.

W kierunku „Wierieszczagina” leciał nisko nad wodą mały, cywilny helikopter. Poderwał się nagle i zawisnął w pobliżu prawego skrzydła mostka. Stary radziecki śmigłowiec Ka-26 był wykorzystywany w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku jako uniwersalny środek transportu. Maszyna miała srebrzysty kolor, na belce ogonowej widniało dumnie logo Instytutu Limnologicznego. Czterdziestoletni helikopter zbliżył się do statku i pilot z cygarem w zębach pomachał wesoło mężczyznom w sterowni.

- Zrzuciłem wszystkie boje badawcze. Proszę o pozwolenie na zaparkowanie i przywiązanie tego ptaszka, zanim woda się podniesie - zabrzmiał w głośniku gruby głos Ala Giordina.

Sarkow wyjrzał ze sterowni. Wyglądał na zaniepokojonego manewrami śmigłowca.

- To cenny nabytek instytutu - powiedział do Pitta. Pitt się uśmiechnął.

- Bez obaw, Aleksandrze. Al potrafiłby przelecieć boeingiem 747 przez dziurkę w igle.

- Może byłoby lepiej, gdyby wylądował na brzegu, zamiast ryzykować, że maszyna zostanie zmyta z pokładu - odezwał się Gunn.

- Tak... oczywiście - wyjąkał Sarkow.

- Jeśli nie miałbyś nic przeciwko temu, chciałbym najpierw polecieć do tamtego kutra rybackiego i spróbować ostrzec jego beztróską załogę - powiedział Pitt.

Sarkow popatrzył w spokojne oczy Pitta i skinął głową. Pitt szybko sięgnął po mikrofon radia.

- Al, jak stoisz z paliwem? - zapytał.

- Właśnie zatankowałem pod korek na lotnisku polowym w Bajkale. Powinno wystarczyć na jakieś trzy i pół godziny lotu, jeśli będę delikatnie operował gazem. Ale muszę nadmienić, że fotel pilota nie jest zbyt wygodny.

Przez większą część popołudnia Giordino rozmieszczał na jeziorze boje pomiarowe i był zmęczony lataniem maszyną której pilotowanie wymagało znacznego wysiłku fizycznego.

- Wyląduj na pokładzie, ale trzymaj rotory na chodzie. Musimy się przelecieć. Sytuacja alarmowa.

- Przyjąłem - zatrzeszczało radio.

Helikopter usiadł miękko na chwiejnej platformie zamontowanej nad pokładem rufowym.

- Rudi, informuj nas na bieżąco przez radio, gdzie jest fala. Po ostrzeżeniu tamtego kutra wylądujemy na brzegu - rzucił Pitt.

- Dobra - odrzekł Gunn.

Pitt zbiegł pod pokład do swojej kajuty. Wyłonił się po kilku sekundach z czerwonym workiem marynarskim na ramieniu. Wspiął się szybko po schodach, przebiegł wewnętrznym korytarzem i znalazł się na odkrytym pokładzie rufowym, gdzie przecisnął się obok pękatej białej

komory dekompresyjnej. Helikopter hałasował nad nim i Pitt czuł podmuch wiatru od rotorów, gdy biegł w kierunku drzwi pasażera.

Ten dziwny śmigłowiec przypominał Pittowi ważkę. Jego główną częścią była belka ogonowa. Kokpit kończył się zaraz za fotelami pilotów, gdyż brakowało teraz odłączanej kabiny pasażerskiej. Helikopter zaprojektowano z myślą o jego wszechstronnym zastosowaniu. W pustej przestrzeni po kabinie pasażerskiej można było zamontować zbiornik ze środkiem do opylania pól lub kabinę medyczną. Maszyna należąca do instytutu miała w tym miejscu odkrytą platformę towarową. Był do niej umocowany duży stojak z cylindrami, w których spoczywały boje pomiarowe. Nad stojakiem, wysoko w kadłubie, znajdowały się dwa tłokowe silniki gwiazdziste, napędzające dwa oddzielne, przeciwbieżne rotory, ułożone jeden pod drugim. Ogon składał się z dużych stateczników i sterów wysokości. Nie było wirnika ogonowego. Ka-26, nazywany na Zachodzie Chuliganem, nadawał się doskonale do operacji morskich prowadzonych z małych statków.

Kiedy Pitt podbiegł z prawej strony do kokpitu, drzwi pasażera otworzyły się gwałtownie, i na pokład zeskoczył młody rosyjski technik w czapce baseballowej ZZ Top. Ruchem głowy pokazał Pittowi, żeby wsiadał, wręczył Amerykaninowi słuchawki radiowe z mikrofonem i szybko zbiegł z platformy. Pitt postawił swój worek marynarski przed fotelem, wdrapał się do środka, zerknął na pilota i zatrzasnął drzwi.

Albert Giordino nie wyglądał na lotnika. Krępy Włoch o potężnych ramionach był prawie trzydzieści centymetrów niższy od Pitta. Na głowie miał czarne, kręcone kudły, nie golił się od kilku dni, w zębach trzymał nieodłączne cygare. Jego intensywne piwne oczy błyszczały humorem, którego nie tracił nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Długoletni przyjaciel Pitta i dyrektor działu techniki podwodnej NUMA czuł się lepiej za sterami pojazdu podwodnego, ale doskonale potrafił pilotować większość typów latających maszyn.

- Słyszałem ostrzeżenie. Chcesz zobaczyć, jak ta fala uderza w Listwiankę? - zapytał przez radio Giordino.

- Najpierw musimy złożyć komuś wizytę towarzyską. Startuj i leć na południowy wschód. Powiem ci wszystko po drodze.

Giordino szybko wzniosł maszynę na wysokość sześćdziesięciu metrów i skierował ją na wschód. Kiedy helikopter osiągnął prędkość stu

czterdziestu kilometrów na godzinę, Pitt powiedział, co grozi niespodziewającemu się niczego kutrowi rybackiemu. Na horyzoncie wkrótce ukazał się jego czarny kadłub i Giordino skrzył w tamtym kierunku. Pitt połączył się przez radio z „Wierieszczaginem”.

- Rudi, co z naszą falą?

- Rośnie z minuty na minutę - odrzekł ponuro Gunn. - W środku ma teraz dziewięć metrów wysokości i przyspiesza. Właśnie mijają deltę rzeki Selenga.

- Kiedy dotrze do was?

Gunn wpisał polecenie do komputera.

- Za trzydzieści siedem minut. Będziemy wtedy jakieś osiem kilometrów od Listwianki.

- Dzięki, Rudi. Zamknijcie dobrze włazy. Ostrzeżemy kuter i będziemy oglądali przedstawienie z powietrza.

- Przyjąłem - odpowiedział Gunn i nagle pożałował, że nie może zamienić się miejscami z Pittem.

Fala była jeszcze sześćdziesiąt pięć kilometrów od nich, a z pokładu „Wierieszczagina” widziano już wyraźnie wzgórze Listwianki. Statkowi nie powinno grozić niebezpieczeństwo, gdyż główne uderzenie fali przejdzie bokiem, ale nic nie uchroni brzegu. Gunn patrzył przez szybę sterowni, liczył minuty i zastanawiał się, jak ta malownicza miejscowość nad jeziorem będzie wyglądała za godzinę.

3

Wydaje mi się, że mamy towarzystwo - powiedział na rufie kutra Wofford i wskazał w kierunku horyzontu.

Theresa już zauważyła helikopter, a teraz wszyscy pozostali spojrzeli w tamtą stronę. Pękaty, srebrzysty śmigłowiec zbliżał się z zachodu i nie było wątpliwości, że leci prosto na nich.

Kuter płynął w kierunku wschodniego brzegu jeziora, holując za sobą sonar. Załoga nie miała pojęcia o grożącym jej niebezpieczeństwie. Nikt nie zwrócił uwagi na to, że nagle zniknęły wszystkie statki. Ich brak w polu widzenia nie był niczym niezwykłym na ogromnym jeziorze.

Wszyscy podnieśli wzrok, gdy niezgrabny helikopter dotarł do kutra, zakołysał się i zawisnął w powietrzu. Ciemnowłosa mężczyzna w fotelu pasażera machał mikrofonem przy szybie kokpitu i pokazywał palcem na swoje słuchawki.

- Próbuje nas wywołać przez radio - domyślił się Wofford. - Jest pan na nasłuchu, kapitanie?

Tatiana przetłumaczyła to szyprowi. Pokręcił głową i odpowiedział jej gwałtownie po rosyjsku. Potem chwycił mikrofon radia w sterówce, uniósł w stronę śmigłowca i przeciągnął wolną ręką po szyi.

- Mówi, że jego radio nie działa od dwóch lat - wyjaśniła Tatiana. - Twierdzi, że nie jest mu potrzebne, bo doskonale daje sobie radę bez niego.

Roy tylko rozłożył ręce.

- Chyba chcą, żebyśmy zawrócili - odezwała się Theresa na widok nowych gestów drugiego pilota helikoptera - i popłynęli z powrotem do Listwianki.

- To śmigłowiec z Instytutu Limnologicznego - zauważyła Tatiana. - Nie mogą nam nic kazać. Możemy ich zignorować.

- Myślę, że próbują nas ostrzec - zaprotestowała Theresa.

- Pewnie przeszkadzamy im w jakimś eksperymencie - powiedziała Tatiana. Zamachała rękami, jakby chciała odpędzić śmigłowiec i zawołała w górę: - Uchodi, uchodi... wynoście się.

Giordino wyglądał przez przednią szybę kokpitu i z rozbawieniem szczyrzył zęby. Wściekły szyper kutra miotał przekleństwa pod ich adresem, Tatiana odpędzała helikopter.

- Najwyraźniej nie podoba im się to, co mamy do zaproponowania - zauważył Giordino.

Pitt pokręcił głową.

- Ich szyper albo ma za mało szarych komórek albo za dużo gorzały we krwi.

- Albo ty kiepsko naśladujesz mistrza pantomimy Marcela Marceau.

- Spójrz na linię wodną tej łajby. Kadłub miał zbyt duże zanurzenie.

- Chyba już tonie.

- Nie będzie miała żadnych szans przy uderzeniu dziewięciometrowej fali - stwierdził Pitt. - Musisz mnie dostarczyć na pokład

Giordino nie próbował protestować. Wiedział, że to bezcelowe. Pitt był jak przerośnięty skaut, bez względu na ryzyko najpierw dbał o bezpieczeństwo innych, dopiero potem o własne. Trzymając pewnie stery, Giordino zatoczył nad kutrem ciasny krąg w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby wysadzić Pitta. Ale stara łódź nie nadawała się do tego. Z dachu sterówki wyrastał trzyipółmetrowy maszt, który bronił kutra jak lanca. Przy prawie trzynastometrowej średnicy rotorów helikopter nie mógł zawisnąć nisko nad pokładem, bo zawadziłby o maszt.

- Będziesz musiał tam dopłynąć, albo zaryzykować skok z wysokości sześciu metrów - powiedział Giordino.

Pitt przyjrzał się sfatygowanej czarnej łodzi i grupce jej zdezorientowanych pasażerów, którzy wciąż patrzyli w górę.

- Nie mam ochoty na kąpiel - odrzekł, wyobrażając sobie lodowatą wodę w jeziorze. - Ale jeśli posadzisz mnie na tym maszcie, postaram się naśladować strażaka.

Giordino pomyślał, że to szaleństwo, ale nie było innego wyboru. Gdyby udało mu się zejść helikopterem tuż nad maszt, Pitt mógłby się go chwycić i zjechać na pokład. Taki manewr byłby trudny nawet nad lądem. Giordino wiedział, że jeśli nie zachowa należytej ostrożności nad pływającym, kołyszącym się kutrem, śmigłowiec może spaść.

Uniósł maszynę na taką wysokość, że podwozie zawisło trzy metry powyżej masztu, potem ruszył ostrożnie naprzód. Kiedy drzwi pasażera znalazły się dokładnie nad masztem, przesunął lekko dźwignię przepustnicy i dostosował prędkość helikoptera do szybkości statku. A potem opuścił wolno maszynę metr nad masztem.

- Kuter się kołysze, więc musisz szybko to zrobić - odezwał się przez radio. - Dasz radę wdrapać się z powrotem na górę, żebyś mógł się zabrać?

- Nie planuję powrotu - odparł Pitt.

Zdjął słuchawki z mikrofonem, sięgnął po czerwony worek marynarski i otworzył drzwi kokpitu. Do środka wdarł się podmuch powietrza od rotorów. Pitt rzucił worek, który wylądował na dachu sterówki. Potem usiadł z nogami na zewnątrz i pokazał ręką Giordinowi,

żeby ustabilizował maszynę. Maszt kołysał się tam i z powrotem od przechyłów kutra, ale Pitt szybko złapał rytm. Dał znak Giordinowi. Kiedy śmigłowiec opadł metr niżej, Pitt momentalnie wysunął się z kokpitu. Giordino nie czekał, żeby sprawdzić, czy Pittowi udało się chwycić masztu, od razu uniósł maszynę i oddalił się od kutra. Wyjrzał przez boczną szybę i zobaczył z ulgą że Pitt trzyma się szczytu masztu i zsuwa wolno w dół.

- „Wierieszczagin” do helikoptera - zabrzmiał w słuchawkach Giordina głos Rudiego Gunna.

- Co jest, Rudi?

- Chciałem wam tylko podać informacje o fali. Sunie teraz z szybkością dwustu siedemnastu kilometrów na godzinę i ma wysokość ponad dziesięciu metrów. Minęła już deltę Selengi, więc nie przypuszczamy, żeby jeszcze przyspieszyła, zanim dotrze do południowego brzegu jeziora.

- Dobra wiadomość. Kiedy tu będzie?

- U was? Mniej więcej za osiemnaście minut. „Wierieszczagin” spotka się z nią już za dziesięć minut. Bądźcie w pogotowiu, możemy was potrzebować.

- Rudi, potwierdź. Osiemnaście minut, tak?

- Zgadza się.

Osiemnaście minut. O wiele za mało, żeby zdezelowany kuter rybacki zdążył się schronić w bezpiecznym porcie. Patrząc na głęboko zanurzony kadłub Giordino wiedział, że stara łódź nie ma szans. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że zrzucając przyjaciela na jej pokład być może wydał na niego wyrok śmierci.

Pitt trzymał się przez chwilę salingu masztu i patrzył na dwie stare anteny, radiową i GPS-u, które sterczały kilka centymetrów od jego twarzy. Kiedy helikopter oddalił się od kutra i podmuch od rotorów osłabł, zsunął się po maszcie. Chwycił swój worek marynarski i po drabince zszedł ze sterówki na rufę. Zeskoczył na pokład i odwrócił się twarzą do grupki zaszokowanych ludzi, którzy patrzyli na niego z rozdziawionymi ustami.

- Priwiet! - Uśmiechnął się rozbrajająco. - Czy ktoś tu zna angielski?

- Wszyscy oprócz szypra - odrzekła Theresa, zaskoczona tak jak inni, że Pitt nie jest Rosjaninem.

- Co znaczy to wtargnięcie? - zapytała ostro Tatiana. Jej ciemne oczy badały nieufnie Pitta. W drzwiach sterówki szyper wygłaszał jakąś tyradę w swoim ojczystym języku.

- Towarzyszko, powiedzcie waszemu kapitanowi, że jeśli chce się jeszcze kiedyś napić wódki, niech skieruje tę łajbę z pełną szybkością do Listwianki - odparł Pitt rozkazującym tonem.

- Ale o co chodzi? - spytała Theresa, starając się rozładować atmosferę.

- Podwodne osunięcie gruntu w pobliżu wyspy Olchon wywołało wielką falę. W tej chwili w naszym kierunku pędzi dziesięciometrowa ściana wody. Nadano przez radio ostrzeżenie dla wszystkich na jeziorze, ale wasz zacny kapitan nie odebrał komunikatu.

Tatiana zbladła i przyciszonym głosem zaczęła rozmawiać z szyprem. Rosjanin skinął głową i wszedł do sterówki. Sekundę później stary silnik zarzęził rozpaczliwie, gdy szyper pchnął przepustnicę do oporu i skierował dziób w stronę Listwianki. Kuter wolno przyspieszył. Na rufie Roy i Wofford zaczęli wciągać na pokład sonar.

Pitt spojrzął w górę i zobaczył z niepokojem, że Giordino oddala się od nich. Srebrzysty helikopter leciał szybko na zachód w kierunku horyzontu. Kuter nie mógł uciec przed falą i Pitt chciał, żeby Giordino został nad nimi. Żałował teraz, że nie zabrał ze sobą radia.

- Dziękuję, że przyleciał pan nas ostrzec - powiedziała z nerwowym uśmiechem Theresa, podeszła do Pitta i uściśniła mu dłoń. - To zejście na pokład było bardzo ryzykowne. - Przypominała Pittowi jego żonę Loren. Natychmiast polubił Holenderkę.

- Wszyscy jesteśmy panu wdzięczni - odezwała się trochę cieplejszym tonem Tatiana, przeprosiła za swoje wcześniejsze zachowanie i przedstawiła grupę. - Jest pan ze statku badawczego Instytutu Limnologicznego?

- Tak. Płynię teraz do Listwianki, jak wszyscy w tej części jeziora. Tylko was nie mogliśmy ostrzec przez radio.

- Mówiłem ci, że z tą łajbą coś jest nie tak - szepnął Wofford do Roya.

- Z jej szyprem też - odrzekł Roy i pokręcił głową.

- Panie Pitt, wygląda na to, że razem będziemy walczyć z tą falą. Kiedy do nas dotrze? - zapytała Tatiana.

Pitt zerknął na swój zegarek do nurkowania, dokse z pomarańczową tarczą.

- Za niecałe piętnaście minut, jeśli utrzyma szybkość, z jaką się poruszała, kiedy startowałem z „Wierieszczagina”.

- Nie zdążymy dopłynąć do Listwianki - oceniła Tatiana.

- Na południowym krańcu jezioro się rozszerza, więc fala rozejdzie się na zachód. Im będziemy bliżej Listwianki, tym mniejszą falę napotkamy.

Stojąc na pokładzie przeciekającego kutra rybackiego, Pitt wątpił w ducha, by przetrwali uderzenie ściany wody. Stara łódź z każdą chwilą miała coraz większe zanurzenie. Silnik się krztusił i dławił, jakby lada moment zamierzał zamilknąć. Drewniany kadłub w wielu miejscach dawno przegnił. Aż strach pomyśleć, w jakim stanie były wręgi ukryte pod pokładem.

- Przygotujmy się na ostrą jazdę. Niech wszyscy włożą kamizelki ratunkowe. Jeśli nie chcecie czegoś stracić, przywiążcie to mocno do pokładu lub burty.

Roy i Wofford z pomocą Theresy szybko zabezpieczyli swój sprzęt badawczy. Tatiana przez parę minut przetrząsała sterówkę, w końcu wyszła stamtąd z kilkoma starymi kapokami.

- Są tylko cztery - oznajmiła. - Kapitan nie chce włożyć kamizelki, ale i tak jednej brakuje - powiedziała, patrząc na Pitta jak na człowieka, który wypada z gry.

- Ja mam własną - odrzekł Pitt. Kiedy ekipa poszukiwawcza zawiązywała kapoki, zrzucił buty, rozebrał się i wciągnął na siebie neoprenowy „suchy” skafander, który wyjął z worka marynarskiego.

- Co to za hałas? - zapytała Theresa.

Z oddali dochodziło ledwo słyszalne dudnienie. Przypominało Pittowi pociąg towarowy w górskim wąwozie. Odgłos trwał i stawał się coraz głośniejszy.

Fala musiała przyspieszyć i nadciągnęła wcześniej, niż przewidział Rudi.

Roy wskazał jezioro.

- Jest! - krzyknął.

- To olbrzym - wyszeptała zaszokowana Theresa.

Fala nie miała białego spienionego grzbietu, jaki lubią surferzy. Dziwnie gładka sięgała od brzegu do brzegu jeziora i toczyła się jak gigantyczny walec. Nawet z odległości trzydziestu kilometrów można było stwierdzić, że ma wysokość niemal dwunastu metrów. Surrealistyczny obraz ruchomej ściany wody i towarzyszący mu huk zahipnotyzowały wszystkich z wyjątkiem Pitta.

- Tatiana, niech pani powie kapitanowi, żeby ustawił dziób do fali - rozkazał.

Opryskliwy szyper miał teraz oczy wielkości kołpaków samochodowych. Szybko obrócił kołem sterowym. Pitt wiedział, że wszystko sprzysięgło się przeciwko starej, pełnej wody łodzi, ale dopóki istniała nadzieja, należało walczyć o życie.

Najważniejsze, żeby nikt nie wypadł za burtę. Pitt rozejrzał się po pokładzie i zatrzymał wzrok na starej sieci rybackiej, zwiniętej przy burcie.

- Jim, niech pan mi pomoże - poprosił Wofforda.

Razem przeciągnęli sieć przez pokład do sterówki. Wofford umocował jeden jej koniec do prawego relingu, a Pitt przywiązał drugi do wspornika przy lewej burcie.

- Po co to? - zapytała Theresa.

- Kiedy dotrze do nas fala, położymy się na pokładzie i uchwycimy się mocno sieci. Mam nadzieję, że uchroni nas przed kąpielą w jeziorze.

Gdy szyper ustawił kuter dziobem do nadciągającej fali, zajęli pozycje przed siecią. Roy przysunął się do Pitta.

- Dobry pomysł, panie Pitt, ale obaj wiemy, że ta stara łajba nie przetrwa - powiedział szeptem, żeby nie usłyszeli go inni.

- Nie traćmy nadziei - odszepnął Pitt z dziwnym wyrazem pewności siebie na twarzy.

Kiedy ruchoma ściana wody zbliżyła się na odległość ośmiu kilometrów, dudnienie przybrało na sile. Do uderzenia fali pozostały minuty. Pasażerowie kutra przygotowywali się na najgorsze. Niektórzy modlili się w duchu, inni rozmyślali ponuro o śmierci. W huku wody nikt nie usłyszał nadlatującego helikoptera. Był niecałe sto metrów od lewej burty, gdy Wofford spojrział w górę.

- Co za cholera? - zdziwił się.

Wszyscy przenieśli wzrok z nadciągającej fali na śmigłowiec. Pod maszyną kołysał się na sześciometrowej linii biały cylindryczny obiekt zawieszony tuż nad wodą. Widać było, że nadmiernie obciąża śmigłowiec. Wszyscy oprócz Pitta pomyśleli, że pilot oszalał. Dlaczego próbuje przetransportować na kuter jakieś urządzenie akurat w takim niebezpiecznym momencie?

Pitt uśmiechnął się od ucha do ucha, gdy rozpoznał pękaty obiekt, obracający się pod helikopterem. Omal się o to nie potknął, kiedy niedawno wyruszał z „Wierieszczagina”. Była to komora dekompresyjna z pokładu statku badawczego, pomieszczenie ratownicze dla nurków. Giordino wpadł na pomysł, że komora może spełnić rolę pojazdu podwodnego dla załogi kutra. Pitt zerwał się na nogi i dał znak pilotowi, żeby opuścił komorę na pokład rufowy.

Sejsza była coraz bliżej. Giordino ustawił helikopter na rufę łodzi, czekając, aż komora się ustabilizuje. Po chwili jednotonowy ciężar opadł z hałasem na pokład. Czterooosobowa komora hiperbaryczna zajęła całą wolną przestrzeń na rufie, zwiększając jej zanurzenie o kilkanaście centymetrów.

Pitt szybko odczepił linę, podskoczył do burty i pokazał Giordinowi uniesiony kciuk. Helikopter natychmiast oddalił się od kutra i zawisnął niedaleko w pogotowiu.

- Po co on to zrzucił tutaj? - zapytała Tatiana.

- Ten dziwaczny bąbel jest naszą gwarancją bezpieczeństwa - wyjaśnił Pitt. - Wszyscy do środka, nie ma czasu do stracenia.

Zerknął na jezioro i zobaczył, że wielka fala jest już w odległości półtora kilometra. Odryglował szybko uszczelnienie i otworzył ciężki okrągły wąż komory. Theresa weszła pierwsza, za nią Wofford i Roy. Tatiana zawahała się, ale chwyciła skórzaną torbę i dołączyła do reszty.

- Szybko - przynaglił Pitt. - Nie ma czasu na zabieranie bagażu. Nawet szyper, który teraz patrzył z przerażeniem na pędzącą ścianę wody, zostawił koło sterowe i wgramolił się za innymi do komory.

- A pan? - zapytała Tatiana, kiedy Pitt zaczął zamykać wąż.

- Pięciu osobom będzie wystarczająco ciasno. Poza tym ktoś musi uszczelnić komorę - odrzekł. - Z tyłu są koce i materace. Osłońcie się nimi. Przygotujcie się. Fala zaraz tu będzie.

Właz zatrzasnął się z metalicznym dźwiękiem i Pitt obrócił mechanizm ryglujący. Pasażerów komory otoczyła nagle dziwna cisza, ale trwała niecałą minutę. Potem uderzyła fala.

Theresa usiadła przy bulaju z grubego szkła i popatrzyła na tajemniczego mężczyznę na zewnątrz, który zjawił się tak niespodziewanie, żeby ich uratować. Zobaczyła, że Pitt sięga do swojego worka marynarskiego i wyjmuje maskę do nurkowania i plecak z małą butlą. Włożył szybko sprzęt i wspiał się na burtę. Potem zasłoniła go woda za szybą.

Wycarterowany kuter rybacki był jeszcze dwadzieścia cztery kilometry od Listwianki i zachodniego brzegu jeziora, gdy dotarła do niego sejsza. Ludzie na pokładzie nie wiedzieli, że uderzyło w nich czoło fali o wysokości dwupiętrowego budynku.

Zawieszony w powietrzu Giordino patrzył bezradnie, jak sześćdziesiąt metrów poniżej przed czarną łodzią wyrasta pionowa ściana wody. Szyper zostawił przepustnicę w pozycji maksymalnego otwarcia i kuter próbował wspiąć się na wysoką falę. Jednak siła przetaczającej się wody pokonała przegniłe wręgi kadłuba i stara drewniana łódź zniknęła z powierzchni jeziora.

Giordino desperacko szukał wzrokiem Pitta i komory dekompresyjnej. Kiedy jezioro znów się uspokoiło, ujrzał jednak tylko część dziobową kutra. Fala przełamała starą łódź i część rufowa z komorą dekompresyjną zatoneła. Fragment czarnego kadłuba z ocalałym masztem wycelowanym w niebo kołysał się na wodzie tylko przez chwilę, a potem wśród pęcherzy powietrza poszedł na dno zimnego jeziora.

4

Trzymajcie się! - zawołała Theresa, gdy z hukiem runęła na nich ściana wody.

Jej słowa odbiły się echem w komorze. Ludzie zostali gwałtownie wyrzuceni do góry, gdy uderzenie fali poderwało rufę kutra. Chwycili się kurczowo przyspawanych ram dwóch koi. Mieli wrażenie, że czas się

zatrzymał, kiedy łódź próbowała się wspiąć na falę. Potem pod ich stopami rozległ się głośny trzask, gdy kadłub przełamał się na pół. Część rufowa ustawiła się pionowo pod naporem przetaczającej się wody i zsunęła powoli w dolinę fali.

Theresie wydawało się, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Uczucie opadania zniknęło, kiedy fala przewróciła komorę do tyłu. W kłębowisku ciał zabrzmiały krzyki. Słabe światło wpadające przez bulaj przygasło, a potem zniknęło całkowicie i wewnątrz komory pograżyło się w przerażającej ciemności.

Fala odwróciła część rufową kutra dnem do góry i uwięziła pod nią komorę. Zalany przedział silnikowy, obciążony mechanizmem napędowym, ściągał ją na dno jeziora. Choć przetaczała się nad nimi ściana wody, wrak i komora opadały w dół pod własnym ciężarem. Zamiast być kapsułą ratunkową komora dekompresyjna stała się grobowcem, który zabierał swoje ofiary w zimne głębiny syberyjskiego jeziora.

Ciężka stalowa komora wytrzymywała ciśnienie trzydziestu atmosfer, panujące na głębokości trzystu metrów. Ale w miejscu, gdzie przełamał się kuter, jezioro miało głębokość ponad dziewięciuset metrów, co groziło implozją komory jeszcze przed dotarciem na dno. Gdyby szczelna kapsuła nie była uwięziona pod wrakiem, unosiłaby się na powierzchni nawet z pięcioma osobami w środku. Ale obciążona dodatkowo częścią rufową kutra, opadała w dół.

Kiedy za szybą bulaja pociemniało, Theresa wiedziała, że pograżają się w jeziorze. Przypomniała sobie, że Pitt w ostatniej chwili nazwał komorę „bąblem”. Powinna się więc unosić się na wodzie. Nie widać było, żeby komora przeciekała, więc musiała tonąć z innego powodu.

- Musimy obciążyć jedną stronę komory! - zawołała.

W milczeniu stłoczyli się razem, próbując po ciemku opatrzyć sobie wzajemnie rany. Samo przemieszczenie czterystu pięćdziesięciu kilogramów mogło nie wystarczyć do uwolnienia komory, ale Theresa słusznie rozumowała, że trzeba zgromadzić wszystkich w sąsiedztwie krawędzi rufy kutra. Nad ich głowami był teraz silnik łodzi, najcięższy element części rufowej. Połączony ciężar diesla, komory i ludzi mógł odwrócić tonący wrak.

Kiedy łódź opadła głębiej i wzrosło ciśnienie, komora zaczęła skrzypieć. Zbliżali się do granicy wytrzymałości spawów. Nagle rozległ się zgrzyt i kapsuła zaczęła się zsuwać z przechylonego pokładu. Komora dotarła do krawędzi rufy i w końcu oderwała się od tonącego wraka.

Ludzie wewnątrz komory mieli wrażenie, że jadą windą, gdy kapsuła wystrzeliła jak z katapulty ku powierzchni. Ałowi Giordino, który obserwował jezioro z helikoptera zawieszonoego wysoko w powietrzu, widok ten przypominał odpalenie pocisku Trident z zanurzonego okrętu podwodnego klasy Ohio. Po przejściu fali i zatonięciu części dziobowej kutra Giordino zauważył w pobliżu duże skupisko pęcherzy powietrza. Domyślił się, że biała komora dekompresyjna wznosi się ku powierzchni, gdy była jeszcze na głębokości dwudziestu pięciu metrów. Sunęła do góry pod kątem, wystrzeliła ponad wodę i opadła na jezioro. Giordino zbliżył się do niej. Wydawała się szczelna i utrzymywała na falach.

Theresa nie posiadała się z radości, kiedy dostrzegła przez bulaj błękitne niebo i zobaczyła, że unoszą się na wodzie. Po jeziorze przesunął się uspokajający cień srebrzystego helikoptera. Odwróciła się i w świetle znów wpadającym przez iluminator popatrzyła na skłębioną masę ciał wokół niej.

Wszyscy byli poobijani, ale jakimś cudem nikt nie odniósł poważnych obrażeń. Szyper kutra miał fatalnie rozcięte czoło i krwawił, Wofford krzywił się z powodu bólu pleców. O ileż byłoby więcej negatywnych skutków, gdyby przed uderzeniem fali nie obłożyli się materacami. Kiedy Theresa doszła do siebie, pomyślała o człowieku, który ich uratował. Czy Pitt przeżył atak żywiołu?

Szef NUMA uznał, że najlepiej poradzi sobie z falą w wodzie. Wychowywał się w Newport Beach i od najmłodszych lat był doświadczonym surferem. Wiedział, że jeśli zanurkuje pod nadciągającą falę, przetoczy się ona nad nim. Po zamknięciu ekipy poszukiwawczej w komorze dekompresyjnej włożył szybko maskę połączoną z recyrkulacyjnym aparatem oddechowym Dragera i wyskoczył za burty kutra. Kiedy tylko wylądował w wodzie, zaczął silnie pracować nogami i rękami, żeby oddalić się od łodzi. Spóźnił się jednak o kilka sekund.

Sejsza dotarła do niego tuż po tym, jak się zanurzył. Był za płytko i nie zdążył uciec pod przechodzącą falę, która go uniosła. Miał wrażenie,

że jedzie szybką windą. Czuł, jak opada mu żołądek. W przeciwieństwie do kutra, który poruszał się po powierzchni fali, zanim się przełamał, Pitt znalazł się wewnątrz wału wodnego.

Od szumu ogromnej fali dzwoniło mu w uszach, widoczność w kipieli była zerowa. Ale dzięki aparatowi Dragera i masce mógł normalnie oddychać. Przez moment wydawało mu się, że wzlatuje w powietrze, co było nawet przyjemnym uczuciem, choć zdawał sobie sprawę, że grozi mu zmiżdżenie pod falą. Uwięziony w środku unoszącej go ściany wody wiedział, że walka z żywiołem nie ma sensu. Odprężył się trochę i pozwolił, by fala pchała go coraz wyżej. Nie czuł ruchu naprzód, choć od chwili, gdy skoczył do jeziora, przebył już kilkaset metrów.

Popatrzył w górę i zorientował się, że się wynurza. Potem oślepiło go światło i znalazł się na powierzchni. Natychmiast sobie uświadomił, że dotarł na sam szczyt fali i grozi mu zrzucenie z niej. Tuż przy nim grzbiet fali załamywał się i opadał dziesięć metrów niżej. Wokół Pitta pojawiła się biała piana, co oznaczało, że na fali zaczyna się tworzyć grzywa. Wiedział, że jeśli runie w przepaść i fala zwali się na niego, może zostać zmiżdżony przez masę opadającej wody.

Obrócił się prostopadle do czoła fali i zaczął z całej siły młócić wodę rękami i nogami. Czuł, jak woda ciągnie go do tyłu i zmusił się do większego wysiłku. Pracował rękami i nogami w takim tempie, jakby płynął po rekord świata. Pędząca woda próbowała go wessać, ale desperacko walczył dalej.

Potem opór nagle zelżał i Pitt poczuł, że opada głową w dół, co oznaczało, że jest za falą. Tym razem winda zjeżdżała. Przygotował się na uderzenie, które jednak nie nastąpiło. Pęd wody osłabł, potem całkiem ustał. Pitt znalazł się wśród pęcherzy powietrza pod powierzchnią. Kiedy głośny szum wody umilkł, Pitt zerknął na głębokościomierz przy swojej uprząży. Wskazywał sześć metrów. Popatrzył na lśniąca powierzchnię jeziora nad sobą, zamachał nogami i przebił głową lustro wody. Spojrzał w kierunku oddalającego się dudnienia i zobaczył, że wielka fala o niszczycielskiej sile toczy się szybko w stronę południowego brzegu. Huk powoli ucichł i Pitt usłyszał warkot helikoptera. Odwrócił się w wodzie i zobaczył Kamowa, który leciał nisko w jego kierunku. Popatrzył na jezioro, ale nie zauważył na horyzoncie kutra rybackiego.

Helikopter dotarł do Pitta i zawisnął tak nisko, że fale omywały koła. Pitt dopłynął do kokpitu i drzwi pasażera nad jego głową otworzyły się. Wspiął się na podwozie, podciągnął do środka i opadł na fotel. Giordino natychmiast uniósł maszynę. Pitt zdjął maskę.

Giordino odetchnął z ulgą, widząc, że jego przyjaciel jest cały. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Niektórzy faceci robią wszystko, żeby posurfować.

- Okazało się, że warunki nie były najlepsze - wysapał zmęczony Pitt. - Co z kutrem?

Giordino pokręcił głową.

- Pękł na pół jak zapalka. Myślałem, że straciliśmy też komorę dekompresyjną, ale krótko potem wystrzeliła na powierzchnię. Widziałem, że ktoś machał ręką przez bulaj, więc mam nadzieję, że wszyscy w tej puszcze są cali. Zawiadomiłem przez radio „Wierieszczagina”. Już płynie, żeby ich wyłowić.

- Miałeś dobry pomysł z tą komorą. Bez niej nikt by nie przeżył.

- Wybacz, że nie zdążyłem cię wyciągnąć przed uderzeniem fali.

- Nigdy w życiu nie zrezygnowałbym z takiej zabawy - odparł Pitt. - A jak sobie poradził nasz statek?

- W pobliżu Listwianki fala zmaląła do czterech metrów. „Wierieszczagin” przeszedł przez nią bez problemu. Przesunęło się kilka leżaków na pokładzie, ale poza tym wszystko gra. Obawiają się jednak, że w Listwiance będą duże szkody.

Pitt popatrzył na niebieską wodę w dole, ale nie zauważył komory dekompresyjnej. Złapał wreszcie oddech i zaczynał odczuwać skutki niebezpiecznej przygody. W wielu miejscach bolało go potłuczone ciało.

- Jak daleko zabrała mnie fala? - zapytał.

- Niosła cię przez jakieś pięć kilometrów - odrzekł Giordino.

- Które chyba pokonałem w tempie złotego medalisty. - Pitt starł z czoła kroplę wody.

Giordino leciał na północ, nad spokojnym teraz jeziorem. W wodzie przed nimi ukazał się biały obiekt. Giordino zwolnił, kiedy dotarli do komory dekompresyjnej.

- Pewnie mają tam już niezbyt świeże powietrze - powiedział.

- Dopiero za kilka godzin poziom dwutlenku węgla stanie się naprawdę niebezpieczny - stwierdził Pitt. - Kiedy zjawi się tu „Wierieszczagin”?

- Za półtorej godziny. Ale nie możemy tak długo dotrzymać im towarzystwa - odparł Giordino i postukał we wskaźnik paliwa.

- Wracaj na statek, a ja dam im znać, że nie są sami.

- Nie masz jeszcze dosyć kąpieli w zimnym jeziorze? - zapytał Giordino. Zszedł w dół i zawisnął helikopterem tuż nad wodą.

- To coś takiego jak twoje upodobanie do czystych strumieni w Górach Skalistych - odparł Pitt. - Dopilnuj, żeby Aleksander nas nie staranował - dodał i znów włożył maskę.

Wychylił się z kokpitu, skoczył do wody i wylądował kilka metrów od komory dekompresyjnej. Kiedy Giordino odleciał w kierunku statku badawczego, Pitt podpłynął do komory, podciągnął się do bulaja i zajrzał do środka.

- On żyje - powiedziała ze zdumieniem Theresa, kiedy rozpoznała zielonookiego mężczyznę.

Inni stłoczyli się wokół bulaja i zaczęli machać do Pitta. Nie wiedzieli, że fala uniosła go prawie pięć kilometrów dalej i wrócił tu helikopterem.

Pitt wskazał palcem w rękawicy pasażerów kapsuły, a potem zetknął palec wskazujący z kciukiem i przysunął do szyby.

- Pyta, czy wszystko gra - rozszyfrował jego znak Roy.

Tatiana, siedząca najbliżej bulaja, skinęła potakująco głową i odwzajemniła gest. Pitt wskazał swój zegarek i uniósł palec wskazujący. Tatiana zrozumiała i znów skinęła głową.

- Pomoc będzie za godzinę - powiedziała do swoich towarzyszy. - Jest w drodze.

- Więc możemy teraz spokojnie poczekać - odezwał się Wofford. Razem z Royem rozłożyli na podłodze materace, żeby wszyscy mogli wygodnie usiąść.

Pitt opłynął komorę dookoła i sprawdził, czy nie jest uszkodzona i nie przecieka. Zadowolony z oględzin wdrapał się na jej szczyt i czekał. W czystym powietrzu dostrzegł w oddali „Wierieszczagina” i obserwował, jak zbliża się do nich.

Gdy po godzinie statek dotarł na miejsce, przy burcie był już ustawiony duży dźwig, który kazał przygotować Giordino. Do komory wciąż były przymocowane liny, więc Pitt musiał tylko zebrać je razem i

zaczepić za hak dźwigu. Siedział na komorze okrakiem niczym na ogromnym białym ogierze, kiedy podnoszono ją na rufę „Wierieszczagina”. Gdy jej płozy dotknęły pokładu, Pitt zeskoczył i otworzył zaryglowany właz. Podbiegł Gunn, zajrzał do środka, potem pomógł wydobyć Theresę, Tatianę i trzech mężczyzn.

- Ludzie, co za powietrze - zachwycił się Wofford, oddychając głęboko.

Szyper wygramolił się z komory ostatni, podszedł chwiejnie do relingu „Wierieszczagina” i wyrzwał za burtę w poszukiwaniu swojego starego kutra.

- Może mu pani powiedzieć, że jego łódź leży na dnie, zmiażdżona przez falę - zwrócił się Pitt do Tatiany.

Kiedy przetłumaczyła jego słowa, szyper pokręcił głową nie mogąc powstrzymać łez.

- Nie mogliśmy uwierzyć, że pan przeżył spotkanie z falą - wyznała Pittowi Theresa. - Jak to się panu udało?

- Czasami po prostu mam szczęście - odrzekł z szerokim uśmiechem, otworzył swój worek marynarski i pokazał sprzęt do nurkowania.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedziała Theresa. Inni członkowie ekipy poszukiwawczej zawtórowali jej chórem.

- Nie mnie dziękujcie - odparł Pitt - tylko obecnemu tu Alowi Giordino i jego latającej komorze dekompresyjnej.

Giordino odszedł od dźwigu i skłonił się nisko.

- Do usług. Mam nadzieję, że jazda w tej blaszanej puszcze nie była zbyt uciążliwa.

- Uratował nam pan życie, panie Giordino - powiedziała z wdzięcznością Theresa i wyciągnęła do niego rękę.

- Proszę mi mówić Al - odrzekł, mięknąc pod spojrzeniem pięknej Holenderki.

- Teraz wiem, jak się czuje stalowa kulka w automacie do gry - mruknął Roy.

Wofford pomasaował bolące plecy.

- Ciekawe, czy na pokładzie mają wódkę - jęknął.

- Tędy, panie i panowie - rzekł Gunn. - Zbada was nasz lekarz okrętowy, a potem będziecie mogli odpocząć w kajutach albo napić się w mesie. Z powodu zniszczeń w Listwiance i tak prawdopodobnie nie będziemy mogli wysadzić was dziś na ląd.

- Al, zaprowadź wszystkich do izby chorych - poprosił Pitt. - Muszę zamienić słowo z Rudim.

- Z przyjemnością - zgodził się Giordino. Wziął Theresę pod rękę i ruszył z nią na czele grupy korytarzem.

Gunn podszedł do Pitta i poklepał go po ramieniu.

- Al opowiedział nam o twojej przygodzie. Gdybym wiedział, że zamierzasz przepłynąć przez falę, przymocowałbym ci do pleców urządzenia pomiarowe do badania prądów - zażartował.

- Chętnie podzielę się z tobą przy tequili moimi doświadczeniami w dziedzinie dynamiki cieczy - odrzekł Pitt. - Jakie są straty na lądzie?

- Widzieliśmy z daleka, że Listwianka przetrwała. Są zniszczenia w porcie i parę łodzi stoi teraz na głównej ulicy, ale poza tym ucierpiało tylko kilka sklepów wzdłuż brzegu. Nie słyszeliśmy przez radio żadnych meldunków o ofiarach, więc ostrzeżenie najwyraźniej zrobiło swoje.

- Trzeba uważać, bo mogą być następne wstrząsy - powiedział Pitt.

- Cały czas mam łączność satelitarną z Narodowym Centrum Informacji o Trzęsieniach Ziemi w Golden w Kolorado. Jeśli coś wykryją natychmiast dadzą nam znać.

Nad jeziorem zapadł zmierzch, gdy „Wierieszczagin” wpłynął do portu w Listwiance. Załoga statku stała przy relingach na pokładzie dziobowym i przyglądała się zniszczeniom. Fala uderzyła jak młot. Przewróciła drzewa i uszkodziła mniejsze budynki przy brzegu. Ale większa część miasta i portu ucierpiała w minimalnym stopniu. Statek zarzucił kotwicę półtora kilometra od zniszczonych nabrzeży, które oświetlał rząd przenośnych lamp. Mieszkańcy już zaczęli usuwać skutki powodzi i nad jeziorem niósł się warkot starego ciągnika.

W rogu mesy „Wierieszczagina” Roy, Wofford i szyper zatopionego kutra rybackiego siedzieli przy butelce wódki Ałtaj. W drugim końcu sali Pitt, Giordino i Sarkow kończyli jeść pieczonego jesiotra w towarzystwie Theresy i Tatiany. Kiedy zabrano im puste talerze, Sarkow wyjął butelkę bez etykiety i nalał kolejkę.

- Zdrowie pań - zwrócił się Giordino do kobiet i stuknął się kieliszkiem z Theresą.

- Którym się cieszymy dzięki tobie - odrzekła ze śmiechem. Wypiła łyk i oczy wyszły jej na wierzch.

- Co to jest? - wykrztusiła. - Smakuje jak wybielacz. Sarkow zarechotał.

- To samogon. Dostałem go tu od starego przyjaciela. Zdaje się, że w Ameryce coś takiego nazywacie księżycówką.

Reszta towarzystwa roześmiała się, kiedy Theresa odsunęła napoczęty kieliszek.

- Chyba zostanę przy wódce - powiedziała z uśmiechem.

- A więc co robią dwie piękne poszukiwaczki ropy na wielkim, groźnym jeziorze Bajkał? - zagadnął Pitt po wypiciu swojego kieliszka.

- Konsorcjum Naftowe Awarga posiada prawo do eksploatacji terenów na południe od jeziora - odrzekła Tatiana.

- Bajkał to skarb ludzkości. Dla ekologów z całego świata ma niezwykle ważne znaczenie. Figuruje na ONZ-owskiej liście światowego dziedzictwa przyrody - przypomniał Sarkow, najwyraźniej zaniepokojony perspektywą pojawienia się na czystych wodach jeziora platformy wydobywczej. - Jak możecie planować tu wiercenia?

Tatiana skinęła potakująco głową.

- Ma pan rację. Nie zrobimy z jeziora pola naftowego. Jeśli obecność ropy zostanie potwierdzona i złoża okażą się dostępne, a ich eksploatacja opłacalna, wykonamy wiercenia pod dużym kątem z naszych terenów na południu pod dno jeziora.

- To ma sens - przyznał Giordino. - W Zatoce Meksykańskiej cały czas wiercą pod kątem; nawet poziomo. Ale to nadal nie wyjaśnia, co sprowadziło tutaj tę holenderską piękność z Rotterdamu.

Komplement sprawił Theresie wyraźną przyjemność. Zarumieniła się mocno.

- Z Amsterdamu - poprawiła. - Jestem z Amsterdamu. Moi amerykańscy koledzy i ja pracujemy dla Shella. - Wskazała kciukiem róg mesy, gdzie wstawieni Wofford i Roy wymieniali głośno sprośne dowcipy ze swoimi rosyjskimi towarzyszami. - Wykonujemy tu zlecenie Awargi. Firma ta nie ma sprzętu do poszukiwań ropy na morzu. Mój koncern prowadził takie prace na Bałtyku i w zachodniej części Syberii. Sprawdzamy możliwość współpracy z Awargą w dziedzinie eksploatacji obiecujących złóż w różnych regionach. Stąd nasza obecność na Bajkale.

- Potwierdziliście istnienie jakichś złóż, zanim uderzyła fala? - zapytał Pitt.

- Szukaliśmy tylko śladów wycieków węglowodorów. Nie mieliśmy ze sobą aparatury sejsmicznej, która jest niezbędna do ustalenia, czy w

danym miejscu jest ropa. Do czasu zatonięcia łodzi nie udało nam się znaleźć charakterystycznych oznak wycieków ze złóż.

- Wycieków ropy? - upewnił się Sarkow.

- Tak, to powszechnie stosowana, choć trochę prymitywna metoda lokalizowania złóż. W morzu ropa wypływa na powierzchnię w postaci plam. W czasach, kiedy jeszcze nie było specjalistycznych pojazdów do generowania wstrząsów i aparatury sejsmicznej, która wysyła impulsy w głąb osadów geologicznych i tworzy ich obraz, lokalizację złóż węglowodorów wskazywały wycieki ropy.

- Mieliśmy meldunki rybaków o plamach ropy na jeziorze w miejscach, gdzie nie odbywa się żegluga - wyjaśniła Tatiana. - Oczywiście mogły to być wycieki z małych złóż, których eksploatacja byłaby nieopłacalna.

- Zbyt kosztowne przedsięwzięcie, biorąc pod uwagę głębokość jeziora - dodał Pitt.

- Skoro mowa o przedsięwzięciach, panie Pitt, to co tu robi ekipa NUMA na pokładzie rosyjskiego statku badawczego? - zapytała Tatiana.

- Jesteśmy gośćmi Aleksandra i Instytutu Limnologicznego - odrzekł Pitt i uniósł kieliszek samogonu w stronę Sarkowa. - Prowadzimy wspólnie badania prądów w jeziorze i ich wpływu na tutejszą florę i faunę.

- A skąd pan wiedział o sejszy, zanim się pojawiła?

- Dzięki sensorom. Rozmieściliśmy na jeziorze setki boi do pomiarów temperatury wody, ciśnienia i innych rzeczy. Al zrzucił je z helikoptera jak okruchy chleba. Badaliśmy akurat okolice wyspy Olchon, gdzie mieliśmy duże skupisko sensorów. Rudi natychmiast zauważył oznaki podwodnego osunięcia gruntu, które wywołało wielką falę.

- Na szczęście dla nas - powiedziała Theresa - I dla wielu innych.

- Al po prostu ma nosa do katastrof - zażartował Pitt.

- Prawdziwą katastrofą był przyjazd na Syberię bez butelki Jacka Danielsa - odparł Giordino, sącząc z kwaśną miną samogon.

- Szkoda, że przez to niespodziewane zdarzenie straciliśmy bazowe dane o prądach - westchnął Sarkow - ale za to będziemy mieli fascynujący materiał o tworzeniu się i ruchu fal.

- Czy te sensory mogą wykryć, gdzie powstało trzęsienie ziemi? - zapytała Tatiana.

- Jeśli gdzieś na jeziorze, to tak - odrzekł Pitt.

- Rudi powiedział, że jutro spróbuje pobawić się komputerami i ustalić dokładną lokalizację. Sejsmolodzy, z którymi rozmawiał, są zdania, że

epicentrum było gdzieś w pobliżu północno-zachodniego krańca jeziora - dodał Giordino i rozejrzył się w poszukiwaniu Gunna, ale go nie znalazł.

- Pewnie już wziął się do roboty.

Tatiana dopiła samogon i zerknęła na zegarek.

- To był ciężki dzień. Chyba pójdę się położyć.

- Ja też - powiedział Pitt, tłumiąc ziewanie. - Mogę panią odprowadzić do kajuty? - zapytał niewinnie.

- Proszę bardzo - odrzekła.

Kiedy wstali, Sarkow też się podniósł i życzył wszystkim dobrej nocy.

Pitt uśmiechnął się do Theresy i Ala.

- A wy pewnie czekacie na deser? Giordino spojrzał z uśmiechem na Theresę.

- Ja czekam na opowieści o Holandii.

- A ja na anegdoty o głębinach. - Dziewczyna roześmiała się.

- Tu na pewno jest coś głębokiego - odparł ze śmiechem Pitt. - Dobranoc.

Odprowadził Tatianę do jej kajuty w pobliżu rufy, a potem poszedł do swojej na śródkręciu. Po męczącym dniu z przyjemnością wyciągnął obolałe ciało na koi. Ale choć był wykończony, nie mógł zasnąć. Umysł uparcie podsuwał mu obrazy z minionego dnia, aż w końcu szczęśliwie spłynął na niego sen.

5

Pitt spał od czterech godzin, gdy nagle się obudził i usiadł wyprostowany na koi. Choć wokół było cicho, wyczuwał, że coś jest nie tak. Zapalił lampkę do czytania, opuścił nogi na podłogę, wstał i omal się nie przewrócił. Przetarł zaspane oczy i zdał sobie sprawę, że statek jest przechylony na rufę pod kątem niemal dziesięciu stopni.

Ubrał się szybko, wspiął po schodach na główny pokład i ruszył zewnętrznym przejściem. Było puste. Podobnie jak odkryty pokład, do którego prowadziło. Na całym statku panował dziwny spokój, gdy szedł pod górę w kierunku dziobu. Silniki nie pracowały, w nocnym powietrzu

rozchodziło się tylko przytłumione buczenie pomocniczego generatora w maszynowni.

Pitt wspiął się następnymi schodami na mostek, wszedł do sterowni i się rozejrzył. Nikogo. Zaniepokoił się. Jest jedynym człowiekiem na pokładzie? Popatrzył uważnie na konsolę i znalazł czerwoną dźwigenkę oznaczoną napisem „Triewoga”. Przeszawił ją i nagle nocną ciszę rozdarł dźwięk dzwonek alarmowych, które zabrzmiały na całym statku. Sekundy później do sterowni wpadł jak rozjuszony byk żylasty kapitan „Wierieszczagina” Charitonow, który przybiegł ze swojej kajuty na dole.

- Co się dzieje? - wyjąkał, z trudem przypominając sobie w środku nocy angielskie słowa. - Gdzie oficer wachtowy?

- Statek tonie - odrzekł spokojnie Pitt. - Kiedy tu wszedłem minutę temu, nikogo nie zastałem.

Kapitan wytrzeszczył oczy, gdy wreszcie się zorientował, że statek ma przechył.

- Trzeba uruchomić silnik! - zawołał i sięgnął do telefonu maszynowni. Ale gdy chwycił słuchawkę, pomost nagle opadł do tyłu. Światła na masztach oraz lampy w kabinach i wyświetlacze na konsoli zgasły. Cały statek pograżył się w ciemności. Nawet dzwonki alarmowe ucichły.

Kapitan zaklął i poszukał po omacku na konsoli włącznika awaryjnego zasilania z akumulatora. W sterowni zapaliło się słabe światło. Po chwili na mostek wpadł zdyszany główny mechanik „Wierieszczagina”. Potężny mężczyzna ze starannie przystrzyżoną brodą miał w niebieskich oczach wyraz paniki.

- Kapitanie, włączy do maszynowni są zamknięte na łańcuch. Nie można się tam dostać. Boję się, że może być już do połowy zalana.

- Ktoś zablokował włączy? Co się stało? Dlaczego toniemy, stojąc na kotwicy? - zapytał kapitan, szukając gorączkowo odpowiedzi.

- Wygląda na to, że zęza jest zalana, a część rufowa szybko nabiera wody - zameldował główny mechanik, gdy wreszcie zaczął normalnie oddychać.

- Lepiej przygotujcie się do opuszczenia statku - doradził Pitt. Jego słowa przygnębiły Charitonowa. Kapitan, który wydaje rozkaz opuszczenia statku, czuje się tak, jakby porzucał własne dziecko. Nie ma bardziej bolesnej decyzji. W dodatku później trzeba składać wyjaśnienia armatorowi, towarzystwu ubezpieczeniowemu i izbie morskiej. Ale

najgorszy jest widok uciekającej w popłochu załogi i znikającego pod wodą kadłuba. Większość marynarzy uważa, że ich statek ma własną osobowość, indywidualne cechy i swoje kaprysy, podobnie jak ulubiony samochód.

Kapitan z ponurą miną skinął głową głównemu mechanikowi, żeby przekazał rozkaz dalej.

Pitt był już za drzwiami, zastanawiając się gorączkowo, jak utrzymać statek na wodzie, Kusiło go, żeby włożyć sprzęt do nurkowania i dostać się do maszynowni, ale najpierw musiałyby sforsować właz zamknięty na łańcuch. A co potem? Pomyślał, że jeśli woda wlewa się przez dziurę w kadłubie pod maszynownią, to i tak niewiele będzie mógł zrobić, żeby zlikwidować przeciek.

Pomysł przyszedł mu do głowy, kiedy na zatłoczonym nagle pokładzie wpadł na Giordina i Gunna.

- Wygląda na to, że zaraz się zamoczymy - powiedział spokojnie Giordino.

- Maszynownia jest zaryglowana i wlewa się tam woda. Statek nie utrzyma się długo na powierzchni - odrzekł Pitt i spojrzał w dół pochyłego pokładu rufowego. - Jak szybko możesz przygotować helikopter?

- Natychmiast - odparł Giordino i popędził na rufę, nie czekając na dalsze słowa Pitta.

- Rudi, dopilnuj, żeby ekipa poszukiwaczy ropy, którą uratowaliśmy, wyszła na pokład i była blisko szalupy. Potem spróbuj przekonać kapitana, żeby pozbył się łańcucha kotwicznego - zwrócił się Pitt do Gunna, drżącego z zimna w cienkiej kurtce.

- Co tam chowasz w rękawie?

- Mam nadzieję, że asa - odrzekł Pitt i zniknął na rufie.

Helikopter uniósł się ku nocnemu niebu i zawisnął na chwilę nad tonącym statkiem.

- Czy nie zapomnieliśmy o zasadzie „najpierw kobiety i dzieci” ? - zapytał Giordino.

- Rudi zajmie się ekipą Shella - odparł Pitt, wyczuwając troskę Giordina o Theresę. - Poza tym wrócimy, zanim ktokolwiek zamoczy sobie nogi.

Popatrzyli z kokpitu na kontury statku. Bardziej oświetlały go latarnie na brzegu niż awaryjne lampy pokładowe. Pitt miał cichą nadzieję, że jego słowa okażą się prawdą. „Wierieszczagin” szybko zanurzał się rufą naprzód. Woda sięgała już powyżej dolnego pokładu i było jasne, że wkrótce zacznie się przelewać przez odkryty pokład rufowy. Giordino poleciał w kierunku Listwianki i Pitt przeniósł wzrok z tonącego statku na flotyllę zacumowaną przy brzegu.

- Szukamy czegoś konkretnego? - spytał Giordino.

- Holownika o dużej mocy - odrzekł Pitt, choć wiedział, że na jeziorze nie ma takiej jednostki. Pod nimi stały tylko małe kutry rybackie, takie jak tamten, który wynajęła ekipa poszukiwaczy ropy. Sejsza przewróciła kilka statków, parę wyrzuciła na brzeg.

- A co powiesz o tamtym olbrzymie? - zapytał Giordino i wskazał ruchem głowy światła w zatoce trzy kilometry dalej.

- Nie było go tu ostatniej nocy. Przyjrzyjmy mu się.

Giordino skierował helikopter w stronę blasku. Światła szybko przybrały kształt statku. Kiedy się zbliżyli, Pitt zobaczył, że to frachtowiec o długości około sześćdziesięciu metrów. Na czarnym kadłubie widniały plamy rdzy, brązowe zacieki sięgały linii wodnej. Na śródokręciu wyrastał wyblakły niebieski komin ozdobiony logo w postaci złotego miecza. Stary statek najwyraźniej kursował po jeziorze od dziesięcioleci, transportując węgiel i tarcicę z Listwianki do odległych wiosek na północnym brzegu Bajkału. Gdy Giordino zszedł w dół przy prawej burcie frachtowca, Pitt zauważył na pokładzie rufowym duży czarny dźwig. Znów spojrzął na komin i pokręcił głową.

- Niedobrze. Jest tu zacumowany i nie widzę dymu, więc silniki pewnie są zimne. Włączenie go do gry zajęłoby za dużo czasu. - Przechylił głowę w kierunku Listwianki za nimi. - Chyba będziemy musieli zrezygnować z mocy na rzecz szybkości.

- Szybkości? - zdziwił się Giordino i skierował helikopter z powrotem do Listwianki.

- Zgadza się - przytaknął Pitt i wskazał jakąś kolorową iluminację w oddali na wodzie.

Na „Wierieszczaginie” trwała już ewakuacja. Na jezioro opuszczano dwie łodzie ratunkowe z połową załogi. Gunn ominął pozostałych naukowców i marynarzy i zszedł pod pokład do kwater na rufie. Na końcu korytarza woda omywała sufit, ale w wyżej położonym miejscu sięgała tylko do kostek. Kajuty gości nie zostały jeszcze zalane.

Gunn wzdrygnął się, gdy podszedł do kajuty Theresy i Tatiany i poczuł lodowatą wodę na nogach. Zawołał głośno, zapukał mocno, nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Nikogo nie zastał. Nie było też żadnych rzeczy osobistych, bo kobiety weszły na pokład tylko w tym, co miały na sobie. Jedyne pogniecione koce na dwóch kojach wskazywały na ich wcześniejszą obecność.

Gunn zamknął drzwi i ruszył szybko w kierunku rufy, do następnej kajuty. Zimna woda sięgnęła mu do ud. Znów zawołał i zapukał, a potem napał na drzwi, żeby pokonać opór wody. Przypomniawszy sobie, że tę kajutę zajmowali Roy i Wofford. Wszedł i w słabym świetle awaryjnym zobaczył, że tu też jest pusto.

W lodowatej wodzie drętwiały mu boleśnie nogi, jakby kłuło go tysiąc igieł. Pomyślał, że uratowana ekipa poszukiwawcza wyszła już na górny pokład. Nie sprawdził tylko kajuty szypra, bo żeby tam dotrzeć, musiałby brnąć przez wodę sięgającą mu do piersi. Zawrócił i wspiął się z powrotem na górę. Na jezioro właśnie opuszczano trzecią szalupę. Gunn przyjrzał się garstce ludzi, którzy jeszcze pozostali na statku, ale nie zauważył wśród nich poszukiwaczy ropy. Pomyślał z ulgą, że musieli odplynać w jednej z dwóch pierwszych łodzi.

Iwan Popowicz spał zagrzebany w pościeli na swojej koi. Śniło mu się, że wędkuje na muchę na rzece Lenie, gdy nagle obudził go głośny hałas. Rumiany pilot wodolotu „Woschod” zacumowanego w Listwiance włożył grubą futrzaną kurtkę, wytoczył się w półśnie ze swojej maleńkiej kajuty i wdrapał na pokład rufowy.

Natychmiast oślepiły go boleśnie dwa mocne reflektory i poczuł silny podmuch zimnego powietrza. Światła uniosły się wolno z pokładu, zawisły na moment w górze, potem skrzyły i zniknęły. Kiedy warkot

helikoptera ucichł w oddali, Popowicz przetarł oczy, uniósł powieki i zobaczył z zaskoczeniem, że stoi przed nim jakiś mężczyzna. Był wysoki, ciemnowłosy i uśmiechał się przyjaźnie

- Dobry wieczór - powiedział spokojnie obcy. - Mógłbym pożyczyć pański statek?

Szybki wodolot pomknął przez zatokę, uniesiony wysoko na dwóch przednich płatach nośnych. Po krótkiej podróży dotarł do „Wierieszczagina”. Popowicz skierował „Woschoda” w stronę dziobu tonącego statku, potem przymknął przepustnicę, zawrócił wprawnie i zatrzymał się z silnikiem pracującym na biegu jałowym. Pitt stał na rufie wodolotu i patrzył w górę na pogrążający się w jeziorze szary statek badawczy. „Wierieszczagin” był groteskowo przechylony na rufę, dziób celował w niebo pod kątem dwudziestu stopni. W każdej chwili mógł się przewrócić do góry dnem lub pójść na dno.

Nad głową Pitta rozległ się nagle metaliczny dźwięk. Z kluzy wysuwał się ciężki, dziesięciometrowy łańcuch kotwiczny. Grzechotał o pokład i opadał za burtę. Za nim pojawiła się lina i boja do oznaczenia miejsca, gdzie został ucięty. Kiedy ostatnie ogniwo zniknęło pod wodą, odciążony dziób statku uniósł się trochę.

- Hol gotowy - dobiegło z góry

Pitt podniósł wzrok i zobaczył pokrzepiający widok. Przy relingu dziobowym stali Giordino i Gunn. Sekundę później wyrzucili za burtę linę, która sięgnęła powierzchni jeziora.

Popowicz natychmiast cofnął wodolot w kierunku zwisającego holu. Pitt chwycił pętlę na końcu liny i wciągnął na pokład. Umocował ją szybko do kabestanu, zerwał się na nogi i pokazał Popowiczowi uniesiony kciuk.

- Hol przyczepiony! Niech pan startuje - zawołał.

Popowicz włączył układ przenoszenia napędu z dwóch diesli na śruby i ruszył wolno naprzód. Kiedy lina się naprężyła, zwiększył delikatnie otwarcie przepustnic. Gdy śruby spieniły wodę, płynnym ruchem pchnął przepustnicę do oporu.

Stojąc na rufie, Pitt usłyszał, jak silniki z wyciem wchodzą na obroty. Śruby miały wodę, ale nie czuł ruchu naprzód. Wiedział, że to wygląda tak, jakby komar ciągnął słońca. Jednak wodolot rozwijał prędkość trzydziestu dwóch węzłów, a dwa silniki o mocy tysiąca koni mechanicznych wytwarzały potężny moment obrotowy.

Nikt nie poczuł pierwszego drgnięcia, ale centymetr za centymetrem, a potem metr za metrem „Wierieszczagin” zaczął się posuwać naprzód. Giordino, Gunn, kapitan i garstka marynarzy stali na mostku, i wstrzymując oddech obserwowali, jak statek pełźnie w kierunku Listwianki. Popowicz wybrał najkrótszą drogę do brzegu, która prowadziła do centrum miejscowości.

Obie jednostki przebyły niecały kilometr, gdy z wnętrza „Wierieszczagina” zaczęły dochodzić skrzypnięcia i trzaski. Zalana rufa i utrzymujący się na wodzie dziób toczyły ze sobą walkę o kontrolę nad statkiem. Ich zmagania były próbą wytrzymałości starego kadłuba. Pitt stał przy holu. Wiedział, że jeśli „Wierieszczagin” pójdzie pod wodę, będzie musiał szybko odczepić linę, żeby wrak nie pociągnął za sobą wodolotu.

Upływały minuty, które wydawały się godzinami. „Wierieszczagin” zbliżał się stopniowo do brzegu. Rufa zanurzała się coraz głębiej. Rozległ się kolejny trzask i cały statek zadrżał. Posuwał się naprzód koszmarne wolno, skąpany teraz w ciepłym żółtym blasku światła Listwianki. Popowicz trzymał kurs prosto na małą kamienistą plażę obok zniszczonej części portu. Obserwujący mieli wrażenie, że zaraz wpadnie na brzeg. Z rykiem diesli wodolot parł naprzód, dopóki kilka metrów od lądu kadłub „Wierieszczagina” nie zazgrzytał o dno.

W kabinie „Woschoda” Popowicz bardziej poczuł, niż usłyszał, że statek badawczy dotarł do lądu, i szybko wyłączył przegrzane silniki. Kiedy diesle umilkły, wokół zapadła grobowa cisza. Potem wybuchły głośne wiwaty, najpierw członków załogi statku, którzy przybili do brzegu w szalupach, później tłumu mieszkańców Listwianki zgromadzonych na plaży, wreszcie ludzi na pokładzie „Wierieszczagina”. Wszyscy oklaskiwali Pitta i Popowicza. Pilot wodolotu odpowiedział dwoma sygnałami syreny okrętowej, potem poszedł na rufę i pomachał ręką ludziom na mostku „Wierieszczagina”.

- Moje gratulacje, kapitanie - zwrócił się do niego Pitt. - Jest pan takim wirtuozem przy sterze, jakim był Rachmaninow przy fortepianie.

- Nie mogłem znieść myśli, że mój dawny statek pójdzie na dno - odrzekł Popowicz, patrząc z nostalgią na „Wierieszczagina”. - Zaczynałem od szorowania pokładów na tym staruszku. - Uśmiechnął się szeroko. - Poza tym kapitan Charitonow to mój przyjaciel. Nie chciałem, żeby miał kłopoty z władzami.

- Dzięki panu „Wierieszczagin” znów będzie pływał po Bajkale. Pod dowództwem kapitana Charitonowa, mam nadzieję.

- Oby tak było. Powiedział mi przez radio, że dokonano sabotażu. Może to robota ekologów? Zachowują się tak, jakby Bajkał należał do nich.

Rzeczywiście wyglądało to na sabotaż, ale kto mógł to zrobić? I po co? Może Sarkow będzie znał odpowiedź?

W Listwiance mimo późnej pory zapanował ożywiony ruch, gdy mieszkańcy pospieszyli z pomocą niedoszłym rozbitek. Przewieziono załogę na brzeg, umocowano statek na mieliźnie. Marynarzom i naukowcom udostępniono pomieszczenia w pobliskiej sortowni ryb, gdzie jeszcze nie wyschły podłogi zalane przez falę zaledwie parę godzin wcześniej. Żony rybaków częstowały ich kawą i wódką a tych, którym w nocy dopisywał apetyt, również wędzonym omulem.

Kiedy Pitt i Popowicz weszli do magazynu, powitały ich gromkie brawa. Kapitan Charitonow omal nie zgniótł Popowicza w niedźwiedzim uścisku.

- Uratowałeś „Wierieszczagina”. Jestem ci ogromnie wdzięczny.

- Cieszę się, że mogłem pomóc. Ale to pan Pitt wpadł na pomysł, żeby wykorzystać mój wodolot.

- Mam nadzieję, że następnym razem nie będę musiał budzić pana w środku nocy. - Pitt się uśmiechnął, zerkając na domowe kaptcie, które wciąż miał na nogach Popowicz. Potem odwrócił się do kapitana Charitonowa. - Załoga w komplecie? Nikogo nie brakuje?

Kapitan seposepniał.

- Przepadł gdzieś Anatolij, który miał wachtę na mostku. I nie ma doktora Sarkowa. Sądziłem, że jest z wami.

- Nie, nie widziałem go od wczorajszej kolacji.

- Nie wszedł do żadnej z szalup - odrzekł Charitonow. Podeszli Giordino i Gunn. Mieli spuszczone głowy i ponure miny.

- To nie jedyni zaginioni - powiedział Giordino, który usłyszał rozmowę Pitta z kapitanem. - Zniknęła cała ekipa poszukiwaczy ropy. Nie było ich w żadnej z łodzi ratunkowych ani w kajutach.

Gunn przytaknął.

- Sprawdziłem wszystkie oprócz tej, którą dostał szyper kutra.

- Nikt nie widział, żeby opuszczali statek? - zapytał Pitt. Giordino pokręcił przecząco głową.

- Nie. Rozpłynęli się bez śladu. Jakby nigdy nie istnieli.

6

Kiedy kilka godzin później zza horyzontu na południowym wschodzie wyłoniło się słońce, katastrofalny stan „Wierieszczagina” stał się w pełni widoczny. Maszynownia, ładownia rufowa i kabiny na dole były całkowicie zatopione, woda przelewała się przez niemal trzecią część głównego pokładu. Gdyby nie doholowano statku do brzegu, nie utrzymałby się długo na powierzchni.

Pitt i kapitan Charitonow stali obok szczątków kiosku z pamiątkami, który sejsza zrównała z ziemią, i patrzyli na statek. Pitt zobaczył, że za rufą wynurzyły się dwie czarne, lśniące nerpy i przepłynęły nad relingiem. Małe foki zamieszkujące jezioro unosiły się leniwie nad zatopionym pokładem rufowym, potem zniknęły pod wodą w poszukiwaniu pożywienia. Gdy Pitt czekał, aż nerpy znów się pojawią przyjrzał się linii wodnej statku i zauważył na śródokreściu niewielką smugę czerwonej farby, która musiała powstać przy otarciu o nabrzeże lub o jakąś łódź.

- Ekipa ratowniczo-naprawcza z Irkucka zjawi się dopiero jutro - powiedział z ponurą miną Charitonow. - Każę załodze uruchomić przenośne pompy, ale chyba nie będzie miało wielkiego sensu, dopóki nie ustalimy przyczyny uszkodzenia.

- Pilniejsze jest ustalenie, co się stało z Aleksandrem i resztą zaginionych - odparł Pitt. - Ponieważ nie znaleziono ich na brzegu,

musimy zakładać, że nie przeżyli. Trzeba sprawdzić, czy w zatopionej części statku nie ma ich ciał.

Kapitan skinął niechętnie głową.

- Tak, musimy znaleźć mojego przyjaciela Aleksandra. Ale obawiam się, że trzeba będzie poczekać na nurków milicyjnych, żeby się czegoś dowiedzieć.

- Nie będzie pan musiał na nich czekać, kapitanie - odrzekł Pitt i wskazał ruchem głowy nadchodzącego mężczyznę.

Pięćdziesiąt metrów dalej w ich kierunku zmierzał brzegiem jeziora Al Giordino. Niósł na ramieniu nożyce do cięcia metalu z czerwonymi uchwytyami.

- Znalazłem je na wyprzedzący w tutejszym warsztacie samochodowym - wyjaśnił i oparł nożyce o ziemię. Długie uchwyty sięgały mu do pasa.

- Powinny umożliwić nam wejście do zalanych przedziałów statku - powiedział Pitt.

- Co? Sami chcecie obejrzeć uszkodzenie? - zapytał Charitonow, zaskoczony inicjatywą Amerykanów.

- Musimy sprawdzić, czy Aleksander i inni są jeszcze na pokładzie - odparł Giordino.

- Temu, kto próbował zatopić pański statek, mogło chodzić o to, żeby przeszkodzić nam w badaniach - dodał Pitt. - Jeśli tak, to chciałbym się dowiedzieć dlaczego. Nasz sprzęt do nurkowania jest w ładowni dziobowej, więc dostaniemy się do niego.

- To może być niebezpieczne - ostrzegł Charitonow.

- Jediną trudnością będzie przekonanie Ala, żeby zanurkował przed śniadaniem - odrzekł Pitt, starając się zbagatelizować ryzyko.

Giordino uniósł brwi.

- Wiem z dobrego źródła, że specjalnością tutejszego baru sieci I HOP są bliny z kawiozem z jesiotra.

- Pozostaje nam mieć nadzieję, że ich nie zabraknie.

Do Pitta i Giordina dołączył Gunn i razem podплыnęli pożyczonym pontonem motorowym do statku. Wspięli się po przechylnym pokładzie do ładowni dziobowej, gdzie Gunn pomógł im włożyć czarne „suche” skafandry, pasy balastowe i lekkie recyrkulacyjne aparaty oddechowe. Zanim opuścili na twarze maski, Gunn wskazał sterownicę.

- Pójdę sprawdzić komputery na mostku i wziąć dane o ruchach tektonicznych w regionie. Nie ucieknijcie beze mnie z jakimiś rusalkami.

- Wątpię, żeby jakieś pływały w tej lodowatej wodzie - mruknął Giordino.

Zostawili płetwy i zeszli na gumowych podeszwach skafandrów z pokładu do wody. Kiedy sięgnęła im do ramion, Pitt zapalił małą lampę przymocowaną do głowy i zanurzył się. Kilka metrów przed nim były schody przy prawej burcie. Ruszył w ich kierunku jak potwór stworzony przez Frankensteina, brnął wolno naprzód, pokonując opór wody. Płaszący snop światła za jego plecami wskazywał, że Giordino jest tuż za nim.

Pitt zszedł schodami na dół. Minął niższy poziom mieszkalny, zmierzając ku dolnemu pokładowi i maszynowni. Ogarnęła go ciemność. Ale woda była przejrzysta jak w basenie pływackim i mały reflektor Pitta skutecznie rozjaśniał mrok. Łatwiej było tu chodzić, niż pływać, więc wykonywał skoki jak kosmonauta na Księżycu. Dotarł do prawego wjazdu maszynowni. Tak jak mówił główny mechanik, wejście blokował ciężki, stalowy łańcuch, owinięty wokół klamki i przymocowany do przegrody. Był stary i zardzewiały, ale wisząca na nim złocista kłódka wyglądała na nową.

Pitt obserwował, jak reflektor Giordina oświetla wjazd. Potem pojawiły się nożyce do cięcia metalu i uchwyciły ogniwo łańcucha blisko kłódki. Muskularny Włoch przeciął stal z taką łatwością jakby zgniatał orzech. Pitt odwinął łańcuch, otworzył wjazd i wszedł do środka.

Choć „Wierieszczagin” miał ponad trzydzieści lat, maszynownia była nieskazitelnie czysta i panował w niej wzorowy porządek. Dbał o to skrupulatny główny mechanik. Większość przestrzeni zajmował wielki diesel, ulokowany na środku pomieszczenia. Pitt okrążył wolno maszynownię w poszukiwaniu uszkodzeń pokładu, grodzi lub silnika, ale niczego nie znalazł. Tylko duży, stalowy pomost kratownicowy stał nie na swoim miejscu - ktoś oparł go o skrzynię narzędziową. Pitt spojrzał w dół. Metrowej głębokości szyb prowadził do ciasnej żęzy pod pokładem. W dole widać było lekko wygięte dno kadłuba.

Pitt opuścił się do otworu. Przyklęknął na dnie i popatrzył w kierunku rufy. Tak daleko, jak sięgało światło, płyty kadłuba wydawały się gładkie i nienaruszone. Obejrzał się wolno i zobaczył jakieś pękate, metalowe

urządzenie, oświetlone reflektorem Giordina, który zaglądał przez otwór w górze. Z urządzenia tego wystawała gruba rura, biegnąca ku dziobowi. Kiedy się obrócił, żeby się temu przyjrzeć, dostrzegł, że Giordino kiwa potakująco głową.

Urządzenie okazało się zaworem. Obok była mała, czerwona tabliczka z białym napisem: „Priedostierieženije!” Pitt mógł się tylko domyślać, że to ostrzeżenie. Położył dłonie w rękawicach na pokrętło zaworu i spróbował je obrócić odwrotnie do ruchu wskazówek zegara. Ani drgnęło. Spróbował w drugą stronę. Pokrętło obróciło się swobodnie. Pitt dokręcił je do oporu i spojrzął na Giordina, który skinął głową. Proste. Otwarty zawór odpływowy w dniu statku spowodował zalanie żęzy, a potem całej części rufowej. Ktoś wszedł do maszynowni, otworzył zawór, unieruchomił pompy, a potem zablokował włązy. Szybki i łatwy sposób na zatopienie statku w środku nocy.

Pitt po drugiej stronie maszynowni znalazł identyczny pomost kratownicowy. Ale ten był na swoim miejscu. Pitt zszedł na dół i sprawdził zawór odpływowy przy lewej burcie. Okazało się, że też jest otwarty. Pitt zamknął go i wyciągnął rękę do Giordina, który pomógł mu wyjść z żęzy na pokład maszynowni.

Wykonali połowę zadania. Dostali się do maszynowni i ustalili przyczynę zalania statku. Ale nadal nie wiedzieli, co się stało z Sarkowem, Anatolijem i ekipą poszukiwaczy ropy. Pitt zerknął na zegarek. Byli pod wodą od trzydziestu minut. Choć zostało im jeszcze dużo powietrza, przez neoprenowe skafandry zaczynało przenikać zimno. Kiedyś Pitt nie zwracałby na to uwagi, ale lata czyniły swoje.

Poprowadził Giordina z maszynowni do innych zalanych pomieszczeń w jej sąsiedztwie. Sprawdzili je szybko, ale nie znaleźli niczego podejrzanego. Wspięli się po schodach poziom wyżej, na pokład mieszkalny. Korytarz biegł do śródokręcia, potem skręcał w kierunku dziobu i rufy. Po obu jego stronach były kajuty.

Pitt pokazał Giordinowi, żeby przeszukał kajuty wzdłuż lewej burty, a sam postanowił sprawdzić te po prawej. Ruszył ku rufie. Pierwsza była kajuta Sarkowa. Kiedy do niej wszedł, poczuł się jak intruz. Zobaczył, że mimo całkowitego zanurzenia, prawie wszystko pozostało na swoim miejscu, jeśli nie liczyć kilku pływających kartek. Na biurku stał otwarty

laptop, w którym dawno nastąpiło zwarcie. Na oparciu krzesła wisiała nieprzemakalna kurtka Rosjanina, którą miał na sobie w czasie ostatniej kolacji. Pitt zajrzał do szafy i zobaczył na wieszakach koszule i spodnie Sarkowa. Nic nie wskazywało na to, żeby naukowiec zamierzał opuścić statek.

Pitt wyszedł z kajuty, sprawdził szybko trzy następne i dotarł do ostatniej. Po drugiej stronie korytarza zobaczył światło lampy Giordina, który go wyprzedził i przeszukiwał ostatnią kajutę przy lewej burcie.

Pitt nacisnął klamkę i napał na drzwi, żeby pokonać opór wody wewnątrz. W kajucie, podobnie jak w poprzednich, panował porządek. Ale coś tu było inaczej.

To, co leżało na koi, mogło być workiem marynarskim lub rzędem poduszek, ale mimo słabego światła, Pitt wiedział, że jest to człowiek. Podeszedł wolno bliżej. Leżący mężczyzna nie żył.

Pitt pochylił się ostrożnie nad ciałem i oświetlił je reflektorem. Patrzący na niego martwe oczy szypra kutra rybackiego. Na bladej twarzy zastygł wyraz zaskoczenia. Stary rybak był w T-shircie, a nogi miał przykryte kocem.

Pitt zbliżył lampę do głowy szypra i przesunął palcem wzdłuż linii jego włosów. Pięć centymetrów nad uchem wyczuł lekkie wgniecenie. Skóra nie była pęknięta, ale nie ulegało wątpliwości, że potężne uderzenie zmiażdżyło rybakowi czaszkę. Czy Rosjanin zginął od razu? Czy utonął nieprzytomny później, kiedy woda zalała kajutę?

W drzwiach pojawiło się światło reflektora Giordina. Pitt przyjrzał się uważnie podłodze wokół koi. Na miękkiej wykładzinie nie leżało nic takiego, co mogłoby spaść z półki i uderzyć szypra w głowę.

Pitt jeszcze raz spojrzął na zwłoki. Instynkt go nie zawiódł. Od pierwszej chwili wiedział, że ten człowiek nie zginął przypadkowo. Został zamordowany.

Wszystko przepadło - wyrzucił z siebie Gunn, czerwony z wściekłości. - Ktoś rąbnął nam sprzęt z całą naszą bazą danych z ostatnich dwóch tygodni. Wciąż pomstował, gdy pomagał Pittowi i Giordinowi zdjąć skafandry.

- A kopie zapasowe? - zapytał Pitt.

- Właśnie. Wiem, że jako doświadczony komputerowiec zachowujesz wszystko na DVD. Pewnie nawet robisz potrójne kopie - powiedział Giordino, wieszając swój skafander na haku.

- Płyty też zniknęły. Wszystkie. Ktoś wiedział, co wziąć.

- Nasz kumpel Sarkow? - zapytał Giordino.

- Wątpię - odrzekł Pitt. - Jego kabina nie wyglądała tak, jakby miał dać nogę.

Gunn trochę się uspokoił.

- Nie rozumiem tego. Te dane miały wartość tylko dla środowiska naukowego. Dzieliłiśmy się wszystkim z Rosjanami. Kto mógł ukraść takie informacje?

- Może nie chodziło o same dane - zastanowił się głośno Pitt. - Może ktoś po prostu nie chciał, żebyśmy odkryli coś w tych plikach.

- Możliwe - zgodził się Giordino. - Oznacza to, Rudi, że twój ukochany komputer leży już pewnie na dnie jeziora i jest schroniskiem dla rybek.

- Tak mnie pocieszasz? - mruknął Gunn.

- Nie martw się. I tak jesteś w lepszej sytuacji niż stary szyper.

- Fakt - przyznał Gunn. - On stracił kuter.

- Stracił o wiele więcej - odrzekł Pitt i powiedział Gunnowi, co odkrył w kajucie statku.

Gunn wciągnął gwałtownie powietrze i pokręcił głową.

- Nie do wiary. Dlaczego ktoś go zabił? A co z innymi? Zostali porwani? Może to oni zniszczyli nasze dane, zamordowali szypra i uciekli?

Te same pytania nurtowały Pitta. Nie było na nie odpowiedzi.

Do południa na „Wierieszczagina” przeciągnięto z łądu napowietrzną linię energetyczną. Kiedy do statku dopłynął prąd, włączono unieruchomione pompy żęzy. Na pokładzie rufowym ustawiono pompy pomocnicze i wśród hałasu generatorów zaczęto usuwać wodę z zalanych przedziałów. Zanurzona rufa podnosiła się z dna o wiele za wolno dla członków załogi obserwujących to z brzegu.

Mieszkańcy Listwianki nadal robili porządki po powodzi. Otwarto sławny targ rybny i kilku sprzedawców oferowało już aromatyczne, świeżo wędzone ryby. Trwała odbudowa zniszczonych przez falę kiosków i w powietrzu rozlegały się odgłosy pił i młotków.

Stopniowo docierały informacje o szkodach wyrządzonych przez trzęsienie ziemi i sejszę w innych miejscach wokół jeziora. Na południowym brzegu były duże straty materialne, ale nikt nie zginął. Najbardziej ucierpiała papiernia w Bajkalsku, którą zamknięto na kilka tygodni, żeby posprzątać teren i naprawić zalane przez wodę urządzenia. Na przeciwległym krańcu jeziora trzęsienie ziemi poważnie uszkodziło rurociąg Tajszet-Nachodka, biegnący wzdłuż północnego brzegu Bajkału. W drodze byli już ekolodzy z Instytutu Limnologicznego, żeby ocenić zagrożenie dla środowiska naturalnego w wypadku, gdyby wyciek ropy dotarł do jeziora.

Wczesnym popołudniem na pokład „Wierieszczagina” wszedł naczelnik milicji w Listwiance w towarzystwie dwóch śledczych z Irkucka. Wspięli się na mostek, gdzie powitał ich sztywno kapitan Charitonow. Komendant milicji, niechlujny facet w źle dopasowanym mundurze, całkiem zignorował trzech Amerykanów, którzy w drugim końcu sterowni rekonfigurowali swój sprzęt komputerowy. Ten zarozumiały biurokrata ponad swoje obowiązki przekładał różne uboczne korzyści wynikające z jego pracy. Kiedy Charitonow opowiedział mu o zniknięciu członków załogi i odkryciu zwłok szypra w zalanej kajucie, na twarzy komendanta pojawiło się wyraźne niezadowolenie. Zaginięcie ludzi i częściowe zatopienie statku można było wytłumaczyć jako wypadek, ale trup komplikował sprawę. Ewentualne zabójstwo oznaczało dodatkową robotę papierkową i nadzór zwierzchników. Naczelnik milicji

w Listwiance miał dotąd do czynienia najwyżej z kradzieżą roweru lub bójką w barze i wołał, żeby tak zostało.

- To bzdura - stwierdził. - Dobrze znałem Bielikowa. Był moczymordą. Po prostu za dużo wypił i wykitował. Nieszczęśliwy wypadek.

- A co z zaginięciem dwóch członków załogi i ekipy poszukiwaczy ropy, która została uratowana razem z tym szyprem? - zapytał z rosnącym gniewem Charitonow. - I z próbą zatopienia mojego statku?

- Ci członkowie załogi pewnie przez pomyłkę otworzyli zawory w zęzie, przestraszyli się i zwiali - odparł komendant. - Znajdą się w końcu w którejś z naszych knajp - dodał ze znajomością rzeczy. Widząc, że dwaj śledczy z Irkucka nie kupują tej bajeczki, ciągnął dalej: - Trzeba będzie oczywiście przesłuchać resztę załogi i pasażerów, żeby sporządzić oficjalny protokół wypadku.

Pitt przyjrzał się towarzyszom naczelnika milicji. Dwaj śledczy z wydziału kryminalnego Komendy Miejskiej Milicji w Irkucku wyglądali na twardzieli, nosili cywilne ubrania i mieli ukrytą broń. Sprawiali wrażenie pewnych siebie, doświadczonych gliniarzy. Kiedy zaczęli zadawać pytania ludziom na pokładzie statku, Pitt zorientował się ze zdziwieniem, że bardziej interesuje ich nieobecność Sarkowa niż zaginięcie ekipy poszukiwawczej i śmierć szypra.

Po zebraniu zeznań milicjanci przyszli z powrotem do sterowni, gdzie komendant dla efektu udzielił kapitanowi „Wierieszczagina” ostatniego surowego upomnienia. Charitonow oznajmił ponuro, że na polecenie milicji w Listwiance wszyscy członkowie załogi mają natychmiast wrócić na statek i pozostać na pokładzie do zakończenia śledztwa.

- Mogliby nam przynajmniej pozwolić wyskoczyć przedtem na piwo - jęknął Giordino.

- Wiedziałem, że należało zostać w Waszyngtonie - mruknął Gunn. - Jesteśmy teraz syberyjskimi zesłańcami.

- Latem w Waszyngtonie jest jak w saunie - przypomniał Pitt, podziwiając przez szybę sterowni panoramę jeziora.

W odległości dwóch i pół kilometra zauważył czarny frachtowiec, nad którym przelatywali z Alem ostatniej nocy. Statek dotarł już do lądu i był przycumowany do ocalałego nabrzeża w najdalszej części portu. Wielki dźwig na brzegu opróżniał ładownię rufową.

Obok okna sterowni „Wierieszczagina” wisiała na haku lornetka. Pitt bezwiednie sięgnął po nią i unióś ją do oczu. Przez soczewki powiększające zobaczył dwie duże ciężarówki platformowe i mniejszy od nich furgon, zaparkowane w sąsiedztwie frachtowca. Dźwig przeładowywał towary na ciężarówkę, co było trochę niezwykle, gdyż to właśnie z Listwianki wysyłano zaopatrzenie do innych miejsc wokół jeziora. Pitt skoncentrował uwagę na jednej z dużych ciężarówek. Na jej platformie stał pionowo jakiś dziwny obiekt, umieszczony na palecie i przykryty brezentem.

- Kapitanie? - zwrócił się Pitt do Charitonowa i wskazał przez szybę statek w oddali. - Wie pan coś o tym czarnym frachtowcu?

Charitonow podszedł do okna, zmrużył oczy i popatrzył w stronę statku.

- To „Primorski”. Od dawna pływa po Bajkale. Przez lata kursował regularnie z Listwianki do Bajkalskoje na północy i transportował stal i drewno do budowy tamtejszej linii kolejowej. Kiedy w zeszłym roku skończono układać tory, stał przez kilka miesięcy bezczynnie. Ostatnio słyszałem, że wydzierżawiła go na krótko jakaś spółka naftowa. Sprowadzili własną załogę, co wkurzyło poprzednią. Nie wiem, do czego teraz służy ten statek. Pewnie transportują nim sprzęt do budowy rurociągu.

- Spółka naftowa - powtórzył Pitt. - Czy przypadkiem nie Konsorcjum Naftowe Awarga?

Charitonow spojrział w zamyśleniu w górę.

- Chyba tak. Proszę wybaczyć, jestem zmęczony i dlatego nie od razu przypomniałem sobie tę nazwę. Może oni coś wiedzą o naszej zaginionej ekipie poszukiwawczej. I o losie Aleksandra i Anatolija - dodał ponuro.

Sięgnął do radia i wywołał frachtowiec „Primorski”, nazwany tak od łańcucha górskiego na zachodnim brzegu Bajkału. Niemal natychmiast odezwał się mrukliwy głos. Podczas ich rozmowy Pitt przesunął lornetką po starym statku i zatrzymał dłużej wzrok na pustym pokładzie rufowym.

- Al, spójrz na to.

Giordino podszedł do Pitta, wziął od niego lornetkę i popatrzył uważnie na frachtowiec.

- Raczej się nie afiszują z rym, co przywieźli. Gdybyśmy ich zapytali, co to jest, pewnie odpowiedzieliby, że to tylko używane części do traktorów.

- Spójrz na pokład rufowy - przynaglił Pitt.

- Ostatniej nocy stał tam dźwig - zauważył Giordino. - Zniknął jak nasi przyjaciele.

- Przelatywaliśmy nad tym frachtowcem w ciemności, ale tamten dźwig nie wyglądał na zabawkę.

- Nie, na pewno nie dałoby się go szybko zdemontować bez całej armii robotników - odrzekł Giordino.

- O ile dobrze widziałem przez lornetkę, jest tam bardzo nieliczna załoga.

Charitonow skończył rozmawiać z frachtowcem i odwiesił mikrofon.

- Kapitan „Primorskiego” powiedział, że nie brał na pokład żadnych pasażerów i nie widział żadnej ekipy poszukiwaczy ropy. Nie wiedział nawet, że ktoś taki jest na jeziorze.

- Nie zdradził przypadkiem, co mają w ładowniach? - zapytał Pitt.

- Owszem - odrzekł Charitonow. - Transportują z Irkucka do Bajkalskoje sprzęt rolniczy i części do traktorów.

8

Młodemu milicjantowi, któremu kazano pilnować, żeby nikt nie opuszczał statku, znudziło się wreszcie to zajęcie. Spacerował na brzegu kilka metrów od wbitego w dno jeziora dziobu „Wierieszczagina” i obserwował uważnie statek do zachodu słońca. Ale kiedy przez kilka godzin nic się nie wydarzyło, jego czujność zaczęła słabnąć. Stopniowo całą jego uwagę zaprzątnęła głośna muzyka dyskotekowa w barze na końcu ulicy. Skierował się tam w nadziei, że pozna jakąś atrakcyjną turystkę lub studentkę z Irkucka.

Był tym tak zaabsorbowany, że nie zauważył dwóch mężczyzn w czerni, którzy zwodowali ostrożnie z rufy „Wierieszczagina” ponton Zodiak i weszli cicho do środka.

Pitt i Giordino oddalili się od statku, trzymając się w jego cieniu, żeby milicjant nie zobaczył ich z brzegu.

- Niedaleko jest kilka przyjemnych knajpek, a ty się uparłeś, żeby popłynąć na ryby - szepnął Giordino.

- To drogie pułapki na turystów, gdzie podają ciepłe piwo i czerstwe prele - skwitował Pitt.

- Lepsze ciepłe piwo niż żadne - odrzekł filozoficznie Giordino.

Choć szybko wtopili się w ciemność nocy, Pitt nie chciał słyszeć o przerwaniu wiosłowania, dopóki nie znaleźli się półtora kilometra od lądu, gdzie pociągnął linkę rozruchową dwudziestopięciokonnego silnika zaburtowego. Motor natychmiast zaskoczył i Pitt skierował łódź pneumatyczną wzdłuż brzegu. Kiedy płynęli z małą prędkością przed siebie, Giordino podniósł z dna pontonu metrowy sonar holowany, opuścił go za burtę i rozwinął niemal na całą długość jego stumetrowy kabel. Umocował elektroniczny hol do burty, otworzył laptop i uruchomił program operacyjny sonaru. Po kilku minutach na ekranie zaczął się przesuwac zabarwiony na żółto obraz pofalowanego, piaszczystego dna jeziora pięćdziesiąt metrów poniżej.

- Seans rozpoczęty - oznajmił Giordino.

Pitt prowadził łódź równolegle do lądu, dopóki nie zrównał się z czarnym frachtowcem. Nie zmieniał kursu jeszcze przez pół kilometra, potem skręcił na środek jeziora.

- Kiedy przelatywaliśmy nad „Primorskim” ostatniej nocy, znajdował się tam - powiedział Pitt i wskazał na południowy wschód. Odwrócił się na północ i przyjrzał punktom orientacyjnym na brzegu, które postarał się zapamiętać w czasie lotu helikopterem.

Giordino skinął potakująco głową.

- Zgadza się, jesteśmy na miejscu.

Pitt wyjął z kieszeni kompas, zorientował się, jak ma płynąć, i położył go na ławce przed sobą. Od czasu do czasu zapalał latarkę ołówkową i sprawdzał, czy trzyma kurs. Po przebyciu kilometra zawrócił i skierował się bardziej na południe. Kontynuowali poszukiwania przez godzinę, oddalając się od brzegu. Giordino nie odrywał wzroku od obrazu dna na laptopie.

Pitt spojrział na ląd i przygotował się do zrobienia zwrotu, gdy nagle Giordino zameldował:

- Mam coś.

Pitt pochylił się do przodu, żeby zobaczyć, co pokazuje monitor. Po ekranie przesuwiał się ciemny, linearny obiekt. Potem pojawiła się druga cienka linia, biegnąca pod kątem w jego kierunku. Obraz przybrał wolno kształt dużej litery A z kilkoma dodatkowymi elementami poprzecznymi.

- Ma około dwunastu metrów długości - powiedział Giordino. - Wygląda jak tamta konstrukcja, którą widzieliśmy ostatniej nocy na pokładzie rufowym „Primorskiego”. To wstyd tak zaśmiewać jezioro.

- Fakt, powinni się wstydzić - przyznał Pitt i spojrział w kierunku czarnego frachtowca. - Pytanie, dlaczego to zrobili, mój drogi Watsonie?

Kiedy Pitt schylił się i wyłączył silnik, Giordino wiedział już, że poszukają odpowiedzi. Czarny frachtowiec od początku niepokoił Pitta. Gdy się okazało, że jest wydzierżawiony przez Konsorcjum Naftowe Awarga, nie miał już wątpliwości, że ten statek ma jakiś związek ze zniknięciem Sarkowa i ekipy poszukiwaczy ropy. Giordino szybko wyciągnął z wody sonar, zamknął laptop i sięgnął po wiosła.

Ciemny, cichy „Primorski” stał przycumowany na krańcu portu. Obok statku nadal parkowały dwie duże ciężarówki z zakrytym ładunkiem. Nabrzeże było ogrodzone wysoką siatką. W wartowni przy bramie czuwali dwaj ochroniarze. Jeden z samochodów otaczało kilku mężczyzn. Studiowali mapę rozpostartą na błotniku. Frachtowiec wyglądał na opuszczony.

Pitt i Giordino zbliżyli się cicho do statku, dryfując wolno w cieniu jego wysokiej rufy. Pitt sięgnął w górę, uchwycił się cumy, która znikła w wodzie, i przeciągnął ponton wzdłuż nabrzeża. Kiedy Giordino przywiązał łódź do pala, Pitt wspiął się na drewniany pomost.

Ciężarówki stały na drugim końcu, bliżej dziobu frachtowca, ale Pitt słyszał głosy mężczyzn na pustym nabrzeżu. Zauważył dwie zardzewiałe beczki po oleju, podkraść się do nich i przykucnął za nimi. Kilka sekund później dołączył do niego Giordino i popatrzył na zaskakująco cichy statek.

- Pokład jest pusty jak kościół w poniedziałek - szepnął.

- Właśnie, trochę tu za spokojnie.

Pitt wychylił się zza beczek i zobaczył trap prowadzący do ładowni dziobowej frachtowca. Potem przyjrzał się relingowi bocznego pokładu, dwa i pół metra nad nabrzeżem.

- Nie uda nam się wejść po trapie - szepnął do Giordina. - Ale możemy się wspiąć na to - wskazał beczki po oleju.

Dotoczył ostrożnie jedną beczkę do krawędzi pomostu i wszedł na nią. Ugiął nogi w kolanach, skoczył z beczki nad metrowym pasem wody i złapał się relingu. Wisiał przez moment na burcie, potem rozhuścił ciało i wśliznął się pod relingiem na pokład. Niższy Giordino miał trudniejsze zadanie. Po skoku ledwo dosięgnął relingu i zawisnął na jednej ręce, ale po chwili Pitt wciągnął go na statek.

- Następnym razem pojedę windą - mruknął Giordino.

Ukryci w mroku, zaczęli oglądać frachtowiec. „Primorski” miał niewiele ponad siedemdziesiąt metrów długości - mało jak na jednostkę pełnomorską - i budowę klasycznego statku towarowego: odkryty pokład dziobowy i rufowy oraz nadbudowę umieszczoną na śródokręciu. Kadłub zrobiono ze stali, a pokłady pokryto drewnem tekowym, cuchnącym teraz olejem, ropą i wszelkiego rodzaju chemikaliami, które deski wchłaniały przez ponad czterdzieści lat. Pitt obrzucił wzrokiem pokład rufowy, gdzie przy otwartym luku stało kilka metalowych kontenerów. Podkraśli się do jednego z nich i w jego cieniu zajrzeli do głębokiej ładowni.

Oba jej krańce wypełniały stopy stalowych rur o małej średnicy. Środek pomieszczenia był pusty. Mimo ciemności dostrzegli w dole ślady podpór tajemniczej konstrukcji, która ostatnio tu stała. Jeszcze bardziej zaintrygowała ich pokrywa o średnicy około dwóch metrów, zasłaniająca otwór w pokładzie, dokładnie w centralnym punkcie między śladami po podporach.

- Wygląda jak dziura do świdra w statku wiertniczym na Morzu Północnym - szepnął Pitt.

- Są nawet rury - przytaknął Giordino. - Ale to nie jest statek wiertniczy.

Uwaga była słuszna. Statek wiertniczy ma na pokładzie świder, rurę do odprowadzania ropy ze złoża i zbiornik do jej magazynowania. Stary frachtowiec może mógłby prowadzić wiercenia, ale na pewno nie był przystosowany do gromadzenia ropy.

Pitt nie tracił czasu na rozważanie tej kwestii. Ruszył szybko w kierunku przejścia przy lewej burcie. Kiedy dotarł do nadbudowy, zatrzymał się, przywarł plecami do przegrody i wyjrzał zza rogu. Wciąż

ani śladu załogi. Gdy zaczął się posuwać wolno naprzód, mając Giordina tuż za sobą, odetchnął z ulgą, że są teraz niewidoczni z nabrzeża.

Doszli do poprzecznego korytarza, który przecinał nadbudowę od burty do burty. Puste przejście oświetlał przyćmiony żółty blask pojedynczej żarówki pod sufitem. Gdzieś w oddali buczał jak rój pszczół generator prądotwórczy. Pitt stanął pod lampą, obciągnął rękaw swetra na prawą dłoń, sięgnął w górę i odkręcił żarówkę. W korytarzu, gdzie nie docierało światło latarń na nabrzeżu, zapadła ciemność.

Nagle za nimi rozległ się trzask zamka w drzwiach kabiny. Skręcili szybko za róg. Pitt zobaczył na lewo od siebie otwarte, słabo oświetlone pomieszczenie. Weszli tam. Giordino zamknął drzwi.

Nastłuchiwali kroków i rozglądali się. Byli w mesie, która pełniła również funkcję sali konferencyjnej. Wnętrze nie pasowało do reszty zaniedbanego frachtowca. Na perskim dywanie stał lśniący, mahoniowy stół, otoczony krzesłami obitymi skórą. Gustowna tapeta i sztuczne rośliny upodabniałyabinę do holu w hotelu Waldorf-Astoria. Podwójne drzwi na końcu pomieszczenia prowadziły do kuchni okrętowej. Na przegrodzie obok Pitta był zamontowany na wysokości wzroku duży ekran telewizyjny do odbioru przekazów satelitarnych.

- W takiej atmosferze przyjemnie jest jeść - mruknął Giordino.

Pitt podszedł do map na przegrodzie. Wydruki komputerowe pokazywały w powiększeniu różne rejony Bajkału. W niektórych miejscach wokół jeziora narysowano ręcznie czerwone, koncentryczne kręgi. Najwięcej było ich w części północnej. Część z nich zachodziła na brzeg, gdzie był zaznaczony rurociąg biegnący z zachodu na wschód.

- Miejsca wierceń? - zapytał Giordino.

- Prawdopodobnie - odrzekł Pitt. - Ekolodzy nie byłiby tym zachwyceni.

Giordino słuchał przy drzwiach, jak ktoś na zewnątrz schodzi po pobliskich schodach. Kiedy kroki ucichły w oddali, uchylił drzwi i wyjrzał na pusty teraz korytarz.

- Nikogo nie ma. I ani śladu pasażerów na pokładzie.

- Chcę się przyjrzeć szalupie - szepnął Pitt.

Otworzyli szerzej drzwi, wymknęli się na boczny korytarz i wrócili do przejścia przy lewej burcie. Poszli szybko naprzód i wydostali się na

odkryty pokład dziobowy, pod którym mieściły się dwie ładownie. Przy relingu wzdłuż lewej burty, blisko dziobu, na stojaku przymocowanym do pokładu spoczywała stara łódź. Były do niej przyłączone liny pobliskiej wciągarki, co wskazywało, że niedawno spuszczano ją na wodę.

- Widać ją wyraźnie z mostka - powiedział Giordino i wskazał zamglone światło w górze, które sączyło się przez przednią szybę sterowni, sześć metrów nad ich głowami.

- Ale tylko wtedy, kiedy ktoś patrzy w tę stronę - odparł Pitt. - Obejrzej ją szybko.

Giordino został w mroku, Pitt schylił się nisko i pobiegł przy lewym nadburciu przez odkryty pokład. W mdłej poświacie z nabrzeża i sterowni jego ruchoma postać rzuciła słaby cień. Dostrzegł kątem oka ciężarówkę i mężczyzn na pomoście. Ale wiedział, że w czarnym swetrze i czarnych spodniach jest niemal niewidoczny z takiej odległości. Bardziej niepokoił go ludzie na mostku.

Dobiegł sprintem do szalupy i przykucnął w jej cieniu obok relingu. Kiedy przestało mu walić serce, zaczął nasłuchiwać, czy nie został wykryty.

Na frachtowcu panowała cisza. Docierały tu tylko przytłumione nocne odgłosy z pobliskiej wioski. Pitt spojrzął w górę na mostek i zobaczył przez szybę sterowni dwóch rozmawiających ze sobą mężczyzn. Żaden nie zwracał najmniejszej uwagi na pokład dziobowy.

Pitt wyjął latarkę ołówkową, przysunął ją do kadłuba łodzi i na moment włączył. Maleńki snop światła padł na zniszczoną, pomalowaną na czerwono burtę. Pitt potarł ją ręką i na palcach została mu farba. Tak jak podejrzewał, miała ten sam odcień, co smuga na prawej burcie „Wierieszczagina”.

Już miał zamiar stąd odejść, gdy nagle dostrzegł, że w środku łodzi coś leży. Opuścił rękę na dno szalupy i znów włączył latarkę. Krótki błysk oświetlił znoszoną czapkę baseballową z wyszytym z przodu czerwonym emblematem szarżującego wieprza. Pitt rozpoznał maskotkę Uniwersytetu Stanu Arkansas i przypomniał sobie, że to czapka Jima Wofforda. Teraz już był pewien, że załoga „Primorskiego” jest

zamieszana w próbę zatopienia „Wierieszczagina” i zniknięcie zaginionych osób.

Schował latarkę, wstał i znów spojrzął na mostek. Dwaj mężczyźni nadal prowadzili ożywioną rozmowę i nie zwracali uwagi na pokład w dole. Pitt okrążył powoli dziób łodzi i nagle przystanął. W jego głowie odezwał się dzwonek alarmowy, zmysły wyczuły czyjaś bliską obecność. Ale było już za późno, żeby zareagować. Sekundę później oślepił go blask reflektora halogenowego i powietrze rozdarł okrzyk w języku rosyjskim:

- Stój!

9

W poświęceniu latarni na nabrzeżu z mroku wyłonił się jakiś mężczyzna i podszedł do Pitta na odległość półtora metra. Był młody, szczupły i miał czarne włosy w kolorze swojego kombinezonu roboczego. Pewnie trzymał w ręce pistolet automatyczny Jarygin JA kaliber 9 mm, wycelowany w pierś Pitta. Musiał siedzieć w dziobówce za kabestanem. Zobaczył stamtąd światło latarki Pitta i przyszedł sprawdzić, co się dzieje.

Chłopak ledwo przekroczył dwudziestkę i patrzył na Pitta rozbieranymi, piwnymi oczami. Pitt spojrzął na jego brudne od smaru palce zaciśnięte na uchwycie broni i domyślił się, że to mechanik, nie zawodowy ochroniarz. Ale celował prosto w Pitta i nie było wątpliwości, że naciśnie spust, jeśli zostanie do tego zmuszony.

Pitt stał w niewygodnym miejscu, wciśnięty między szalupę i reling. Od wartownika oddzielał go odkryty pokład. Kiedy facet lewą ręką uniół do ust radio, Pitt postanowił zacząć działać. Mógł się rzucić na wartownika, ryzykując, że zostanie postrzelony, lub wyskoczyć za burtę i spróbować zniknąć w zimnym jeziorze. Albo mieć nadzieję, że zjawi się Giordino. Ale Giordino był w odległości piętnastu metrów i gdyby wyszedł z cienia na pokład, wartownik natychmiast by go zobaczył.

Chłopak powiedział coś przez radio. Nie spuszczał Pitta z oka. Pitt stał bez ruchu i zastanawiał się, jaka może być w Rosji kara za

wtargnięcie na czyjś teren. Pomyślał z ironią że nie grozi mu zsyłka na Syberię, bo już jest tutaj. Potem przypomniał sobie martwego szypra na pokładzie „Wierieszczagina” i doszedł do wniosku, że może czekać go coś gorszego niż pobyt w syberyjskim łagrze.

Ugiął lekko kolana i czekał, aż w radiu zatrzęszczy odpowiedź, która zdekcentruje trochę wartownika. Kiedy w głośniku zabrzmiał gruby głos, Pitt przysunął rękę do relingu i napiął mięśnie nóg, żeby wyskoczyć za burtę. Ale tylko tyle zdążył zrobić.

Lufa pistoletu z hukiem błysnęła ogniem. Pitt zamarł, gdy kilka centymetrów od jego ręki pocisk odłupał kawałek drewna wielkości piłki baseballowej, który sekundę później wylądował w wodzie.

Na nabrzeżu rozległy się krzyki. Ludzi bardziej zaalarmował strzał niż meldunek radiowy. Po trapie wbiegli dwaj mężczyźni uzbrojeni w takie same wojskowe Jaryginy jak ten w dłoni chłopaka. Pitt natychmiast rozpoznał w drugim z mężczyzn zaginionego oficera z „Wierieszczagina”, ponurego faceta o imieniu Anatolij. U stóp zejściówki mostka pojawił się wkrótce trzeci mężczyzna i dołączył do reszty. Sprawiał wrażenie szefa. Miał długie, ciemne włosy i przyglądał się całej scenie zimnymi, piwnymi oczami. W świetle z nabrzeża Pitt zauważył na jego lewym policzku długą bliznę, zapewne pamiątkę po walce na noże w młodości.

- Znalazłem tego intruza ukrytego za szalupą - zameldował młody wartownik.

Długowłosy mężczyzna przyjrzał się szybko Pittowi, potem odwrócił się do dwóch ludzi z nabrzeża.

- Sprawdźcie, czy nie ma tu jeszcze kogoś. I żadnej strzelaniny. Nie możemy zwracać na siebie uwagi.

Zaczęto pośpiesznie przeszukiwać ciemne zakamarki na pokładzie dziobowym. Pitta zaprowadzono na środek pokładu, gdzie padało z góry światło.

- Co się dzieje z Aleksandrem? - zapytał spokojnie Pitt. - Miałem się tu z nim spotkać.

Wątpił, żeby blef się udał, ale obserwował reakcję mężczyzny wyglądającego na szefa. Tamten tylko lekko uniósł brwi.

- Angielski? - odezwał się w końcu bez zainteresowania. - Musi pan być z „Wierieszczagina”.

- Znalazłem ludzi odpowiedzialnych za próbę zatopienia statku - odrzekł Pitt.

Dostrzegł w słabym świetle, że tamten poczerwieniał. Opanował gniew, gdy Anatolij i jego towarzysz podeszli, kręcąc głowami.

- Nikogo? Dobra, zabierzcie go tam, gdzie jest ten drugi, i pozbadźcie się ich po cichu w takim miejscu, żeby nikt ich nie znalazł - wycedził szef.

Wartownik wystąpił naprzód, wbił Pittowi lufę pistoletu w żebra i wskazał głową przejście przy lewej burcie. Pitt ruszył niechętnie w kierunku mroku, gdzie zostawił Giordina, mając za plecami wartownika i dwóch marynarzy. Kątem oka dostrzegł, że szef z blizną na twarzy wrócił bocznymi schodami na mostek.

Kiedy mijał skrzyżowanie korytarzy, spodziewał się, że z ciemności wyskoczy Giordino i zaatakuje jego eskortę, ale nic takiego się nie stało. Doszli na pokład rufowy i popchnięto go w stronę jednego z zardzewiałych kontenerów. Nie stawiał oporu i czekał spokojnie, aż jeden z ludzi upora się z kłódką na drzwiach kontenera. Wartownik wciąż szturchał go lufą w żebra. Nagle Pitt błyskawicznie odtrącił broń lewym łokciem i zanim tamten zorientował się, co się dzieje, zadał mu z obrotu cios prawą pięścią. Potężny sierpowy trafił wartownika w szczękę. Chłopak zatoczył się do tyłu, wpadł na Anatolija i upuścił pistolet na pokład.

Drugi mężczyzna miał zajęte ręce, bo trzymał kłódkę, więc Pitt zaryzykował i dał nura po leżący pistolet. Kiedy wylądował na pokładzie i dosięgnął broni wyciągniętą ręką, zwałił się na niego osiemdziesięciokilogramowy ciężar. Anatolij przytomnie odepchnął od siebie ogłuszonego ciosem wartownika, który runął Pittowi na plecy. Gdy Pitt próbował się przetoczyć i zrzucić go z siebie, poczuł nagle z boku szyi ucisk zimnej lufy pistoletu. Wiedział, że nie ma szans i wypuścił broń z ręki.

Anatolij trzymał go pod lufą, dopóki jego kolega nie odczepił kłódki i nie otworzył podwójnych drzwi kontenera. Pitt został brutalnie wepchnięty do środka, potknął się o coś miękkiego i upadł. Dostrzegł w

słabym światłem, że przewrócił się o leżącego człowieka. Mężczyzna poruszył się, uniósł na łokciu i odwrócił twarzą do Pitta.

- Dirk? Miło, że wpadłeś - wychrypiął zmęczonym głosem Aleksander Sarkow.

Kiedy Pitt został złapany na dziobie, Giordino zaklął cicho w mroku. Bez broni miał ograniczone możliwości działania. Rozważał atak na wartownika, ale musiałyby przebiec zbyt dużą otwartą przestrzeń, gdzie byłby doskonale widoczny. Gdy padł strzał, Giordino całkowicie zrezygnował z bohaterstwa. Słyszając, jak na pokład wbiegają po trapie ludzie z nabrzeża, postanowił się wycofać i dostać się poprzecznym przejściem do prawej burty. Pomyślał, że może uda mu się zaatakować przeciwników od tyłu.

Przemknął cicho wzdłuż przegrody pokładem przy lewej burcie i skręcił w poprzeczny korytarz. Za rogiem zderzył się z postacią w czerni, biegnącą w przeciwnym kierunku. Jak w scenie z niemego filmu o nieudolnych gliniarzach odbili się od siebie niczym gumowe piłki i upadli na plecy. Zwinny niczym kot Giordino natychmiast zerwał się na nogi i rzucił na faceta, zanim tamten zdążył wstać. Złapał go za kłapy i walnął nim o przegrodę. Głowa przeciwnika uderzyła z cichym dźwiękiem o stalową ścianę i ciało w rękach Giordina natychmiast zwiotczało.

W tym samym momencie na pokładzie przy lewej burcie rozległy się kroki. Giordino zerknął w stronę oświetlonego dziobu i zobaczył Pitta prowadzonego w kierunku rufy. Szybko wciągnął nieprzytomnego mężczyznę do poprzecznego korytarza i ukrył się z nim w sali konferencyjnej. Dźwignął bezwładne ciało na stół i zobaczył, że człowiek ten jest jego wzrostu i ma na sobie taki sam czarny kombinezon jak wartownik na pokładzie. Przeszukał go szybko, ale nie znalazł broni, gdyż facet był radiooperatorem. Giordino zdjął z niego kombinezon i wciągnął na siebie, potem włożył jego ciemną wełnianą czapkę rybacką. Zadowolony, że w ciemności może uchodzić za członka załogi, wrócił na korytarz i ruszył ku rufie, nie mając bladego pojęcia, co dalej robić.

Sarkow miał pogniecione ubranie, potargane włosy i podbite lewe oko. Choć wyglądał fatalnie, ożywił się na widok Pitta.

- Jak się masz? - zapytał Pitt, pomagając mu usiąść.

- Nic mi nie jest - odrzekł Rosjanin silniejszym głosem. - Po prostu trochę mnie poturbowali, kiedy posłałem jednego z nich na deski. - Uśmiechnął się lekko z satysfakcją.

Za ich plecami zatrzasnęły się drzwi kontenera i w środku zapadła zupełna ciemność. Rozległ się warkot diesla. Uruchomiono silnik dźwigu pokładowego. Wysięgnik przesunął się nad pokładem i zatrzymał nad kontenerem. Na końcu ramienia żurawia kołysał się stalowy hak. Operator zwolnił linę, z metalicznym dźwiękiem opuścił hak na kontener.

W środku Pitt zapalił swoją latarkę ołówkową. Sarkow odzyskiwał siły.

- Próbowali zatopić „Wierieszczagina” - powiedział Rosjanin. - Ale skoro tu jesteś, pewnie im się nie udało.

- Niewiele brakowało - odrzekł Pitt. - Statek nie zatonął, bo zdążyliśmy doholować go do brzegu. Ale zniknęła ekipa poszukiwaczy ropy. Byli tutaj z tobą?

- Tak, ale rozdzielono nas, kiedy znaleźliśmy się na pokładzie frachtowca. Kiedy na naszym statku usłyszałem zamieszanie, wyszedłem z kajuty, żeby sprawdzić, co się dzieje. Zobaczyłem przed sobą lufę pistoletu. Celował do mnie pierwszy oficer, Anatolij. On i Tatiana sterroryzowali nas bronią, zaprowadzili do czekającej szalupy i przywieźli tutaj. Nie mam pojęcia, w jakim celu - dodał, kręcąc głową.

- Teraz najważniejsze jest to, żebyśmy się stąd wydostali - odrzekł Pitt, wstał i się rozejrzał. Kontener był pusty, na podłodze wałało się tylko kilka szmat.

Na zewnątrz stalowego więzienia Anatolij przeciągnął pod kontenerem dwie liny z pętlami na obu końcach. Inny załogant, wdrapał się na kontener, zebrał razem liny i zaczepił za hak. Wartownik znokautowany przez Pitta wstał chwiejnie z pokładu, podniósł swój pistolet i zaczął się przyglądać z daleka operacji.

Szczupły załogant zeskoczył z kontenera i wrócił do żurawia w ciemnym kącie pokładu, kilka metrów dalej. Przesunął wysięgnik w górę. Kiedy liny się naprężyły, uniósł wolno kontener z pokładu. Nie odrywał wzroku od wiszącej w powietrzu metalowej skrzyni, toteż nie

zauważył postaci skradającej się do niego z boku. Nie zdążył też dostrzec pięści, która nagle wystrzeliła z ciemności i walnęła go poniżej ucha z energią kinetyczną kuli do burzenia murów. Gdyby natychmiast po ciosie w tętnicę szyjną nie stracił przytomności, zobaczyłby przed sobą twarz Ala Giordina, który ściągnął go z siedzenia i rzucił na pokład jak worek kartofli.

Giordino nie miał czasu zapoznawać się z przyrządami sterowniczymi, kiedy zajął miejsce operatora. Pociągnął dźwignię prawą ręką i wysięgnik uniósł kontener jeszcze bardziej. Sięgnął lewą ręką do innej dźwigni i skierował wysięgnik w stronę śródkręcia. Potem przeniósł kontener nad lewą burtą statku, niemal zawadzając nim o reling. Zatrzymał na moment dźwig i rozkołysany kontener zawisnął niebezpiecznie nad wodą. Tak jak się spodziewał, Anatolij i wartownik podeszli do burty, żeby zobaczyć, jak kontener tonie. Mimo nocnego chłodu po czole Giordina spływał pot, gdy z dłońmi na dźwigniach czekał na sygnał Anatolija, żeby zrzucić kontener. Kiedy tamten dał znak, Giordino oddalił wolno wysięgnik od statku i zaczekał, aż huśtający się kontener osiągnie punkt maksymalnego wychylenia. Wtedy gwałtownie cofnął dźwignie i najszybciej jak mógł przesunął wysięgnik z powrotem nad pokład rafowy.

Dwaj mężczyźni przy relingu patrzyli zdezorientowani, jak wysięgnik zatacza w górze łuk, kontener na ułamek sekundy zatrzymuje się w powietrzu, a potem zmienia kierunek ruchu i nagle zaczyna szybować prosto na nich.

Wartownik, który jeszcze niepewnie stał na nogach, zdołał się odchylić na piętach do tyłu i zaklął, gdy dwutonowa metalowa skrzynia minęła o parę centymetrów jego twarz. Anatolij nie miał tyle szczęścia. Zamiast się odchylić, próbował uciec w bok. Ale bezpieczne miejsce było zbyt daleko i zdążył zrobić tylko jeden mały krok, zanim dosięgnął go kontener. Z jego zmiażdżonych płuc wyrwał się gardłowy krzyk i upadł na pokład jak szmaciana lalka.

Oszołomiony wartownik przy relingu spojrzął na operatora dźwigu i zaczął obrzucać go przekleństwami. Potem nagle zamilkł, gdy zdał sobie sprawę, że to nie jego kolega. Kiedy sięgnął po broń, Giordino przestawił dźwignię i wysięgnik znów zaczął się obracać w kierunku lewej burty.

Wartownik wycelował i strzelił, Giordino schylił się i pocisk zagwizdał tuż nad jego głową.

Kontener wychylił się wcześniej maksymalnie w prawo i teraz zataczał łuk w lewo. Wartownik stanął na jego drodze, żeby oddać następny strzał. Przykucnął, by metalowa skrzynia przeszła nad nim. Kiedy jednak zbliżyła się do niego, Giordino szarpnął dźwignię i opuścił wysięgnik. Kontener opadł w dół.

Na rufie rozległ się przeraźliwy wrzask, gdy skrzynia uderzyła w pokład i przewróciła się na bok. Zmiażdżyła nogę próbującemu uciec wartownikowi. Przygwożdżony masywnym kontenerem mężczyzna wył z bólu. Giordino podbiegł do niego, nadepnął mu na nadgarstek i podniósł pistolet, który tamten wypuścił z ręki. Potem zerwał z głowy wełnianą czapkę i wepchnął wartownikowi do ust, żeby go uciszyć.

- Uważaj na obiekty latające - mruknął do rannego, który patrzył na niego szklistymi oczami pełnymi cierpienia.

Wycelował z bliska w kłódkę i dwukrotnie nacisnął spust. Roztrzaskał ją kulami. Odciągnął rygiel i otworzył drzwi. Pitt i Sarkow wytoczyli się na zewnątrz, wstali chwiejnie i rozmasowywali bolące części ciała.

- Tylko mi nie mów, że w poprzednim życiu obsługiwałeś karuzelę - powiedział z krzywym uśmiechem Pitt.

- Grałem w kręgle - odrzekł Giordino. - Jeśli czujecie się na siłach, chłopaki, to proponuję, żebyśmy się stąd szybko wynieśli.

W części dziobowej frachtowca rozległ się tupot nóg i głośne okrzyki. Ktoś wbiegał po trapie na statek. Pitt popatrzył na pokład rufowy i zauważył leżące nieruchomo ciała. Spojrzał na Sarkowa. Poruszał się on z trudem i nie był w stanie uciekać.

- Wezmę zodiaka. Zaprowadź Aleksandra na rufę i opuśćcie się na dół po linie cumowniczej - polecił Pitt.

Giordino ledwo zdążył skinąć głową gdy Pitt popędził w kierunku prawej burty. Przeszedł przez reling i skoczył na nabrzeże. Wylądował zwinięty w kłębek na pomoście.

Na statku słychać było coraz więcej głosów. Zbliżały się. Poprzedzały je snopy światła latarek. Pitt zrezygnował z ostrożności i puścił się sprintem do pontonu. Słyszał za sobą dudnienie kroków na

pomoście. Wskoczył do łodzi i jego modlitwy zostały wysłuchane - stary silnik odpalił po pierwszym szarpnięciu linki rozruchowej. Pitt zwiększył obroty i skierował się w stronę rufy frachtowca. Płynął naprzód, dopóki dziób pontonu nie natrafił na kadłub statku.

Przymknął przepustnicę i spojrział w górę. Dokładnie nad jego głową ukazał się Sarkow. Trzymał się kurczowo liny cumowniczej.

- Skacz, Aleks - ponaglił go Pitt.

Wstał i złapał ciężkiego Rosjanina, gdy ten opadł do gumowej łodzi niczym worek kartofli. Nad nimi rozległy się strzały z pistoletu. Sekundę później na linie pojawił się Giordino i ręką za ręką zszedł tuż nad ponton. Kiedy na pokładzie w górze znów rozległy się krzyki, zeskoczył cicho do zodiaka.

- Zmywajmy się - powiedział.

Pitt otworzył przepustnicę, okrążył rufę i skręcił na jezioro. Mała łódź pneumatyczna z fiberglasowym dnem pomknęła ślizgiem po wodzie. Przez kilka sekund byli widoczni z nabrzeża i statku, więc skulili się, żeby uniknąć kul.

Ale nikt nie strzelał. Pitt zerknął za siebie i zobaczył, że przy relingu wzdłuż lewej burty zebrała się grupka mężczyzn. Stali tylko i patrzyli, jak ponton znika w ciemności.

- Dziwne, że nagle stali się tacy niegroźni - stwierdził Giordino, obserwując frachtowiec.

Pitt nie zadał sobie trudu, żeby dla zmylenia przeciwnika zmienić kurs, i pruł prosto na „Wierieszczagina”. Kiedy po kilku minutach dotarli do statku, podpłynął do nisko położonej zejściówki z prawej burty. Milicjant na brzegu tym razem ich zobaczył i zawołał, żeby się zatrzymali. Sarkow wstał i odkrzyknął coś po rosyjsku. Milicjant nie próbował z nim dyskutować i odszedł szybkim krokiem.

- Kazałem mu obudzić komendanta - wyjaśnił Sarkow. - Trzeba będzie przeszukać tamten frachtowiec.

Rudi Gunn, który w czasie ich nieobecności spacerował nerwowo po pokładzie, usłyszał krzyki i przybiegł z mostka w momencie, gdy wspięli się na statek.

- Aleksander! Wszystko w porządku? - zapytał z niepokojem na widok opuchniętej twarzy i zakrwawionego ubrania Rosjanina.

- Nic mi nie jest. Bądź tak uprzejmy i poproś do mnie kapitana.

Pitt zaprowadził Sarkowa do izby chorych na „Wierieszczaginie”. Gunn obudził lekarza okrętowego i kapitana Charitonowa. Kiedy lekarz badał Sarkowa, Giordino znalazł butelkę wódki i nalał kolejkę.

- Niewiele brakowało - stwierdził rosyjski naukowiec, gdy po wypiciu alkoholu odzyskał siły. - Jestem waszym dłużnikiem, przyjaciele - dodał i wznosił drugi pełny kieliszek w kierunku Amerykanów z NUMA.

- Twoje zdrowie - powiedział Pitt i wypił.

- Wasze zdrowie! - odparł Sarkow i wychylił kieliszek.

- Wiesz, co się stało z Theresą i innymi? - zapytał Giordino z zatroskaną miną.

- Rozdzielili nas, kiedy weszliśmy na pokład frachtowca. Mnie chcieli zabić, ale oni najwyraźniej byli im z jakiegoś powodu potrzebni żywi. Podejrzewam, że nadal są na tamtym statku.

- Aleksander! - zagrział kapitan Charitonow, wpadając do ciasnej izby chorych. - Jesteś cały?

- Ma zwichnięty nadgarstek i kilka innych obrażeń - zameldował lekarz, który właśnie opatrywał skaleczenie na twarzy Sarkowa.

Naukowiec zbył to machnięciem ręki.

- Drobiazg. Posłuchaj, Jan. Nie ma wątpliwości, że za próbę zatopienia twojego statku jest odpowiedzialna załoga frachtowca Konsorcjum Naftowego Awarga. Pracował dla nich twój człowiek, Anatolij. Możliwe też, że ich współpracowniczką jest Tatiana.

- Anatolij? Zatrudniłem go niedawno, kiedy mój pierwszy oficer doznał poważnego zatrucia pokarmowego. - Kapitan zaklął. - Co za draństwo! Zaraz zawiadomię władze. Ci bandyci nie uciekną.

Władze, w osobach naczelnika milicji, jego asystenta i dwóch śledczych z Irkucka, zjawily się dopiero godzinę później. Tyle czasu potrzebował impertynencki komendant, żeby wstać z łóżka, ubrać się, zjeść na śniadanie parówki i wypić kawę. Potem bez pośpiechu udał się na statek, po drodze wstępując do hoteliku po dwóch śledczych.

Sarkow powtórzył swoją opowieść o porwaniu, Pitt i Giordino zrelacjonowali swoje poszukiwania brakującego dźwigu i ucieczkę z frachtowca. Dochodzenie stopniowo przejęli milicjanci z Irkucka.

Zadawali dociekliwe, sensowne pytania. Pitt zauważył, że zachowują się tak, jakby znali rosyjskiego naukowca. Traktowali go z niezwykle szacunkiem.

- Do sprawdzenia tego frachtowca zmobilizujemy wszystkie nasze siły - oznajmił z przechwałką w głosie komendant. - Siergiej, zawiadom wszystkich z ochotniczej rezerwy milicji w Listwiance, że mają się natychmiast stawić na posterunku.

Minęła następna godzina, zanim oddział milicjantów z nadętym komendantem na czele udał się w kierunku portu. Wstawał świt, tuż nad ziemią wisiała szara mgła. Pitt i Giordino w towarzystwie Gunna i Sarkowa weszli za milicjantami na nabrzeże przez otwartą, niestrzeżoną teraz bramę. Pomost był zupełnie pusty. Pitt poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku, gdy przekonał się, że zniknęły trzy ciężarówki, stojące wcześniej przy frachtowcu.

Komendant wkroczył energicznie na trap statku, wołając kapitana, ale odpowiedziało mu tylko buczenie generatora. Pitt wszedł za nim do pustej sterowni, skąd zniknął dziennik okrętowy i wszystkie mapy. Milicjanci metodycznie przeszukali cały frachtowiec, ale wszystkie pomieszczenia świeciły pustkami. Nie znaleziono niczego, co mogłoby zdradzić zamiary załogi statku, ani żadnej osoby, która mogłaby je ujawnić.

Giordino pokręcił głową.

- Zwali - mruknął. - Nawet w kajutach nic nie zostało. Szybko się uwinęli.

- To mi nie wygląda na nagłą ucieczkę z powodu naszej niedawnej wizyty. Nie zdążyliby się wynieść w tak krótkim czasie. Nie, oni skończyli swoją robotę tutaj i byli gotowi do wyprowadzki, kiedy ich odwiedziliśmy. Założę się, że na pokładzie w ogóle nie było żadnych rzeczy osobistych, żeby nikt nie wpadł na ich trop. Zaplanowali z góry, że zostawią pusty statek.

- I zabiorą ze sobą ekipę poszukiwaczy ropy - dodał Giordino, myśląc o Theresie. Wrócił do sterowni, w nadziei, że znajdzie jakąś wskazówkę, dokąd pojechały ciężarówki.

Pitt stał na skrzydle mostka i patrzył w dół na pokład rufowy i pozostawione tam puste kontenery. Zastanawiał się nad przyczyną porwania ekipy poszukiwawczej i jej losem. Statek był skąpany w

różowym blasku wschodzącego słońca i Pitt widział ślady wyżłobione w pokładzie przez zatopiony dźwig, który stał tam poprzedniej nocy Klucz do poznania sekretów frachtowca zabrała ze sobą załoga, która po cichu zniknęła. Ale nie była w stanie ukryć dźwigu na dnie jeziora. Pitt nie wiedział, jakie znaczenie ma ten trop, ale w głębi duszy podejrzewał, że prowadzi do dużo większej tajemnicy.

CZEŚĆ II

Droga do Xanadu

Motocykl Jawa rocznik 1953



Kapitan Steve Howard zmrużył oczy i popatrzył przez odrapaną lornetkę na błękitne, lśniące wody Zatoki Perskiej. Farwater często bywał zatłoczony frachtowcami, tankowcami i okrętami wojennymi, które bazowały w tym rejonie, zwłaszcza wokół wąskiego toru wodnego w cieśninie Ormuz. Ale kapitan przekonał się z zadowoleniem, że tego popołudnia u wybrzeży Kataru prawie nie ma ruchu. Na lewo od jego dziobu zbliżał się duży tankowiec obciążony ładunkiem ropy. Howard spojrział w kierunku swojej rufy. Kilka mil za nim płynął mały, czarny statek wiertniczy. Kapitan spodziewał się widoku samych tankowców i teraz z ulgą skierował lornetkę w dół, na dziób swojego statku.

Gołym okiem nie widziałby wyraźnie forpiku, oddalonego o dwieście czterdzieści metrów. Nad białym górnym pokładem „Mariana” falowało gorące powietrze. W przepastnych zbiornikach ogromnego supertankowca mieściły się ponad dwa miliony baryłek ropy. Statek był większy od biurowca Chrysler Building i miał mniej więcej taką samą manewrowość. Płynął teraz po ładunek saudyjskiej ropy, pompowanej z pól naftowych Ghawar.

Żegluga przez cieśninę Ormuz wywoływała u Howarda stan podświadomego napięcia. Choć obecność okrętów amerykańskiej marynarki wojennej w zatoce była widoczna, nie mogły chronić każdego statku wpływającego na ruchliwy farwater. W sąsiedztwie położonego po drugiej stronie zatoki Iranu i kilku krajów na Półwyspie Arabskim, gdzie mogli się czaić terroryści, kapitan miał powody do niepokoju. Spacerował po mostku i obserwował horyzont. Wiedział, że odpręży się dopiero wtedy, gdy wezmą ładunek i znajdą się na głębokich wodach Morza Arabskiego.

Zauważył nagły ruch na pokładzie, wyregulował lornetkę i zobaczył żylastego, kudłatego blondyna, który jechał przez statek na żółtym mopedzie.

Schylał się, omijał rury i zawory na pokładzie i pędził z maksymalną szybkością. Howard patrzył, jak szalenciec skręca i mija mężczyznę bez

koszuli, wyciągniętego na leżaku ze stoperem w rękę. Howard się uśmiechnął.

- Widzę, że nasz pierwszy oficer wciąż próbuje pobić rekord toru. Oficer wykonawczy, pochylony nad kolorową mapą nawigacyjną zatoki, przytaknął, nie podnosząc wzroku.

- Jestem pewien, że dziś nie poprawi pańskiego wyniku - odrzekł. Kapitan się roześmiał. Trzydziestoosobowa załoga supertankowca wciąż wymyślała coś nowego, żeby się nie nudzić w czasie długich rejsów transatlantyckich i postojów, kiedy napelniano lub opróżniano zbiorniki statku.

Rozklekotany moped, używany do poruszania się po rozległym pokładzie podczas inspekcji, stał się nagle pojazdem służącym do rywalizacji sportowej. Na pokładzie wyznaczono owalny tor i członkowie załogi przejeżdżali go kolejno jak kierowcy samochodowi w czasie kwalifikacji do wyścigu Indy 500. Okazało się, że kapitan był tutaj bezkonkurencyjny. Nikt nie wiedział, że Howard w młodości startował w motocrossach w południowej Kalifornii, gdzie się wychowywał.

- Zbliżamy się do Dhahranu, panie kapitanie - powiedział oficer wachtowy, Afroamerykanin z Houston nazwiskiem Jensen. - Do Ras Tannury zostało dwadzieścia pięć mil. Mam wyłączyć autopilota?

- Tak, niech pan przejdzie na ręczne sterowanie i w odległości dziesięciu mil zmniejsz szybkość. Proszę zawiadomić terminal, że za około dwie godziny będziemy gotowi do przyjęcia holowników.

Prowadzenie supertankowca wymagało myślenia z wyprzedzeniem, zwłaszcza gdy chodziło o zatrzymywanie tego kolosa. Z pustymi zbiornikami statek miał mniejsze zanurzenie i trochę lepszą zwrotność.

Na zachodnim brzegu zakurzona, brązowa pustynia ustąpiła miejsca miastu Dhahran, siedzibie koncernu naftowego Saudi Aramco. Tankowiec minął miasto i pobliski port Dammam, a potem skierował się ku wąskiemu półwyspowi Ras Tannura, który wrzyna się w zatokę od północy.

Na półwyspie leży miasto Ras Tannura z wielkim portem naftowym. Przepływa tędy ponad połowa tego surowca eksportowanego przez Arabię Saudyjską. Państwowy kompleks jest połączony labiryntem rurociągów z polami naftowymi na pustyni. Na krańcu półwyspu, w licznych wielkich zbiornikach, cenna czarna ciecz czeka wraz ze

skroplonym gazem ziemnym na transport do Azji i na Zachód. Dalej na północ największa rafineria na świecie przetwarza surową ropę na produkty petrochemiczne. Ale najbardziej imponujące miejsce w Ras Tannurze jest ledwo widoczne.

Na mostku „Mariana” Howard nie zwracał uwagi na zbiorniki magazynowe i rurociągi. Przypatrywał się sześciu supertankowcom, stojącym parami w pobliżu półwyspu. Statki były przycumowane do terminalu Sea Island, który tworzył na zatoce groblę o długości półtora kilometra. Terminal poił puste supertankowce niczym oaza spragnione wielbłądy. Ropa docierała do statków ze zbiorników na brzegu, oddalonych o przeszło trzy kilometry. Płynęła po dnie zatoki do przepompowni załadunkowej niewidoczną siecią rur o średnicy siedemdziesięciu pięciu centymetrów.

„Marian” był coraz bliżej. Howard obserwował, jak trzy holowniki ustawiają przy Sea Island grecki tankowiec, a potem skręcają w kierunku jęgo statku. Ster supertankowca przejął pilot i ustawił „Mariana” burtą do pustego stanowiska cumowniczego na końcu terminalu załadunkowego na wprost Greka. Kiedy czekali, aż holowniki dopchną ich dalej, Howard podziwiał siedem innych supertankowców stojących w pobliżu. Wszystkie miały ponad trzysta metrów długości - więcej niż „Titanic” - i były cudem techniki. Choć Howard spotykał setki tankowców i wcześniej pływał na kilku supertankowcach, widok tych olbrzymów wciąż robił na nim wrażenie.

Kątem oka dostrzegł w oddali brudny biały żagiel arabskiego dau i odwrócił się, by popatrzeć na mały miejscowy żaglowiec. Dau płynął wzdłuż wybrzeża na północ i mijał czarny statek wiertniczy, który wcześniej trzymał się za rufą „Mariana”, a teraz był blisko lądu.

- Holowniki na pozycjach przy lewej burcie, panie kapitanie - zameldował pilot.

Howard tylko skinął głową i wkrótce masywny supertankowiec został dopchnięty do swojego miejsca postoju przy terminalu Sea Island. Do pustych zbiorników statku popłynęła rurami ropa i „Marian” zaczął wolno osiadać w wodzie. Howard odprężył się trochę, wiedząc, że przynajmniej na parę następnych godzin jest zwolniony ze swoich obowiązków.

Była prawie północ, gdy Howard ocknął się po krótkiej drzemce i poszedł na pokład dziobowy tankowca, żeby rozprostować nogi. Załadunek ropy dobiegał końca i wyglądało na to, że „Marian” zgodnie z planem odpłynie za trzy godziny i zwolni miejsce dla następnego w kolejce pustego supertankowca. Dźwięk syreny holownika w oddali powiedział kapitanowi, że tankowiec stojący przed „Marianem” jest już pełny i gotowy do odciągnięcia od Sea Island.

Howard popatrzył na światła iskrzące się wzdłuż wybrzeża Arabii Saudyjskiej i nagle z zaskoczeniem stwierdził, że kadłub statku uderza o dalby, masywne pale odbojowe, pokryte elastyczną powłoką ochronną, które były rozmieszczone wzdłuż stanowisk cumowniczych tankowców przy Sea Island i zapobiegały przesunięciu bocznemu statku podczas załadunku. Odgłosy uderzeń rozbrzmiewały na całej długości terminalu. Podeszedł do relingu, wychylił się za burtę i spojrział wzdłuż nabrzeża załadunkowego.

Nocą Sea Island i supertankowce były oświetlone jak choinki. W blasku baterii reflektorów Howard zobaczył, że terminal obija się o burty tankowców. Pomyślał, że to jakaś bzdura. Terminal był zbudowany na palach wpuszczonych w dno morza. A jednak wyginał się jak wąż i uderzał to w jeden tankowiec, to w drugi.

Łomot stawał się coraz głośniejszy, aż przerodził się w grzmot. Howard chwycił się relingu. Nie rozumiał, co się dzieje. Patrzył zaszokowany, jak od statku odrywają się, jedna po drugiej, cztery rury o średnicy sześćdziesięciu centymetrów, doprowadzające z przepompowni ropę, i rozpryskują ją na wszystkie strony. W pobliżu rozległ się krzyk i Howard zobaczył technika, który próbował się utrzymać na rozkołysanej platformie terminalu.

Jak okiem sięgnąć, stalowe nabrzeże wyginało się, wilo niczym gigantyczny wąż i waliło w wielkie statki. Zabrzmiały dzwonki alarmowe, gdy od następnego tankowca oderwały się rury przesyłowe i zalały burty statku czarną cieczą. Howard dostrzegł w dole dwóch mężczyzn w żółtych kaskach ochronnych, którzy biegli z krzykiem. Za nimi zaczęły wolno gasnąć światła. Howard obserwował to przez chwilę bez ruchu, zanim uświadomił sobie ze zgrozą, że terminal Sea Island tonie.

Uderzenia nabrzeża w „Mariana” przybrały na sile, dalby wgniatały burzę. Howard dopiero teraz usłyszał w dole głębokie dudnienie. Narastało przez kilka sekund i nagle ucichło. Zastąpiły je rozpaczliwe krzyki ludzi biegnących wzdłuż nabrzeża załadunkowego.

Puszczaly kolejne podpory terminalu i półtorakilometrowa wyspa znikala stopniowo pod falami, co przypominalo walacy sie domek z kart. Gdy Howard uslyszal krzyki ludzi w wodzie, przerazil sie, ze jego statkowi grozi niebezpieczenstwo. Odpiął od paska radio i zaczął wydawac rozkazy.

- Odciąć cumy! - zawołał. Czuł przyływ adrenaliny, strach popychał go naprzód. Popędził przez pokład na złamanie karku. Nie zwolnił nawet na śliskiej ropie zalewającej pokład.

- Niech główny... mechanik... da natychmiast... pełną moc - wysapał przez radio. Palilo go w płucach z braku tlenu.

Dobiegł do nadbudowy na rufie tankowca, zignorował windę, która była kilka korytarzy dalej, i skierował się do najbliższych schodów. W drodze na mostek osiem poziomów wyżej poczuł pod stopami wibracje silników. To mu dodało otuchy. Wdrapał się na górę, podbiegł do przedniej szyby sterowni i zobaczył, że jednak sprawdziły się jego najgorsze obawy.

Jeszcze kilka minut temu osiem supertankowców stojących parami przed „Marianem” rozdzielał terminal Sea Island. Teraz terminalu już nie było, opadał na dno Zatoki Perskiej dwadzieścia siedem metrów pod powierzchnią. Statki nie zostały odcumowane i ciężar tonącego nabrzeża ciągnął je ku sobie. W nocnej ciemności Howard zobaczył, jak światła dwóch tankowców stapiają się razem. Chwilę później rozległ się zgrzyt metalu o metal.

- Cała wstecz - rzucił Howard do oficera wachtowego. - Co z cumami?

- Rufowe odcięte - odrzekł Jensen. - Czekam na meldunek z dziobu, ale wygląda na to, że trzymają nas jeszcze co najmniej dwie liny - dodał, patrząc przez lornetkę na dwie naprężone cumy z prawej burty.

- Zbliża się do nas „Ascona” - powiedział sternik i wskazał głową w prawo.

Howard spojrział w tamtą stronę. Czarno-czerwony grecki supertankowiec o długości trzystu trzydziestu trzech metrów - takiej

samej jak „Marian” - stał wcześniej równolegle do nich w odległości osiemnastu metrów. Teraz oba statki sunęły wolno ku sobie, jakby przyciągał je potężny magnes.

Ludzie w sterowni „Mariana” patrzyli na to bezradnie. Pod ich stopami wielkie śruby tankowca zaczęły wreszcie mieć wodę z desperacką furją, gdy główny mechanik dał nagle pełne obroty silników.

Ruch wstecz był początkowo niewyczuwalny, potem ogromny statek zaczął się ospale cofać. Na moment przyhamowała go naprężona cuma dziobowa, potem pękła i „Marian” ruszył dalej. „Ascona” była coraz bliżej jego prawej burty. Zbudowany w Korei tankowiec miał prawie pełne zbiorniki i o cztery metry większe zanurzenie niż „Marian”.

- Dwadzieścia stopni w prawo - rozkazał Howard sternikowi, starając się oddalić dziób od dryfującego tankowca. Zdołał cofnąć „Mariana” na odległość dziewięćdziesięciu metrów od zatopionego terminalu, ale to nie wystarczyło, by uniknąć kolizji z sąsiednim statkiem.

Uderzenie było słabsze, niż się spodziewał, w sterowni ledwie wyczuwalne. Tylko przeciągły zgrzyt metalu zasygnalizował kolizję. W chwili zderzenia dwóch tankowców dziób „Mariana” był prawie na wysokości śródookręcia „Ascony”, ale wsteczny ruch statku Howarda znacznie zmniejszył siłę uderzenia. Dziób „Mariana” przez pół minuty tarł o lewą burtę greckiego tankowca, a potem oba statki się rozdzieliły.

Howard natychmiast kazał wyłączyć silniki i opuścić na wodę dwie łodzie ratunkowe, żeby poszukały w zatoce pracowników terminalu. Potem ostrożnie cofnął swój statek jeszcze o trzysta metrów od miejsca katastrofy i popatrzył na scenę przed sobą.

Każdy z dziesięciu supertankowców został uszkodzony. Dwa były tak mocno sczeplone ze sobą, że armia spawaczy rozdzielala je potem przez dwa dni. Trzy tankowce miały przechył boczny, spowodowany przedziurawieniem płyt podwójnych kadłubów, i do zatoki wyciekały z nich tysiące litrów ropy. Ale „Marian” niemal nie ucierpiał podczas kolizji. Dzięki szybkiej reakcji Howarda zbiorniki jego statku pozostały szczelne. Kapitan uratował swój tankowiec, jednak jego ulga trwała krótko. Po wodach zatoki rozeszły się niebawem przytłumione odgłosy szeregu eksplozji.

- To w rafinerii, panie kapitanie - zauważył sternik i wskazał w kierunku zachodniego brzegu. Na horyzoncie pojawiła się pomarańczowa łuna. Rosła jak blask wschodzącego słońca, gdy następowały kolejne wybuchy. Howard i jego załoga obserwowali przez kilka godzin, jak pożar rozprzestrzenia się wzdłuż linii brzegowej. Do statku dotarły wkrótce gęste kłęby czarnego dymu i odór płonącej ropy.

- Jak oni zdołali to zrobić? - wyrzucił z siebie oficer wykonawczy. - Jak terrorystom udało się umieścić tam materiały wybuchowe? To jeden z najlępiej strzeżonych obiektów na świecie.

Howard w milczeniu pokiwał głową. Jensen miał rację. Kompleksu pilnowała cała armia ochroniarzy. Ktoś przeniknął jednak do środka, żeby zniszczyć również terminal Sea Island. Na szczęście jego statek wraz z załogą był bezpieczny. Po zakończeniu poszukiwań rozbitków w wodzie Howard odpłynął tankowcem kilka mil morskich w kierunku środka zatoki, gdzie krążył wolno do świtu.

Dopiero w świetle dziennym rozmiar zniszczeń stał się wyraźnie widoczny. Na miejsce katastrofy ściągaly ekipy ratownicze z całego regionu. Z rafinerii w Ras Tannurze, jednej z największych na świecie, pozostały dymiące ruiny. Obiekt niemal całkowicie spłonął w szalejącym pożarze. Terminal Sea Island, przystosowany do napełniania ropą osiemnastu supertankowców jednocześnie, zniknął zupełnie pod powierzchnią zatoki. Pobliskie zbiorniki, gdzie zmagazynowano prawie trzydzieści milionów baryłek produktów petrochemicznych, otaczała wysoka do pasa warstwa czarnego szlamu, wyciekającego z licznych pęknięć. Dalej w głąb pustyni popękały jak zapalki rurociągi zaopatrzeniowe, zalewając piaski wokół czarną cieczą.

W ciągu tej nocy została zniszczona niemal jedna trzecia urządzeń do eksportu saudyjskiej ropy. Ale sprawcami nie byli terroryści-samobójcy uzbrojeni w bomby. Sejsmolodzy już ustalili przyczynę katastrofy. Wybrzeże Arabii Saudyjskiej nawiedziło rozległe trzęsienie ziemi o sile siedem i trzy dziesiąte stopnia w skali Richtera. Analitycy i naukowcy wyliczyli, że epicentrum znajdowało się zaledwie dwie mile morskie od Ras Tannury. Fale uderzeniowe wywołane w tak newralgicznym punkcie rozeszły się daleko poza Zatokę Perską, powodując wstrząsy na całej kuli ziemskiej przez wiele następnych miesięcy.

Hang Czou po raz ostatni zaciągnął się tanim papierosem bez filtra, potem leniwie pstryknął niedopałek za barierę. Patrzył z ciekawością jak ognek ląduje w brudnej wodzie poniżej, jakby spodziewał się, że ciemna powierzchnia stanie nagle w płomieniach. Kto wie? W tej czarnej wodzie jest tyle rozlanej ropy, że wystarczyłoby jej jako paliwa dla małego miasta, pomyślał, gdy niedopałek zgasł nieszkodliwie z sykiem obok odwróconej do góry brzuchem makreli.

Martwa ryba świadczyła o tym, że w cuchnących wodach chińskiego portu Ningbo nie może być żadnego życia. Prace budowlane wzdłuż tutejszego wybrzeża powodowały dodatkowe zanieczyszczenie wody, skażonej już ciągłymi wyciekami z kontenerowców, tankowców i towarowych trampów, które zawijały do portu. Położone w delcie rzeki Jangcy niedaleko Szanghaju miasto Ningbo rozwijało się szybko i stawało jednym z największych chińskich portów morskich, częściowo dzięki głębokiemu farwaterowi, z którego mogły korzystać olbrzymie supertankowce o wyporności trzystu tysięcy ton.

- Czou! - warknął głos podobny do szczeknięcia dobermana, choć jego właściciel bardziej przypominał spasionego buldoga. Czou odwrócił się i zobaczył swojego szefa, kierownika terminalu kontenerowego nr 3, który siedł nabrzeżem w jego kierunku. Powszechnie nielubiany Cinglin stale miał wyraz niezadowolenia na pulchnej twarzy.

- Czou - powtórzył, podchodząc do dokera. - Jest zmiana w harmonogramie. „Akagisan Maru” z Singapuru ma spóźnienie z powodu problemów z silnikiem, więc wpuścimy na jego miejsce przy nabrzeżu 3-A „Jasmine Star”. Ma tu być o siódmej trzydzieści. Niech twoja brygada będzie gotowa do przyjęcia go.

Czou skinął głową.

- Przekażę im.

Terminal kontenerowy pracował całą dobę. Na pobliskich wodach Morza Wschodniochińskiego stale roiło się od statków towarowych, które czekały na wejście do portu. Tania siła robocza w Chinach zapewniała masowe dostawy elektroniki, zabawek i odzieży na rynki

krajów uprzemysłowionych. Ale to niezgrabne kontenerowce umożliwiały globalny handel i dynamiczny rozwój chińskiej gospodarki.

- Dopilnuj tego. I czuwaj nad załadunkiem. Znow dostają skargi na zbyt wolną pracę - burknął Cinglin. Wetknął za ucho żółty ołówek, odwrócił się i odszedł. Jednak po dwóch krokach przystanął i obrócił się wolno z wytrzeszczonymi oczami.

- On się pali - wymamrotał.

Czou zorientował się, że jego szef patrzy gdzieś w dal za nim. Obejrzał się.

Wokół terminalu roilo się od statków. Dwanaście dużych kontenerowców i wielkich supertankowców górowało nad garstką małych frachtowców. Jedna z mniejszych jednostek płonęła w gęstych kłębach czarnego dymu.

Wyglądała na starą łajbę, która dawno powinna trafić na złomowisko. Czou ocenił, że frachtowiec ma co najmniej czterdzieści lat. Większość niebieskiego kadłuba pokrywały brązowe plamy rdzy. Czarny dym gęstniał z każdą sekundą. Wydobywał się z ładowni dziobowej i przesłaniał większość nadbudowy. Z luku strzelały żółte płomienie, chwilami na wysokość pięciu metrów. Czou spojrzął na dziób statku, tnący wodę wśród białej piany.

- Szybko płynie... i kieruje się w stronę terminali towarowych - wykrztusił.

Cinglin zaklął.

- Durnie! Tam nie ma miejsca do wprowadzenia statku na ląd. Popędził nabrzeżem do biura terminalu, chcąc uprzedzić o tym przez radio uszkodzony frachtowiec.

Ludzie na innych statkach i na brzegu już zauważyli pożar, ale dymiący frachtowiec nie odpowiadał na żadne sygnały radiowe.

Czou stał na krańcu nabrzeża kontenerowego i patrzył, jak płonący statek zbliża się do lądu. Stara łajba wykonała zgrabny manewr i przepłynęła między zacumowaną barką i załadowanym kontenerowcem, co Czou uznał za cud, zważywszy na gęsty dym spowijający mostek. Frachtowiec przez chwilę trzymał kurs na sąsiedni terminal kontenerowy, ale potem skręcił szerokim łukiem w lewo. Kiedy znow popłynął na

wprost, Czou zobaczył, że kieruje się teraz na główny terminal wyładunkowy ropy w Ningbo, zlokalizowany na wyspie Cezidao.

O dziwo, nikt na pokładzie nie walczył z ogniem. Czou przez dym dostrzegł nawet sterownię, ale nie zauważył w środku żywej duszy. Przeszedł go dreszcz, kiedy wyobraził sobie, że to statek-widmo bez załogi.

Po obu stronach głównego terminalu wyładunkowego ropy stały dwa tankowce. Ostatnio przedłużono nabrzeże, by mogły przy nim cumować cztery supertankowce. Płonąca łajba wzięła kurs na tankowiec od zawietrznej, czarno-białego kolosa z Arabii Saudyjskiej. Zaalarmowany tym manewrem oficer wachtowy saudyjskiego tankowca uruchomił ogłuszającą syrenę okrętową. Ale płonący frachtowiec nie zmienił kierunku. Oficer stał na zewnętrznym skrzydle mostka, patrzył z niedowierzaniem na zbliżający się statek w ogniu i nie mógł nic zrobić.

Zaalarmowana sygnałem ostrzegawczym załoga tankowca rzuciła się do jedyne go trapu, by uciec przed nadpływającą bombą zapalającą. Oficer został na swoim miejscu i obserwował frachtowiec bez mrugnięcia okiem, teraz w towarzystwie kapitana, który czekał na uderzenie zardzewiałej łajby w ich statek.

Ale do kolizji nie doszło. W ostatniej chwili płonący frachtowiec znów skręcił, mijając o włos burtę tankowca. Popłynął równolegle do niego i wzięł kurs na terminal paliwowy. Pływająca platforma, zbudowana na profilowanych podporach, miała sto osiemdziesiąt metrów długości. Były na niej ulokowane rurociągi i pompy do wyładunku ropy z tankowców.

Zardzewiała łajba pruća teraz prosto jak strzała, płomienie wydobywające się z ładowni ogarniały cały pokład dziobowy. Nikt nie próbował zmniejszyć szybkości statku; frachtowiec wręcz przyspieszał. Jego dziób rozdarł kraniec drewnianego pomostu, jakby to było pudełko zapalek. Podpory rozpadały się jedna po drugiej, a statek parł naprzód. Sto metrów przed nim kilku marynarzy uciekających z wielkiego tankowca zamarło na trapie, nie wiedząc, w którym kierunku biec, żeby ratować życie. Odpowiedź nadeszła kilka sekund później, gdy frachtowiec uderzył w trap. Wśród dymu i płomieni ludzie zniknęli pod wodą, zmieleni przez wirującą śruby statku.

Frachtowiec sunął przed siebie. Zaczął zwalniać, kiedy przed dziobem spiętrzyła się splątana masa szczątków, ale nie dawał za wygraną i do ostatniej chwili swego istnienia walczył z przeszkodami, by dotrzeć do brzegu. Zmiażdżył ostatnią podporę i uderzył w kompleks przeładunkowo-magazynowy. Przez wyspę przetoczył się grzmot, kiedy tajemniczy frachtowiec wreszcie się zatrzymał w kłębach czarnego dymu. Świadkowie zdarzenia odetchnęli z ulgą w przekonaniu, że najgorsze minęło. Ale po chwili z głębi statku dobiegł przytłumiony huk i dziób rozerwał się w pomarańczowym blasku ognia. W ciągu paru sekund płomień ogarnęły rozlaną wokół frachtowca ropę. Pożar błyskawicznie rozprzestrzenił się po powierzchni wody i dotarł do zacumowanego tankowca. Całą wyspę przesłonił wkrótce gęsty czarny dym.

Po drugiej stronie zatoki Czhou przyglądał się ze zdumieniem, jak pożar ogarnia port. Patrzył na wrak frachtowca, który przechylił się na burtę i osiadł w mule, gdy żar stopił wewnątrz kadłuba, starając się zrozumieć, co za samobójca-szaleniec unicestwił się z taką determinacją.

Milę morską od nabrzeża Czhou, obok wyspy Cezidao, przepływała wolno biała motorówka. Na dziobie, ukryty pod brezentem, leżał mężczyzna o śniadej cerze i obserwował piekło na lądzie przez lunetę celownika laserowego. Kiedy ocenił zniszczenia, uśmiechnął się szeroko z zadowoleniem i zdemontował urządzenie laserowe oraz nadajnik radiowy, którym sterował zardzewiałą łajbą. Wśród dymu unoszącego się nad wodą mężczyzna wystawił za burtę nesesor z nierdzewnej stali i wypuścił go z dłoni. Chwilę później nesesor z całą zawartością spoczął na zawsze pod ośmiocentymetrową warstwą miękkiego mułu w mrocznych głębinach portu Ningbo.

Mężczyzna odwrócił się do sternika łodzi, ukazując długą bliznę na policzku.

- Do przystani - polecił cichym głosem. - Muszę złapać samolot.

Ogień szalał przez półtorej doby, zanim ugasiła go portowa straż pożarna. Szybka akcja trzech holowników uratowała tankowiec od

zniszczenia. Dotarły do niego przez morze płomieni i wyprowadziły na zatokę, gdzie prędko opanowano pożary na pokładzie.

Terminal na wyspie Cezidao został całkowicie zniszczony. Dziesięciu robotników poniosło śmierć. Zaginęło sześciu członków załogi supertankowca. Przypuszczano, że nie żyją.

Kiedy na tajemniczy frachtowiec mogli wreszcie wejść śledczy, zaskoczył ich brak zwłok. Zeznania świadków zaczynały brzmieć wiarygodnie. Opuszczony statek płynął sam. Nie widziano go przedtem na tutejszych wodach. Agenci ubezpieczeniowi dotarli do malezyjskiego armatora, który sprzedał go na licytacji na złom. Okazało się, że nabywca zniknął, a jego firma istniała tylko na papierze i miała fałszywy adres. Tu trop się urwał.

Śledczy podejrzewali, że winna jest dawna załoga starego statku, która chciała się za coś zemścić na kapitanie i podpaliła frachtowiec. Wyglądało na to, że „tajemniczy płonący statek z Ningbo”, jak nazwali go miejscowi, uderzył w terminal na wyspie Cezidao przez czysty przypadek. Ale Hang Czou był innego zdania i do końca życia uważał, że ktoś celowo skierował statek śmierci na brzeg.

12

- Jan, za dziesięć minut mamy być w Złotej Sali Konferencyjnej. Przynieść ci kawę, zanim zaczniemy?

Jan Montague Clayton spojrzała na swojego współpracownika stojącego w drzwiach, jakby właśnie przyleciał z Marsa.

- Harvey, mam we krwi tyle kofeiny, że wystarczyłoby jej do napędu promu kosmicznego. Dziękuję. Za chwilę przyjdę.

- Sprawdzę, czy system projekcyjny jest włączony - odrzekł Harvey i zniknął w korytarzu.

Clayton już nie pamiętała, ile kaw wypila w ciągu ostatnich dwóch dni. Od chwili, gdy poprzedniego dnia nadeszła wiadomość o trzęsieniu ziemi w Ras Tannurze, prawie nie wstawała od swojego biurka. Sporządzała oceny ekonomicznych skutków katastrofy i dyskretnie badała reakcje koncernów naftowych poprzez licznych znajomych w kręgach gospodarczych. Tylko krótka wyprawa do jej eleganckiego

apartamentu w East Village o drugiej nad ranem, żeby się zdrzemnąć i przebrać, dała jej chwilę wytchnienia od otaczającego ją chaosu.

Clayton była starszym analitykiem rynku w firmie maklerskiej Goldman Sachs i już zdążyła się przyzwyczać do dwunastogodzinnego dnia pracy. Specjalizowała się w prognozach eksploatacji ropy i gazu ziemnego, ale była zupełnie nieprzygotowana na to, co spowodowała katastrofa w Ras Tannurze. Dzwonili do niej wszyscy koledzy handlowcy i zarządcy funduszy w firmie z pytaniami, co im radzi zrobić z rachunkami klientów. W końcu wyłączyła telefon i nie otwierała poczty elektronicznej, żeby móc się skoncentrować. Po raz ostatni spojrzała na dane o eksporcie ropy, wstała i wygładziła beżowy kostium Kay Unger. Wzięła laptop i ruszyła do drzwi. Wbrew rozsądkowi nagle się zatrzymała, wróciła do biurka i zabrała kubek pełen kawy.

W pełnej sali konferencyjnej siedzieli głównie mężczyźni, czekający niecierpliwie na jej raport. Kiedy Harvey rozpoczął spotkanie krótkim przeglądem sytuacji ekonomicznej, Clayton przyglądała się zebranych. Menedżerów wyższych szczebli łatwo było rozpoznać po przedwczesnej siwiznie i wydatnych brzuchach, które wskazywały na to, że od lat spędzają długie godziny za biurkiem. Kontrastowali z nimi młodzi, przebojowi handlowcy, którzy chcieli za wszelką cenę wspiąć się na szczyt firmowej hierarchii, gdzie z końcem roku regularnie pobierano siedmiocyfrowe premie. Połowy zbyt wysoko opłacanych i przepracowanych specjalistów od inwestycji nie obchodziło to, czy prognozy Clayton okażą się słuszne, czy nie, dopóki mieli na kogo zwalić winę za swoje transakcje. Ale ci, którzy jej uważnie słuchali, szybko się przekonywali, że Clayton zna się na rzeczy. W ciągu krótkiego okresu pracy w firmie dała się poznać jako bystry analityk, umiejący trafnie przewidywać trendy na rynku.

- A teraz Jan przedstawi obecną sytuację na rynkach ropy - zakończył swoje wystąpienie Harvey i zrobił miejsce dla Clayton. Włączyła swój laptop do systemu projekcyjnego i zaczęła moment, aż na ekranie pojawi się jej prezentacja PowerPoint. Harvey odszedł na bok i opuścił żaluzje w wielkim panoramicznym oknie, za którym rozciągał się imponujący widok na dolny Manhattan.

- Panie i panowie, oto Ras Tannura - zaczęła Clayton cichym, ale pewnym głosem. Na ekranie wyświetliła się mapa Arabii Saudyjskiej, a

potem zdjęcia rafinerii i zbiorników magazynowych ropy. - W Ras Tannurze znajduje się największy saudyjski terminal eksportu ropy i gazu ziemnego. A raczej znajdował się, do wczorajszego rozległego trzęsienia ziemi. Straty nie zostały jeszcze oszacowane, ale wygląda na to, że pożar zniszczył rafinerię w prawie sześćdziesięciu procentach i poważnie ucierpiało co najmniej połowa zbiorników magazynowych.

- Jak to wpłynie na eksport ropy? - przerwał mężczyzna z odstającymi uszami, o imieniu Eli; który jadł pączka.

- Prawie wcale - odparła Clayton i zaczęła, aż Eli chwyci przynętę.

- Więc skąd ten wielki szok naftowy? - spytał.

- Większość produkcji rafinerii wykorzystują sami Saudyjczycy. Wpływ na eksport ropy będą miały uszkodzenia rurociągów i terminali załadunkowych.

Na ekranie pojawił się następny obraz. Ukazywał supertankowce przycumowane do terminalu Sea Island.

- Te terminale powinny być odporne na podmorskie trzęsienia ziemi - zauważył ktoś z końca sali.

- Nie wtedy, gdy epicentrum jest w odległości niecałych dwóch mil morskich - odparła Clayton. - To nie są pływające terminale. Zostały wpuszczone w dno morza. Przemieszczenie gruntu spowodowało całkowite zawalenie się tego terminalu, znanego jako Sea Island, który sięgał daleko w zatokę. Obsługiwał największe supertankowce, a teraz przestał istnieć. Kilka dodatkowych pirsów załadunkowych przy brzegu też uległo zniszczeniu. Wygląda na to, że w Ras Tannurze utracono ponad dziewięćdziesiąt procent infrastruktury. Stąd ten „wielki szok naftowy” - zakończyła, patrząc na Eliego.

W sali zapadła ponura cisza. Wreszcie Eli dokończył pączka i przerwał milczenie.

- Na jakie liczby to się przekłada?

- Eksport saudyjskiej ropy spadnie natychmiast o prawie sześć milionów baryłek dziennie.

- To chyba około dziesięciu procent dziennego zapotrzebowania w skali globalnej - odezwał się któryś ze starszych wspólników.

- Bliżej siedmiu, ale ma pan obraz sytuacji.

Clayton wyświetliła wykres przedstawiający ostatni wzrost ceny baryłki zachodnio-teksaskiej ropy na Nowojorskiej Giełdzie Towarowej.

- Rynki jak zwykle zareagowały histerycznie i w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wywindowały cenę ropy do ponad stu

dwudziestu pięciu dolarów za baryłkę, co spowodowało drastyczny spadek Dow-Jonesa. Ci z was, którzy śledzą ten wskaźnik, już to zauważyli - dodała wśród chóru potakiwań.

- Ale co będzie dalej? - zapytał Eli.

- To kwestia sześćdziesięciu czterech dolarów albo, w naszym wypadku, raczej stu dwudziestu pięciu. W tej chwili działamy w strachu, kieruje nami niepewność. A strach powoduje irracjonalne zachowania, trudne do przewidzenia. - Clayton urwała i wypła łyk kawy. Zebrani chłonęli każde jej słowo. Choć jej atrakcyjny wygląd zawsze przyciągał uwagę, teraz obecnych w sali bardziej interesowało to, co miała do powiedzenia. Rozkoszowała się przez chwilę smakiem władzy, a potem kontynuowała: - Nie popełnijcie błędu w rozumowaniu. Zniszczenie Ras Tannury odczuje cały świat. W kraju nastąpi natychmiastowy spadek koniunktury, porównywalny do tamtego po jedenastym wrześniu. Kiedy te sto dwadzieścia pięć dolarów za baryłkę ropy przełoży się w przyszłym tygodniu na dolara i osiemdziesiąt pięć centów za litr benzyny, przeciętny obywatel odstawi swojego Hummera i zacznie jeździć autobusem. Zdrożeje wszystko, od podpasek higienicznych do biletów lotniczych. Nikt nie jest przygotowany na taki skok cen i ich podwyżki w krótkim czasie zahamują sprzedaż dóbr konsumpcyjnych.

- Czy prezydent może jakoś temu przeciwdziałać? - zapytał Eli.

- Niewiele, choć są dwa sposoby na złagodzenie wstrząsu. Nasze strategiczne rezerwy paliwowe są nienaruszone. Jeśli prezydent zgodzi się, można będzie nimi częściowo zastąpić import saudyjskiej ropy. Poza tym prowadzi się już wiercenia w Arktycznym Parku Narodowym, zaaprobowane przez poprzednią administrację. Zwiększy to trochę krajową produkcję. Ale ani jedno, ani drugie nie pokryje niedoborów paliwa w niektórych regionach kraju.

- Czego możemy się spodziewać w dalszej przyszłości? - spytał Eli.

- Trudno prognozować, jaki wpływ na rynki będzie miała panika, ale można przewidzieć, że w końcu zwycięży prawo podaży i popytu. W ciągu najbliższych kilku miesięcy wysoka cena powinna zmniejszyć obecny popyt, co w rezultacie spowoduje jej obniżkę. W dodatku dziesięć pozostałych krajów OPEC będzie się starało zająć miejsce Arabii Saudyjskiej, choć nie wiadomo, czy mają odpowiednią infrastrukturę, by pokryć braki.

- Ale czy kraje OPEC nie będą chciały utrzymać ceny ropy na poziomie powyżej stu dolarów za baryłkę? - zaniepokoił się Eli.

- Oczywiście, jeśli nie spadnie popyt. Ale stoimy w obliczu gwałtownego regresu gospodarczego. Jeśli cena zostanie arbitralnie utrzymana na poziomie stu dwudziestu pięciu dolarów za baryłkę, nastąpi załamanie światowej gospodarki, porównywalne z Wielkim Kryzysem.

- Nie sądzisz, że to wysoce prawdopodobne?

- Owszem. Ale kraje OPEC obawiają się światowego kryzysu gospodarczego w takim samym stopniu jak kraje uprzemysłowione, bo to zmniejszyłoby ich dochody. Dziś głównym zmartwieniem pozostaje podaż ropy. Jeśli dojdzie do następnego przerwania dostaw, wszystko się zawali.

- Więc jaka jest rada dla inwestorów? - zapytał sarkastycznie Eli.

- Wstępne oceny z Ras Tannury sugerują, że terminale załadunkowe mogą być naprawione lub zastąpione nowymi w ciągu sześciu do dziewięciu miesięcy. W obecnej sytuacji zalecałabym sprzedaż akcji koncernów naftowych w przewidywaniu spadku cen do korzystniejszego poziomu w ciągu dziewięciu do dwunastu miesięcy.

- Jesteś pewna, że tak będzie? - spytał Eli z nutą sceptycyzmu w głosie.

- Oczywiście, że nie. - Jutro na Wenezuelę może spaść meteoryt. W przyszłym tygodniu władzę w Nigerii może przejąć faszystowski dyktator. Jest tysiąc i jeden naturalnych i politycznych czynników, które mogą w gnieniu oka zniszczyć rynki ropy. I to jest przerażające. Każda zła wiadomość może doprowadzić do tego, że regres zamieni się w kryzys, z którego będziemy wychodzili latami. Ale wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby wkrótce znów zdarzyła się taka klęska żywiołowa jak w Ras Tannurze. Interesuje was jeszcze coś? - zapytała.

Harvey odsłonił okno, salę zalał słoneczny blask i wszyscy na moment zmrużyli oczy.

- Jan, dokonuję transakcji na całym świecie - odezwała się niska blondynka w granatowej bluzce. - Możesz mi powiedzieć, które kraje najbardziej odczuwają zmniejszony eksport saudyjskiej ropy?

- Sandra, mogę ci tylko powiedzieć, kto ją obecnie importuje. Jak wiesz, od lat trzydziestych ubiegłego wieku jej głównym odbiorcą są Stany Zjednoczone. Waszyngton od dawna dąży do ograniczenia naszego uzależnienia od dostaw z Bliskiego Wschodu, ale saudyjska ropa to wciąż prawie piętnaście procent całego naszego importu tego surowca.

- A co z Unią Europejską?

- Europa Zachodnia ma większość ropy z Morza Północnego, ale import z Arabii Saudyjskiej też nie jest bez znaczenia. Jednak uważam, że bliskość innych dostawców powinna wyrównać niedobory. Najbardziej ucierpią kraje azjatyckie.

Clayton dopiła resztkę kawy i otworzyła inny plik w swoim laptopie. Zauważyła ze zdziwieniem, że nikt nie wstaje i wszyscy słuchają każdego jej słowa.

- Głównym poszkodowanym będzie Japonia - powiedziała, patrząc na raport. - Całe jej zapotrzebowanie na ropę pokrywa import, który już zmalał, gdy niedawne trzęsienie ziemi na Syberii zniszczyło część rurociągu Tajszet-Nachodka. Nie nagłośniono tego, ale już wówczas cena baryłki ropy podniosła się o trzy do czterech dolarów. Dwadzieścia dwa procent sprowadzanej przez Japonię ropy pochodzi z Arabii Saudyjskiej, więc niedobór będzie wyraźnie odczuwalny. Choć po naprawie syberyjskiego rurociągu wzrost importu z Rosji mógłby częściowo złagodzić braki.

- A Chiny? - zapytał ktoś. - Co z tym pożarem, który był niedaleko Szanghaju?

Clayton spojrzała na ekran i zmarszczyła czoło.

- Chińczyków czeka podobny wstrząs. Import z Arabii Saudyjskiej pokrywa prawie dwadzieścia procent ich zapotrzebowania na ropę, sprowadzaną wyłącznie tankowcami. Nie oceniałam jeszcze, jak wpłynie na to pożar terminalu paliwowego w Ningbo, ale przypuszczam, że w połączeniu z katastrofą w Ras Tannurze stworzy Chińczykom poważny problem.

- Mają dostęp do innych źródeł ropy? - zapytał głos na końcu sali.

- Nie bardzo. Oczywiście wyjściem byłby import z Rosji, ale ona woli sprzedawać swoją ropę Zachodowi i Japonii. Sytuację mogłyby częściowo poprawić dostawy z Kazachstanu, ale rurociąg z tego kraju do Chin jest już wykorzystywany do maksimum. Chinom brakuje surowców energetycznych i sądzę, że stan ich gospodarki może się dramatycznie pogorszyć.

Clayton zanotowała sobie w pamięci, żeby po powrocie do biura dokładniej zbadać sytuację ekonomiczną Chin.

- Wspomniała pani wcześniej o niedoborze paliw na rynku krajowym - przypomnieliśmy błady mężczyzna w purpurowym krawacie. - Jak poważne będą braki?

- Spodziewam się tylko czasowych niedoborów w niektórych rejonach, o ile żadne inne czynniki nie wpłyną negatywnie na rynek. Powtarzam, że głównym problemem jest strach. Strach przed następnym przerwaniem dostaw, uzasadniony lub nie, może nas doprowadzić do całkowitego krachu.

Zebranie dobiegło końca i finansiści rozeszli się w ponurych nastrojach do swoich klitek biurowych. Clayton wzięła laptop i ruszyła do drzwi. Ktoś ją dogonił. Odwróciła głowę i spojrzała z obawą na niechlujnego Eliego, który miał okruszy pączka na krawacie.

- Doskonale wypadłaś, Jan. - Uśmiechnął się szeroko. - Mogę cię zaprosić na kawę?

Zazgrzytała zębami, ale musiała uśmiechnąć się i kiwnąć głową.

13

W Pekinie był parny dzień. Dusząca mieszanka gorąca, smogu i wilgoci wywoływała wrażenie, że zatłoczone miasto jest zanurzone w gęstej zupie. Kierowcom i rowerzystom puszczały nerwy, gdy przepychali się przez zakorkowane bulwary. Matki uciekały z dziećmi nad liczne jeziora, by odpocząć od upału. Sprzedawcy uliczni robili majątek na zimnej coca-coli, którą gasili pragnienie spoceni turyści i biznesmeni.

Nieco chłodniej było w wielkiej sali konferencyjnej w siedzibie Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Chin, w kompleksie usytuowanym na zachód od historycznego Zakazanego Miasta. Wystrój pomieszczenia bez okien, ulokowanego w podziemiach wiekowej budowli, którą niefortunnie nazwano Pałacem Pograżonym we Współczuciu, był dziwnym połączeniem pięknych dywanów i starych obić z tandetnymi meblami biurowymi z połowy ubiegłego wieku. Sześciu ponurych mężczyzn stanowiących elitę Stałego Komitetu Biura Politycznego, najbardziej wpływowego ciała w chińskim rządzie,

siedziało przy zniszczonym okrągłym stole wraz z sekretarzem generalnym partii i przewodniczącym ChRL, Cian Feiem.

Duszną salę wydawała się szczególnie gorąca ministrowi handlu Szyncze, łysiejącemu mężczyźnie o paciorkowatych oczach, który stał przed szefami partii z młodą asystentką u boku.

- Towarzyszu Szyncze, w listopadzie ubiegłego roku najwyższe władze państwowe zaaprobowwały pięcioletni plan rozwoju gospodarczego - przypomniał przewodniczący Fei. - Chcecie nam powiedzieć, że kilka „wypadków” uniemożliwi jego wykonanie?

Szyncze odchrząknął i wytarł wilgotną dłoń o spodnie.

- Towarzyszu sekretarzu generalny, towarzysze - zaczął, skinąwszy głową pozostałym urzędnikom. - Potrzeby energetyczne Chin ogromnie się zmieniły w ciągu ostatnich pięciu lat. Szybki wzrost gospodarczy doprowadził do dużego zapotrzebowania na źródła energii. Zaledwie kilka lat temu nasz kraj był eksporterem ropy. Dziś ponad połowę naszego zużycia pokrywa import. Czy nam się to podoba, czy nie, jesteśmy uzależnieni od ekonomicznych i politycznych czynników rządzących zagranicznymi rynkami ropy, podobnie jak od czterdziestu lat Amerykanie.

- Tak, wszyscy wiemy o naszym rosnącym zapotrzebowaniu na energię - odrzekł Fei. Niedawno wybrany szef partii był pełnym młodzieńczej werwy pięćdziesięcioletkiem, który potrafił podporządkować sobie tradycjonalistów w biurokratycznym systemie. Szyncze wiedział, że nowy sekretarz generalny jest porywczy, ale ceni prawdomówność.

- Jak poważny jest szok? - zapytał inny członek partii.

- Taki, jakbyśmy stracili obie nogi. Trzęsienie ziemi w Arabii Saudyjskiej drastycznie ograniczy ich zdolność dostarczania nam ropy w nadchodzących miesiącach, choć z czasem możemy znaleźć innych dostawców. Być może większym problemem jest pożar w Ningbo. Przez ten port przechodzi prawie jedna trzecia importowanej przez nas ropy Infrastruktury potrzebnej do odbioru ropy ze statków nie da się szybko zastąpić. Muszę niestety powiedzieć, że stoimy w obliczu drastycznych niedoborów, które niełatwo będzie pokryć.

- Podobno naprawa uszkodzeń może potrwać nawet rok - odezwał się siwy członek politbiura. - Dopiero wtedy import będzie mógł wrócić do obecnego poziomu.

Szyncze skłonił lekko głowę.

- Muszę się zgodzić z tą oceną.

Nagle zgasty jarzeniówki pod sufitem i umilkła hałaśliwa i mało wydajna klimatyzacja. W ciemnej sali zrobiło się duszno, potem światła znów się zapaliły i system schładzania powietrza zaczął powoli działać. Przewodniczący zaklął.

- Te zaciemnienia muszą się skończyć! - wybuchnął. - Połowa Szanghaju przez pięć dni nie miała prądu. Nasze fabryki mają skrócony czas pracy, żeby oszczędzać energię. Robotnicy nie mają gazu, żeby ugotować sobie kolację. A wy nam mówicie, że będziemy dostawali za mało zagranicznej ropy i nasz plan pięcioletni się zawali? Chcę wiedzieć, co się robi, żeby rozwiązać te problemy.

Szyncze aż się skulił, słuchając tej tyrady. Zerknął dokoła i zobaczył, że nikt z członków komitetu nie ma odwagi odpowiedzieć, więc wzięły głęboki oddech i zaczął cicho mówić.

- Jak wiecie, niedługo zostaną uruchomione dodatkowe generatory w hydroelektrowni w Przełomie Trzech Wąwozów. Sześć nowych elektrowni ciepłych, opalanych węglem i gazem, znajduje się w różnej fazie budowy. Ale zaopatrzenie elektrowni tego typu w dostateczną ilość gazu ziemnego i ropy będzie problemem. Nasze państwowe przedsiębiorstwa naftowe rozpoczęły wiercenia na Morzu Południowochińskim mimo protestów rządu wietnamskiego. Co więcej, wciąż szukamy nowych dostawców. Chciałbym przypomnieć, że ministerstwo spraw zagranicznych właśnie zakończyło pomyślnie negocjacje z Iranem w sprawie zakupu znaczących ilości ropy. I pertraktujemy z zachodnimi koncernami naftowymi, które mają zgromadzone duże rezerwy.

Siwowłosy minister spraw zagranicznych, który siedział cicho z boku, odkaslnął.

- To prawda, że te działania mogą przynieść efekty w przyszłości, ale nie rozwiążą problemu natychmiast.

- Pytam jeszcze raz, co się robi, żeby teraz pokryć niedobory? - zapytał Fei ostrym głosem.

- Poza Iranem rozmawiamy z kilkoma innymi krajami na Bliskim Wschodzie o zwiększeniu ich eksportu. Oczywiście musimy być konkurencyjni cenowo w stosunku do Zachodu - odrzekł cicho Szyncze.

- Ale zniszczenia w Ningbo ograniczają fizycznie nasze możliwości importu drogą morską.

- A co z Rosjanami?

- Kochają się teraz z Japończykami - wyrzucił z siebie minister spraw zagranicznych. - Odrzucili naszą propozycję wspólnej budowy rurociągu z pól naftowych w zachodniej Syberii. Wolą pociągnąć nitkę do Pacyfiku, żeby zaopatrywać Japonię. Możemy zwiększyć dostawy rosyjskiej ropy koleją, ale oczywiście ten środek transportu nie nadaje się do przewozu dużych ilości.

- Więc praktycznie nie ma żadnego wyjścia z tej sytuacji - wymamrotał gniewnie Fei. - Rozwój ekonomiczny skończy się, przegramy współzawodnictwo z Zachodem i pozostanie nam powrót do spółdzielni produkcyjnych na prowincji, gdzie ciągle będzie gasło światło.

W sali znów zapadło milczenie. Nikt nie śmiał nawet oddychać w obliczu gniewu sekretarza generalnego. Tylko blaszany grzechot klimatyzacji zakłócał posepną ciszę. Nagle odezwała się Ji, asystentka Szyncze.

- Dziś do naszego ministerstwa wpłynęła dziwna oferta pomocy energetycznej. Przepraszam, że od razu nie wprowadziłam was w tę sprawę - zwróciła się do Szyncze. - Nie zorientowałam się, że to może być ważne.

- Co to za oferta? - zapytał Fei.

- Pewna firma z Mongolii proponuje nam dostawy wysokogatunkowej ropy...

- Z Mongolii? - przerwał Fei. - Tam nie ma ropy.

- Twierdzą, że mogą dostarczać milion baryłek dziennie - ciągnęła Ji. - Pierwsza dostawa nadeszłaby w ciągu dziewięćdziesięciu dni.

- To jakaś bzdura! - wykrzyknął Szyncze i zmiażdżył Ji wzrokiem.

- Może jednak warto się tym zainteresować - odparł zaintrygowany Fei, któremu nagle poprawił się humor. - Co jeszcze jest w tej ofercie?

- Tylko ich warunki - odrzekła Ji. Urwała zdenerwowana, mając nadzieję, że na tym rozmowa się skończy, ale gdy zobaczyła, że wszyscy patrzą na nią, zaczęła nieśmiało mówić dalej. - Cena ropy ma pozostać na obecnym poziomie przez trzy lata. Chcą mieć zagwarantowaną wyłączność na korzystanie z rurociągu północno-wschodniego, który dochodzi do Cinhuangtao. Terytorium nazywane Mongolią Wewnętrzną, należące obecnie do Chin, ma być oficjalnie zwrócone rządowi Mongolii.

W sali wybuchła wrzawa. Rozległy się okrzyki oburzenia na to szokujące żądanie. Po kilku minutach hałaśliwej wymiany zdań Fei walnął popielniczką w stół, żeby przywrócić spokój.

- Cisza! - krzyknął i wszyscy natychmiast zamilkli. - Trzeba sprawdzić, czy ta oferta jest realna, czy ta ropa w ogóle istnieje - powiedział. - Potem będziemy się martwili o wynegocjowanie właściwej ceny.

- Jak sobie życzyacie, towarzyszu sekretarzu generalny. - Szynce się skłonił.

- Ale najpierw mi powiedzcie, kto to jest, że stawia taki warunek? Szynce spojrzał bezradnie na Ji.

- To mała firma, nieznana naszemu ministerstwu - zwróciła się do sekretarza generalnego. - Nazywa się Konsorcjum Naftowe Awarga.

14

Nie wiedzieli, gdzie są. Dwa tygodnie po wyruszeniu z Ułan Ude w celu przeprowadzenia badań w gorze rzeki Selengi pięciosaobowa ekipa sejsmologów z rosyjskiego koncernu naftowego Lukoil zupełnie się zgubiła, Nikt z nich nie pochodził z tego regionu. Kłopoty zaczęły się wtedy, gdy ktoś wylał gorącą kawę na odbiornik GPS i urządzenie przestało działać. Ale pojechali dalej na południe. Nie zawrócili nawet po przekroczeniu granicy z Mongolią, kiedy znaleźli się w rejonie, którego nie obejmowały mapy Syberii, zabrane na wszelki wypadek. Posuwali się tropem pod-powierzchniowych fałdów, wykrywanych metodą sztucznych wstrząsów, które wytwarzał ich specjalistyczny pojazd badawczy. Rodzaj struktur geologicznych wskazywał na możliwość występowania naturalnych zbiorników ropy i gazu. Ekipa poszukiwawcza kierowała się szlakiem deformacji tektonicznych na południowy wschód, aż straciła orientację, gdzie jest rzeka.

- Musimy zawrócić na północ, cofnąć się po naszych śladach - powiedział Dmitrij, niski, łysiejący mężczyzna. Szef ekipy patrzył na zachód słońca i długie cienie rzucane przez drzewa.

- Wiedziałem, że trzeba sypać za sobą okruchy chleba - zażartował jego asystent, młody inżynier Wład.

- Chyba nie wystarczy nam paliwa, żeby dojechać do Kiachty - oznajmił kierowca pojazdu badawczego. Był potężny jak jego samochód. Wspiął się przez otwarte drzwi do kabiny i położył na kanapowym przednim siedzeniu z rękami za głową żeby się zdrzemnąć. Wielki, trzydziestotonowy pojazd miał pod podwoziem stalową płytę, która uderzała w ziemię, wysyłając fale sejsmiczne głęboko pod powierzchnię. Małe odbiorniki rejestrowały sygnały odbite od warstw osadów geologicznych. Komputery przetwarzały impulsy na obrazy i mapy gruntu.

Obok pojazdu badawczego zatrzymała się brudna, czerwona ciężarówka z napędem na cztery koła. Z kabiny wyskoczyli dwaj mężczyźni.

- Nie mieliśmy prawa przekraczać granicy, a teraz nawet nie wiemy, gdzie ona jest - poskarżył się kierowca ciężarówki.

- Odczyty sejsmograficzne usprawiedliwiają to, że zapuściliśmy się tutaj - odparł Dmitrij. - Firma wysłała nas w teren na dwa tygodnie. Niech oni martwią się o wszelkie pozwolenia. A co do granicy, to wiemy, że jest gdzieś na północ od nas. Musimy jednak zdobyć paliwo, żeby tam dotrzeć.

Kierowca ciężarówki miał zamiar nadal narzekać, gdy wtem jego uwagę odwrócił przytłumiony huk w oddali.

- Tam, na szczycie - powiedział Wład.

Powyżej skalistego wzgórza, na którym stali, ciągnął się zielony łańcuch górski. Kilka kilometrów od nich, nad gęstym, sosnowym lasem, unióś się ku bezchmurnemu niebu kłęb szarego dymu. Kiedy ucichło echo huku, ze zboczy dobiegł daleki odgłos ciężkich maszyn.

- Co to było? - wymamrotał obudzony hałasem kierowca pojazdu badawczego.

- Eksplozja w górach - odrzekł Dmitrij. - Pewnie prowadzą tam jakieś roboty górnicze.

- Miło wiedzieć, że nie jesteśmy sami w tej głuszy - mruknął kierowca i wrócił do kabiny.

- Może ktoś tam na górze będzie mógł nam wskazać drogę do domu - podsunął Wład.

Nie musieli długo czekać na odpowiedź. Usłyszeli warkot silnika i w oddali pojawił się jeden z nowszych modeli terenówki. Samochód

okrzyżył wzgórze i pomknął przez pustą równinę w ich kierunku. Zwolnił dopiero tuż przed nimi i zatrzymał się gwałtownie w tumanach kurzu. Dwaj mężczyźni w środku siedzieli przez chwilę bez ruchu, potem ostrożnie wysiedli.

Rosjanie natychmiast rozpoznali Mongołów z charakterystycznymi płaskimi nosami i wystającymi kośćmi policzkowymi. Niższy z nich wystąpił naprzód i warknął ostro:

- Co tu robicie?

- Zboczyliśmy trochę z drogi - odrzekł spokojnie Dmitrij. - Prowadziliśmy badania w dolinie i zgubiliśmy się. Musimy wrócić przez granicę do Kiachty, ale chyba nie wystarczy nam paliwa. Moglibyście nam pomóc wydostać się stąd?

Na dźwięk słowa „badania” Mongoł wytrzeszczył oczy i dopiero teraz przyjrzał się uważnie wielkiemu pojazdowi za plecami Rosjan.

- Szukacie ropy? - zapytał spokojniejszym tonem. Inżynier przytaknął ruchem głowy.

- Tu jej nie ma - warknął Mongoł. - Zostańcie na noc w tym miejscu. Nie ruszajcie się stąd. Rano przywiezę paliwo i powiem wam, jak dojechać do Kiachty.

Bez pożegnania i żadnych uprzejmości odwrócił się, wsiadł razem ze swoim kierowcą do samochodu i odjechał w góry.

- Problem z głowy - powiedział z zadowoleniem Dmitrij. - Rozbijemy tu obóz i rano ruszymy w drogę. Mam nadzieję, że zostawiłeś nam trochę wódki - zwrócił się do zaspanego kierowcy i poklepał go po ramieniu.

Po zachodzie słońca szybko zapadła ciemność i zrobiło się chłodno. Przed dużym namiotem zapłonęło ognisko, mężczyźni stłoczyli się wokół i zjedli na kolację pozbawiony smaku puszkowany gulasz z ryżem. Potem przyszedł czas na nocną rozrywkę - wódkę i karty. W puli znalazły się papierosy i pieniądze, które mieli przy sobie.

- Trzeci raz mam szczęście - roześmiał się Dmitrij i zgarnął wygraną w preferansa, popularną w Rosji grę, podobną do wista. Od wypitej wódki błyszcząły mu oczy, ciążyły powieki. Jego koledzy byli równie solidnie wstawieni.

- Tak trzymaj, to będzie cię stać na daczę nad Morzem Czarnym - powiedział któryś.

- Albo na czarnego jamnika nad Morzem Kaspijskim - zarechotał inny.

- Ja mam dosyć - oznajmił Wład, kiedy stwierdził, że przegrał sto rubli.

- Włazę do spiwora, żeby zapomnieć, że Dmitrij kantował.

Młody inżynier zignorował drwiące uwagi innych i podniósł się chwiejnie. Spojrzał na namiot, ale ruszył w kierunku pojazdu badawczego, żeby sobie ulżyć przed snem. Potknął się, upadł, stoczył się do rowu obok samochodu i uderzył kolanem w kamień. Leżał przez chwilę, przeklinał swoją niezdarność. Nagle usłyszał tętent kopyt końskich, zbliżający się do obozu. Stanął na czworakach i popatrzył pod samochodem na ognisko po drugiej stronie.

Jego koledzy zamilkli na widok grupki jeźdźców. Wład z niedowierzaniem przetarł oczy, kiedy obcych oświetlił blask ognia. Sześciu mężczyzn siedzących prosto w siodłach sprawiało groźne wrażenie. Wyglądali jak na średniowiecznym rysunku. Byli ubrani w pomarańczowe, jedwabne tuniki do kolan, przewiązane w pasie jasnoniebieskimi szarfami, i białe, workowate spodnie, wpuszczone w długie, skórzane buty. W skórzanych pochwach mieli szable, na plecach łuki i kołczany pełne pierzastych strzał, na głowach metalowe hełmy w kształcie misek, ozdobione na środku końskim włosiem. Groźnego wyglądu dodawały im długie, cienkie wąsy, sięgające poniżej podbródka.

Dmitrij wstał od ogniska z butelką wódki i zaprosił jeźdźców do udziału w biesiadzie.

- Za wasze wspaniałe rumaki, towarzysze - wybełkotał i uniósł wysoko butelkę.

Odpowiedziało mu milczenie. Sześciu obcych patrzyło chłodno na inżyniera. Nagle jeden z nich sięgnął do boku. Błyskawicznym ruchem, który Wład odtwarzał potem w pamięci tysiąc razy, jeździec ściągnął z pleców łuk, napiął cięciwę i wypuścił strzałę. Wład nie zdążył jej dostrzec w locie, zobaczył tylko, że butelka nagle wypada z ręki Dmitrija i roztrzaskuje się o ziemię na sto kawałków. Dmitrij chwycił się drugą ręką za gardło. Spomiędzy jego palców wystawał upierzony koniec strzały. Inżynier osunął się na kolana, a potem z jękiem runął na ziemię.

Trzej zaszokowani mężczyźni przy ognisku zerwali się na nogi, ale natychmiast spadł na nich grad strzał. Jeźdźcy byli prawdziwymi

maszynami do zabijania. Pijani poszukiwacze ropy nie mieli szans, z tak bliskiej odległości łucznicy nie mogli chybić. W nocnym powietrzu zabrzmiały krótkie krzyki i było po wszystkim. Rosjanie leżeli martwi, z ich nieruchomych ciał sterczały strzały.

Wład obserwował masakrę wytrzeszczonymi z przerażenia oczami. Omal nie krzyknął, gdy poszybowwały pierwsze strzały. Serce waliło mu tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi, potem przyływ adrenaliny zmusił go do ucieczki. Zsunął się w dół wąwozu i zaczął biec. Jeszcze nigdy w życiu tak nie pędził. Nie czuł bólu w kolanie ani wypitego alkoholu, tylko paniczny strach. Biegł z boczami w dół, nie zważając na niewidoczne w ciemności przeszkody. Przewracał się, kaleczył sobie nogi i ręce, ale natychmiast wstawał chwiejnie i pędził dalej. Przez bicie własnego serca i swój głośny oddech nasłuchiwał tętentu końskich kopyt. Ale nikt go nie ścigał

Biegł, chwiał się i potykał przez dwie godziny, wreszcie dotarł do szumiącej rzeki Selengi. Skierował się wzdłuż jej brzegu i napotkał dwa wielkie głazy. Wpełził do szczeliny pod nimi i natychmiast zasnął. Marzył, żeby już się nie obudzić i nie przeżywać koszmaru, który niedawno widział.

15

Jazda kojarzyła się Theresie z uciążliwą podróżą dyliżansem przez amerykański południowy zachód w 1860 roku. Każdy wybój przenosił się bezpośrednio z kół na podłogę dwutonowego furgonu, aż trzeszczały jej kości. Więzy, knebel w ustach i obecność dwóch uzbrojonych strażników nie poprawiały jej samopoczucia. Pocieszało ją tylko to, że byli tu również Roy i Wofford.

Obolała, zmęczona i głodna próbowała znaleźć jakiś sens w wydarzeniach na jeziorze Bajkał. Tatiana mówiła bardzo niewiele, gdy obudziła ją naciskiem zimnej lufy pistoletu na szyję w ich wspólnej kajucie na rosyjskim statku badawczym. Theresę i jej kolegów sprowadzono pod lufami z „Wierieszczagina” do łodzi i przetransportowano na czarny frachtowiec, a potem przewieziono na brzeg i wpakowano do furgonu. Czekali na nabrzeżu prawie dwie

godziny, słysząc strzały i zamieszanie na statku, wreszcie samochód ruszył.

Zastanawiała się, co się mogło stać z rosyjskim naukowcem Sarkowem. Został oddzielony od grupy, kiedy tylko weszli na frachtowiec, i zabrany do innej części statku. Obawiała się o jego los. I co z „Wierieszczaginem”? Miał duże zanurzenie, gdy schodzili z jego pokładu. Czy Al, Dirk i reszta załogi też znaleźli się w niebezpieczeństwie?

Nie mogła zrozumieć, dlaczego ich porwano. Bała się o swoje życie, ale szybko przestała się uważać nad sobą kiedy popatrzyła na Roya i Wofforda.

Wofford bardzo poważnie uszkodził sobie nogę, gdy został zepchnięty z frachtowca, stracił równowagę i upadł. Prawdopodobnie była złamana. Trzymał ją sztywno wyprostowaną przed sobą i krzywił się z bólu na każdym wyboju.

Roy zasnął. Na koszuli miał zakrzepłą krew. Kiedy się zatrzymał, żeby pomóc Woffordowi wstać, strażnik uderzył go w głowę kolbą karabinu. Roy na kilka minut stracił przytomność.

Kolejny podskok samochodu wyrwał Theresę z niewesołych rozmyślań. Zamknęła oczy i spróbowała zasnąć, żeby przespać ten koszmar. Furgon trząsał się na wybojach jeszcze pięć godzin. W pewnym momencie wjechali do jakiegoś dużego miasta. Wskazywał na to uliczny hałas. Wkrótce ucichł i samochód znów nabrał szybkości. Przez następne cztery godziny podskakiwał na krętej drodze gruntowej. W końcu zwolnił. Strażnicy nagle stali się czujni i Theresa domyśliła się, że dojeżdżają do celu podróży.

Furgon stanął. Klekoczący diesel umilkł, tylne drzwi otworzyły się gwałtownie i wewnątrz załał słoneczny blask. Strażnicy skinęli głowami. Theresa i Roy pomogli Woffordowi wsiąść i rozejrzeli się wokół.

Stali na środku ogrodzonego murem kompleksu złożonego z dwóch oddzielnych budynków. Temperatura była tutaj dużo wyższa niż na jeziorze Bajkał, mimo lekkiego wiatru, który czuli na twarzach. Theresa wciągnęła nosem powietrze. Było suche, pełne kurzu. W oddali rozciągała się pofalowana trawiasta dolina, w sąsiedztwie budynków

wznosiła się szarozielona góra, porośnięta niskimi krzewami i gęstymi kępami sosen.

Na lewo stał niski, ceglany budynek, zasłonięty do połowy długim żywopłotem. Wyglądał na nowoczesny obiekt przemysłowy. Przylegała do niego stajnia, która wydawała się tu nie na miejscu. W dużej zagrodzie pasło się sześć koni. Skubały resztki trawy wyrastającej z piachu. Z drugim końcem budynku sąsiedował wielki blaszany garaż, gdzie stały ciężarówki i maszyny robocze. Grupka mężczyzn w czarnych kombinezonach pracowała przy zakurzonych koparkach i spychaczach.

- Myślałem, że Tadż Mahal jest w Indiach - odezwał się Roy.

- Może jesteśmy w Indiach - odrzekł Wofford z wymuszonym uśmiechem.

Theresa przyjrzała się drugiemu budynkowi. Niewysoka, lśniąca budowla z białego marmuru rzeczywiście przypominała słynny indyjski zabytek, choć nie dorównywała mu wielkością. W przeciwieństwie do prostego, ceglanego obiektu przemysłowego, była bogato zdobiona. Od frontu wznosiły się grube kolumny, główne wejście otaczał półkolisty portyk z białą pękatą kopułą. Z jej szczytu wyrastała złota iglica. Kojarzyło się to Theresie z gigantyczną porcją lodów waniliowych.

Dwa kanały dochodziły do rozległego stawu, po czym znikaly pod frontem budynku. Theresa słyszała szum pobliskiej rzeki, która zasilala kanały w pewnej odległości od kompleksu. Wokół stawu i kanałów rozciągał się zielony, dekoracyjny ogród. Był bardziej wypielęgowany niż angielskie parki.

Po drugiej stronie trawnika Theresa zobaczyła Tatianę i Anatolija. Rozmawiali z mężczyzną, który miał na biodrze kaburę. Skinął głową i podszedł do furgonu.

- Tędy - polecił. Dla podkreślenia jego rozkazu dwaj strażnicy ustawili się za Royem i Woffordem.

Theresa i Roy, podtrzymując Wofforda z obu stron, ruszyli za krępym mężczyzną w kierunku okazałej budowli. Doszli do portyku. Przy dużych, rzeźbionych, drewnianych drzwiach, niczym odźwierni w londyńskim hotelu Savoy, stali dwaj wartownicy w długich, ozdobnie haftowanych pomarańczowych szatach z jedwabiu. Stali jak posągi, każdy ścisnął mocno w jednej ręce ostrą lancę.

Drzwi się otworzyły i weszli do holu pod kopułą. Wypełniały go stare obrazy przedstawiające konie na łąkach. Zza drzwi wysunął się niski zarządca i z krzywym uśmiechem pokazał głowę, żeby szli za nim. Poprowadził ich po lśniącej marmurowej posadzce do trzech pokoi gościnnych. Theresa, Roy i Woffort zostali po kolei wprowadzeni do wygodnie urządzonej kwatery. Zarządca zamknął za nimi drzwi i zarygłował od zewnątrz.

Theresa zobaczyła na stoliku przy łóżku talerz parującej zupy i bochenek chleba. Umyła szybko ręce i twarz, usiadła i łapczywie zaczęła jeść. Potem strach ustąpił miejsca zmęczeniu. Położyła się na miękkim łóżku i zasnęła.

Trzy godziny później z głębokiego snu wyrwało ją głośnie pukanie do drzwi.

- Tędy, proszę - powiedział niski zarządca, patrząc na nią pożądliwie.

Roy i Wofford już czekali w korytarzu. Theresa zauważyła z zaskoczeniem, że Wofford ma opatrzoną nogę i opiera się na drewnianej lasce. Royowi obandażowano głowę, zabrano mu zakrwawioną koszulę i dano luźny, bawełniany pulower.

- Obaj wyglądacie jak okazy zdrowia - zażartowała.

- Jeśli za okazy zdrowia można uznać manekiny do testów zderzeniowych - odparł Roy.

Wofford postukał laską w podłogę.

- Gospodarze stali się trochę bardziej gościnni.

Całą trójkę poprowadzono z powrotem do holu, a stamtąd głównym korytarzem do przestronnego salonu. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki z książkami w skórzanych oprawkach, w głębi był kominek, z boku bar. Theresa zerknęła na czarnego niedźwiedzia ponad swoją głowę który zastygł na zawsze z wysuniętymi pazurami i odsłoniętymi zębami. Idąc przez pokój, zobaczyła więcej wypchanych zwierząt. Salonu strzegły jelenie, kozły z wielkimi rogami, wilki i lisy. Wszystkie patrzyły groźnie na gości. Tatiana stała na środku pokoju obok mężczyzny, który pasował wyglądem do menażerii wokół.

Szczerzył w uśmiechu ostre zęby, niczym rekin szykujący się do pożarcia surowego mięsa. Ale reszta jego postaci nie robiła takiego wrażenia. Miał szczupłą choć muskularną sylwetkę, kruczoczarne włosy,

zaczęte do tyłu, oczy w kształcie migdałów o dziwnym złocistobrazowym zabarwieniu i wystające kości policzkowe. Jego klasyczna mongolska uroda mogła się podobać kobietom. Zmarszczki od wiatru i słońca sugerowały, że kiedyś dużo czasu spędzał na świeżym powietrzu. Ale jego maniery i modny szary garnitur wskazywały, że tamte czasy dawno minęły.

- To ładnie z waszej strony, że przyłączyliście się do nas - odezwała się Tatiana beznamiętnym tonem. - Przedstawiam wam Tołgoja Bordzina, prezesa Konsorcjum Naftowego Awarga.

- Miło mi poznać - odrzekł Wofford, dokuśtykał do mężczyzny i uściśnął mu dłoń jak staremu przyjacielowi. - Moglibyśmy się dowiedzieć, gdzie jesteście i co tu robimy? - zapytał i zacisnął palce jak imadło.

Pytanie zbiło Mongoła z tropu. Zawahał się, zanim odpowiedział, i szybko uwolnił rękę z uścisku Wofforda.

- Jesteście w moim domu, a zarazem w centrali firmy.

- W Mongolii? - spytał Roy. Bordzin zignorował jego pytanie.

- Przykro mi, że musieliście tak szybko opuścić Syberię. Tatiana mówiła mi, że groziło wam niebezpieczeństwo.

- Czyżby? - odezwała się Theresa i zerknęła ostrożnie na swoją byłą współlokatorkę z „Wierieszczagina”.

- Zabraliśmy was stamtąd tak nagle dla waszego dobra - wyjaśniła Tatiana. - Radykalni ekolodzy broniący Bajkału są bardzo groźni. Przeniknęli na statek badawczy instytutu i próbowali go zatopić z całą załogą. Na szczęście udało mi się skontaktować z frachtowcem w pobliżu, który pomógł w waszej ewakuacji. Najlepiej było zniknąć po cichu, żeby nie zwracać na siebie uwagi i nie ryzykować, że atak się powtórzy.

- Nigdy nie słyszałam, żeby jacyś ekolodzy broniący Bajkału działali w tak brutalny sposób - odparła Theresa.

- To nowe, młode pokolenie radykałów. Stają się coraz bardziej niebezpieczni.

- A co dzieje się z doktorem Sarkowem, tym naukowcem, którego zabraliście ze statku razem z nami?

- Uparł się, że wróci na statek, żeby ostrzec innych pracowników instytutu. Niestety, nie mogliśmy mu zapewnić bezpieczeństwa.

- Nie żyje? A co z innymi ludźmi na statku?

- Musieliśmy opuścić tamten niebezpieczny rejon. Nie mam żadnych informacji o statku badawczym i doktorze Sarkowie.

Theresa zbladła, kiedy to usłyszała.

- Więc po co tu jesteśmy? - zapytał Roy.

- Na jakiś czas przerywamy prace na jeziorze Bajkał. Ale wasza pomoc przy ocenie ewentualnych złóż ropy nadal jest dla nas bardzo cenna. Zgodnie z umową mieliście dla nas pracować przez sześć tygodni, więc powierzmy wam inne zadanie.

- Czy nasza firma wie o tym? - spytała Theresa i uświadomiła sobie, że zostawiła swoją komórkę na „Wierieszczaginie”. - Muszę się skontaktować z moim szefem, żeby to omówić.

- Niestety w tej chwili nie mamy łączności telefonicznej ze światem. Jak tylko łączność zostanie przywrócona, będziesz mogła zadzwonić, dokąd zechcesz.

- Dlaczego zamykacie nas w pokojach jak zwierzęta w klatkach?

- Realizujemy szereg ważnych projektów badawczych. Nie możemy pozwolić na to, żeby ktoś z zewnątrz kręcił się po kompleksie. W odpowiednim czasie oprowadzimy was po wybranych miejscach.

- A gdybyśmy chcieli stąd natychmiast wyjechać? - zapytała na próbę Theresa.

Bordzin wyszczerzył w uśmiechu ostre zęby.

- Kierowca zawiózłby was do Ułan Bator, gdzie moglibyście wsiąść do samolotu i polecieć do domu.

Theresa była jeszcze zmęczona podróżą i nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Czego od nas chcecie?

Do pokoju wwieziono stosy dokumentów i kilka laptopów. Papiery i pliki komputerowe zawierały wyniki badań geologicznych i sejsmologicznych. Żądanie Bordzina było proste.

- Chcemy rozszerzyć zasięg wierceń na nowy region geograficzny. Tu są badania gruntów. Wskażecie nam optymalne miejsca.

Po tych słowach Mongoł odwrócił się i wyszedł. Tatiana podążyła za nim.

Roy wstał.

- Co za bzdury - mruknął.

- To wygląda na profesjonalnie zebrane dane - powiedział Wofford i uniósł do góry mapę obrazującą grubość warstw geologicznych.

- Nie chodzi mi o dane - odparł Roy.

- Spokojnie, stary - szepnął Wofford i wskazał głową górny róg pokoju.
- Sledzi nas kamera.

Roy spojrział tam i obok wypchanej głowy renifera zobaczył miniaturowy obiektyw.

- Przynajmniej udawajmy, że studiujemy te materiały - dokończył cicho Wofford, zasłaniając usta mapą.

Roy usiadł, przysunął do siebie jeden z laptopów i otworzył go. Potem pochylił się na krześle, żeby zza ekranu nie było widać jego twarzy.

- Nie podoba mi się to. Ci ludzie coś kombinują. I nie zapominajcie, że przywieźli nas tu siłą.

- Masz rację - przytaknęła szeptem Theresa. - Ta historyjka, że nas uratowali na jeziorze Bajkał, jest śmieszna.

- O ile sobie przypominam, Tatiana zagroziła, że odstrzeli mi ucho, jeśli nie zejść z nią z pokładu „Wierieszczagina” - dodał Wofford. - Nie tak wyobrażałbym sobie troskę o moje dobro.

Theresa rozłożyła mapę topograficzną jakiegoś łańcucha górskiego i wskazała Woffordowi miejsca bez żadnego znaczenia.

- A co z doktorem Sarkowem? Zabrali go razem z nami przez przypadek. Może już nie żyje?

- Tego nie wiemy - odrzekł Roy. - Należy założyć, że pozbędą się również nas, kiedy dostarczymy im informacji, których potrzebują.

Theresa pokręciła lekko głową.

- To jakiś obłąd. Musimy się stąd wydostać.

- Po drugiej stronie trawnika, obok budynku przemysłowego, jest garaż pełen pojazdów - powiedział Wofford. - Gdyby udało nam się ukraść ciężarówkę i wyjechać stąd, na pewno trafilibyśmy jakoś do Ułan Bator.

- Jesteśmy albo zamknięci w pokojach, albo pod obserwacją. Będziemy musieli coś zrobić, żeby się tam szybko dostać.

Wofford poprawił bolącą nogę.

- Niestety, nie nadaję się teraz do sprintu ani skoku o tyczce. Spróbujecie beze mnie.

Roy popatrzył na biurko w drugim końcu pokoju.

- Mam pomysł.

Udał, że szuka między mapami długopisu, potem wstał, podszedł do biurka i wziął stamtąd ołówek. Odwrócił się plecami do kamery i wsunął do rękawa srebrny nóż do papieru, który leżał między ołówkami. Wrócił do stołu i udał, że coś notuje.

- Dziś w nocy sprawdzimy, co możemy zdziałać - szepnęła do Theresy i Wofforda. - Wezmę Theresę, zbadamy teren i ustalimy drogę ucieczki. A jutro w nocy pryśniemy stąd. Z inwalidą na holu - dodał i uśmiechnął się do Wofforda.

Wofford skinął głową.

- Byłbym naprawdę bardzo zobowiązany.

16

Roy obudził się punktualnie o drugiej nad ranem i szybko się ubrał. Wyjął spod materaca ukryty nóż do papieru i dotarł po omacku przez ciemny pokój do zaryglowanych drzwi. Przesunął ręką wzdłuż framugi i wyczuł kształty trzech metalowych zawiasów po wewnętrznej stronie. Wcisnął nóż w górny zawias, podważył go i wyciągnął długi stalowy sworzeń. To samo zrobił z dwoma pozostałymi zawiasami, uniósł delikatnie drzwi i pociągnął w bok, żeby rygiel wysunął się z framugi. Potem wyszedł cicho na pusty korytarz i ustawił drzwi na swoim miejscu. Na pierwszy rzut oka wyglądały na zamknięte.

Podkradł się na palcach do sąsiedniego pokoju, który zajmowała Theresa, odryglował drzwi i otworzył je. Siedziała na łóżku i czekała.

- Udało ci się - szepnęła, gdy w przyćmionym świetle z korytarza zobaczyła jego sylwetkę.

Roy uśmiechnął się lekko i pokazał jej ruchem głowy, żeby poszła za nim. Wymknęli się na korytarz i ruszyli wolno w kierunku głównego holu. Drogę oświetlał im rząd słabych lamp przypodłogowych. Wokół było pusto i cicho. Gumowe podeszwy butów Theresy zaczęły piszczeć na gładkiej, marmurowej podłodze, więc przystanąła, zdjęła je i poszła dalej w pończochach.

W holu palił się jasno wielki, kryształowy żyrandol, więc przywarli do ściany. Roy przykucnął i dotarł w takiej pozycji do wąskiego okna obok drzwi frontowych. Wyjrzał na zewnątrz, odwrócił się do Theresy i pokręcił głową. Mimo późnej pory przy wejściu nadal stali dwaj wartownicy. Należało poszukać innego wyjścia.

Stojąc w holu, zorientowali się, że są u podstawy odwróconej litery T. Pokoje gościnne były na lewo, gospodarze prawdopodobnie mieszkali na prawo. Ruszyli szerokim głównym korytarzem, który prowadził do biura.

Wszędzie panowała cisza, rozlegało się tylko głośnie tykanie starego zegara w korytarzu. Minęli na palcach jadalnię, potem dwie małe sale konferencyjne. Wszystkie pomieszczenia zdobiły imponujące kolekcje antyków z czasów dynastii Song i Jin. Theresa patrzyła na sufit w poszukiwaniu kamer, ale nie zauważyła żadnych. Nagle usłyszała cichy szum i tak mocno wbiła paznokcie w ramię Roya, że skrzywił się z bólu. Oboje odetchnęli z ulgą, kiedy zdali sobie sprawę, że to tylko wiatr na dworze.

Korytarz kończył się na progu przestronnego salonu z trzema szklanymi ścianami. Choć w nocy z górskiej rezydencji niewiele było widać, Theresa i Roy dostrzegli za oknami pofalowany step. Roy zobaczył na środku pokoju pokryte dywanem schody prowadzące na niższy poziom. Wskazał je Theresie. Skinęła głową i ruszyła cicho za nim. Od wędrówki po twardej marmurowej podłodze zaczynały ją boleć stopy. Teraz z przyjemnością stąpała po grubym dywanie. Gdy dotarła do zakrętu schodów, zobaczyła w górze wielki portret dawnego wojownika. Siedział wyprostowany na koniu, był przepasany pomarańczową szarfą miał kurtkę obszytą futrem, na głowie klasyczny mongolski hełm w kształcie miski. Patrzył na Theresę tryumfalnie złocisto-czarnymi oczami, odsłaniając w uśmiechu ostre zęby, podobnie jak Bordzin. Obraz był tak wyrazisty, że wzdrygnęła się, odwróciła i zeszła na następny podest.

Na wprost biegł krótki korytarz z oknami po jednej stronie, który oddalał się od centralnej części rezydencji. Okna wychodziły na rozległy dziedziniec. Theresa i Roy wyjrzeli na zewnątrz i zauważyli wolno stojący budynek.

- Muszą tu być drzwi na dziedziniec - szepnął Roy. - Jeśli uda nam się tędy wyjść, okrążymy skrzydło dla gości i dotrzemy do garażu.

- To zbyt długa droga dla Jima, ale przynajmniej wygląda na to, że nie ma tutaj strażników.

Dotarli szybko do końca korytarza, gdzie znaleźli drzwi. Nie były zaryglowane. Theresa nacisnęła klamkę, obawiając się, że zaraz zabrzmi alarm, ale nadal panowała cisza. Wymknęli się na dziedziniec, oświetlony kilkoma niskimi lampami rozmieszczonymi w różnych punktach. Theresa poczuła pod stopami zimną ziemię i z powrotem włożyła buty. Wzdrygnęła się, gdy chłodny wiatr przeniknął przez jej cienkie ubranie.

Poszli łupkowym chodnikiem, który prowadził na skos przez dziedziniec w kierunku niewielkiej kamiennej budowli na tyłach domu. Okazało się, że to mała, okrągła kaplica pod kopułą. W przeciwieństwie do rezydencji, nie była z marmuru i wyglądała na bardzo starą. Roy minął tunelowe wejście i poszedł dalej wzdłuż krzywizny ściany.

Natrafili na wiatę otoczoną niskim płotem ze sztachet. W dawnej zagrodzie stało teraz sześć starych wozów konnych. Piętrzyły się na nich stosy łopat, kilofów i pustych skrzyń. Spod brezentowej plandeki wystawało przednie koło zakurzonego motocykla. Roy przyjrzał się samochodowi w głębi wiaty, który widział wcześniej z dziedzińca. Zabytkowy pojazd pokrywała gruba warstwa kurzu, w co najmniej dwóch oponach nie było powietrza.

- Nie ma tu nic, czym moglibyśmy się dostać do Ułan Bator - zauważyła z rozczarowaniem Theresa.

Roy skinął głową.

- Będziemy musieli wziąć coś z garażu po drugiej stronie rezydencji. Nagle znieruchomiał, gdy wiatr przyniósł z dziedzińca przenikliwy dźwięk.

Rozpoznał rzenie konia.

- Tam - szepnął i wskazał wiatę.

Padli na ziemię, przeczołgali się między sztachetami płotu i wpełzli pod najbliższy wóz. Leżąc za jego drewnianym kołem, wyjrzel ostrożnie przez szprychy.

Po chwili na chodniku rozległ się odgłos kopyt i pojawiło się dwóch jeźdźców. Okrążyli kamienną budowlę i zatrzymali się przy zagrodzie. Theresie zamarło serce, gdy na nich spojrzała. Mieli na sobie takie same stroje jak wojownik na obrazie. W świetle z dziedzińca lśniły złociście ich jedwabne, pomarańczowe tuniki. Wizerunek wojowników uzupełniały workowate spodnie, buty na grubych podszewkach i okrągłe metalowe hełmy, ozdobione końskim włosiem. Dwaj mężczyźni stali przez chwilę tuż obok kryjówki Theresy i Roya. Byli tak blisko, że Theresa czuła smak kurzu, który wzbijały w powietrze konie grzebiące kopytami w ziemi.

Jeden z mężczyzn warknął coś niezrozumiale i oba konie skoczyły nagle do przodu. W mgnieniu oka jeźdźcy zniknęli w ciemności wśród tętentu kopyt.

- Nocny patrol - stwierdził Roy, kiedy zapadła cisza.

- Mało brakowało - powiedziała Theresa, wstała i otrzepała ubranie z kurzu.

- Pewnie niedługo wrócą. Mamy niewiele czasu. Spróbujmy się zakraść do garażu po drugiej stronie rezydencji

- Dobra. Pospieszmy się. Wolałabym już nie spotkać tych facetów. Wydostali się przez płot z zagrody i pobiegli w kierunku skrzydła rezydencji przeznaczonego dla gości. Ale w połowie drogi przez dziedziniec usłyszeli przeraźliwy okrzyk i galop koni. Obejrzeni się i zobaczyli z przerażeniem, że szarżujący jeźdźcy są zaledwie parę metrów za nimi. Dwaj mężczyźni na patrolu zauważyli obcych biegnących przez dziedziniec i ruszyli w pościg.

Theresa i Roy zatrzymali się. Nie wiedzieli, czy uciekać do rezydencji, czy w głąb dziedzińca. Ale kierunek nie miał już znaczenia. Jeźdźcy byli tak blisko, że widzieli ich jak na dłoni. Jeden ściągnął gwałtownie wodze i jego koń stanął dęba. Drugi pędził dalej prosto na Theresę i Roya.

Roy natychmiast się zorientował, że jeździec chce ich stratować. Zerknął szybko na Theresę i dostrzegł w jej oczach paralizujący strach.

- Rusz się! - krzyknął, złapał ją za łokieć i odciągnął z niebezpiecznego miejsca. Jeździec był już prawie przy nich i Roy ledwo zdołał uskoczyć przed szarżującym koniem. Poczował, jak strzemień zawadza o jego bok i

omal nie stracił równowagi. A potem zrobił coś nie do pomyślenia. Zamiast uciekać, puścił się sprintem za koniem.

Niepodejrzewający niczego jeździec przegalopował jeszcze kilka metrów, później zwolnił i zawrócił, by znów zaatakować. Kiedy wykonał manewr, zaskoczył go widok Roya, który zastąpił mu drogę. Sejsmolog sięgnął w górę, chwycił luźno wiszące wodze i szarpnął mocno w dół.

- Starczy tej zabawy - mruknął.

Jeździec patrzył z tępą miną, jak Roy próbuje poskromić jego konia, który wypuszczał nozdrzami kłęby pary.

- Neeee! - krzyknęła Theresa tak głośno, że chyba usłyszano ją w Tybecie.

Roy zerknął na nią. Leżała na ziemi, ale w tym momencie nic jej nie groziło. Wtem dostrzegł jakiś przedmiot szybujący w jego kierunku. Coś uderzyło go w pierś i poczuł wewnątrz ogień. Zakręciło mu się w głowie i opadł na kolana. Theresa natychmiast znalazła się przy nim i otoczyła go ramieniem.

Strzała wypuszczona z łuku przez drugiego jeźdźca o milimetry minęła serce Roya. Przeszyła mu pierś i przebiła tętnicę płucną. Nastąpił rozległy krwotok wewnętrzny.

Theresa próbowała rozpaczliwie zatamować wypływ krwi z rany od grotu strzały. Trzymała mocno Roya, gdy jego twarz powoli traciła normalny kolor. Łapał gwałtownie powietrze i wiotczał w jej ramionach. Na moment zabłysły mu oczy i Theresa myślała, że przeżyje. Spojrzał na nią i wyszeptał:

- Ratuj siebie.

Potem zamknął oczy i umarł.

17

Odrzutowiec pasażerski Tu-154, należący do Aeroflotu, przechylił się na skrzydło nad Ułan Bator, potem skrzył pod wiatr i wylądował na głównym pasie startowym międzynarodowego portu lotniczego Bujant Uchaa. Niebo było bezchmurne i Pitt przyglądał się miastu i jego

okolicom ze swojego fotela przy oknie. Liczne żurawie i spychacze wskazywały na to, że stolica Mongolii się modernizuje.

Większość miasta, gdzie żyje ponad milion ludzi, została zbudowana w radzieckim stylu na modłę lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Szare bloki mieszkalne mają w sobie tyle ciepła, co cele więzienne. Odnosi się to również do wielu potężnych gmachów rządowych wokół centrum. Ale obecna samodzielność kraju, posmak demokracji i stopniowy rozwój gospodarczy dodają życia miastu, które chce być nowoczesne. W szarym niegdyś Ułan Bator pojawiają się kolorowe sklepy, eleganckie restauracje i dobrze prosperujące nocne kluby.

W sercu miasta stare miesza się z nowym. Na przedmieściach nadal jest mnóstwo filcowych jurt, nazywanych ger, tradycyjnych domów koczowniczych rodzin mongolskich, trudniących się pasterstwem. Setki szarych i białych jurt zapełniają też rozległe stepy.

Na Zachodzie niewiele się wie o Mongolii. Znany jest Czyngis-chan i mongolska wołowina. Słabo zaludniony kraj, położony między Rosją i Chinami, zajmuje rozległe terytorium, niewiele mniejsze od stanu Alaska. Na północy i zachodzie wznoszą się poszarpane góry, na południu rozciąga się pustynia Gobi. Przez środek kraju biegną pofalowane, trawiaste stepy, gdzie kiedyś rodzili się najlepsi jeźdźcy na świecie. Ale dni chwały imperium mongolskiego to odległa przeszłość. Lata uzależnienia od Związku Radzieckiego pozbawiły kraj tożsamości i zahamowały jego rozwój. Dopiero od niedawna naród mongolski znów mówi własnym głosem.

Pitt patrzył w dół na góry wokół Ułan Bator i zastanawiał się, czy przyłot do Mongolii to był dobry pomysł. Przecież na jeziorze Bajkał próbowano zatopić rosyjski statek, nie jednostkę NUMA. I nikt z jego zespołu nie ucierpiał. Nie odpowiadał też za ekipę poszukiwaczy ropy. Uważał jednak, że ich porwanie miało jakiś związek z badaniami, które prowadzili na jeziorze Bajkał.

Kiedy koła samolotu uderzyły z piskiem w beton, Pitt szturchnął łokciem pasażera w sąsiednim fotelu. Al Giordino zasnął natychmiast po starcie z Irkucka i nie obudził się nawet wtedy, gdy stewardesa wylała mu kawę na but. Teraz uniósł ciężkie powieki i zerknął przez okno. Kiedy zobaczył płytę lotniska, natychmiast oprzytomniał i usiadł prosto.

- Straciłem coś w czasie lotu? - zapytał, tłumiąc ziewanie.
- Jak zwykle, widoki. Były ładne krajobrazy, trochę owiec i koni, parę kolonii nudystów.

- Ja to mam szczęście - odrzekł Giordino i przyjrzał się podejrzliwie brązowej plamie na swoim bucie.

- Witamy w Mongolii, w Ułan Bator, co znaczy „Czerwony Bohater” - rozległ się z fotela po drugiej stronie przejścia wesoły głos Sarkowa. Gruby naukowiec miał opatrunki na twarzy. Giordino nie rozumiał, dlaczego Rosjanin jest w takim dobrym humorze. Wszystko stało się jasne, gdy zobaczył, że Sarkow chowa do walizki piersiówkę.

Przeszli przez kontrolę paszportową, gdzie Pittowi i Giordinowi przyjrzano się bacznie, zanim mogli odebrać swoje bagaże. Lotnisko było małe jak na międzynarodowy port lotniczy. Przed wyjściem na postój taksówek Pitt zauważył, że przygląda mu się żyłasty mężczyzna w czerwonej koszuli. Rozejrzał się po terminalu i zobaczył, że gapi się na niego wielu miejscowych. Nie co dzień widywali prawie dwumetrowego obcokrajowca z Zachodu.

Podjechała zdezelowana taksówka.

- Cała Mongolia bardzo się zmieniła w ciągu ostatnich kilku lat - powiedział Sarkow.

- Wygląda tak, jakby w ogóle nic się tu nie zmieniło przez kilka ostatnich wieków - odparł Giordino na widok dużego skupiska jurt.

- Mongolia przegapiła XX wiek - przyznał Rosjanin - ale teraz nadrabia zaległości. Podobnie jak Rosja, Mongolia przestała być państwem policyjnym, gdzie władza kontroluje codzienne życie, i ludzie uczą się korzystać z wolności.

- Często tu bywasz? - zapytał Pitt.

- Współpracuję z Mongolską Akademią Nauk przy kilku projektach na jeziorze Chubsugul.

Taksówka ominęła dziurę wielkości krateru i zahamowała z piskiem opon przed hotelem Continental. Kiedy Sarkow meldował ich w recepcji, Pitt podziwiał reprodukcje średniowiecznych dzieł sztuki, które zdobiły duży hol. Zerknął przez frontowe okno i zobaczył, że przed wejściem zatrzymuje się samochód i zza kierownicy wysiada ten sam mężczyzna w czerwonej koszuli, którego widział na lotnisku.

Pitt przyjrzał mu się uważnie. Mężczyzna miał europejskie rysy, więc nie był z mongolskiej milicji. Ale czuł się tutaj swobodnie, szczerzył zęby w uśmiechu i poruszał się jak kot idący po szczycie parkanu. Pitt zauważył na jego plecach tuż powyżej pasa wybrzuszenie, które mogło być tylko kaburą pistoletu.

- Wszystko załatwione - oznajmił Sarkow i wręczył Pittowi i Giordinowi klucze do pokoi. - Mieszkamy obok siebie na czwartym piętrze. Bagażowi już wiozą nasze rzeczy na górę. Proponuję, żebyśmy zjedli lunch w kafeterii hotelowej i omówili strategię.

- Jeśli w tej knajpie jest szansa na zimne piwo, to już tam lecę - odrzekł Giordino.

- Ja jestem jeszcze zeszywniały po podróży - powiedział Pitt. - Przejdę się najpierw dookoła hotelu, żeby rozprostować nogi. Weźcie dla mnie kanapkę z tuńczykiem. Dołączę do was za parę minut.

Kiedy Pitt wyszedł na dwór, mężczyzna w czerwonej koszuli odwrócił się szybko tyłem, oparł się o samochód i spojrzał niedbale na zegarek. Pitt poszedł w przeciwnym kierunku, omijając grupkę japońskich turystów idących do hotelu. Skręcając za róg, zerknął w bok. Tak jak podejrzewał, mężczyzna w czerwonej koszuli siedł za nim.

Pitt skręcił w uliczkę, gdzie wzdłuż chodnika stały stragany. Chwilowo niewidoczny dla tamtego, puścił się biegiem w głąb zaułka i minął kilka pierwszych budek. Dał nura za stoisko z prasą i zatrzymał się przed straganem z ubraniami. Na bocznej ścianie wisiały ciężkie zimowe płaszcze. Pitt wszedł do środka, stanął za płaszcami i przywarł plecami do ściany.

Zza lady zawalonej butami wyłoniła się stara pomarszczona kobieta i spojrzała w górę na Pitta.

- Ciii... - szepnął, uśmiechnął się i położył palec na ustach. Popatrzyła na niego dziwnie, pokręciła głową i zniknęła na zapleczu swojej budki.

Po kilku sekundach nadbiegł mężczyzna w czerwonej koszuli. Po drodze rozglądał się nerwowo po straganach. Jego kroki uprzedziły Pitta, że się zbliża. Zatrzymał się przed budką z ubraniami. Pitt stał bez ruchu i nasłuchiwał odgłosu ciężkich butów na betonie. Kiedy mężczyzna ruszył biegiem dalej, Pitt wyskoczył zza płaszczy.

Mężczyzna w czerwonej koszuli zwalniał przy następnym straganie, gdy wyczuł czyjąś obecność za plecami. Obejrzał się przez ramię i zobaczył Pitta, który przewyższał go o głowę i był tuż za nim. Zanim zdążył zareagować, poczuł na ramionach wielkie dłonie Pitta.

Pitt mógł go zatrzymać lub powalić na ziemię. Ale nie chciał walczyć. Po prostu popchnął go z rozpędu w kierunku okrągłego metalowego stojaka z czapkami. Przeciwnik uderzył twarzą w stojak i wylądował na brzuchu wśród czapek baseballowych. Taki upadek unieszkodliwiłby większość ludzi, ale Pitt nie był zaskoczony, gdy żyłasty mężczyzna zerwał się natychmiast na nogi, stanął w półprzysiadzie, by zadać mu cios lewą ręką, i jednocześnie sięgnął prawą za plecy. Pitt cofnął się o krok i zażartował.

- Tego szukasz? - zapytał i wycelował w pierś mężczyzny automatyczny pistolet Sierdiukow SPS. Mężczyzna zrobił tępą minę, kiedy natrafił prawą ręką na pustą kaburę. Potem spojrział Pittowi w oczy i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wygląda na to, że ma pan nade mną przewagę, panie Pitt - powiedział po angielsku z ledwo słyszalnym rosyjskim akcentem.

Pitt trzymał go pod lufą.

- Nie lubię tłoku wokół siebie. Mężczyzna zerknął nerwowo na ulicę.

- Nie musi pan się mnie obawiać - odrzekł cicho. - Jestem przyjacielem. Szukałem pana.

- Doskonale. W takim razie zjemy lunch z moimi przyjaciółmi, którzy chętnie cię poznają.

- W hotelu Continental. - Mężczyzna się uśmiechnął i zdjął dziecięcą czapeczkę z biegnącym wielbłądem na daszku, która jakimś trafem znalazła się na jego głowie podczas upadku. Ominął wolno Pitta i ruszył w kierunku hotelu. Pitt szedł kilka kroków za nim z pistoletem ukrytym w kieszeni. Zastanawiał się, kim jest ten człowiek, który go śledził.

Rosjanin nie próbował uciec. Śmiało wszedł do głównej restauracji. Ku zaskoczeniu Pitta skierował się prosto do łoży, gdzie przy drinkach siedzieli Giordino i Sarkow.

- Aleksander, ty stary capie! - powitał ze śmiechem Sarkowa.

- Korsow! Jeszcze cię stąd nie wyrzucili?- odparł Sarkow, wstał i uściskał tamtego.

- Jestem bezcenny dla naszej placówki dyplomatycznej - odrzekł Korsow z udawaną powagą. Przyjrzał się pokiereszowanej twarzy Sarkowa i zmarszczył brwi. - Wyglądasz, jakbyś właśnie uciekł z łagru.

- Nie, to robota tych parszywych kundli, o których ci mówiłem. Wybacz, nie przedstawiłem ci moim amerykańskim przyjaciółom. Dirk, Al, to Iwan Korsow, attache specjalny z ambasady rosyjskiej w Ułan Bator. Kiedyś pracowaliśmy razem. Zgodził się nam pomóc w zbadaniu sprawy Awargi.

- Śledził nas od lotniska - odparł sceptycznie Pitt.

- Aleksander uprzedził mnie o waszym przylocie. Sprawdzalem tylko, czy nie śledzi was ktoś inny.

- Zdaje się, że jestem panu winien przeprosiny. - Pitt się uśmiechnął, dyskretnie oddał Korsowowi pistolet i uściśnął mu dłoń.

- Nie ma sprawy - odrzekł dyplomata. - Choć mojej żonie może się nie spodobać obecny wygląd mojej twarzy - dodał i pomasażował czerwony nos, którym uderzył w stojak z czapkami.

- Nie wiem, jak mógł się jej podobać twój poprzedni wygląd - zażartował Sarkow.

Usiedli razem, zamówili lunch i zaczęli rozmawiać.

- Aleksander, mówiłeś mi o próbie zatopienia „Wierieszczagina” i porwaniu pracowników koncernu naftowego, ale nie wiedziałem, że zostałeś ranny - powiedział Korsow i wskazał bandaż wokół nadgarstka Sarkowa.

- Byłoby ze mną dużo gorzej, gdyby nie moi przyjaciele - odparł naukowiec i uniósł szklanke piwa w kierunku Pitta i Giordina.

- My też nie byliśmy zachwyceni perspektywą zamoczenia sobie nóg w środku nocy - dodał Giordino.

- Dlaczego myślicie, że porwani są w Mongolii?

- Wiemy, że tamten frachtowiec wynajęło konsorcjum Awarga, a ekipa poszukiwaczy ropy pracowała dla nich. Nie znaleziono żadnej siedziby tej firmy na Syberii, więc założyliśmy, że wrócili do Mongolii. Straż graniczna potwierdziła, że ciężarówki odpowiadające opisom samochodów widzianych w Listwiance wjechały do Mongolii w Nauszkach.

- Czy ktoś zwrócił się oficjalnie o pomoc do tutejszych władz?

- Tak, do mongolskiej milicji wysłano taką prośbę i na niższych szczeblach została już nawiązana współpraca. Ale milicja w Irkucku

uprzedziła mnie, że postępowanie prawdopodobnie będzie się toczyło tutaj bardzo wolno.

- To prawda. Rosyjskie wpływy w Mongolii nie są już takie jak kiedyś.
- Korsow pokręcił głową. - Również poziom bezpieczeństwa bardzo się tutaj obniżył w porównaniu z przeszłością. Te demokratyczne przemiany i rozwój gospodarczy sprawiły, że państwo ograniczyło kontrolę nad własnymi obywatelami.

- Wolność ma swoją cenę, przyjacielu, ale nie wybrałbym innej drogi - odparł Giordino.

- Możecie mi wierzyć, że wszyscy cieszymy się z większych swobód obywatelskich. Tyle że czasem trochę utrudniają mi pracę.

- A na czym właściwie ona polega? - zapytał Pitt.

- Dbam o to, żeby ambasada wiedziała, co się dzieje w kraju gospodarza.

Pitt i Giordino wymienili znaczące spojrzenia, ale się nie odezwali.

- Znów się przechwalasz, Iwan? - Sarkow się uśmiechnął. - Skończmy mówić o tobie. Co możesz nam powiedzieć o firmie Awarga?

Korsow odchylił się do tyłu i zaczął, aż kelnerka postawi na stoliku kolejną drinków.

- Konsorcjum Naftowe Awarga to dziwny stwór - odrzekł cicho.

- W jakim sensie? - zapytał Sarkow.

- Pod rządami komunistów w Mongolii nie było prywatnych firm. Zaczęły się pojawiać dopiero piętnaście lat temu. W okresie ostatnich pięciu lat nastąpił wysyp samodzielnych prywatnych przedsiębiorstw mongolskich. Wcześniej zakładano spółki z udziałem skarbu państwa lub kapitału zagranicznego. Zwłaszcza górnicze, bo miejscowi nie mieli środków na uruchomienie własnego interesu, a ziemia należała do państwa. Ale w wypadku Awargi było inaczej.

- Nie są spółką z udziałem skarbu państwa? - spytał Pitt.

- Nie. Dokumenty potwierdzają że to całkowicie prywatna firma. Co ciekawe, powstała jako jedna z pierwszych pod nowymi rządami we wczesnych latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. A przy okazji, jej nazwa pochodzi od starego miasta, uważanego za pierwszą stolicę Mongolii.

- Poza wydzierżawieniem gruntu niewiele potrzeba do założenia firmy naftowej - zauważył Giordino. - Mogli zacząć tylko z kawałkiem papieru i jednym pikapem.

- Nie potrafię powiedzieć, jakie mieli środki, ale teraz na pewno nie jest to jeden pikap.

- Co udało ci się ustalić? - zapytał Sarkow.

- Mają pole naftowe o bardzo niskiej wydajności na północy, niedaleko granicy z Syberią, kilka szybów wydobywczych na pustyni Gobi i prawo użytkowania dużych terenów wokół jeziora Bajkał. Ich jedynym prawdziwym środkiem trwałym jest baza techniczna w południowej części Ułan Bator, obsługująca pole naftowe. Sąsiaduje ze stacją kolejową która istnieje tam od lat. I ostatnio oznajmili, że zaczynają eksploatację kopalni miedzi w pobliżu Karakorum.

- W tym wszystkim nie ma nic podejrzanego - powiedział Pitt.

- Nie, ale tylko to wiadomo oficjalnie. Bardziej interesujące informacje udało mi się zdobyć w ministerstwie rolnictwa i przemysłu. - Konspiracyjna mina Korsowa wskazywała, że minister niekoniecznie musiał o tym wiedzieć. - Otóż Konsorcjum Naftowe Awarga uzyskało zezwolenia na wydobywanie ropy i innych surowców mineralnych na terytorium całego kraju. Jeszcze bardziej zdumiewające jest to, że stali się właścicielami tysięcy hektarów ziemi należącej wcześniej do państwa. W Mongolii to niezwykle przywilej. Według moich źródeł firma zapłaciła za to rządowi znaczną sumę. A nie wygląda na to, żeby miała takie pieniądze.

- Zawsze gdzieś znajdzie się jakiś bank skłonny udzielić pożyczki - odrzekł Pitt. - Fundusze mogły pochodzić z zewnątrz.

- Możliwe, choć nie znalazłem na to dowodu. Zastanawiające jest to, że wiele tych terenów leży w regionach, gdzie nie ma znanych złóż ropy ani innych surowców mineralnych. Na przykład na pustyni Gobi.

Zjawiła się kelnerka i postawiła przed Korsowem wielką porcję pieczonej jagnięciny. Rosjanin włożył do ust duży kawałek mięsa i mówił dalej.

- Co ciekawe, nie wygląda na to, żeby szef tej firmy miał jakiegokolwiek wpływy czy powiązania polityczne. Jest właściwie nieznaną w kręgach rządowych. Płaci za wszystko gotówką z jakiegoś tajemniczego źródła. Nie afiszuje się i większość czasu spędza w Xanadu.

- W Xanadu? - powtórzył Pitt.

- Tak nazwał swoją rezydencję, która jest jednocześnie siedzibą centrali jego firmy. Znajduje się około dwustu pięćdziesięciu kilometrów na południowy wschód stąd. Nigdy jej nie widziałem, ale słyszałem o niej od jednego z dyrektorów Jukosu, który kilka lat temu został tam zaproszony na rozmowy handlowe. Podobno jest to okazały pałac, zbudowany na wzór letniej rezydencji XIII-wiecznego władcy Mongolii. Pełno tam antyków. To chyba jedyne takie miejsce w Mongolii. Co dziwne, nie znam żadnego Mongoła, który tam był.

- Jeszcze jeden dowód na posiadanie nieudokumentowanego majątku - stwierdził Sarkow. - Ale co z naszymi porwanymi? Dokąd mogli trafić? Do bazy technicznej w mieście czy do Xanadu?

- Trudno powiedzieć. Do tej bazy ciężarówki mogły łatwo wjechać niezauważone, więc warto najpierw tam zajrzeć. Ale właściwie dlaczego porwano tych ludzi?

- Dobre pytanie - odrzekł Pitt. - Właśnie tego chcielibyśmy się dowiedzieć. Zaczniemy od tej bazy. Mógłby pan nam pomóc?

- Oczywiście - odparł Korsow. - Już ją obejrzałem z zewnątrz. Pilnują jej ochroniarze, ale powinniście się bez trudu dostać do środka od strony torów kolejowych.

- Krótka nocna wizyta, żeby się rozejrzeć, nie powinna nikomu przeszkadzać - powiedział Giordino.

- Spodziewałem się, że będziecie chcieli to zrobić. Musicie tylko sprawdzić, czy są tam porwani. Jeśli tak, prześlemy sprawę mongolskiej milicji. Inaczej zdamy się zestarzyć, zanim ktoś się tym zajmie. Wierzcie mi, że w Mongolii czas naprawdę potrafi się zatrzymać.

- A co z tą kobietą Tatiana? Ma pan o niej jakieś informacje?

- Niestety nie. Mogła przyjechać na Syberię pod fałszywym nazwiskiem. Ale jeśli pracuje dla Awargi i jest w Mongolii, znajdziemy ją.

Korsow skończył pożerać jagnięcinę i popił ją chińskim piwem.

- Spotkamy się dziś o północy za hotelem. Zawiozę was do tej bazy, ale ze względu na moje stanowisko nie będę mógł oczywiście wejść z wami do środka. - Dyplomata wyszczerzył w uśmiechu duże zęby.

Sarkow machnął zabandażowaną ręką.

- Ja też muszę z tego zrezygnować. Ale postaram się pomóc w każdy inny sposób - dodał.

- Nie ma problemu - zapewnił Pitt. - Należy unikać międzynarodowych incydentów. W razie wpadki będziemy udawali turystów, którzy się zgubili.

- Z powodu przypadkowego wejścia na czyjś teren nie powinno wam nie grozić. - Sarkow się uśmiechnął.

Korsow nagle spochmurniał.

- Muszę wam powiedzieć o pewnym tragicznym zdarzeniu. Dwa dni temu w górach na północ stąd zginęła rosyjska ekipa poszukiwaczy ropy z koncernu naftowego Łukoil. Czterej mężczyźni bez żadnej wyraźnej przyczyny zostali brutalnie zamordowani przez jakichś ludzi na koniach. Piąty członek ekipy był świadkiem tych zabójstw, ale udało mu się niepostrzeżenie uciec. Pasterz owiec znalazł go wykończonego i przerażonego niedaleko miasta Bugant. Kiedy mężczyzna ten wrócił na miejsce zbrodni z milicją, niczego już tam nie było. Zniknęły ciała, samochody, sprzęt poszukiwawczy - wszystko. Przedstawiciel ambasady odwiózł go z powrotem na Syberię. Łukoil potwierdził, że reszta ekipy zaginęła.

- Czy to się jakoś wiąże z Awargą? - zapytał Giordino.

- Nie wiadomo. Nie ma na to żadnych dowodów. Ale musicie przyznać, że to dziwny zbieg okoliczności.

Przy stoliku na chwilę zapadła cisza. Milczenie przerwał Pitt.

- Iwan, niewiele nam pan powiedział o właścicielach Awargi. Kim oni są?

- Firma jest zarejestrowana na Tołgoja Bordzina. Ma on młodszego brata i siostrę, ale nie wiem, jak się nazywają. Spróbuję się dowiedzieć czegoś więcej. W dostępnych mongolskich dokumentach jest niewiele informacji o tej rodzinie. Bordzin wychował się w państwowej komunie w prowincji Chentej. Jego matka zmarła w młodym wieku, ojciec był geodetą. Jak wspominałem, nie wydaje się, żeby ta rodzina miała jakies wpływy polityczne, i nie obraca się w wyższych sferach Ułan Bator. Mogę tylko powtórzyć pogłoskę, że uważają się za członków Złotego Klanu.

- Są tacy bogaci? - zapytał Giordino. Korsow pokręcił głową.

- Nie, Złoty Klan nie ma nic wspólnego z bogactwem. Chodzi o rodowód.

- Taka nazwa sugeruje duże pieniądze gdzieś w przeszłości.

- Pieniądze i ziemię. Mnóstwo ziemi. Niemal całą Azję.

- Chyba nie chce pan... - zaczął Pitt.
- Owszem - skinął głową Korsow. - W książkach historycznych przeczytacie, że Złoty Klan to w prostej linii potomkowie Temudżyna.
- Temudżyna? - zdziwił się Giordino.
- Największego zdobywcy z czasów średniowiecza - wyjaśnił Pitt. - Znanego bardziej jako Czyngis-chan.

18

Po późnej kolacji Pitt i Giordino włożyli ciemne ubrania, narobili dużo szumu w recepcji, wypytując głośno, gdzie są najlepsze bary w okolicy, po czym wyszli z hotelu. Choć zagraniczni turyści nie byli już rzadkością w Ułan Bator, Pitt wolał nie wzbudzać podejrzeń. Okrążyli budynek i weszli do małego baru na wprost tylnego wejścia do hotelu. W lokalu panował tłok, ale znaleźli w rogu stolik, wzięli po piwie i czekali, aż zegar wybije północ. Tłum pijanych biznesmenów śpiewał hałaśliwym chórem ballady, ruda barmanka grała na instrumencie strunowym, jataku.

Korsow zjawił się punktualnie o północy. Prowadził szarą toyotę sedan. Zwolnił na tyle, żeby Pitt i Giordino mogli wskoczyć do środka, potem dodał gazu. Pojechał przez miasto okrężną drogą i minął wielki plac Suche Batora. Miejsce zgromadzeń publicznych w sercu Ułan Bator ochrzczono nazwiskiem rewolucyjnego przywódcy, który pokonał Chińczyków i w 1921 roku ogłosił na tym placu niepodległość Mongolii. Zapewne byłby rozczarowany, gdyby wiedział, że dziś główną atrakcją jest tu lokalny zespół rockowy.

Samochód skręcił na południe i wkrótce wydostał się z ruchu w centrum. Korsow wybierał ciemne boczne ulice.

- Na tylnym siedzeniu są prezenty dla was. - Uśmiechnął się, pokazując w lusterku wstecznym wystające zęby. Giordino znalazł na kanapie dwie znoszone brązowe kurtki. Leżały na nich dwa poobijane żółte kaski ochronne.

- Nie zmarzniecie i będziecie wyglądali jak miejscowi robotnicy.
- Albo jak bezdomni - odparł Giordino, kiedy wciągnął na siebie jedną z kurtek. Była wyjeżdżona przez mole i niemal pękła na jego

muskularnym ciele. Uśmiechnął się, gdy zobaczył, że rękawy kurtki Pitta są za krótkie o piętnaście centymetrów.

- Nie ma tu gdzieś całodobowego zakładu krawieckiego? - zapytał Pitt.

Korsow zarechotał, sięgnął pod fotel i wręczył Pittowi latarkę i dużą kopertę.

- To zdjęcie lotnicze, które mam dzięki uprzejmości ministerstwa budownictwa i rozwoju urbanistycznego. Niezbyt szczegółowe, ale pozwoli wam się zorientować w rozkładzie bazy.

- Miałeś dziś pracowity wieczór, Iwan - stwierdził Pitt.

- Sądziłeś, że mając żonę i piątkę dzieciaków wracam po pracy do domu? - Korsow się roześmiał.

Dotarli do południowego obrzeża miasta, gdzie Rosjanin skręcił na zachód i pojechał wzdłuż torów kolejowych. Gdy minęli główny dworzec w Ulan Bator, Korsow zwolnił. Pitt i Giordino obejrzeni szybko w świetle latarki zdjęcie lotnicze.

Niewyraźna, czarno-biała fotografia pokazywała obszar o powierzchni ponad pięciu kilometrów kwadratowych, ale Korsow narysował wokół bazy Awargi czerwony krąg. Na obu krańcach prostokątnego terenu stały dwa duże magazyny, w środku znajdowało się kilka mniejszych budynków. Wzdłuż ulicy od frontu biegł mur, z tyłu i z boków parkan. Większość otwartej przestrzeni zajmowały rury i sprzęt. Pitt dostrzegł bocznice, która prowadziła od głównej linii kolejowej w mieście do południowego krańca kompleksu.

Korsow wyłączył światła samochodu i zatrzymał się na pustym parkingu. W sąsiedztwie stał osmalony budynek bez dachu. Dawna piekarnia spłonęła wiele lat temu i pozostały z niej tylko ściany.

- Bocznica jest zaraz za tą ruiną. Idźcie wzdłuż torów do bazy. Brama dla pociągu to zwykła stalowa siatka - powiedział Korsow i wręczył Pittowi małe nożyce do cięcia drutu. - Będę czekał na stacji do trzeciej, o trzeciej piętnaście podjadę tutaj. Jeśli się spóźnicie, będziecie zdani na siebie.

- Dzięki, Iwan - odrzekł Pitt. - Bez obaw, zaraz wracamy.

- Dobra. I pamiętajcie o jednym. - Korsow się uśmiechnął. - W razie czego dzwońcie do swojej ambasady, nie do mojej.

Pitt i Giordino podeszli do spalonej piekarni i zaczęli w mroku, aż tylne światła samochodu Rosjanina znikną na końcu drogi. Potem

skręcili za budynek i kilka metrów dalej natrafili na bocznice biegnącą po nasypie w ciemność. Ruszyli wzdłuż torów ku oświetlonej bazie w oddali.

- Wiesz co, mogliśmy zostać w tamtym przytulnym lokalu i spróbować miejscowej wódki - odezwał się Giordino, kiedy owiał ich chłodny wiatr.

- A jeśli barmanka jest mężatką? Traciłbyś tylko czas.

- Jeszcze nigdy nie uważałem picia w barze za stratę czasu. Wręcz odwrotnie. Odkryłem, że w barach jest bardzo miło.

- Do czasu, kiedy dostajesz rachunek. Coś ci powiem. Poszukamy Theresy i jej kumpli, a potem stawiam pierwszą butelkę stolicznej.

- Załatwione.

Doszli szybko obok torów do kompleksu. Brama zagrządzająca drogę wyglądała tak, jak ją opisał Korsow. Była zrobiona z siatki, jednoskrzydłowa, umocowana kłódką do grubego stalowego słupka. Pitt wyjął z kieszeni nożyce do drutu i szybko wyciął w siatce odwróconą literę L. Giordino odciągnął przeciętą część, żeby Pitt mógł się wczłógać do środka, a potem poszedł w jego ślady.

Teren był dobrze oświetlony i mimo późnej pory wrzała tu praca. Trzymając się w mroku, Pitt i Giordino skradali się wzdłuż wielkiej hali z prefabrykatów na wschodnim krańcu bazy. Duże, przesuwne drzwi budynku wychodziły na plac. Dotarli do otwartego wejścia i zatrzymali się.

Mieli stąd dobry widok na kompleks. Na lewo od nich kilkunastu mężczyzn pracowało przy czterech platformach kolejowych, które stały na torach. Żuraw opuszczał na pierwszy wagon powiązane ze sobą odcinki rur o średnicy około półtora metra. Dwa żółte wózki widłowe ładowały na pozostałe platformy mniejsze rury. Pitt zauważył z ulgą, że kilku robotników jest w takich samych brązowych kurtkach i żółtych kaskach ochronnych jak on i Giordino.

- Rury do szybu wiertniczego i elementy rurociągu - szepnął Pitt, obserwując załadunek. - Nic podejrzanego.

- Z wyjątkiem jednego. Mają tego tyle, że mogliby się dowiercić do środka Ziemi i przepompować wszystko na Księżyc - odparł Giordino.

Pitt spojrział tam, gdzie on, i skinął głową. Większą część terenu zajmowały wielkie stopy dwunastometrowych rur o dużej średnicy. Górowały nad nimi jak piramidy. Widok przypominał ścięty las

metalowych drzew. Z boku placu leżały równie imponujące ilości rur wiertniczych i okładzinowych o małej średnicy.

Pitt wysunął się zza rogu i zajął do środka magazynu. Wnętrze było jasno oświetlone, ale nikogo nie zauważył. Tylko głośna muzyka pop z przenośnego radia w małym biurze wskazywała na obecność robotników. Weszli do środka, kryjąc się za ciężarówką zaparkowaną przy bocznej ścianie.

Przednią część hali zajmowało sześć wielkich przyczep platformowych, wcisniętych między dwie wywrotki. Wzdłuż bocznej ściany stało kilka potężnych koparek i spychaczy Hitachi. Tylne części hali była wydzielona na warsztat. Pitt popatrzył na metalowe ramiona i wały, kojarzące mu się z wielkim koniem na bieżniach.

- Kivaki pompowe - powiedział Pitt, przypominając sobie pompy, które widywał w dzieciństwie nad szybami wydobywczymi na polach naftowych w południowej Kalifornii.

- Wyglądają na dzieła pijanych spawaczy - odparł Giordino. Wskazał głową narożne biurko, gdzie jakiś mężczyzna rozmawiał przez telefon.

Zaczęli się skradać w kierunku wyjścia z magazynu, kiedy przy drzwiach odezwały się dwa nowe głosy. Zawrócili i przykucnęli za wielkim tylnym kołem ciężarówki. Obserwowali przez otwory w obrotach, jak po drugiej stronie samochodu idą w kierunku biura dwaj robotnicy pogrążeni w ożywionej rozmowie. Pitt i Giordino przebiegli cicho między ciężarówkami, wydostali się z budynku i przystanęli za stosami pustych palet.

- Każdy z tych samochodów mógł być nad jeziorem Bajkał, ale nie ma tu takiego furgonu, jaki widzieliśmy na nabrzeżu - szepnął Giordino.

- Został nam jeszcze drugi koniec bazy - odrzekł Pitt i wskazał magazyn po przeciwnej stronie terenu. Stał w ciemnej części placu i wyglądał na zamknięty. Poszli w tamtym kierunku. W połowie drogi natrafili na baraki i wartownię przy głównym wjeździe do kompleksu. Ominęli bramę szerokim łukiem, zatrzymali się przy ostatniej szopie pełnej brudnych od smaru narzędzi i popatrzyli na drugi magazyn.

Nic się tutaj nie działo. Duże drzwi frontowe i małe boczne były szczelnie zamknięte. Przed budynkiem przechadzał się uzbrojony ochroniarz.

- Czego tu pilnować w starym składzie rur? - zdziwił się Giordino.
- Sprawdźmy.

Pitt wszedł do szopy i pogrzebał w narzędziach. Wybrał młot kowalski i zarzucił sobie na ramię.

- To powinno dobrze wyglądać - powiedział.

Giordino wziął zieloną skrzynkę narzędziową. Zostawił w niej tylko piłkę do metalu i klucz francuski.

- Chodźmy się zabawić w hydraulików, szefie - mruknął.

Nie kryjąc się, poszli w stronę budynku, jakby byli tutaj u siebie. Ochroniarz początkowo nie zwracał zbytnej uwagi na dwóch mężczyzn w obszarpanych kurtkach i poobijanych kaskach, którzy wyglądali jak inni robotnicy w bazie. Ale kiedy całkowicie zignorowali jego obecność i skierowali się do bocznych drzwi, wkroczył do akcji.

- Stać - warknął po mongolsku. - Dokąd?

Giordino przystanął, ale tylko po to, by się schylić i zawiązać sznurowadło. Pitt nadal zmierzał do drzwi, jakby ochroniarz w ogóle nie istniał.

- Stać! - krzyknął tamten, ruszył w kierunku Pitta i sięgnął do kabury.

Pitt szedł dalej, dopóki ochroniarz nie znalazł się krok za nim. Wtedy odwrócił się wolno i uśmiechnął szeroko.

Ochroniarz osłupiał na widok europejskich rysów Pitta. Nagle, nie wiadomo skąd pojawiła się zielona skrzynka narzędziowa, zatoczyła łuk i trafiła go w skroń. Nieprzytomny ochroniarz runął na ziemię.

- Uszkodził mi skrzynkę - zirytował się Giordino, pokazując duże wgłębienie w bocznej ścianie.

- Musimy znaleźć mu inne miejsce spoczynku - odrzekł Pitt. Podszedł do drzwi i nacisnął klamkę, ale były zaryglowane. Uniósł młot kowalski i walnął w zamek. Rygiel wyskoczył z framugi i Pitt bez trudu otworzył kopniakiem drzwi. Giordino wciągnął za próg nieprzytomnego ochroniarza i położył go z boku. Pitt zamknął drzwi.

W magazynie było ciemno, ale Pitt znalazł na ścianie włączniki światła i po chwili rozbrzysły jarzeniówki. Ku jego zaskoczeniu hala okazała się prawie pusta. Tylko na środku stały obok siebie dwa ciągniki siodłowe z płaskimi naczepami. Na jednej platformie nie było nic, na

drugiej spoczywał duży obiekt przykryty brezentem. Miał opływowy kształt przypominający wagon metra i niemal taką samą wielkość jak obiekt ukryty na ciężarówce nad jeziorem Bajkał.

- Zobaczmy, co to jest - rzekł Giordino i wyjął ze skrzynki narzędziowej piłkę do metalu. Wskoczył na naczepę i zaczął przecinać liny opasujące brezent, którym obiekt był owinięty jak mumia. Kiedy się z tym uporał, Pitt szarpnął plandekę.

Opadła na podłogę i zobaczyli cylindryczną maszynę o długości niemal dziesięciu metrów. Wzdłuż całego jej korpusu biegł gęszcz rur i przewodów hydraulicznych, wychodzących z dużej pierścieniowej głowicy na przednim końcu. Pitt obszedł urządzenie i przyjrzał się tej części. Z okrągłej płyty o średnicy prawie dwóch i pół metra wystawały małe skośne tarcze.

- Maszyna do drażenia tuneli - powiedział i przesunął palcem po jednym ze stępionych ostrzy tnących.

- Korsow mówił, że ta firma prowadzi jakieś roboty górnicze. Słyszałem, że w Mongolii są bogate złoża miedzi i węgla.

- To chyba zbyt drogi sprzęt dla małej spółki naftowej.

Nagle na placu rozległ się przeraźliwy gwizdek. Pitt i Giordino spojrzeli w stronę drzwi i zobaczyli, że ochroniarz zniknął.

- Ktoś się obudził i zamówił coś do pokoju bez naszej wiedzy - powiedział Pitt.

- A ja nie mam drobnych na napiwek dla kelnera.

- Widzieliśmy już wszystko, co jest tutaj do oglądania. Czas się wtopić w tło.

Podbiegli do drzwi. Pitt uchylił je i wyjrzał. W kierunku magazynu jechał dżip z trzema uzbrojonymi ochroniarzami. Z tyłu siedział ten, którego wcześniej unieszkodliwił Giordino, i masował sobie głowę.

Pitt bez wahania otworzył drzwi i wypadł na dwór. Giordino tuż za nim. Skręcili i popędzili w stronę stosów rur przy boczniczy kolejowej. Ochroniarze zaczęli krzyczeć, ale Pitt i Giordino szybko zniknęli za pierwszym stosem.

- Mam nadzieję, że nie puszcza za nami psów - wysapał Giordino, kiedy przystanął, żeby złapać oddech.

- Nie słychać szczekania - odparł Pitt. Gdy wyskakiwał z budynku, chwycił odruchowo młot kowalski. Teraz uniósł go do góry, żeby pokazać Giordinowi, że nie są całkowicie bezbronni. Potem popatrzył na stosy rur wokół i wymyślił strategię odwrotu.

- Trzeba się dostać między rurami do bocznic kolejowej. Jeśli uda nam się przemknąć niepostrzeżenie obok peronu załadunkowego, powinniśmy dotrzeć do bramy na torach, kiedy będą przeszukiwali plac.

Ruszyli biegiem dalej, omijając stosy rur o wysokości sześciu metrów. W niewielkiej odległości za sobą słyszeli krzyki ścigających ich ochroniarzy. Lawirowanie wśród wielkich palet przypominało przedzieranie się przez gęsty sekwojowy las, więc mieli zdecydowaną przewagę nad przeciwnikami.

Pitt prowadził Giordina w kierunku torów, starając się wybierać trasę jak najbardziej zbliżoną do linii prostej. Wreszcie dotarli do ostatniego rzędu palet i znów przystanęli. Bocznicę kończyła się kilka metrów od nich. Tuż za nią był południowy kraniec kompleksu, ogrodzony wysokim ceglany murem.

- Tędy się nie wydostaniemy - szepnął Pitt. - Musimy pójść wzdłuż torów.

Przeskoczyli przez szyny i poszli w kierunku peronu w takim tempie, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Przed nimi nadal trwał załadunek platform. Robotnicy przerwali na krótko pracę, kiedy w bazie zabrzmiał alarm, ale na widok ochroniarzy jadących do magazynu wrócili do swoich obowiązków.

Pitt i Giordino opuścili kaski ochronne nisko na oczy i zbliżyli się do peronu. Kiedy mijali pierwszą z trzech platform, nagle zeskoczył z niej brygadzysta. Wylądował kilka kroków od Giordina, stracił równowagę, wpadł na krępego Włocha i odbił się od niego jak od betonowej ściany.

- Przepraszam - burknął po mongolsku, potem spojrzał na Giordina. - A ty kto?

Giordino poznał po minie brygadzysty, że zaraz podniesie alarm, i natychmiast zniechęcił go do tego prawym sierpowym w szczękę. Mongoł runął na ziemię. W tym samym momencie rozległ się głośny krzyk. Dwaj robotnicy, stojący na następnej platformie, widzieli całą scenę. Odwrócili się w stronę placu i zaczęli przywoływać ochroniarzy, którzy właśnie odjeżdżali sprzed magazynu.

Pitt spojrział w kierunku bramy na torach. Mieliby szansę tam dobiec, zanim dogoni ich dżip.

- Trzeba odwrócić ich uwagę - powiedział. - Zajmij się tym, a ja postaram się skombinować jakiś transport.

Dali nura pod wagon i przeczołgali się na drugą stronę. Pitt został w mroku, Giordino poderwał się i pobiegł z powrotem w kierunku stosów rur. Sekundę później zaczęło go ścigać kilku robotników. Pitt spojrział na plac i zobaczył, że dżip gwałtownie skręca i jego reflektory oświetlają uciekającego Giordina.

Teraz przyszła kolej na Pitta. Wyskoczył spod platformy i popędził w stronę następnej. Jeden z wózków widłowych właśnie stawiał na niej paletę z rurami okładzinowymi. Pitt dopadł do kabiny operatora i zamachnął się młotem kowalskim, który wciąż miał ze sobą. Młot trafił robotnika w stopę. Zaskoczony operator wytrzeszczył oczy i dopiero po chwili poczuł, że ma zmiażdżone dwa palce u nogi. Z jego ust wyrwał się krzyk bólu.

- Wybacz, kolego, ale muszę pożyczyć twój pojazd - powiedział Pitt.

Oszołomiony operator wyfrunął z drugiej strony otwartej kabiny, jakby miał skrzydła, i zniknął w ciemności. Pitt rzucił młot, wskoczył na siedzenie i cofnął wózek widłowy od wagonu. Jeździł czymś takim wiele lat temu, kiedy w szkole średniej pracował u dystrybutora części samochodowych, więc szybko przypomniał sobie, jak się to obsługuje. Obrócił wózek, wycelował podnośnik w kierunku Giordina i nacisnął gaz.

Partner Pitta biegł w stronę stosów rur, dopóki nie zobaczył, że zza najbliższej palety wyłania się jeden z uzbrojonych ochroniarzy. Od środka placu nadjeżdżał dżip z dwoma innymi, z tyłu ścigali go trzej robotnicy. Giordino uznał, że ma większe szanse w starciu z cywilami, bo nie są uzbrojeni. Zatrzymał się gwałtownie, odwrócił się i ruszył na pierwszego z nich. Zaskoczony robotnik zawahał się i w tym momencie Giordino wałnął go barkiem w brzuch. Wyglądało to jak szarża byka na szmacianą lalkę. Mongoł wypuścił ustami powietrze, zsiniał i osunął się na ramię Giordina. Giordino nie tracił czasu i natarł z bezwładnym ciężarem na ramieniu na drugiego przeciwnika. Trzy ciała zderzyły się z przyprawiającym o mdłości odgłosem, ale Giordino wykorzystał

nieprzytomnego Mongoła do zamortyzowania kolizji. Wszyscy trzej upadli na ziemię.

Giordino zerwał się natychmiast, by stawić czoło następnemu przeciwnikowi. Ale trzeci robotnik zρέcznie ominął leżące ciała i znalazł się za Włochem. Gdy Giordino wstał, wskoczył mu na plecy i opasał ramieniem szyję. W tym samym momencie tuż obok nich zahamował dżip, a z innej strony nadbiegł z krzykiem pieszy ochroniarz z wyciągniętą bronią. Giordino zdał sobie sprawę, że walka jest skończona.

Kierowca dżipa patrzył na niego przez przednią szybę tak tryumfalnie, jakby właśnie upolował cenną zwierzynę. Zadowolony z siebie ochroniarz, najwyraźniej szef grupy pilnującej kompleksu, zaczął wysiadać z samochodu, odwrócił głowę i nagle się zawahał. Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie, które szybko zmieniło się w przerażenie, gdy z ciemności wyłoniła się jasnożółta plama.

Pitt pędził przez plac wózkiem widłowym z pedałem gazu wciśniętym do podłogi. Celował w miejsce kierowcy dżipa. Z siedzenia pasażera samochodu dobiegł ostrzegawczy krzyk, ale było już za późno. Widły wózka zagłębiły się w bok dżipa jak w ser. Uderzenie wyrzuciło dwóch ochroniarzy na zewnątrz. Samochód przesunął się o kilkadziesiąt centymetrów i znieruchomiał. Pitt włączył szybko wsteczny bieg i cofnął wózek.

Giordino poczuł, że zaszokowany kolizją robotnik rozluźnił nieco chwyt na jego szyi. Natychmiast zareagował. Złapał przeciwnika za nadgarstek i wbił mu łokieć wolnej ręki w żebra. To wystarczyło, żeby uwolnić się z jego uścisku. Giordino wykonał obrót w samą porę, by uchylić się przed ciosem robotnika, i zdzielił go pięścią poniżej ucha. Nieprzytomny napastnik osunął się na kolana.

Został jeszcze pieszy ochroniarz. Giordino zerknął tam i zobaczył z ulgą, że jest on zwrócony w drugą stronę, skąd pędził na niego wózek widłowy. Ochroniarz oddał w panice dwa strzały w kierunku pojazdu, a potem uskoczył w bok. Schylony w kabinie Pitt usłyszał gwizd pocisków nad swoją głową i skreślił ostro. Zwrotny wózek widłowy natychmiast zawrócił i Pitt znalazł się za plecami ochroniarza. Zaskoczony mężczyzna rzucił się do ucieczki, potknął i upadł na brzuch. Pitt opuścił widły wózka, żeby zaatakować leżącego.

Ochroniarz powinien był przetoczyć się w bok, ale zamiast tego spróbował poderwać się z ziemi, żeby pobiec dalej. Kiedy wstawał, jeden ząb widel przebił mu kurtkę na plecach. Pitt przesunął dźwignię podnośnika i uniósł widły z wiszącym ochroniarzem ponad kabinę. Ochroniarz wierzgał nogami i wymachiwał rękami, wypuścił z dłoni pistolet i chwycił się desperacko widel, żeby nie spaść na ziemię.

- Możesz tym zrobić komuś krzywdę, jeśli nie będziesz uważał - powiedział Giordino, gdy wskoczył do kabiny.

- Zawsze uważam, że najważniejsze jest bezpieczeństwo - odrzekł Pitt.

Zdażył już zawrócić i mknął teraz wzdłuż torów kolejowych w kierunku bramy. Kiedy mijał peron załadunkowy, kilku robotników chciało mu zastąpić drogę, ale natychmiast się cofnęli przed pędzącym wózkiem widłowym. Ochroniarz wisiał w górze i wzywał głośno pomocy.

Pitt zauważył wysoki stos beczek i skręcił ostro w tamtą stronę.

- Koniec trasy dla naszych pasażerów - mruknął.

Gdy był kilka metrów od beczek, nacisnął hamulec. Wózek wpadł w poślizg, uderzył z piskiem opon w przeszkodę i zatrzymał się gwałtownie. Ochroniarz poszybował w powietrzu i wylądował na beczkach. Kiedy Pitt cofał wózek, usłyszał przekleństwa, wskazujące na to, że ochroniarz żyje.

Pitt zawrócił w kierunku torów kolejowych i wcisnął pedał gazu do podłogi. Od strony zdemolowanego dżipa dobiegły krzyki. Pitt obejrzał się przez ramię i zobaczył, że dwaj ochroniarze już się pozbierali i biegną za nimi. Rozległy się strzały i kilka pocisków trafiło z metalicznym dźwiękiem w wózek widłowy. Ale elektryczny pojazd mknął z cichym szumem i oddalał się od pościgu.

Niedaleko bramy Pitt tak się zbliżył do torów, że prawe koło zaczęło podskakiwać na drewnianych podkładach.

- Zastosujemy taran - powiedział.

Wycelował w lewą krawędź bramy i ścisnął mocno kierownicę. Lewy ząb widel trafił w metalowy słupek i odłamał dolny zawias, prawy przebił siatkę. Wózek z rozpędem uderzył w bramę, wyrwał ją z zawiasów i odrzucił na bok.

Wypadli na zewnątrz. Pitt z trudem opanował kierownicę. Zdezelowany wózek widłowy wyskoczył z szyn na żwirową ścieżkę wzdłuż torów i opadł na trzy koła. Pitt ani na moment nie zdjął nogi z gazu.

- Mam nadzieję, że nasza taksówka już czeka! - zawołał.

- Lepiej, żeby tak było, bo tym daleko nie uciekniemy - odparł Giordino. Zerknął za siebie i zobaczył światła samochodu, który pędził wzdłuż torów w kierunku roztrzaskanej bramy.

Wózek podskakiwał szaleńczo na niewidocznych w mroku wybojach. Pitt wyłączył wcześniej reflektory, żeby nie być łatwym celem. Wreszcie przed nimi pojawił się ciemny kształt spalonej piekarni na wzgórzu.

- Wsiadamy - powiedział, naciskając hamulec. Wyskoczył z kabiny, rozejrzał się i znalazł duży płaski kamień. Ustawił kierownicę wózka do dalszej jazdy na wprost żwirową ścieżką, położył głaz na pedale gazu i odskoczył do tyłu. Żółty pojazd wystartował z szumem w noc i zniknął z oczu.

- Szkoda tego wózka. Zdążyłem już go polubić - mruknął Giordino, kiedy wspinali się szybko na wzniesienie.

- Miejmy nadzieję, że jakiś pasterz zrobi z niego dobry użytek. Dotarli na górę. Zza rogu piekarni wyjrzeli na parking. Samochodu Korsowa nie było.

Nagle na drodze zobaczyli czerwony błysk świateł stopu.

- Miejmy nadzieję, że to nasz szofer - powiedział Pitt.

Oderwali się od budynku i pobiegli drogą. Gdy usłyszeli chrzęst opon na żwirze, uskoczyli na bok i zawahali się. Z ciemności wytoczył się samochód bez świateł. Szara toyota.

- Dobry wieczór panom. - Korsow wyszczerzył zęby w uśmiechu, kiedy Pitt i Giordino wsiedli do auta. Oddech Rosjanina wypełnił wnętrze odorem wódki. - Wyprawa się udała?

- Owszem - odrzekł Pitt - ale gospodarze chcą nas odprowadzić do domu.

Zza wzgórza wyłoniły się snopy świateł reflektorów. Korsow bez słowa zawrócił i pomknął drogą. Po kilku minutach dotarli do miasta i znaleźli się na tyłach hotelu.

- Dobrej nocy, panowie - powiedział Rosjanin. - Spotkamy się jutro i wtedy będziecie mogli złożyć mi pełny raport.
- Dzięki, Iwan - powiedział Pitt. - Jedź ostrożnie.
- Jasna sprawa.

Kiedy Pitt zatrzasnął drzwi, toyota wystartowała ostro w głąb ulicy i zniknęła z piskiem opon za rogiem. Ruszyli do hotelu. Nagle Giordino przystanął i wskazał drugą stronę ulicy. Bar wciąż był pełen ludzi. Dochodziła stamtąd muzyka i śmiechy.

Giordino spojrział na Pitta i uśmiechnął się.

- Chyba jesteś mi coś winien, szefie.

19

Theresa siedziała w studiu i patrzyła nie widzącym wzrokiem na raport sejsmologiczny. Szok spowodowany brutalnym zabójstwem Roya zastąpiła stopniowo melancholijna depresja. Roy był dla niej jak brat i nie mogła się pogodzić z jego śmiercią poprzedniej nocy. Sprawę pogorszyło pojawienie się na dziedzińcu Tatiany wkrótce po tej tragedii. Zmiażdżyła Theresę wzrokiem i wycedziła:

- Spróbuj się stawiać, to skończysz tak jak on!

Jeździec, który zabił Roya, na rozkaz Tatiany zawlókł Theresę do jej pokoju i stanął tam na warcie.

Od tamtej pory ona i Wofford byli pod stałą obserwacją. Spojrzała w kierunku drzwi, gdzie stali dwaj ponurzy strażnicy. Ich groźny wygląd łagodziły jaskrawe, jedwabne tuniki del, ale poprzedniej nocy przekonała się, że to wysoko wykwalifikowani zabójcy.

Obok niej siedział Wofford z chorą nogą ułożoną na krześle i studiował raport geologiczny. Wyglądało na to, że szybko doszedł do siebie po śmierci Roya.

- Lepiej zrobmy to, czego żądają - powiedział do niej wcześniej. -To może być nasza jedyna szansa na przeżycie.

Pomyślała, że może ma rację, i próbowała skoncentrować się na raporcie przed sobą. Była to ocena geologiczna jakiejś niecki na równinie

bez podanej nazwy. Szczeliny w piaskowcu i wapieniu pokrywała glina i łupki ilaste. Sugerowało to obecność złóż ropy.

- Wygląda obiecująco - odezwała się do Wofforda.

- Spójrz na to - odrzekł i rozłożył na stole wydruk komputerowy, który ukazywał warstwy osadów geologicznych w jakimś rejonie. Przekrój sporządziła ekipa sejsmologów metodą wysyłania w głąb ziemi sztucznych wstrząsów i rejestrowania odbicia dźwięku. Theresa przyjrzała się temu z zainteresowaniem. Jeszcze nie widziała takiego obrazu sejsmograficznego. Na ogół tego rodzaju przekrój był jak plamy atramentowe na deszczu. Profil przed nią ukazywał podziemne warstwy bardzo wyraźnie.

- Zdziwiająco ostry obraz - zauważyła. - Musieli korzystać z jakiejś nowej techniki.

- Zdecydowanie bije na głowę wszystko, czego my używamy w terenie - zgodził się Wofford. Wyciągnął rękę i wskazał pękaty kształt u dołu wydruku. Theresa przyjrzała się temu uważnie.

- Wygląda na klasyczny, duży kolektor w antyklinie - stwierdziła, mając na myśli naturalny zbiornik ropy w osadach geologicznych, tworzących kształt kopuły.

- Faktycznie jest duży - przytaknął Wofford. Przysunął do siebie stertę podobnych profili i rozłożył kilka na stole. - Ciągnie się na przestrzeni niemal czterdziestu kilometrów. W tym samym regionie znalazłem jeszcze sześć mniejszych.

- Właściwe warunki do istnienia złoża.

- Tego nigdy nie wiadomo, dopóki nie zrobi się odwiertu, ale te wydruki wyglądają zachęcająco.

- Jest jeszcze sześć kolektorów? To ogromny potencjał wydobywczy

- Co najmniej sześć. Nie przekopałem się jeszcze przez wszystkie raporty, ale to działa na wyobraźnię. W tym miejscu mogą być dwa miliardy baryłek ropy. Tylko w tym kolektorze. Dodaj do tego tamte i otrzymasz ponad dziesięć miliardów. Na jednym polu naftowym. A w całym regionie?

- Nie do wiary. Gdzie to jest?

- W tym problem. Ktoś starannie usunął wszystkie dane geograficzne. Wiem tylko tyle, że to płaski teren, gdzie przeważa podłoże z piaskowca.

- Chcesz powiedzieć, że być może są to złoża wielkości tamtych pod Morzem Północnym? Ale gdzie się znajdują?

- Nie mam pojęcia.

Sarkow rechotał, pijąc herbatę, a jego wielki brzuch trząsł się przy każdym wybuchu śmiechu.

- Nocna szarża na wózku widłowym z ochroniarzem wiszącym w powietrzu. Wy, Amerykanie, macie skłonność do teatralnych gestów.

- Wolałbym wyjść dyskretnie - odparł Pitt - jednak Al uparł się, żebyśmy jechali.

- I tak ledwo zdążyliśmy na ostatni dzwonek. - Giordino uśmiechnął się i wypił łyk kawy.

- Założę się, że kierownictwo bazy zastanawia się, co dwaj ludzie z Zachodu robili na ich terenie. Szkoda, że nie natrafiliście na żaden ślad naszych porwanych przyjaciół.

- Niestety, jedyną interesującą rzeczą okazała się maszyna do drażenia tuneli. Była ukryta pod brezentem, podobnie jak obiekt wyładowany z tamtego frachtowca na Bajkale.

- Możliwe, że została ukradzioną i wwieziona do kraju potajemnie. Mongolia nie ma łatwego dostępu do nowoczesnej techniki. Być może firma nie chce, żeby władze wiedziały, że dysponują takim sprzętem.

- Owszem, może tak być - przyznał Pitt. - Chciałbym się jednak dowiedzieć, co zabrali ukradkiem z Bajkału.

- Aleksander, czy śledztwo w sprawie porwania posuwa się naprzód? - zapytał Giordino i ugryzł bułkę z masłem.

Sarkow podniósł wzrok i zobaczył, że do ich zatłoczonej kawiarni przy placu Suche Batora wchodzi Korsow.

- Lepiej, żeby na to pytanie odpowiedział nasz lokalny ekspert - odrzekł, wstał i przywitał się z przyjacielem z ambasady.

- Mam nadzieję, że wszyscy dobrze spali - zwrócił się Korsow do Pitta i Giordina.

- Dopóki nie wyparowała z nas wódka. - Pitt się uśmiechnął, wiedząc, że Giordino ma lekkiego kaca.

- Iwan, właśnie mówiliśmy o śledztwie. Są jakieś oficjalne wiadomości? - spytał Sarkow.

Wesoła twarz Korsowa spoważniała.

- Niet, Milicja nawet jeszcze nie dostała tej sprawy. Prośba o wszczęcie dochodzenia wciąż leży w ministerstwie sprawiedliwości. Myliłem się mówiąc, że Awarga nie ma żadnych wpływów politycznych. Niewątpliwie przekupili kogoś na wysokim szczeblu.

- Dla Theresy i jej kolegów może się liczyć każda godzina - powiedział Giordino.

- Nasza ambasada robi, co może, żeby to załatwić oficjalnymi kanałami. Ja też nie siedzę z założonymi rękami, ale oczywiście używam nieoficjalnych środków. Bez obaw, przyjaciele, znajdziemy ich.

Sarkow dopił herbatę i odstawił pustą filizankę.

- Nie możemy wymagać od Iwana niczego więcej. Mongolskie władze pracują według własnego harmonogramu. W końcu zareagują na żądania naszej ambasady, bez względu na to, jakie łapówki hamują śledztwo. Może najlepiej będzie, jeśli się na razie wycofamy i zaczekamy, aż zostaną pokonane biurokratyczne przeszkody. Muszę wrócić do Irkucka i sporządzić raport o uszkodzeniu „Wierieszczagina”. Zarezerwowałem dla nas trzy bilety lotnicze na dzisiejsze popołudnie.

Pitt i Giordino spojrzeli znacząco na Korsowa, potem odwrócili się do Sarkowa.

- Właściwie mamy już zaplanowaną inną podróż, Aleksander - powiedział Pitt.

- Wracacie prosto do Stanów? Myślałem, że najpierw polecicie na Syberię i zabierzecie waszego przyjaciela Rudiego.

- Na razie nie wybieramy się ani do Stanów, ani na Syberię.

- Nie rozumiem. W takim razie, dokąd? Zielone oczy Pitta zabłyśły.

- Do mistycznego miejsca o nazwie Xanadu

20

Siatka wywiadowcza Korsowa znów się dobrze spisała. Choć po upadku Związku Radzieckiego Mongolia wkroczyła na drogę demokracji, we władzach centralnych w Ułan Bator wielu ludzi nadal przejawiało promoskiewskie sympatie. Pewien analityk z ministerstwa spraw zagranicznych zawiadomił Korsowa o zbliżającej się wizycie

chińskiej delegacji rządowej. Korsow uznał to za idealną okazję dla Pitta i Giordina.

Z Pekinu miał wkrótce przyjechać chiński minister handlu, oficjalnie po to, by zwiedzić nową elektrownię słoneczną, którą uruchomiono niedawno na obrzeżach stolicy Mongolii. Jednak większość czasu zarezerwował na prywatne spotkanie z szefem Konsorcjum Naftowego Awarga w jego ustronnej posiadłości na południowy wschód od Ułan Bator.

- Mogę was włączyć do towarzyszącego mu orszaku i wjedziecie do Bordzina od frontu. Reszta będzie zależała od was - powiedział Korsow do Pitta i Giordina.

- Wątpię, żeby ktoś uwierzył, że jesteśmy członkami chińskiej delegacji - odparł Giordino.

- Nie delegacji, tylko mongolskiej ochrony.

Giordino zrobił minę, która wskazywała, że to żadna różnica.

Korsow wyjaśnił, że na popołudnie tego dnia jest zaplanowane oficjalne powitanie gościa z Pekinu. Przez cały wieczór będzie mu towarzyszył tłum ludzi z ministerstwa spraw zagranicznych. Ale jutro, kiedy chińska delegacja zwiedzi elektrownię słoneczną i wyruszy do siedziby Awarga, z gościem pojedzie tylko mała mongolska ochrona.

- Dołączymy do mongolskiej Secret Service? - zapytał Pitt. Korsow przytaknął.

- Role agentów tajnej służby pełnią zwykli oficerowie milicji. Przekonanie ich, żeby wpuścili was na swoje miejsce wymagało tylko drobnej zachęty. W elektrowni słonecznej zastąpicie prawdziwą ochronę i pojedziecie za konwojem do Xanadu. Mogę przydzielić to zadanie również moim ludziom.

- Nie - odrzekł Pitt. - Dość się już dla nas narażałeś.

- W razie czego wszystkiego się wyprę. Mam nadzieję, że nie ujawnicie, kto wam pomagał.

- Możesz być tego pewien.

- W porządku. Tylko pamiętajcie, żeby działać dyskretnie. Jeśli zdobędziecie dowód, że wasi porwani znajomi są w posiadłości, zmobilizujemy mongolskie władze do działania.

- Dobra. Ile ci jesteśmy winni za łapówki?

- To takie brzydkie słowo - skrzywił się Korsow. - Pracuję w branży informacyjnej. Jeśli będziecie mogli podzielić się ze mną tym, czego się dowiecie o firmie Awarga, o panu Bordzinie i jego aspiracjach, zrewanżujecie mi się z nawiązką za to, że wydałem jakieś nędzne pieniądze na włączenie was do eskorty. Co oznacza, że zapraszam was jutro wieczorem na barszcz.

- Jak moglibyśmy odmówić.

- I jeszcze jedno - dodał z uśmiechem Rosjanin. - Postarajcie się, żeby chiński minister pozostał żywy.

Pitt i Giordino wzięli taksówkę i zjawili się w elektrowni słonecznej godzinę przed planowanym przyjazdem chińskiego ministra. Uśmiechnęli się do sennego wartownika przy bramie, pokazali mu fałszywe legitymacje prasowe, dostarczone przez Korsowa, i weszli do środka. Zobaczyli czterohektarowy teren z wieloma czarnymi, płaskimi kolektorami słonecznymi, które uzupełniały produkcję energii elektrycznej w sąsiedniej dużej elektrowni cieplnej opalanej węglem. Elektrownia słoneczna była eksperymentalną stacją badawczą i ledwo wystarczyłaby do oświetlenia stadionu piłkarskiego. W Mongolii, gdzie przez ponad dwieście sześćdziesiąt dni w roku świeci słońce, są naturalne warunki do szerokiego wykorzystywania energii słonecznej, ale ta technologia nie jest jeszcze powszechnie dostępna.

Pitt i Giordino ominęli skleconą w pośpiechu platformę, gdzie czekał zdenerwowany komitet powitalny, złożony z garstki wysokich urzędników państwowych i szefów elektrowni, i ukryli się za dużym kolektorem słonecznym w pobliżu wejścia. Byli w ciemnych, chińskich kurtkach sportowych, okularach przeciwsłonecznych i czarnych, wełnianych czapkach podobnych do beretów, więc z daleka mogli łatwo uchodzić za agentów miejscowej służby bezpieczeństwa. Nie musieli długo czekać. Kilka minut przed czasem na teren wjechała kawalkada samochodów i zatrzymała się przy platformie.

Pitt uśmiechnął się w duchu na widok skromnych pojazdów w kolumnie, które w niczym nie przypominały wszechobecnych w Waszyngtonie czarnych limuzyn. Chińskiego ministra, grupkę jego asystentów i ochronę osobistą przywiozły trzy stare toyoty land cruiser.

Kawalkadę prowadził żółty terenowy UAZ mongolskiej służby bezpieczeństwa. Drugi taki samochód, z wgniecionym przednim lewym błotnikiem, zamykał tyły. Rosyjskie UAZ-y, wywodzące się z wojskowych džipów, kojarzyły się Pittowi z napędzanymi na cztery koła terenówkami International Harvester, które produkowano w Stanach w późnych latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku.

- Oto nasz środek transportu - powiedział Pitt, mając na myśli UAZ-a z uszkodzonym błotnikiem.

- Mam nadzieję, że z łącznością satelitarną i systemem nawigacyjnym - odparł Giordino.

- Oby tylko miał koła - mruknął Pitt.

Obserwował, jak z UAZ-a wysiadają dwaj mężczyźni i znikają wśród kolektorów słonecznych. Zaczęło się uroczyste powitanie chińskiego ministra. Kiedy wszyscy zajęli się delegacją, Pitt i Giordino dotarli niezauważeni do samochodu i zastąpili na przednich siedzeniach mongolskich agentów.

- Masz tu swój system nawigacyjny - powiedział Pitt. Chwycił mapę leżącą na tablicy rozdzielczej i rzucił ją na kolana Giordina. Uśmiechnął się, gdy zobaczył, że w samochodzie nie ma nawet radia.

Kilka metrów przed nimi chiński minister handlu, Szynce, szybko załatwił sprawę z komitetem powitalnym. Uścisnął dłonie szefom elektrowni i ruszył w kierunku kolektorów słonecznych, żeby przyspieszyć zwiedzanie. Po niecałych dziesięciu minutach podziękował gospodarzom i wsiadł do swojej toyoty.

- Chyba ma mrówki w gaciach - powiedział zaskoczony Giordino.

- Spiesz się do Xanadu. Oglądanie elektrowni słonecznej najwyraźniej jest głównym punktem programu jego wizyty.

Pitt i Giordino skulili się na fotelach, kiedy kawalkada mijała ich w drodze do bramy. Potem Pitt uruchomił silnik i szybko dogonił trzecią toyotę.

Konwój pojechał z Ułan Bator na wschód, omijając masyw górski Bajancurch Nuruu z górą Bajancurch, jednym z czterech świętych szczytów koło miasta. Malownicze góry ustąpiły stopniowo miejsca pagórkowatym łąkom. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się puste, bezdrzewne równiny. Słynny step o bogatej historii przecinał Mongolię szerokim

zielonym pasem. Na otwartej przestrzeni wiał silny wiatr i gęste trawy falowały jak ocean.

Kolumna jechała po nierównym bruku, który potem przeszedł w drogę gruntową. Jako ostatni w konwoju, Pitt musiał się przebijać przez niesione wiatrem tumany kurzu spod kół samochodów przed nim.

Przez następne trzy godziny kawalkada jechała stepem na południowy wschód. Potem zaczęły się góry. Przy nieoznakowanej, żelaznej bramie skręcili na dobrze utrzymaną drogę, prowadzącą ku rwącej rzece, przy której zbudowano akwedukt. Konwój dotarł wzdłuż betonowych rur do ostrego zakrętu i zbliżył się do kompleksu otoczonego wysokim murem. Akwedukt zniknął pod ziemią obok łukowego portalu. Masywnej, żelaznej bramy strzegli dwaj wartownicy w jaskrawych, jedwabnych del. Kiedy samochody zwolniły i stanęły, Pitt zaczął się zastanawiać nad następnym krokiem.

- Wiesz co, chyba nie weźmiemy udziału w imprezie - powiedział.
 - Nigdy nie lubiłeś tłoku - zauważył Giordino. - Czy mongolska eskorta z przodu wie, że zastąpiliśmy ich kumpli?
 - Nie mam pojęcia. Ale lepiej tego nie sprawdzać.
- Giordino spojrział w kierunku bramy i zmrużył oczy.
- Problem z samochodem? - podsunął.
 - Myślałem o przebitej oponie.
 - Masz to załatwione.

Giordino otworzył drzwi, wysunął się na zewnątrz i podkrał się do przedniego koła. Odkręcił kapturek zaworka, do którego następnie wetknął zapalną, i zaczął cierpliwie, aż z opony ujdzie z sykiem powietrze. Po chwili dół opony rozpląszczył się na ziemi. Giordino założył kapturek i wrócił do UAZ-a w momencie, gdy przed konwojem otworzyła się brama.

Pitt ruszył za innymi samochodami wjeżdżającymi na teren kompleksu, ale zatrzymał się w bramie. Kiedy jeden z wartowników popatrzył na niego gniewnie, wskazał oponę bez powietrza. Tamten spojrział w dół i skinął głową. Warknął coś po mongolsku i pokazał Pittowi, żeby po wjeździe za bramę skręcił w prawo.

Pitt wtoczył się wolno do środka i rozejrzał się dokoła. Na wprost znajdowała się piękna, marmurowa rezydencja, przed nią rozciągał się

wypielegnowany ogród. Pitt nie miał pojęcia, jak wyglądało wieki temu prawdziwe Xanadu, ale to, co widział, zrobiło na nim wrażenie. Ministra witano z wielką pompą. Kawalkadę eskortowali do frontowego portyku dwaj jeźdźcy na śnieżnobiałych koniach. Na maszcie sąsiadującym z dziewięcioma wysokimi, drewnianymi tyczkami powiewała chińska flaga. Na szczycie każdej tyczki wisiał kawałek białego filtra przypominający lisi ogon. Pitt próbował rozpoznać Bordzina wśród osób czekających na ganku, ale był zbyt daleko, żeby dostrzec twarze.

- Widzisz w komitecie powitalnym Tatianę? - zapytał. Giordino popatrzył zmrużonymi oczami przez przednią szybę.

- Na ganku stoi jakaś kobieta, ale nie wiem, czy to ona.

Pitt doprowadził UAZ-a do garażu i wjechał do środka. Opona bez powietrza hałasowała na betonowej podłodze. Zatrzymał samochód przy szafkach z narzędziami. Podbiegł do nich ubrudzony smarem mechanik w czerwonej czapce baseballowej. Krzyczał i wymachiwał rękami. Pitt zignorował to i uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

- Pssst - powiedział i wskazał oponę bez powietrza.

Mechanik obszedł dookoła przód UAZ-a i przyjrzał się dziełu Giordina. Potem popatrzył na dwóch mężczyzn za przednią szybą i skiniął głową. Odwrócił się i odszedł w głąb garażu. Wrócił z podnośnikiem.

- To chyba dobry moment, żeby się przejść - powiedział Pitt i wysiadł z samochodu.

Podeszli do otwartych drzwi garażu. Stanęli w progu, jakby zamierzali poczekać, aż mechanik naprawi oponę. Ale zamiast obserwować jego pracę, rozglądali się po garażu. Ujrzeni kilka nowych terenówek, resztę przestrzeni zajmowały ciężarówki i maszyny robocze. Giordino oparł stopę na wózku warsztatowym przy drzwiach i przyjrzał się uważnie zakurzonemu, brązowemu furgonowi.

- Jest bardzo podobny do tamtego nad Bajkałem - odezwał się cicho.

- Owszem. A co powiesz o tym? - zapytał Pitt, wskazując ciężarówkę platformową w pobliżu.

Giordino spojrzał na nią. Platforma była pusta, ale z jej krawędzi zwisała brezentowa plandeka i liny

- To, czego szukamy?

- Być może - odrzekł Pitt. Rozejrzał się po terenie, potem popatrzył na ceglany budynek obok garażu.

Wskazał go głową.

- Przejdźmy się tam. Na razie chyba nikt się do nas nie przyczepi. Pewnym krokiem ruszyli w kierunku sąsiedniego budynku. Minęli dużą rampę załadunkową i weszli szklanymi drzwiami do środka. Pitt spodziewał się holu recepcyjnego, ale drzwi prowadziły bezpośrednio do dużej hali, do której przylegała pusta rampa. Kilka stołów zajmował sprzęt elektroniczny i urządzenia testowe. Pracowali przy nich dwaj mężczyźni w białych fartuchach laboratoryjnych. Jeden z nich, Mongoł o małych, ptasich oczach za okularami w drucianej oprawce, wstał i przyjrzał się podejrzliwie Pittowi i Giordinowi.

- Tualet? - zagadnął go Pitt. Nauczył się tego rosyjskiego słowa na Syberii.

Mężczyzna przez chwilę patrzył na niego badawczo, potem wskazał w głąb korytarza.

- Na prawo - odpowiedział po rosyjsku, usiadł i wrócił do swojej pracy. Pitt i Giordino minęli dwóch mężczyzn i poszli korytarzem.

- Imponująca znajomość języków - odezwał się cicho Giordino.

- To dopiero pierwsze z pięciu rosyjskich słów, które znam - pochwalił się Pitt. - Korsow mówił, że z większością Mongołów można się dogadać po rosyjsku.

Szli wolno przestronnym korytarzem wyłożonym terakotą. Miał szerokość około sześciu metrów i podobną wysokość. Ślady na podłodze wskazywały, że transportuje się tędy jakieś duże urządzenia. Za panoramicznymi szybami po obu stronach ciągnęły się pracownie pełne elektronicznej aparatury pomiarowej i urządzeń montażowych. Zajmowały większość budynku. Krajobraz działu technicznego urozmaicało kilka biur o spartańskim wystroju. Cały budynek był dziwnie zimny i cichy, częściowo dlatego, że pracowała tu tylko garstka osób.

- Przypomina mi to bardziej zaplecze rozgłośni radiowej niż stację benzynową Exxon - powiedział Giordino.

- Wygląda na to, że interesuje ich coś innego niż wypompowywanie ropy spod ziemi. Co może, niestety, oznaczać, że nie ma tu Theresy i jej kolegów.

Minęli toaletę i dotarli do masywnych, stalowych drzwi z wysokim progiem. Pitt rozejrzał się, złapał za uchwyt i pchnął. Ciężkie, grube drzwi otworzyły się wolno do środka. Rozległe pomieszczenie miało prawie dziesięć metrów wysokości. Ze ścian, sufitu, a nawet z podłogi, wystawały rzędy spiczastych stożków, co nadawało wnętrzu wygląd średniowiecznej izby tortur. Ale stożki nie stwarzały zagrożenia. Były zrobione z gumowej pianki. Pitt upewnił się co do tego, gdy ścisnął jeden w palcach.

- Komora bezdechowa - stwierdził.

- Do pochłaniania fal elektromagnetycznych o częstotliwości radiowej - dodał Giordino. - Czegoś takiego używa się do testowania najnowocześniejszej elektroniki na potrzeby wojska.

- Masz tu tę swoją elektronikę - odrzekł Pitt i wskazał środek pomieszczenia, gdzie nad piankową podłogą ustawiono na podporach dużą platformę z metalowymi szafkami i półkami ze sprzętem komputerowym. Środkowa część platformy była pusta. Wisiał nad nią dźwigu obiekt w kształcie torpedy. Pitt i Giordino wspięli się na pomost.

- To nie wygląda na narzędzie nacierzy - zauważył Pitt, przyglądając się urządzeniu.

W szatkach i na półkach znajdowało się czterdzieści modułów wielkości komputera. Były połączone czarnymi kablami. Każdy moduł miał wyświetlacz ciekłokrystaliczny i wskaźniki zasilania. Na końcu, obok monitora i klawiatury, stała duża skrzynka oznaczona napisami „Erweiterung” i „Frequenz”.

Pitt przyjrzał się im z zaciekawieniem i uniośł brwi.

- Moja kiepska znajomość języków obcych wystarcza, by stwierdzić, że to po niemiecku. Drugie słowo oznacza chyba częstotliwość.

- Po niemiecku? Bardziej pasowałby tu chiński albo rosyjski.

- Większość tych urządzeń elektronicznych też wygląda na niemiecką produkcję.

Giordino policzył szafki z nadajnikami połączonymi kablami.

- Jest tu kupa kilowatów. Co z tego rozumiesz?

- Mogę tylko zgadywać. Te duże szafki wyglądają jak nadajniki radiowe. Komputery na półkach muszą służyć do przetwarzania danych. Jest jeszcze ten wiszący trójnóg.

Pitt odwrócił się i przyjrzał urządzeniu nad platformą. Składało się z trzech połączonych ze sobą długich rur i miało wysokość prawie trzech metrów. Dolne końce cylindrów rozszerzały się przy podłodze i były pokryte grubą warstwą jakiegoś matowego materiału. Z górnych końców, wysoko nad głową Pitta, wychodziły grube wiązki kabli, które biegły do komputerów na półkach.

- Przypomina mi to jakieś przetworniki, ale nigdy jeszcze nie widziałem takich dużych. Może to być aparatura sejsmiczna używana do poszukiwań ropy - powiedział, patrząc na wiszące pionowo urządzenie w kształcie trójnogu.

- Ktoś prowadzi najbardziej zaawansowaną technicznie operację wiertniczą.

Pitt zerknął na kilka instrukcji obsługi leżących obok sprzętu. Przerzucił kartki i zobaczył, że wszystko jest napisane po niemiecku. Otworzył książkę, która wydawała mu się najważniejsza, wyrwał kilka pierwszych stron i wetknął do kieszeni.

- Trochę lekkiej lektury na podróż do domu? - zapytał Giordino.

- Poćwiczę niemiecki. Odmianę czasowników.

Pitt zamknął książkę, wrócili pomostem do drzwi i wyszli z komory. Nagle usłyszeli zamieszanie w hali na drugim końcu korytarza.

- Ktoś nas zauważył - powiedział Giordino. Pitt popatrzył w głąb korytarza.

- Pewnie tak. - Cofnął się kilka kroków. - Spróbujemy przemknąć się obok nich.

Pobiegli korytarzem. Pitt otworzył drzwi jednej z pracowni bez okien i wśliznęli się do środka. Zamknęli drzwi i zgasili światło. Kiedy stali niewidoczni z korytarza przez szybę, poczuli dziwny zapach chemikaliów. Pitt wpatrzył się w ciemność i dostrzegł zbiorniki z nierdzewnej stali, a obok stół pełen małych szczotek i dłut.

W korytarzu słychać było kroki. Zbliżały się, minęły pracownię. Giordino wyjrzał przez szybę i zobaczył dwóch mężczyzn w jedwabnych strojach. Szli w kierunku komory.

- Znajdź mi miotłę - szepnął do Pitta. Otworzył drzwi i wypadł na korytarz.

Ale zamiast pobiec do wyjścia, popędził za dwoma mężczyznami. Niczym szarżujący obrońca liniowy staranował ich z tyłu w momencie, gdy zagłądali do komory. Przypominał kulę przewracającą kręgle. Obaj mężczyźni wpadli do komory i wylądowali na brzuchach. Zanim się zorientowali, co ich uderzyło, Giordino zerwał się z podłogi i zatrzasnął za nimi drzwi. Sekundę później wyrósł obok niego Pitt z mopem, który znalazł w łazience. Giordino złapał kij i zaklinował drzwi.

- To powinno nam dać przewagę czasową - powiedział, masując bolący bark.

Pitt się uśmiechnął, gdy z komory dobiegły krzyki uwięzionych mężczyzn, stłumione do szeptu przez materiał wygłuszający. Ruszyli korytarzem. Nagle Pitt przystanął obok pracowni, w której się wcześniej ukryli.

- Czysta ciekawość - powiedział, zapalił światło i wszedł do środka.

- Nie zapominaj, że trochę nam się spieszy.

Pitt okrążył pokój, przyglądając się stalowym zbiornikom z przezroczystym płynem o zapachu formaliny. Zatrzymał się przy jednym z nich i popatrzył na lśniący przedmiot, który leżał na dnie w kuwecie. Znalazł szczypce, wyjął go i osuszył ręcznikiem.

Trzymał w ręku srebrny wisior w kształcie diamentu. Na górze był wygrawerowany dwugłowy orzeł lub sokół, w środku iskrzył się przezroczysty czerwony kamień. Na dole biegła półkoleście inskrypcja w języku arabskim. Wisior wyglądał na bardzo starą biżuterię. Zrobiono go zapewne dla kobiety z arystokracji.

- Pracownia konserwacji dzieł sztuki połączona z zakładem elektrotechnicznym? - zapytał Pitt. - Dziwna kombinacja.

- Może to po prostu jakiś kolekcjoner? Co ty na to, żebyśmy się stąd wynieśli, zanim nasi przyjaciele przypomną sobie, że noszą spluwy?

Pitt wsunął wisior do kieszeni, zgasił światło i poszedł szybko za Giordinem. Dotarli korytarzem do dużej hali na końcu, minęli zaskoczonego ich widokiem technika w białym fartuchu i skierowali się do wyjścia.

- Dzięki za wskazanie drogi do toalety. - Pitt się uśmiechnął i zniknął za drzwiami.

Na zewnątrz wiatr przybierał stopniowo na sile i niósł tumany gęstego kurzu. Pitt i Giordino wstąpili do garażu i zobaczyli, że mechanik zмага się z zapieczonymi nakrętkami przedniego koła. Pitt podszedł do drzwi i spojrzął ponad trawnikiem na rezydencję. Dostrzegł dwóch członków mongolskiej eskorty, którzy rozmawiali na ganku. Po obu stronach drzwi stali wartownicy.

- Skoro nie wpuścili naszych Mongołów, to wątpię, żeby nam pozwolili tędy wejść - powiedział.

- Będziemy musieli znaleźć inną drogę. Jeśli Theresa i jej koledzy są tutaj, to na pewno gdzieś w tym budynku. - Giordino rozejrzał się po terenie wokół rezydencji. - Nie mamy wiele czasu na spacer. Nasi przyjaciele w komorze niedługo się uwolnią.

- A kto mówi o spacerze? - zapytał Pitt.

Wrócił do garażu, wskazał głową stojący przy drzwiach wózek motorowy konserwatora terenu i sprawdził, czy w stacyjce jest kluczyk. Kiedy nikt w garażu nie patrzył, chwycił za kierownicę i popchnął pojazd w kierunku otwartych drzwi. Giordino rzucił się do pomocy i niemal na rękach wyniósł wózek za róg. Kiedy byli niewidoczni dla mechaników, Pitt wskoczył na siedzenie i uruchomił silnik spalinowy.

Zielony pojazd, jakich normalnie używają konserwatorzy pól golfowych, miał za dwoma siedzeniami małą platformę. Pitt nacisnął gaz i wózek wystartował przed siebie, wyrzucając żwir spod tylnych kół. Pitt zerknął w prawo i zobaczył przez tumany kurzu dwóch mężczyzn na koniach, którzy wyjeżdżali ze stajni za budynkiem technicznym. Skręcił szybko w lewo i pojechał w drugą stronę.

Trzymał się alejki biegnącej wzdłuż muru kompleksu i minął główną bramę. Wartownicy nie zwrócili uwagi na zielony pojazd konserwacyjny. Pitt zwolnił przed wjazdem na mały dekoracyjny mostek. Pod spodem płynęła woda z pobliskiej rzeki. Wpadała do kilku kanałów, które przecinały posiadłość.

- Sprytny system irygacyjny - zauważył Giordino, gdy Pitt zatrzymał wózek na mostku. Na lewo od siebie widzieli dwie wielkie rury, które doprowadzały wodę do kanałów. Pitt ruszył dalej wzdłuż muru. Wyglądało na to, że do budynku nie ma innego wejścia poza frontowymi drzwiami na ganku, gdzie wciąż stała mongolska eskorta i wartownicy.

Na wprost mur posiadłości kończył się nagle przed skalnym urwiskiem. Po drugiej stronie muru podziemna rura odprowadzała wypływającą z kanałów wodę do sztucznego wodospadu, który łączył się w dole z rzeką. Pitt postawił pojazd za drzewem i poszli dalej pieszo. Między murem i rezydencją znajdował się głęboki rów. Zbocze było zbyt strome, żeby po nim zjechać, ale w dół prowadziła zygzakami ścieżka. Teren opadał stromo przez kilkaset metrów i w związku z tym uznano, że nie ma potrzeby budowania muru z tyłu posiadłości.

- Spróbujemy wejść tylnymi drzwiami? - zapytał Giordino.

- Tak. Miejmy nadzieję, że są tu tylne drzwi.

Zaczęli schodzić w dół. Na ścieżce widniały liczne ślady kopyt. Silny wiatr niósł w ich kierunku wodną mgłę z wodospadu. Chłód i wilgoć przenikały ich do kości. Dotarli na tyły rezydencji i zobaczyli, że jest zbudowana na wysokiej półce skalnej, która ciągnie się przez całą długość budynku.

Giordino spojrzał w górę.

- W tym lokalu brak jest łatwo dostępnych wejść.

- Chyba nie złożył im jeszcze wizyty inspektor ochrony przeciwpożarowej.

Ruszyli w kierunku centralnej części rezydencji, trzymając się blisko skalnej ściany, żeby nie było ich widać przez okna pokoi powyżej. Podmuchy wiatru były coraz silniejsze i musieli zasłaniać twarze czapkami, żeby kurz nie dostał się im do oczu.

Doszli do skraju dziedzińca, ukryli się za niskim żywopłotem i zbadali wzrokiem teren. Natychmiast zauważyli boczne drzwi budynku, których strzegli dwaj strażnicy w jedwabnych strojach.

- Chcesz wypróbować swoją znajomość języka? - zapytał całkiem serio Giordino.

Pitt nie chciał się wdzierać siłą do rezydencji, bo nie mieli dowodu, że jest tam Theresa i jej koledzy. Ale ścigano ich już, więc ryzykowali niewiele więcej. Musieli się upewnić, jaka jest sytuacja.

- W pobliżu drzwi rosną krzaki - powiedział Pitt. - Gdyby udało nam się dostać do tamtego budynku i okrążyć go, moglibyśmy się podkraść do tych facetów i zaskoczyć ich.

Giordino skinął głową i popatrzył na dziwną kamienną budowlę po drugiej stronie dziedzińca. Zaczekali, aż podmuch wiatru wzbije w powietrze gęsty tuman kurzu i pobiegli w tamtą stronę. Dali nura do tunelowego otworu, przykucnęli i spojrzeli przez dziedziniec na dwóch wartowników. Mongołowie nadal stali przy drzwiach rezydencji, chroniąc się w niszy przed wiatrem. Pitt i Giordino pokonali otwartą przestrzeń niezauważeni.

A przynajmniej tak myśleli.

21

Po uciążliwej, czterogodzinnej jeździe przez góry i stopy środkowej Mongolii minister handlu Szyncze był przekonany, że odbył tę podróż na darmo, bo w Mongolii nie ma żadnych cudownych złóż ropy. Na całej trasie nie widział ani jednego szybu wiertniczego. Uważał, że wszystkiemu winien jest przewodniczący Fei. Zamiast pogodzić się z rzeczywistością, walczy z wiatrakami.

Minister handlu czekał z irytacją, że prezes Awargi przywita go na nędznym kucyku. Jego złość szybko zniknęła, gdy kawalkada zakurzonych samochodów wtoczyła się przez żelazną bramę do okazałej posiadłości Tołgoja Bordzina. Przyjazd do takiego miejsca w samym środku pustkowia nadał nagle sens tej wyprawie. Kiedy Szyncze zajechał przed piękną rezydencją, przekonał się, że Bordzin nie jest pasterzem owiec.

Gospodarz był ubrany w doskonale skrojony europejski garnitur i skłonił się nisko, gdy Szyncze wysiadł z samochodu. Tłumacz u boku Bordzina przekazał jego powitanie w języku mandaryńskim.

- Witam, panie ministrze. Mam nadzieję, że podróż się udała.
- Z przyjemnością patrzyłem na piękne mongolskie krajobrazy - odrzekł dyplomatycznie Szyncze i otarł kurz z oczu.
- Chciałbym panu przedstawić moją siostrę Tatianę, szefową operacji terenowych.

Tatiana skłoniła się wdzięcznie. Szyncze zauważył, że brat i siostra mają takie same pewne siebie miny. Uśmiechnął się i przedstawił swoją

świętę. Potem się odwrócił i popatrzył z podziwem na oddział jeźdźców konnych w strojach wojowników.

- Wiele słyszałem o mongolskich koniach - powiedział do Bordzina. - Jest pan hodowcą?

- Mam tylko małą stadninę dla członków mojej ochrony. Wymagam, żeby wszyscy doskonale jeździli konno i strzelali z łuku.

- Interesujący powrót do przeszłości - stwierdził Szyncze.

- Ze względów praktycznych. W tych stronach mongolski koń dotrze tam, gdzie nie dojedzie żaden pojazd. A umiejętność walki zawsze się przydaje. Nowoczesna technika jest potrzebna, ale moi przodkowie podbili pół świata na koniach, uzbrojeni w łuki. Przekonałem się, że jedno i drugie można doskonale wykorzystać również w dzisiejszych czasach. Ale nie stójmy na tym piekielnym wietrze. Zapraszam do środka.

Bordzin wszedł na czele grupy do holu. Potem poprowadził gości do dużego pokoju na końcu korytarza. Szyncze podziwiał po drodze antyki. W pewnym momencie zatrzymał się przed stojącym dęba koniem z brązu. Ogier pokryty zieloną patyną odbijał się w kolorowej mozaice na ścianie.

- Piękna rzeźba - zachwycił się Szyncze, gdy rozpoznał chiński styl. - Dynastia Jüan?

- Nie, trochę wcześniejsza, Song - odrzekł Bordzin. Zaimponowała mu spostrzegawczość ministra. - Większość antyków w tym domu pochodzi z XIII wieku, okresu największych podbojów w historii Mongolii. Mozaika na ścianie to dzieło z Samarkandy, a ozdobny postument rzeźby powstał w Indiach około 1200 roku naszej ery. Jest pan kolekcjonerem?

- Nieoficjalnie. - Minister się uśmiechnął. - Mam kilka skromnych sztuk porcelany z czasów dynastii Jüan i Ming, ale to wszystko. Jestem pod wielkim wrażeniem pańskich zbiorów. Niełatwo zdobyć przedmioty z tego okresu.

- Mam w Hongkongu zaprzyjaźnionego antykwariusza - wyjaśnił Bordzin.

Orszak dotarł do sali konferencyjnej na końcu korytarza. Za wysokimi oknami rozciągała się zwykle rozległa panorama, ale dziś można było zobaczyć jedynie dziedziniec i sanktuarium w dole. Większość widoków przesłaniał gęsty kurz niesiony wichrem, odległy

step pojawiał się tylko między podmuchami wiatru. Bordzin minął kanapy i bar i doprowadził grupę do mahoniowego stołu, gdzie wszyscy usiedli.

Gospodarz zajął miejsce u szczytu stołu, tyłem do ściany. Na szerokim regale za jego plecami był cały średniowieczny arsenał. Pół ściany zajmowały włócznie, lance i miecze, obok wisiały ręcznie robione łuki i kołczany pełne strzał z metalowymi grotami. Na górnej półce leżały okrągłe metalowe hełmy ozdobione końskim włosiem i kilka kulistych glinianych przedmiotów, które przypominały granaty ręczne. Kolekcji strzegł wypchany sokół z rozpostartymi groźnie skrzydłami. Ptak miał uniesioną głowę i otwarty dziób, jakby wydawał ostatni okrzyk śmierci.

Szyncze przeniósł wzrok z broni na sokoła, potem na Bordzina, i poczuł mimowolny dreszcz. W gospodarzu było coś dzikiego, podobnie jak w wypchany ptaku. W zimnych oczach czaiło się okrucieństwo. Szyncze miał wrażenie, że Bordzin mógłby chwycić jedną z włóczni na ścianie i bez namysłu przebić nią człowieka. Kiedy przed ministrem handlu postawiono filiżankę gorącej herbaty, spróbował pozbyć się tych myśli i skoncentrować na celu swojej wizyty.

- Mój rząd otrzymał pańską ofertę sprzedaży Chinom dużych ilości ropy. Kierownictwo partii jest bardzo zaintrygowane tą propozycją. Zostałem upoważniony do sprawdzenia, czy ta oferta jest aktualna, i do omówienia warunków ewentualnej umowy.

Bordzin odchylił się na krześle do tyłu i roześmiał.

- Tak, oczywiście. Dlaczego Mongolia, przez tysiąc lat stanowiąca zagrożenie dla Chin, pragnie nagle pomóc swojemu sąsiadowi na południu? Jak to możliwe, że pelen kurzu, stepowy obszar, zamieszkały przez prymitywnych wieśniaków i pastuchów, okazuje się nagle poważnym źródłem bogactw naturalnych? Powiem panu. Ponieważ zrobiliście z nas więźniów w naszym własnym kraju. Wy i Rosjanie przez dziesiątki lat odcinaliście nas od reszty świata. Staliśmy się odizolowanym pustkowiem, zapomnianą wyspą. Ale te dni minęły, panie ministrze. Mongolia to bogaty kraj. Pod wieloma względami. Nie potrafiliście tego wykorzystać, kiedy mieliście szansę. Dopiero teraz zachodnie firmy przepychają się, żeby tu wejść i eksploatować nasze kopalnie i lasy. Ale spóźniły się po ropę. Bo kiedy nikt nie był jeszcze

zainteresowany inwestycjami w naszym kraju, wzięliśmy sprawy w swoje ręce i teraz będziemy zbierali owoce naszej pracy.

Skinął Tatianie głową. Sięgnęła po mapę leżącą na biurku, rozwinęła ją przed chińskim ministrem i przycisnęła jej brzegi dwoma jadeitowymi rzeźbami, które stały na środku stołu.

Szyncze popatrzył na mapę Mongolii. W pobliżu południowo-wschodniej granicy widniał nieregularny czerwony owal. Przypominał amebę utopioną w tanim merlocie. Plama ciągnęła się przez osiemdziesiąt kilometrów, jej dolny kraniec zaokrąglął się wzdłuż granicy Mongolii Wewnętrznej należącej do Chin.

- Pole naftowe Temudżyn. W porównaniu z nim wasze wysychające Tacing to poletko - powiedział Bordzin, mając na myśli złoża ropy w największym chińskim zagłębiu naftowym. - Próbne odwierty wskazują że mamy tu czterdzieści miliardów baryłek surowej ropy i prawie półtora biliona metrów sześciennych gazu ziemnego. Milion baryłek dziennie, który będziemy wam sprzedawali, to drobiazg.

- Dlaczego to odkrycie nie zostało nagłośnione? - zapytał Szyncze sceptycznym tonem. - Nic nie słyszałem o znalezieniu takich złóż tuż przy naszej granicy.

Bordzin wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu rekina.

- Poza obecnymi w tej sali wie o tym bardzo niewiele żyjących osób - odrzekł tajemniczo. - Mój własny rząd nie ma o tym pojęcia. Myśli pan, że inaczej udałoby mi się zdobyć prawo własności do tego całego regionu? W Mongolii pojawiało się wielu poszukiwaczy ropy, ale wszyscy oni przeoczyli główną żyłę złota. Odpowiednia technika pomogła nam zlokalizować prawdziwy skarb trochę przez przypadek. - Uśmiechnął się. - To głębokie złoża, co częściowo tłumaczy wcześniejsze niepowodzenia innych. Ale nie chcę pana zanudzać szczegółami. Powiem tylko, że szereg próbnych odwiertów potwierdziło wstępnie ocenę potencjału tych złóż.

Szyncze siedział w milczeniu. Był blady. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko przyjąć do wiadomości, że to rozległe pole naftowe naprawdę istnieje. Świadomość, że właścicielem tych złóż jest arogancki szarlatan o wątpliwej moralności, psuła mu humor. Szyncze wiedział, że Bordzin jest panem sytuacji.

- Mieć pod ziemią ropę, to jedno - powiedział ponuro minister. - Dostarczyć ją w ciągu dziewięćdziesięciu dni, to zupełnie co innego. Pańska oferta sugeruje, że dostalibyśmy ją w takim terminie. Jak to możliwe?

- Będzie to wymagało pewnych działań z waszej strony, ale sprawa jest całkowicie wykonalna - odparł Bordżin. Odwrócił się do Tatiany i poprosił ją o drugą mapę z biurka. Rozłożyła na stole mapę Mongolii i północnych Chin. Chińską część przecinała sieć czerwonych linii.

- To są istniejące chińskie rurociągi - wyjaśnił Bordżin. - Niech pan spojrzy na ukończony niedawno północno-wschodni rurociąg z Tacing do Pekinu i jego odnogę łączącą go z terminalem portowym w Cinhuangtao.

Szyncze popatrzył uważnie na mapę i zobaczył mały znak X obok odcinka rurociągu, który biegł przez Mongolię Wewnętrzną.

- Ten punkt znajduje się trzydzieści kilometrów od granicy mongolskiej i czterdzieści kilometrów od niemal ukończonego rurociągu, który buduję w kierunku granicy. Będziecie tylko musieli go przedłużyć od tego miejsca, gdzie skończyłem, do punktu X na waszym rurociągu z Tacing, i ropa może płynąć.

- Czterdzieści kilometrów rurociągu w dziewięćdziesiąt dni? To nierealne.

Bordżin wstał i okrążył stół.

- Bez przesady. Amerykanie kładli szesnaście kilometrów torów dziennie, kiedy w latach sześćdziesiątych XIX wieku budowali swoją kolej transkontynentalną. Wytyczyłem już trasę i sprowadziłem rury od dostawcy. Mogę też dostarczyć maszyny robocze. Rozważcie to. Dla kraju, który zbudował elektrownię wodną w Przełomie Trzech Wąwozów, to przedsięwzięcie powinno być dziecinną igraszką.

- Wygląda na to, że pan dobrze zna nasze potrzeby - powiedział Szyncze z maskowaną niechęcią.

- Solidny partner handlowy powinien się orientować w takich rzeczach. - Bordżin się uśmiechnął. - A w zamian... Moje żądania są proste. Będziecie płacili za baryłkę sto czterdzieści sześć tysięcy tugrików, czyli sto dwadzieścia pięć dolarów amerykańskich. Zwróćcie nam południową Mongolię, którą nazywacie Mongolią Wewnętrzną. Zapewnacie mi też wyłączność na korzystanie z rurociągu do portu

Cinhuangtao, gdzie udostępnicie mi terminal załadunkowy, żebym mógł tamtędy eksportować nadwyżki ropy.

Szyncze wciągnął głośno powietrze. Mongoł odwrócił się twarzą do okna i popatrzył na kurz wirujący w podmuchach wiatru. Dostrzegł jakiś ruch i spojrzał w dół na dziedziniec. W kierunku sanktuarium biegli dwaj mężczyźni w ciemnych ubraniach. Bordżin obserwował, jak znikają za okrągłą budowlą potem wyłaniają się przy wejściu i wchodzą do środka.

- Proszę wybaczyć - powiedział do ministra - muszę na chwilę wyjść i zająć się pilną sprawą.

Odwrócił się i zanim Szyncze zdążył się odezwać wyszedł szybko z sali konferencyjnej.

22

Wiatr chwilowo ucichł, co zmusiło Pitta i Giordina do pozostania tam, gdzie się ukryli. Pitt przyjrzał się z podziwem wysokiemu łukowemu wejściu do głównego pomieszczenia kamiennej budowli. Choć konstrukcja wyglądała na bardzo starą, było oczywiste, że przerobiono ją lub przynajmniej odrestaurowano. Wskazywała na to warstwa zaprawy murarskiej między kamieniami. Budowla zajmowała środek dziedzińca i należało przypuszczać, że cała posiadłość powstała wokół niej.

- Świątynia buddyjska? - zapytał Giordino, widząc w głębi korytarza chybotliwe światło świec.

- Prawdopodobnie - odrzekł Pitt. Ich ciekawość wzrosła, kiedy w oczekiwaniu na wiatr niosący kurz ruszyli cicho szerokim korytarzem i doszli do głównego pomieszczenia.

W blasku płonących pochodni i świec przekonali się z zaskoczeniem, że jest to bardziej mauzoleum niż świątynia. Na końcu znajdował się mały drewniany ołtarz, stojący między dwoma sarkofagami z białego marmuru. Ich nowoczesny wygląd sugerował, że ktoś został tu pochowany na przestrzeni ostatnich dwudziestu czy trzydziestu lat. Pitt nie potrafił odczytać napisów cyrylicą na płytach grobowców, ale znając z relacji Korsowa przeszłość Bordżina domyślał się, że w sarkofagach spoczywają jego rodzice.

Nie miał jednak pojęcia, czyje zwłoki mogą się znajdować w stojącym na marmurowym piedestale granitowym grobowcu, który wyglądał na dużo starszy. Zdobily go wyrzeźbione konie i dzikie zwierzęta pokryte farbą. Ich wizerunki były wyraźne, ale farba wyblakła ze starości. U wezłowia sarkofagu zatknięto dziewięć tyczek. Na każdej wisiał kawałek białego futra, podobnie jak przed wejściem do rezydencji.

- Ktoś miał piękny pogrzeb - powiedział Giordino.

- W żyłach pana Bordżina musi płynąć błękitna krew - odparł Pitt. Giordino spojrział za sarkofag i zobaczył, że pod ołtarzem coś leży.

Wskazał w tamtym kierunku.

- Wygląda na to, że będzie tu potrzebna jeszcze jedna trumna. Ciało, którego nie zauważyli w pierwszym momencie, spoczywało na ławce. Pitt i Giordino podeszli tam i przeżyli szok, gdy rozpoznali zwłoki. Martwy Roy był częściowo przykryty cienkim kocem, ale w jego piersi wciąż tkwiła strzała z łuku.

- Theresa i Wofford są tutaj - powiedział Giordino łamiącym się głosem.

- Miejmy nadzieję, że nie spotkał ich ten sam los - odrzekł cicho Pitt i naciągnął koc na twarz Roya. Kiedy się zastanawiał, czy nie przybyli tu za późno, ciszę w krypcie zakłócił nagle odgłos szybkich kroków na kamiennej podłodze. Sekundę później do mauzoleum wpadli dwaj wartownicy, których Pitt widział wcześniej po drugiej stronie dziedzińca. Byli ubrani tak samo jak ich koledzy przy frontowej bramie i nie mieli broni palnej. Uzbrojeni w drewniane włócznie z ostrymi metalowymi grotami, przy pasach mieli noże w pochwach, na plecach łuki i kołczany. Takiej broni używali przed wiekami konni wojownicy mongolscy. Z bliskiej odległości była równie zabójcza jak współczesny pistolet czy karabin.

Gdy wartownicy zobaczyli przy ołtarzu dwóch intruzów, przyspieszyli kroku, wystawiając przed siebie włócznie. Na szczęście nie rzucili nimi w Pitta i Giordina, lecz zamierzali ich zaatakować z bliska.

Giordino zareagował pierwszy. Złapał drewnianą ławkę i cisnął ją pod nogi nadbiegających Mongołów. Jeden z wartowników potknął się i upadł na brzuch, a jego włócznia potoczyła się na bok.

Drugi Mongoł przeskoczył ławkę jak płotkarz i pędził dalej prosto na Pitta. Pitt czekał. Uniósł się lekko na palcach stóp, napiął mięśnie nóg i

nie odrywał wzroku od grotu włóczni. Stał bez ruchu, będąc łatwym celem. Wartownik myślał, że Pitt zamarł ze strachu. Uniósł włócznię, by zadać pchnięcie. Wtedy Pitt błyskawicznie uskoczył w bok i lewą ręką odepchnął drzewce w bok. Napastnik minął go, zaskoczony tym, że dźgnął powietrze. Spróbował zadać cios w bok, ale był już za daleko. Pitt usiłował chwycić włócznię, ale Mongoł wyrwał mu ją z ręki.

Obaj stracili równowagę i zatoczyli się w przeciwne strony. Wartownik wpadł na ołtarz, Pitt przewrócił się na środku krypty. Zerwał się szybko, by stawić czoło napastnikowi, potem cofnął się do kamiennego grobowca, który był tuż za nim. Mongoł odzyskał równowagę i popatrzył na niego. Ścisnął mocno włócznię, wziął głęboki oddech i zaatakował, nie odrywając wzroku od swojej ofiary.

Pitt stał tyłem do sarkofagu i rozglądał się w poszukiwaniu jakiejś broni. Dostrzegł, że Giordino rzucił się na leżącego Mongoła. Był zajęty unieszkodliwianiem pierwszego wartownika i nie mógł przyjść Pittowi z pomocą. Wtedy Pitt przypomniał sobie o tyczkach z wiszącymi kawałkami futra.

Dziewięć długich drewnianych drągów stało w marmurowych podstawach u wezglowia grobowca. Pitt cofnął się tam szybko, sięgnął za siebie prawą ręką i chwycił jedną z tyczek. Mongoł nie zwrócił na to uwagi. Pitt czekał, dopóki wartownik nie zbliżył się na odległość dziesięciu kroków. Wtedy szybko wyszarpnął tyczkę i skierował przed siebie.

Dwupółmetrowy drąg był dużo dłuższy od włóczni. Zaskoczony Mongoł próbował zwolnić na widok tyczki w dłoniach Pitta, ale nie zdołał. Tępy koniec drąga, pchniętego z całej siły przez Pitta, uderzył go w brzuch. Zaszokowany wartownik stracił oddech, został poderwany do góry i opadł na jedno kolano. Cios wytrącił mu z rąk włócznię, która upadła z hałasem na podłogę. Mongoł zaczął się desperacko czołgać po swoją broń. Potem spojrział w górę i zamarł z przerażenia. Drewniana tyczka wykonała obrót i teraz w jego kierunku, niczym kula do burzenia murów, szybowwała jej marmurowa podstawa. Usiłował się schylić, ale dostał w głowę i rozpląszczył się nieprzytomny na podłodze.

- Żadnego szacunku dla cudzej własności - rozległ się głos Giordina, kiedy tyczka z marmurową podstawą upadła na podłogę. Pitt odwrócił się

i zobaczył, że Giordino stoi nad swoim nieprzytomnym przeciwnikiem i masuje wierzch dłoni.

- Jesteś cały?

- Jasne, i w dużo lepszej formie niż mój przeciwnik. Co ty na to, żebyśmy się stąd wynieśli, zanim zjawi się tu więcej takich facetów?

- Dobry pomysł.

Wybiegli z krypty. Pitt zabrał po drodze jedną z włóczni. W korytarzu gwizdał wiatr. Dotarli do wyjścia i wyjrzeli ostrożnie na zewnątrz. Widok nie był zachęcający.

Przy wejściu do rezydencji siedzieli na koniach dwaj jeźdźcy w jaskrawych, jedwabnych tunikach i okrągłych, metalowych hełmach. Zastąpili pieszych wartowników. W pobliżu trzeci jeździec przeczesywał teren w poszukiwaniu intruzów. Wiedząc, że z czekania nie wyniknie nic dobrego, Pitt i Giordino wymknęli się z mauzoleum w tumanie kurzu niesionego wiatrem i skierowali na tyły kamiennej budowli. Kiedy się tam skradali, zobaczyli prawe skrzydło rezydencji. Dotarli skuleni za budynek i zauważyli, że w ich stronę jedzie konno sześciu mężczyzn w kolorowych strojach. W przeciwieństwie do wszystkich napotkanych dotąd strażników, mieli karabiny przewieszane przez ramię.

- Dobry moment na defiladę kawalerii - powiedział Giordino.

- Ułatwia nam to wybór drogi odwrotu - odrzekł Pitt. Wiedział, że chcąc uciec przed patrolem, będą musieli wycofać się tą drogą, którą przyszli.

Dostali się do krytej zagrody na tyłach mauzoleum i zaczęli przedzierać na drugą stronę. Kiedy lawirowali między skrzyniami i sprzętem, Pitt rzucił okiem na duży, zakurzony samochód zaparkowany w głębi. Z zaskoczeniem rozpoznał zabytkowego rolls-royce'a z początku lat dwudziestych ubiegłego wieku. Gdy przechodził przez ogrodzenie, obok jego ucha rozległ się świst, a potem wibrujący dźwięk. Zerknął w bok i zobaczył strzałę, która utkwiała w drewnianej skrzyni kilka centymetrów od głowy Giordina.

- Uważaj! - krzyknął i schylił się, kiedy świsnęła następna. Giordino przykucnął za drewnianą beczką zanim grot strzały wbił się w podpórę wiaty.

- Czwartym kawalerzysta? - zapytał i wyjrzał zza osłony.

Pitt spojrzął na dziedziniec i zobaczył przy żywopłocie jeźdźca, który napinał cięciwę łuku, by wypuścić trzecią strzałę. Tym razem celował w niego i Pitt ledwo zdążył dać nura za wóz konny. Gdy tylko strzała trafiła w wóz, Pitt zerwał się na nogi i odwrócił do Mongoła. Teraz przyszła kolej na jego ruch. Kiedy jeździec sięgnął do kołczanu na plecach, Pitt rzucił w niego włócznią, którą zabrał z krypty.

Mężczyzna na koniu znajdował się w odległości piętnastu metrów, ale Pitt wziął mocny zamach i dobrze wycelował. Tylko szybki unik uratował jeźdźcowi życie, jednak włócznia przebiła mu prawe ramię powyżej łokcia. Mongoł upuścił łuk i chwycił się lewą ręką za zranione miejsce, żeby zatamować krwawienie.

Do rannego jeźdźca szybko dołączyli trzej pozostali i rozpoczęli ostrzał. Po przeciwnej stronie zagrody rozległ się wśród wycia wichru tętent kopyt i przygalopował drugi patrol. Po chwili w powietrzu zaroilo się od strzał, ostre groty wbijały się z zabójczą siłą w drewniane skrzynie i wozy. Łucznicy mieli dużą wprawę w posługiwaniu się swoją bronią i kontrolowali każdy ruch Pitta i Giordina. Gdyby nie porywisty wiatr, obaj wkrótce by zginęli. Jednak tumany wirującego kurzu ograniczały jeźdźcom widoczność, a podmuchy wichru zmieniały tor lotu strzał.

Pitt i Giordino trzymali przeciwników na dystans. Choć nie byli uzbrojeni, zaimprovizowali obronę. Na kilku wozach znaleźli mnóstwo narzędzi rolniczych i wykorzystywali je do walki. Giordino z dobrym skutkiem miotał trójzębne widły, przebił jednemu napastnikowi udo, drugiego zwałił z konia. Nadlatujące widły i łopaty nie pozwalały atakującym zbliżyć się, ale jeźdźcy wiedzieli, że ich przeciwnicy są w pułapce.

Kurz niesiony wiatrem pomagał Pittowi i Giordinowi w walce, dając im osłonę i utrudniając zadanie Mongołom. Ale wicher nagle przestał dąć, jakby bogowie pogody chcieli odpocząć. Kiedy wycie wiatru ucichło i opadł kurz, los dwóch uwięzionych mężczyzn wydawał się przesądzony. Byli teraz wyraźnie widoczni w środku zagrody i stali się łatwym celem dla łuczników. Dalsza walka oznaczałaby śmierć, więc rzucili się na ziemię. Wtoczyli się pod duży wóz i ukryli się za szprychowymi kołami, które były kiepską zasłoną. W bokach wozu tuż nad ich głowami natychmiast utkwily strzały. Z przeciwległego końca zagrody zaczęto strzelać z karabinów.

Dragi patrol zrezygnował z łuków i postanowił zakończyć oblężenie przy użyciu broni palnej.

- Obejdę się bez powtórki kampanii Custera - mruknął Giordino. Po policzku spływała mu krew. Złamana strzała trafiła go rykoszetem w twarz. - Jak myślisz, tamci pewnie nie dadzą się nabrać na machanie białą chusteczką?

- Wątpię - odrzekł Pitt. Myślał o Royu. Nagle tuż przy nim w kole wozu utkwiła strzała. Przetoczył się odruchowo w bok i uderzył plecami w jakąś przeszkodę. Odwrócił głowę i zobaczył tuż obok wozu jakiś kształt przykryty brudnym brezentem. Nadleciała następna fala strzał i przywarł do ziemi obok Giordina.

- Co ty na to, żebyśmy przy następnym tumanie kurzu załatwili jednego z jeźdźców? - zapytał Giordino. - Ty złapiesz wodze, ja faceta, i będziemy mieli konia. Tylko w ten sposób możemy się stąd wydostać.

- Ryzykowne - odparł Pitt - ale chyba nie mamy innego wyjścia. Przekręcił się na bok, żeby zbadać teren, i zaczepił nogą o brezent zasłaniający przedmiot przy wozie. Zajrzał pod niego.

- Zmiana planów? - zapytał Giordino, gdy zobaczył nagły błysk w jego oczach.

- Nie - odrzekł Pitt. - Po prostu spróbujemy stąd wyjechać na koniu innej maści.

23

W radiu zamontowanym na ścianie rozległ się sygnał. Porywisty wiatr powodował zakłócenia, które tłumili głos rozmówcy, choć jego bliskość w innych okolicznościach gwarantowałaby dobry odbiór.

- Otoczyliśmy ich za sanktuarium. Przyjechali z chińską delegacją jako członkowie mongolskiej eskorty, ale to oszuści. Moi ludzie, którzy zostali zamknięci w komorze testowej, twierdzą, że tamci dwaj nie są Chińczykami. Uważają, że to Rosjanie.

- Rozumiem - powiedział do słuchawki poirytowany Bordzin. - Szpieczy pracujący dla rządu, albo dla któregoś z rosyjskich koncernów naftowych, co jest bardziej prawdopodobne. Dopilnujcie, żeby nie wydostali się stąd żywi, ale nie otwierajcie ognia, dopóki nie odjedzie

minister. Oczekuję pełnego raportu ochrony z wyjaśnieniem, dlaczego nie sprawdzono ich przy wejściu.

Bordzin odłożył słuchawkę i zamknął szafkę z drewna wiśniowego, która skrywała radiostację. Wrócił do sali konferencyjnej. Chiński minister stał przy oknie i patrzył na kurzawę za szybą.

Bordzin usiadł i uśmiechnął się ponuro.

- Przepraszam za to zamieszanie. Dwaj członkowie pańskiej eskorty rządowej mieli wypadek. Obawiam się, że nie będą mogli panu towarzyszyć w drodze powrotnej. Oczywiście zastąpię ich kimś, jeśli pan sobie życzy.

Szyncze skinął lekko głową.

- A te strzały na zewnątrz?

- To ćwiczenia mojej ochrony. Nie ma powodu do niepokoju. Minister wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w okno. Myślni był gdzie indziej. Potem wolno odwrócił się i usiadł na wprost Bordzina.

- Pańska oferta to szantaż, a pańskie żądania są absurdalne.

- Moje warunki nie podlegają negocjacom. I może wcale nie są takie absurdalne dla kraju, który stoi w obliczu katastrofy ekonomicznej - wycedził Bordzin.

Szyncze patrzył na swojego gospodarza z pogardą. Arogancki magnat naftowy od razu mu się nie spodobał. Choć pozornie wspaniałomyślny, nie miał żadnego szacunku dla Chin i ich dominującej roli w świecie. Sama perspektywa negocjacji napawała ministra odrazą, ale wiedział, że przywódca jego kraju, a zwłaszcza przewodniczący Fei, oczekują od niego załatwienia sprawy importu ropy. Miał podstawy do obaw, że zdesperowane władze chińskie przyjmą oburzające warunki. Gdyby tylko była inna możliwość...

Bordzin mówił dalej:

- Panie ministrze, ta transakcja będzie korzystna dla obu stron. Chiny dostaną ropę, która jest im potrzebna do prawidłowego funkcjonowania ich gospodarki, ja będę miał długoterminowy kontrakt eksportowy jako główny dostawca, a mongolski region autonomiczny stanie się częścią wielkiej Mongolii, tak jak być powinno.

- Nielatwo jest się zgodzić na odstąpienie komuś części swojego terytorium.

- Chiny nic na tym nie tracą. Obaj wiemy, że to pustkowie, gdzie żyją głównie mongolscy pasterze. Chcę przyłączyć ten region do Mongolii, bo pragnę odzyskać ziemie, które kiedyś należały do naszego narodu.

- Być może ma pan rację, że ten region nie ma wielkiej wartości. Ale to niezwykle, że prywatna firma wysuwa roszczenia terytorialne.

- To prawda. Mój rząd nic o tym nie wie. Na pewno uzna to za bardzo miły prezent, który ucieszy ludzi.

- A pan bez wątplenia dużo na tym skorzysta?

- Część praw do ziemi przenieśliśmy na moją firmę, ale to tylko niewielki procent całości - odrzekł Bordżin i z szatańskim uśmiechem wręczył ministrowi grubą skórzaną teczkę na akta. - Przygotowałem już odpowiednie umowy do podpisania przez przedstawicieli obu krajów. Mam nadzieję, że przy najbliższej okazji dostanę z Pekinu wiadomość o akceptacji tych porozumień.

- Jutro po południu mam złożyć raport komitetowi doradczemu sekretarza generalnego. Potem zapadnie decyzja. Ale uprzedzam, że pańskie twarde stanowisko w kwestii warunków może uniemożliwić zawarcie jakiegokolwiek umowy.

- Trudno. Takie są moje warunki. - Bordżin wstał. - Liczę na długą i owocną współpracę, panie ministrze. - Skłonił się uprzejmie.

Szyncze podniósł się i odklonił sztywno, potem wyszedł ze swoją świtą z sali konferencyjnej. Bordżin i Tatiana odprowadzili chińską delegację do drzwi frontowych i patrzyli, jak goście przedzierają się przez kurzawę do swoich samochodów. Kiedy tylne światła pojazdów zniknęły za bramą Bordżin zamknął drzwi i odwrócił się do Tatiany.

- Jesteśmy bogaci - powiedział i ruszył korytarzem z powrotem.

- Tak, ale dużo ryzykujemy. Nie zrezygnują łatwo z Mongolii Wewnętrznej. Mogą zacząć coś podejrzewać.

- Bzdura. Chińczycy rozumieją dążenie Mongolii do odzyskania jej dawnego terytorium. To doskonała przykrywka. Oddadzą nam ziemie, które będziemy eksploatowali po to, żeby sprzedawać im ropę.

- Nie będą zachwyceni, kiedy poznają prawdę. Mogą anulować umowę, albo jeszcze gorzej. I nie zechcą płacić wyższych cen niż rynkowe.

- Dzięki naszej nowej technice możemy destabilizować rynek latami i czerpać z tego ogromne zyski. Już tego dowiedliśmy w Zatoce Perskiej i znów to zrobimy.

Wrócili do sali konferencyjnej i podeszli do baru. Bordżin sięgnął po koniak i napełnił dwa kieliszki.

- Już wygraliśmy, moja droga siostró. A kiedy popłynie ropa, będziemy trzymali Chińczyków za gardło. Nie odważą się renegotjować porozumienia. Jeśli zmienią zdanie, pociągniemy rurociąg do Syberii i podłączymy się do Nachodki. Będziemy mogli sprzedawać ropę Japonii i reszcie świata, śmiejąc się im w twarz.

- Tak, dzięki naszemu bratu i jego płonącemu statkowi, który wywołał pożar w Ningbo, Chińczycy są w dramatycznej sytuacji.

- Temuge potrafi czynić cuda, prawda?

- Chyba nie muszę ci przypominać, że przez niego omal nie zginęłam na Bajkale - odparła z irytacją Tatiana.

- Nieprzewidziany skutek uboczny, wielka fala. Ale grunt, że teraz jesteś tutaj, cała i zdrowa - powiedział Bordżin. - Musisz przyznać, że Temuge świetnie się spisał. Zniszczył rurociąg na Syberii, potem wywołał pożar w chińskim porcie, gdzie nie można było znaleźć odpowiedniej linii uskokowej. Zespół w Zatoce Perskiej, który zorganizował, też doskonale wykonał swoje zadanie. Jeszcze jeden pokaz na Bliskim Wschodzie i Chińczycy przyjdą do nas na kolanach.

- Temuge jest teraz na Pacyfiku, w drodze do Ameryki Północnej, żeby przeprowadzić ostatni atak?

- Tak, są już na morzu. Sprzęt z Bajkału dotarł do Seulu dwa dni temu i krótko potem wyruszyli. Wysłaliśmy z Temuge zespół z wykopalisk w górach Chentej, bo po incydencie z rosyjską ekipą poszukiwaczy ropy musieliśmy wstrzymać tamtą operację.

- I tak nic nie znaleźli. Pusta krypta, którą odkryliśmy obok Czyngisa, wskazuje, że drugi grobowiec został splądrowany albo nikogo tam nie pochowano. Ciekawe, dlaczego te bogactwa nigdy nigdzie nie wypływały.

- Nieważne. Niedługo Chińczycy zapewnią nam dopływ dużych pieniędzy. Będziemy musieli poczekać na następny szok naftowy, a potem zgodzą się na wszystko. - Bordżin się uśmiechnął.

Wyszedł z sali konferencyjnej i skierował się do pobliskich schodów. Tatiana szła za nim. Zatrzymał się na podeście i uniósł koniakówkę w kierunku dużego portretu mongolskiego wojownika, który wisiał na ścianie.

- Pierwszy krok już zrobiony. Jesteśmy teraz na dobrej drodze do przywrócenia naszemu rodowi jego dawnego bogactwa i chwały.
- Nasz ojciec byłby z tego dumny - powiedziała Tatiana.
- Za ojca i za naszego pana, Czyngis-chana - wznosił toast Bordzin i wypił koniak. - Obyśmy znowu zapanowali nad światem.

24

Za rezydencją szef ochrony przypiął z powrotem do pasa swoje radio. Był wielki jak niedźwiedź i nazywał się Batbold. Właśnie odebrał wiadomość, że chińska delegacja już odjechała. Jeśli dwaj intruzi w zagrodzie jeszcze żyli, można było ich teraz wykończyć ogniem z karabinów.

Wnętrze zagrody przesłaniał wirujący kurz, ale wcześniejszy grad ołowiu i strzał musiał unieszkodliwić dwóch szpiegów. Już nie rzucali narzędziami rolniczymi w otaczających ich ludzi. W ogóle się nie pokazywali od kilku minut. Batbold podejrzewał, że już nie żyją. Dla wszelkiej pewności kazał wystrzelić w środek zagrody trzy serie, a potem przerwać ogień. Wyciągnął zza pasa krótki miecz, zsiadł z konia i ruszył na czele trzech swoich ludzi do zagrody, żeby obejrzeć zwłoki. Byli trzy metry od drewnianego płotu, gdy usłyszeli w środku trzask miazdżonej skrzyni. Zamarli w bezruchu i wtedy rozległ się inny dźwięk, metaliczny warkot, który zaraz ucichł. Szef ochrony dał ostrożnie krok naprzód i zobaczył za jednym z wozów jakiś ruch. Warkot wciąż się powtarzał.

- Tam! - wskazał Batbold. - Ognia!

Jego ludzie unieśli karabiny do ramienia. W tym momencie z zagrody dobiegł głośny wystrzał. Kiedy próbowali wycelować, ściana skrzyń nagle runęła na drewniany płot. Sekundę później w kierunku Mongołów wystartował z hałasem jakiś obiekt.

Batbold patrzył wytrzeszczonymi oczami na czerwony motocykl z bocznym wózkiem, który pędził prosto na niego. Wydawało się, że jedzie sam. Na siedzeniu i w wózku podskakiwały dwie drewniane skrzynie. Batbold uskoczył na bok. Uniósł szybko miecz do obrony przed zbliżającą się maszyną ale było już za późno.

Kiedy motocykl mijał Batbolda, Al Giordino wyskoczył z drewnianej skrzyni niczym diabełek na sprężynie z pudełka. W rękach trzymał łopatę, którą zamachnął, się na Mongoła, Płaską stroną uderzył w szczękę szefa ochrony. Oszołomiony Batbold runął na ziemię.

Motocykl pruł dalej w kierunku jego trzech ludzi, którzy rozpięchli się w panice bez jednego strzału. Jeden z uciekających potknął się, upadł i koło wózka przejechało mu po nogach. Drugi dał nura w bezpieczne miejsce, trzeci dostał w tył głowy łopatą Giordina i rozciągnął się na ziemi.

Pitt prowadził motocykl, patrząc przez szpary w skrzyni opartej na jego barkach. Oddalał się od konnych jeźdźców z karabinami i zbliżał do grupy łuczników. Zobaczył lukę między ich końmi i skręcił w tamtą stronę, żeby wydostać się z okrążenia.

- Na dół, zaraz będzie gorąco! - krzyknął do Giordina.

Sekundę później zaczęły nadlatywać strzały. Uderzały w wózek motocykla i wbijały się w ich drewniany pancierz. Pitt poczuł w lewym podudziu ukłucie grotu i gdyby mógł spojrzeć w dół, zobaczyłby na swojej nodze strużkę krwi.

Pędzili w kierunku łuczników. Silnik spalał zbyt bogatą mieszankę i stary motocykl zostawiał za sobą chmurę czarnego dymu. Pitt miał nadzieję, że jeźdźcy z tyłu nie otworzą ognia z karabinów w obawie, że trafią swoich. Nie mylił się. Ale łucznicy nie mieli takich skrupułów i wypuszczali przed siebie grad strzał.

Żeby przerzedzić szeregi przeciwnika, Pitt skierował motocykl prosto na jednego konia. Przerażone zwierzę stanęło dęba i skręciło gwałtownie w bok, by przepuścić hałaśliwą maszynę. Jeździec ledwo utrzymał się w siodle. Pitt zobaczył błysk lancy, która przeleciała tuż przed jego twarzą i utkwiała w ziemi. Minał spłoszonego konia i rząd łuczników i wyjechał z dziedzińca.

Giordino obrócił się w wózku i spojrzął za siebie ponad krawędzią chroniącej go skrzyni. Jeźdźcy przegrupowali się szybko i ruszyli w pościg za motocyklem.

- Siedzą nam na ogonie! - krzyknął. - Zabawię się z tymi facetami w rzucanie podkową.

Zanim wsiedli na motocykl, Giordino zauważył jutowy worek z podkowami, który zwisał z wozu. Zabrał go przezornie ze sobą i teraz zamierzał wykorzystać jego zawartość jako pociski. Wyłonił się ze skrzyni i zaczął ciskać podkowami, celując w najbliższych jeźdźców. Ogłuszył dwóch przeciwników, kilku innym przeszkodził w oddaniu strzałów z łuku i trzymał ich na dystans.

Pitt pędził z maksymalnie otwartą przepustnicą. Kiedy w zagrodzie znalazł motocykl, uznał, że nadaje się on tylko na złom. Ale czechosłowacka Jawa 500 OHC z 1953 roku miała jeszcze powietrze w oponach i kilka litrów paliwa w zbiorniku, a wał korbowy silnika obracał się lekko. Po siódmym kopnięciu rozrusznika stary dwucylindrowy motor ożył, dając Pittowi i Giordinowi nikłą szansę ratunku.

Dzięki podkowom rzucałym przez Giordina oddalili się od pościgu na bezpieczną odległość. Pitt skręcił nagle kierownicę i pojechał w kierunku tylnego krańca posiadłości.

- Zapnij pas, zaraz startujemy! - krzyknął do Giordina.

Giordino złapał się uchwytu przed sobą. W drugiej ręce ścisnął ostatnią podkowę.

- To na szczęście - mruknął i położył ją na podłodze.

Z tyłu rezydencji nie postawiono muru, bo teren kończył się przepaścią. Pitt wiedział, że to niemal pewne samobójstwo, ale nie było innej drogi ucieczki. Dotarł na pełnym gazie do urwiska i skierował motocykl poza jego krawędź.

Poczuł, jak opada mu żołądek, gdy ziemia uciekła spod kół. Poszybowali dziesięć metrów w powietrzu, zanim przednie koło dotknęło ziemi. Motocykl miała twarde lądowanie i od wstrząsu spadły dwie skrzynie chroniące kierowcę i pasażera, najeżone strzałami. Pitt był zadowolony, że uwolnił się od nich, choć wiedział, że skrzynie prawdopodobnie uratowały im życie.

Jawa przechyliła się w powietrzu na stronę wózka, ale Pitt mocno trzymał kierownicę i wyrównał motocykl podczas jazdy po zboczu. Pędzili teraz w dół na złamanie karku. Podkowa Giordina najwyraźniej przynosiła im szczęście, bo nie napotykali na swojej drodze dużych kamieni ani innych niebezpiecznych przeszkód. Przed motocyklem od czasu do czasu wytryskiwały małe fontanny żwiru i Pitt zorientował się,

że są ostrzeliwani z góry. Ryk silnika i wycie wichru zagłuszały huk karabinów. Kurz wirujący w porywach wiatru chwilami przesłaniał strzelcom motocykl, ale również oślepił Pitta, który trzymał sztywno kierownicę i mógł tylko mieć nadzieję, że nie uderzą w jakiś gałąz lub drzewo.

Mongołowie strzelający z góry do uciekającego motocykla klęli, kiedy zniknął im z oczu w tumanie kurzu. Kilku jeźdźców kontynuowało pościg, sprowadzając konie ze zbocza. Na najbardziej stromym odcinku poruszali się wolno, potem przyspieszyli.

Pitt i Giordino mknęli w dół z szybkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Pitt puścił w końcu hamulec nożny, który odruchowo nacisnął, gdy tylko poszybowali poza krawędź urwiska. Zdał sobie sprawę, że hamowanie nic tu nie daje.

Po kilku sekundach niemal pionowego zjazdu w dół dotarli do łagodniejszego stoku. Nachylenie terenu nadal było duże, ale nie mieli już uczucia opadania. Pitt zaczął wykonywać lekkie skręty kierownicą omijając krzaki i kamienie. Kiedy częściowo odzyskał kontrolę nad motocyklem, wpadli w głęboką dziurę i zostali wyrzuceni do góry, ale zdążyli się pozbierać przed następnym wybojem. Pitt miał wrażenie, że każdy podskok miażdży mu nerki. Sztywne sprężyny i twarda skóra siodełka nie zapewniały komfortu jazdy.

Motocykl przechylił się kilka razy, balansując na granicy wywrotki, ale za każdym razem Pitt zdołał opanować sytuację ruchami przedniego koła, podczas gdy Giordino dociął jąwę po swojej stronie. Zawadzili o parę gałązów. Wózek wyglądał wkrótce tak, jakby ktoś walił w niego młotem kowalskim.

Nachylenie zbocza stopniowo malało, kamienie, krzaki i drzewa ustępowały miejsca suchej trawie. Na płaskim terenie Pitt dodał gazu. Wicher dał mu prosto w twarz. Wirujący w powietrzu kurz ograniczał widoczność do kilkunastu metrów.

- Mamy jeszcze ogon?! - krzyknął Pitt.

Giordino przytaknął. Zerkał za siebie co kilka sekund i obserwował Mongołów na koniach. Choć byli teraz daleko, od dawna niewidoczni za zasłoną kurzu, Giordino wiedział, że pościg dopiero się zaczyna.

Dopóki stary motocykl jechał, konie nie mogły go dogonić. Ale lepiej byłoby zniknąć. Pitt miał nadzieję, że kurzawa zatrze ich ślady. Ich życie zależało od starej jawy z resztkami paliwa.

Jawy zaczęto produkować przed wojną w fabryce zbrojeniowej. Powojenne jawy służyły z lekkich, ale mocnych silników. Były szybkie i nowoczesne. Miały opinię wytrzymałych, przynajmniej do czasu, gdy znacjonalizowano fabrykę. Mimo kiepskiego paliwa w zbiorniku, silnik starego motocykla pracował niemal bez zarzutu. Pitt zacisnął zęby, wpatrzył się zmrużonymi oczami w niesiony wiatrem kurz i zwiększył obroty. Jawa przyspieszyła i zagłębiła się w gęstniejący mrok.

25

Na rozległym, falistym stepie szybko zapadła ciemność. Chmury płynące na niebie przesłaniały księżyc i gwiazdy, trawiasty teren miał barwę czarnego atramentu. Snop światła reflektora nie mógł przebić zasłony wirującego pyłu. Dwucylindrowy, czterosuwowy silnik ryczał, pracując równo.

Czechosłowacki motocykl pruł przez morze traw jak skuter wodny skaczący po falach. Stara jawa skrzypiała na każdym wyboju, lecz pędziła prosto przed siebie. Pitta bolała ręka od trzymania gazu odkręconego do oporu, ale musiał wyciskać z silnika pełną moc. Mimo nierównego, trawiastego podłoża i bocznego wózka jechali prawie osiemdziesiątką. Przy tej szybkości z każdym kilometrem oddalali się od pościgu. Niestety, opony motocykla zostawiały na trawie wyraźne odciski, które zdradzały kierunek ucieczki Pitta i Giordina.

Pitt miał nadzieję, że napotka jakąś drogę, na której ich ślady nie będą widoczne, lecz dostrzegał tylko od czasu do czasu jakąś ścieżkę wydeptaną przez konie, dużo węższą niż rozstaw kół motocykla z bocznym wózkiem. Raz zobaczył w oddali światło i skręcił w jego kierunku, ale szybko zniknęło w kurzu. Pitt zauważył, że krajobraz stopniowo się zmienia. Pomyślał z krzywym uśmiechem, że teren musi być gładzijszy, gdyż od jakiegoś czasu nie słyszał narzekań Giordina przeklinającego wyboje. Wzgórza wkrótce całkiem zniknęły, a trawę zastąpił twardy żwir porośnięty gdzieniegdzie karłowatymi krzewami.

Dotarli do północnego krańca pustyni Gobi - dawnego rozległego morza śródlądowego - która zajmuje jedną trzecią terytorium Mongolii. Na jałowym, kamienistym obszarze, gdzie kiedyś roilo się od dinozaurów, żyją gazy, sokoły i inne dzikie stworzenia. Ale Pitt i Giordino nie widzieli żadnego z nich. Ledwo dostrzegali granitowe wzniesienia wśród piasku i żwiru. Pitt pochylił się nad kierownicą, ominął poszarpane skalne wypiętrzenie i przejechał między ogromnymi głazami, za którymi znajdowała się szeroka, płaska dolina.

Na twardym podłożu motocykl nabrał szybkości. Ale wirujący kurz był tutaj bardziej gęsty i widoczność znacznie się pogorszyła. Trójkołowa maszyna pędziła tak przez godzinę, zawadzając o krzewy i małe kamienie. Wreszcie silnik zaczął się krztusić i dławić. Pokonali jeszcze półtora kilometra, zanim w zbiorniku paliwa zrobiło się sucho i motocykl stanął.

Zatrzymali się na płaskim piaszczystym terenie. Gdy umilkł ogłuszający hałas silnika jawy, otoczyła ich pustynna cisza. Słyszeli tylko świst wichru w niskich zaroślach i szelest przesypującego się piasku. Niebo zaczęło się przecierać, podmuchy wiatru były coraz rzadsze. Przez zasłonę kurzu przebiło się światło gwiazd i rozjaśniło ciemność.

Pitt spojrział na Giordina siedzącego w wózku i zobaczył, że jego włosy, twarz i ubranie pokrywa warstwa pyłu. Ku zaskoczeniu Pitta Giordino spał z rękami wciąż mocno zaciśniętymi na uchwycie przed sobą. Brak ryku silnika i miarowego kołysania w końcu go obudziły. Giordino otworzył oczy i popatrzył w ciemną pustkę.

- Mam nadzieję, że nie przywozłeś mnie tu po to, żebym obejrzał wyścigi okrętów podwodnych - powiedział.

- Nie, dzisiejszej nocy w programie są wyścigi konne.

Giordino wyskoczył z wózka i przeciągnął się. Pitt obejrzał swoją zranioną nogę. Strzała tylko drasnęła go w goleń i utkwiała w uezbrowaniu chłodzącym silnika. Rana przestała krwawić już jakiś czas temu, ale na skórze widniał czerwony, pokryty kurzem ślad, który biegł w dół aż do stopy.

- Noga w porządku? - zapytał Giordino, kiedy zauważył ranę.

- Prawie udało im się przygwoździć mnie do motoru - odrzekł Pitt i wyciągnął z silnika złamaną strzałę.

Giordino odwrócił się w kierunku, z którego przyjechali.

- Jak daleko mogą być tamci?

Pitt obliczył w pamięci czas i przybliżoną szybkość ich jazdy z Xanadu na pustynię.

- Myślę, że są jakieś trzydzieści kilometrów stąd. Nie mogli cały czas jechać galopem.

- Najwyraźniej z tyłu tamtej góry nie ma drogi, bo inaczej wysłaliby za nami jakieś pojazdy.

- Obawiałem się helikoptera, ale nie mogliby wystartować w taką kurzawę.

- Mijmy nadzieję, że odgniotą sobie tyłki w siodłach i zrezygnują. Albo przynajmniej przerwą pościg do rana. Mielibyśmy wtedy trochę czasu na złapanie tu okazji.

- Obawiam się, że w pobliżu nie ma parkingu dla ciężarówek - odparł Pitt. Wstał i poruszył kierownicą motocykla, oświetlając pustynię. Na lewo od nich ciągnęło się wysokie skaliste wypiętrzenie, ale z trzech pozostałych stron teren był płaski jak stół bilardowy.

- Osobiście uważam - powiedział Giordino - że po tej jeździe z góry jak w wirującej pralce dobrze byłoby rozprostować nogi. Co powiesz na mały spacerek? - zapytał i wskazał kierunek, w którym jechali motocyklem.

- Najpierw musimy zrobić magiczną sztuczkę - odrzekł Pitt.

- Jaka?

Pitt uśmiechnął się tajemniczo.

- Taką, żeby motocykl zniknął na pustyni bez śladu.

Sześciu jeźdźców prędko zrezygnowało z próby doścignięcia szybszego motocykla i zwolniło do tempa, które mogli utrzymywać przez wiele godzin. Tutejsze konie były bardzo odporne na zmęczenie. Na ich grzbietach Mongołowie podbili kiedyś całą Azję. Zadawały się niewielkimi ilościami paszy. Były niskie, mocno zbudowane i nie imponowały wyglądem, ale pod względem wytrzymałości nie dorównywała im żadna zachodnia rasa czystej krwi.

Grupa dotarła do podnóża góry, gdzie dowódca patrolu nagle zatrzymał swoich ludzi. Popatrzył na ziemię, skierował snop światła na dwie głębokie koleiny w trawie i przyjrzał się im uważnie. Zadowolony schował latarkę i ruszył truchtem po śladach motocykla. Pozostali jeźdźcy podążyli za nim.

Dowódca patrolu ocenił, że stara jawa mogła przejechać od tego miejsca najwyżej pięćdziesiąt kilometrów. Przed nimi ciągnął się step i pustynia. Na przestrzeni ponad stu pięćdziesięciu kilometrów było bardzo niewiele miejsc, gdzie uciekinierzy mogliby się ukryć. Uważał, że oszczędzając konie, wytropią zbiegów za niecałe osiem godzin. Nie ma potrzeby wzywać wsparcia w pojazdach z napędem na cztery koła. On i jego ludzie poradzą sobie bez niczyjej pomocy. Wszyscy jeździli konno, zanim jeszcze nauczyli się chodzić. Mogą o tym zaświadczyć ich krzywe nogi. Uciekinierzy nie wymkną się im. Za kilka godzin dwaj intruzi, którzy narobili tyle zamieszania w Xanadu, będą martwi.

Jechali przez noc w wichurze, trzymając się śladów motocykla. Najpierw podmuchy wiatru przynosiły warkot silnika. Ale dźwięk ten wkrótce ucichł za odległymi wzgórzami i jeźdźcy pozostali sami ze swoimi myślami. Zatrzymali się dopiero na zwirowej pustyni, gdzie dotarli po pięciu godzinach.

Na twardym podłożu ślady opon były gorzej widoczne. Jeźdźcy często gubili trop w ciemności. Przystawali, odnajdywali go w świetle latarki i ruszali dalej. O świcie porywisty wiatr, który sypał im piaskiem w oczy przez całą podróż, zaczął w końcu słabnąć. Za dnia łatwiej było dostrzec ślady motocykla i jeźdźcy przyspieszyli. Dowódca patrolu wysłał naprzód zwiadowcę, żeby zawczasu zawiadomił resztę, gdyby trop urwał się w trudnym terenie.

Jeźdźcy posuwali się po śladach na piasku wzdłuż skalnego urwiska. Na wprost otwierała się rozległa równina. Ślady motocykla ciągnęły się w dal. Były wyraźnie widoczne nawet na twardym podłożu. Jeźdźcy znów zaczęli przyspieszać, gdy nagle dowódca zobaczył zwiadowcę stojącego kilkadziesiąt metrów przed nimi.

- Dlaczego się zatrzymałeś? - warknął.
- Bo... ślady... zniknęły - wyjąkał zwiadowca.
- Więc rusz się i znajdź je.

- Dalej już ich nie ma. Powinny być widoczne na piasku, ale... kończą się tutaj - odrzekł zwiadowca i wskazał ziemię.

- Dureń - mruknął dowódca, uderzył konia piętami i skręcił w prawo. Zatoczył szeroki krąg i wrócił do miejsca, gdzie czekali jego ludzie. Miał zdezorientowaną minę.

Zsiadł z konia i poszedł wzdłuż śladów opon. Obcasy jego butów zagłębiały się w warstwę piasku na twardym podłożu. Przyglądał się uważnie dwóm koleinom, które pozostawił motocykl i boczny wózek, dopóki nagle się nie urwały. Rozejrzał się. Na piasku widniały tylko ślady końskich kopyt. Nie było dalszego ciągu kolein, odcisków stóp ani samego motocykla.

Tak jakby pojazd i jego pasażerowie rozplłynęli się w powietrzu.

26

Usadowieni wysoko jak orły w gnieździe, Pitt i Giordino obserwowali scenę rozgrywającą się na pustyni dwadzieścia metrów poniżej. W nocy wspięli się ostrożnie na pobliskie skały i znaleźli niewidoczną z dołu półkę. Wyciągnęli się w kamiennym zagłębieniu i spali z przerwami, dopóki krótko po świcie nie zjawili się jeźdźcy. Mongołów oświetlało poranne słońce, podczas gdy oni pozostawali w głębokim cieniu skalnej ściany.

Pitt i Giordino uśmiechali się, patrząc na zdezorientowanych jeźdźców, którzy nagle zgubili trop. Dwóch Mongołów ruszyło przed siebie, a czterej pozostali rozjechali się na boki. Pitt miał nadzieję, iż nie przyjdzie im do głowy, że uciekinierzy mogli się cofnąć po swoich śladach do skał.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że przez ciebie nasi przyjaciele bardziej wkurzą się na nas - szepnął Giordino.

- To dobrze. Jak się wkurzą będą mniej spostrzegawczy.

Obserwowali przez godzinę, jak jeźdźcy przeszukują teren przed koleinami, a potem zbierają się na końcu kolein. Na rozkaz dowódcy Mongołowie rozdzielili się i ruszyli wzdłuż śladów opon z powrotem. Znowu dwaj jechali środkiem, a czterej po bokach. Jedna z par zbliżała się do skał.

- Czas się schować - szepnął Pitt. Skulili się w zagłębieniu i zaczęli nasłuchiwać odgłosu kopyt. Jeźdźcy byli coraz bliżej. Ukryci mężczyźni zamarli, kiedy konie przechodziły bezpośrednio pod nimi. Zanim wspięli się na skały, zatarli swoje ślady najlepiej jak mogli, ale robili to w ciemności. I nie tylko im groziło wykrycie.

Pitt poczuł przyspieszone bicie serca, gdy usłyszał, że jeźdźcy się naradzają. Potem jeden z nich zsiadł z konia i zaczął się wspinać na skały. Poruszał się wolno, ale słysząc było, że się zbliża. Pitt zerknął na Giordina, który sięgnął po kamień wielkości piłki baseballowej, leżący przy jego nodze.

- Nic - krzyknął Mongoł, przystając tuż poniżej niewidocznej skalnej półki. Giordino zgiął rękę, w której trzymał kamień, ale Pitt chwycił go za nadgarstek. Sekundę później któryś z jeźdźców zawołał coś do mężczyzny na skałach. Pitt wywnioskował z tonu głosu, że każe mu się ruszać. Kroki zaczęły się oddalać, po kilku minutach Mongoł znalazł się na dole i znów wsiadł na konia. Rozległ się tętent kopyt, potem stopniowo ucichł w oddali.

- Mało brakowało - powiedział Giordino.

- Nasz alpinista miał szczęście, że zawrócił. Mógłbyś mu zrobić krzywdę - odrzekł Pitt i wskazał kamień w dłoni Giordina.

- Szybki rzut piłką to moja specjalność. Spojrzał na tuman kurzu za jeźdźcami.

- Zostajemy tu?

- Tak. Coś mi mówi, że oni złożą nam jeszcze wizytę.

Pitt przypomniał sobie to, co czytał o podbojach Mongołów w XIII wieku. Ulubioną taktyką Czyngis-chana w obliczu dużych sił wroga był markowany odwrót. Jego armia czasem cofała się przez kilka dni, wciągając niepodjęzającego podstęp przeciwnika w zasadzkę. Pitt wiedział, że piesza wędrowka przez pustynię naraziłaby ich na podobne niebezpieczeństwo ze strony mobilnych jeźdźców. Wolał nie ryzykować, dopóki się nie upewni, że odjechali na dobre.

Przycupnięci w swojej skalnej kryjówce odpoczywali po nocnych przygodach i czekali cierpliwie, aż zagrożenie zniknie za horyzontem. Po godzinie obudziło ich nagłe dudnienie. Przypominało odległy grzmot, ale niebo było pogodne. Spojrzeli na północ i zobaczyli sześciu jeźdźców, wzbijających wielki tuman kurzu. Konie galopowały z maksymalną

szybkością jak na torze wyścigowym w Santa Anita. Po kilku sekundach grupa minęła Pitta i Giordina i dotarła do końca kolein motocykla. Mongołowie zwolnili, rozdzielili się i zaczęli przeszukiwać teren. Jeździli z opuszczonymi głowami i wypatrywali na ziemi śladów. Kręcili się przez godzinę i znów niczego nie znaleźli. Potem, tak nagle jak się pojawili, odjechali z powrotem na północ.

- Chyba wreszcie jest po imprezie - odrzekł Pitt. - Czas wyjść na szosę i poszukać baru z hamburgerami.

Nie jedli od wczoraj i burczało im głośno w żołądkach. Zeszli ze skał, skierowali się w stronę kolein motocykla i zatrzymali przy gęstej kępie krzewów tamaryszku. Pitt uśmiechnął się, kiedy spojrzał na gałąź, która sterczała z zagrzebanego w piasku wózka jawy. Wystającą część pojazdu zasłaniały kamienie, dzięki czemu była niewidoczna dla nieuwważnego obserwatora.

- Nieźle, jak na pospieszny kamuflaż w nocy - stwierdził Pitt.

- I chyba mieliśmy trochę szczęścia - dodał Giordino. Poklepał się po kieszeni kurtki, gdzie znajdowała się podkowa, którą zabrał z motocykla.

Plan ukrycia jawy powiódł się lepiej, niż Pitt się spodziewał. Kiedy skończyło się paliwo, cofnął się pieszo wzdłuż kolein i kilkadziesiąt metrów dalej znalazł dół o twardym żwirowym podłożu. Wrócił do motocykla, zacierając gałęziami ślady opon, potem wraz z Giordinem przepchnęli jawę z powrotem tą samą drogą, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby zatrzeć ślady swoich stóp w świetle reflektora. Ścigający ich jeźdźcy nie byli w stanie rozpoznać, że motocykl cofnął się od miejsca, gdzie urywały się koleiny.

Pitt i Giordino wpełznąli jawę do dołu najgłębiej jak mogli i zaczęli ją zakopywać. Giordino znalazł pod siedzeniem w wózku komplet narzędzi. W świetle reflektora odczepili wózek od motocykla. Ułożyli jawę płasko w zagłębieniu terenu i udało im się zasypać ją kilkucentymetrową warstwą piachu. Poszło im to dość łatwo, ponieważ Pitt zrobił z siedzenia szuflę. Pomógł im też wiatr, który wcześniej przeklinali. Pokrył wszystko warstwą pyłu.

Ukrycie wózka motocykla okazało się trudniejsze, gdyż piętnaście centymetrów pod powierzchnią ziemi natrafili na twarde skalne podłoże. Kiedy zdali sobie sprawę, że bez kilofa i łopaty nie zdołają zakopać wózka, zaciągnęli go do kępy krzewów tamaryszku i ukryli w gąszczu

najlepiej, jak mogli. Giordino ułożył wokół kamienie, Pitt wykopał duży krzew i umieścił na siedzeniu tak, że obwisłe gałązki zasłaniały boki wózka. Kamuflaż, choć daleki od doskonałości, spełnił swoje zadanie, o czym świadczyły ślady końskich kopyt tuż obok.

Kiedy poczuli teraz żar słońca i zobaczyli, jak nad pustynią faluje gorące powietrze, popatrzyli z nostalgią na zagrzebany w piasku motocykl.

- Nie myślałem, że będę tęsknił za jazdą tym wehikułem - powiedział Giordino.

- W sumie nie było tak źle - odrzekł Pitt, szukając wzrokiem oznak życia na horyzoncie. We wszystkich kierunkach, jak okiem sięgnąć, ciągnęło się jałowe pustkowie. Wokół panowała upiorna cisza.

Pitt uniósł lewą rękę tak, żeby mieć swoją doksę na poziomie wzroku. Potem zaczął się obracać w kierunku słońca, dopóki nie znalazło się w jednej linii ze wskazówką godzinową zegarka, która stała na godzinie drugiej. Tej starej sztuczki uczą w szkołach przeżycia. Pitt wiedział, że skoro jest na półkuli północnej, południe musi być w połowie odległości między wskazówką godzinową i godziną dwunastą. Popatrzył ponad zegarkiem na pustynię i wyobraził sobie kierunek południowy na godzinie pierwszej, północny na siódmej i zachodni między drugą i czwartą.

- Idziemy na zachód - powiedział i wskazał czerwonawe wzgórze na horyzoncie. - Gdzieś w tamtym kierunku jest mongolska kolej transkontynentalna, linia Pekin-Ułan Bator. Jeśli pójdziemy w tamtą stronę, w końcu na nią natrafimy.

- W końcu - powtórzył wolno Giordino. - Brzmi to tak, jakbyśmy nie mieli pojęcia, jak daleko ona jest.

Pitt wzruszył ramionami.

- Bo nie mamy.

Odwrócił się i ruszył ku odległym wzgórzom.

Pustynia Gobi to jedno z najbardziej niegościnnych miejsc na świecie. Latem temperatura dochodzi tu do czterdziestu pięciu stopni Celsjusza, zimą spada do czterdziestu stopni poniżej zera. Sześćdziesięciostopniowe wahania temperatury w ciągu doby nie są niczym niezwykłym. Gobi, której nazwa oznacza w języku mongolskim „miejsce bez wody”, jest piątą pod względem wielkości pustynią świata. Ten jałowy obszar był kiedyś morzem śródlądowym, a w późniejszych czasach bagnistym terenem, gdzie żyły dinozaury. Południowo-Zachodnią część Gobi wciąż chętnie odwiedzają paleontolodzy poszukujący skamieniałości.

Pusta, pofalowana równina przypominała Pittowi i Giordinowi ocean, tyle że z piasku, żwiru i skał. Z podłoża pokrytego brązowymi, szarymi i czarnymi kamykami wyrastały urwiska z różowego piaskowca i czerwonawe skalne wypiętrzenia. Krajobraz rozciągający się pod błękitnym niebem miał swoje surowe piękno. Malownicza sceneria pozwalała zapomnieć dwóm wędrującym przez pustkowie mężczyznom, że są w strefie śmierci.

Popołudniowe słońce prażyło kamienisty grunt, temperatura przekraczała trzydzieści siedem stopni Celsjusza. Wiatr osłabł do zefirka i dawał tyle ochłody, ile płomień lampy lutowniczej. Pitt i Giordino nie mieli odwagi podwinąć rękawów i nogawek, żeby było im wygodniej iść. Wiedzieli, że ważniejsza jest ochrona skóry przed promieniowaniem ultrafioletowym. Nie pozbyli się też kurtek, choć chętnie by je porzucili. Przewiązali się nimi w pasie, zostawiając je na chłodną noc. Oderwali tylko jedwabne podszewki i zrobili z nich chusty na głowę. Wyglądali jak piraci.

Drugi dzień nie mieli nic w ustach, szli w skwarze, w nocy czekało ich szczykanie zębami z zimna. Groziło im odwodnienie i hipotermia. O dziwo, przestali czuć głód. Zastąpiło go trudne do zniesienia pragnienie. Sprawę pogarszał kurz, którego nałykali się podczas jazdy motocyklem. Podrażniał ich suche, ściśnięte gardła.

Pitt wiedział, że aby przetrwać na pustyni, muszą oszczędzać siły. Wytrzymałoby bez wody trzy dni, ale nadmierny wysiłek w upale mógł skrócić ten czas o połowę. Uznał, że ponieważ wypali się w kryjówce, mogą szybko pokonywać krótkie odcinki, a potem robić postoje. Żeby przeżyć, musieli dotrzeć do cywilizacji.

Pitt wybrał z krajobrazu punkt orientacyjny. Mniej więcej co pół godziny odpoczywali w cieniu skalnych formacji. Powtarzali to do chwili, aż słońce znalazło się nisko nad horyzontem i wysoka temperatura spadła do średniej.

Gobi to wielka, słabo zaludniona pustynia. Ale nie jest całkowitym odludziem. Tam, gdzie można wykopać płytkie studnie, znajdują się maleńkie wioski. Porośnięte karłowatą trawą obrzeża pustyni przemierzają koczownicze grupy pasterzy. Pitt uważał, że jeśli będą szli naprzód, w końcu kogoś spotkają. Gdzieś na zachodzie była linia kolejowa łącząca Pekin z Ułan Bator i droga biegnąca równoległe do torów. Ale jak daleko?

Pitt prowadził Giordina w tamtym kierunku według słońca i zegarka. Doszli do kolein, które przecinały ich trasę.

- Oznaka życia na tej obcej planecie - ucieszył się Giordino.

Pitt schylił się i przyjrzał śladom. Bez wątplenia pozostawił je pikap lub dżip, ale krawędzie kolein były zasypane piaskiem.

- Ten ktoś nie przejeżdżał tędy wczoraj - powiedział Pitt.

- Nie warto zbaczać z drogi? Pitt pokręcił przecząco głową.

- Te ślady mogą pochodzić sprzed pięciu dni albo sprzed pięciu miesięcy.

Oparli się pokusie sprawdzenia, dokąd prowadzą koleiny, zignorowali je i ruszyli w swoją stronę. Kilkakrotnie napotkali jeszcze ślady opon, biegnące w różnych kierunkach, do niewidocznych miejsc przeznaczenia. Na pustyni, podobnie jak w całej Mongolii, jest bardzo niewiele prawdziwych dróg. Wybiera się po prostu punkt docelowy i jedzie. Gdyby jakiś satelita z kosmosu sfotografował gęszcz pojedynczych szlaków przecinających Mongolię, zdjęcie przypominałoby talerz spaghetti upuszczony na podłogę.

Kiedy słońce schowało się za horyzontem, pustynne powietrze zaczęło się ochładzać. Chłód orzeźwił Pitta i Giordina, osłabionych

upałem i brakiem płynów. Przyspieszyli kroku. Pitt kierował się na trzy skalne szczyty, które służyły mu za drogowskaz. Dotarli do nich krótko po północy. Drogę oświetlał im blask półksiężyca na pogodnym niebie.

Zatrzymali się na odpoczynek przy gładkiej płycie piaskowca. Położyli się i wpatrzyli w gwiazdy.

- Tam jest Wielka Niedźwiedzica - wskazał Giordino. - A tuż powyżej widać Małą Niedźwiedzicę.

- W takim razie Gwiazda Polarna jest tam, na prawo.

Pitt podniósł się, stanął twarzą do niej i wyciągnął rękę w bok.

- Zachód - powiedział i wycelował palec w ciemny grzbiet górski odległy o kilka kilometrów.

- No to chodźmy tam - odrzekł Giordino i stęknął lekko przy wstawaniu. Podkova w kieszeni kurtki uwierała go w bok i podświadomie poklepał ją z uśmiechem.

Mając nowy kierunek na horyzoncie, ruszyli dalej. Pitt co kilka minut patrzył na niebo i sprawdzał, czy Gwiazda Polarna jest na prawo od nich. Brak jedzenia i wody zaczął dawać się im we znaki. Szli wolniej i przestali rozmawiać. Przy każdym kroku Pitt czuł ból w ranie na nodze. Wkrótce zrobiło się zimno. Włożyli kurtki. Marsz ich rozgrzewał, ale jednocześnie pozbawiał sił, których nie regenerowali.

- Obiecałeś, że nie będzie więcej pustyń - odezwał się Giordino, myśląc o ich przygodzie na Saharze, gdzie omal nie zginęli podczas tropienia odpadów radioaktywnych.

- Mówiłem, że nie będzie więcej Sahary - odparł Pitt.

- Mniejsza o to. Kiedy Rudi może wezwać straż przybrzeżną?

- Powiedziałem mu, żeby zabrał z „Wierieszczagina” resztę naszego sprzętu i jeśli uda mu się zdobyć ciężarówkę, ma się z nim spotkać w Ułan Bator pod koniec tygodnia.

- A my przez ten czas dojdziemy tam.

Pitt się uśmiechnął. Nie wątpił, że gdyby mieli wodę, mały, twardy Włoch mógłby go tam zanieść na plecach. Ale bez wody ich szanse były zerowe.

Z północy wiał zimny wiatr, temperatura wciąż spadała. Musieli się ruszać, żeby nie przemarznąć. Pocieszali się tym, że letnie noce są krótkie. Pitt nadal prowadził Giordina w kierunku grzbietu górskiego na

zachodzie, ale wydawało się, że wcale się tam nie zbliżają. Po dwóch godzinach marszu przez żwirową dolinę zaczęli na swej drodze napotykać wzgórza. Skończyły się urwiskiem u podnóża ich docelowego grzbietu górskiego. Po krótkim odpoczynku Pitt i Giordino zaatakowali szczyt. W pewnym momencie zmuszeni byli pełznąć na czworakach po nierównych głazach. Kiedy wreszcie dotarli na górę, przystanęli dla złapania tchu.

Płynąca chmura przesłoniła księżyc i zapadła ciemność. Pitt usiadł na kamieniu w kształcie grzyba, żeby wyciągnąć nogi, Giordino przycupnęła obok i ciężko dyszał. Nie mieli już takiej kondycji jak dziesięć lat temu.

- Królestwo za telefon satelitarny - wysapał Giordino.
- Wziąłbym nawet konia - odrzekł Pitt.

Kiedy odpoczywali, zza chmury wyjrzał srebrzysty półksiężyc i oświetlił okolicę zamglonym, niebieskawym blaskiem. Pitt wstał, przeciągnął się i spojrzął w dół po drugiej stronie grzbietu. Strome zbocze opadało ku małej dolinie w kształcie niecki. Pitt dostrzegł na jej dnie kilka ciemnych, okrągłych kształtów.

Wskazał je przyjacielowi.

- Al, czy widzisz to samo co ja?

Giordino wstał i podszedł do Pitta. Patrzył długo w dolinę, w końcu potwierdził, że widzi tam ze dwadzieścia czarnych plam.

- To nie Manhattan, ale wygląda na jakąś cywilizację.
 - Te ciemne kształty przypominają jurty. Może to być wioska albo obóz koczujących pasterzy.
 - Wydaje się na tyle duży, że powinniśmy dostać dzbanek kawy - odrzekł Giordino i zatarł zmarznięte ręce.
 - Liczyłbym bardziej na herbatę.
 - Jeśli będzie gorąca, chętnie się napiję.
- Pitt zerknął na zegarek. Dochodziła trzecia nad ranem.
- Jeśli zaraz wyruszymy, będziemy tam o wschodzie słońca.
 - Akurat na śniadanie.

Ruszyli w kierunku ciemnego obozowiska. Najpierw zeszli ostrożnie do wąwozu, potem zaczęli schodzić po usianym kamieniami zboczu. Wstąpiła w nich energia. Byli przekonani, że najgorsze mają już za sobą,

i w wiosce, którą widzieli teraz jak na dłoni, czeka na nich jedzenie i woda.

Musieli ominąć kilka skał. Przystanęli na skraju płaskowyżu, żeby odpocząć. Do ciemnego obozu w dole pozostało im półtora kilometra.

Niebo na wschodzie zaczęło różowieć, ale było jeszcze za wcześnie na świt. Ciemne kształty obozowiska odcinały się wyraźnie na tle jasnej pustyni. Pitt naliczył dwadzieścia dwie okrągłe jurty, mongolskie gery. Z daleka wydawały się większe niż tamte, które widzieli wokół Ułan Bator i w innych okolicach. O dziwo, nigdzie nie paliła się żadna lampa, żadne ognisko. W obozie panowała całkowita ciemność.

Pitt i Giordino dostrzegli kształty jakichś zwierząt, ale byli za daleko, żeby rozpoznać, czy to konie, czy wielbłądy.

- Chyba prosiłeś o konia? - przypomniał Giordino.
- Miejmy nadzieję, że to nie wielbłądy.

Łatwo pokonali ostatni odcinek terenu. Byli sto metrów od obozowiska, gdy Pitt nagle przystanął. Giordino też się zatrzymał. Wyteżył wzrok i słuch, żeby zlokalizować niebezpieczeństwo, ale nie wyglądało na to, żeby coś im groziło. W zupełnej ciszy szumiał tylko wiatr, w obozie nic się nie poruszało.

- Co jest? - szepnął w końcu do Pitta.
- To stado w ogóle się nie rusza - odrzekł cicho Pitt.

Giordino przyjrzał się zwierzętom. Niedaleko niego stały trzy wielbłądy z uniesionymi głowami. Patrzył na nie kilka minut, ale nawet nie drgnęły.

- Może śpią?
- Nie, nie ma też żadnego zapachu.

Pitt odwiedził w życiu dość farm i rancz, by wiedzieć, że wokół zwierząt zawsze unosi się zapach nawozu. Ruszył wolno naprzód i po paru krokach znalazł się przy trzech wielbłądach. Nie przestraszyły się, nie zareagowały nawet wtedy, gdy klepnął jednego w zad. Giordino zobaczył, że Pitt chwytą jedno ze stworzeń za szyję i popycha. Wielbłąd nie stawiał żadnego oporu, lecz przewrócił się sztywno na bok. Giordino podbiegł i popatrzył na zwierzę, które leżało nieruchomo na grzbiecie z nogami wyciągniętymi do góry. Tyle że nogi były z desek.

Przewróconego wielbłąda, podobnie jak resztę stada, zrobiono z drewna.

28

Zniknęli?! Co to znaczy? - Kiedy Bordżin wpadał w gniew, z boku szyi nabrzmiwała mu żyła w kształcie glisty. - Przecież twoi ludzie dotarli ich tropem na pustynię!

Choć ponury szef ochrony górował nad Bordżinem jak wieża, skulił się przed swoim pracodawcą.

- Ślady na piasku po prostu się urwały. Nic nie wskazywało na to, żeby zabrał ich inny pojazd. Byli pięćdziesiąt kilometrów od najbliższej wioski, która leży na wschodzie, ale jechali na południe. Na Gobi nie mają szans przeżycia - odrzekł cicho Batbold.

Tatiana słuchała tego, stojąc przy barze i mieszając dwie porcje martini. Podała jedną szklanekę bratu, upiła łyk ze swojej i zapytała:

- Szpiegowali nas dla Chińczyków?

- Nie - zaprzeczył Batbold. - Uważam, że nie. Ci dwaj ludzie najwyraźniej kogoś przekupili, żeby dołączyć do mongolskiej eskorty rządowej. Wyglądało na to, że chińska delegacja w chwili odjazdu nawet nie zauważyła ich nieobecności w kawalkadzie samochodów. Poza tym, co godne uwagi, ci intruzi odpowiadali rysopisom dwóch ludzi, którzy dwa dni temu włamali się do naszych magazynów w Ułan Bator.

- Chińczycy nie byliby tacy niezdarni - skomentował to Bordżin.

- Oni nie byli Chińczykami. Widziałem ich. Wyglądali na Rosjan. Choć doktor Gantumur z laboratorium twierdzi, że mówili do niego po angielsku z amerykańskim akcentem.

Tatiana nagle zakrztusiła się drinkiem, odstawiła szklanekę i zaczęła kaszleć.

- Amerykanie? - wyjąkała. - Jak wyglądali?

- O ile dobrze widziałem przez okno, jeden był wysoki i szczupły, a drugi niski i krępy - powiedział Bordżin.

- Obaj mieli ciemne włosy, ten niższy kręcone. Batbold przytaknął.

- Zgadza się - mruknął. Wolał się nie przyznawać, jak był blisko nich, kiedy dostał łopata w głowę.

Tatiana wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Ten opis pasuje do dwóch ludzi z NUMA, Dirka Pitta i Ala Giordina. To oni uratowali nas z kutra rybackiego na Bajkale. I zabrali z pokładu „Primorskiego” rosyjskiego naukowca tuż przed naszym wyjazdem z Syberii.

- Jak cię tu wytropili? - zapytał surowo Bordzin.

- Nie wiem. Może poszli śladem dawnych właścicieli „Primorskiego”.

- Wtykają nosy w nie swoje sprawy - powiedział Bordzin i odwrócił się do Batbolda. - Co widzieli w kompleksie?

- Wjechali do garażu z przebitą oponą, potem weszli do ośrodka badawczego. Doktor Gantumur natychmiast wezwał ochronę, więc byli tam tylko kilka minut. Udało im się jakoś uciec naszym ludziom. Prawdopodobnie oglądali rezydencję, kiedy zobaczył ich pan wchodzących do sanktuarium.

Bordzin poczerwieniał z gniewu, żyła na szyi nabrzmiała mu jeszcze bardziej.

- Bez obaw, bracie - uspokoiła go Tatiana. - Jestem pewna, że po prostu szukają pracowników koncernu naftowego. Nic nie wiedzą o tym, co robimy.

- Nie powinnaś była przywozić tutaj tych ludzi - wycedził Bordzin.

- To twoja wina - odcięła się Tatiana. - Gdybyś nie zabił Niemców, zanim skończyli ocenę pola naftowego, nie potrzebowalibyśmy pomocy innych obcych.

Bordzin zmiażdżył siostrę wzrokiem. Nie zamierzał przyznawać jej racji.

- Więc również ich trzeba wyeliminować. Każ im przyspieszyć analizy. Chcę, żeby zniknęli do końca tygodnia.

- Bez obaw, Amerykanie nie wiedzą, co robimy - powtórzyła Tatiana. - I nie pożyją tak długo, żeby komus coś powiedzieć.

Bordzin uspokoił się trochę.

- Może masz rację. Ci marynarze są teraz daleko od wody. I niech już tam zostaną. Na wszelki wypadek natychmiast wyślij w teren mnicha - zwrócił się do Batbolda.

- Mądra decyzja, bracie - pochwaliła Tatiana.

- Za ich szybki koniec na pustyni - powiedział Bordzin i uniósł szklanę.

Tatiana dopiła swojego drinka, ale w głębi ducha miała wątpliwości, czy uda się zlikwidować Amerykanów zgodnie z planem. Wiedziała, że to zdeterminowani ludzie, których niełatwo będzie zabić.

Czuli się jak wśród dekoracji do hollywoodzkiego westernu, tyle że zamiast bydła otaczały ich wielbłądy. Weszli przez płot do zagrody i zobaczyli duże koryto do pojenia drewnianych zwierząt. Wielkie, nieruchome stado, rozmieszczone w różnych punktach wioski, rzucało w porannym słońcu długie cienie. Pitt przestał liczyć wielbłądy, kiedy doszedł do stu.

Doszli do najbliższego geru. Okrągła, filcowa jurta miała średnicę niemal trzydziestu metrów i wysokość ponad trzech metrów. Pitt znalazł białe drzwi, które we wszystkich mongolskich jurtach wychodzą na południe. Zastukał kostkami palców we framugę i zawołał wesoło:

- Halo!

Pukanie odbijało się głośnym echem. Pitt położył dłoń na drzwiach i pchnął je. Nie ustąpiły.

Chwycił krawędź brezentowego pokrycia ściany i oderwał. Pod spodem była warstwa filcu, a pod nią zimna metalowa powierzchnia pomalowana na białą.

Pitt dotknął metalu.

- To zbiornik magazynowy.

- Na wodę?

- Albo na ropę - odrzekł Pitt. Cofnął się i popatrzył na inne fałszywe jurty w obozowisku.

- Może są za duże na zwykłe domy koczowników, ale za małe na zbiorniki ropy - zauważył Giordino.

- Założę się, że widzimy tylko czubek góry lodowej. Te zbiorniki mogą być wkopane w ziemię na głębokość dziesięciu czy piętnastu metrów.

Giordino znalazł mały kamień, podniósł go i postukał nim w metal.

- Pusto.

Rzucił kamieniem w drugą jurte. Kamień odbił się od ściany z podobnym dźwiękiem.

- Tam też pusto.

- To tyle, jeśli chodzi o twój dzbanek kawy - odparł Pitt.

- Po co ktoś zamaskował puste zbiorniki na ropę w samym środku odludzia jako fałszywą wioskę?

- Możemy być niedaleko chińskiej granicy - odrzekł Pitt. - Może ktoś nie chce, żeby Chińczycy kradli mu ropę? Przypuszczam, że ten kamuflaż ma zmylić samoloty i satelity szpiegowskie. Z dużej wysokości ta wioska wyglądałaby dość autentycznie.

- Wydobycie musi być zerowe, skoro wszystkie zbiorniki są puste. Chodząc po fałszywej wiosce, przekonali się, że nie ma tu jedzenia ani wody. Przeszukali rząd jurt w nadziei, że znajdą jakieś rezerwowe zapasy, coś więcej niż tylko puste zbiorniki na ropę. Ale wszędzie natykali się na takie same metalowe konstrukcje, zakopane do połowy w piasku. Dopiero w ostatniej jurcie drzwi się otworzyły i ujrzeli, że w środku jest przepompownia, wpuszczona sześć metrów w ziemię. Labirynt rur biegł do następnych zbiorników. Spod powierzchni pustyni wystawała pojedyncza rura o średnicy stu dwudziestu centymetrów, która łączyła się z innymi.

- Podziemny rurociąg - zauważył Pitt.

- Ułożony za pomocą maszyny do drażenia tuneli - podsunął Giordino.

- Zaraz... gdzie ja ostatnio widziałem coś takiego?

- Całkiem możliwe, że nasi przyjaciele z Awargi znów zadziałali. Może to mieć coś wspólnego z umową którą zamierzają podpisać z Chińczykami.

Wschodzące słońce zaczynało przypiekać piaszczysto-żwirowy teren wokół fałszywej wioski. A oni, wyczerpani całonocną wędrówką i osłabieni brakiem jedzenia i wody postanowili tutaj odpocząć. Oderwali od jednego ze zbiorników maskujący filc i położyli się na nim w cieniu przepompowni. Z ulgą wyciągnęli bolące nogi i szybko zasnęli.

Słońce opadało ku horyzontowi niczym fosforyzująca kula bilardowa, gdy wreszcie się obudzili. Ale sen nie pomógł im odzyskać sił. Szli z trudem, w ślimaczym tempie, jakby we śnie postarzeliby się o czterdzieści lat. Pitt jeszcze raz ustalił kierunek za pomocą zegarka i słońca i znów poprowadził Giordina na zachód, rezygnując ze sprawdzenia, dokąd biegnie podziemny rurociąg. Poruszali się w jednym rytmie, przy każdym kroku zmuszając się do wysiłku, i zaczęli majaczyć.

Znów zerwał się wiatr, podmuchy stopniowo stawały się coraz silniejsze. Wiał z północy i przynosił chłód. Obaj zabrali z wioski

kawałki filcu, oderwane od zbiornika magazynowego, i owinęły się nimi teraz. Kiedy zaszło słońce, Pitt wybrał jako punkt orientacyjny odległe pasmo gór. Wiedział, że przy takim wietrze Gwiazda Polarna wskazująca mu drogę będzie niewidoczna.

Wciąż słyszał w głowie słowa: „ruszaj się, bo zginiesz”. Czuł obrzęk w wyschniętym gardle i starał się nie myśleć o pragnieniu. Zerkał na Giordina, który szedł apatycznie przed siebie. Obaj wykorzystywali resztki energii do przebijania nogami.

Pitt miał wrażenie, że czas przestał istnieć. Tracił świadomość. Chwilami spał w marszu. Giordino włókł się obok niego. Pitt zaczął rozmyślać o swojej żonie Loren, członkini Kongresu w Waszyngtonie. Choć byli parą od wielu lat, pobrali się dopiero niedawno, gdy Pitt uznał, że okres przygód ma już za sobą. Loren wiedziała jednak, że Pitt nie wytrzyma długo za biurkiem. Po kilku miesiącach pracy na stanowisku szefa NUMA znudziło mu się kierowanie agencją z centrali w Waszyngtonie. To Loren namówiła go, żeby znów wyruszył w teren. Wiedziała, że jego największą miłością jest morze. Powiedziała mu, że rozstanie dobrze wpłynie na ich związek. Czy naprawdę tak uważała? Zrobił, jak mu poradziła. Ale czy teraz jego żona nie zostanie wdową?

Po godzinie czy dwóch wiatr przerodził się w wichurę. Dał z północnego zachodu. Gwiazdy szybko zniknęły za zasłoną kurzu i zapadła ciemność. Pitt stracił z widoku punkt orientacyjny. Ale było mu to już obojętne.

Poruszali się jak żywe trupy. Giordino włókł się obok Pitta, jakby łączyły ich niewidoczne więzy. Wicher sypał im piaskiem w twarz, aż bolały ich oczy. Posuwali się naprzód, choć zbczyli z drogi prowadzącej na zachód. Zaczęli iść na południe, próbując odruchowo uniknąć uderzeń wiatru.

Wreszcie Giordino potknął się o jakieś kamienie i upadł. Pitt przystanął i sięgnął w dół, żeby pomóc przyjacielowi wstać. Stracił równowagę i przewrócił się na miękki piasek. Po chwili uświadomił sobie, że już nie czuje na twarzy wichury. Giordino potknął się o niewidoczne w kurzawie głązy, za którymi było zagłębienie terenu osłonięte od wiatru. Pitt dotknął jedną ręką skalnej ściany. Giordino podpełzł do niego i znieruchomiał. Pitt ostatkiem sił zdjął z siebie filc i

nakrył nim ich głowy. Potem położył się na miękkim piasku i zamknął oczy.

Wśród szalejącej burzy piaskowej obaj stracili przytomność.

29

Giordino śnił. We śnie unosił się na powierzchni spokojnej wody w tropikach. Ciepła woda była niezwykle gęsta, jak syrop. Spowalniała jego ruchy. Nagle gorąca fala zalała mu twarz. Szarpnął głowę, żeby przed tym uciec, ale wilgoć nie zniknęła. Poczul zapach, bardzo nieprzyjemny odór. Smród w końcu go obudził, zmusił do uniesienia ciężkich powiek.

Oślepiło go jasne słońce. Zmrużył oczy i zobaczył, że jego ciała nie omywa błękitna woda. Zamiast tego do jego twarzy zbliżył się wielki, różowy, gorący tampon, który wytarł mu policzek. Szarpnął głowę w tył i zobaczył, że różowy tampon wystaje zza dużych, żółtych zębów, osadzonych w niemającym końca pysku. Bestia dyszała mu prosto w twarz cebulą.

Giordino całkowicie otrząsnął się ze snu i spojrzął w piwne oczy za długimi rzęsami. Wielbłąd przyjrzał mu się ciekawie i wydał z siebie krótki ryk. Potem się cofnął i zaczął skubać krawędź filcu wystającą z piasku.

Giordino usiadł z trudem i uświadomił sobie, że gęsta woda z jego snu to warstwa piasku nagrzanego przez słońce. W czasie nocnej burzy piaskowej w małym zagłębieniu terenu urosła prawie trzydziestocentymetrowa wydma. Giordino z wysiłkiem wyciągnął z niej ramiona, szturchnął postać obok siebie, zagrzebaną pod filcem i zasypaną podobnie jak on, potem zaczął odrzucać na bok garście piasku. Filc poruszył się, zsunął i odsłonił spaloną słońcem, zmęczoną i wymizerowaną twarz Pitta z nabrzmiałymi, spękanymi wargami. Ale zapadnięte zielone oczy zabłyśły na widok przyjaciela.

- Następnego dnia w raju - wychrypiał Pitt, rozglądając się dookoła. Nocna burza piaskowa minęła, na bezchmurnym błękitnym niebie świeciło jasne słońce.

Unieśli się i opadły z nich strużki piasku. Giordino wsunął rękę do kieszeni, natrafił na podkowę i uspokojony skinął lekko głową.

- Mamy towarzystwo - wyrzeźił. Jego głos brzmiał jak dźwięk stalowych wiórów trących o papier ścierny.

Pitt wypełził spod warstwy piasku i popatrzył na dwugarbnego wielbłąda, który stał niedaleko. Miał brunatną sierść, pociemniałą na bokach. Patrzył na Pitta przez kilka sekund, potem wrócił do skubania filcu.

- Okręt pustyni - powiedział Pitt.

- Wygląda bardziej na holownik. Zjemy go czy pojedziemy na nim? Zza wydmy dobiegł przeraźliwy gwizd. Po chwili ukazał się mały chłopiec na brązowym pstrokatym koniu. Miał na sobie zieloną del i wypłowiałą czapkę baseballową. Jechał w kierunku wielbłąda i wołał go po imieniu. Kiedy baktrian podniósł głowę, chłopiec zarzucił mu szybko na szyję pętlę przymocowaną do kija i zacisnął ją. Dopiero wtedy zobaczył Pitta i Giordina leżących na ziemi. Na widok dwóch zmaltretowanych mężczyzn, którzy przypominali duchy, wytrzeszczył z przestraszeniem oczy.

- Cześć! - Pitt uśmiechnął się przyjaźnie. Wstał chwiejnie, z jego ubrania opadł piasek. - Możesz nam pomóc?

- Mówisz... po angielsku - wyjąkał chłopiec.

- Tak. Rozumiesz mnie?

- Uczę się angielskiego w klasztorze - odparł z dumą chłopiec, wymawiając wyraźnie każdą sylabę.

- Zabłądziliśmy - powiedział ochryple Giordino. - Masz może wodę i coś do jedzenia?

Chłopiec zsunął się z drewnianego siodła i podał im bukłak. Pitt i Giordino zaczęli łapczywie pić. Kiedy gasili pragnienie, chłopiec wyjął z kieszeni chustę, w którą był zawinięty blok suszonego na słońcu twarogu. Pokroił go na małe kawałki i poczęstował ich. Przyjęli z wdzięcznością gumowaty ser i popili resztką wody.

- Mam na imię Nojon - przedstawił się chłopiec. - A wy?

- Ja jestem Dirk, a to jest Al. Cieszymy się, że cię spotkaliśmy.

- Nie można być na Gobi bez koni i wody - powiedział poważnie chłopiec. Potem jego twarz rozjaśnił uśmiech i dodał: - Pojedziecie ze

mną do mojego domu, poznacie moją rodzinę. To niecały kilometr stąd. Krótka jazda.

Rozsiodłał konia i zachęcił Pitta i Giordina, żeby na niego wsiedli. Mongolski koń był niski, i Pitt łatwo podciągnął się na jego grzbiet, a potem pomógł Giordinowi usadowić się za sobą. Nojon chwycił wodze i poprowadził konia przez pustynię na północ.

Okружили rozległe wzgórce. W płytkiej dolinie po drugiej stronie pasło się duże stado wielbłądów, skubiąc krótką trawę, która wyrastała z kamienistego gruntu. Na środku stała samotna jurta, pokryta brudnym, białym brezentem. Wypłowiałe pomarańczowego koloru drzwi wychodziły na południe. Do sznura rozpiętego pomiędzy dwoma palikami przywiązanych było kilka krępych, brązowych koni. Jednego z nich siodłał mężczyzna o surowych rysach i przenikliwych ciemnych oczach.

- Tato, znalazłem tych ludzi na pustyni - wyjaśnił chłopiec w swoim ojczystym języku. - To Amerykanie.

Mężczyźnie wystarczył jeden rzut oka na Pitta i Giordina, by wiedzieć, że otarli się o Erleg-chana, mongolskiego władcę podziemnego świata. Szybko pomógł im zsiąść z konia i uściśnął ich dłonie.

- Przywiąż konia - powiedział do syna i zaprosił gości do swojego domu.

Pitt i Giordino schylili się w drzwiach i weszli do środka. Zaskoczył ich ciepły wystrój wnętrza, który mocno kontrastował z nieciekawym wyglądem zewnętrznym jurty. Klepisko pokrywały wzorzyste dywany, ściany zdobiły tkaniny z wyhaftowanymi barwnymi kwiatami. Szafki i stoły były pomalowane na czerwono, pomarańczowo i niebiesko, podpory stropu na cytrynowo.

Jurta była urządzona w tradycyjnym stylu, który odzwierciedlał rolę, jaką w codziennym życiu koczowników odgrywają przesady. Na lewo od wejścia znajdował się stojak na siodło i szafka na inne rzeczy osobiste gospodarza. Prawa część pomieszczenia należała do jego żony. Środek zajmowała kuchnia z paleniskiem i metalową rurą która wychodziła na zewnątrz przez otwór w dachu. Wzdłuż ścian stały trzy niskie łóżka, w głębi ołtarz rodzinny.

Ojciec Nojona poprowadził Pitta i Giordina do kilku stołków przy palenisku. Szczupła kobieta z długimi, czarnymi włosami i wesołymi oczami uśmiechnęła się do gości. Trzymała poobijany dzbanek z herbatą. Kiedy zobaczyła, w jakim stanie są dwaj mężczyźni, przyniosła wilgotne ręczniki, żeby mogli wytrzeć sobie twarze i ręce. Potem włożyła do garnka z wodą kilka płatów baraniny do ugotowania. Gdy zauważyła zakrwawiony bandaż na nodze Pitta, zmieniła opatrunek. A oni przez ten czas wypijali kolejne kubki czarnej herbaty. Kiedy mięso było gotowe, kobieta nałożyła każdemu wielką porcję i dodała do tego tacę suszonego sera. Niezbyt apetyczna potrawa smakowała wygłodniałym mężczyznom jak wykwintne danie kuchni francuskiej. Kiedy pochłonęli baraninę i ser, gospodarz przyniósł bukłak z kumysem, sfermentowanym kobyliym mlekiem, zwanym tutaj ajrak, i nappełnił trzy kubki.

Do namiotu wszedł Nojon i usiadł za gośćmi, żeby służyć za tłumacza swoim rodzicom, którzy nie znali angielskiego.

- Mój ojciec Tsengel i moja matka Ariunaa witają was w swoim domu - przetłumaczył chłopiec.

- Dziękujemy za gościnność. Ocaliliście nam życie - odrzekł Pitt. Spróbował kumysu. Stwierdził, że smakuje jak ciepłe piwo zmieszane z maślanką.

- Co robiliście na Gobi bez jedzenia i bez wody? - zapytał Tsengel.

- Byliśmy z naszą grupą turystyczną na wycieczce po pustyni i odłączyliśmy się od reszty - skłamał Giordino. - Wracaliśmy po naszych śladach, ale zabłądziliśmy w czasie nocnej burzy piaskowej.

- Mielicie szczęście, że mój syn was znalazł. W tej części Gobi mieszka bardzo mało ludzi.

- Jak daleko stąd jest najbliższa wioska? - spytał Pitt.

- Dwadzieścia kilometrów. To mała osada. Ale na razie wystarczy pytań - odrzekł Tsengel, widząc, jak są zmęczeni. - Musicie odpocząć po jedzeniu. Później porozmawiamy.

Nojon zaprowadził gości do łóżek, potem wyszedł za ojcem z namiotu, żeby zająć się stadem. Pitt położył się na wznak i podziwiał jasnożółte podpory dachu, zanim zapadł w ciężki, głęboki sen.

Przed zmrokiem obudził ich zapach gotującej się baraniny. Wyszli na zewnątrz rozprostować nogi, i pospacerowali wśród stada wielbłądów,

które chodziły bez dozoru. Wkrótce przygalopowali Tsengel i Nojon. Przez całe popołudnie zaganiali z powrotem zabłąkane zwierzęta.

- Teraz wyglądacie znacznie lepiej - powiedział Tsengel.

- I tak się czujemy - odrzekł Pitt. Jedzenie, picie i odpoczynek szybko postawiły ich na nogi.

- Zawdzięczacie to kuchni mojej żony. - Tsengel wyszczerzył zęby w uśmiechu. Obaj z synem przywiązali konie, umyli się w wiadrze z mydlinami i zabrali gości z powrotem do namiotu. Czekał na nich następny posiłek złożony z baraniny, suszonego sera i klusek. Tym razem Pitt i Giordino jedli z dużo mniejszym apetytem. Wcześniej na stole pojawił się ajrak. Pili go z małych ceramicznych czarek.

- Macie imponujące stado - zauważył Giordino, chcąc zrobić przyjemność gospodarzom. - Ile sztuk?

- Sto trzydzieści wielbłądów i pięć koni - odpowiedział Tsengel. - Tyle nam wystarczy, ale to zaledwie jedna czwarta tego, co mieliśmy kiedyś po drugiej stronie granicy.

- W chińskiej Mongolii Wewnętrznej?

- Owszem, w tak zwanym regionie autonomicznym, który stał się jeszcze jedną chińską prowincją. - Tsengel wpatrzył się w ogień z gniewnym błyskiem w oczach.

- Dlaczego stamtąd wyjechaliście?

Tsengel wskazał głową wyblakłe czarno-białe zdjęcie na ołtarzu. Przedstawiało chłopca na koniu i mężczyznę trzymającego wodze. Przenikliwe oczy chłopca zdradzały, że to młody Tsengel, zapewne w towarzystwie swojego ojca.

- Co najmniej pięć pokoleń moich przodków hodowało wielbłądy na wschodnim skraju Gobi - odparł. - Mój ojciec miał swego czasu ponad dwa tysiące sztuk. Ale te dni przeminęły. Na tamtym terenie nie ma już miejsca dla zwykłego pasterza. Chińskich urzędników, którzy tam rządzą nie obchodzi równowaga w przyrodzie. Byliśmy stale przepędzani z naszych pastwisk i zmuszani do prowadzenia stad coraz dalej na pustynię. A tamci wysysali z ziemi całą wodę pod hasłem uprzemysłowienia kraju. Pustynia powiększa się z dnia na dzień. Ci durnie dostrzegą to dopiero wtedy, gdy piasek zacznie zasypywać ich własną stolicę, Pekin. Ale wtedy będzie już za późno. Dla dobra mojej rodziny musiałem przekroczyć granicę, nie miałem innego wyjścia. Jest

tutaj niewiele trawy, ale przynajmniej nadal szanuje się tu pasterza - zakończył z dumą.

Pitt wypił kolejny łyk cierpkiego kumysu i przyjrzał się starej fotografii.

- Pozbawianie człowieka środków do życia to zbrodnia - powiedział.

Przeniósł wzrok na oprawioną reprodukcję z tyłu ołtarza. Portret w dawnym stylu przedstawiał pulchnego mężczyznę z kozią bródką.

- Kto to jest, tam na ołtarzu?

- Założyciel dynastii Jüan, Kubilaj. Najpotężniejszy władca na świecie, a zarazem przyjaciel zwykłego człowieka - odrzekł Tsengel, mówiąc o nim tak, jakby wielki chan jeszcze żył.

- Kubilaj-chan? - zapytał Giordino. Tsengel przytaknął.

- To były o wiele lepsze czasy, kiedy Mongoł rządził Chinami - dodał tęsknie.

- Niestety, świat jest dzisiaj zupełnie inny - powiedział Pitt.

Ajrak zaczął działać na Tsengela. Wypił już kilka czarek mocnego napoju. Zaszklity mu się oczy i coraz bardziej okazywał emocje. Pitt uznał, że rozmowa o sytuacji geopolitycznej staje się zbyt drażliwa dla gospodarza i spróbował zmienić temat.

- Przed burzą piaskową natknęliśmy się na pustyni na coś dziwnego. Napotkaliśmy sztuczną wioskę z drewnianymi wielbłędami. Znasz to miejsce?

Tsengel zarechotał gardłowo.

- A tak, to własność najbogatszego pasterza na Gobi. Tyle że jego kobyły nie dają ani kropli mleka - odrzekł z uśmiechem i pociągnął następny łyk ajraku.

- Kto to zbudował? - zapytał Giordino.

- Na pustyni zjawiała się duża ekipa robotników z ciężkim sprzętem i rurami. Wykopali podziemne tunele, które ciągną się kilometrami. Zapłacili mi za wskazanie ich brygadziście drogi do najbliższej studni. Powiedział, że pracują dla firmy naftowej z Ułan Bator, ale nie wolno im o tym mówić. Kilku zbyt gadatliwych robotników nagle zniknęło i reszta ekipy była bardzo nerwowa. Postawili szybko drewniane wielbłądy i wielkie zbiorniki o wyglądzie jurt, a potem się wynieśli. Zbiorniki stoją puste i tylko się kurzą. To było wiele miesięcy temu. Od tamtej pory nikogo tam nie widziałem. W innych miejscach też nie.

- W jakich innych miejscach? - zapytał Pitt.
- Są jeszcze trzy skupiska metalowych jurt, w pobliżu granicy. Wszystkie wyglądają zupełnie tak samo. Wioski stoją puste, są tam tylko drewniane wielbłądy.

- Czy w tym rejonie istnieją szyby naftowe lub prowadzi się wiercenia?
- spytał Pitt.

Tsengel pokręcił głową.

- Nie. Przed laty widziałem szyby naftowe w Chinach, ale nie w tej okolicy.

- Jak myślisz, po co zamaskowali zbiorniki magazynowe i otoczyli je drewnianymi zwierzętami?

- Nie wiem. Niektórzy mówią, że metalowe jurty zbudował bogaty pasterz jako zbiorniki na deszczówkę, która będzie nawadniała ziemię, żeby odżyły pastwiska. Szaman twierdzi, że drewniane wielbłądy to hołd złożony pustyni. Postawiono je, żeby ją przeprosić za profanację, jaką było wykopanie tuneli. Inni mówią, że to dzieło szaleńców. Ale wszyscy się mylą. To po prostu robota kogoś, kto chce eksploatować bogactwa pustyni. A po co to zamaskowali? Po to, żeby ukryć swoje złe zamiary.

Tsengel miał już wyraźnie dość ajraku. Wysiorbał resztki ze swojej czarki, potem podniósł się chwiejnie i życzył gościom i rodzinie dobrej nocy. Zatoczył się w kierunku jednego z łóżek, opadł na posłanie i po chwili głośno chrapał. Pitt i Giordino pomogli posprzątać ze stołu i wyszli na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza.

Giordino popatrzył na nocne niebo.

- To nadal nie ma sensu. Po co ukrywać na pustyni puste zbiornik na ropę? Żeby porastały kurzem?

- Może chodzi o ukrycie czegoś ważniejszego?

- Czego?

- Na przykład źródła ropy - odrzekł Pitt, kopiąc czubkiem buta ziemię.

30

Mimo głośnego chrapania Tsengela Pitt i Giordino smacznie spali w jurcie. Nojon odstąpił im swoje łóżko i ułożył się na poduszkach na podłodze. Wszyscy obudzili się o wschodzie słońca, zjedli na śniadanie

kluski i popili herbatą. Tsengel kazał synowi towarzyszyć gościom do najbliższej wioski, skąd trzy razy w tygodniu zabierano miejscowe dzieci do szkoły w klasztorze. Pitt i Giordino mieli pojechać z Nojonem do klasztoru, gdzie w miarę regularnie przyjeżdżała z Ułan Bator ciężarówka z zaopatrzeniem.

Pitt podziękował Ariunai za gościnę, wsunął jej w dłoń kilka banknotów i pożegnał się z Tsengelem.

- Nie wiem, jak moglibyśmy się wam odwdziaczyć za to wszystko, co dla nas zrobiliście.

- Drzwi do domu pasterza są zawsze otwarte. Szczęśliwej podróży. I wspomnijcie czasem ciepło waszych przyjaciół na pustyni Gobi.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, potem Tsengel pogalopował zająć się stadem. Pitt, Giordino i Nojon wsiedli na trzy silne konie i ruszyli na północ.

- Twój ojciec to porządny człowiek - powiedział Pitt, kiedy patrzył, jak tuman kurzu za Tsengelem znika na horyzoncie.

- Tak, ale smutno mi, że jest z dala od miejsca, gdzie się urodził. Powodzi nam się tutaj całkiem dobrze, ale wiem, że ojciec tęskni za Hulunbuirem, rejonem na południowym wschodzie.

- Jeśli radzi sobie tutaj, potrafiłby żyć wszędzie - odrzekł Giordino, patrząc na jałowy krajobraz wokół nich.

- To walka o przetrwanie, ale pomogę mu, kiedy będę starszy. Zapiszę się na uniwersytet w Ułan Bator i zostanę lekarzem. A potem kupię mu tyle wielbłądów, ile będzie chciał.

Ze zwirowej równiny wjechali między strome wzniesienia z piaskowca. Konie szły same, znały trasę, podobnie jak muł z Wielkiego Kanionu zna drogę do rzeki Kolorado. Pittowi i Giordinowi wkrótce zaczęło być niewygodnie. Siedzieli na tradycyjnych mongolskich siodłach z drewna. Jak większość dzieci na mongolskich stepach i pustyniach, Nojon nauczył się jeździć konno, zanim zaczął chodzić i był przyzwyczajony do twardego siodła.

- Jesteś pewien, że w okolicy nie ma przystanku autobusowego ani lotniska? - zapytał Giordino.

Nojon się zastanowił.

- Nie ma innego autobusu poza tamtym w wiosce, ale jest samolot. Niedaleko stąd. Pokażę wam.

Zanim Giordino zdążył się odezwać, Nojon ścisnął konia piętami i pogalopował w kierunku wzgórza na wschodzie.

- Akurat potrzeba nam dodatkowej wycieczki - stęknął Pitt.

- Kto wie, czy za tamtą górką nie czeka na nas jakiś odrzutowiec - powiedział Giordino.

Skręcili w stronę tumanu kurzu za Nojonem i popędzili konie, które chętnie pogalopowały za swoim towarzyszem. Dotarli do podnóża wzniesienia i okrążyli jego północny kraniec. Kopyta koni zastukały głośno na szerokim kawałku płaskiego piaskowca. Ominęli duże głazy i w końcu dogonili Nojona, który czekał w cieniu skalnego szczytu. Ku rozczarowaniu Giordina w zasięgu wzroku nie było lotniska, odrzutowca, ani żadnego innego środka transportu powietrznego. Jak okiem sięgnąć rozciągała się żwirowa pustynia z kilkoma skalnymi urwiskami. Ale przynajmniej nie musieli zbytnio zbaczać z drogi.

Pitt i Giordino zwolnili i podjechali do Nojona. Chłopiec uśmiechnął się do nich i wskazał głową zbrocze wzgórza za sobą.

Pitt spojrział w tamtym kierunku, ale zobaczył tylko skalistą pochyłość pokrytą warstwą czerwonego piasku. Kilka kamieni miało dziwny kształt i srebrzystą barwę.

- Ładny ogródek skalny - mruknął Giordino.

Zaintrygowany Pitt podjechał bliżej i zauważył, że dwa głazy mają regularny kształt. Po chwili rozpoznał, że to nie kamienie, lecz częściowo zasypane piachem dwa silniki gwiazdziste. Jeden był zamontowany na dziobie przewróconego samolotu, drugi na skrzydle znikającym w piasku.

Giordino i Nojon dołączyli do Pitta, kiedy zsiadł z konia i zaczął odgrzebywać jeden z silników. Podniósł na Giordina zdumiony wzrok i powiedział:

- To trzysilnikowy Fokker.

Przewrócony Fokker F.VIIb spoczywał tam, gdzie się rozbił ponad siedemdziesiąt lat wcześniej. Wiatr nawiewał na niego piasek, aż w końcu prawe skrzydło i większość kadłuba zostały całkowicie zasypane. Niedaleko za samolotem leżało lewe skrzydło z silnikiem, urwane przy uderzeniu w skałę podczas przymusowego lądowania. Zgnieciony dziób maszyny wyglądał jak akordeon, kokpit wypełniał piasek. Do foteli wciąż były przypięte szkielety dwóch pilotów. Pitt usunął grubą warstwę piasku spod okna pilota i zobaczył napis „Blessed Betty”.

- Kiepskie miejsce do lądowania - powiedział Giordino. - A mówiłeś, że te stare maszyny były niezniszczalne.

- Trzysilnikowe Fokkery, podobnie jak trzysilnikowe fordys, były bardzo wytrzymałe. Admirał Byrd przeleciał takim nad Arktyką i Antarktydą. W 1928 roku Charles Kingsford-Smith pokonał Pacyfik na swoim Fokkerze F.VII „Southern Cross”. Te samoloty, napędzane silnikami Wright Whirlwind, mogły praktycznie latać wiecznie.

Pitt znał się na starych samolotach. Oprócz kolekcji zabytkowych samochodów miał w Waszyngtonie trzysilnikowego Forda.

- Musiał spać w czasie burzy piaskowej - domyślił się Giordino. Podczas gdy Nojon obserwował maszynę z bezpiecznej odległości,

Pitt i Giordino doszli wzdłuż porysowanego piaskiem kadłuba niemal do ogona i zauważyli z boku samolotu wąską szczelinę. Usunęli kilka centymetrów piasku i przekonali się, że to dolna krawędź drzwi. Zaczęli je odkopywać. Po paru minutach odsłoniли całe drzwi i zrobili miejsce do ich otwarcia. Kiedy Giordino odgarnął ostatnią kupkę piasku, Pitt dostrzegł w kadłubie dziury po pociskach.

- Zestrzelili go - powiedział.

- Ciekawe, dlaczego? - zastanowił się głośno Giordino. Sięgał do klamki, gdy Nojon nagle zaprotestował.

- W środku są martwi ludzie. Lamowie nie pozwalają nam ich niepokoić. Dlatego nikt dotąd nie wszedł do samolotu.

- Uszanujemy zmarłych - zapewnił go Pitt. - Dopilnuję, żeby ich właściwie pochowano, by ich dusze mogły zaznać spokoju.

Giordino nacisnął klamkę i delikatnie pociągnął drzwi. Z ciemnego wnętrza wysypały się drewniane drzazgi, piasek i potłuczona porcelana. Pitt podniósł kawałek talerza z czasów dynastii Jüan z namalowanym szafirowym pawiem.

- Nie co dzień jada się na takiej zastawie stołowej - powiedział. - Założę się, że to ma co najmniej pięćset lat.

Nie był ekspertem w tej dziedzinie, ale w ciągu wielu lat nurkowania do wraków statków dużo się nauczył. Często wiek i pochodzenie wraka ustalić można było jedynie na podstawie szczątków ceramiki, które znajdowano w jego ładowni.

- Mamy więc najstarszą i największą układankę na świecie - odrzekł Giordino i cofnął się od drzwi, żeby Pitt mógł zajrzeć do środka.

W samolocie panował nieład. Wszędzie walały się rozbite skrzynie i niebiesko-białe kawałki porcelany. Z katastrofy ocalało tylko kilka skrzyń ulokowanych blisko ogona.

Pitt wpełzł do ładowni i zaczekał, aż jego wzrok przyzwyczai się do ciemności. Mrok, kurz i stęchłe powietrze wewnątrz Fokkera tworzyły upiorną atmosferę, którą potęgowały rzędy pustych wiklinowych foteli, zwisających z sufitu przewróconej maszyny. Pitt schylił głowę i ruszył najpierw w kierunku nietkniętych skrzyń w części ogonowej. Przy każdym kroku słyszał zgrzyt szczątków porcelany pod butami, co zmuszało go do ostrożności.

Na pięciu ocalałych skrzyniach widniały napisy OSTROŻNIE, NIE RZUCAĆ i BRITISH MUSEUM. Wieko jednej z nich było uchylone. Pitt uniósł je i zobaczył dużą porcelanową misę zawiniętą w tkaninę. Naczynie sprzed siedmiuset lat miało ząbkowaną krawędź, zielonkawoniebieską powierzchnię i białą podstawę. Pitt przyjrzał się z podziwem motywom kwiatowym na misie, potem włożył ją z powrotem do skrzyni. Szczątki na podłodze wskazywały, że samolot transportował ładunek starej ceramiki, ale - na szczęście - na jego pokładzie nie było żadnych pasażerów.

Pitt wycofał się przejściem między siedzeniami do bocznych drzwi, gdzie dołączył do niego Giordino.

- Wiadomo coś o ładunku? - zapytał przyciszonym głosem.

- Tylko to, że był przeznaczony dla British Museum. Ocalało kilka skrzyń z tyłu. Wygląda na to, że we wszystkich jest stara porcelana.

Pitt minął pierwszy rząd siedzeń i skierował się do kokpitu. Kiedy samolot uderzył w ziemię, duża ilość ładunku została rzucona do części dziobowej. Pitt przeszedł nad dużym rozbitym dzbanem i zauważył na podłodze zakurzoną skórzaną kurtkę. Okrążył stos szczątków, usunął z drogi uszkodzoną skrzynię i nagle przystanął. W słabym świetle wpadającym przez drzwi dostrzegł, że w kurtce wciąż tkwi jej właściciel.

Zmumifikowane zwłoki Leigh Hunta leżały tam, gdzie zakończył życie dziesiątki lat temu po wyjściu z katastrofy z potwornie bolesnym złamaniem kręgosłupa. Pod lewą pachą trzymał mocno żółtą drewnianą szkatułkę, w prawej dłoni ścisnął mały notatnik. Na jego twarzy, dobrze zachowanej w suchym pustynnym powietrzu i piasku, zastygł grymas cierpienia.

- Biedny facet. Chyba przeżył katastrofę, ale tylko po to, żeby później umrzeć - odezwał się cicho Pitt.

- Ta skrzyneczka i notes najwyraźniej wiele dla niego znaczący - odrzekł Giordino.

Pitt ostrożnie wyjął oba przedmioty z uścisku kościotrupa i wręczył szkatułkę Giordinowi. Zauważył na podłodze brudny, znoszony kapelusz i przykrył nim delikatnie twarz martwego mężczyzny.

Przeszedł ostrożnie nad ciałem Hunta i spróbował zajrzeć do kokpitu przez otwór w przegrodzie. Całą kabinę wypełniał piasek, który dostał się do środka przez okna, kiedy maszyna się roztrzaskała.

Giordino wyjrzał zza ramienia Pitta.

- Odkopanie ich zajęłoby nam wiele godzin.

- Może przy następnej wizycie - odrzekł Pitt. Nie wątpił, że kości pilotów są dobrze zachowane pod grubą warstwą piasku.

Wrócili do bocznych drzwi w kadłubie i wyszli na słońce. Nojon spacerował nerwowo tam i z powrotem. Na widok Pitta i Giordina zatrzymał się i uśmiechnął z ulgą. Giordino pokazał chłopcu żółtą drewnianą szkatułkę, potem ostrożnie podważył wieko. W środku leżała tuba z brązu i mocno zwinięta skóra geparda. Były w takim samym stanie jak w dniu, kiedy po raz pierwszy zobaczył je Hunt.

- To mają być klejnoty korony? - zapytał z rozczarowaniem Giordino. Uniósł tubę do światła, ale była pusta.

Pitt otworzył notes. Popatrzył na stronę tytułową i przeczytał głośno:

- „Wykopaliska w Szang-tu. Data rozpoczęcia 15 maja 1937r. Dziennik polowy doktora Leigha Hunta, kierownika ekspedycji”.

- Czytaj dalej - przynaglił Giordino. - Umieram z ciekawości, czy skóra geparda miała posłużyć za podnózek w bibliotece doktora Hunta, czy za poduszkę w buduarze jego kochanki.

- Jeśli mamy zdążyć na autobus do klasztoru, musimy już jechać - wtrącił się Nojon.

- Tajemnica będzie musiała poczekać - powiedział Pitt. Wsunął notes do kieszeni, potem podszedł do Fokkera i zamknął boczne drzwi.

- A co z tymi w środku? - zapytał Giordino.

- Po powrocie do Ułan Bator zadzwonię do Sarkowa. Powinien wiedzieć, kogo w mongolskich władzach trzeba zawiadomić o tym, co tu znaleźliśmy. Musimy coś zrobić, żeby artefakty, za które Hunt oddał życie, zostały odzyskane. Jesteśmy mu to winni.

- Należy im się porządny pogrzeb.

Pitt usypał przed drzwiami samolotu kopiec piasku, żeby się nie otworzyły, Giordino wepchnął drewnianą szkatułkę do skórzanej torby przy siodle. Wsiedli na konie, które trzymał Nojon, i znów poczuli niewygodę drewnianych siodeł.

- Jesteś pewien, że w tamtych skrzyniach nie ma żadnych poduszek? - spytał krzywiąc się Giordino.

Pitt z uśmiechem pokręcił głową. Kiedy ruszyli w kierunku wioski, obejrzał się po raz ostatni na wrak starego samolotu. Był ciekaw, jakie sekrety ujawni mu dziennik Hunta.

Po godzinie dotarli do małej osady Sendź. Udałoby się ją znaleźć na bardzo niewielu mapach, gdyż składała się zaledwie z kilku jurt, stłoczonych wokół wodopoju. Całoroczne źródło nawadniało glebę, co zapewniało miejscowym pasterzom i ich stadom warunki do życia - inaczej byliby zmuszeni wędrować w poszukiwaniu żyznych pastwisk. Jak w każdej takiej wiosce liczba wielbłądów i koni wielokrotnie przewyższała liczbę mieszkańców.

Nojon doprowadził Pitta i Giordina do jurty z pomarańczową flagą gdzie przywiązali konie do liny między słupkami. Kilkoro małych dzieci

bawiło się obok w berka. Przerwały na chwilę, żeby przyjrzeć się obcym, potem wróciły do zabawy. Po zejściu z konia Giordino zachwiał się jak pijany marynarz. Od twardego siodła bolały go nogi i pośladki.

- Następnym razem chyba spróbuję jazdy na wielbłądzie. Pitt był tak samo obolały i z ulgą stanął na ziemi.

- Po jednym sezonie spędzonym tutaj każdy z was galopowałby jak arat - powiedział Nojon, mając na myśli miejscowych koczowników.

- Po jednym sezonie na tym siodle skończyłbym w szpitalu na wyciągu - odburknął Giordino.

Dokuśtykał do nich kulawy stary mężczyzna i zagadał szybko do Nojona.

- To Otgonbajar - przedstawił go chłopiec. - Zaprasza was do swojej jurty na ajrak.

Wśród okolicznych wzgórz odbiło się echem wycie silnika. W tumanie kurzu pojawił się mały zielony autobus i skręcił w kierunku osady. Nojon spojrzał w tamtą stronę i pokręcił głową

- Niestety mamy autobus. Powiedz Otgonbajarowi, że doceniamy jego gościnność, ale będziemy musieli odłożyć tę wizytę do następnego spotkania - poprosił Pitt. Podszedł do niego i uściśnął mu dłoń. Starzec skinął głową i uśmiechnął się ze zrozumieniem, odsłaniając bezzębne dziąsła.

Autobus zatrzymał się z głośnym piskiem hamulców i kierowca nacisnął klakson. Biegające dzieci przerwały zabawę, pomaszzerowały gęsiego do pojazdu i weszły do środka przez harmonijkowe boczne drzwi.

- Wsiadamy - zwrócił się Nojon do Pitta i Giordina.

Autobus KAZ model 3976, produkowany w ZSRR w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, był reliktem przeszłości pozostawionym przez Armię Radziecką. Jak wiele pojazdów, został przekazany Mongolii, kiedy praktycznie przestał się nadawać do użytku. Miał spłowiały lakier, popękane szyby, łysy opony i przebieg ponad czterysta tysięcy kilometrów. Ale stale go reperowano i wysyłano z powrotem na drogę.

Pitt wspiął się za Nojonem do środka i zobaczył z zaskoczeniem, że za kierownicą siedzi biały człowiek w starszym wieku. Miał siwą brodę,

a w jego niebieskich oczach błyszczało poczucie humoru. Uśmiechnął się do Pitta i Giordina.

- Witam. Nojon mówi, że jesteście ze Stanów. Ja też. Klapnijcie gdzieś i startujemy.

Autobus miał dwadzieścia miejsc siedzących i był prawie pełny po zabraniu dzieci z trzech sąsiednich obozowisk. Pitt zauważył, że na siedzeniu za kierowcą śpi czarno-brązowy jamnik. Dwa miejsca po drugiej stronie przejścia były wolne, więc wsunęli się tam z Giordinem. Kierowca zamknął drzwi i wyjechał szybko z wioski. Ominął stado owiec, wcisnął gaz i zmienił kilka razy bieg. Na twardej pustyni pojazd rozpedził się wkrótce z wyciem silnika do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Kierowca spojrzął na Pitta i Giordina w prostokątnym lusterku wstecznym nad przednią szybą.

- Klasztor Bulangiin to nie hotel w kurorcie. Jesteście na wycieczce konnej po Gobi?

- Można tak powiedzieć - przytaknął Pitt. - Ale w tej chwili chcemy wrócić do Ułan Bator.

- Jutro w klasztorze będzie ciężarówka z zaopatrzeniem z Ułan Bator. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, żeby spędzić noc wśród pobożnych mnichów, rano możecie się zabrać do stolicy.

- To by nam odpowiadało - odrzekł Pitt, patrząc z rozbawieniem, jak śpiący jamnik wyskakuje na wyboju w powietrze i ląduje z powrotem na siedzeniu, nie otwierając oczu.

- Jeśli wolno spytać, co pan robi w tych stronach? - zagadnął Giordino.

- Pracuję w prywatnej fundacji ze Stanów, która pomaga w odbudowie buddyjskich klasztorów. Było ich w Mongolii ponad siedemset, zanim w 1921 roku władzę w tym kraju przejęli komuniści. Prawie wszystkie zostały splądrowane i spalone w latach trzydziestych. Zginęły tysiące mnichów. Jednych rozstrzelano na miejscu, innych wysłano na Syberię do obozów pracy, skąd już nie wrócili. Tych, których nie zabito, zmuszono do wyparcia się swojej wiary, choć wielu potajemnie nadal ją wyznawało.

- Musi im być trudno zaczynać wszystko od nowa, skoro ich świątynie, relikwie i księgi zniszczono.

- Zaalarmowani mnisi ukryli tuż przed czystką zadziwiająco dużo starych tekstów i artefaktów. Relikwie pojawiają się natychmiast, kiedy tylko zostaje ponownie otwarty któryś z klasztorów. Miejscowi ludzie w końcu zaczynają wierzyć, że nie powtórzą się rządowe represje z przeszłości.

- Jak pan się przerzucił z układania cegieł na prowadzenie szkolnego autobusu? - zapytał Giordino.

- Na tym odludziu trzeba robić wiele rzeczy. - Kierowca roześmiał się. - Grupa, której pomagam, to nie tylko zespół archeologów. Są w niej również stolarze, nauczyciele i historycy. Umowa jest taka, że poza odbudową klasztorów organizujemy tu szkoły podstawowe. Jak łatwo sobie wyobrazić, dzieci koczujących pasterzy mają bardzo ograniczone możliwości zdobycia wykształcenia. Uczymy je czytania, pisania, matematyki i języków obcych, w nadziei, że dajemy tym wiejskim dzieciakom szansę na lepsze życie. Na przykład wasz przyjaciel Nojon zna trzy języki i ma duże zdolności do matematyki. Jeśli zapewnimy mu możliwość dalszej nauki, może być kiedyś doskonałym inżynierem lub lekarzem.

Autobus wjechał na płaski szczyt wzgórza. Po drugiej stronie ciągnęła się wąska dolina. Bujna trawa i purpurowe krzewy w jej środkowej części dodawały nieco kolorytu monotonnemu krajobrazowi. Pitt zauważył w gąszczu roślinności skupisko małych, kamiennych budynków i kilka białych jurt. W pobliskiej zagrodzie stało stado wielbłądów i kóz, na południowym krańcu terenu widać było kilka samochodów terenowych.

- Klasztor Bulangiin - oznajmił kierowca. - Trzynastu lamów, siedemnaście wielbłądów i jeden ochotnik z USA.

Zatrzymał autobus przed jedną z jurt.

- To szkoła - wyjaśnił Pittowi i Giordinowi. Nojon zerwał się z miejsca, pomachał im ręką i wyskoczył z autobusu.

- Mam z nimi lekcję geografii - powiedział kierowca, gdy wszystkie dzieci wysiadły. - Jeśli pójdziecie do tamtego budynku ze smokiem nad drzwiami, znajdziecie tam głównego lamę. Nazywa się Santanai. Zna angielski i chętnie przyjmie was na noc.

- Zobaczmy się jeszcze?

- Chyba nie. Obiecałem, że po rozwiezieniu dzieciaków do domów wpadnę do jednej z wiosek i opowiem o zachodniej demokracji. Przenocuję tam. Miło się z wami gawędziło. Przyjemnego pobytu.

- Dzięki za podwiezienie i informacje - odrzekł Pitt.

Kierowca wziął śpiącego jamnika, wyjął spod siedzenia podręcznik do geografii świata i ruszył do jurty, gdzie czekała jego klasa.

- Fajny facet - powiedział Giordino, wstał i wysiadł z autobusu. Pitt poszedł w jego ślady. Po drodze zauważył nad przednią szybą tabliczkę: „Witam. Wasz kierowca nazywa się Clive Cussler”.

- Owszem - zgodził się Pitt. - Ale jeździ jak Mario Andretti. Ruszyli w kierunku trzech budynków w kształcie pagód. Wygięte do góry dachy były pokryte ceramiczną dachówką, pociemniałą ze starości. W środkowej, największej budowli mieściła się główna świątynia; po jednej stronie stała kaplica, po drugiej magazyn. Pitt i Giordino wspięli się po schodach prowadzących do świątyni, podziwiając parę kamiennych smoków na narożnych okapach. Długie ogony bestii wiły się w górę stromeego, wygiętego dachu. Weszli ostrożnie przez wielkie, otwarte drzwi do świątyni, gdzie powitało ich ciche, chóralne zawołanie.

Kiedy ich wzrok przyzwyczaił się do słabego blasku świec, zobaczyli dwie szerokie ławy, które biegingy wzdłuż bocznych ścian i kończyły się przy ołtarzu. Na ławach siedziało z podwiniętymi nogami dwunastu starych mnichów z ogolonymi głowami, zwróconych twarzami do siebie. Mieli na sobie jaskrawopomarańczowe szaty. Pogrążeni w całkowitym bezruchu, śpiewali. Pitt i Giordino obeszli na palcach świątynię i usiedli pod tylną ścianą, by obejrzeć zakończenie obrzędu.

W Mongolii powszechną formą buddyzmu jest lamaizm tybetański. Oba kraje od wieków łączą więzi religijne. Przed rządową czystką prawie jedna trzecia mongolskich mężczyzn była lamami. Prowadzili ascetyczny tryb życia w klasztorach, rozproszonych po całym kraju. Pod rządami komunistów buddyzm niemal zniknął i całe pokolenie Mongołów dopiero teraz poznaje wiarę swoich przodków.

Pitt i Giordino czuli atmosferę mistycyzmu, gdy obserwowali ceremonię, która niewiele się różniła od obrzędów praktykowanych przez lamów setki lat temu. Świątynię wypełniała egzotyczna woń kadzidła. Chybotliwy blask świec oświetlał czerwone sklepienie i jaskrawo-

purpurowe chorągwie na ścianach. Wszędzie stały posągi Buddy w różnych wcieleniach. Wokół rozbrzmiewały głosy łamów.

Mnisi powtarzali chórem czytany tekst z otwartych modlitewników. Robili to coraz donośniej, aż nagle stary lama w grubych okularach uderzył w bęben z kozłej skóry. Pozostali mnisi zaczęli potrząsać mosiężnymi dzwoneczkami i dać w wielkie białe muszle. Od natężenia dźwięku drżały ściany. Potem, jakby niewidzialna ręka przykręciła nagle potencjometr, muzyka umilkła i zapadła całkowita cisza. Mnisi przez chwilę oddawali się medytacji, w końcu wstali z ław.

Lama w grubych okularach odłożył bęben i podszedł do Pitta i Giordina. Musiał mieć ponad osiemdziesiąt lat, ale poruszał się energicznie. Jego piwne, mądre oczy spoglądały na nich życzliwie.

- Amerykanie, którzy przewędrowali pustynię - powiedział po angielsku. - Jestem Santanai. Witam w naszej świątyni. Włączyliśmy do naszego dzisiejszego nabożeństwa modlitwę o bezpieczną podróż dla was.

- Proszę wybaczyć to najście - odrzekł Pitt zaskoczony tym, że lama wie o ich przyjeździe.

- Droga do oświecenia jest otwarta dla wszystkich. - Stary lama uśmiechnął się. - Chodźmy, pokażę wam nasz dom. - Oprowadził Pitta i Giordina po świątyni, potem zabrał ich na spacer po kompleksie.

- Klasztor powstał w latach dwudziestych XIX wieku - wyjaśnił. - W czasie wielkiej czystki jego mieszkańcy mieli więcej szczęścia niż inni. Zniszczono kwatery mieszkalne i magazyny żywności, ale z niewiadomych przyczyn pozostawiono świątynię nietkniętą. Stała opuszczona przez kilkadziesiąt lat. Święte teksty i inne przedmioty kultu zabezpieczył miejscowy pasterz. Zakopał je w piasku niedaleko stąd. Kiedy powróciły czasy tolerancji, ponownie otworzyliśmy świątynię jako główną część naszego klasztoru.

- Budynki nie wyglądają na zniszczone - zauważył Giordino.

- W latach represji o świątynię dbali miejscowi pasterze i mnisi działający w podziemiu. Na to odludzie na szczęście rzadko zaglądali rządowi ateści. Ale czeka nas jeszcze dużo pracy, żeby odrestaurować kompleks - powiedział lama, wskazując stos drewna i materiałów budowlanych. - Teraz mieszkamy w jurtach, ale pewnego dnia przeniesiemy się do stałego budynku.

- Jest was tutaj trzynastu?

- Tak, plus jeden nowicjusz, który złożył nam wizytę. Ale mamy nadzieję zapewnić wkrótce zakwaterowanie jeszcze dziesięciu młodym ludziom.

Lama poprowadził Pitta i Giordina do jednego z mniejszych budynków obok głównej świątyni.

- Mogę wam zaproponować nocleg w naszym magazynie. Zachodni archeolodzy, których tu gościmy, wyjechali na parę tygodni w teren na wykopaliska. Zostawili kilka łóżek. Możecie z nich skorzystać. Chcecie jutro odjechać ciężarówką z zaopatrzeniem?

- Tak - odrzekł Pitt. - Zależy nam na tym, żeby jak najszybciej wrócić do Ułan Bator.

- Załatwimy to. Muszę iść z powrotem do świątyni. Rozgoście się. Zapraszam na wieczorny posiłek, który jemy razem o zachodzie słońca.

Lama odwrócił się cicho i poszedł do świątyni. Jego luźna czerwona szata trzepotała na wietrze. Pitt i Giordino weszli po schodach do magazynu - wąskiego, wysokiego pomieszczenia bez okien. W drzwiach musieli ominąć ogromny żelazny dzwon, relikwium przeszłości. W środku, wzdłuż jednej ściany, stały worki z mąką, makaronem, herbatą i innymi produktami spożywczymi. Po drugiej stronie znajdowały się kosze z kocami i futrami na mroźną zimę. W głębi znaleźli kilka brezentowych łóżek. Powyżej był namalowany wizerunek Siakjamuniego, Buddy siedzącego na tronie z kwiatu lotosu.

- Ciekawe, skąd wiedział, że jesteśmy w okolicy - powiedział Pitt.

- To mała pustynia - odrzekł Giordino. - Najważniejsze, że nie musimy spać na gołej ziemi i możemy odpocząć przed odjazdem. Szczerze mówiąc, najchętniej od razu bym się położył.

- Ja muszę najpierw poczytać - odparł Pitt i ruszył do drzwi.

Usiadł na schodach magazynu i popatrzył w zamyśleniu na starą świątynię i zakurzoną dolinę, która rozciągała się za nią. Potem otworzył plecak i zaczął czytać dziennik doktora Leigha Hunta.

Do widzenia, Dirk. I pożegnaj ode mnie swojego przyjaciela Ala.

Nojon wszedł na schody i skłonił się. Pitt wstał i uściśnił chłopcu dłoń. Podziwiał dojrzałość dziesięciolatka.

- Do zobaczenia, przyjacielu - odrzekł. - Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

- Ja też. Następnym razem pojeździecie na wielbłądach. - Chłopiec uśmiechnął się szeroko, a potem pobiegł ścieżką do autobusu szkolnego, który czekał przed klasztorem. Drzwi się zamknęły i stary pojazd ruszył pod górę ku zachodzącemu słońcu.

Hałas silnika obudził z drzemki Giordina. Wyszedł na ganek i przeciągnął się.

- Dzieciaki wracają ze szkoły do domu? - zapytał, gdy dostrzegł autobus na szczycie wzgórza.

- Nojon przyszedł się pożegnać. Prosił, żebym ci przekazał, że jego najlepszy wielbłąd jest w każdej chwili do twojej dyspozycji - powiedział Pitt i wrócił do lektury dziennika Hunta.

- Co tam napisał ten skamieniały archeolog?

- Nie uwierzysz - odparł Pitt. Giordino usiadł na schodach.

- Co tam znalazłeś?

- Doktor Hunt, jego mongolski asystent i ekipa chińskich robotników odkopywali w północnych Chinach pozostałości zaginionego miasta Szang-tu.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Ma też inną nazwę - Xanadu. Giordino pokręcił głową.

- Nic mi to nie mówi. To miejsce istniało naprawdę?

- Jak najbardziej. Stanowiło letnią rezydencję Kubiłaj-chana. Zbudował ją sto dziewięćdziesiąt kilometrów na północny zachód od Pekinu, żeby chronić się tam przed upałem. Otaczał ją teren łowiecki ogrodzony murem. W pobliskim mieście mieszkało ponad sto tysięcy ludzi. Kiedy zjawił się tam Hunt, zastał tylko kupę kamieni.

- Więc przedmioty w tamtym samolocie pochodzą z czasów Kubiłaj-chana? Muszą być warte fortunę.

- Całkiem możliwe. Choć sam Hunt był rozczarowany. Napisał, że niemal do końca wykopalisk nie odkryto niczego naprawdę ważnego. Dopiero ostatniego dnia natrafiono na drewnianą skrzynkę.

Otwarta szkatułka stała na ganku obok Pitta. Wyjął z niej skórę geparda.

- Hunt ledwie wspomina o tej skórze, ale spójrz - powiedział i rozwinął ją. Na wewnętrznej stronie widniało osiem małych rysunków w oddzielnych ramkach. Pierwszy przedstawiał chińską dżonkę na jakiejś rzece. Za nią płynęły dwa mniejsze statki. Następne rysunki pokazywały trzy żaglowce na morzu, a potem zakotwiczone w zatoce. Na ostatnim obrazku dżonka płonęła przy brzegu. Na fokmaszcie powiewała w płomieniach bandera z niebieskim psem. Na lądzie w pobliżu statku stał stos skrzyń, ale wokół nich też wszystko się paliło. Wszędzie było pełno ognia i dymu.

- To wygląda na relację z rejsu, który zakończył się katastrofą - zauważył Giordino. - Może ktoś ich zaatakował albo zacumowali zbyt blisko pożaru lasu. Brytyjski archeolog nie zinterpretował tego?

- Nie. Jestem ciekaw, czy w ogóle zdążył obejrzeć to przed śmiercią. - A ta szkatułka ma jakieś znaczenie?

- Najważniejsza jest tuba z brązu, a raczej to, co było w jej wnętrzu. Znajdował się tam zwój jedwabiu z namalowaną mapą miejsca, gdzie ukryto niewyobrażalny skarb.

- Pojemnik był pusty, kiedy go znaleźliśmy. Czy ten zwój jedwabiu został w samolocie?

- Przeczytaj zakończenie - odrzekł Pitt i wręczył Giordinowi dziennik Hunta. Na ostatniej stronie były trzy krótkie ustępy.

„5 sierpnia 1937r. W drodze samolotem do Ułan Bator. Z ciężkim sercem muszę napisać o przerażającym odkryciu. Tsendyn, mój tutejszy asystent, partner i przyjaciel, na koniec mnie zdradził. Zwój jedwabiu zniknął, został skradziony z pojemnika, którego pilnie strzegłem od czasu wykopania. Tylko Tsendyn mógł zabrać tkaninę, wbić mi nóż w plecy przed startem samolotu. Trop CC. przepadł. Spróbuję odtworzyć mapę z pamięci. Potem zorganizuję w Ułan Bator małą grupę i wyruszę na poszukiwania. Może na zboczach Burchan Chałdun natknę się na Tsendyna, a wówczas wymierzę mu sprawiedliwą karę. Mam tylko nadzieję...”

Tekst urywał się w pół zdania. Dalszy ciąg napisany był drżącą ręką. Giordino zauważył na kartce krople zakrzepłej krwi.

„Data nieznaną. Rozbiliśmy się na pustyni. Zestrzelił nas japoński samolot wojskowy. Obaj piloci nie żyją. Obawiam się, że mam złamany kręgosłup i nogi. Nie mogę się ruszać. Czekam na pomoc. Modłę się, żeby nas szybko znaleźli. Ból jest nie do zniesienia.”

Poniżej widniało jeszcze kilka nabazgranych zdań.

„Ostatni zapis. Straciłem wszelką nadzieję. Przesyłam wyrazy szczerego żalu Leedsowi z British Museum i słowa miłości mojej ukochanej żonie Emily. Niech Bóg ma nas w swej opiece”.

- Biedny facet - powiedział Giordino. - To wyjaśnia, dlaczego leżał na stosie szczątków w samolocie. Musiał tam spędzić kilka dni, zanim umarł.

- Wiedząc, co stracił, na pewno cierpiał podwójnie.

- Więc jaki skarb ukazywała jedwabna mapa? Co oznacza skrót CC?

- Hunt opisał mapę wcześniej, po jej odkryciu. On i jego pomocnik Tsendyn byli przekonani, że na jedwabiu jest ukazana lokalizacja zaginionego grobowca. Położenie w mongolskich górach Chentej, insygnia władcy, a nawet legenda o płaczącym wielbłądzie zgadzają się ze źródłami historycznymi. Na mapie było zaznaczone miejsce ostatniego spoczynku Czyngis-chana.

Giordino gwizdnął cicho i pokręcił głową.

- Czyngis-chana? Ktoś musiał im podsunąć fałszywą mapę. Grób Czyngis-chana to wciąż jedna z największych zagadek archeologicznych na tej planecie.

Pitt wpatrzył się w wirujący tuman kurzu na horyzoncie. W wyobraźni widział tysiąc różnych obrazów.

- Wręcz przeciwnie. Jego grób istotnie został odnaleziony - odrzekł cicho.

Giordino spojrzał na niego z zaskoczoną miną, ale znał go zbyt dobrze, by kwestionować to, co usłyszał. Pitt przerzucił wstecz kartki dziennika i zatrzymał się na jednej z pierwszych stron.

- Mongolski asystent Hunta o imieniu Tsendyn nosił nazwisko Bordzin.

- Niemożliwe! Był ojcem tamtego?

- O ile się nie mylę, widzieliśmy ostatnio marmurowy grobowiec Tsendyna Bordżina.

- Jeśli w tamtej kamiennej kaplicy leży ojciec Bordżina, to sarkofag na środku...

- Zgadza się - przytaknął ponuro Pitt.- Grobowiec Czyngis-chana znajduje się na podwórku Tołgoja Bordżina.

O zachodzie słońca dołączyli do mnichów, którzy jedli kolację w jednej z jurt. Jak wszystkie ich posiłki w ostatnich dniach, ten też był skromny. Składał się z bulionu warzywnego z makaronem i czarnej herbaty. Mnisi pożywiali się w milczeniu. Pitt obserwował pomarszczone twarze i bystre, piwne oczy starych mężczyzn, którzy poruszali się z godnością i spokojem. Większość z nich była dobrze po sześćdziesiątce. Wszyscy mieli ogolone głowy, tylko jeden z nich, najmłodszy, mógł się pochwalić bujną czupryną. Zjadł szybko swoją porcję, potem odwrócił się do Pitta i uśmiechał do niego.

Po kolacji Pitt i Giordino wzięli udział w wieczornej modlitwie w świątyni, potem poszli do swojej kwatery w magazynie. Pitt nie przestawał myśleć o rewelacji na temat grobowca Czyngis-chana w dzienniku Hunta i nie mógł się doczekać powrotu do Ułan Bator. Przed snem przysunął blisko do wejścia jedno z łóżek.

- Już nie potrafisz nocować pod dachem? - zapytał go żartobliwie Giordino.

- Nie o to chodzi - odparł Pitt. - Coś mi nie daje spokoju.

- Mnie nie daje spokoju brak porządnego posiłku od blisko tygodnia - powiedział Giordino i wsunął się pod koc.

Pitt wziął z półki otwarte pudełko z kadzidłem, różańcem i innymi przyborami do modlitwy. Grzebał w nim przez kilka minut, potem zgasił lampę naftową i poszedł w ślady Giordina.

Intruz zjawił się po północy. Uchylił cicho drzwi magazynu na tyle, by wsunąć się przez szparę do środka i wpuścić smugę księżycowego światła. Zaczekał chwilę, aż jego wzrok przyzwyczai się do ciemności, potem ruszył wolno w kierunku najbliższego łóżka. Po drodze zawadził

nogą o mały dzwonek modlitewny na podłodze. Kiedy rozległ się metaliczny dźwięk, intruz zamarł i wstrzymał oddech. Przez kilka sekund wyteżał słuch, ale w pomieszczeniu panowała cisza.

Przyklęknął, poszukał ostrożnie dzwonka i odsunął go delikatnie na bok. Zawadził kostkami palców o drugi dzwonek, który też usunął z drogi, i zbliżył się do łóżka. Dostrzegł nieruchomą postać przykrytą kocem. Przystanął, uniósł wysoko obiema rękami lśniący obosieczny miecz i zadał zabójczy cios tam, gdzie powinna się znajdować szyja śpiącego.

Ale coś było nie tak. Miecz nie natrafił na opór przecinanej kości, nie trysnęła krew, nie rozległo się ostatnie tchnienie konającej ofiary. Ostrze przeszło gładko przez poślanie i utkwilo w drewnianej ramie łóżka. Zaskoczony niedoszły zabójca zdał sobie nagle sprawę, że to pułapka. Ale było już za późno.

Pitt rzucił się na niego ze swojego poślania w głębi pomieszczenia. Smuga księżycowego światła, wpadająca przez uchylone drzwi, doskonale oświetlała intruza pochylonego nad pustym łóżkiem. Pitt w rękach trzymał łopatę, którą wziął z terenu wykopalisk i schował pod łóżkiem.

Intruz spróbował się bronić. Kiedy usłyszał kroki Pitta, wyciągnął miecz z poślania i uniósł nad głowę. Bardziej wyczuwał, niż widział przeciwnika i zadał cios szerokim łukiem.

Ale Pitt był szybszy. Krawędź łopaty trafiła napastnika w rękę, gdy opuszczał broń. Rozległ się odgłos miażdżonych kostek palców, potem mrozący krew w żyłach krzyk bólu.

Miecz wypadł z dłoni zamachowca i wylądował z hałasem na drewnianej podłodze. Intruz schwycił się za ranną rękę i zatoczył się w kierunku drzwi. Pitt zadał następny cios łopatą, ale napastnik zdążył zrobić unik. Kiedy odwrócił się do drzwi łopata trafiła go w nogę tuż poniżej łydki.

Napastnik znów krzyknął z bólu. Stracił równowagę i runął na podłogę. Wciąż ścisnął ranną rękę, nie był przygotowany na upadek i uderzył czołem w niewidoczny w ciemności ciężki, żelazny dzwonek. Pitt

usłyszał dźwięk podobny do trzasku pękającego kija baseballowego, potem łomot ciała lądującego na podłogę.

Obok Pitta pojawił się Giordino, okrążył łóżko i otworzył kopnięciem drzwi na całą szerokość. W blasku księżyca zobaczyli martwego intruza. Leżał na boku i miał nienaturalnie wygiętą szyję.

Giordino pochylił się nad nim.

- Złamał sobie kark.

- Chciał nam zadać bardziej okrutną śmierć - odrzekł Pitt, oparł łopatę o ścianę i podniósł miecz.

Na ganku pojawiły się światła i do magazynu wszedł stary lama w towarzystwie dwóch mnichów z lampami naftowymi.

- Usłyszeliśmy krzyk - powiedział i spojrzał na ciało u swoich stóp. W blasku lamp zaślniła jaskrawoczerwona szata ofiary. Nawet Giordino był zaskoczony, gdy zobaczył, że intruz jest w stroju nieuznającego przemocy mnicha buddyjskiego. Lama natychmiast rozpoznał martwego mężczyznę po czarnych włosach i młodej twarzy.

- To Zenoui - stwierdził bez emocji. - Nie żyje.

- Próbował nas zabić - wyjaśnił Pitt. Uniósł miecz i pokazał przecięte koce na łóżku. - Uderzyłem go łopatą upadł na dzwon i skrzył kark. Podejrzewam, że ma przy sobie dodatkową broń.

Lama odwrócił się do jednego z mnichów i powiedział coś po mongolsku. Tamten przykleknął i obszukał zwłoki. Uniósł szatę trupa i odsłonił sztylet i mały pistolet samopowtarzalny przy jego pasie.

Widok ten zaszokował lamę.

- To wbrew dharmie.

- Jak długo był w klasztorze? - zapytał Pitt.

- Przybył dzień przed wami. Powiedział, że jest z miasta Orchon na północy i przemierza Gobi w poszukiwaniu wewnętrznego spokoju.

- Teraz go znalazł - zadrwił Giordino.

Lama zastanowił się i popatrzył podejrzliwie na Pitta i Giordina.

- Pytał o dwóch cudzoziemców, którzy podróżują przez pustynię. Odrzekłem, że nic o was nie wiemy, ale możliwe, że się tu pojawicie, bo ciężarówka z cotygodniowym zaopatrzeniem to najpewniejszy w okolicy środek transportu do Ułan Bator. Kiedy to usłyszał, wyraził życzenie przedłużenia swojego pobytu tutaj.

- To wyjaśnia, skąd wiedzieliście o naszym przyjeździe - powiedział Pitt.

- Ale dlaczego dokonał zamachu na wasze życie?

Pitt zrelacjonował krótko ich wizytę w posiadłości Bordżina w poszukiwaniu zaginionej ekipy z koncernu naftowego.

- Ten człowiek prawdopodobnie pracował dla Bordżina.

- Więc to nie mnich?

- Wątpię, żeby to było jego głównym powołaniem.

- Istotnie, nie znał niektórych naszych zwyczajów - przyznał lama i zmarszczył brwi. - Obawiam się, że zabójstwo w klasztorze może ściągnąć na nas duże kłopoty ze strony władz.

- Jego śmierć to był wypadek. Tak trzeba to zgłosić.

- Możemy się obejść bez oficjalnego śledztwa - mruknął Giordino.

- Owszem - zgodził się lama. - Jeśli taka jest prawda, zgłosimy to jako wypadek. Po waszym wyjeździe.

Polecił dwóm mnichom zawinąć zwłoki w koc i przenieść do świątyni.

- Przykro mi, że podczas wizyty w naszym klasztorze wasze życie zostało narażone na niebezpieczeństwo - zwrócił się do Pitta i Giordina.

- To nam jest przykro, że ściągnęliśmy na was takie kłopoty - odrzekł Pitt.

- Oby reszta waszego pobytu upłynęła w spokoju - powiedział lama i poszedł do świątyni, gdzie odmówiono krótką modlitwę za zabitego.

Giordino zamknął drzwi i zablokował je zniszczonym łóżkiem.

- Skąd wiedziałeś, że jest tu fałszywy mnich? - zapytał.

- Po prostu przeczucie. Nie sprawiał na mnie wrażenia pobożnego ascety, jak reszta mnichów, a poza tym przy kolacji przyglądał nam się tak, jakby wiedział, kim jesteśmy. Podejrzywałem, że Bordżin wysłał kogoś naszym tropem.

- Mam nadzieję, że nie miał tu kumpli, ale kto wie? Tak czy owak, jestem ci coś winien - powiedział Giordino.

- Co?

- Dyżur z łopata przez resztę nocy.

Ciężarówka z zaopatrzeniem przyjechała następnego dnia późnym rankiem i do magazynu wniesiono kilka skrzyń. Mnisi pomogli w rozładunku, potem zbrali się w świątyni na medytację. Stary lama został

na dworze, gawędził z kierowcą i czekał, aż Pitt i Giordino przygotują się do odjazdu.

- Kierowca zaprasza was do kabiny. Mówi, że do Ułan Bator będziecie jechali pięć godzin.

- Dziękujemy bardzo za gościnność - odrzekł Pitt. - Nikt nie szukał waszego trzeciego gościa?

Stary lama pokręcił głową.

- Nie. W ciągu czterech dni będzie skremowany, ale jego prochy nie pozostaną w klasztorze. Sprzeniewierzył się zasadom Siakjamuniego. Kierujcie się rozumem i nie traćcie ducha, a znajdziecie to, czego szukacie.

Skłonił się nisko. Pitt i Giordino odkłonili mu się, a potem wsiedli do ciężarówka. Kierowca, stary Mongoł, któremu brakowało kilku przednich zębów, uśmiechnął się szeroko i uruchomił silnik. Lama stał nieruchomo z opuszczoną głową dopóki ciężarówka nie zniknęła na horyzoncie. Kurz spod kół osiadał na jego szacie i sandałach.

Pitt i Giordino siedzieli w milczeniu, gdy samochód toczył się przez pustynię. Myśleli o ostatnich słowach lamy. Mieli wrażenie, że wiedział, co zamierzają uczynić, i wyraził na to zgodę.

- Musimy tam wrócić - mruknął w końcu Pitt.

- Do Xanadu? - zapytał Giordino. Pitt przytaknął.

CZEŚĆ III

Wstrząsy

Katamaran Dirka



Garupa, wielki okoń w błękitne cętki, patrzyła zimnym okiem na istotę pływającą w jej kierunku. Zbliżała się zbyt wolno jak na rekina i miała zbyt niebieską, lśniąca skórę jak na delfina, Garupa uznała, że ta istota nie jest ani przyjacielem, ani wrogiem, usunęła się z drogi i skierowała do innej części rafy w poszukiwaniu pożywienia.

Summer Pitt nie zwróciła uwagi na rybę, która czmychnęła w mrok. Koncentrowała się na obserwowaniu żółtej nylonowej linki, biegnącej po dnie morza. Płynęła wzdłuż niej jak śladem okruchów. Jej giętkie ciało poruszało się z wdziękiem, sunąc przez wodę tuż nad rafą koralową. Summer trzymała w rękach cyfrową kamerę wideo i filmowała barwne koralowce po obu stronach linki.

Wykonywanie dokumentacji filmowej było częścią projektu oceny stanu raf koralowych na Hawajach, realizowanego przez NUMA. Osady, zbyt intensywne połowy ryb i inwazje alg, wywoływane skażeniem środowiska i globalnym ociepleniem, powodowały powolną degradację koralowców na całym świecie. Choć większość hawajskich raf jeszcze nie ucierpiała, nie było gwarancji, że nie zaczną tracić barw i masowo wymierać, podobnie jak u wybrzeży Australii, Okinawy i Mikronezji. Monitorowanie stanu koralowców pozwalało wykryć wpływ działalności człowieka na rafy, by odpowiednio zareagować.

Metodologia była bardzo prosta. Materiał wideo porównywano ze zdjęciami koralowców, zrobionymi w tym samym rejonie kilka miesięcy lub kilka lat wcześniej. Ilość flory i fauny umożliwia naukową ocenę stanu raf. Projekt NUMA obejmował zbadanie wielu raf wokół wysp, by mieć obraz sytuacji w całym regionie.

Summer płynęła leniwie wzdłuż linki, aż dotarła do jej końca w piaszczystym wąwozie, gdzie z dna sterczał pręt z nierdzewnej stali. Była do niego umocowana plastikowa tabliczka oznaczona flamastrem. Summer odwróciła ją do obiektywu, sfilmowała i wyłączyła kamerę. Kiedy puściła tabliczkę, dostrzegła w pobliskiej piaskowej jamie jakiś ruch. Zamachała żółtymi płetwami i podpłynęła do stosu kamieni. Po skałkach sunęła niewielka ośmiornica. Nadymała się i kurczyła,

wciągając skrzelami wodę. Summer obserwowała, jak bezkręgowiec zmienia kolor i staje się niemal półprzezroczysty, a potem skręca w stronę rafy. Spojrzała z powrotem na skałki i zobaczyła, że z piasku obok wystaje mały, okrągły przedmiot. Uśmiechnęła się do niej miniaturowa twarz, jakby szczęśliwa, że ją odnaleziono. Summer odgarnęła cienką warstwę piasku, chwyciła przedmiot i uniosła do szyby swojej maski.

Trzymała w dłoni maleńką porcelanową figurkę młodej kobiety w zwiewnej, czerwonej szacie. Postać miała czarne włosy, upięte wysoko w kok, pulchne, różowe policzki cherubina i skośne oczy Azjatki. Wykonanie było trochę prymitywne, strój i poza przywodziły na myśl zamierzchłe czasy. Żeby się upewnić, Summer odwróciła figurkę, ale nie zobaczyła pod spodem napisu „Made in Hongkong”. Przegarnęła wolną ręką miękki piasek, ale nie natrafiła na inne przedmioty.

Kilka metrów od siebie zauważyła srebrzyste pęcherze powietrza innego płetwonurka. Mężczyzna klęczał na krawędzi rafy i pobierał próbkę osadu. Summer podpłynęła do niego, zawisła przed nim i uniosła do góry porcelanową figurkę.

W żywych, zielonych oczach jej brata Dirka zabłysła ciekawość. Przyjrzał się uważnie figurce. Był wysoki i szczupły jak ich ojciec o tym samym imieniu. Schował próbkę osadu do torby, wyprostował się i skinął do Summer, żeby mu pokazała, gdzie znalazła figurkę. Poprowadziła go od rafy do miejsca, w którym dostrzegła uśmiechniętą twarz. Dirk zrównał się z siostrą i popłynęli tuż ponad dnem w stronę ładu. Falista połać piasku kończyła się nagle nierówną pokrywą lawową. Dno opadało stromo ku pełnemu morzu do głębokości ponad czterech i pół tysiąca metrów. Na środku piaszczystej przestrzeni pojawiło się małe skupisko koralowców. Dirk zszedł w dół, żeby je obejrzyć.

Rafa ciągnęła się na odcinku trzech metrów, potem zniknęła pod piaskiem. Dirk zauważył, że pas piasku, który pokrywa koralowce i dochodzi do ściany lawy, jest ciemniejszy. Summer popłynęła w kierunku okrągłej bryły wyrastającej z dna i przywołała gestem brata. Dirk dołączył do siostry i zobaczył duży, prostokątny kamień o długości prawie dwóch metrów. Znurkował niżej, dotknął palcami w rękawicy jego krawędzi porośniętej skorupiakami, potem przesunął dłonią po twardej powierzchni i natrafił na wgłębienie z kolonią jeżowców. Z

zainteresowaniem pokiwał głową. Summer zbliżyła się do niego, włączyła kamerę i sfilmowała obiekt.

Zatoczyli szeroki krąg, ale nie znaleźli nic więcej. Wrócili do punktu wyjścia oznaczonego boją i unieśli się ku rozfalowanej powierzchni morza, dziesięć metrów powyżej.

Wynurzyli się w szafirowych wodach zatoki Keliuli na południowo-zachodnim wybrzeżu hawajskiej wyspy Hawaii. Kilkaset metrów od nich fale przyboju rozbijały się o wysokie klify z czarnej lawy otaczające zatokę. Huk wody uderzającej w strome skalne ściany brzmiał jak grzmot, na powierzchni tworzył się krąg białej piany.

Dirk dopłynął do łodzi pneumatycznej, która była przywiązana do boi, i wdrapał się do środka. Zdjął akwalung i pas balastowy, sięgnął za burtę i pomógł siostrze podciągnąć się na pokład. Summer wypłuła ustnik.

- Co myślisz o tym dziwnym wypiętrzeniu na środku ławicy piasku? - zapytała.

- Ma bardzo regularne kształty.

- Właśnie. Chciałabym usunąć trochę piasku wokół jego krawędzi i zobaczyć, czy jest tam coś, czego nie pożarły koralowce.

Summer wyjęła z torby porcelanową figurkę i obejrzała dokładnie w blasku słońca.

- Sądzisz, że w rafie jest wrak statku? - zapytał Dirk, odcumował ponton i uruchomił silnik.

Uniosła figurkę do góry.

- To się musiało skądś wziąć. Jak myślisz, ile ma lat?

- Nie mam pojęcia - odparł Dirk. - O wiele bardziej intryguje mnie tamten prostokątny kamień.

- Masz jakąś teorię?

- Mam - przytaknął - ale nic nie powiem, dopóki nie przejrzę baz danych w komputerach na statku.

Dirk otworzył przepustnicę i ponton pomknął po falach w kierunku turkusowego statku badawczego NUMA, zakotwiczonego w oddali. Kiedy zbliżyli się do rufy, na której widniał czarny napis „Mariana Explorer”, Dirk zmniejszył obroty silnika, a potem podpłynął do lewej burty, skąd zwisały liny żurawika. Gdy Dirk i Summer zaczęli haki na

ich końcach za ucha na łodzi pneumatycznej, w górze ukazał się muskularny, niebieskooki mężczyzna z sumiastymi włosami. Przypominał Wyatta Earpa.

- Trzymajcie się! - zawołał z teksaskim akcentem i wcisnął przycisk na sterowniku wciągarki hydraulicznej. Jack Dahlgren w mgnieniu oka uniósł ponton wysoko ponad wodę i postawił na pokładzie statku. Pomógł opłukać i odłożyć na miejsce sprzęt do nurkowania, potem odwrócił się do Summer.

- Skończyliście? - zapytał. - Kapitan chce wiedzieć, czy może podnieść kotwicę i popłynąć do następnego rejonu badań przy cyplu Lelewi po wschodniej stronie wyspy.

- Odpowiedź brzmi: tak i nie - odparła Summer. - Skończyliśmy zbieranie danych, ale chciałabym tu jeszcze raz zanurkować.

Dirk uniósł do góry porcelanową figurkę i uśmiechnął się.

- Summer uważa, że natrafiła na wrak pełen skarbów.

- Zadowolilibym się skarbami kultury.

- Jakie ślady wraka znaleźliście? - spytał Dahlgren.

- Nic wyraźnego, ale Summer odkryła interesujący kamienny przedmiot - odrzekł Dirk. - Musimy obejrzeć nagranie wideo.

Dirk i Summer wzięli prysznic, ubrali się. Dahlgren podłączył kamerę wideo do monitora i wyświetlał film na dużym ekranie. Kiedy pojawił się prostokątny kamień, Dirk wcisnął pauzę.

- Już widziałem coś takiego - powiedział, usiadł przy sąsiednim komputerze i zaczął pisać na klawiaturze. - W pracy naukowej na temat pewnego wraka odkrytego w Malezji, którą przedstawiono na jakiejś konferencji archeologów podwodnych.

Po krótkich poszukiwaniach znalazł stronę internetową z opracowaniem zawierającym zdjęcia. Przejrzał je i zatrzymał się na podwodnej fotografii kamiennej płyty. Granitowy prostokąt, zwężony na jednym końcu, miał na środku dwa otwory.

Dahlgren porównał zdjęcia.

- Wystarczy usunąć narośl z tego obiektu na wideo Summer i nie będą się różniły od siebie.

- Właśnie - zgodził się Dirk. - Mają taki sam kształt i wielkość.

- No więc co to jest? - zniecierpliwiła się Summer.

- Kotwica - odrzekł Dirk. - A raczej kamienny obciążnik drewnianej kotwicy. Kiedy jeszcze nie znano ołowiu i żelaza, robiono kotwice z drewna i kamienia.

- Mówisz o początkach żeglugi - powiedział Dahlgren. Dirk przytaknął.

- Dlatego jest to intrygujące. Kotwica Summer i ta druga wyglądają na identyczne. - Wskazał ekran.

- Wszyscy to widzimy - zauważyła Summer. - Ale skąd ona jest? Jaki wrak odkryto w Malezji?

Dirk znalazł komputerowy rysunek czteromasztowego żaglowca.

- Dasz wiarę, że to była XIII-wieczna chińska dżonka?

34

Nad wyspą Chark unosiła się brunatna mgielka. Niebo nad Zatoką Perską wciąż zasnuwał tłusty dym, pozostałość po pożarze w Ras Tannurze przed tygodniem. Nawet na wyspie Chark, wapiennym skrawku lądu po irańskiej stronie zatoki, sto osiemdziesiąt mil morskich od Ras Tannury, oddychanie toksycznym powietrzem pozostawiało w ustach tłusty smak ropy naftowej.

Nie tylko atmosfera była skażona. Na wodzie na wschód od wyspy stale unosiła się warstwa ropy. Wodę zatruwały wycieki z miejscowego terminalu paliwowego. Przy wielkim pirsie w kształcie litery T na wschodnim wybrzeżu wyspy mogło cumować jednocześnie nawet dziesięć tankowców. Po zachodniej stronie, przy sztucznej wysepce, były miejsca dla kilku największych supertankowców, do których surowiec spływał grawitacyjnie ze zbiorników magazynowych zbudowanych na wzniesieniach w środkowej części wysepki. Choć Chark to niewielki skrawek lądu, wyspa jest największym irańskim portem naftowym i jednym z głównych punktów załadunkowych ropy na świecie.

Nadciągał zmierzch, gdy podniszczony czarny statek wiertniczy mijał rząd tankowców stojących wzdłuż wschodniego terminalu. Skręcił na północ w kierunku wyspy i zakotwiczył blisko urwisk na krańcu jej północnego wybrzeża. Obok przepłynął irański kuter patrolowy, ale jego załoga nie zwróciła uwagi na statek wiertniczy pod indyjską banderą.

Nie zainteresował się nim również żaden z robotników portowych na lądzie, zwłaszcza po zapadnięciu nocy. Ale właśnie wtedy statek wiertniczy ożył. Zaczął pływać wolno tam i z powrotem, dopóki nie wybrał odpowiedniego miejsca. Włączono pędniki dziobowe, rufowe i burtowe, które utrzymywały go w jednym punkcie, mimo wiatru i prądu morskiego. W słabym blasku świateł pokładowych pojawiła się załoga w czarnych kombinezonach. Do dźwigu umocowano linę wiertniczą i opuszczono ją przez otwarty basen zanurzeniowy. Ale na jej końcu nie było świdra, lecz trzy długie cylindry połączone ze sobą tak, że tworzyły kształt trójnogu.

Dziwne urządzenie dotarło do dna, załoga zniknęła, i na statku zapadła cisza. Dwadzieścia minut później spod kila dobiegł huk eksplozji, ledwo słyszalny na sąsiednich statkach i wyspie. Piętnaście metrów pod statkiem wiertniczym w dno zatoki uderzyła potężna fala dźwiękowa, skierowana w jeden punkt na określonej głębokości, na oznaczonej linii uskokowej.

Po tym uderzeniu nastąpiło drugie, trzecie. Bombardowanie linii uskokowej wibrującymi falami akustycznymi trwało do chwili, aż deformacja tektoniczna osiągnęła nieodwracalne naprężenie. Podobnie jak Ella Fitzgerald rozbijała kieliszek swoim głosem, wibracje rozerwały uskok zlokalizowany niemal kilometr pod powierzchnią morza.

W rezultacie nastąpiło gwałtowne trzęsienie ziemi. Amerykański Instytut Badań Geologicznych ustalił później, że miało zabójczą siłę siedem i dwie dziesiąte stopnia w skali Richtera. Liczba ofiar była niewielka, ucierpiało tylko kilka wiosek na irańskim wybrzeżu niedaleko, wyspy Chark. Ponieważ w płytkiej Zatoce Perskiej nie mogło powstać tsunami, zniszczona została niemal wyłącznie część irańskiego wybrzeża blisko krańca zatoki. I wyspa Chark.

Na małej wysepce z przepompownią straty były katastrofalne. Cała wysepka zatrzęsała się, jakby wybuchła pod nią bomba jądrowa. Zbiorniki magazynowe z ropą pękły niczym balony. Ich czarna zawartość spłynęła ze zboczy wzgórz do morza. Wielkie nabrzeże terminalu po wschodniej stronie wyspy Chark rozpadło się na kilka pływających części, które uderzyły w przycumowane tankowce, dziurawiąc ich kadłuby. Terminal dla supertankowców na zachodnim brzegu wyspy przestał istnieć.

Mały czarny statek wiertniczy nie czekał na oszacowanie strat. Wczesnym rankiem odpłynął na południe. Załogi helikopterów i statków ratowniczych zdążających ku skalistej wyspie nie zwracały uwagi na starą jednostkę, która oddalała się od miejsca katastrofy. Ale statek wiertniczy pozostawił za sobą zniszczenia, które sparaliżowały irański eksport ropy, ponownie wstrząsnęły światowym rynkiem paliwowym i pogrążyły Chiny w chaosie.

35

Wiadomość o katastrofie na wyspie Chark uderzyła w niestabilny rynek ropy z siłą eksplozji nuklearnej. Oszałeli handlowcy rzucili się zawierać kontrakty i wywindowali cenę surowca do astronomicznej sumy stu pięćdziesięciu dolarów za baryłkę. Na Wall Street wskaźnik Dow-Jonesa wędrował w przeciwnym kierunku. Musiano wcześniej zamknąć giełdę, gdy maklerzy zakończyli działalność po masowej wyprzedazy akcji, która w ciągu pół dnia obniżyła wartość rynku o dwadzieścia procent.

W Stanach Zjednoczonych ludzie popędzili do najbliższych stacji benzynowych, by zatankować pod korek tańsze paliwo. Wzmózione zakupy szybko wyczerpały szczupłe rezerwy benzyny. W kraju wybuchła panika, dochodziło do aktów przemocy przy dystrybutorach.

Prezydent, rzeczowy, postępowy polityk z Montany, wezwał pilnie do Białego Domu swoich czołowych doradców do spraw bezpieczeństwa i gospodarki. Słuchał w milczeniu litanii katastrofalnych skutków szoku naftowego.

- Niemal dwukrotny wzrost ceny ropy w ciągu niespełna miesiąca grozi bezprecedensową inflacją - mówił główny doradca ekonomiczny, łysiejący mężczyzna w grubych okularach. - Ucierpi oczywiście cały sektor transportu, ale od ropy są uzależnione prawie wszystkie gałęzie przemysłu. Podwyżka wpłynie bezpośrednio na produkcję tworzyw sztucznych, chemikaliów, materiałów lakierniczych, tekstyliów i wielu innych wyrobów. Koszty tak wielkiego podniesienia ceny ropy będzie musiał ponieść konsument, który już doznaje szoku przy dystrybutorze na stacji paliwowej. Czeka nas recesja. Obawiam się, że stoimy w

obliczu głębokiego i długotrwałego kryzysu gospodarczego na skalę globalną.

- Czy ta podwyżka ceny nie jest zbyt nerwową reakcją? - spytał prezydent. - Przecież nie importujemy ani kropli ropy z Iranu.

- Nie ma wątpliwości, że główną rolę odgrywa tu panika. Jednak zniszczenia na wyspie Chark zakłócają dostawy ropy na całym świecie, co odbija się na jej cenie w Stanach Zjednoczonych, nawet jeśli nasz import pozostaje na stałym poziomie. Oczywiście, odczuwamy już braki z powodu pożaru w Ras Tannurze. W wyniku tego na rynkach panuje niepewność. Niepokój podsycają różne plotki. Jedna z nich głosi, że obie katastrofy w Zatoce Perskiej to robota terrorystów.

- Są na to jakieś dowody? - zapytał prezydent swojego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego, mężczyznę o pociągłej twarzy i wyglądzie intelektualisty.

- Nie mamy żadnych - odrzekł doradca spokojnym głosem. - Zlecę Langley dokładniejsze zbadanie tej sprawy, ale wszystko wskazuje na naturalne trzęsienia ziemi. Fakt, że zdarzyły się stosunkowo blisko siebie, wygląda na przypadek.

- Nie możemy ryzykować, że tę sytuację wykorzystają dla swoich celów jacyś fanatycy, którzy szukają rozgłosu. Dennis, chciałbym, żeby departament bezpieczeństwa wewnętrznego wprowadził stan podwyższonego pogotowia antyterrorystycznego we wszystkich portach morskich. Trzeba pilnie obserwować nasze terminale paliwowe, zwłaszcza w Zatoce Meksykańskiej.

- Tak jest, panie prezydencie - odrzekł dyrektor departamentu bezpieczeństwa wewnętrznego, siedzący naprzeciwko szefa rządu.

- Garner, myślę, że dobrym sposobem na szybkie uspokojenie ogólnej hysterii byłoby natychmiastowe uruchomienie części strategicznej rezerwy paliwowej.

Propozycja wyszła od wiceprezydenta Jamesa Sandeckera, emerytowanego admirała i byłego szefa NUMA. Ten niski, energiczny mężczyzna z błyszczącymi oczami i płomiennorudą bródką a la van Dyck od dawna przyjaźnił się ze swoim bossem i rzadko tytułował go prezydentem.

- Rynki ropy z czasem ostygną - ciągnął Sandecker. - Uwolnienie części rezerw powinno rozwiać obawy społeczeństwa, że zaraz zabraknie paliwa.

Prezydent skinął głową.

- Napisz do tego akt wykonawczy - polecił swojemu asystentowi.
- Przemówienie do narodu też by nie zaszkodziło - dodał Sandecker i zerknął na wielki portret Teddy'ego Roosevelta na bocznej ścianie.
- Wystąpię w telewizji - zgodził się prezydent. - Skontaktuj się ze stacjami i ustal godzinę dziś wieczorem - polecił asystentowi. - Zaapeluję o oszczędzanie benzyny przez trzydzieści dni. Miejmy nadzieję, że to pomoże rafineriom zgromadzić jakieś zapasy. Najpierw uspokoimy społeczeństwo, potem spróbujemy znaleźć wyjście z tego dołka.
- Musimy rozważyć różne opcje - odezwał się szef sztabu prezydenta. - Można byłoby odgórnie zamrozić na jakiś czas ceny i wprowadzić reglamentację paliw.
- Należałoby promować oszczędzanie, a jednocześnie przycisnąć niektórych z naszych zagranicznych dostawców, żeby zwiększyli wydobycie ropy - powiedział Sandecker. - Może nasi krajowi producenci też mogliby to zrobić, choć wiem, że rurociąg Alaski znów pracuje pełną parą.
- Tak, wiercenia w Arktyce zwiększyły wydobycie - potwierdził doradca ekonomiczny. - Inaczej bylibyśmy teraz w dużo gorszej sytuacji. Ale to oznacza, że możliwości jej poprawy są ograniczone. Wspomniane środki będą miały niewielki wpływ na zaspokojenie krajowego popytu. Brutalna rzeczywistość jest taka, że na światowych rynkach prawie niczego nie zmieniają. Dostawy muszą pokrywać zapotrzebowanie i miną miesiące, zanim eksport z Arabii Saudyjskiej i Iranu wróci do poprzedniego poziomu. Obawiam się, że w tej chwili nie możemy wiele zrobić, żeby obniżyć cenę ropy na świecie.

W pokoju zapadła ponura cisza. W końcu prezydent przerwał milczenie.

- Dobrze, panowie, karty na stół. Chcę znać wszystkie opcje i każdy, nawet najczarniejszy scenariusz. Jeśli cena ropy utrzyma się na obecnym poziomie, kiedy nastąpi załamanie gospodarcze? - zapytał i utkwiał spojrzeniem ciemnych oczu w ekonomiście.

- Trudno powiedzieć - odrzekł nerwowo doradca. - Pierwsze dłuższe przerwy w produkcji i związane z tym zwolnienia pracowników czekają nas prawdopodobnie za trzydzieści dni. Kiedy rynki otrząsną się z szoku, cena ropy może się obniżyć. Ale powinna spaść o co najmniej trzydzieści do czterdziestu dolarów, żebyśmy mogli uniknąć poważnej recesji.

Problem w tym, że rynki są teraz bardzo niestabilne. Następnym wstrząs może doprowadzić do globalnej katastrofy.

- Następnym wstrząs - powtórzył cicho prezydent. - Boże, chroń nas przed tym.

36

Ławica piasku, gdzie Summer znalazła porcelanową figurkę, wyglądała teraz jak podwodny plac budowy. We wszystkich kierunkach ciągnęły się aluminiowe kratownice i żółte liny, z dna morskiego sterczały pomarańczowe chorągiewki. To, co zaczęło się jako drażnienie otworu sondazowego w pobliżu skalnego wypiętrzenia, przerodziło się w pełne wykopaliska, kiedy Dirk i Summer odkryli pod półmetrową warstwą piasku drewniany szkielet kadłuba statku. Dodatkowe otwory sondazowe potwierdziły, że porcelanowa figurka i kamienna kotwica nie są przypadkowymi przedmiotami wyrzuconymi za burtę, lecz pochodzą z wraka zagrzebanego między dwiema rafami koralowymi.

Pięknie wykonane niebiesko-białe talerze i miski z porcelany, wota i jadeitowe rzeźby wskazywały na chińskie pochodzenie wraka. Fragmenty konstrukcji również sugerowały, że to masywna dżonka. Ku zaskoczeniu Summer odkrycie wraka starego chińskiego statku na hawajskich wodach wywołało sensację. Przedstawiciele mediów z całego świata zlecieli się jak sępy, żeby usłyszeć jej opowieść. Po serii wywiadów Summer była szczęśliwa, mogąc wreszcie włożyć akwalung i płetwy i uciec pod wodę. Wiedziała, że zainteresowanie dziennikarzy jej osobą szybko minie i będzie można spokojnie kontynuować prace wykopaliskowe.

Summer przepłynęła nad kratownicami i minęła dwóch nurków, którzy usuwali dmuchawami piasek w miejscu, gdzie spodziewano się znaleźć stewę rufową dżonki. Kilka metrów dalej ręczne sondy wpuszczone w piasek wykryły inny duży drewniany przedmiot, który mógł być sterem. Summer dotarła do krańca strefy wykopalisk i uniosła się wzdłuż pionowej liny do góry, trzymając nad głową zaciśniętą pięść, dopóki nie przebiła powierzchni morza.

Nad terenem podwodnych robót była teraz zakotwiczona brązowa stalowa barka. Summer podpłynęła do drabinki na jej burcie, rzuciła płetwy na pokład i wspięła się do góry. Na jednym końcu odkrytego pokładu znajdowała się blaszana nadbudówka. Przy jej ścianie stał stelaż pełen sprzętu do nurkowania. Był tam też generator, pompa i kilka kompresorów. Na dachu nadbudówki leżały dwie deski surfingowe, jedyny rozrywkowy akcent w miejscu pracy. Dirk i Summer zawsze je brali podczas każdej wyprawy na Hawaje.

- Jaka woda?- zapytał Jack Dahlgren. Pochylał się nad jednym z kompresorów, w dłoni trzymał śrubokręt.

Summer odłożyła swój akwalung i resztę sprzętu na stelaż.

- Super, jak zawsze - odrzekła z uśmiechem. - To Hawaje. Wytarła rękami włosy i podeszła do Dahlgrena.

- Kiedy będziesz gotowy? - zapytała.

- Czekam tylko na dostawę paliwa i zaopatrzenia z „Mariany”. Jeden kompresor użyjemy do „odkurzacza”, dwa pozostałe do tłoczenia powietrza z powierzchni. Nurkowanie z nimi w tych czystych wodach to sama przyjemność.

- Mnie bardziej bawi „odkurzacz”.

„Odkurzacz” był po prostu rurą, w której sprężone powietrze wytwarzało próżnię, zasysając piasek i luźne szczątki z miejsca spoczynku wraka.

- „Mariana Explorer” do „Brown Bess” - odezwało się radio wiszące na relingu. Summer i Dahlgren natychmiast rozpoznali głos Dirka.

- Tu „Bess” - zgłosił się Dahlgren.

- Jack, mamy paliwo i hot dogi. Jesteśmy dziesięć mil morskich od was. Podejźmy do was od zawietrznej, żeby przeładować paliwo.

- Czekamy. - Dahlgren popatrzył na horyzont i dostrzegł turkusowy punkt, który posuwał się w kierunku barki. Radio znów się odezwało.

- I powiedz Summer, że ma jeszcze jednego gościa, który chciałby z nią porozmawiać o wraku. „Explorer” bez odbioru.

Summer zaklęła.

- Kolejny reporter!

- Summer mówi, że będzie zachwycona, mogąc udzielić jeszcze jednego wywiadu. „Bess” bez odbioru - odrzekł Dahlgren i wybuchnął śmiechem na widok wściekłej miny Summer.

Statek NUMA godzinę później przycumował do burty barki. Kiedy Dahlgren nadzorował przeładunek dwustulitrowych beczek z paliwem, Summer przeszła na pokład „Mariany Explorera” i poszukała Dirka. Znalazła go w mesie oficerskiej. Pił kawę z ciemnoskórym Azjatą w luźnych spodniach i koszulce polo.

Przywołał ją gestem.

- Summer, przedstawiam ci doktora Alfreda Tonga. Tong wstał i skłonił się, potem uściśnął dłoń Summer.

- Miło mi panią poznać, panno Pitt - powiedział, patrząc do góry w szare oczy wyższej od niego kobiety. Musiał dużo przebywać na słońcu, bo był opalony jak ona. Summer starała się nie przyglądać bliżnie na lewym policzku Tonga.

- Dzięki Bogu - powiedziała. - Myślałam, że to kolejny dziennikarz telewizyjny.

- Doktor Tong jest konserwatorem zabytków w Muzeum Narodowym Malezji - wyjaśnił Dirk.

Tong przytaknął.

- Uczestniczyłem w seminarium na tutejszym uniwersytecie i usłyszałem o pani odkryciu. Kolega skontaktował mnie z przedstawicielem NUMA na Hawajach. Wasz kapitan i pani brat byli tak uprzejmi, że zaprosili mnie tutaj na jeden dzień.

- „Mariana Explorer” brał akurat w Hilo paliwo i zaopatrzenie dla barki, i wraca tam dziś wieczorem - dodał Dirk.

- Dlaczego interesuje pana ten wrak?

- Mamy w muzeum bardzo duży zbiór artefaktów z Azji Południowo-wschodniej i XIV-wieczny statek chiński, wydobyty z cieśniny Malakka. Choć nie jest to moja specjalność, znam się cokolwiek na ceramice z okresu dynastii Jüan i Ming. Byłem ciekaw, co pani znalazła, i pomyślałem, że może mógłbym pomóc ustalić wiek wraka poprzez przedmioty, które się w nim zachowały. Podobnie jak wielu innych, jestem niezwykle zafascynowany odkryciem XIII-wiecznej chińskiej dżonki na dnie zachodniego Pacyfiku.

- Ustalenie jej wieku to kluczowa sprawa - zgodziła się Summer. - Choć obawiam się, że wydobyliśmy zbyt mało ceramiki. Wysłaliśmy próbkę do zbadania na Uniwersytet Kalifornijski, ale z przyjemnością udostępnię panu to, co zostało.

- Być może powie nam coś miejsce znalezienia artefaktów. Jaki jest stan i położenie wraka?

Dirk rozłożył duży wydruk komputerowy.

- Właśnie miałem panu to pokazać przed przyjściem Summer.

Usiedli przy stole i zaczęli oglądać mapę. Przedstawiała teren wykopalisk z lotu ptaka. W strefie o kształcie podkowy, sąsiadującej z pokrywą lawową, były rozrzucone fragmenty statku i różne przedmioty. Tonga zaskoczyła bardzo małą ilością pozostałości po dżonce.

- Z pomocą archeologów z Uniwersytetu Hawajskiego odkopaliśmy prawie wszystkie dostępne szczątki. Niestety to zaledwie około dziesięciu procent całego statku - powiedział Dirk.

- Reszta jest pod koralowcami? - zapytał Tong.

- Nie, wrak leży prostopadle do dwóch raf, pod ławicą piasku, dziobem w kierunku łądu - odrzekła Summer i wskazała na diagramie dwa skupiska koralowców po obu stronach terenu wykopalisk. - Piasek ochronił istniejące artefakty przed wchłonięciem przez koralowce. Uważamy, że ten pas piasku to naturalny kanał między rafami, kiedy morze było niżej.

- Skoro wrak nie został uwięziony wśród koralowców, to dlaczego nie widać więcej szczątków?

- Z powodu lawy - odparła Summer i wskazała na mapie koniec podkowy, skąd warstwa skały wylewowej ciągnęła się w kierunku łądu. - Jeśli wyjrzy pan przez okno, zobaczy pan, że ta część wybrzeża to jedna wielka pokrywa lawowa. Reszta wraka jest niestety pod spodem.

Tong uniósł brwi.

- Ciekawe. Więc reszta statku i jego ładunku spoczywa nietknięta pod lawą?

- Albo jest pod nią, albo została przez nią pochłonięta. Jeśli dżonka zatoneła i ugrzęzła pod piaskiem, zanim nastąpił wylew lawy, mogła się dobrze zachować. Fragmenty statku, które znaleźliśmy w sąsiedztwie pokrywy lawowej, są całkowicie przykryte, co sugeruje, że reszta wraka wciąż może tam być.

- Lawa może nam pomóc w ustaleniu wieku statku - powiedział Dirk. - Mamy tu miejscowego wulkanologa, który studiuje źródła historyczne dotyczące erupcji wulkanów i wylewów lawy w tym rejonie wyspy. Na razie wiemy, że w najbliższej okolicy nie było aktywności wulkanicznej

od dwustu lat, może nawet dużo dłużej. Mamy nadzieję, że za kilka dni dostaniemy więcej informacji.

- A jakie fragmenty statku zidentyfikowaliście?

- Tylko kilka. Wygląda na to, że pochodzą z części rufowej. To była duża dżonka. Mogła mieć nawet sześćdziesiąt metrów długości. Sugerują to również wymiary kamiennej kotwicy.

- Statek tej wielkości, sprzed tylu wieków, na pewno jest chiński - powiedział Tong.

- Właśnie - przytaknął Dirk. - Europejskie żaglowce z tamtego okresu były o połowę mniejsze. Czytałem o legendarnym chińskim admirałe Czeng Ho, który jakoby w 1405 roku opłynął dookoła świata ze swoją potężną flotą. Ale to nie jest sześciomasztowy, stu pięćdziesięciometrowy olbrzym, jakim podobno żeglował Czeng Ho, jeśli takie wielkie statki w ogóle istniały.

- Historycy lubią przesadzać - odrzekł Tong. - Ale pokonanie połowy Pacyfiku sto lat przed podróżą Czeng Ho byłoby zdumiewającym osiągnięciem.

- Ceramiczne artefakty są intrygującym dowodem, że wrak pochodzi z tamtych czasów - powiedziała Summer. - W naszych badaniach natrafiliśmy na wzory, które sugerują że to statek z XIII lub XIV wieku. Być może po obejrzeniu ceramiki potwierdzi pan naszą ocenę.

- Bardzo mnie interesuje, co wydobyliście.

Przeszli do jasno oświetlonej pracowni. Na stelażach stały plastikowe pojemniki ze słodką wodą, w których umieszczono artefakty pochodzące z wraka.

- Większość tego, to fragmenty samego statku - wyjaśniła. - Ładownie i kajuty załogi muszą być pod lawą bo natrafiliśmy na bardzo niewiele rzeczy osobistych. Znaleźliśmy trochę sprzętu kuchennego i ten duży dzban - wskazała ostatni stelaż - ale zapewne najbardziej zainteresuje pana to.

Zdjęła z jednego ze stelaży dwie kувety i postawiła je na stole z nierdzewnej stali. W kувetach było kilka talerzy, miska i parę kawałków porcelany. Większość przedmiotów miała biały kolor, ale miskę wykonano z czarnej gliny. Tongowi zabłyśły oczy. Włożył okulary do czytania i zaczął oglądać artefakty.

- Bardzo ładne - mruknął.

- Co pan może o tym powiedzieć? - zapytała Summer.

- Wzornictwo i materiał są charakterystyczne dla produktów chińskich z wytwórni porcelany w Cingteczen i Jianyang. Jakość wykonania jest niższa niż w późniejszym okresie panowania dynastii Ming - odrzekł Tong i uniósł jeden z talerzy. - Taki emblemat ryby jak tutaj widziałem kiedyś na misce z epoki dynastii Jüan. Zgadzam się z waszą oceną że ta ceramika pochodzi z XII i XIII wieku, z czasów dynastii Song i Jüan.

Summer uśmiechnęła się i mrugnęła okiem do Dirka. Tong sięgnął po ostatni artefakt w kuwecie, duży, kolorowy, uszkodzony talerz. Przez środek dumnie kroczył emaliowany paw, wokół obrzeża gepard ścigał stado jeleni.

- Jeden z konserwatorów znalazł w bazie danych podobny wzór, używany przez dynastię Jüan - powiedział Dirk.

- Owszem - mruknął Tong i odłożył talerz. - Podobny. Ten na pewno nie był zrobiony dla władcy. Ale zgodziłbym się z tym, że pochodzi z czasów dynastii Jüan, która, jak wiecie, panowała od 1279 do 1368 roku, a więc dużo wcześniej, niż żył admirał Czeng.

- To zastanawiające, jak statek z tamtej epoki trafił na hawajskie wody.

Drzwi pracowni otworzyły się i wszedł Bill Stenseth, kapitan „Mariany Explorera”. Wysoki, jasnowłosy, dzięki swojej inteligencji i bezstronności cieszył się szacunkiem całej załogi.

- Dahlgren już przeładował paliwo i zaopatrzenie na wasz pływający hotel. Jak przyjdziecie na barcę, ruszę w drogę.

- Już kończymy, kapitanie. Dirk i ja zaraz weźmiemy nasze rzeczy i dołączymy do Jacka.

- Nadal pracujecie przy wraku? - zapytał Tong.

- Chcemy odkopać ostatnią część. Uważamy, że to może być ramię sterowe - wyjaśniła Summer. - Jeśli tak, będziemy mieli lepsze pojęcie o wielkości statku. „Mariana Explorer” musi dalej realizować projekt badania raf po drugiej stronie wyspy, więc Dirk, Jack Dahlgren i ja przenosimy się na kilka dni na barcę, żeby dokończyć prace wykopaliskowe.

- Rozumiem - odrzekł Tong. - Dziękuję za pokazanie mi wydobytych artefaktów. Po powrocie do Malezji przejrzę archiwa naszego muzeum i może znajdę dla was jakieś dodatkowe informacje o ceramice, którą dziś widziałem.

- To my dziękujemy za pańską wizytę i opinię. Cieszymy się, że potwierdził pan naszą wstępną ocenę wieku i ewentualnego pochodzenia statku.

Dirk i Summer wzięli trochę rzeczy osobistych i przeskoczyli na barkę, gdzie Dahlgren już odcumowywał statek. Kapitan Stenseth włączył syrenę okrętową i cofnął „Explorera”. Turkusowy statek wziął kurs na Hilo i zniknął wkrótce za poszarpanym wybrzeżem.

- I czego dowiedzieliście się o naszym chińskim wraku pod lawą? - zapytał Dahlgren, szukając w chłodziarce jakichś napojów.

- Doktor Tong potwierdził nasze przypuszczenia co do wieku ceramiki, z czego wynika, że statek ma siedemset do ośmiuset lat - odrzekła Summer.

- Doktor wydawał się szczególnie zainteresowany talerzem, na którym zdaniem chłopców z naszego laboratorium są cesarskie symbole, choć nie był skłonny przyznać im racji - powiedział Dirk.

- To tylko zawodowa zazdrość. - Summer uśmiechnęła się szeroko. - Wiem, że to cesarski statek.

- Cesarski statek - powtórzył Dahlgren, opadł z puszką piwa na brezentowe krzeselko i położył nogi na nadburciu. - To jest coś.

37

Osiem tysięcy kilometrów na wschód Pitt i Giordino weszli do holu hotelu Continental w Ułan Bator. Wyglądali jak włóczędzy. Ich wymięte ubrania, włosy, skórę i buty pokrywał kurz. Na zarośniętych twarzach mieli pęcherze od słońca. Brakowało tylko roju much krążących nad ich głowami. Kierownik hotelu spojrział lekceważąco na dwóch oberwańców z zaropiałymi oczami, którzy stanęli przed ladą recepcyjną.

- Są jakieś wiadomości dla pokoju 4024 lub 4025? - zapytał Pitt, odsłaniając lśniące białe zęby za spieczonymi wargami.

Kierownik uniósł brwi, gdy rozpoznał swoich gości. Wszedł na chwilę na zaplecze.

- Jest jedna wiadomość i przesyłka, proszę pana - powiedział i wręczył Pittowi kartkę papieru i małe pudełko z naklejkami, z których wynikało, że zostało dostarczone w nocy.

- To od Korsowa - szepnął Pitt do Giordina, gdy odeszli od lady.
- Co ma do powiedzenia nasz ulubiony agent KGB?
- Wezwano go do Irkucka na konferencję ministerstwa spraw zagranicznych. Pozdrowia nas i ma nadzieję, że nasza wyprawa na południe była owocna. Skontaktuje się z nami za kilka dni, jak wróci do miasta.

- To bardzo uprzejmie z jego strony - odrzekł Giordino z nutą sarkazmu. - Nie wiem tylko, czy Theresa i Jim mogą sobie pozwolić na luksus czekania na jego powrót.

Otworzył pudełko dostarczone w nocy. W środku była stara książka w skórzanej oprawie i słoiczek witamin. Na podłogę upadła mała kartka. Podniósł ją i wręczył Pittowi.

- Od żony?

Pitt przytaknął i przeczytał napisaną ręcznie treść.

Twoja ulubiona książka i trochę witamin, żebyś był zdrowy.

Używaj ich oszczędnie, kochanie.

Dzieci przesyłają pozdrowienia z Hawajów. Odkryły jakiś stary wrak, czym narobiły niezłego zamieszania. W Waszyngtonie jest nudno bez ciebie, więc wracaj prędko do domu.

Loren

- Książka i witaminy? Pani Pitt nie jest zbyt romantyczna - zadrwił Giordino.

- Ale to moja ulubiona powieść.

Pitt uniósł książkę i pokazał Giordinowi jej grzbiet.

- Moby Dick Melville'a. Dobry wybór - przyznał Giordino. - Choć ja wolę przygody Archiego i Veroniki.

Pitt otworzył książkę, przerzucił kartki i znalazł wycięcie. W środku tkwił samopowtarzalny colt 45. Giordino gwizdnął cicho.

- Widzę, że dostarczyła ci harpun.

Pitt zdjął pokrywkę ze słoiczka z witaminami, w którym było kilkanaście naboji do pistoletu.

- Czy parlamentarzystka nie narobi sobie kłopotów z powodu wysłania za granicę broni palnej? - zapytał Giordino.

- Tylko wtedy, jeśli ją złapią. - Pitt się uśmiechnął, potem zamknął książkę i słoiczek.

- Z tą artylerią nie ma sensu czekać na Korsowa - powiedział Giordino.
- Chyba nie. Kiedy Bordżin nie dostanie wiadomości od swojego mordercy udającego mnicha, zacznie działać.
- Pysznic i piwo powinny nam pomóc w procesie planowania.
- Najpierw ustalmy fakty - odparł Pitt i skierował się do ciasnego centrum biznesowego obok głównego holu. Wyjął z kieszeni srebrny wisior, który zabrał z posiadłości Bordżina, i umieścił go w kserokopiarce. Napisał na fotokopii notatkę, włożył kartkę do faksu i wybrał z pamięci numer. Potem przefaksował pod inny numer strony wyrwane z instrukcji obsługi aparatury sejsmicznej.
- To powinno dać zajęcie kilku osobom, które się nudzą - mruknął pod nosem i pojechał na górę do swojego pokoju.

Dawna wozownia w Georgetown wyglądała z zewnątrz jak każda zadbanej rezydencji w tej eleganckiej dzielnicy Waszyngtonu. Stary ceglany budynek miał świeżo pomalowane okapy, szyby w XIX-wiecznych oknach lśniły czystością, małe podwórce były starannie sprzątnięte. Kontrastowało z tym znacznie wewnątrz domu, które przypominało bibliotekę publiczną. Wzdłuż niemal każdej ściany ciągnęły się drewniane półki zapchane książkami historycznymi o tematyce morskiej. Stosy tomów leżały na stole w jadalni, na blatach kuchennych i na podłodze w różnych pomieszczeniach.

Ekscentryczny właściciel domu, St. Julien Perlmutter, nie chciał tego zmieniać. Książki były główną pasją jednego z czołowych historyków morskich w kraju. Miał także egzemplarze, których mogli mu pozazdrościć bibliotekarze i prywatni kolekcjonerzy. Chętnie dzielił się swoją wiedzą z podobnymi do niego miłośnikami morza.

Dźwięk faksu wyrwał Perlmuttera z drzemki w wygodnym skórzanym fotelu, gdzie zasnął przy lekturze dziennika pokładowego ze słynnego okrętu widma „Mary Celeste”. Podniósł swoje stuosiemdziesięciokilogramowe ciało, poszedł odebrać wiadomość i szarpnął gęstą siwą brodę, gdy przeczytał krótki tekst na pierwszej stronie.

St. Julien

Butelka ajraku dla ciebie, jeśli to zidentyfikujesz.

Pitt

- Ajraku? To jakieś przekupstwo - mruknął z uśmiechem. Perlmutter był wielkim smakoszem i uwielbiał egzotyczne potrawy, o czym świadczył jego ogromny brzuch. Pitt trafił w jego czuły punkt, wspominając o mongolskim sfermentowanym kobyli mleku. Perlmutter przyjrzał się uważnie następnym stronom faksu, które ukazywały awers i rewers srebrnego wisiora.

- Nie jestem jubilerem, Dirk, ale wiem, kto mógłby to rozpoznać - powiedział głośno. Podniósł słuchawkę telefonu, wybrał numer i czekał, aż ktoś odbierze. - Gordon? Mówi St. Julien. Tak, pamiętam, że jesteśmy umówieni na lunch w czwartek, ale potrzebuję twojej pomocy. Moglibyśmy się spotkać dzisiaj? Dobrze, dobrze, zrobię rezerwację. Do zobaczenia w południe.

Perlmutter wyłączył się i znów spojrzał na zdjęcie wisiora. Znając Pitta, domyślał się, że chodzi o jakąś niezwykłą historię. W dodatku zapewne niebezpieczną.

W restauracji Monocle niedaleko Capitol Hill panował tłok, kiedy Perlmutter wszedł do środka. Lokal był popularny wśród waszyngtońskich polityków i każdego dnia w porze lunchu roiło się tu od senatorów, lobbystów i pracowników Kapitolu. Perlmutter szybko zauważył w bocznej łoży swojego przyjaciela Gordona Eetena, który jako jeden z niewielu gości nie miał na sobie granatowego garnituru.

- Miło cię znów widzieć, St. Julien - powitał go Eeten. Podobnie jak Perlmutter był potężnym mężczyzną. Miał poczucie humoru i spostrzegawczość detektywa.

Perlmutter spojrzał na prawie pusty kieliszek martini na stoliku i się uśmiechnął.

- Chyba muszę nadrobić zaległości.

Przywołał barmana, poprosił o Sapphire Bombay Gibson, potem obaj zamówili lunch. Kiedy czekali na jedzenie, Perlmutter wręczył Eetenowi faks od Pitta.

- Niestety, najpierw obowiązek, potem przyjemność - powiedział. - Przyjaciel znalazł ten wisior w Mongolii i chciałby o nim coś wiedzieć. Możesz rzucić na to trochę światła?

Eeten popatrzył na fotokopie z miną pokerzysty. Pracował jako rzeczoznawca w słynnym domu aukcyjnym Sotheby's i oceniał tysiące historycznych artefaktów, zanim trafiały na publiczne licytacje. Przyjaźnił się z Perlmutterem od dziecka i regularnie dawał mu cynk, kiedy na sprzedaż wystawiano przedmioty związane z morzem.

- Trudno to oszacować - odparł. - Nie cierpię tego robić na podstawie faksu.

- O ile znam mojego przyjaciela, interesuje go nie tyle wartość, ile wiek i historia tej ozdoby.

Eeten wyraźnie się odprężył.

- Trzeba było od razu tak mówić.

- Więc wiesz, co to jest?

- Chyba tak. Widziałem coś podobnego u nas na aukcji kilka miesięcy temu. Oczywiście musiałbym obejrzeć oryginał, żeby zweryfikować autentyczność.

- Co możesz o tym powiedzieć? - zapytał Perlmutter i wyjął notes.

- Wygląda na wyrób Seldżuków. Dwugłowy orzeł, bardzo rzadki motyw, był ulubionym symbolem dynastii.

- Jeśli dobrze pamiętam, Seldżycy byli tureckimi muzułmanami i przez jakiś czas rządili dużą częścią Bizancjum - powiedział Perlmutter.

- Tak, zajęli Persję około 1000 roku naszej ery, ale szczyt potęgi osiągnęli mniej więcej dwieście lat później, zanim pokonał ich Chorezm, którym władał wtedy Aladyn Muhammad. Seldżycy byli zdolnymi rzemieślnikami, specjalizowali się zwłaszcza w obróbce kamienia, ale znali się też na metalurgii. Swego czasu bili nawet monety ze srebra i miedzi.

- Więc potrafiliby zrobić taki wisior.

- Oczywiście. Mikroskopijna kaligrafia zgodna jest z ich późniejszą praktyką ozdabiania metalowych wyrobów islamskimi wersetami. Na Uniwersytecie Columbia jest pewien profesor, który mógłby ci przetłumaczyć tę inskrypcję, wykonaną zapewne pismem kufickim. Kto wie, może było to coś zrobionego specjalnie dla sułtana?

- Dlaczego tak sądzisz?

- Seldżycy rzadko używali srebra i złota do swoich wyrobów. Przedmioty z tych materiałów uważano za luksusowe, a więc sprzeczne z islamskim ideałem skromności. Oczywiście sułtani niekoniecznie przestrzegali tej zasady. Jeśli więc ten wisior jest ze srebra, istnieje duże prawdopodobieństwo, że został zrobiony dla sułtana.

- Mamy zatem do czynienia z wyrobem Seldżuków, pochodzącym z XII i XIII wieku naszej ery i zapewne wykonanym dla sułtana - podsumował Perlmutter i zapisał to.

- Najprawdopodobniej. Przedmioty, które ostatnio zbadaliśmy i wystawiliśmy na licytację, były częścią zbiorów Malika Szaha, seldżuckiego sułtana zmarłego w 1092 roku. To ciekawe, że twój przyjaciel znalazł ten wisior w Mongolii. Jak wspomniałem, Seldżuków pokonały siły Aladyna Muhammada, rozgromione z kolei przez Czyngis-chana około 1220 roku. Ta ozdoba mogła nawet należeć do łupów wojennych, zdobytych przez Mongołów.

Zjawił się kelner ze stekiem dla Eetena i wątróbką cielęcą dla Perlmuttera.

- Ciekawe. Chyba na rynek nie trafia zbyt wiele XII- i XIII-wiecznych artefaktów azjatyckich?

- Dawniej rzadko spotykano przedmioty z tego okresu. Ale osiem czy dziewięć lat temu skontaktował się z nami pewien pośrednik z Malezji, który od tamtej pory stale dostarcza nam takie artefakty. Sprzedaliśmy ich za ponad sto milionów dolarów. Wiem, że Christie's może się pochwalić zbliżonym wynikiem.

- Coś takiego! Skąd się biorą te antyki?

- Mogę się tylko domyślać - odrzekł Eeten, przeżuując stek. - Ten Malezyjczyk to bardzo tajemniczy facet. Odmawia ujawnienia swoich źródeł. Nie zgodził się nawet na spotkanie ze mną. Ale nigdy nie przysłał nam nic fałszywego. W każdym transporcie są same oryginały.

- Dziwne, że przychodzą z Malezji.

- To prawda, ale mogą tam trafiać skądkolwiek. To tylko pośrednik. Ani jego nazwisko, ani nazwa firmy nie są malezyjskie.

- To znaczy? - zapytał Perlmutter.

- Firma dziwnie się nazywa. Spółka Handlowa Buriat.

Theresa poczuła lekką ulgę, kiedy drzwi jej pokoju otworzyły się i strażnik pokazał, żeby wyszła na korytarz. Pomyślała, że jeśli mają ją zabić, niech to wreszcie zrobią. To lepsze niż niekończące się oczekiwanie w strachu pod kluczem.

Minęły dwa dni, odkąd zamknięto ją w pokoju bez żadnego wyjaśnienia. Nikt się z nią nie kontaktował, dostawała tylko od czasu do czasu tacę z jedzeniem. Choć nie wiedziała o wizycie chińskiej delegacji, słyszała przyjazd i odjazd kolumny samochodów. Bardziej zagadkowa była strzelanina w głębi kompleksu. Theresa wyglądała przez małe okienko w tylnej ścianie pokoju, ale widziała tylko wirujący kurz. Kiedy następnego dnia znów wyjrzała na dwór, zobaczyła konne patrole, jednak wydało jej się, że strażników ubył.

Gdy teraz wyszła na korytarz, ucieszył ją widok Wofforda opartego na lasce. Uśmiechnął się do niej.

- Koniec wakacji - powiedział. - Chyba wracamy do pracy.

Okazało się, że ma rację. Czekał na nich Bordżin. Siedział i palił grube cygaro. Wydawał się bardziej odprężony niż ostatnim razem i bardziej arogancki.

Przywołał ich gestem do stołu.

- Siadajcie, przyjaciele. Mam nadzieję, że dobrze wypoczęliście w wolnym czasie.

- Jasne - odparł Wofford. - Wpatrywanie się w cztery ściany to najlepszy relaks.

Bordżin zignorował tę uwagę i wskazał świeży stos raportów sejsmologicznych.

- Prawie zakończyliście pracę - oznajmił. - Ale trzeba szybko wybrać odpowiednie miejsca dla szybów wiertniczych w tym regionie.

Rozpostarł mapę topograficzną obszaru o powierzchni ponad pięciuset kilometrów kwadratowych. Theresa i Wofford rozpoznali po oznaczeniach, że to chińska część pustyni Gobi na południowy wschód od granicy z Mongolią.

- Wyszczególniliście już szereg stref na tym terenie. Muszę przyznać, że wasze analizy były bardzo wnikliwe - powiedział protekcyjnym tonem. - Jak widzicie, na tej mapie są oznaczone sektory, które zbadaliście. Proszę was teraz o ich ocenę w odniesieniu do całego regionu i wskazanie najlepszych miejsc na odwierty próbne, żeby zmaksymalizować ewentualne wydobycie.

- Czy te sektory nie leżą w Chinach? - zapytał Wofford.

- Owszem - przytaknął Bordżin bez dalszych wyjaśnień.

- Ewentualne złoża mogą znajdować się głęboko - rzekł Wofford. - Pewnie dlatego przeoczono je w przeszłości.

- Posiadamy odpowiedni sprzęt do wierceń - odparł ze zniecierpliwieniem Bordżin. - Muszę mieć dwieście wysoko wydajnych szybów w ciągu sześciu miesięcy. Ustalcie, gdzie je drążyć.

Wofford poczerwieniał. Arogancja Bordżina wkurzyła go. Theresa poznała po jego minie, że zamierza powiedzieć Mongołowi, co o nim sądzi. Wkroczyła szybko do akcji.

- Dobrze - zgodziła się. - Ale zajmie nam to trzy do czterech dni - dodała, żeby zyskać na czasie.

- Macie na to dobę. Moja szefowa operacji terenowych spotka się z wami jutro po południu. Wprowadzicie ją w szczegóły.

- A potem będziemy mogli wrócić do Ułan Bator? - zapytała Theresa.

- Pojutrze rano dostaniecie środki transportu.

- No to bierzemy się do pracy - odrzekła, wzięła dokumentację i rozłożyła na stole. Bordżin z nieufną miną skinął głową wstał i wyszedł z pokoju. Kiedy zniknął w głębi korytarza, Wofford odwrócił się do Theresy i pokręcił głową.

- Wspomniały pokazać chęci do współpracy - szepnęła. - Zaczynamy wszystko od początku?

Zasłoniła raportem usta.

- Lepiej, żeby myślał, że mu wierzymy. A poza tym nie chciałam, żebyś go zdenerwował, bo zabiliby nas oboje.

Wofford zdawał sobie sprawę, że niewiele brakowało.

Wiedząc, że obserwują ich kamery, Theresa przerzuciła dokumenty, wyciągnęła spod nich jakąś mapę i rozłożyła raporty. Wzięła ołówek i napisała na odwrocie mapy: „Pomysły na ucieczkę”. Poniżej dodała kilka uwag i podsunęła mapę Woffordowi. Wziął ją i zaczął czytać z

zainteresowaniem notatki Theresy. Kiedy trzymał mapę w górze, Theresa zauważyła na jej odwrocie Zatokę Perską. W kilku rejonach były narysowane rzędy czerwonych ząbkowanych linii. W dwóch miejscach widniały czerwone kręgi. Jeden otaczał miasto Ras Tannura, drugi małą wyspę u wybrzeży Iranu.

- Jim, spójrz na to - przerwała mu i odwróciła mapę. Wofford przyjrzał się czerwonym liniom.

- To mapa uskoków. Ukazuje granicę płyty tektonicznej, która biegnie wzdłuż Zatoki Perskiej, i główne strefy uskoków w jej pobliżu.

Odizolowani od chwili ich porwania, nie wiedzieli o niedawnych katastrofalnych trzęsieniach ziemi w zatoce. Kiedy Wofford przyglądał się dwóm czerwonym kręgom, Theresa pogrzebała w dokumentacji i znalazła dwie podobne mapy. Pierwsza ukazywała w powiększeniu jezioro Bajkał.

- Coś takiego! Zobacz!

Tuż powyżej czubka jej palca, na północnym brzegu Bajkału, widniała gruba linia uskokowa w czerwonym kręgu. Na mapie zaznaczono też nowy rurociąg, który biegł dwa czy trzy kilometry od jeziora.

- Jak myślisz, chyba nie zmajstrowali czegoś przy uskoku, co wywołało wielką falę na jeziorze? - zapytała.

- Nie widzę innego sposobu niż zdetonowanie głowicy jądrowej - odrzekł bez przekonania Wofford. - Co jest na drugiej mapie?

Theresa położyła ją na stosie dokumentów. Oboje natychmiast rozpoznali linię brzegową Alaski od Anchorage do Kolumbii Brytyjskiej. Rurociąg Alaski, biegnący w głąb lądu od swojego końcowego punktu w portowym mieście Valdez, był oznaczony żółtym kolorem. Rurą o średnicy stu dwudziestu dwóch centymetrów płynęło dziennie milion baryłek ropy, pochodzącej z bogatych złóż nad zatoką Prudhoe i przeznaczanej na wewnętrzny rynek amerykański.

Theresa z rosnącym niepokojem wskazała zaznaczoną na mapie grubą linię uskokową u wybrzeży Alaski. Punkt na uskoku na wprost Valdez otoczony był ciemnoczerwonym kręgiem.

Wpatrywali się w ponurym milczeniu w to miejsce i zastanawiali, co Bordzin chce zrobić z rurociągiem Alaski.

Hiram Yaeger pochłonął żarłocznie kanapkę z grillowanym kurczakiem, popił ją zieloną herbatą i pożegnał osoby towarzyszące mu w kafeterii. Szef ośrodka komputerowego NUMA rzadko opuszczał swoje królestwo w waszyngtońskiej centrali agencji i szybko wracał do siebie na dziesiąte piętro budynku. Wychodząc z baru samoobsługowego, pięćdziesięcioletni mężczyzna w T-shircie Rolling Stonesów uśmiechnął się pod nosem, gdy dwaj wizytujący NUMA politycy w granatowych garniturach spojrzeli na niego krzywo.

Chudy geniusz komputerowy demonstrował swój nonkonformizm, nosząc dżinsy, kowbojskie buty i długie włosy związane w kucyk. Wygląd zewnętrzny maskował umiejętności Yaegera, o których świadczyło stworzone przez niego rozległe centrum komputerowe. Bazy danych ośrodka zawierały największy na świecie zbiór materiałów z dziedziny oceanologii i badań podwodnych, jak również aktualne informacje o stanie mórz i warunkach pogodowych, napływające z setek stacji monitorujących na całej kuli ziemskiej. Ogromna moc obliczeniowa ośrodka powodowała, że wszyscy naukowcy NUMA chcieli z niej korzystać, a Yaeger nigdy nie odmawiał kolegom.

Drzwi windy otworzyły się na dziesiątym piętrze i Yaeger wszedł do swojej przestronnej pracowni komputerowej. Front pomieszczenia zajmowała wielka konsola w kształcie podkowy. Na jednym z obrotowych foteli przy pulpicie siedział masywny, łysiejący mężczyzna o miłym wyrazie twarzy.

- Nie mogłem uwierzyć, że cię nie zastałem. - Uśmiechnął się.
 - W przeciwieństwie do moich ukochanych komputerów muszę coś jeść - odparł Yaeger. - Miło znów cię widzieć, Phil - dodał i uściśnął gościowi dłoń. - Co słyszać w zwirowym dole?

Doktor Phillip McCammon zachichotał. Był szefem działu geologii morskiej NUMA i ekspertem w dziedzinie podmorskich osadów. Tak się składało, że jego dział mieścił się na jednej z podziemnych kondygnacji budynku centrali.

- Wciąż kruszymy skały - odrzekł McCammon. - Ale chciałbym skorzystać z twojej pomocy.

- Moje królestwo jest do twojej dyspozycji - powiedział Yaeger i wskazał szerokim gestem komputery wokół siebie.

- Nie zajmę ci wiele czasu. Dostałem od kolegi z Langley nieoficjalną prośbę, żeby przyjrzeć się pewnym danym sejsmologicznym. CIA interesują dwa niedawne trzęsienia ziemi w Zatoce Perskiej.

- Ciekawy zbieg okoliczności, że zdarzyły się tak blisko siebie. W dodatku oba zahamowały dostawy ropy. Jeśli będą dalsze podwyżki cen benzyny, niedługo zacznę przyjeżdżać do pracy na rowerze - odparł Yaeger.

- Nie ty jeden.

- Czym mogę służyć?

- CIA poprosiła Narodowe Centrum Informacji o Trzęsieniach Ziemi w Golden w Kolorado o przysłanie historii globalnej aktywności sejsmicznej w ciągu ostatnich pięciu lat - wyjaśnił McCammon. - Jeden z moich analityków napisał oprogramowanie do oceny charakterystyki trzęsień w Zatoce Perskiej. Te parametry zostaną porównane z globalną bazą danych sejsmologicznych, żeby sprawdzić, czy są jakieś podobne profile.

- Myślisz, że coś w tym może być?

- Nie bardzo sobie wyobrażam, co. Ale uważam, że trzeba pomóc naszym zaprzyjaźnionym szpiegom.

Yaeger skinął głową.

- Jasne, żaden problem. Po południu każę Max ściągnąć dane z Golden. Przyślij mi na górę swoje oprogramowanie, to jutro rano będziesz miał odpowiedzi.

- Dzięki, Hiram. Zaraz ci to dostarczę.

Kiedy McCammon ruszył do windy, Yaeger odwrócił się do klawiatury i monitora i zaczął wpisywać do komputera polecenia. Przerwał, gdy zobaczył w koszyku na korespondencję kilkustronicowy faks. Nadany został w hotelu Continental w Ułan Bator.

- Nieszczęścia chodzą parami - mruknął po przejrzaniu faksu. Odłożył go i wrócił do pisania.

Po drugiej stronie konsoli pojawiła się natychmiast piękna kobieta w cienkiej, białej bluzce i wełnianej, plisowanej spódnicy do kolan.

- Witaj, Hiram. Zaczynałam się zastanawiać, czy mnie dzisiaj wezwiesz.

- Wiesz, że nie mogę bez ciebie żyć, Max - odrzekł Yaeger. Max była mirażem, obrazem holograficznym, który sam stworzył. Przypominała jego żonę, ale miała figurę wiecznej dwudziestolatki. Dla niego i innych pracowników centrali NUMA stała się żywą istotą. Przy rozwiązywaniu skomplikowanych problemów polegał na jej sztucznej inteligencji.

- Komplementami załatwisz ze mną wszystko - powiedziała chytrze. - Co dziś mamy? Duży czy mały problem?

- Jedno i drugie. Możliwe, że będziesz musiała pracować całą noc - uprzedził.

- Wiesz, że nigdy nie śpię - odparła i podwinęła rękawy bluzki. - Od czego zaczynamy?

Położył przed sobą faks.

- Chyba lepiej wziąć najpierw na warsztat sprawę szefa.

40

Słońce wspięło się wolno nad wzgórze lawowe i palmy kokosowe. Oświetliło złocistym blaskiem zacumowaną barkę. Z dużego odtwarzacza na pokładzie płynęła głośna, rytmiczna muzyka hawajskiego zespołu gitarowego, zagłuszając buczenie przenośnego generatora.

Summer, Dirk i Dahlgren wstali już ze swoich koi w nadbudówce i przygotowywali się do długiego dnia pracy pod wodą. Kiedy Dirk uzupełnił zapas powietrza w butlach akwalungów przy użyciu dwóch kompresorów, Summer skończyła jeść śniadanie złożone ze świeżej papai, bananów i szklanki soku z guawy.

- Kto pierwszy? - zapytała i popatrzyła na spokojne o poranku morze wokół barki.

Dirk wskazał głową Dahlgrena.

- Chyba Kapitan Jack ułożył harmonogram pracy?

Dahlgren - w kąpielówkach, kłapkach i wyblakłej, hawajskiej koszuli - sprawdzał zawory akwalungów. Jego przezwisko Kapitan wzięło się stąd, że nosił granatową czapkę kapitańską z dwiema skrzyżowanymi

złotymi kotwicami z przodu, ulubione nakrycie głowy bogatych żeglarzy. Ale jego sfatygowana czapka wyglądała tak, jakby przejechał po niej czołg M-1.

- Owszem - odparł ochryplym głosem. - Będziemy pracowali pod wodą parami, po dziewięćdziesiąt minut, potem przerwa i zmiana. Dirk i ja zanurkujemy pierwsi, potem dołączysz do mnie ty - wskazał głową Summer - a Dirk będzie się opalał.

- To mi przypomniało, że nie zauważyłem na pokładzie tej łajby miksera - powiedział z rozczarowaniem Dirk.

- Muszę zameldować, że i tak nie mamy rumu. Ostatnia porcja zniknęła dziś w nocy. Została zużyta w celach medycznych - odparł Dahlgren.

Na widok paniki na twarzy Dirka Summer zrobiła taką minę, jakby chciała zapytać: „Dlaczego podejrzewacie mnie?”

- Dobra, moi przyszli członkowie klubu AA, bierzmy się do roboty. Jeśli dopisze nam szczęście i znajdziemy ster, czeka nas mnóstwo kopania. Musimy jeszcze zdemontować i usunąć oznaczniki, a chciałabym zdążyć, zanim wróci tu „Mariana Explorer”, żeby zbadać dodatkowe miejsca.

Dahlgren wyprostował się, zdjął kapitańską czapkę i rzucił przez pokład. Poszybowała w powietrzu i trafiła Summer w pierś. Summer przestraszyła się, ale zdołała ją złapać.

- No proszę - powiedział Dahlgren. - Masz dużo lepszy refleks niż ja.

- Uważaj, bo mogę przypadkiem odciąć ci dopływ powietrza, kiedy będziesz na dole - ostrzegła.

Dirk uruchomił dwa kompresory, potem poszedł w ślady Dahlgrena, który już wkładał „mokry” skafander do nurkowania w ciepłej wodzie. Mieli się dzielić powietrzem z jednego kompresora. System bez niewygodnych butli tlenowych ułatwiał pracę i wydłużał czas przebywania pod wodą. Ponieważ wrak spoczywał na głębokości zaledwie dziesięciu metrów, teoretycznie mogliby pracować pod powierzchnią cały dzień.

Summer wzięła „odkurzacz” i opuściła za burtę długi cylinder z PCV. Do dolnego końca rury był przymocowany przewód powietrzny z zaworem, biegnący od drugiego kompresora. Summer opuszczała wolno cylinder, dopóki nie dotknął dna.

Dirk włożył płetwy i zerknął na zegarek.

- Do zobaczenia za dziewięćdziesiąt minut - powiedział do Summer i założył maskę do nurkowania.

- Zostawię włączone światło! - krzyknęła przez hałas kompresorów. Podeszła do nadburcia i oddzieliła od siebie trzy węże powietrzne, wykorzystywane w czasie podwodnej operacji. Dirk pomachał do niej i zeskoczył z barki. Sekundę później to samo zrobił Dahlgren.

Pod powierzchnią turkusowej wody Dirk przestał słyszeć hałas kompresorów. Przetkał uszy, zanurkował do dna i szybko zlokalizował „odkurzacz”. Chwycił rurę i popłynął za Dahlgrenem, który kierował się na głębszą wodę. Zatrzymali się przy dwóch pomarańczowych chorągiewkach, wystających z piasku. Dirk postawił na dnie „odkurzacz” i przesunął dźwignię na przewodzie powietrznym. Do dolnego końca rury wtargnęło sprężone powietrze i uniosło się ku powierzchni, porywając ze sobą piasek i wodę. Dirk zaczął przemieszczać „odkurzacz” tam i z powrotem nad dnem i wysysać piasek, by wokół oznacznika powstał otwór.

Dahlgren przyglądał się temu przez chwilę, potem zajął pozycję kawałek dalej. W rękach trzymał pręt z nierdzewnej stali z krzyżakowym uchwytem na jednym końcu. Zaczął wkręcać stalową sondę w piaszczyste dno i pół metra głębiej natrafił na coś twardego. Miał doświadczenie i rozpoznał po wibracji, że jest to drewno. Wyciągnął sondę, przeniósł się kilkadziesiąt centymetrów dalej i powtórzył czynność. Zaczął otaczać niewidoczny obiekt pomarańczowymi chorągiewkami.

Otwór tworzony „odkurzaczem” przez Dirka ciągle rósł. Dirk dotarł do płaskiej, pokrytej naroślą powierzchni, spojrzął na strefę, wokół której Dahlgren rozmieszczał chorągiewki, i stwierdził, że obiekt jest bardzo duży. Jeśli to ster, statek musiał być większy, niż przypuszczali.

Na pokładzie barki Summer jeszcze raz sprawdziła działanie kompresorów, potem usiadła na krzeselku plażowym, skąd widziała węże powietrzne. Od strony lądu powiał chłodny wiatr. Wzdrygnęła się. Na szczęście słońce szybko nagrzewało pokład.

Rozkoszowała się otoczeniem, podziwiała panoramę malowniczego hawajskiego wybrzeża i chłoneła zapachy pobliskiej zielonej wyspy.

Lśniące, błękitne wody falującego Pacyfiku miały egzotyczną, intensywną barwę. Summer spojrzała bez zainteresowania na czarny statek w oddali, odetchnęła głęboko świeżym morskim powietrzem i wyciągnęła się na krzeselku.

Pomyślała, że przy takiej pracy mogą nie dawać jej urlopu.

41

Pitt wstał wczesnym rankiem i był już ubrany, gdy rozległo się pukanie do drzwi jego pokoju hotelowego. Otworzył z wahaniem i odprężył się na widok uśmiechniętego Giordina.

- Spotkałem tego zabłąkanego żebraka w holu - powiedział Giordino i wskazał kciukiem za siebie. - Pomyślałem, że może będziesz wiedział, co z nim zrobić.

Zza jego barczystej postaci wyjrzał z wyrazem ulgi na twarzy zmęczony i wymięty Rudi Gunn.

Pitt wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Mój zaginiony zastępca. Myśleliśmy, że znalazłeś sobie jakąś miłą dziewczkę i osiedliłeś się w syberyjskiej głuszy.

- Byłem szczęśliwy, że się stamtąd wyniosłem. Ale gdybym wiedział, że Mongolia jest jeszcze mniej cywilizowana, zostałbym tam - odparł Gunn, wszedł do pokoju i opadł na fotel. - Nikt mnie nie uprzedził, że w tym kraju nie ma ani jednej porządnej drogi.

Pitt wręczył mu filiżankę kawy z dzbanka, który miał w pokoju.

- Udało ci się przywieźć naszą aparaturę badawczą i sprzęt do nurkowania?

- Tak, załadowałem wszystko na ciężarówkę, którą instytut był uprzejmy mi pożyczyć albo sprzedać, sam już nie wiem. Wydałem wszystkie ruble, jakie miałem, na łapówki dla rosyjskiej straży granicznej, żeby mnie przepuścili do Mongolii. Na pewno myślą że jestem z CIA. Chyba jednak nie powinienem narzekać. Al mówił mi o waszej wędrówce przez pustynię Gobi. To nie był piknik.

- Nie, ale wspanała wycieczka krajoznawcza. - Pitt się uśmiechnął.

- A ten świr w Xanadu... nadal więzi naszą ekipę poszukiwaczy ropy?

- Wiemy, że Roy zginął. Możemy tylko przypuszczać, że pozostali są tam i jeszcze żyją.

Rozmowę przerwał im dźwięk telefonu. Pitt podniósł słuchawkę, powiedział kilka słów, potem przesunął aparat bliżej środka pokoju i włączył głośnik. Rozległ się wesoły głos Hiram Yaegera.

- Pozdrowienia z Waszyngtonu, gdzie miejscowi biurokraci zaczynają się zastanawiać, co się stało z ich ulubionymi guru głębin.

- Po prostu podziwiamy zachwycające podwodne skarby Mongolii - odrzekł Pitt.

- Tak podejrzewałem. I na pewno maczaliście palce w tym, o czym mówią w wiadomościach politycznych z waszej części świata.

Trzej mężczyźni w pokoju popatrzyli na siebie, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Byliśmy trochę zajęci - powiedział Pitt. - Co się dzieje?

- Dziś rano Chiny oznajmiły, że przekazują Mongolii autonomiczny rejon Mongolii Wewnętrznej.

- Widziałem tłum ludzi na placu - powiedział Gunn. - Myślałem, że dziś jest jakieś tutejsze święto.

- Chiny przedstawiają to jako przyjazny gest wobec ich odwiecznego sąsiada. Zbierają pochwały od ONZ-u i zachodnich przywódców. Podziemne ruchy wolnościowe przez lata walczyły o niezależność Mongolii Wewnętrznej lub jej przyłączenie do Mongolii. Chiny miały z tym problem. Ale analitycy mówią prywatnie, że to nie tyle sprawa polityczna, ile ekonomiczna. Niektórzy spekulują że chodzi o rurociąg i umowę handlową która zapewni Chinom dostawy ropy lub innych surowców niezbędnych do ich dalszego rozwoju gospodarczego, choć nikt nie słyszał, żeby Mongolia miała jakieś złoża ropy.

Pitt zerknął na Giordina.

- Chodzi dokładnie o to, Hiram. Można powiedzieć, że Al i ja byliśmy przy negocjacjach.

- Wiedziałem, że mieliście z tym coś wspólnego..- Yaeger się roześmiał.

- Nie tyle, ile ma Konsorcjum Naftowe Awarga i Tołgoj Bordzin. Al i ja widzieliśmy, jakimi środkami dysponuje. Ma już nawet zbiorniki magazynowe przy granicy.

- To ciekawe, że tak szybko załatwił sprawę - zauważył Giordino. - Musiał mieć mocną kartę przetargową.

- Albo użył dezinformacji. Udało ci się dowiedzieć czegoś o tym, co ci przefaksowałem?

- Max i ja poświęciliśmy całą noc na to, żeby coś wygrzebać. Ten facet i jego firma to prawdziwa zagadka. Duże fundusze - niemal potajemna działalność.

- Nasz miejscowy rosyjski kontakt mówi to samo - oświadczył Giordino. - Co ustaliliście?

- Nie znaleźliśmy żadnych dowodów na to, że Konsorcjum Naftowe Awarga eksportuje ropę z Mongolii. Ale też nie bardzo mają co eksportować. Wiadomo, że eksploatują tylko kilka szybów.

- Więc nie będą mogli zaspokoić potrzeb Chin ani żadnego innego kraju?

- Wszystko na to wskazuje. Co dziwne, natrafiliśmy na szereg dużych kontraktów Awargi z zachodnimi dostawcami urządzeń wydobywczych. Przy cenie ropy przekraczającej sto pięćdziesiąt dolarów za baryłkę producenci sprzętu do wierceń nie nadążają z wykonywaniem zamówień. Ale Awarga może się o nic nie lękać. W ciągu ostatnich trzech lat zakupili mnóstwo specjalistycznych urządzeń wiertniczych i elementów rurociągu. Wszystko poszło do Mongolii.

- Widzieliśmy trochę tego tutaj, w Ułan Bator.

- Coś się jednak nie zgadza z tą maszyną do drażenia tuneli. Znaleźliśmy dowód sprzedaży tylko jednej sztuki tego modelu. Trafiła do Malezji.

- Może kupiła ją dla Awargi podstawiona firma? - podsunął Pitt.

- Możliwe. Model, który widzieliście, jest przeznaczony do drażenia tuneli pod rurociągi na małej głębokości. Nadaje się doskonale do pracy w miękkim piasku pustyni Gobi. Tylko nie udało mi się ustalić, skąd ten Bordzin bierze pieniądze na to wszystko, skoro nie ma żadnych widocznych dochodów - zakończył Yaeger.

- Czyngis-chan za to płaci - odparł Pitt.

- Nie rozumiem dowcipu.

Kiedy Giordino opowiadał Gunnowi i Yaegerowi o grobowcu na terenie posiadłości Bordzina i o odkryciu dziennika Hunta w rozbitym samolocie, Pitt wyjął dziesięciostronicowy faks, który dostał od Perlmuttera.

- St. Julien to potwierdza - powiedział. – Sotheby’s i inne znane domy aukcyjne od ośmiu lat mają stały dopływ cennych XII- i XIII-wiecznych dzieł sztuki i artefaktów z kontynentu azjatyckiego.

- Były pochowane razem z Czyngis-chanem? - zapytał Gunn.

- Zostały sprzedane za ponad sto milionów dolarów. Perlmutter ustalił, że te wszystkie przedmioty pochodziły z regionów geograficznych, w których Czyngis-chan dokonywał podbojów aż do chwili swojej śmierci. I wszystkie te artefakty dostarczyła tajemnicza malezyjska firma o nazwie Spółka Handlowa Buriat.

- Ta sama firma kupiła maszynę do drażenia tuneli! - wykrzyknął Yaeger.

- Jaki ten świat mały, co? Hiram, może ty i Max moglibyście przyjrzeć się bliżej tej malezyjskiej spółce?

- Jasne. I powinniśmy chyba porozmawiać o tej niemieckiej zagadce, którą mi przysłałeś.

- Chodzi ci o ten tekst po niemiecku? Doszliście z Max do czegoś?

- Tak jak zaznaczyłeś, wygląda to na pierwsze strony jakiejś instrukcji obsługi. Znalazłeś to przy dużym urządzeniu elektrycznym?

- W pomieszczeniu pełnym sprzętu komputerowego, który był połączony z trzema cylindrami tworzącymi trójnóg o wysokości trzech metrów. Co to mogło być?

- Mamy za mało danych, żeby określić, do czego mogło służyć. Z tych kartek wynika, że jest to fragment instrukcji obsługi jakiejś akustycznej aparatury sejsmicznej.

- Mógłbyś mówić jaśniej? - zapytał Giordino.

- Chodzi o eksperymenty laboratoryjne. Von Wachterowi najwyraźniej udało się zrobić wielki krok naprzód.

- Kto to jest von Wachter? - spytał Pitt.

- Doktor Friedrich von Wachter to wybitny inżynier, wykładowca elektrotechniki na Uniwersytecie w Heidelbergu, znany z badań w dziedzinie akustyki i sejsmografii. Skojarzył się Max z akustyczną aparaturą sejsmiczną. W jednej ze swoich ostatnich prac naukowych von Wachter omawia teoretyczne zastosowanie takiej aparatury do uzyskiwania obrazu podpowierzchniowych warstw Ziemi.

Mężczyźni w pokoju hotelowym słuchali uważnie Yaegera, mówiącego do nich przez głośnik telefonu. Gunn dolał sobie kawy.

- Wygląda na to, że doktor von Wachter skonstruował działający model takiego urządzenia - ciągnął Yaeger. - Jak wiecie, do poszukiwań ropy metodą otrzymywania obrazu sejsmicznego używa się zwykle materiałów wybuchowych, takich jak dynamit, lub pojazdów do generowania wstrząsów, by wytworzyć w głębi Ziemi fale sejsmiczne, które po odbiciu są rejestrowane i przetwarzane przez komputer na obraz warstw podpowierzchniowych.

- Statki badawcze używają do generowania wstrząsów działek pneumatycznych - przypomniał Giordino.

- Von Wachterowi najwyraźniej udało się zastąpić materiały wybuchowe środkami elektronicznymi wywołującymi wstrząsy. Jeśli dobrze to rozumiem, aparatura akustyczna emituje dźwięki o wysokiej częstotliwości, które pod powierzchnią Ziemi zmieniają się w fale sejsmiczne.

- Nasze doświadczenia z sonarowymi systemami badawczymi wykazują, że fale wysokiej częstotliwości nie mają takiej zdolności penetracji, by można było „zajrzeć” głęboko pod powierzchnię - powiedział Giordino.

- To prawda. Większość fal załamuje się blisko powierzchni. Ale skoncentrowana emisja dźwięku z urządzenia von Wachtera ma większą energię, co powoduje, że fale przenikają bardzo głęboko. Z danych w instrukcji obsługi wynika, że von Wachter stosuje trzy dość duże generatory.

- Założę się, że właśnie tak znaleźli Czyngisa - wtrącił Pitt. - Jego grobowiec był prawdopodobnie ukryty pod ziemią na jakimś odludziu w górach, razem ze szczątkami Kubiłaj-chana i innych członków dynastii.

- I oczywiście używają tego urządzenia do poszukiwań ropy - dodał Gunn.

- Technika, za którą koncerny naftowe zapłaciłyby każde pieniądze. Doktor von Wachter musi być bogatym człowiekiem - zauważył Giordino.

- Niestety nie żyje. Wraz z zespołem niemieckich inżynierów zginął ponad rok temu podczas osunięcia grantu w Mongolii.

- Czy to nie brzmi podejrzanie? - zapytał Giordino.

- Pewnie nie muszę dodawać, że pracowali wtedy dla Konsorcjum Naftowego Awarga - odrzekł Yaeger.

- Następna krew na rękach Bordżina - stwierdził Pitt. Bezwzględność szefa Awargi nie była już niczym zaskakującym.

- Coś się tutaj nie zgadza - powiedział Giordino. - Jeden zespół fachowców został zamordowany, drugi uprowadzony. Jest maszyna do drążenia tuneli, specjalistyczny sprzęt wiertniczy i rozległy, zamaskowany kompleks magazynowy w samym środku pustyni. Jeden z kilku, jeśli wierzyć naszemu zaprzyjaźnionemu hodowcy wielbłądów, Tsengelowi. Wszystkie łączą się z systemem podziemnych rurociągów, ukrytych pod pustynią. Ale nie widać żadnego wydobycia ropy. Dlaczego?

W pokoju hotelowym zapadła cisza. Było niemal słychać, jak obracają się tryby w ich mózgach. Potem na twarzy Pitta pojawił się wyraz zrozumienia.

- Ponieważ - odrzekł wolno - nie mogą wiercić tam, gdzie jest ropa.

- Bordzin na pewno dał w łapę tylu ludziom, że mógłby wiercić w całej Mongolii - powiedział Giordino.

- A jeśli złoża nie są w Mongolii? Gunna nagle ołśniło.

- Oczywiście. Odkrył ropę w Chinach, a ściślej mówiąc w Mongolii Wewnętrznej. Ciekawe, jak przekonał Chińczyków, żeby zrzekli się tego terytorium?

- Są w rozpaczliwym położeniu - odparł Yaeger. - Z powodu trzęsień ziemi w Zatoce Perskiej i pożaru w ich głównym porcie naftowym niedaleko Szanghaju importują o ponad połowę mniej ropy niż przedtem. Gorączkowo szukają wyjścia z tej sytuacji i mogą działać trochę irracjonalnie.

- To by tłumaczyło, dlaczego Awarga zlokalizowała swoje kompleksy magazynowe tak blisko granicy - powiedział Pitt. - Mogą już eksploatować potajemnie jakieś szyby w Mongolii Wewnętrznej i pompować ropę do którejś z tych baz paliwowych. Chińczycy będą widzieli tylko produkt końcowy dostarczany z Mongolii, nie mając pojęcia, że ropa pochodzi z ich terytorium.

- Nie chciałbym być po tej stronie Wielkiego Muru, kiedy się zorientują że zostali wykołowani. - Gunn się wzdrygnął.

- Może dlatego Bordzin porwał ekipę poszukiwaczy ropy - zauważył Giordino - ponieważ potrzebuje ich wiedzy, żeby wybrać miejsca na odwierty i rozpocząć szybko wydobycie.

- Mógł kogoś wynająć - odezwał się Yaeger.

- Pewnie wołał nie ryzykować, że zdradzą jego tajemnicę.

- Może teraz ich wypuści, skoro już zawarł umowę z Chińczykami - powiedział Gunn.

- Wątpię - odrzekł Pitt. - Jego ludzie zamordowali Roya i próbowali zabić nas. Obawiam się, że reszta ekipy zginie, kiedy tylko przestanie być potrzebna Bordzinowi.

- Kontaktowaliście się już z naszą ambasadą tutaj? - zapytał Gunn. Pitt i Giordino spojrzeli na siebie ze znajomością rzeczy.

- Dyplomaci tego nie załatwią Rudi - odparł Giordino. - Bordzin jest zbyt dobrze chroniony. Nasi rosyjscy przyjaciele już próbowali pójść tą drogą ale bez skutku. A mają w tej części świata dużo większe wpływy niż my.

- Coś trzeba zrobić - nie ustępował Gunn.

- Oczywiście - przytaknął Pitt. - Zamierzamy ich odbić.

- Nie możecie. Jesteście Amerykanami. Może dojść do konfliktu międzynarodowego.

- Będziemy działali nieoficjalnie. A ty pojedziesz z nami. Gunn poczuł ucisk w żołądku i zbladł.

- Wiedziałem, że powinienem być zostać na Syberii.

42

Doktor McCammon wszedł do centrum komputerowego NUMA w momencie, gdy Yaeger odkładał słuchawkę telefonu po skończonej rozmowie z Mongolią. Po drugiej stronie konsoli holograficzna postać Max odwróciła się do geologa morskiego i uśmiechnęła.

- Dobry wieczór, doktorze McCammon - powiedziała. - Pracuje pan do późna?

- Hm... dobry wieczór - odrzekł niepewnie McCammon. Było mu głupio, że rozmawia z komputerowym obrazem. Odwrócił się nerwowo i przywitał z Yaegerem.

- Cześć, Hiram. Miałeś długi dzień? - zapytał, kiedy zauważył, że Yaeger jest w tym samym ubraniu, co wczoraj.

- Bardzo - odparł Yaeger i stłumił ziewanie. - Szef zadbał wczoraj wieczorem o to, żebyśmy mieli zajęcie. Spodziewaliśmy się ciebie wiele godzin temu.

- Większość dnia spędziłem na niezapowiedzianych spotkaniach. Domyślam się, że nie mieliście czasu ściągnąć danych z centrum trzęsień ziemi.

- Za kogo ty nas uważasz? - obruszył się Yaeger. - Max potrafi robić jednocześnie mnóstwo rzeczy.

- Właśnie - przytaknęła Max - I wygląda całkiem świeżo. Yaeger zignorował ten przytyk i mówił dalej.

- Ściągnęliśmy te dane w nocy i rano wprowadziliśmy do twojego programu. Max - zwrócił się do podobizny swojej żony - wydrukuj doktorowi McCammonowi wyniki. A zanim kopia będzie gotowa, zapoznaj nas ze swoimi ustaleniami.

- Jasne - odparła Max i wielka drukarka laserowa z boku pokoju zaczęła natychmiast pracować. - Dane pochodzące z Narodowego Centrum Informacji o Trzęsieniach Ziemi odzwierciedlają globalną aktywność sejsmiczną w ciągu ostatnich pięciu lat, łącznie z dwoma silnymi trzęsieniami, które miały niedawno miejsce w Zatoce Perskiej. Wykorzystałam pański program do analizy tych dwóch trzęsień ziemi, a potem porównałam ich podobieństwa z całą bazą danych. Ciekawe, że te dwa trzęsienia miały kilka niespotykanych cech charakterystycznych. - Max urwała, zbliżyła się do Yaegera i McCammona i kontynuowała. - Oba trzęsienia ziemi zostały sklasyfikowane jako wyjątkowo płytkie, gdyż ich epicentra znajdowały się niecałe trzy kilometry pod powierzchnią. Dla porównania, najpłytsze trzęsienia zdarzają się zwykle na głębokości pięciu do piętnastu kilometrów.

- To istotna różnica - zauważył McCammon.

- Mniejsze znaczenie ma to, że oba były trzęsieniami tektonicznymi, nie wulkanicznymi, o sile ponad siedem stopni w skali Richtera.

- To chyba bardzo rzadkie zjawisko, dwa trzęsienia ziemi o takiej magnitudzie, prawda? - zapytał Yaeger.

- Trochę niezwykle, ale spotykane - odrzekł McCammon. - Trzęsienie ziemi tej wielkości w Los Angeles zwróciłoby powszechną uwagę, ale trzęsienia o magnitudzie siedem lub większej zdarzają się na świecie przeciętnie raz na miesiąc. Ponieważ zwykle ma to miejsce w niezamieszkanym rejonach lub pod dnem morza, niewiele o nich słyszymy.

- Zgadza się - przytaknęła Max. - Choć statystycznie jest to anomalia, że dwa trzęsienia ziemi o takiej magnitudzie nastąpiły tak blisko siebie.

- Są jeszcze inne podobieństwa, Max? - spytał Yaeger.

- Tak. Chociaż trudno to zmierzyć, zniszczenia dokonane przez te trzęsienia wydają się nieproporcjonalne do ich siły. W obu miejscach straty były dużo większe, niż można by się spodziewać. Takie katastrofalne skutki mogłyby spowodować trzęsienia ziemi o magnitudzie osiem.

- Skala Richtera nie zawsze dokładnie odzwierciedla niszczycielską siłę trzęsienia, zwłaszcza płytkiego - zauważył McCammon. - W tym wypadku mieliśmy dwa płytkie trzęsienia ziemi, które spowodowały bardzo duże straty. Siła na powierzchni była prawdopodobnie znacznie większa niż wykazana magnituda.

Max przeszukała bazy danych i skinęła głową.

- Ma pan rację, doktorze. Podczas obu trzęsień ziemi pierwotne fale sejsmiczne miały dużo mniejszą magnitudę niż powierzchniowe.

- Coś jeszcze, Max? - zapytał McCammon. Wreszcie poczuł się swobodnie w obecności obrazu holograficznego.

- Tak, ostatnia sprawa. W obu wypadkach zarejestrowano fale P o niskiej magnitudzie, zanim powstały rzeczywiste fale wywołane trzęsieniem ziemi.

- Wstępne wstrząsy, jak przypuszczam - powiedział McCammon. - Nic niezwykłego.

- Może ktoś mi uprzejmie wytłumaczy, o co chodzi z tymi falami powierzchniowymi i falami P - wtrącił się Yaeger.

Max pokręciła głową.

- Muszę cię wszystkiego uczyć? To podstawy sejsmologii. W czasie tektonicznego trzęsienia ziemi wydzielają się duże ilości energii w postaci trzech rodzajów fal sejsmicznych. Fala początkowa jest nazywana pierwotną lub po prostu P, od łacińskiego słowa primae. Ma właściwości podobne do fali dźwiękowej, może przenikać przez litą skałę, a nawet jądro Ziemi. Wolniejsza wtórna fala jest określana jako S, od łacińskiego secundae. Fale S są w stanie skruszyć skałę w bok od kierunku ich ruchu i spowodować niszczące pionowe i poziome przesunięcie gruntu, kiedy dotrą na powierzchnię ziemi. Gdy oba rodzaje fal zbliżają się do powierzchni, załamują się i wywołują dodatkowe fale powierzchniowe, które powodują wstrząsy odczuwalne na ziemi.

- Rozumiem - powiedział Yaeger. - Czyli są to zasadniczo drgania o różnej częstotliwości, wysyłane z epicentrum trzęsienia ziemi.

- Zgadza się - przytaknął McCammon.

- Czy w rejonie, gdzie nastąpiły te dwa trzęsienia ziemi, jest linia uskokowa?

- Zatoka Perska leży blisko granicy dwóch płyt tektonicznych, nazywanych arabską i euroazjatycką. Niemal cała aktywność sejsmiczna na świecie koncentruje się w wąskich strefach wokół granic płyt. Znane wielkie trzęsienia ziemi w Iranie, Afganistanie i Pakistanie sugerują że te dwa w zatoce nie były niczym nadzwyczajnym, z wyjątkiem ich bliskości.

- Twój przyjaciel w Langley chyba nie będzie miał zbyt wiele do przetrwania - stwierdził Yaeger.

- Na to wygląda - przyznał McCammon. - Ale dzięki Max dostanie mnóstwo danych do przestudiowania.

Kiedy McCammon podszedł do drukarki, żeby wziąć dokument, Yaeger zadał komputerowi jeszcze jedno pytanie.

- Max, czy przygotowując materiał dla Phila, natrafiłaś na więcej trzęsień ziemi o takich samych parametrach, jakie miały tamte dwa?

- Owszem. Będzie mi łatwiej przedstawić to graficznie, więc spójrz na monitor.

Na wielkim, białym ekranie za Max wyświetliła się nagle kolorowa mapa świata. W Zatoce Perskiej zaczęły pulsować dwa czerwone punkty, oznaczające niedawne trzęsienia ziemi. Parę sekund później kilka skupisk takich punktów pojawiło się w Azji Północno-Wschodniej. Potem trochę na północ od nich ukazał się jeszcze jeden. Zaciekawiony McCammon odłożył wydruk i podszedł do mapy.

- W bazie danych Narodowego Centrum Informacji o Trzęsieniach Ziemi znalazłam w sumie trzydzieści cztery zjawiska sejsmiczne o takich samych cechach charakterystycznych, jak tamte dwa trzęsienia. Ostatnie miało miejsce ponad tydzień temu na Syberii - odrzekła Max i wskazała samotny czerwony punkt.

Yaeger wytrzeszczył zaspane oczy.

- A gdzie były pozostałe?

- Głównie w Mongolii. Piętnaście z nich zdarzyło się w górach na wschód od stolicy tego kraju, Ułan Bator, dziesięć w południowej prowincji Dornogow, dziewięć tuż za chińską granicą. Było też jedno na Syberii, tutaj, poniżej jeziora Bajkał.

- W Mongolii - mruknął Yaeger i pokręcił z niedowierzaniem głową. Podniósł się wolno, przetarł zmęczone oczy i odwrócił się do McCammona.

- Phil - powiedział - myślę, że tobie, mnie i Max dobrze zrobiłaby kawa.

43

Summer słuchała z odtwarzacza MP3 najnowszej płyty Nilsa Lofgrena, nucila wesoło i obserwowała naprężenie przewodów powietrznych, które biegły za burtę barki. Zaczynała się nudzić i nie mogła się doczekać powrotu pod wodę. Wstała, przeciągnęła się i popatrzyła na morze.

Zauważyła ten sam czarny statek, który widziała wcześniej. Okrążał teraz cypel Kahakahakea. Coś ją zaniepokoiło, kiedy obserwowała, jak statek skręca i kieruje się prosto na barkę NUMA.

- Błagam, żadnych mediów więcej - powiedziała głośno, obawiając się, że poluje na nią następna grupa reporterów. Przyglądała się jednak statkowi z coraz większą podejrzliwością. W końcu rozpoznała, co to za jednostka.

Do barki zbliżał się statek wiertniczy. Był mały jak na taką jednostkę, miał niecałe siedemdziesiąt pięć metrów długości. Dni jego świetności dawno minęły. Pokład i dziobówka były brudne, otwory odpływowe zarzewiały. Czego szuka na Hawajach statek wiertniczy? Na tych wyspach nie ma ropy, a głębokość otaczającego je oceanu przekracza trzy tysiące metrów, więc wiercenia na morzu to zbyt drogie przedsięwzięcie.

Summer patrzyła, jak stary statek pruje prosto na nią wśród rozbryzgów białej piany wokół wyblakłego dziobu. Był niecałą milę morską od barki i nie zmniejszał szybkości. Kiedy znalazł się w odległości jednej czwartej mili od niej, Summer zerknęła na maszt flagowy na szczycie nadbudówki barki. W porannej bryzie trzepotała na nim duża czerwona flaga nurków z białym znakiem ostrzegawczym na środku. Ale statek wciąż nie zmieniał kursu.

Summer zakłęła.

- Mam nurków w wodzie, idioto.

Statek był już tak blisko, że widziała kilka postaci na mostku. Podeszła szybko do nadburcia barki i pokazała ręką flagę. Statek wreszcie zaczął zwalniać, ale zbliżał się bez zachowania ostrożności. Było teraz jasne, że zamierza przybić do barki.

Summer wbiegła do nadbudówki, gdzie na ścianie wisiało radio. Ustawiła na VHF kanał szesnasty i powiedziała do mikrofonu:

- Nadpływający statek wiertniczy, tu barka badawcza NUMA. Mamy w wodzie nurków. Proszę nie podchodzić, odbiór.

Czekała niecierpliwie na odpowiedź, ale nikt się nie odezwał. Powtórzyła przynaglająco wezwanie. Bez skutku.

Statek był już zaledwie kilka metrów od niej. Podeszła do burty i znów wskazała flagę ostrzegawczą. Statek zaczął skręcać, ale zorientowała się, że wykonuje manewr tylko po to, żeby podejść do barki. Spodziewała się zobaczyć wzdłuż relingu zmaltretowanych chorobą morską reporterów i kamerzystów, lecz pokład statku był pusty. Przeszedł ją dreszcz. Ludzie w sterowni na dziobówce pozostawali w ukryciu.

Sternik z wprawą podpłynął do barki i prawy reling statku znalazł się tuż nad jej nadburciem. Włączono pędniki pozycjonujące i jednostka wiertnicza znieruchomiała, jakby była przycumowana do barki.

Summer obserwowała to z mieszaniną ciekawości i niepokoju. Na pustym statku przez minutę nic się nie działo, potem z głębi jego nadbudowy dobiegł stłumiony okrzyk i przez drzwi w przegrodzie wypadło kilku Azjatów. Na ich widok Summer zadrzała ze strachu. Wyglądali na twardzieli. Kiedy zaczęli przeskakiwać na barcę, Summer odwróciła się i pobiegła do nadbudówki. Słyszała, że ktoś ją ściga, ale nie obejrzała się. Wpadła do środka i chwyciła mikrofon radia.

- SOS, SOS, tu...

Głos uwiązał jej w krtani, gdy ścigający ją człowiek sięgnął do wnętrza i zerwał ze ściany radio, wyszarpując z gniazdka kabel mikrofonu, który ścisnęła w rękach. Wyrzucił radio za burtę i popatrzył, jak wpada do wody. Odwrócił się z powrotem do Summer, wyszczerzył

w uśmiechu żółte zęby. Wtem wyraz jego twarzy zmienił się. Summer zrobiła krok naprzód i wymierzyła mu potężnego kopniaka w krocze.

- Brudna świnia - zakłęła, gdy Azjata opadł z bólu na jedno kolano. Oczy wyszły mu na wierzch, wyglądał na półprzytomnego. Cofnęła się szybko i z rozmachem kopnęła go w skroń. Runął na pokład i zwinął się z bólu.

Dwaj inni napastnicy widząc, co się stało, rzucili się na Summer i chwycili ją za ramiona. Wyrwała się, dopóki jeden z nich nie przystawił jej noża do gardła. Drugi znalazł kawałek liny i pospiesznie związał jej z przodu ręce.

Przerażona i bezradna przyglądała się Azjatom. Wszyscy byli niscy, ale dobrze zbudowani. Mieli wystające kości policzkowe i bardziej okrągłe oczy niż Chińczycy. Nosili czarne T-shirty i robocze spodnie. Wyglądali na przywykłych do ciężkiej pracy. Summer podejrzewała, że to indonezyjscy piraci, ale nie miała pojęcia, dlaczego zaatakowali skromną barkę roboczą.

Spojrzała w drugą stronę i zamarła. Dwaj napastnicy mieli ze sobą siekiery i właśnie unosili je do góry, by przeciąć cumy rufowe. Kilkoma szybkimi uderzeniami odrabali liny i przeszli na dziób, żeby zrobić to samo. Trzeci mężczyzna stał plecami do Summer i nadzorował ich. Wydawał jej się znajomy, ale dopiero, gdy się odwrócił i zobaczyła długą bliznę na jego lewym policzku, rozpoznała doktora Tonga. Kiedy dwaj Azjaci przecinali cumy dziobowe, ruszył wolno w jej kierunku, przyglądając się urządzeniom na pokładzie.

- Tu nie ma żadnych artefaktów, Tong! - zawołała, zdając sobie sprawę, że to nie naukowiec, tylko zwykły złodziej dzieł sztuki.

Tong zignorował ją i popatrzył z niezadowoleniem na pracujące kompresory. Odwrócił się i warknął coś do mężczyzny unieszkodliwionego przez Summer, który teraz kuśtykał po pokładzie. Azjata wszedł do nadbudówki, gdzie buczał przenośny generator, chwycił go i wyrzucił za burłę, podobnie jak wcześniej radio. Generator z bulgotem pograżył się w wodzie. Azjata zainteresował się teraz kompresorami. Dokuśtykał do pierwszego i zaczął go oglądać w poszukiwaniu wyłącznika.

- Nie! - krzyknęła Summer.

Obolały Azjata znalazł przycisk STOP, odwrócił się do niej z krzywym uśmiechem i wcisnął kciukiem wyłącznik. Kompresor natychmiast umilkł.

- Pod wodą są ludzie - powiedziała błagalnie. - Zabraknie im powietrza.

Tong znów ją zignorował i skinął podwładnemu głową. Azjata dowlókł się do drugiego kompresora, uśmiechnął się do Summer i nacisnął STOP. Kiedy urządzenie przestało pracować, Tong podszedł do Summer.

- Mam nadzieję, że twój brat jest dobrym pływakiem - wycodził. Summer ogarnęła wściekłość. Zapomniała o strachu. Ale nie odezwała się. Człowiek trzymający nóż na jej gardle zwiększył nacisk.

- Mam ją zabić? - zapytał Tonga w języku, którego Summer nie знаła. Tong obrzucił pożądlivym spojrzeniem jej zgrabne, opalone ciało.

- Nie - odparł. - Zabierz ją na statek.

Kiedy skończono przecinać cumy dziobowe, barka zaczęła dryfować. Prąd niósł ją na pełne morze. Na pokładzie statku wiertniczego sternik musiał ciągle manewrować, żeby w nią nie uderzyć.

- Rozwal ponton - rozkazał Tong jednemu ze swych ludzi. - Reszta na statek.

Mały zodiac był przywiązany do barki na wypadek, gdyby zespół NUMA musiał się dostać na brzeg. Mężczyzna z siekierą kilkoma szybkimi ciosami przeciął liny. Potem wyciągnął zza pasa nóż i zrobił w pontonie parę dziur. Z gumowego kadłuba z głośnym sykiem uszło powietrze. Azjata wypchnął łódź za burtę. Dziurawy zodiac przez chwilę unosił się na wodzie, potem załapała go fala i poszedł na dno.

Summer nie zdążyła tego zobaczyć, bo brutalnie pchnięto ją w stronę nadburcia. Przez głowę przelatywało jej tysiąc myśli. Czy powinna zaryzykować i spróbować walczyć, mimo noża przystawionego do gardła? Jak mogłaby pomóc Dirkowi i Jackowi? Czy to coś da, że wejdzie na pokład statku wiertniczego? Wszystko mogło się źle skończyć. Uznała, że jej jedyną szansą jest skok do wody. Uważała, że nawet ze związanymi rękami łatwo im ucieknie. Przepłynie pod barką na drugą stronę. Może zrezygnują z pościgu? Może zdoła pomóc Dirkowi i Jackowi wrócić na pokład i zorganizować silniejszą obronę?

Udawiała, że nie zamierza im się sprzeciwić. Nożownik przytrzymał ją za łokieć i popchnął, kiedy wdrapywała się na burtę statku wiertniczego. Jeden z mężczyzn na statku przykleknął i sięgnął w dół, żeby pomóc jej wejść. Summer wyciągnęła do niego ręce, ale zanim zdążył ją złapać, gwałtownie kopnęła nogą za siebie, trafiając nożownika piętą w twarz. Usłyszała cichy trzask kości i domyśliła się, że złamała mu nos. Pochyliła głowę do przodu i skoczyła w kierunku wąskiego pasa wody między statkiem i barką.

Przez ułamek sekundy opadała w dół, ale nie dotarła do powierzchni morza.

Zza burty wystrzeliła nagle para rąk i chwyciła ją za koszulkę i nogawkę szortów. Summer zamiast zbliżyć się do wody, poleciała w bok, uderzyła mocno w burtę i wylądowała twardo na pokładzie barki. Ledwo upadła, te same ręce szarpnęły ją do góry i postawiły na nogi. Zobaczyła przed sobą Tonga, który okazał się niezwykle silny jak na człowieka niższego od niej prawie o trzydzieści centymetrów.

- Wejdiesz na statek - warknął.

O włos spóźniła się z unikiem. Pięść Tonga trafiła ją w szczękę i powaliła na kolana. W oczach zawirowały jej gwiazdy, ale nie straciła przytomności. W stanie zamroczenia została wciągnięta na statek wiertniczy i zawleczona na mostek, gdzie zamknięto ją w małym magazynie za sterownią.

Osunęła się na wielki zwój liny. Kręciło jej się w głowie. Dostała mdłości i zwymiotowała do zardzewiałego wiadra w rogu. Natychmiast poczuła się lepiej i podciągnęła się do małego bulaja. Odetchnęła świeżym powietrzem i stopniowo odzyskała ostrość widzenia. Zorientowała się, że statek wiertniczy stoi w zatoce w tym samym miejscu, gdzie była zacumowana barka.

Barka! Summer wyciągnęła szyję i w końcu ją zobaczyła. Brązowa barka dryfowała ku pełnemu morzu. Była już milę od statku. Summer zmrużyła oczy, wypatrując Dirka i Jacka. Ale nigdzie ich nie zauważyła.

Dirk musiał się bezustannie zmagać z „odkurzaczem”, żeby utrzymać go w jednym miejscu. Walczył z rurą wypełnioną sprężonym powietrzem już ponad godzinę. Pracę utrudniał odpływ o szybkości niemal dwóch węzłów na powierzchni morza. Przy dnie prąd był dużo słabszy, ale przesuwanie chwiejącego się „odkurzacza” nad pogłębianym miejscem przypominało balansowanie masztem flagowym na łębku szpilki.

Dirk przemieścił rurę o kilka centymetrów i zerknął na zegarek do nurkowania. Do końca zmiany pozostało już tylko piętnaście minut, potem czekała go przerwa w monotonnym zajęciu. Praca postępowała wolniej, niż się spodziewał, ale odsłonił kwadrat o wymiarach mniej więcej dwa na dwa metry. Pokryte naroślą grube drewno miało kształt steru okrętowego. Tylko wielkość była zaskakująca. Dahlgren oznaczył chorągiewkami obiekt o długości niemal sześciu metrów - ogromny, jak na ster żaglowca.

Dirk powiódł wzrokiem za pęcherzami powietrza wznoszącymi się ku powierzchni i znów spojrzął na duży czarny statek, który stał obok barki. Wraz z Dahlgrenem usłyszeli wcześniej pod wodą hałas silników i obserwowali potem z zaciekawieniem, jak do barki podpływa ciemny kształt. Zobaczyli, że statek uruchamia pędniki pozycjonujące. Dobrze, że ten dureń nie zrzucił na nich kotwicy. Dirk przypuszczał, że to jeszcze jedna grupa ciekawskich turystów i za chwilę wokół nich pojawią się ludzie z kamerami do zdjęć podwodnych.

Starając się o tym nie myśleć, wepchnął rurę „odkurzacza” w piasek i zauważył, że niczego nie zasysa. Po chwili zdał sobie sprawę, że ustały wibracje i szum sprężonego powietrza. Summer musiała wyłączyć „odkurzacz”, co oznaczało, że z jakiejś przyczyny wzywa ich do powrotu na barkę albo w kompresorze po prostu zabrakło paliwa. Postanowił odczekać chwilę, żeby się przekonać, czy Summer ponownie uruchomi silnik.

Kilka metrów dalej Dahlgren wkręcał w piasek sondę. Dirk dostrzegł kątem oka, że Jack nagle oderwał się od dna. Wypuścił z rąk sondę,

przytrzymując maskę i przewód powietrzny. Został szarpnięty w górę niczym marionetka na sznurku.

Dirk nie zdążył zareagować, bo sekundę później jakaś siła wyrwała mu z rąk „odkurzacz”, który odpląnął w kierunku Dahlgrena. Dirk zadarł głowę w samą porę, by zobaczyć, że jego własny przewód powietrzny naprężył się i po chwili pociągnął go do góry.

Zabrakło mu powietrza. Kompresor dostarczający im powietrze przestał działać. Dirk, podobnie jak Dahlgren, chwycił przewód, żeby zapobiec wyrwaniu go z aparatu do nurkowania. Obok niego „odkurzacz” huśtał się gwałtownie w wodzie jak wahadło, które wymknęło się spod kontroli. Duża plastikowa rura waliła Dirka w nogi. Był pozbawiony powietrza, wleczony jak szmaciana lalka, uderzany przez „odkurzacz”. Groziło mu utonięcie. W takiej sytuacji prawie każdy wpadłby w panikę. Ale nie Dirk.

Większość życia spędził pod wodą. Problemy techniczne podczas nurkowania nie były dla niego niczym nowym. Wiedział, że pod wodą czy gdziekolwiek indziej najważniejsze jest zachowanie spokoju i logiczne myślenie.

Teraz najbardziej potrzebował powietrza. W naturalnym odruchu chciał się wynurzyć, ale to nie było konieczne. Oprócz powietrza dostarczanego z powierzchni, wszyscy nurkowie mieli w czasie pracy awaryjne butle z tlenem. Były niewiele większe od termosu i umożliwiały oddychanie przez dziesięć minut. Dirk puścił jedną ręką wąż powietrzny i sięgnął pod lewą pachę do butli przy kamizelce. Otworzył zawór butli. Po kilku głębokich oddechach poczuł, że jego walące serce zaczyna się uspokajać.

Pomyślał o Dahlgrenie. Dziesięć metrów przed sobą zobaczył pęcherze powietrza. A więc Jack też korzysta z butli awaryjnej. „Odkurzacz” przemieścił się w kierunku Dahlgrena i obracał się teraz w wodzie tuż za nim. Plastikową rurę włókł za sobą giętki wąż przymocowany do barki. Rozciągał się pod ciężarem wypełnionej wodą rury, potem kurczył się i zmieniał jej położenie. Dirk zobaczył, że odchylona do tyłu rura jest niebezpiecznie blisko Dahlgrena i pomachał ręką, żeby zwrócić uwagę przyjaciela. Teksańczyk był zajęty podciąganiem się w górę przewodu powietrznego i nie widział

„odkurzacza” ani ostrzeżenia Dirka. Sekundę później rura wystrzeliła do przodu w stronę Dahlgrena. Ku przerażeniu Dirka trafiła go w tył głowy. Ciało Dahlgrena zawisło bezwładnie w wodzie.

Dirk zaklął pod nosem i poczuł, że znów wali mu serce. Zauważył, że są teraz ciągnięci z większą siłą. Na powierzchni wiatr i prądy pchały krótką i szeroką barkę z szybkością ponad czterech węzłów. Dirk zastanawiał się, dlaczego barka dryfuje i gdzie jest Summer. Nie myślał jeszcze o wynurzeniu się. Musiał dotrzeć do Dahlgrena i sprawdzić, czy żyje.

Zaczął się gorączkowo podciągać w górę przewodu powietrznego, żeby dołączyć do przyjaciela. Zmęczone ramiona bolały go przy każdym ruchu, wspinaczkę utrudniał pas balastowy o wadze prawie szesnastu kilogramów. Dirk nie pozbył się tego obciążenia, chcąc pozostać na tej samej głębokości, co Jack.

Piął się coraz wyżej niczym podwodny alpinista. Kiedy był trzy metry od Dahlgrena, powróciło wcześniejsze zagrożenie. Zbliżył się do niego pływający „odkurzacza” i minął go w odległości wyciągniętej ręki. Rura wygięła się w kierunku Dahlgrena, potem w przeciwnym. Tym razem Dirk chwycił ją gdy się oddalała. Omal nie zdarła z niego płetw, kiedy opasał ją nogami. Siedząc na rurze jak na nieujeżdżonym, brykającym koniu, dotarł ostrożnie do jej górnego końca, gdzie łączyła się z grubym gumowym węzem. Wydobył z pochwy na nodze nóż, wbił go w gumę i zaczął odcinać wąż. Plastikowa rura przechylała się gwałtownie pod nim, w końcu się urwała i opadła w głąb morza. Dirk zsunął się z niej i odepchnął ją nogą.

W czasie zmagania z „odkurzacza”, którego wreszcie się pozbył, Dirk znów znalazł się dziesięć metrów od Dahlgrena. Jego przyjaciel, wleczony na przewodzie u szyi, wyglądał jak mokry mop. Czując piekący ból w ramionach, Dirk zaczął się ponownie wspinać po przewodzie powietrznym i w końcu zrównał się z Dahlgrenem. Złapał się kamizelki Jacka, podciągnął się do góry i zajrzał przez szybę jego maski.

Dahlgren miał zamknięte oczy i był nieprzytomny. Ale oddychał lekko, o czym świadczyły pęcherze powietrza, wydobywające się co kilka sekund z jego reduktora ciśnienia. Dirk chwycił Dahlgrena jedną ręką, drugą odpiął swój pas balastowy. Potem sięgnął w górę i otworzył

zawór pompowania swojej kamizelki wypornościowej. Resztką sprężonego powietrza z butli awaryjnej napełniła ją do połowy. Wystarczyło tego aż nadto, żeby unieść ich obu ku powierzchni, i Dirk zaczął mocno pracować płetwami, by przyspieszyć wynurzenie.

Ledwo wydostali się na powierzchnię, szarpnęło ich gwałtownie, jak narciarza wodnego, który się przewrócił i zapomniał puścić linę holującą go motorówki. Poszli pod wodę, znów wynurzyli się na moment i z powrotem znaleźli pod powierzchnią. Wznosili się i opadali. Dirk sięgnął w dół, uwolnił Dahlgrena od pasa balastowego, potem zdjął swoją maskę. Kiedy byli wynurzeni, zaczerpnął powietrza i chwycił króciec ustnego pompowania kamizelki Dahlgrena. Gdy zniknęli pod wodą otworzył zawór i zrobił wydech do środka. Po kilku razach udało mu się całkowicie nadmuchać kamizelkę Dahlgrena, co skracało czas ich pobytu pod powierzchnią.

Dirk obawiał się, że wlokący Jacka przewód powietrzny może mu uszkodzić głowę lub kark. Przyciągnął do siebie kilka centymetrów węża, przeprowadził luźny odcinek przez ucho w kamizelce Dahlgrena i zrobił na przewodzie węzeł. Miał nadzieję, że dopóki wąż nie pęknie, Jack będzie bezpiecznie holowany.

Po zabezpieczeniu przyjaciela Dirk puścił go i znów chwycił własny przewód powietrzny. Musiał się dostać na pokład barki i zaczął się podciągać do niej. Miał przed sobą ponad dwanaście metrów węża i był już zmęczony zmaganiem w wodzie. Tracił siły i posuwał się bardzo wolno, centymetr za centymetrem. Zmuszał się do ignorowania bólu i walczył z pokusą żeby zrezygnować. Ale się nie poddawał.

Wreszcie po raz pierwszy podniósł wzrok na barcę, w nadziei, że zobaczy Summer stojącą przy burcie. Ale na pokładzie nie było nikogo. Dirk wiedział, że siostra nigdy by go nie zostawiła na pastwę losu z własnej woli. Coś musiało się stać, kiedy obok barki stał czarny statek. Dirk wołał nie myśleć, co mogło spotkać Summer. Z furią pokonał ostatnie metry.

Dotarł do burty barki, podciągnął się do góry i opadł na pokład. Odpoczywał tylko kilka sekund, potem zerwał z siebie oporządzenie nurka i rozejrzał się, wołając Summer. Kiedy nie doczekał się odpowiedzi, wstał, chwycił przewód powietrzny Dahlgrena i zaczął go

przyciągać do barki. Teksańczyk parę razy zniknął pod wodą gdy przykryła go wielka oceaniczna fala. Ale odzyskał już przytomność i poruszał wolno rękami i nogami, próbując płynąć. Dirk ostatkiem sił dociągnął go do barki i przywiązał jego przewód powietrzny do burty. Potem sięgnął w dół, złapał Dahlgrena za kołnierz i dźwignął na pokład.

Dahlgren przetoczył się, a potem usiadł. Zdjął maskę i spojrzał mętnym wzrokiem na Dirka. Pomasaował kark, skrzywił się, kiedy natrafił na guza wielkości piłki baseballowej.

- Co tam się, do cholery, stało na dole? - wymamrotał.

- Przed czy po tym, jak „odkurzacz” zbadał wytrzymałość twojej czaszki? - zapytał Dirk.

- Więc to on mnie walnął. Pamiętam, że coś poderwało mnie z dna, a potem zabrakło mi powietrza. Otworzyłem zawór „malucha” i chciałem się wynurzyć, kiedy zgasło światło.

- Miałeś szczęście, że przeszedłeś na oddychanie z butli awaryjnej. Pozbycie się „odkurzacza” i wyciągnięcie cię na powierzchnię w czasie jazdy na holu zajęło mi parę minut.

- Dzięki, że mnie nie zostawiłeś. - Dahlgren się uśmiechnął. Powoli dochodził do siebie. - Gdzie jest Summer? I dlaczego jesteśmy dwadzieścia mil morskich od lądu? - zapytał, gdy zauważył, że oddalają się od hawajskiego wybrzeża.

- Nie wiem - odrzekł Dirk.

Kiedy Dahlgren odpoczywał, Dirk obejrzał dokładnie całą barcę w poszukiwaniu przyczyn zniknięcia Summer. Gdy wrócił, Dahlgren poznał po jego minie, że wieści nie są dobre.

- Nie ma radia, pontonu i generatora. I ktoś odciął wszystkie cumy.

- I dryfujemy do Chin. Hawajscy piraci?

- Albo łowcy skarbów, którzy myśleli, że znaleźliśmy wrak pełen złota.

Dirk popatrzył w kierunku wyspy. Nie zobaczył już zatoki, ale wiedział, że czarny statek nadal tam jest.

- Ci, których słyszeliśmy pod wodą? - zapytał Dahlgren.

- Tak.

- Więc Summer musi być na ich statku.

Dirk skinął w milczeniu głową. Pomyślał, że jeśli Summer tam jest, może nic jej się nie stało. Miał taką nadzieję. Ale nadzieja malała z każdą

minutą bo byli coraz dalej od lądu. Dryfując po Pacyfiku na barce bez napędu mogli tygodniami nie spotkać żadnego statku.

45

Rosyjska ciężarówka podskakiwała na wyboistej polnej drodze. Była ostatnim miejscem na świecie, do którego chciał wrócić Rudi Gunn. Ale właśnie tam się znalazł. Od ciągłych wstrząsów bolały go plecy, pośladki i nogi. Przy przejeździe przez każdą dziurę i garb szczekał zębami. Był przekonany, że producent zapomniał o zamontowaniu w tym samochodzie resorów i amortyzatorów.

- Zawieszenie tego czegoś musiał zaprojektować markiz de Sade. - Skrzywił się na kolejnym wyboju.

- Nie narzekaj. - Giordino uśmiechnął się zza kierownicy. - To jest najbardziej gładki odcinek tej autostrady

Na twarzy Gunna pojawił się najbielszy odcień błądki. „Autostradę” tworzyły dwie koleiny wśród wysokiej trawy. Od południa jechali stepem. Byli w drodze do posiadłości Bordżina. Żeby tam trafić, musieli polegać na swojej pamięci. Czasem po prostu zgadywali, który z mnóstwa szlaków między falistymi wzgórzami prowadzi do celu. Znajome punkty orientacyjne potwierdzały, że jadą w dobrym kierunku. Zbliżali się już do niewielkiego pasma górskiego na południowym wschodzie.

Pitt ocenił odległość.

- Jeszcze dwie godziny Rudi i twoje problemy się skończą.

Gunn w milczeniu pokręcił głową. Miał niejasne przeczucie, że jego problemy dopiero się zaczną. Drugi telefon od Hirama Yaegera przed ich wyjazdem z Ułan Bator nadał nowe znaczenie ich wyprawie. Nie mogli zignorować wiadomości o dziwnej serii trzęsień ziemi w Mongolii. Sytuacja była poważna i musieli się pospieszyć.

- Na razie wiemy tylko tyle - powiedział zmęczonym głosem Yaeger. - W kilku rejonach w północnej Mongolii i na południu w strefie przygranicznej po stronie mongolskiej i chińskiej nastąpiła seria trzęsień ziemi, nietypowych pod tym względem, że ich epicentra były

stosunkowo blisko powierzchni. Trzęsienia miały przeważnie umiarkowaną siłę według skali Richtera, ale wytworzyły fale powierzchniowe o wysokiej intensywności, które mogły spowodować duże zniszczenia. Doktor McCammon odkrył, że wstrząsy poprzedzające każde z tych trzęsień ziemi miały niemal identyczne natężenie, co się normalnie nie zdarza.

- Więc uważasz, że te trzęsienia ziemi zostały w jakiś sposób wywołane przez człowieka? - zapytał Pitt.

- Brzmi to nieprawdopodobnie, ale tak sugerują dane sejsmograficzne.

- Wiem, że trzęsienia ziemi są czasem spowodowane wierceniami szybów naftowych i podziemnymi próbami jądrowymi. Pamiętam, że kiedy ze starego arsenału w Rocky Flats niedaleko Denver zaczęto wypompowywać w głąb ziemi skażoną wodę, w okolicy nastąpiły trzęsienia. Sprawdziłeś, czy w tamtych rejonach nie są prowadzone jakieś duże wiercenia? A może południowy sąsiad Mongolii dokonał próby jądrowej?

- Udało nam się ustalić, że epicentra w północnej części kraju znajdowały się w odludnej górzyszej okolicy. Max twierdzi, że trzęsień ziemi wywołanych wierceniami nie poprzedziłyby wstrząsy wstępne o takiej samej sile. Co do trzęsień na południu, to gdyby dokonano tam jakiejś próby jądrowej, widzielibyśmy to na profilach sejsmicznych.

- Niech zgadnę. Trop prowadzi prosto do nieżyjącego doktora von Wachtera.

- Brawo - odrzekł Yaeger. - Kiedy Max powiedziała nam, że von Wachter zginął w czasie osunięcia gruntu w górach Chentej, na wschód od Ułan Bator, olśniło nas. To nie mógł być zbieg okoliczności. Doszliśmy do wniosku, że jego akustyczna aparatura sejsmiczna musiała mieć coś wspólnego z tymi trzęsieniami ziemi.

- Nie wydaje mi się to możliwe - wtrącił się Gunn. - Byłaby do tego potrzebna potężna fala uderzeniowa.

- Tak się powszechnie uważa - przyznał Yaeger. - Ale doktor McCammon, wspólnie z Max i innymi sejsmologami, opracował teorię na ten temat. Kolega von Wachtera twierdzi, że wynalazł on metodę otrzymywania wyraźnego, szczegółowego obrazu wnętrza Ziemi. Tajemnica polega na wysyłaniu w jej głąb skupionej wiązki fal akustycznych. Normalnie emitowane fale zachowują się jak garść kamyków rzuconych do stawu, które rozsypują się na wszystkie strony. Von Wachter znalazł sposób na to, by transmitowane fale przy

przenikaniu pod ziemię pozostawały skoncentrowane w wąskim paśmie. W rezultacie gdy odbite fale wracają na powierzchnię, dają obraz takiej jakości, jakiej nie zapewnia żadna istniejąca technika. Tak przynajmniej twierdzi jego kolega.

- Ale co obraz sejsmiczny ma wspólnego z trzęsieniami ziemi? - naciskał Gunn.

- Po pierwsze to, że system von Wachtera ukazuje szczegółowo aktywne uskoki podziemne i linie uskokowe, również płytkie, które można wykryć przy użyciu już istniejących technik.

- No dobrze, więc aparatura sejsmiczna von Wachtera umożliwia dokładne zlokalizowanie aktywnych uskoków pod powierzchnią - powiedział Gunn. - Ale musiałbyś w jakiś sposób naruszyć te punkty naprężenia, poprzez wiercenia lub wybuch, żeby doprowadzić do rozerwania uskoku i trzęsienia ziemi.

- To prawda, że trzeba byłoby naruszyć uskok, żeby wywołać trzęsienie ziemi. Ale nie ma różnicy, czy fala sejsmiczna powstała w wyniku wybuchu...

- ...czy eksplozji dźwięku - dokończył za Yaegera Pitt. - To ma sens. Ten trzymetrowy wiszący trójnóg to zespół generatorów fal akustycznych. Sądząc po jego wielkości i ilości zasilaczy ma potężną moc.

- Jeśli eksplozja dźwięku zostanie skierowana na linię uskokową drgania wytworzone przez fale sejsmiczne mogą spowodować rozerwanie uskoku i trzęsienie ziemi. To tylko teoria, ale McCammon i Max są zgodni, że tak to wygląda. Być może wynalazek von Wachtera nie był do tego przeznaczony i po prostu wywołuje nieprzewidziany skutek uboczny.

- Tak czy inaczej, jest teraz w rękach Bordżina. Musimy założyć, że facet ma to urządzenie i umie się nim posługiwać - odparł Pitt.

- Skutki już widzieliście z bliska - powiedział Yaeger. - Jedno z pasujących do tego trzęsień ziemi miało miejsce nad jeziorem Bajkał. Być może przez przypadek spowodowało podwodne osunięcie gruntu, a to z kolei wywołało sejszę, która omal was nie zabiła. Podejrzewamy teraz, że ich prawdziwym celem był rurociąg na północnym brzegu jeziora, który udało im się uszkodzić.

- To wyjaśnia, dlaczego próbowali zatopić „Wierieszczagina” i zniszczyć nasze komputery - odezwał się Giordino. - Powiedzieliśmy siostrze Bordżina, Tatianie, o naszych badaniach sejsmicznych na

jeziorze. Musiała się zorientować, że nasz sprzęt wykryłby udział człowieka w wywołaniu trzęsienia ziemi.

- Co mogłoby nas doprowadzić do tajemniczego statku na jeziorze, „Primorskiego” - dodał Pitt.

- Więc już wykorzystują niszczycielską siłę tego urządzenia - stwierdził Gunn.

- Jest gorzej, niż myślisz. Nie znamy celu wywołania trzęsień ziemi w Mongolii i Chinach. Ale charakterystyka tych trzęsień była dokładnie taka sama, jak tamtych dwóch w Zatoce Perskiej, które zahamowały eksport ropy z tego regionu.

Zaszokowało ich samo istnienie urządzenia do wywoływania trzęsień ziemi. Jeszcze bardziej niewiarygodne wydawało się to, że jest wykorzystywane do rujnowania światowej gospodarki i znajduje się w rękach zagadkowego osobnika mieszkającego w głębi Mongolii. Pitt zaczynał teraz rozumieć grę Bordzina. Najwyraźniej odkrył w Mongolii Wewnętrznej złoża ropy i zamierzał zostać naftowym królem Azji Wschodniej. Wątpliwe, żeby na tym kończyły się jego ambicje.

- Nasz rząd wie o tym? - zapytał Pitt.

- Jestem w kontakcie z wiceprezydentem Sandeckerem. Chce zobaczyć coś konkretnego. Obiecał, że jeśli fakty będą uzasadniały natychmiastowe zajęcie się tą kwestią zwróci się do prezydenta o zwołanie nadzwyczajnej sesji Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Powiedziałem mu o waszym zaangażowaniu w tę sprawę. Prosił, żebyście zdobyli dowód łączący Bordzina z trzęsieniami ziemi.

Admirał James Sandecker, obecnie wiceprezydent, a wcześniej szef Pitta w NUMA, nadal był w bliskich stosunkach z personelem agencji oceanograficznej.

- Dowód w postaci aparatury sejsmicznej znajduje się w laboratorium na terenie posiadłości Bordzina - odrzekł Pitt. - Choć wątpię, żeby to był ten sam egzemplarz, który mieli nad Bajkałem.

- Może tamto urządzenie z Bajkału przeniesiono do Zatoki Perskiej - podsunął Yaeger. - Musimy zakładać, że są co najmniej dwie sztuki.

- Lepiej przyjąć, że trzy. Jak się domyślam, po analizie trzęsień ziemi nad Bajkałem i w zatoce potrafisz udowodnić, że mogą oni uruchomić to urządzenie z pokładu statku.

- Tak. Epicentra obu trzęsień w Zatoce Perskiej były na morzu.

- Tamten statek na Bajkale miał basen zanurzeniowy i dźwig na pokładzie rufowym - zauważył Pitt. - Należy zacząć od szukania w Zatoce Perskiej podobnej jednostki roboczej.

- To przerażające, że mogą wywołać trzęsienie ziemi w dowolnym miejscu kuli ziemskiej - odparł Yaeger. - Bądźcie ostrożni. Nie wiem, co wiceprezydent mógłby zrobić, żeby wam pomóc w Mongolii.

- Dzięki, Hiram. Wytrop te statki, a my zajmiemy się Bordżinem.

Pitt nie czekał na wynik rozmowy Yaegera z Sandeckerem. Wiedział, że na razie niewiele będzie można zrobić. Choć Mongolia i Stany Zjednoczone utrzymywały dobre stosunki, minęłyby dni, jeśli nie tygodnie, zanim nastąpiłaby interwencja władz. A dowodu przeciwko Bordżinowi nie było.

Ponieważ chodziło o życie Theresy i Wofforda, Pitt ułożył plan przeniknięcia do Xanadu z Giordinem i Gunnem. Potem ruszyli w drogę. Bordżin z pewnością nie spodziewał się gości. Jeśli dopisze im szczęście, dostaną się potajemnie do kompleksu, uwolnią Theresę i Wofforda i uciekną z dowodem obciążającym Bordżina.

Zakurzona ciężarówka wspięła się na wzgórze. Giordino zahamował, gdy zbliżyli się do bocznej drogi. Za bramą posiadłości Bordżina biegła równa, żwirowa aleja.

- Szlak do Xanadu - stwierdził Giordino.

- Miejmy nadzieję, że nie ma dziś dużego ruchu z przeciwka.

Zapadał zmierzch. Pitt wątpił, żeby o tej porze ktoś wyjeżdżał z kompleksu. Do Ułan Bator były cztery godziny drogi. Ryzykowali, że natkną się na któryś z konnych patroli Bordżina krążący na zewnątrz posiadłości, ale niewiele mogli na to poradzić.

Giordino skręcił w boczną drogę, która wiała się w górę. Za stromym szczytem zwolnił, kiedy obok pojawiła się rzeka. Bardzo wezbrała po niedawnej, wyjątkowo silnej letniej burzy. Po dniach spędzonych w suchym stepie Giordino był zaskoczony widokiem błota na drodze.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, kompleks jest jakieś trzy kilometry od miejsca, gdzie zaczyna być widoczna rzeka - powiedział.

- Musimy uważnie wypatrywać akweduktu - odparł Pitt. Giordino jechał wolno i szukał wzrokiem nie tylko akweduktu, lecz również patroli. Pitt dostrzegł w końcu wielką rurę wystającą z rzeki, która zasilala betonowy akwedukt. Wiedzieli, że stąd jest niecały kilometr do posiadłości.

Giordino zobaczył przy drodze polanę, skręcił między sosny i wyłączył silnik. Zakurzona i zablocona ciężarówka wtopiła się w otoczenie. Tylko ktoś bardzo spostrzegawczy mógłby ich zauważyć z drogi.

Gunn spojrział nerwowo na zegarek. Dochodziła ósma.

- Co dalej? - zapytał. Pitt wyjął termos z kawą.
- Odpoczniemy i zaczekamy do nocy - odrzekł.

46

Na pokładzie barki wiał ciepły wiatr. Dirk i Dahlgren odpoczęli i zaczęli się zastanawiać, jak wrócić na ląd.

- Ta balia jest zbyt ociężała, żeby nią żeglować - powiedział Dahlgren.
- Tym bardziej że nie mamy żagla - odparł Dirk. - Ale spróbujmy przynajmniej zmniejszyć szybkość dryfowania.
- Dryfkotwa?
- Właśnie o tym myślałem - odrzekł Dirk i podszedł do jednego z kompresorów.
- To raczej droga kotwica - zauważył Dahlgren.

Jeden koniec dziesięciometrowej liny przywiązali do kompresora, drugi do pachołka na rufie. Dźwignęli kompresor na krawędź burty i zepchnęli do morza. Prowizoryczna dryfkotwa zawisła pod powierzchnią wody, spowalniając pchaną przez wiatr barcę.

- Jeśli rekiny spróbują to ugryźć, połamią sobie zęby - zażartował Dahlgren.
- O to nie musimy się martwić - odparł Dirk i zbadał wzrokiem horyzont w poszukiwaniu jakiegoś statku. Ale ocean wokół południowo-wschodniego krańca archipelagu wysp hawajskich był zupełnie pusty.
- Chyba jesteśmy zdani na siebie.

Z braku pontonu nie mogli opuścić barki i popłynąć do brzegu. Na pokładzie pozostał kompresor i pompa wodna, mnóstwo sprzętu do nurkowania, jedzenie i trochę ubrań.

Dahlgren postukał kostkami palców w ścianę nadbudówki.

- Moglibyśmy zbudować z tego tratwę. Mamy trochę narzędzi i mnóstwo liny.

Dirk zareagował na ten pomysł bez entuzjazmu.

- To by nam zajęło cały dzień, w dodatku trudno byłoby płynąć pod wiatr i pod prąd. Chyba lepiej poczekać na jakiś statek.

- Ja tylko próbuję wymyślić, jak dotrzeć do Summer.

Dirk też ciągle o tym myślał. Nie wątpił, że on i Dahlgren przeżyją. Na pokładzie mieli dużo jedzenia i wody. Wiedział, że kiedy „Mariana Explorer” wróci do zatoki i nie zastanie tam barki, rozpocznie poszukiwania. Był pewien, że zostaną odnalezieni w ciągu tygodnia. Ale ile czasu ma Summer?

Przeraziła go ta myśl. Kto ją porwał? Przeklinał swą bezsilność na dryfującej barce, która coraz bardziej oddalała się od lądu. Zaczął spacerować po pokładzie, zauważył na dachu nadbudówki deskę surfingową Summer i poczuł się jeszcze bardziej bezradny.

I wtedy go olśniło. Może Summer podsunęła mu tę myśl na odległość?

Odwrócił się do Dahlgrena.

- Jack - powiedział z uśmiechem - zbudujemy katamaran.

Szaro-biała mewa poderwała się do lotu z głośnym wrzaskiem, wściekła na to, że omal nie została przejechana. Zatoczyła w górze krąg, patrząc nieufnie na dziwną żaglówkę, która sunęła po powierzchni oceanu. Opadła w dół i wylądowała w jej kilwaterze. Nigdy jeszcze nie widziała czegoś takiego.

Dirk wpadł na pomysł, żeby zbudować katamaran z dwóch desek surfingowych - swojej i Summer - i natychmiast zabrali się do pracy. Fiberglassowe deski nadawały się doskonale na kadłuby. Dahlgren zaproponował, żeby poprzeczne elementy konstrukcji zrobić z ich łózek połowych. Zdarli z nich tkaninę, położyli aluminiowe ramy na deskach

surfingowych, powiązali wszystko razem linami i dla pewności skleili taśmą samoprzylepną.

- Gdyby udało nam się wywiercić na środku desek małe dziury, moglibyśmy przeciągnąć przez nie linę zabezpieczającą, żeby mieć pewność, że poprzeczki nie poluzują się na pierwszej czołowej fali - powiedział Dahlgren.

- Oszalałeś? To są deski Greg Noll. Summer zabiłaby nas, gdybyśmy zniszczyli jej deskę.

Elementy ramy trzeciego łóżka posłużyły za maszt utrzymywany w pionie przez kilka lin. Z jaskrawo niebieskiej tkaniny zerwanej z łózek powstał żagiel. Po niecałych dwóch godzinach katamaran był gotów.

Dirk przyjrzał się z podziwem ich wspólnemu dziełu.

- Nie wystartowałbym tym w regatach Sydney-Hobart, ale wierzę, że dopłyniemy z powrotem do wyspy Hawaii.

- Ja też - przytaknął Dahlgren. - Brzydkie to jak diabli, ale bardzo funkcjonalne.

Znów ubrali się w skafandry nurków, powiesili na maszcie torbę z jedzeniem i wodą, a potem opuścili swoją konstrukcję za burtę. Weszli ostrożnie na pokład dwukadłubowca, sprawdzili jego stabilność. Dahlgren odcumował go od barki. Oddaliła się szybko, a oni ruchami nóg ustawili katamaran pod odpowiednim kątem do wiatru. Dirk naciągnął mocno prowizoryczny żagiel i przywiązał do tylnej poprzeczki. Łódka wyrwała naprzód, gdy wiatr wypełnił prostokątny niebieski żagiel.

Każdy z nich leżał na jednej desce surfingowej, dopóki się nie upewnili, że ramy łózek nie mają luzów. Wiązania linowe dobrze trzymały, obie deski atakowały fale jednocześnie, poprzeczki niemal się nie ruszały. Usiedli, ale nadal zalewały ich fale czołowe.

- Czuję się tak, jakbym jechał na nartach wodnych, siedząc na ogrodowym krzeselku - powiedział Dahlgren, gdy przetoczyła się nad nimi duża fala.

Mały dwukadłubowiec zachowywał stabilność i pruł szybko przez ocean. Dirk usiłował sterować wiosłem, które przymocował do tylnej poprzeczki, ale miał bardzo ograniczony wpływ na kierunek łódki, więc przez kilka godzin utrzymywali kurs na wprost. Potem Dirk opuścił

żagiel, obrócili katamaran ruchami nóg o dziewięćdziesiąt stopni i wiatr wydał żagiel z drugiej strony.

- Przemysł jeszcze raz sprawę startu w regatach Sydney-Hobart, stary. Ten jacht pływa jak marzenie - powiedział Dahlgren.

- Fakt. Ale w tamten rejs chyba zabrałbym ze sobą „suchy” skafander.

Obaj byli zdumieni, że prymitywny dwukadłubowiec tak dobrze się spisuje. Barka wkrótce zniknęła z widoku, wyspa Hawaii na horyzoncie rosła w oczach. Dirk myślał o Summer. Byli bliźniakami i łączyła ich silna więź, której większość rodzeństw nie potrafi zrozumieć. Dirk niemal czuł obecność siostry i wiedział z całą pewnością że Summer żyje. Wytrzymaj - powiedział do niej w duchu. Pomoc już nadchodzi.

Ciemne lawowe zbocza wulkanu Mauna Loa lśniły purpurowo w zachodzącym słońcu, gdy zbliżali się od południowego wschodu do wyspy Hawaii. Ta część jej wybrzeża była prawie niezamieszкана. Dostęp do morza utrudniały poszarpane klify, tylko gdzieniegdzie ciągnęły się plaże pokryte czarnym piaskiem. Dahlgren wskazał skalisty cypel, który wrzynał się w Pacyfik milę morską czy dwie na południe od nich.

- Czy to nie Humuhumu?

- Na to wygląda - zgodził się Dirk, próbując rozpoznać ten punkt orientacyjny w gasnącym świetle dnia. - Co oznacza, że zatoka Keliuli jest już niedaleko, po jego drugiej stronie. Trafiliśmy prawie do tego samego punktu, z którego wyruszyliśmy.

- Przykład dobrej nawigacji na deskach surfingowych - odrzekł Dahlgren. - W takim razie, najbliższe miejsce, gdzie możemy przybić do brzegu i skontaktować się z władzami, to Milolii.

- Około sześciu mil morskich stąd.

- Kawalek drogi. Chyba że wolelibyśmy popłynąć w przeciwną stronę i złożyć wizytę facetom, którym zawdzięczamy w ten przyjemny rejs.

Dahlgren wyczytał odpowiedź z błysku w oczach Dirka. Bez słowa skierowali katamaran na południowy zachód i wzięli kurs na zatokę Keliuli.

Summer siedziała uwieczona w ciasnym magazynie. Popołudnie wlokło się w ślimaczym tempie. Przetrasnęła pomieszczenie w poszukiwaniu jakichś narzędzi lub innych przedmiotów, które mogłaby wykorzystać do ucieczki, ale bez skutku. Zastanawiała się nad losem Dirka i Jacka. Ustawiła pod bulajem pustą skrzynię, skąd mogła patrzeć na ocean, czując na twarzy morską bryzę.

Ze swojego punktu obserwacyjnego zauważyła krzątaninę na pokładzie rufowym statku. Za burtę opuszczono ponton i kilku nurków zniknęło pod wodą żeby spenetrować miejsce, gdzie spoczywał wrak. Poczua pewną satysfakcję, że nie wydobędą żadnych artefaktów z odsłoniętej części dżonki, bo podczas badań i prac wykopaliskowych wszystko już stamtąd zabrano.

Po powrocie nurków na pokład poczuła, że statek wiertniczy zmienia pozycję. Przed zachodem słońca znów zapanował ruch. Z pokładu poniżej dochodziły krzyki i odgłosy pracy żurawia. Gwałtownie otworzono drzwi magazynu. Do środka wkroczył typ z byczym karkiem i krzywymi zębami i zabrał ją do sterowni, gdzie przy stole nawigacyjnym stał Tong, studiując w jasnym świetle obrotowej lampy jakiś wykres.

Kiedy podeszła, podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się drwiąco.

- Panna Pitt. Moi nurkowie potwierdzili, że się napracowaliście. I mówiliście prawdę. Większość wraka leży pod lawą. Teraz trzeba go zidentyfikować.

Czekał na jakąś reakcję, ale Summer tylko popatrzyła na niego lodowato, a potem uniosła wciąż związane ręce.

- Dobrze. Tutaj nie ma dokąd uciec - powiedział i skinął głową Byczemu Karkowi, który wyjął nóż i przeciął więzy. Summer rozmasowała nadgarstki i rozejrzała się. Przy przednim oknie stał sternik i patrzył na ekran radaru. Oprócz niego w pomieszczeniu byli tylko dwaj mężczyźni. Tong pokazał jej gestem, żeby usiadła przy nim. Zrobiła to z wahaniem.

- Owszem - przytaknęła cicho. - Tak jak mówiliśmy na pokładzie „Mariany Explorera”, który lada chwila tu wróci, usunęliśmy z dostępnej części wraka wszystkie artefakty, których zresztą było niewiele.

Tong uśmiechnął się do Summer, przysunął do niej i położył rękę na jej kolanie. Miała ochotę dać mu w twarz i uciec, ale powstrzymała się. Zmierzyła go tylko zimnym spojrzeniem, starając się ukryć strach i odrazę.

- Moja droga, minęliśmy „Marianę Explorera” na wysokości Hilo - powiedział drwiąco. - Powinien się teraz zbliżać do swojego punktu docelowego, do cypla Lelewi po drugiej stronie wyspy - dodał i roześmiał się nieprzyjemnie.

- Dlaczego ten wrak jest dla was taki ważny? - zapytała w nadziei, że odwróci od siebie jego uwagę.

- Naprawdę nie wiesz?- zapytał z niedowierzaniem. Zdjął rękę z jej kolana i odwrócił się z powrotem do wydruku na stole nawigacyjnym. Sonarowy obraz dna morskiego ukazywał miejsce odkrycia wraka i sąsiadującą z nim pokrywą lawową ze znakiem X. - Przebiliście się przez lawę?

- Oczywiście, że nie. Nie rozumiem, czego szukacie. Artefakty zostały wydobyte, a reszta wraka jest uwięziona pod lawą. Nie można z tym nic zrobić.

- Można, moja droga, można.

Summer popatrzyła na Tonga z obawą i zaciekawieniem. Zastanawiała się, co zamierzają uczynić ci złodzieje.

Tong zostawił ją pod strażą i zszedł po schodach z mostka. Skierował się w stronę rufy, otworzył boczny wjazd i wszedł do dużego pomieszczenia. Wzdłuż ścian ciągnęły się regały z komputerami i urządzeniami elektronicznymi. Było ich tyle, ile w komorze bezechowej na terenie rodzinnej posiadłości w Mongolii. Przy pulpicie z rzędem kolorowych monitorów stał niski mężczyzna o groźnym spojrzeniu. To on kierował poszukiwaniami w górach Chentej, przerwanych po zabiciu ekipy rosyjskich nafciarzy. Skinął Tongowi głową.

- Zlokalizowaliśmy niewielki uskoki i wprowadziliśmy współrzędne - oznajmił głuchym głosem. - Jest niedaleko, ale może nie wystarczy do zrobienia odpowiedniej szczeliny w pokrywie lawowej. Obawiam się, że

to, o co pan prosi, jest niewykonalne. Nie powinniśmy tracić tutaj czasu, tylko wyruszyć na Alaskę, tak jak kazał pański brat.

- Warto zaryzykować niewielkie spóźnienie, jeśli rzeczywiście jest to cesarski statek dynastii Jüan.

Niski mężczyzna skinął głową na znak zgody.

- Proponuję cztery lub pięć eksplozji, potem wyślemy nurków na dół, żeby sprawdzili rezultaty. Przekonamy się, czy jest jakaś nadzieja na rozerwanie lawy.

- W porządku, niech pan uruchomi aparaturę akustyczną. Będziemy pracowali całą noc. Jeśli nam się nie powiedzie, rano wyruszymy na Alaskę.

Tong cofnął się i pozwolił technikowi działać. Podobnie jak w Zatoce Perskiej, przez basen zanurzeniowy statku zostało opuszczone sejsmiczne urządzenie akustyczne, które spoczęło na pokrywie lawowej pod wodą. Celem był pobliski podziemny uskok. Technik włączył komputer sterujący i wzmacniacze sygnału. Pięć sążni poniżej przez trzy przetworniki przepłynął pierwszy silny impuls elektryczny. Sekundę później rozległa się przytłumiona eksplozja i statek zadrżał lekko od uderzenia fali akustycznej.

Tong się uśmiechał. Miał nadzieję, że rejs zakończy się podwójnym sukcesem.

Milę morską dalej niski katamaran wpłynął pod czarnym nocnym niebem do zatoki. Dirk i Dahlgren siedzieli wyprostowani na deskach surfingowych i wiosłowali wzdłuż wysokiego urwistego brzegu. Zauważyli skalną półkę tuż nad powierzchnią wody i wciągnęli katamaran na ląd pod niemal pionową ścianą góry. Dirk wstał, popatrzył na jasno oświetlony statek w pobliżu i zdemontował maszt, żeby katamaran był mniej widoczny.

Usiedli. Odpoczywali po długim dniu spędzonym na wodzie i przyglądali się statkowi. Był tak blisko, że widzieli kilku mężczyzn krzątających się wokół dźwigu na pokładzie rufowym. Obserwowali, jak opuszczają do morza urządzenie w kształcie trójnogu.

- Jak myślisz, chcą się przewiercić przez lawę i dostać do wraka? - spytał Dahlgren.

- Nie wiem, co mają nadzieję wydobyć w ten sposób.

Zjedli prowiant, napili się wody i rozprostowali bolące nogi i ramiona. Zaczęli układać plan ataku, gdy w pobliżu statku rozległ się przytłumiony huk. Brzmiał tak, jakby pochodził z głębi kadłuba lub spod kila.

- Co to było? - zapytał Dahlgren.

- Może podwodny wybuch - mruknął Dirk i popatrzył na powierzchnię morza wokół statku. Spodziewał się zobaczyć nagle wypiętrzenie wzburzonej wody, ale po zatoce rozeszły się tylko małe fale. - Dziwne, że na wodzie nic się dzieje. To musiało być wewnątrz statku.

- Na pokładzie nie widać zamieszania - odparł Dahlgren. Większość załogi zniknęła i na statku panował spokój. - Może przyjrzymy się temu z bliska?

Kiedy zaczęli spuszczać katamaran na wodę, usłyszeli drugi przytłumiony huk. I tym razem na powierzchni morza nie było żadnego śladu wybuchu. Gdy zastanawiali się nad dziwną detonacją, z dołu dobiegło głośne dudnienie. Odgłos narastał, ziemia pod ich stopami zaczęła się tak gwałtownie trząść, że omal nie stracili równowagi. Ze stromego klifu spadały kawałki lawy.

- Uważaj! - krzyknął Dirk, kiedy zobaczył, że prosto na nich zsuwa się wielki głaz. Ledwo zdążyli uciec mu z drogi. Przetoczył się tuż obok katamarana i wylądował z pluskiem w zatoce.

Trzęsienie ziemi trwało jeszcze parę sekund. Wywołało kilka spienionych fal, które uderzyły mocno w skalną ścianę, później woda się uspokoiła.

- Myślałem, że runie na nas całe urwisko - powiedział Dahlgren. Dirk popatrzył z lękiem w górę.

- Lepiej się stąd wynośmy.

Dahlgren spojrział w kierunku statku wiertniczego.

- To ich robota. Trzęsienie ziemi spowodował wybuch.

- Chyba próbują rozerwać pokrywę lawową żeby dostać się do wraka.

- Niech go sobie wezmą. Poszukajmy Summer i spadajmy stąd, zanim cała wyspa zwali się nam na głowy.

Zwodowali szybko katamaran i weszli na pokład. Odbili cicho od brzegu i powiosłowali ostrożnie w stronę statku wiertniczego. Dahlgren zauważył, że koniec deski surfingowej przed nim jest spłaszczony jak naleśnik.

Nie miał serca powiedzieć Dirkowi, że jego deskę uszkodził spadający głaz.

48

Summer siedziała w sterowni przy stole nawigacyjnym i rozważała możliwości ucieczki, gdy nastąpiła pierwsza eksplozja akustyczna. Przytłumiony huk rozległ się bezpośrednio pod kilem. Pomyślała, że ci złodzieje próbują uwolnić wrak spod lawy.

Byczy Kark patrzył na nią wrogo ponad stołem. Uśmiechnął się lekko, kiedy zobaczył jej zdezorientowaną minę. Kilka minut później wyszczerzył pociemniałe od nikotyny zęby, gdy w sterowni zabrzmiał odgłos drugiej podwodnej eksplozji.

Summer intrygowały ich poczynania. Skoro posunęli się do zabójstwa i rozmyślnie niszczyli miejsce odkrycia wraka, to na pewno uważali, że w jego ładowniach jest coś bardzo cennego. Przypomniała sobie zainteresowanie Tonga porcelanowym talerzem. Ale musiało mu chodzić o coś więcej niż o ceramikę, skoro zadaje sobie tyle trudu. Summer podejrzewała, że jego celem jest złoto i klejnoty.

Kiedy po drugim wstrząsie statek zaczął wibrować, znów pomyślała o ucieczce. Jeśli chciała przeżyć, musiała się najpierw wydostać ze statku. Była dobrą pływaczką. Gdyby udało jej się skoczyć do wody, bez trudu dotarłaby do łądu. Wędrówka w głąb wyspy lub wzdłuż urwistego wybrzeża nie byłaby przyjemna, ale mogłaby się po prostu ukryć wśród skał i poczekać na powrót „Mariany Explorera”.

Uznała, że największe szanse ma teraz, kiedy towarzyszą jej tylko sternik i Byczy Kark. Ten pierwszy nie wydawał się groźny. Był jeszcze bardzo młody, drobny i sprawiał wrażenie strachliwego. Gapił się na Summer, która miała metr osiemdziesiąt trzy wzrostu, jakby zobaczył Afrodytę.

Skoncentrowała uwagę na Byczym Karku po drugiej stronie stołu. Wyglądał na typa, który nie miałby dla niej litości. Trzeba więc wykorzystać element zaskoczenia.

Opanowała nerwy i powiedziała sobie: „Teraz albo nigdy”. Wstała wolno od stołu i podeszła swobodnym krokiem do okna sterowni. Byczy Kark natychmiast do niej dołączył i stanął tuż za nią.

Summer wzięła głęboki oddech, żeby się odprężyć, i ruszyła długimi krokami w stronę lewego skrzydła mostka. Zmierzała szybko do drzwi, jakby chciała złapać windę. Strażnik warknął, żeby się zatrzymała, ale zignorowała go. Rzucił się za nią dogonił ją w progu i złapał brudną ręką za ramię. Spodziewała się tego. Szybkość reakcji zaskoczyła nawet ją samą.

Chwyciła go obiema rękami za nadgarstek, wykonała błyskawicznie półobrót, pchnęła jego dłoń do góry, a potem szarpnęła do tyłu. Cofnęła się o krok i opadła na jedno kolano. Bandzior obawiał się rzutu judo i uskoczył w bok, ale zablokowała mu boleśnie nadgarstek. Wściekły strażnik zamachnął się na nią wolną ręką i trafił ją w plecy. Zerwała się na nogi, wykręciła mu ramię i zmusiła go, żeby się cofnął. Spróbował zadać jej cios lewą ręką ale nie mógł znieść bólu i zatoczył się do tyłu. Wpadł na konsolę obok steru i osunął się na kolana. Dopóki Summer trzymała go mocnym chwytem za nadgarstek, był bezradny.

Na konsoli zaczęła błyskać czerwona kontrolka i z głębi statku dotarły lekkie wibracje. Przy zderzeniu z pulpitem Byczy Kark wcisnął przypadkiem wyłącznik automatycznego sterowania pędnikami i uruchomił tryb manualny. Młody sternik, zaskoczony przewagą Summer nad strażnikiem, cofnął się od steru, powiedział coś po mongolsku i wskazał pulsującą lampkę. Summer jeszcze waliło serce po walce. Wzięła głęboki oddech i zerknęła na konsolę.

Przyrządy sterownicze były opisane po chińsku, ale pod fabrycznymi tabliczkami ktoś dodał naklejki z angielskimi tłumaczeniami. Summer zauważyła pod czerwoną kontrolką angielskie słowa: „Ręczne sterowanie pędnikami”. Natychmiast przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- Drobną zmianą planów - mruknęła do sternika, który jej nie zrozumiał. - Najpierw wybierzemy się w krótki rejs.

Przyjrzała się sąsiednim przyrządom i zobaczyła dwa pokrętła z oznaczeniami „Lewy pędnik dziobowy” i „Lewy pędnik rufowy”. Wyciągnęła wolną rękę i nastawiła oba na zero. Niemal jednocześnie pod kilem nastąpiła trzecia eksplozja akustyczna. Huk zagłuszył zmianę

odgłosu pędników. Załoga może się nawet nie zorientować, że statek płynie teraz bokiem przez zatokę. Za kilka minut uderzy w skalisty brzeg. Wybuchnie zamieszanie i będzie szansa na ucieczkę.

- Cofnij się - warknęła do sternika, który skradał się do konsoli. Chłopak odskoczył od steru i spojrzał ze zgrozą na wykrzywioną bólem twarz Byczego Karku.

Statek wiertniczy sunął cicho po zatoce, pchany przez pędniki z prawej burty. Summer wydało się, że usłyszała jakiś dźwięk przy linii wodnej, ale statek nadal płynął bokiem w ciemności, która ograniczała widoczność niemal do zera. Od ściskania nadgarstka bandziora zaczęła ją boleć ręka.

Liczyła nerwowo sekundy i czekała z nadzieją na uderzenie kadłuba o brzeg. Ale zamarło jej serce, kiedy od strony otwartych drzwi dobiegł męski głos.

- Co się dzieje?

Odwróciła się i zobaczyła Tonga. Trzymał pistolet wycelowany w jej serce.

49

Wiosłując rękami, podpłynęli pozbawionym masztu katamaranem na odległość stu metrów do statku wiertniczego. Zbliźali się z lewej burty od dziobu, żeby być poza zasięgiem mocnych reflektorów oświetlających pokład rufowy. Kiedy badali wzrokiem statek w poszukiwaniu członków załogi, Dahlgren pochylił się nagle w stronę Dirka.

- Spójrz na mostek - szepnął.

Dirk zerknął na nadbudowę dziobową. W otwartych drzwiach wychodzących na skrzydło mostka mignęła mu jakaś postać. Była wysoka i miała rude włosy do ramion.

- Summer.

- Na pewno - przytaknął Dahlgren.

Dirk poczuł wielką ulgę, że jego siostra żyje. Z nową energią zaczął wiosłować w kierunku statku.

- Trzeba wejść na pokład i zobaczyć, co się dzieje.

Okazało się, że łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Najniższy pokład statku znajdował się trzy metry nad nimi. Statek utrzymywały w miejscu pędniki pozycjonujące, więc do wody nie biegła żadna lina kotwiczna. Dirk miał nadzieję, że na rufie jest stalowa drabinka, jak na wielu innych statkach roboczych.

Wiosłowali cicho ku rufie, gdy nastąpiła trzecia eksplozja. Poczuli lekkie vibracje, ale i tym razem nie było większych fal. Lampy wokół basenu zanurzeniowego oświetlały spód statku i zobaczyli wiązkę kabli biegnącą w dół do urządzenia w kształcie trójnogu, które stało na dnie zatoki.

Przepłynęli jeszcze kilka metrów wzdłuż statku i nagle Dirk uświadomił sobie, że zamilkły pędniki po tej stronie kadłuba. Zanim się zorientował, co się dzieje, burta uderzyła w katamaran i łódka uniosła się na powstałej fali. Statek sunął na nich bokiem, nabierając prędkości. Jeszcze chwila i katamaran się przewróci.

- Do wody! - krzyknął do Dahlgrena.

Już miał się stoczyć z deski, gdy dostrzegł nad głową linę. Nieużywana cuma zwisała z burty statku. Dirk wstał i z trudem dosięgnął liny jedną ręką. Podciągnął się, chwycił cumę oburącz. Naprężyła się pod jego ciężarem i znalazła się metr nad wodą.

Obejrzał się i zobaczył, że katamaran koziółkuje i znika pod kadłubem sunącego bokiem statku. Dahlgren był kawałek dalej na grzbiecie fali i płynął jak szaleniec.

- Tutaj. Mam linę! - zawołał cicho Dirk, żeby nie zwrócić na siebie uwagi innych.

Ale Dahlgren go usłyszał. Płynął, wyteżając wszystkie siły. Woda przy burcie statku wirowała we wszystkich kierunkach, utrudniając mu zadanie. Kiedy Dahlgren w końcu dotarł do statku, Dirk chwycił go za skafander i z całej siły szarpnął do góry. Uniósł go na tyle, że Dahlgren zdołał uczepić się cumy. Wisiał przez chwilę bezwładnie, z trudem łapiąc oddech.

- Ekscytująca przygoda - wysapał.

- Już drugi raz dzisiaj musiałem cię wyciągać z wody - odparł Dirk. - Jak tak dalej pójdzie, będę nalegał, żebyś schudł.

- Wezmę to pod uwagę - wymamrotał Dahlgren.

Odpoczęli chwilę, potem wspięli się po linie i weszli na pokład. Na rufie słyhać było jakieś głosy. Dirk zerknął w kierunku wysokiego brzegu, który zbliżał się szybko w ciemności. W sterowni najwyraźniej coś było nie tak, skoro nikt nie wiedział, że statek może się rozbić.

- Chodźmy - szepnął Dirk. - Mam przeczucie, że nie zabawimy tu długo.

Kiedy ruszyli naprzód, rozległo się następne głuchoe dudnienie. Tym razem dochodziło z lądu.

Osiem tysięcy kilometrów stamtąd, na dziesiątym piętrze budynku centrali NUMA, otworzyły się drzwi windy i do ośrodka komputerowego wszedł zaspany Hiram Yaeger z termosem kawy. Wytrzeszczył oczy na widok doktora McCammona, który siedział przy konsoli z zaniepokojoną miną.

- Znów mnie nachodzisz, Phil? - zapytał Yaeger.

- Przepraszam, że tak wcześnie. Jest coś nowego z Narodowego Centrum Informacji o Trzęsieniach Ziemi. Uznałem, że to ważne.

Rozpostarł na stole sejsmogram. Yaeger usiadł na sąsiednim fotelu obrotowym.

- Dosłownie przed chwilą na hawajskiej wyspie Hawaii nastąpiło trzęsienie ziemi o sile ponad siedem stopni w skali Richtera. Było płytkie, a epicentrum znajdowało się zaledwie milę morską od brzegu w zatoce Keliuli.

- Jak wyglądały wstrząsy wstępne? McCammon zmarszczył brwi.

- Bardzo podobnie do tych, które widzieliśmy poprzednio. Najwyraźniej wywołał je człowiek. Właśnie dałem Max dane do oceny. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza, że korzystam z jej talentu podczas twojej nieobecności - dodał.

Max stała z założonymi rękami. Wyglądała na głęboko zamyśloną. Odwróciła się i uśmiechnęła do McCammona.

- Doktorze McCammon, jestem zachwycona, ilekroć mogę panu pomóc. To przyjemność, pracować z dżentelmenem - powiedziała i zerknęła w kierunku Yaegera.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, Max - odparł Yaeger. - Skończyłaś analizę dla doktora McCammona?

- Owszem - przytaknęła Max. - Doktor McCammon może ci pokazać, że przed trzęsieniem ziemi zarejestrowano dwa wstrząsy wstępne. Przy obu były niemal identyczne odczyty seismograficzne, choć drugi wstrząs miał nieco większą intensywność. I oba powstały blisko powierzchni.

- Co wynika z ich porównania z wstrząsami wstępnymi, które zarejestrowano przed dwoma trzęsieniami ziemi w Zatoce Perskiej? - zapytał Yaeger.

- Cechy charakterystyczne tych wstrząsów były prawie takie same, jak tamtych, które poprzedziły trzęsienia w Ras Tannurze i na wyspie Chark.

Yaeger i McCammon popatrzyli na siebie w ponurym milczeniu.

- Hawaje - odezwał się w końcu Yaeger. - Dlaczego akurat Hawaje? Potem pokręcił głową i dodał:

- Chyba czas się skontaktować z Białym Domem.

50

Mimo wycelowanego w nią glocka Summer nadal zaciskała obie dłonie na nadgarstku Byczego Karku. Tong stał nieruchomo w drzwiach i starał się zorientować w sytuacji. Po wodzie rozchodziło się głucho dudnienie, ale ignorował je i podziwiał w milczeniu Summer, która zdołała pokonać jednego z jego twarzą.

Przy przeciwległej ścianie młody sternik odzyskał mowę i odwagę, ale trzymał się w bezpiecznej odległości od Summer.

- Pędniki z lewej burty są wyłączone! - krzyknął do Tonga. - Uderzymy w skały! - Gestykulując z ożywieniem, wskazał lawowe klify, widoczne już za lewą burtą.

Tong nie do końca zrozumiał, o co mu chodzi. Wyrzwał na skrzydło mostka. W tym momencie z ciemności wynurzyły się muskularne ramiona w czarnym neoprenowym skafandrze i złapały go w pasie. Tong odruchowo nacisnął spust glocka, ale pocisk trafił nieszkodliwie w dach sterowni i przeszedł na wylot. Mongoł obrócił się, żeby stawić czoło napastnikowi i zamachnął się pistoletem jak maczugą. Ale za późno. Jego przeciwnik był szybszy, dźwignął go do góry i wyrzucił za burtę.

Oszołomiony Mongoł wydał okrzyk przerażenia i wylądował z głośnym pluskiem w wodzie.

Na skrzydle mostka były kowboj Jack Dahlgren odwrócił się w stronę sterowni i z szerokim uśmiechem mrugnął do Summer. Sekundę później na mostek wpadł Dirk, uzbrojony w oszczep rybacki, który porwał z dolnego pokładu.

Summer zamurowało na ich widok.

- Żyjecie!

- Jesteśmy cali, ale mokrzy. - Uśmiechnął się Dirk.

Radosne powitanie przerwał gwałtowny wstrząs, który zwałił z nóg wszystkich na pokładzie. Statek wiertniczy o masie czterech tysięcy ton, pchany pełną mocą pędników z prawej burty, wpadł bokiem na brzeg zatoki. Ostra skała wulkaniczna przedziurawiła kadłub w wielu miejscach. Do ładowni wdarła się woda i statek przechylił się na lewą burtę. Gdzieś w ciemnej wodzie pod kilem wirował martwy Tong, który w momencie katastrofy znalazł się między statkiem i brzegiem.

Młody sternik pierwszy zerwał się na nogi, włączył dzwonek alarmowy i uciekł. Summer w końcu puściła nadgarstek Byczego Karku, ale Mongoł stracił ochotę do walki, kiedy Dahlgren wbił mu bosak w żebra i wypchnął go na lewe skrzydło mostka. Na zewnątrz rozlegały się ludzkie krzyki i ciągłe dudnienie.

- Coś mi mówi, że kurs kolizyjny statku to twoja sprawka. - Dirk uśmiechnął się do Summer.

- Desperacki krok - odrzekła. Dahlgren cofnął się ze skrzydła mostka.

- Mamy towarzystwo - oznajmił. Po schodach biegła do sterowni grupa uzbrojonych ludzi.

- Dasz radę dopłynąć do brzegu? - zapytał siostrę Dirk.

- Nic mi nie jest - odparła. - Właśnie miałam skoczyć do wody, kiedy się zjawiliście.

Zeszli szybko we troje z mostka na dolny pokład, gdzie słychać było krzyki i nawoływania załogi. Na dziobie kilku mężczyzn przygotowywało do zwodowania szalupę, choć woda już przelewała się przez lewą burtę przechylonego statku. Summer nie traciła czasu i zsunęła się po prawej burcie do zatoki. Dirk i Dahlgren poszli w jej ślady i odpłynęli szybko od statku.

Dudnienie od strony lądu narastało, aż nastąpiło drugie trzęsienie ziemi. Było silniejsze niż pierwsze. Wzdłuż całej zatoki od klifów odrywały się kawałki skał, staczały się po zboczach i wpadały do morza wśród rozbryzgów wody.

Ze szczytu klifu górującego nad statkiem zsunęła się wielka bryła skały wulkanicznej, odbiła się od występu urwiska, poszybowała w powietrzu i spadła prosto na statek. Przebiła tył sterowni i kabinę komputerową poniżej, wylądowała na śródkręciu przy lewej burcie, niszcząc dużą część statku. Ktoś w panice skoczył do wody, gdy od dziobu odpłynęła łódź ratunkowa.

Dudnienie trzęsienia ziemi w końcu ucichło i luźne skały przestały spadać z klifów. Teraz słychać było bulgot tonącego statku wiertniczego i czasem krzyk kogoś z załogi. Sto metrów dalej Dirk, Summer i Dahlgren płynęli do brzegu i obserwowali ostatnie minuty starego statku.

Po chwili statek położył się na burtę, zsunął się ze skał, zniknął pod falami i poszedł na dno morza dwadzieścia metrów poniżej. Tylko wysoki dźwig, złamany w czasie przechyłu i leżący pod ścianą urwiska, wskazywał miejsce ostatniego spoczynku statku.

- Co oni chcieli wydobyć z wraka? - zapytał Dirk.

- Nie udało mi się dowiedzieć - odrzekła Summer. - Ale robili wszystko, żeby rozerwać pokrywę lawową i dostać się do niego.

- I w trakcie tego wywołali dwa trzęsienia ziemi - dodał Dahlgren. Od strony lądu dobiegł odgłos silników samolotu i wkrótce potem nad zatoką przechylił się w skrajnie hercules HC-130. Turbośmigłowiec straży przybrzeżnej leciał nisko i oświetlał powierzchnię oceanu mocnymi reflektorami. Przeleciał nad szalupą i zniszczonym dźwigiem, potem rozszerzył strefę poszukiwań rozbitków w wodzie. Kilka minut później na małej wysokości przemknęły z hukiem dwa F-15 z lotniska Sił Powietrznych Hawajskiej Gwardii Narodowej Hickam Field na Oahu i zawróciły, żeby wspierać herculesa. Ekipa NUMA w wodzie nie wiedziała, że gdy zarejestrowano drugie trzęsienie ziemi, Hiram Yaeger nakłonił wiceprezydenta Sandeckera do zbadania miejsca zdarzenia.

- Co za przyjemny widok - powiedziała Summer, kiedy Hercules zataczał w górze krąg. - Nie wiem, dlaczego się tu zjawili, ale naprawdę się cieszę, że ich widzę.

- Założę się, że w drodze jest już kuter ratowniczy i helikoptery - odrzekł Dirk.

- Nikt nie musi nas zabierać. - Dahlgren nagle zachichotał. - Mamy własną łódź ratunkową.

Popłynął do obiektu, który unosił się niedaleko na wodzie, i po chwili wrócił ze zdeformowanym, ale całym katamaranem na holu.

- Ocalał! - wykrzyknął ze zdumieniem Dirk. Summer popatrzyła na katamaran i zmarszczyła brwi.

- Moja deska surfingowa! Co ona tu robi? - Przyjrzała się ze zdziwieniem pogiętym aluminiowym ramom przywiązanych do deski Dirka, na której zauważyła kilka uszkodzeń. - I co się stało z twoją?

Dirk wzruszył ramionami.

- To długa historia, siostrzyczko.

51

Theresa miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Ciągłe zerką na ozdobny zegar ścienny w pokoju Bordzina i wydawało jej się, że wskazówki stoją w miejscu. Była zdenerwowana oczekiwaniem na szansę ucieczki. W końcu zmusiła się do tego, żeby przestać patrzeć na zegar i przynajmniej udawać, że jest zajęta studiowaniem raportów geologicznych.

Pracowali już drugi dzień. Byli odizolowani i mieli przerwy tylko na posiłki. Porywacze nie wiedzieli, że Theresa i Wofford skończyli analizę lokalizacji odwiertów dawno temu. Udawali, że nadal pracują, w nadziei, że tego wieczoru, podobnie jak poprzedniego, będzie ich pilnował tylko jeden strażnik. Kiedy posprzątano po ich kolacji, z dwóch Mongołów przy drzwiach pozostał jeden i ich szanse na ucieczkę wzrosły.

Theresa zerknęła na Wofforda. Studiował szczegółowy obraz sejsmiczny ze szczęśliwą miną. Zachwycał się jakością, którą zapewniała aparatura von Wachtera, i pożerał wzrokiem profile geologiczne. Theresa żałowała w duchu, że nie potrafi wyzbyć się strachu tak łatwo jak on.

Na zegarze minęła dziewiąta, gdy do pokoju weszła Tatiana. Była w cienkim, czarnym swetrze i luźnych spodniach tego samego koloru.

Długie włosy miała starannie uczesane, na jej szyi wisiał piękny złoty amulet. Ale atrakcyjny wygląd zewnętrzny nie mógł zamaskować jej wewnętrznego chłodu i braku ludzkich uczuć.

- Skończyliście? - rzuciła ostro.

- Nie - odparł Wofford. - Te dodatkowe profile zmieniły naszą wcześniejszą ocenę. Musimy dokonać dalszej analizy, żeby znaleźć optymalne miejsca na odwierty.

- Ile to potrwa? Wofford ziewnął.

- Trzy do czterech godzin. Tatiana zerknęła na zegar.

- Możecie to zrobić rano. W południe macie przedstawić mojemu bratu wyniki.

- A potem ktoś nas odwiezie do Ułan Bator? - zapytała Theresa.

- Oczywiście - odrzekła Tatiana z nieszczerym uśmiechem. Odwróciła się tyłem, zamieniła kilka słów ze strażnikiem przy drzwiach i zniknęła w głębi korytarza. Theresa i Wofford zabrali się do układania raportów i robienia porządku na stole. Przeciągali to jak mogli, żeby zyskać na czasie. Ich jedyną szansą, było pozostanie sam na sam ze strażnikiem.

W końcu wstali, żeby się nie zorientował, że tylko udają zajętych. Wofford wziął stos dokumentów, chcąc je zabrać ze sobą, ale strażnik pokręcił głową. Wofford odłożył akta na stół, chwycił swoją laskę i pokuśtykał z Theresą do drzwi. Kiedy byli za progiem, strażnik ruszył za nimi.

Theresie waliło serce, gdy szli długim korytarzem. W całym domu panowała cisza, paliły się tylko przyćmione nocne światła. Wyglądało na to, że Tatiana i Bordzin są w swoich apartamentach w południowym skrzydle. Spokój zakłócił niski zarządca, który wyszedł z bocznego pokoju z butelką wódki. Spojrzał na więźniów, a potem skierował się w stronę schodów.

Wofford kuśtykał z udawanym wysiłkiem, żeby sprawiać wrażenie nieszkodliwego inwalidy. Na końcu korytarza zwolnił i sprawdził szybko, czy w poprzecznych przejściach nie ma strażników lub służących. Kiedy byli blisko swoich pokoi w północnym skrzydle, wykonał zaplanowany ruch.

Wyglądało to na zwykłą nieuwagę. Wysunął laskę w bok, pod nogi nadchodzącej Theresy, która potknęła się i upadła jak hollywoodzka kaskaderka. Wofford zatoczył się do przodu i wylądował na kolanie

zdrowej nogi. Potem spojrzął na leżącą nieruchomo Theresę. Czekał teraz na reakcję strażnika.

Tak jak przewidział Wofford, Mongoł okazał się dżentelmenem, schylił się, żeby pomóc kobiecie wstać. Kiedy chwycił Theresę obiema rękami za ramię, Wofford zerwał się z podłogi i skoczył na niego jak kot. Zamachnął się laską trzymając ją za dolny koniec. Jej zakrzywiona rączka trafiła strażnika w podbródek. Siła uderzenia była tak duża, że laska złamała się i rączka upadła z hałasem na marmurową posadzkę. Wofford patrzył, jak oczy Mongoła robią się szkliste i facet rozciąga się na wznak na podłodze.

Theresa i Wofford zamarli w bezruchu, czekając nerwowo, czy nie rozlegną się zaraz kroki nadbiegających korytarzem strażników. Ale nadal panował spokój. Theresa słyszała tylko głośne bicie własnego serca.

Wofford schylił się, żeby pomóc jej wstać.

- Nic ci się nie stało? - szepnął.

- Nie. Czy on nie żyje? - zapytała, wskazując drżącym palcem leżącego strażnika.

- Śpi - uspokoił ją Wofford. Wyjął sznur od kotary, który zabrał ze swojego pokoju, i szybko związał Mongołowi ręce i nogi. Z pomocą Theresy zawłókł strażnika po wypolerowanej podłodze do pierwszego z ich pokoi i wciągnął za próg. Zerwał z poduszki poszewkę i zakneblował nią Mongoła, potem zamknął i zaryglował drzwi.

- Gotowa do zdobycia odznaki piromanki? - zapytał Theresę. Przytaknęła nerwowo. Przekradli się do głównego holu.

- Powodzenia - szepnął Wofford i ukrył się za bocznym filarem. Theresa uparła się, że sama wróci do studia. Przekonała Wofforda, że to mniej ryzykowne. Poruszał się o lasce zbyt wolno i hałaśliwie.

Przywarła do ściany i stąpając lekko po kamiennej podłodze, posuwała się głównym korytarzem tak szybko, jak tylko się dało. Wokół nadal było pusto i cicho, tykał tylko stary zegar z wahadłem. Dotarła do studia i dała nura w otwarte drzwi, wdzięczna strażnikowi za to, że zgasił światło, kiedy wychodzili. W ciemnym pokoju była niewidoczna z oświetlonego korytarza. Odetchnęła głęboko, żeby opanować strach.

Znajdując po omacku drogę przez znajome pomieszczenie, doszła do szafy z książkami. Wyjęła na chybił trafił stos tomów, przykleknęła i zaczęła cicho wyrywać i zgniatać kartki. Wokół sterty papieru ustawiła piramidę z otwartych książek, odwróconych grzbietami na zewnątrz. Zadowolona ze swojego dzieła wstała i poszukała na ślepo stolika w rogu studia. Na blacie stała skrzynka cygar i kryształowa karafka z koniakiem. Theresa chwyciła karafkę i zaczęła rozlewać alkohol po pokoju. Chlusnęła na papierową piramidę. Wróciła do stolika, otworzyła skrzynkę z cygarami i znalazła w środku pudełko zapalek, które wcześniej odkrył Wofford. Ścisnęła zapalnik w dłoni, podkradła się na palcach do drzwi i wyjrzała ostrożnie na zewnątrz. W głównym korytarzu wciąż panowała cisza.

Theresa dotarła z powrotem do stosu książek, schyliła się, zapaliła jedną zapalniczkę i rzuciła na przesiąknięte koniakiem kartki. Nie wybuchła kula ognia, nie rozszalało się natychmiast piekło, ale po mokrym od alkoholu dywanie popęzł niebieski płomyk.

- Pal się - przynagliła głośno Theresa. - Spal to cholerne więzienie.

52

Trzy ciemne postacie wyglądały jak straszdyła, wilkołaki o czarnej, gumowej skórze. Poruszały się między drzewami cicho jak duchy. Przecięły niezgrabnym krokiem drogę i dotarły do akweduktu. Kilka metrów dalej w dół zbocza wzgórza pędziła z szumem rwąca górską rzeka. Jedna z postaci zapaliła małą latarkę ołówkową i zajrzała do akweduktu. Woda płynęła tutaj spokojnie, prąd był o wiele słabszy niż w rzece. Pitt zgasił latarkę i skinął głową do swoich towarzyszy.

Po zachodzie słońca zaczęli godzinę, aż na zalesionym szczycie wzgórza zapadnie ciemność. Pitt wiedział, że księżyc wzejdzie dopiero za godzinę. On, Giordino i Gunn wspięli się na skrzynię ciężarówki, gdzie w trzech stosach leżał ich sprzęt.

- Jaką głębokość ma akwedukt? - zapytał Gunn, kiedy wciągał na siebie czarny „suchy” skafander z neoprenu.

- Najwyżej dwa metry - odparł Pitt. - Do oddychania prawdopodobnie wystarczyłyby nam fajki, ale weźmiemy aparaty recyrkulacyjne na wypadek, gdybyśmy musieli zostać dłużej w zanurzeniu.

Pitt już zapiął swój skafander i wkładał uprząż aparatu recyrkulacyjnego Dragera. Urządzenie ważyło nieco ponad trzynaście kilogramów. Nurek oddychał powietrzem, które krążyło w obiegu zamkniętym i było oczyszczane z dwutlenku węgla. Dużą stalową butlą tlenową zastępował mały zbiornik w kształcie plecaka. Aparat recyrkulacyjny niemal całkowicie eliminował pęcherze wydychanego powietrza. Pitt włożył pas balastowy i przypiął wodoszczelną torbę. Były w niej jego buty, dwa radia i jego colt 45. Zszedł z ciężarówki, rozejrzał się po okolicy.

- Gotowi do nocnego pływania? - zapytał.

- Wolałbym gorącą kąpiel i szklankę burbona - odrzekł Gunn.

- Będę gotowy, jak tylko skompletuję mój zestaw włamywacza - odparł Giordino. Przetrasnął skrzynkę narzędziową i wyjął piłę do metalu, klucz francuski, łom i mały palnik podwodny. Przyczepił to do pasa i zeskoczył z ciężarówki. Gunn poszedł w jego ślady z ponurą miną.

Ruszyli w kierunku akweduktu w swoich czarnych skafandrach. Każdy niósł płetwy do nurkowania. Przy kanale o przekroju w kształcie litery „V” Pitt po raz ostatni rozejrzał się dookoła. Na niebie nie było jeszcze księżycy, chmury ograniczały widoczność do dziesięciu metrów. Nikt nie powinien ich wykryć w akwedukcie.

- Starajcie się utrzymywać małą szybkość. Wyjdziemy wewnątrz kompleksu pod mostkiem tuż za murem - powiedział Pitt. Włożył płetwy, sprawdził regulator, opuścił na twarz maskę i stoczył się delikatnie do akweduktu. Gunn wylądował tam z pluskiem kilka sekund po nim, Giordino zsunął się ostatni, żeby zamykać tyły.

W lodowatej rzecznej wodzie niechroniony niczym człowiek zamarłby w ciągu kilku minut. Ale w „suchym” skafandrze Pitt czuł tylko chłód. W ocieplanym stroju nurka zgrzał się podczas wędrówki do akweduktu i z ulgą przyjął spadek temperatury, mimo że było mu zimno w odsłoniętej części twarzy.

Siła grawitacji sprawiała, że woda w akwedukcie płynęła szybciej, niż się spodziewał, więc wyciągnął przed siebie nogi i położył się na plecach. Pracując płetwami, był w stanie spowolnić swój ruch do tempa

pieszego człowieka. Akwedukt wił się wzdłuż krętej drogi. Betonowy kanał pokrywała cienka warstwa alg i Pitt ślizgał się po jego ścianach.

W górze widział niebo, z boku rząd grubych sosen. Potem drzewa stopniowo zniknęły, akwedukt biegł w linii prostej przez polanę. Z przodu pojawiło się nagle światło i Pitt rozpoznał w oddali mur wokół kompleksu.

W rzeczywistości były dwa światła. Jedno paliło się na szczycie muru, drugie w wartowni. W środku siedzieli dwaj ochroniarze. Gawędzili i patrzyli na monitory. Ziarnisty zielony obraz przekazywało dwanaście kamer noktowizyjnych wokół kompleksu. Jedna była zamontowana dokładnie nad akweduktem. Na którymś z ekranów ukazywał się czasem wilk lub gazela, ale to było wszystko na tym odludziu.

Na widok kompleksu Pitt zanurzył się kilka centymetrów pod powierzchnię. Chwilę wcześniej odwrócił głowę i zobaczył ciemną sylwetkę Gunna płynącego parę metrów za nim. Miał nadzieję, że Gunn pójdzie w jego ślady i też się zanurzy.

Kiedy Pitt znalazł się bliżej muru, ustawił pionowo stopy i ugiął kolana w oczekiwaniu na ewentualną kolizję. Tak, jak się tego spodziewał, uderzył płetwami w stalową kratę, która zatrzymywała duże śmiecie i intruzów. Odepchnął się szybko w bok, opadł na kolana i spojrzał w górę akweduktu. Niemal natychmiast pojawił się przed nim ciemny kształt. Pitt wyciągnął ręce i złapał Rudiego Gunna, zanim uderzył w kratę. Po chwili dołączył do nich Giordino i zatrzymał się na kracie podobnie jak Pitt.

Dwaj ochroniarze w wartowni byli nieświadomi tego, że w akwedukcie tuż obok nich są trzej intruzi. Gdyby popatrzyli uważnie na obraz z kamery zamontowanej powyżej, może dostrzegliby w wodzie ciemne kształty i poszli sprawdzić, co się dzieje. Gdyby wyszli z ciepłej wartowni i nastawili uszu, może usłyszeliby przytłumione dźwięki pod wodą. Ale nie zrobili ani jednego, ani drugiego.

Przeszkoda na drodze okazała się łatwiejsza do pokonania, niż można się było spodziewać. Akwedukt był przegrodzony pionowymi prętami, rozstawionymi co piętnaście centymetrów. Giordino wymacał środkowy i pod wodą zaczął go piłować piłą do metalu. Pręt był tak przerdzewiały,

że wystarczyło kilkadziesiąt ruchów, żeby go przeciąć. Giordino wziął się do sąsiedniego i przepiłował go bez większego wysiłku. Zaparł się nogami o dno akweduktu, napiął mięśnie potężnych ud, chwycił oba pręty, pociągnął je i wygiął do góry. Na dole powstało wąskie przejście.

Gunn klęczał i odpoczywał, gdy Giordino złapał go za ramię i skierował do otworu. Gunn wyciągnął przed siebie ręce, znalazł drogę i przepłynął między pozostałymi prętami. Odwrócił się i zaczął na Pitta i Giordina, machając płetwami, żeby utrzymać się w miejscu. Kiedy zobaczył ich sylwetki, pozwolił, by zabrał go prąd. Woda poniosła ich betonową rurą pod murem kompleksu. Dryfowali w zupełnej ciemności, dopóki nie wyłonili się w odkrytym akwedukcie po drugiej stronie.

Gunn wynurzył się wolno w samą porę, by zobaczyć nad sobą mostek dla pieszych. Próbował się zatrzymać, gdy z mroku sięgnęła po niego czyjaś ręka i szarpnęła go w bok.

- Koniec trasy, Rudi - szepnął Pitt.

Po stromych, śliskich ścianach akweduktu trudno było wyjść, ale wydostali się na podpory mostka. Usiedli w jego cieniu, zdjęli szybko skafandry i ukryli pod nim. Rozejrzeli się dookoła. Wszędzie panował spokój. Nie zauważyli w pobliżu żadnego konnego patrolu.

Gunn otworzył wodoszczelną torbę i wyjął okulary, buty i mały cyfrowy aparat fotograficzny. Obok niego Pitt wyciągnął swoją czterdziestkępiątkę i dwa radia. Sprawdził, czy potencjometry są ustawione na małą głośność, przyczepił jedno radio do pasa, drugie wręczył Gunnowi.

- Niestety nie mamy broni dla wszystkich. Wezwij nas, jeśli wpadniesz w tarapaty - powiedział.

- Możesz mi wierzyć, że będę z powrotem, zanim ktoś zdąży mrugnąć okiem.

Gunn miał się zakraść do laboratorium, sfotografować urządzenie sejsmiczne i zabrać całą dokumentację techniczną, na jaką natrafi. Pitt kazał mu się wycofać, gdyby w pobliżu był jakiś personel, i zaczął czekać przy mostku. Pitt i Giordino zamierzali się dostać do rezydencji i zlokalizować Theresę i Wofforda, co było bardziej ryzykownym zadaniem.

- Spotykamy się tutaj. Jeśli komuś z nas nie uda się tu dotrzeć, wtedy kierujemy się do garażu po któryś z pojazdów Bordzina.

- Weź to, Rudi - powiedział Giordino i wręczył Gunnowi swój łom. - Na wypadek, gdybyś zastał zaryglowane drzwi... albo jakiś zbyt wścibski szczur laboratoryjny sprawiał ci kłopoty.

Gunn z ponurym uśmiechem skinął głową, wziął łom i ruszył w kierunku laboratorium. Miał ochotę przeklinać Pitta i Giordina za to, że go tu przywieźli, ale wiedział, że to była słuszna decyzja. Musieli spróbować uwolnić Theresę i Wofforda i jednocześnie udokumentować istnienie urządzenia sejsmicznego, co oznaczało, że jest tu wystarczająco dużo roboty dla trzech ludzi. A nawet dla stu. Gunn spojrzał w niebo z nadzieją, że jakimś cudem wyląduje tu za chwilę kompania spadochroniarzy sił specjalnych. Ale zobaczył tylko kilka gwiazd próbujących mrugać do niego przez lekką mgiełkę chmur.

Przestał się modlić o pomoc i pobiegł od krzaka do krzaka przez otwartą przestrzeń kompleksu. Zwolnił dopiero przed drogą wjazdową i przeszedł na drugą stronę tak ostrożnie, żeby żwir nie chrząścił mu pod stopami. Posuwał się według wskazówek Pitta i minął otwarty, oświetlony garaż. Dźwięk narzędzi powiedział mu, że w środku pracuje co najmniej jeden mechanik.

Zbliżał się do sąsiadującego z garażem laboratorium, gdy nagle usłyszał rzenie konia i zamarł. Po chwili domyślił się, że odgłos dobiegł ze stajni na końcu budynku. Spojrzał na laboratorium i odetchnął z ulgą że na parterze pali się tylko kilka słabych żarówek. Jaśniej było w paru oknach na górze, skąd dochodziła cicha muzyka. Najwyraźniej mieszkali tam naukowcy pracujący w laboratorium.

Gunn sprawdził jeszcze raz, czy w pobliżu nie na żadnego konnego patrolu, podkradł się do szklanych drzwi i pchnął je. Ku jego zaskoczeniu nie były zaryglowane i otworzyły się. Wszedł szybko i zamknął je za sobą. Pustą pracownię oświetlało kilka lamp na biurkach, buczały oscyloskopy. Gunn zauważył przy wejściu wieszak, zdjął z haka jeden z paru białych fartuchów laboratoryjnych i włożył go na swoją czarną kurtkę. Pomyślał, że powinno to wystarczyć do zmylenia kogoś patrzącego z zewnątrz.

Skierował się do głównego korytarza, który ciągnął się przez całą długość budynku, i zobaczył, że w kilku pokojach biurowych pali się

światło. Nabrał obaw, że ktoś może go tutaj przyłapać. Zawahał się na moment, potem ruszył przed siebie. Prawie biegł. Dla każdej z trzech osób pracujących do późna był tylko niewyraźną białą plamą która przemknęła za szybą.

Gunn dotarł szybko do drzwi na końcu korytarza. Dyszał ciężko i waliło mu serce. Złapał za uchwyt i pchnął. Masywne drzwi otworzyły się cicho i zobaczył dużą komorę bezehową. Na środku, w jasnym blasku padającym z kręgu lamp sufitowych, wznosiło się akustyczne urządzenie sejsmiczne von Wachtera. Wyglądało tak, jak opisali je Pitt i Giordino.

Wdzięczny losowi za to, że w komorze nikogo nie ma, Gunn przestąpił próg i wspiął się na pomost.

- Jesteśmy w połowie drogi do domu - mruknął, wyjął cyfrowy aparat fotograficzny i zerknął na radio przy pasie. Był ciekaw, jak idzie Pittowi i Giordinowi.

53

Gdybyś mógł jakoś odwrócić ich uwagę z przodu, powinno mi się udać przekraść dookoła i zaskoczyć ich z boku - szepnął Pitt, przyglądając się dwóm wartownikom, którzy stali jak wkopani w ziemię po obu stronach głównego wejścia do rezydencji.

- Mój francuz powinien załatwić sprawę - odrzekł Giordino i poklepał ciężki czerwony klucz nastawny, wiszący przy jego pasie.

Pitt odbezpieczył swojego colta. Było jasne, że aby dostać się do rezydencji, będą musieli unieszkodliwić wartowników przy drzwiach. Sztuka polegała na tym, żeby zrobić to bez jednego strzału, bo taki ogłos zaalarmowałby całą ochronę Bordzina.

Ruszyli cicho wzdłuż kanału biegnącego w kierunku domu. Posuwali się krótkimi skokami. W końcu padli na ziemię i doczołgali się do klombu otaczającego główne wejście do rezydencji. Przez żółte róże widzieli wyraźnie wartowników.

Mongołowie stali oparci o ścianę budynku. Byli przyzwyczajeni do tego, że nocna zmiana mija spokojnie. Bordzina i jego siostrę rzadko

widywano po godzinie dziesiątej. Czasem tylko któreś z nich wychodziło na wieczorny spacer lub wracało późno z Ułan Bator.

Pitt gestem pokazał Giordino, żeby został na miejscu i odczekał pięć minut. Kiedy Giordino skinął głową i skulił się za różami, Pitt zaczął cicho okrążyć klomb, by znaleźć się za wejściem do rezydencji. Dotarł do drogi wjazdowej, tak jak wcześniej Gunn, i przeszedł ostrożnie po żwirze na drugą stronę. Od domu dzieliła go teraz otwarta przestrzeń. Przebiegł ją nisko pochylony. Dał nura za jałowiec i popatrzył przez gałęzie na ganek. Wartownicy stali tak jak przedtem, nieświadomi obecności intruza w ciemności kilkadziesiąt metrów od nich.

Skradając się od krzaka do krzaka, Pitt dotarł do krawędzi portyku. Przykłęknął na ziemi, ścisnął mocniej rękojeść pistoletu i czekał, aż Giordino zacznie przedstawienie.

Giordino nie zauważył żadnego podejrzanego zachowania u wartowników. Podniósł się zza klombu w takim miejscu, by kolumny portyku zasłoniły go przed wzrokiem Mongołów. Ruszył w stronę ganku.

Skoro on nie widział wartowników, oni również jego nie widzieli. Posuwał się naprzód, aż znalazł się za kolumną pięć metrów od drzwi. Mógł stąd łatwo zlikwidować obu Mongołów. Bez żadnego dźwięku wyszedł zza kolumny, zamachnął się kluczem francuskim i rzucił nim jak tomahawkiem w jednego z wartowników.

Mongołowie natychmiast zobaczyli krępego Włocha, ale byli zbyt zaskoczeni, żeby zareagować. Patrzyli z niedowierzaniem, jak w ich kierunku, koziolkując w powietrzu, leci jakiś czerwony przedmiot. Narzędzie trafiło jednego z nich w klatkę piersiową łamiąc mu żebra i pozbawiając tchu. Wartownik opadł na kolana z chrapliwym jękiem bólu. Drugi Mongoł odruchowo pospieszył mu z pomocą ale gdy zobaczył, że jego kolega nie jest ciężko ranny, wyprostował się, żeby stawić czoło napastnikowi. Jednak Giordino już zniknął, dał nura za kolumnę. Wartownik ruszył w tamtą stronę. Gdy usłyszał za sobą kroki, przystanął. Odwrócił się w samą porę, by zobaczyć rękojeść pistoletu Pitta, którą dostał w skroń.

Pitt zdążył złapać Mongoła pod pachami, zanim osunął się na ziemię. Giordino wyskoczył zza kolumny i podbiegł, gdy Pitt włókł

nieprzytomnego wartownika w krzaki. Pitt dostrzegł nagle błysk w oczach Giordina i chwilę potem usłyszał jego okrzyk:

- Padnij!

Pitt upadł na ziemię. Giordino zrobił dwa kroki, odbił się i skoczył. Przeleciał nad nim, celując w Mongoła, który stał teraz za Pittem. Ranny wartownik otrząsnął się już po trafieniu kluczem, podniósł się chwiejnie i zamierzał wbić Pittowi w plecy krótki nóż. Giordino w powietrzu wyrzucił przed siebie lewą rękę, odbił nóż w bok i runął całym ciężarem na Mongoła. Obaj upadli na ziemię. Giordino przygniótł przeciwnika, który z powodu bólu pękniętych żeber nie mógł złapać oddechu. Prawa pięść Giordina wylądowała na jego szyi i pozbawiła go przytomności, zanim zdążył krzyknąć.

- Niewiele brakowało - wysapał Giordino.

- Dzięki - odrzekł Pitt. Wstał i się rozejrzał. W domu i na terenie kompleksu panował spokój. Nic nie wskazywało na to, żeby wartownicy włączyli jakiś alarm.

- Zabierzmy tych facetów z widoku - powiedział Pitt i znów pociągnął swoją ofiarę w kierunku krzewów. Giordino poszedł w jego ślady. Złapał drugiego Mongoła za kołnierz i powłókł za sobą.

- Mam nadzieję, że nieprędko jest następna zmiana warty - mruknął. Pitt ukrył swojego Mongoła w krzakach, odwrócił się do Giordina z wesołym błyskiem w oczach i mruknął do niego.

- Może być prędzej, niż myślisz.

54

Theresa patrzyła, jak płomyki trawia wyrwane kartki, potem wolno rosną, jaśnieją i zaczynają pląsać po otwartych książkach. Kiedy nabrała pewności, że ogień nie zgaśnie, podeszła szybko do drzwi, trzymając pod pachą plik raportów, które wcześniej chciał wziąć ze sobą Wofford. Zawierały szczegółowe obrazy sejsmiczne von Wachtera, mapy uskoków z tajemniczymi czerwonymi oznaczeniami i mapę Alaski. Theresa obejrzała się na coraz większy pożar w głębi pokoju, a potem pobiegła korytarzem.

Starala się poruszać jak najszybciej, ale bez hałasu. Czula przyplyw adrenaliny. Perspektywa ucieczki wreszcie stawala sie rzeczywistoscia. Plan byl prosty. Ukryja sie blisko holu i zaczekaja az na pozar zareaguja wartownicy przed drzwiami frontowymi. Wtedy wymkna sie na zewnatrz. W powstałym zamieszaniu spróbuja zdobyć jakiś pojazd i przebić sie przez brame. Ogień zostal juz rozpalony i Theresa miała nadzieje, że plan ucieczki sie powiedzie.

Dotarla do holu i poszukala wzrokiem Wofforda. Stal tam, gdzie go zostawila, za duza zlobkowaną kolumna. Popatrzył na nia ze strachem. Theresa usmiechnęła sie w odpowiedzi i skinęła głowa na znak, że sie udalo. Zawsze wesoły Wofford nadal miał przerażoną minę i nie poruszył sie.

Z cienia za jego plecami wyszła Tatiana. Celowala w niego z malego pistoletu samopowtarzalnego.

- Ładny wieczór na spacer, co? - wycodziła z groźnym usmiechem. Theresa wciągnęła gwałtownie powietrze. Przeszedł ją dreszcz. Ale na widok wykrzywionych w usmiechu ust Tatiany jej strach zastapila wściekłość. Pomyślala, że jeśli ma zginąć, nie podda sie łatwo.

- Nie mogłam zasnąć - sklamala. - Juz prawie skonczyliśmy analizy. Przekonalam straznika, że musimy zabrac czesc raportow do naszych pokoi, żeby jeszcze popracowac - wyjasnila i uniosla do góry dokumenty, które trzymala pod pachą.

Poznala po minie Tatiany, że jej nie wierzy.

- A gdzie jest straznik?

- Zamyka studio.

Z konca korytarza dobiegl halas ksiazek spadajacych na podloge. Ogień przepalil dolną polke. Zaintrygowana Tatiana zrobila krok w kierunku srodka holu, żeby spojrzec w glab korytarza. Nadal celowala w Wofforda. Zerknal na Theresę. Skinęła głowa.

Cisnela raportami w twarz Tatiany. Jednocześnie Wofford rzucil sie na jej reke trzymajaca pistolet. Z szybkością węża, która zaskoczyła ich oboje, Tatiana natychmiast wykonala półobrot. Wofford jej nie dosięgnal, nadlatujace dokumenty odbily sie nieszkodliwie od jej głowy. Tatiana przyložyla lufe do twarzy Theresy.

- Powinnam cię za to zabić - syknęła. - Zobaczymy, co jeszcze wykombinowałaś.

Szturchnęła Theresę łufą i poprowadziła przez hol do drzwi frontowych. Pchnęła je wolną ręką i otworzyła.

- Ochrona! - zawołała. - Chodźcie mi pomóc.

Dwaj wartownicy w strojach mongolskich wojowników i hełmach opuszczonych nisko na oczy wpadli z ganku do środka i szybko ocenili sytuację. Pierwszy podszedł do Wofforda, wyciągnął pistolet i wbił mu łufę w żebra. Drugi, niższy, chwycił Theresę mocno za ramię.

- Zabrać ją - rozkazała Tatiana i opuściła pistolet. Wartownik szarpnął brutalnie Theresę i odciągnął od Tatiany. Theresa straciła wszelką nadzieję i spojrzała z rozpaczą na Wofforda. O dziwo, z jego twarzy zniknął strach. Uścisk na ramieniu Theresy nagle zelżał. Wartownik puścił ją i błyskawicznie złapał Tatianę za nadgarstek. Szybkim ruchem wykręcił jej rękę i unieruchomił jak w imadle. Zanim się zorientowała, co się dzieje, pistolet wysunął jej się z dłoni i upadł z hałasem na marmurową posadzkę. Wartownik znów szarpnął ją za nadgarstek i pchnął. Wylądowała na podłodze.

- Co ty wyrabiasz, do diabła?! - krzyknęła. Po raz pierwszy przyjrzała się wartownikowi i zauważyła, że ma o dwa numery za dużą koszulę. Jego szeroki uśmiech wydał jej się dziwnie znajomy. Odwróciła się w kierunku drugiego, wysokiego wartownika i zobaczyła, że ma na sobie o wiele za mały uniform. I trzyma wycelowany w nią pistolet, spoglądając przenikliwymi, zielonymi oczami.

- To ty! - wykrztusiła zaszokowana.

- Spodziewałaś się dostawcy z KFC? - zapytał Pitt, nadal celując z czterdziestki piątki w jej brzuch.

- Przecież... zginąłeś na pustyni - wyjąkała.

- Nie, to był twój przyjaciel, fałszywy mnich - odparł Giordino i podniósł jej pistolet. Tatiana wzdrygnęła się, kiedy to usłyszała.

- Al, wróciłeś! - powiedziała uradowana Theresa,

- Przepraszam, że zachowałem się tak brutalnie - odrzekł.

- Cieszymy się, że pana widzimy, panie Pitt - odezwał się Wofford. - Już traciliśmy nadzieję na wydostanie się stąd cało.

Pitt popatrzył lodowato na Tatianę.

- Widzieliśmy, co spotkało Roya. Ale przynajmniej oszczędziliście nam szukania was w tym pałacu.

- Lepiej stąd zniknąć, zanim zjawi się prawdziwa ochrona - dodał Giordino i poprowadził Theresę do drzwi.

- Zaczekaj - powstrzymała go. - Znaleźliśmy dowody na to, że prawdopodobnie spróbują naruszyć uskoki w strefach tektonicznych w Zatoce Perskiej i na Alasce.

- To bzdura - powiedziała Tatiana.

- Nikt nie pyta ciebie o zdanie - uciszył ją Giordino.

- To prawda - przytaknął Wofford, schylił się i zaczął pomagać Theresie zbierać papiery z podłogi. - Poważnie uszkodzili ropociąg na północnym brzegu Bajkału, co w jakiś sposób wywołało wielką falę na jeziorze. Ich celem są też uskoki w Zatoce Perskiej i jeden w pobliżu rurociągu Alaski.

- W zatoce niestety już narobili szkód - poinformował go Pitt.

- Te dane powinny pasować do zdjęć, które w tej chwili robi Rudi - dorzucił Giordino.

Pitt zauważył pytające miny Theresy i Wofforda.

- W tutejszym laboratorium jest akustyczna aparatura sejsmiczna. Podejrzewamy, że posłużyła do wywołania w Zatoce Perskiej trzęsień ziemi, które zniszczyły dużą część tamtejszych urządzeń portowych do załadunku ropy. Wygląda na to, że wasze dokumenty to potwierdzają. Nie wiedzieliśmy, że Alaska jest następną na liście celów.

Theresa wyprostowała się z plikiem dokumentów. Nagle w holu zabrzmiał przeraźliwy, ogłuszający dźwięk. Tam, gdzie płonęły książki, zadziałał wreszcie czujnik dymu i włączył alarm w całej rezydencji.

- Podpaliliśmy studio - wyjaśniła Theresa. - Mieliśmy z Jimem nadzieję, że w zamieszaniu uda nam się uciec.

- Może jeszcze mamy szansę - odrzekł Pitt - ale lepiej nie czekajmy na straż pożarną.

Wyszedł szybko przez otwarte drzwi, Theresa i Wofford za nim. Tatiana cofała się w kierunku przeciwległej ściany. Giordino uśmiechnął się z politowaniem, podszedł do niej i złapał ją za sweter.

- Niestety będziesz musiała pójść z nami. - Popchnął ją brutalnie do wyjścia.

Pitt szybko doprowadził grupę przez portyk do kolumn i przystanął. Tętent kopyt galopujących koni w oddali świadczył o tym, że patrol na północnym krańcu posiadłości usłyszał alarm i pędzi do rezydencji. Przy stajni i kwaterach ochrony rozległy się krzyki. Pitt zobaczył zbliżające się szybko światła lamp i latarek. Alarm obudził ochronę, która biegła w tę stronę.

Wszystko przez Theresę, która podpaliła studio. Gdyby uciekali kilka minut wcześniej, chaos mógłby im pomóc. Ale teraz cała ochrona była na nogach i gnała w ich kierunku. Pozostało im tylko jedno - ukryć się i mieć nadzieję, że nadbiegająca ochrona minie ich.

Pitt wskazał różany klomb za kolumnami.

- Wszyscy na ziemię. Zaczekamy, aż wbiegną do domu, potem ruszymy - powiedział cicho.

Theresa i Wofford ukryli się za kolczastymi krzewami. Giordino popchnął tam Tatianę i zasłonił jej dłonią usta.

Pitt przyklęknął, odczepił od pasa radio i uniósł do ust.

- Rudi, słyszysz mnie? - zapytał cicho.
- Zamieniam się w słuch - nadeszła równie cicha odpowiedź.
- Właśnie się zrywamy. Spotkamy się za jakieś pięć do dziesięciu minut.
- Kończę swoje i zasuвам do garażu. Bez odbioru.

Pitt przywarł do ziemi, gdy zobaczył trzech zbliżających się strażników ze stajni. Przebiegli tuż obok niego i wpadli do domu. Nie zwrócili uwagi na nieobecność wartowników przed drzwiami. Przy wejściu zapalono tylko kilka słabych świateł, toteż Pitt i reszta pozostawali w ciemności.

Konny patrol był jeszcze w odległości pięćdziesięciu metrów. Pitt zastanawiał się, czy nie opuścić kryjówki, zanim jeźdźcy dotrą do ganku, ale zrezygnował z tego. Patrol na pewno nie spodziewał się nikogo ukrytego przy wejściu. Gdyby pożar Theresy rozprzestrzenił się, wszyscy zajęliby się gaszeniem ognia.

Sześciu jeźdźców galopujących w kierunku frontowego wejścia ściągnęło nagle cugle, gdy dotarli do żwirowej drogi wjazdowej. Pitta ogarnął niepokój, kiedy zobaczył, że otaczają portyk szerokim półkolem i

zatrzymują się. Dwa konie parsknęły nerwowo, gdy jeźdźcy stanęli. Alarm w rezydencji nagle zamilkł. Do drogi zbliżyli się z przeciwnej strony czterej dodatkowi piesi strażnicy i też się zatrzymali. Pożar albo wymknął się spod kontroli, albo - jak obawiał się Pitt - sytuacja została już opanowana.

Odpowiedź nadeszła wraz z oślepiającym blaskiem. Ktoś włączył mocne reflektory zamontowane na dachu. Teren wokół wejścia zalało jasne światło halogenowych żarówek. Pitt i reszta, wyciągnięci na ziemi z różnymi krzewami, byli teraz widoczni jak na dłoni.

Pitt ścisnął mocniej rękojeść swojej czterdziestki i wziął spokojnie na muszkę najbliższego jeźdźca. Piesi strażnicy stali dalej i wydawali się nieuzbrojeni. Konni oprócz łuków mieli karabiny i celowali z nich w kierunku grupki za klombem. Choć Giordino też mierzył teraz z pistoletu do jednego z jeźdźców, szanse były nierówne.

Zanim ktokolwiek zdążył nacisnąć spust, na marmurowej posadzce w holu rozległy się szybkie kroki i na ganek wypadli czterej mężczyźni. Trzej strażnicy, którzy przybiegli wcześniej z innej części kompleksu, przystanęli i popatrzyli na Pitta i resztę. Ich jaskrawe, pomarańczowe tuniki poczerniały od dymu i popiołu, ale w oczach Mongołów nie było paniki. Co gorsza, trzymali w rękach karabinki AK-74.

Czwartym mężczyzną był Bordzin. Minął swoich ludzi i zatrzymał się na środku drogi wjazdowej. Miał na sobie jedwabną niebieską szatę, która kontrastowała z jego poczerwieniałą z wściekłości twarzą. Spojrzał w stronę krzaków, gdzie leżeli dwaj rozebrani, nieprzytomni wartownicy z ganku, dobrze widoczni w jasnym świetle. Odwrócił się do Pitta i reszty z taką miną jakby miał dostać apopleksji.

- Zapłacicie mi za to! - warknął.

Kiedy Gunn wszedł do komory bezchowej, jego strach ustąpił miejsca ciekawości. Widział już dźwiękoszczelne pomieszczenia testowe, ale w żadnym nie było takiej ilości sprzętu elektronicznego wysokiej mocy. Rzędy komputerów i zasilaczy wokół platformy przypominały mu wyposażenie okrętu podwodnego Trident. Najbardziej zainteresowało go dziwne urządzenie na środku komory. Trzy połączone cylindry miały wysokość trzech metrów. Gunn przyjrzał się przetwornikom akustycznym i przeszły mu ciarki po plecach, gdy przypomniał sobie słowa Yaegera, że ta aparatura może wywołać trzęsienie ziemi.

Z zaskoczeniem stwierdził, że sprzęt w komorze jest włączony i pracuje. Ciepło wydzielane przez zasilacze napędów elektroniki sprawiało, że było tu gorąco jak w saunie. Gunn ściągnął fartuch laboratoryjny i czarną nieprzemakalną kurtkę, wyjął cyfrowy aparat fotograficzny i wspiał się na platformę. Spojrzał na jej przeciwny koniec i zaczął pospiesznie robić zdjęcia wszystkich elementów wyposażenia komory. Pocił się tak obficie, że musiał podejść do drzwi i otworzyć je, żeby wpuścić strumień chłodnego powietrza. Zresztą w ten sposób będzie lepiej słyszał zbliżające się kroki.

Przerwał robienie zdjęć, gdy dotarł do dużej konsoli i obrotowego skórzanego fotela. Zorientował się, że to stanowisko operatora systemu, skąd uruchamia się aparaturę sejsmiczną. Usiadł w fotelu i popatrzył uważnie na płaski kolorowy monitor przed sobą. Na środku ekranu widniał napis po niemiecku: „Trwa test”. Gunn znał trochę ten język, gdyż spędził kilka miesięcy z ekipą niemieckich naukowców, badających pasażerski liniowiec „Wilhelm Gustloff”, zatopiony podczas II wojny światowej. Kliknął na słowie „Anuluj” i na monitorze pojawił się nagle żywy, abstrakcyjny obraz.

Trójwymiarowa prezentacja przedstawiała warstwy osadów geologicznych. Każda miała inny odcień złocistej żółci. Skala z boku pokazywała pięćset metrów. Gunn domyślił się, że ma przed sobą obraz stratygraficzny osadów bezpośrednio pod laboratorium. Sięgnął do

myszki komputerowej na stole. Kiedy kursor przemieszczał się na ekranie, z wysokich przetworników w pobliżu dobiegało głośnie tykanie. Dźwięk ucichł, gdy na monitorze ukazał się inny podziemny widok.

Von Wachter rzeczywiście doprowadził do perfekcji jakość obrazu sejsmicznego. Gunn poruszał myszą i podziwiał doskonale widoczne szczegóły warstw osadowych kilkaset metrów pod nim. Urządzenie akustyczne obok niego tykało, kiedy silnik elektryczny obracał mechanizmem i zmieniał kąt penetracji. Gunna tak zafascynowały obrazy wytwarzane przez aparaturę, jak nastolatka nowa gra komputerowa. Był pochłonięty studiowaniem podziemnych deformacji i ledwo usłyszał, że Pitt wywołuje go przez radio. Zerwał się i podbiegł do otwartych drzwi komory, żeby nie zgubić sygnału wewnątrz zabezpieczonego pomieszczenia.

Gdy już wyłączył radio, spojrzął szybko w głąb korytarza. Nikogo nie zauważył, więc wrócił pospiesznie na platformę i dokończył fotografowanie aparatury sejsmicznej i sprzętu pomocniczego. Włożył kurtkę i przerzucił dokumentację techniczną na konsoli. Znalazł grubą broszurę, która wyglądała na instrukcję obsługi. Była przyczepiona do miniaturowego clipboardu z nierdzewnej stali. Brakowało pierwszych stron, które przypuszczalnie wyrwał Pitt podczas swojej ostatniej wizyty. Gunn wetknął broszurę i clipboard do zapinanej na suwak kieszeni na piersi swojej kurtki, potem ruszył do drzwi. Był na progu, gdy odezwało się jego radio.

Zamarło mu serce, kiedy uświadomił sobie, że to nie jest głos Pitta. A to, co usłyszał, oznaczało, że wszystko przepadło.

56

Pitt podniósł się wolno z coltem opuszczonym wzdłuż boku, żeby nie prowokować ludzi Bordżina, trzymających palce na spustach karabinków automatycznych. Zaczekał, aż Giordino postawi Tatianę na nogach i odwróci ją w kierunku brata, tak przyciskając jej pistolet do ucha, żeby był wyraźnie widoczny. Tatiana bezskutecznie próbowała mu się wyrwać.

- Puść mnie, ty świnió - wycodziła. - Wszyscy jesteście już trupami. Giordino tylko się uśmiechnął, złapał ją za włosy i wbił jej łufę głębiej w ucho. Tatiana skrzywiła się z bólu i przestała walczyć.

Kiedy wszyscy patrzyli na Tatianę, Pitt uniósł wolno colta i wycelował w brzuch Bordzina. Lewą ręką włączył nadajnik swojego radia, mając nadzieję, że zdoła ostrzec Gunna.

Bordzin spojrzął na siostrę bez zbytniego zainteresowania. Gdy przyjrzał się bliżej Pittowi i Giordinowi, wytrzeszczył oczy. Rozpoznał ich.

- To wy! - krzyknął, ale zaraz się opanował. - Przeżyliście ucieczkę na pustynię, żeby znów wejść na mój teren? Po co tak głupio ryzykowaliście? Dla waszych przyjaciół? - Wskazał głową Theresę i Wofforda, którzy przezornie stanęli za Tatianą.

- Wróciliśmy, żeby skończyć z twoimi trzęsieniami ziemi i zabójstwami dla ropy - odparł Pitt. - A także po naszych przyjaciół. I po Czyngisa.

Wzmianka o trzęsieniach ziemi nie wywołała żadnej reakcji Bordzina. Ale kiedy Pitt wspomniał o mongolskim władcy, aż zakipiał ze złości.

- Wcześniej trafisz na tamten świat - powiedział.

- Być może. Ale ty i twoja siostra będziecie mi towarzyszyli w tej podróży.

Bordzin przypatrzył się człowiekowi, który tak odważnie mu groził. Poznał po zdecydowaniu w oczach Pitta, że wiele razy stawiał czoło śmierci. Z pewnością jednak Pitt ma słaby punkt, który będzie można wykorzystać, żeby pozbyć się go raz na zawsze.

- Moi ludzie natychmiast cię zlikwidują - ostrzegł Bordzin. - Ale nie mam ochoty patrzeć, jak umiera moja siostra. Puść Tatianę, a twoi przyjaciele będą wolni.

- Nie - sprzeciwiła się Theresa i wystąpiła naprzód. - Musi pan uwolnić nas wszystkich. - Potem szepnęła do Giordina: - Nie zostawimy cię tutaj na pewną śmierć.

- W pani sytuacji stawianie żądań jest śmieszne - odparł Bordzin. Udał, że spaceruje tam i z powrotem, ale Pitt wiedział, że stara się zejść z linii ognia. Zacisnął mocniej dłoń na rękojeści swojej czterdziestki. Bordzin stanął za plecami jednego ze swoich ludzi.

Nagle rozległ się huk, jakby ktoś uderzył młotem kowalskim w żelazny kocioł. Towarzyszyło mu echo eksplozji. Ale odgłos nie pochodził z żadnej broni palnej wokół wejścia do rezydencji. Dobiegł od strony laboratorium. Wszyscy zamarli. Minęło dwadzieścia sekund i hałas się powtórzył. Tatiana pierwsza rozpoznała dźwięk.

- To urządzenie von Wachtera! - krzyknęła z przerażeniem. - Ktoś je uruchomił!

Niczym gong w świątyni zabrzmiał trzeci huk. Zagłuszył jej słowa i zatrzęsł budynkiem laboratorium.

Gunn zachował zimną krew. Wiedział, że Pitt chce, żeby zdobył dowód fotograficzny, uciekł z kompleksu, skontaktował się z władzami i doprowadził do postawienia Bordżina przed sądem. Ale nie mógł zostawić swoich przyjaciół na pewną śmierć. Był uzbrojony tylko w łom i wiedział, że jeśli pospieszy im z pomocą, sam też zginie. Pomyślał jednak, że może uda mu się wykorzystać przeciw Bordżinowi jego demona.

Cofnął się do komory bezechowej, zamknął za sobą drzwi i podbiegł do konsoli. Całe szczęście, że ktoś zostawił system włączony, a on przez kilka minut zapoznawał się z jego obsługą. Usiadł na fotelu operatora, chwycił mysz komputerową i szybko znalazł obraz, który widział wcześniej. Kiedy trójnóg tykał i buczał, wykonując polecenia, Gunn gorączkowo poruszał kursorem. W końcu zobaczył to, czego szukał. Warstwy osadów dzieliła na dwie części szczelina. Wokół niej widniało wiele okrągłych plam, pęknięć w skale. Gunn nie miał pojęcia, czy to uskok i czy w tym miejscu jest jakieś naprężenie. Ale w tych okolicznościach tylko to mu pozostało.

Naprowadził kursor na szczelinę i kliknął. W oznaczonym punkcie zaczął pulsować podświetlony symbol celownika. Z trójnogu znów dobiegło tykanie. Gunn przesunął kursor do górnej krawędzi ekranu i szybko przejrzał wyświetlające się pozycje menu. Ze zdenerwowania i gorąca w zamkniętej komorze pocił się tak, że z czoła kapwały mu krople. Każde nowe polecenie było po niemiecku, gdyż oprogramowanie napisali na własny użytek von Wachter i jego zespół. Gunn rozpaczliwie próbował sobie przypomnieć zapomniane słowa i zwroty. Pamiętał z

raportu Yaegera, że von Wachter używał skupionych wiązek fal wysokiej częstotliwości, więc wybrał najwyższą. Domyślił się, że „Weite” oznacza amplitudę i ustawił maksymalną moc i cykl dwudziestosekundowy. Pojawił się pulsujący czerwony prostokąt z napisem „Aktivieren”. Gunn kliknął.

Przez chwilę nic się nie działo. Potem na ekranie zaczął się szybko przesuwac tekst w języku programowania. Może tak działały wyostrzone zmysły Gunna, ale wydawało mu się, że wzmacniacze i komputery w pomieszczeniu nagle ożyły z cichym buczeniem. Otarł pot z czoła. Był pewien, że temperatura w komorze wzrosła co najmniej o dziesięć stopni. Usłyszał, że trójnóg znów tyka coraz głośniej. Mrugnęło światło i rozległ się huk eksplozji. Gunn miał wrażenie, że tuż obok niego uderzył piorun. Budynek zatrzęsł się tak gwałtownie, że Gunn omal nie spadł z fotela. Dzwoniło mu w uszach. Ruszył chwiejnie do drzwi, potem przystanął i obejrzał się.

Komora bezechowa była przeznaczona do pochłaniania fal dźwiękowych. Nawet skoncentrowane emisje z aparatury akustycznej zostałyby znacznie rozproszone przez wygłuszające panele podłogowe. Jego wysiłek, żeby uruchomić system, poszedł na marne.

Gunn zeskoczył z pomostu na piankową podłogę i podbiegł do podstawy trójnogu. Spodziewał się następnej eksplozji dźwięku i zasłonił uszy. Z cylindrycznych przetworników doszedł drugi ogłuszający huk, który powalił go na kolana. Gunn szybko jednak wstał i dotarł do podstawy trójnogu. Zaczął zrywać piankę z podłogi pod urządzeniem, licząc głośno do dwudziestu, w oczekiwaniu na trzecią eksplozję. Szczęście mu dopisało. Piankowe panele nie były przymocowane do podłogi i łatwo dawały się podnosić w dużych kawałkach. Okazało się, że pod spodem jest dodatkowa warstwa wygłuszająca z ołowianych płyt. Gunn poznał to po ich srebrzystoszarej barwie. Doliczyl do jedenastu, gdy rzucił się do konsoli, gdzie zostawił łom. Chwycił go i wbił spłaszczony koniec między płyty. Podważył jedną dźwignął do góry i odłożył na bok. Zignorował dalsze liczenie sekund przy osiemnastej i usunął jeszcze trzy ołowiane płyty. Pod dolnym końcem urządzenia akustycznego powstał wolny kwadrat.

Gunn liczył za szybko z powodu przyływu adrenaliny podczas gorączkowego oczyszczania podłogi i zaczął się cofać przed trzecią

eksplozją. Przycisnął dłonie do uszu i spojrział w dół. Zobaczył, że urządzenie emituje teraz fale przez cienką warstwę betonu, tworzącą płytę fundamentową budynku.

Ruszył do wyjścia.

Kiedy otwierał ciężkie drzwi, obawiał się, że za progiem czeka na niego oddział uzbrojonych ochroniarzy. Ale wszyscy popędzili do rezydencji. Zamiast nich Gunn zobaczył na końcu korytarza grupkę naukowców. Niektórzy byli w piżamach. Gdy wyszedł z komory, jeden z mężczyzn coś krzyknął i wszyscy ruszyli na niego. Gunn wpadł do najbliższego pokoju biurowego.

Jak większość biur w budynku laboratorium, pokój był skromnie urządzone. Miejsce pod jedną ścianą zajmowało szare, metalowe biurko, obok stał stół laboratoryjny z elektroniką. Gunna interesowało tylko okno wychodzące na teren kompleksu. Podziękował w duchu Giordinowi za pożyczenie mu łomu, który teraz ścisnął mocno w rękach. Wziął potężny zamach, uderzył nim w róg okna i wybił szybę. Oczyszczył parapet z kawałków szkła i wyskoczył na zewnątrz. Ledwo wylądował na ziemi, rozległa się czwarta, ostatnia eksplozja. Poza budynkiem jej siła była dużo mniej odczuwalna.

Przez wybite okno usłyszał okrzyki wściekłości. Naukowcy zignorowali go i popędzili do komory bezechowej. Wiedział, że wyłączą urządzenie akustyczne, zanim nastąpi kolejna eksplozja. Jego ryzykowna próba wywołania trzęsienia ziemi skończyła się niepowodzeniem. Pomyślał z przerażeniem, że szansa na uratowanie życia Pittowi i Giordinowi przepadła.

57

Kiedy rozległ się odgłos drugiej eksplozji, Bordżin kazał dwóm konnym strażnikom sprawdzić, co się dzieje. Gdy pogalopowali przez ciemny teren, z oddali dobiegło lekkie dudnienie. Zagłuszył je trzeci huk, w którym utonął również tętent kopyt.

- Przeprowadziłeś przyjaciół?- zwrócił się drwiąco Bordżin do Pitta.
- Tylu, żeby cię załatwić na dobre - odparł Pitt.

- Więc zginą razem z tobą.

Z laboratorium doszedł dźwięk tłuczonego szkła, potem nastąpiła czwarta eksplozja i zapadła cisza.

- Wygląda na to, że twoi przyjaciele spotkali się z moją ochroną. - Bordżin się uśmiechnął.

Nadal miał drwiącą minę, kiedy od strony wzgórz znów dobiegło odległe dudnienie. Brzmiało jak przetaczający się grzmot. Ale tym razem narastało, jakby nadciągała lawina. Za murami zaczęły wyć wilki, na terenie posiadłości nerwowo rżały konie. Zwierzęta wyczuwały zbliżający się kataklizm, którego nie potrafili przewidzieć ludzie.

Tysiąc metrów pod ziemią skupione wiązki fal dźwiękowych, wyemitowane przez trzy przetworniki, trafiły kilkakrotnie w szczelinę, którą wybrał jako cel Gunn. Ukośny rozstęp między warstwami osadów był istotnie starym uskokiem. Dwa pierwsze impulsy, rozproszone przez osłonę komory, uderzyły w deformację tektoniczną z niewielką energią. Ale trzecia eksplozja miała potężną siłę. Choć osady wytrzymały, fale sejsmiczne spowodowały drgania na linii uskokowej. Reszty dokonała czwarta emisja akustyczna.

Linia uskokowa jest pęknięciem skały z natury podatnym na ruch. Większość trzęsień ziemi powstaje na skutek działania energii wydzielającej się podczas osunięć w strefach uskokowych. Ruchy tektoniczne powodują wzdłuż uskoku naprężenie, które rośnie, dopóki nie nastąpi osunięcie. Na powierzchnię docierają fale uderzeniowe i wywołują trzęsienie ziemi.

Czwarta i ostatnia emisja fal akustycznych trafiła w pęknięcie pod zboczem góry jak torpeda. Wibracje wstrząsnęły uskokiem i doprowadziły do jego przesunięcia w pionie i poziomie. Przemieszczenie było niewielkie, zaledwie o kilka centymetrów wzdłuż około półkilometrowej szczeliny, ale ponieważ nastąpiło blisko powierzchni, skutki okazały się katastrofalne.

Fale uderzeniowe rozeszły się pionowo i poziomo. Trzęsienie ziemi miałoby według skali Richera magnitudę siedem i pół. Ale to nie odzwierciedlało jego intensywności na powierzchni, gdzie odczuwalna siła była dziesięciokrotnie większa.

Pitt i inni usłyszeli najpierw głucho dudnienie. Odgłos narastał i w końcu brzmiał tak, jakby pod nimi pędził pociąg towarowy. Potem na powierzchnię dotarły fale uderzeniowe. Ziemia zaczęła drżeć, kołysać się we wszystkich kierunkach z coraz większą siłą.

Pitt zobaczył, że jeden ze strażników upada tyłem na schody ganku i wypuszcza z rąk karabinek automatyczny. Nie starał się utrzymać na nogach, wyciągnął przed siebie ręce z pistoletem i rzucił się na ziemię. Wycelował w najbliższego stojącego jeszcze Mongoła i nacisnął spust. Mimo wibracji trafił i mężczyzna runął na plecy. Pitt szybko wziął na muszkę drugiego, który przykucnął, żeby się nie przewrócić. Strzelił trzy razy. Przeciwnik odpowiedział ogniem. Dwa pociski z colta położyły Mongoła trupem, seria z jego automatu podziurawiła ziemię na lewo od Pitta.

Pitt natychmiast przesunął lufę w stronę pierwszego strażnika, który upadł tuż przed Bordżinem. Bordżin po pierwszym strzale wdrapał się na schody. Kiedy Pitt wycelował pistolet w jego kierunku, skoczył w otwarte drzwi. Strażnik gramolił się za nim, dotarł do wejścia, gdy Pitt znów nacisnął spust. Giordino przygniótł Tatianę swoim ciałem i też strzelił. Trzęsienie ziemi osiągnęło szczytowy punkt i uniemożliwiało dokładne celowanie. Strażnik nawet nie został draśnięty i zniknął za progiem.

Jeźdźcy na drugim końcu podjazdu nie stanowili wielkiego zagrożenia. Konie wciąż parskaly i rżały, nie rozumiejąc, dlaczego pod ich kopytami trzęsie się ziemia. Trzy spłoszone stworzenia raz po raz stawały dęba, a mężczyźni na ich grzbietach trzymali się kurczowo cugli. Czwarty koń ruszył pełnym galopem do zagrody, tratując martwych strażników.

Gwałtowne wstrząsy trwały prawie minutę. Leżący ludzie mieli wrażenie, że są podrzucani w powietrze. W rezydencji Bordżina sypało się szkło, urywały się przymocowane na stałe przedmioty, przygasalo światło. Z budynku laboratorium dochodził słaby dźwięk alarmu.

I nagle zapanował spokój. Dudnienie umilkło, wstrząsy stopniowo ustały i w posiadłości zapadła upiorna cisza. Reflektory wokół portyku zgasły i grupę Pitta otoczyła ciemność. Pitt wiedział jednak, że do końca walki jest jeszcze daleko.

Spojrzał na innych. Theresa i Wofford nie ucierpieli, Giordino został ranny w nogę i krwawił.

- Dostałem rykoszetem, szefie. Nic poważnego, kości są całe - powiedział.

Pitt skinął głową i popatrzył najeźdźców. Konie już się uspokoiły.

- Za kolumny. Szybko - polecił. Ledwo skończył mówić, jeden z jeźdźców strzelił z karabinu.

Utykając lekko, Giordino zawlókł Tatianę za jedną z kolumn. Theresa i Wofford przycupnęli za sąsiednią. Pitt oddał strzał w kierunku jeźdźców i ukrył się za trzecią. Byli teraz poza linią ognia, przynajmniej chwilowo. Marmurowe kolumny chroniły ich przed pociskami od strony koni, jeźdźców i rezydencji.

Pięciu jeźdźców otworzyło do nich ogień na chybił trafił, stojąc na otwartej przestrzeni. Giordino wychylił się na moment zza kolumny i strzelił szybko dwa razy do najbliższego jeźdźcy. Trafił go w ramię i w nogę. Pociski jego towarzyszy odłupały kawałki marmuru od kolumny zasłaniającej Giordina. Ranny jeździec upuścił karabin i wycofał się pospiesznie w kierunku krzaków za podjazdem. Kiedy Giordino ściągnął na siebie ogień, do akcji wszedł Pitt i wystrzelił zza kolumny dwa pociski. Jeden drasnął innego jeźdźcy w ramię. Dowódca patrolu wydał jakiś rozkaz i reszta jego ludzi pogalopowała w stronę zarośli. Giordino odwrócił się do Pitta.

- Oni wrócą. Zsiądą z koni i zaatakują pieszo.

- Może spróbują nas oskrzydlić - odrzekł Pitt. Pomyślał o Gunnie i sięgnął po swoje radio, ale go nie znalazł. Odpadło mu od pasa podczas trzęsienia ziemi i leżało teraz gdzieś w ciemności.

Pitt zaklął.

- Zgubiłem radio.

- Wątpię, żeby Rudi mógł nam bardziej pomóc - odparł Giordino. - Mam jeszcze tylko pięć naboji - dodał.

Pittowi też zostało niewiele amunicji w magazynku colta. Wofford i Giordino utykali, więc nie mogli się szybko poruszać. Ochrona bez wątplenia zaciskała pętlę wokół rezydencji, zbliżała się z trzech stron. Pitt spojrzał na otwarte drzwi frontowe i uznał, że najlepiej będzie się bronić w budynku. W środku panowała dziwna cisza. Może on i Giordino jednak trafili strażnika i wewnątrz ukrywał się tylko Bordżin?

Pitt podniósł się na jedno kolano, gdy nagle w drzwiach mignął jakiś cień. Pitt dostrzegł w słabym świetle lufę. Szelest wśród krzewów róż za jego plecami powiedział mu, że jest już za późno. Znaleźli się w pułapce bez żadnej drogi ucieczki. Przeciwnik miał nad nimi przewagę liczebną i ogniową, a oni nie mieli się gdzie ukryć i musieli zostać tam, gdzie byli.

Od strony wzgórz dobiegło głucho dudnienie. Przypominało odgłos poprzedzający trzęsienie ziemi, ale brzmiało jakoś inaczej. A wraz z nim nadciągał nowy, nieoczekiwany kataklizm, niosący śmierć.

58

Pitt zorientował się, że dudnienie dochodzi z gór, nie spod ziemi. Odgłos podobny do grzmotu narastał z każdą sekundą. Dźwięk przerodził się w szum i był coraz bliżej. Wszyscy patrzyli w stronę głównej bramy, gdzie zdawał się kierować hałas, który w końcu stał się tak głośny jak huk kilku startujących boeingów 747.

Przy wjeździe do kompleksu rozległy się okrzyki przerażenia. Stojący za murem dwaj wartownicy rzucili się do ciężkiej żelaznej bramy, żeby ją otworzyć. Zniknęli pod gigantyczną ścianą wody, która udaremniła im ucieczkę.

Pół kilometra w górę rzeki podczas trzęsienia ziemi powstała głęboka rozpadlina prostopadła do jej brzegu. Siła grawitacji skierowała pędzącą wodę do tego nowego koryta, gdzie utworzył się wir. Tuż przed akweduktem rzeka skręciła i popłynęła wzdłuż drogi na nasypie.

Pędząc w kierunku posiadłości Bordzina, wpadła do rozległego zagłębienia. Wysoki nasyp między drogą i akweduktem, zbudowany w celach komunikacyjnych, stał się nagle tamą. Woda zebrała się w zagłębieniu i jej nadmiar zaczął się przelewać przez szczyt wału. Aż wreszcie wał zawalił się pod własnym ciężarem, uwalniając spiętrzoną rzekę.

Czarna ściana lodowatej wody runęła w stronę kompleksu. Fala miała wysokość trzech metrów. Wartownicy przy wjeździe do posiadłości za późno zdali sobie sprawę, że nadciąga powódź, i zostali zmiażdżeni, gdy fala uderzyła w bramę i mur. Woda wyrwała bramę i zrobiła wielką

dziurę w murze powyżej akweduktu. Dwa potężne strumienie połączyły się na terenie kompleksu w dwumetrową falę, która popłynęła w kierunku rezydencji.

Pitt patrzył na zbliżającą się ścianę wody i wiedział, że nie mają szans na ucieczkę, zwłaszcza Giordino i Wofford. Rozejrzał się i zawołał:

- Złapcie się kolumn i trzymajcie się mocno.

Marmurowe kolumny doryckie, podpierające portyk, miały głębokie żłobkowania, umożliwiające zaciśnięcie na nich palców. Theresa i Wofford opasali kolumnę ramionami i chwycili się za ręce. Giordino otoczył muskularnym ramieniem swoją kolumnę, w drugiej dłoni trzymał mocno pistolet. W obliczu potopu Tatiana przestała się bać, że Giordino ją zastrzeli, i uchwyciła się go mocno. Pitt ledwo zdążył położyć się płasko, chwycić kolumny i nabrać powietrza przed atakiem żywiołu.

Woda najpierw dosięgnęła strażników, którzy otaczali ganek. Fala zwała ich z nóg, wchłonęła i potoczyła się dalej ku rezydencji. Pitt usłyszał rozpaczliwy wrzask jednego z Mongołów, niesionego przez wodę w kierunku domu.

Fala przetoczyła się przez północną część kompleksu, omijając laboratorium i garaż. Dotarła z łoskotem do rezydencji i uderzyła z hukiem w budynek. Pitt miał nadzieję, że cały impet przyjmą na siebie marmurowe kolumny, ale woda oderwała mu nogi od ziemi i ciągnęła go w stronę domu. Trzymał się mocno kolumny, dopóki napór fali stopniowo nie osłabł. Początkowy strach przed tym, że zostanie zmyty z ganku, zastąpił szok spowodowany nagłym zimnem. Lodowata woda pozbawiła go tchu, szczypała jak ukłucia tysięcy igieł. Nie puszczając kolumny, podniósł się i zobaczył, że woda opadła i sięga mu do ud. Przy sąsiedniej kolumnie Giordino i Tatiana wynurzyli się na powierzchnię. Mongołka kaszlała i pluła. Sekundę później przy następnej kolumnie pojawili się Theresa i Wofford. Drżeli z zimna.

Powódź wdarła się do domu, szukając nowej drogi w dół zbocza góry. Choć przez wielką dziurę po drzwiach frontowych płynęło ponad pół metra wody, ta część budynku wytrzymała uderzenie. Fala w końcu przelała się szerokim wodospadem poza krawędź urwiska. Przez łoskot rzeki dobiegły słabe krzyki ludzi, którzy przeżyli atak żywiołu, a teraz

zostali zmyci w dół. Głośny plusk w pobliżu oznajmił, że pod naporem fali zawaliło się północne skrzydło budynku.

Prąd wody przed domem osłabł i Pitt zaczął brnąć w kierunku kolumny Giordina, gdzie stłoczyła się jego grupa. Ujrzał zwłoki kilku strażników, pływające na podjeździe. Doszedł do kolumny i zauważył, że Theresa patrzy na niego szklistymi oczami, dygocząc. Nawet twardy Giordino wydawał się otępiały. Rana postrzałowa i przemarznięcie spowodowały szok. Pitt wiedział, że muszą się szybko wydostać z lodowatej wody, bo grozi im hipotermia.

- Chodźmy na wyżej położony teren. Tam. - Wskazał laboratorium zbudowane na lekkim wzniesieniu.

Wofford pomagał iść Theresie, Pitt czuwał, żeby Tatiana nie próbowała się oddalić od Giordina. Ale nie musiał się tego obawiać, bo siostra Bordżina straciła całą energię po zimnej kąpieli.

Rzeka utorowała sobie dwie główne drogi przez kompleks. Pierwszy nurt płynął od frontowej bramy do północnego końca rezydencji, gdzie woda wciąż napierała na walące się ściany. Drugi skręcał do laboratorium, potem zwracał do ganku domu. Część wody przetaczała się przez rezydencję, reszta łączyła się z głównym nurtem i omijała budynek.

Pitt wyprowadził grupę z najgłębszego zalewiska, ale wciąż mieli lodowatą wodę do kostek. Wokół rozlegały się krzyki naukowców, którzy próbowali zabezpieczyć laboratorium przed powodzią. W garażu ktoś krzyknął i dobiegł stamtąd odgłos silnika. Wszędzie panował chaos. Podczas trzęsienia ziemi przerażone konie strażników uciekły z zagrody i teraz galopowały zdezorientowane tam i z powrotem po kompleksie.

Pitt zobaczył, że Theresa upadła na kolana i podbiegł, żeby pomóc Wofffordowi ją podnieść.

- Niedobrze z nią - szepnął Wofford.

Pitt spojrzał jej w oczy. Patrzyła niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Nadal nie mogła opanować drgawek, była błąda i złana zimnym potem.

- Musimy ją szybko zabrać w ciepłe i suche miejsce - powiedział Wofford.

Stojąc na środku zatopionego terenu, mieli ograniczone możliwości. Sytuacja nagle się pogorszyła, gdy z garażu wyjechał samochód z zapalonymi reflektorami.

Wokół garażu była prawie trzydziestocentymetrowa warstwa wody, ale samochód parł naprzód niczym czołg. Pitt obserwował z niepokojem, jak kierowca skręca w ich kierunku. Włączył długie światła i zaczął wężykować jak pijany. Gdy światło reflektorów padło na Pitta i jego grupę, kierowca wyprostował nagle tor jazdy i przyspieszył prosto na nich.

Zamarli w bezruchu na środku otwartej przestrzeni. W pobliżu nie było żadnej kryjówki. Woda do kostek uniemożliwiała szybką ucieczkę, nawet gdyby mieli się gdzie ukryć. Pitt patrzył spokojnie na zbliżający się samochód, w końcu odwrócił się do Wofforda.

- Potrzymaj przez chwilę Theresę - powiedział. Uniósł czterdziestkępiątkę i wycelował w niewidocznego kierowcę za przednią szybą pojazdu.

Kierowca, ignorując niebezpieczeństwo, pruł naprzód. Spod zderzaka i błotników tryskały fontanny wody. Odległość malała. W końcu samochód zjechał na bok i zaczął zwalniać. Pitt zwlekał z oddaniem strzału. Czarny Range-Rover zatoczył szeroki łuk i zatrzymał się kilka metrów przed nim. Pitt dał krok naprzód z coltem w wyciągniętych rękach.

Silnik pracował na biegu jałowym, spod podwozia unosiły się obłoczki pary. Potem przyciemniona czarna szyba od strony kierowcy opuściła się cicho i z wnętrza samochodu wyjrzała znajoma twarz w okularach.

- Ktoś zamawiał taksówkę? - zapytał z szerokim uśmiechem Rudi Gunn.

Pitt umieścił Theresę na tylnym siedzeniu Range-Rovera, Giordino wepchnął Tatianę do środka i wsiadł obok Theresy. Wofford zajął fotel obok kierowcy. Gunn ustawił ogrzewanie na maksimum i w samochodzie wkrótce zrobiło się gorąco. Giordino w końcu przestał się trząść, zdjął Theresie buty i wierzchnie ubranie. W ciepłe wszyscy odżyli. Theresa po chwili usiadła prosto i pomogła Giordinowi zabandażować nogę.

Pitt stał na zewnątrz, oparty o samochód przy otwartym oknie kierowcy.

- Tobie mamy podziękować za potrząśnięcie siedzibą Bordzina? - zapytał Gunn.

- Właściwie to doktorowi von Wachterowi. Jego aparatura sejsmiczna naprawdę działa. Zaryzykowałem, wcisnąłem przycisk, i sami wiecie, co było dalej.

- Muszę dodać, że w samą porę.

- Ładnie wszystkim zatrzęsłeś, Rudi - mruknął z tylnego siedzenia Giordino - ale moglibyśmy się obejść bez lodowatej kąpieli.

- Nie ponoszę odpowiedzialności za skutki uboczne w postaci powodzi i pożaru - odparł z udawaną urazą Gunn.

Pitt odwrócił się w kierunku laboratorium i dopiero teraz zauważył dym i płomienie w oknach na piętrze. Gdzieś w budynku pękł przewód gazowy i nastąpił wybuch. Grupa naukowców rozpaczliwie ratowała z pożaru sprzęt, materiały badawcze i rzeczy osobiste.

W ciepłym wnętrzu Range-Rovera Tatiana odzyskała nagle pewność siebie.

- Wynocha - warknęła. - To samochód mojego brata.

- Ja też pomyślałem, że to dobry wybór - odrzekł Gunn. - Przypomnij mi, żebym mu podziękował za zostawienie kluczyków w stacyjce.

Otworzył drzwi.

- Chcesz prowadzić? - zapytał Pitta. - Usiądę z tyłu z tą kocicą.

- Nie - odpowiedział Pitt i spojrzał w stronę rezydencji. - Chcę Bordzina.

- To idź tam - przynagliła Tatiana. - Niech cię zabije.

Giordino miał tego dość i walnął ją w szczękę. Krzyknęła i osunęła się nieprzytomna na kanapę.

- Dawno chciałem to zrobić - rzekł do Pitta. - Będziesz potrzebował wsparcia.

- Ale nie inwalidy - odparł Pitt i wskazał głową zabandażowaną nogę Giordina. - Nie, lepiej pomóż Rudiemu wywieźć stąd wszystkich. Przydasz mu się w razie jakichś kłopotów. Chcę się po prostu upewnić, że nasz gospodarz nie zniknął.

Gunn zauważył, że Pitt wzdrygnął się z zimna.

- Nie wytrzymasz długo w tej lodowatej wodzie - powiedział. - Włóż przynajmniej to - zaproponował i zdjął swoją ciepłą kurtkę. - Nie dlatego, żebyś musiał zasłaniać ten śmieszny kostium, który masz na sobie - dodał, patrząc z uśmiechem na przemoczoną pomarańczową del. Pitt ściągnął mokry mongolski strój i z wdzięcznością zapiął suwak suchej kurtki Gunna.

- Dzięki, Rudi. Postaraj się stąd wyjechać, zanim całe to miejsce zsunie się ze zbocza góry. Jeśli nie dołączę do was w ciągu godziny, wracajcie do Ułan Bator beze mnie.

- Zaczekamy.

Gunn z powrotem wskoczył za kierownicę, wrzucił bieg i ruszył w kierunku wyjazdu z kompleksu. Powódź przewróciła bramę i pięciometrowy odcinek muru obok niej. Na ziemi wałały się bryły betonu i inne szczątki. Pitt patrzył, jak Gunn zbliża się do wielkiej wyrwy w murze i pojazdem z napędem na cztery koła pokonuje przeszkody na swojej drodze. W końcu tylne światła samochodu zniknęły na zewnątrz posiadłości.

Brnąc przez wodę w stronę ciemnej, podtopionej rezydencji, Pitt poczuł się nagle bardzo samotny. Zastanawiał się, co Bordżin ma dla niego w zanadrzu.

Choć główna fala powodziowa już przeszła, wciąż przepływała tędy woda do kostek. Pitt wspiął się po zalanych schodach na ganek i przystanął przed otwartymi frontowymi drzwiami. W wodzie leżał trup, zwrócony twarzą w dół. Jego nogi zostały uwięzione za wielką donicą z kwiatami. Pitt podszedł bliżej i przyjrzał się zwłokom. Martwy mężczyzna nie był jednym z tych, do których strzelał. Nadal ścisnął w lewej dłoni włócznię. Pitt schylił się, zdarł z trupa pomarańczową tunikę i zawiesił ją na włóczni jak flagę. Pomyślał, że to kiepska przynęta, by zmylić przeciwników.

Przykucnął w wejściu, wśliznął się szybko do rezydencji i omiół lufą pistoletu hol. W środku nie było nikogo, w całym domu panowała cisza. Słyszał tylko jednostajny szum wody spływającej po schodach. Elektryczność wysiadła, ale pod sufitem paliło się kilka czerwonych lamp awaryjnych, zasilanych z generatora. Ledwo rozjaśniały puste korytarze, rzucając plamy purpurowego światła.

Na końcu północnego korytarza rzeka wciąż omywała kraniec budynku. Pitt pomyślał, że Bordzin nie mógł uciec tamtędy, chyba że miał kajak. Przypomniawszy sobie słowa Theresy, że studio jest w głębi głównego korytarza, więc ruszył powoli w tamtym kierunku.

Przywierał do ściany, w prawej dłoni trzymając colta. Pod pachą ścisnął włócznię wysuniętą przed siebie. Podarta pomarańczowa tunika poprzedzała go, dyndając na środku korytarza.

Przesuwał wolno stopy po podłodze, żeby pluskiem wody nie zaalarmować przeciwnika. Nogi tak mu zdrętwiały z zimna, że w ogóle ich nie czuł. Gdyby musiał teraz pobiec, straciłby równowagę.

Włókł się cierpliwie naprzód i mijał małe pokoje. Nie zaglądał do nich, ale co chwila przystawał, żeby się upewnić, że nikt się za nim nie skrada. Zablockował mu drogę przewrócony kredens i rozbite posągi. Ominął je środkiem korytarza. Kiedy zbliżył się do kuchni, wrócił pod ścianę, wystawiając przed siebie tunikę.

Brnął skostniały przez lodowatą wodę, starając się zachować maksymalną czujność. Usłyszał cichy szmer i zamarł. Wytężył słuch, żeby sprawdzić, czy mu się nie zdawało. Stojąc bez ruchu, poruszył lekko włącznią tam i z powrotem.

Z kuchni dobiegł ogłuszający terkot broni automatycznej. Huk dudnił echem w korytarzu. W słabym czerwonym świetle Pitt zobaczył dziury w pomarańczowej tunice. Pociski trafiały w ścianę tuż przed nim. Wycelował z colta w błysk z lufy za progiem otwartych drzwi kuchni i trzykrotnie nacisnął spust.

Kiedy ucichł huk czterdziestkiątki, z kuchni dał się słyszeć jęk i słaby chrapliwy oddech. Automat zawadził z metalicznym dźwiękiem o stalowe garnki i strażnik upadł z głośnym pluskiem na podłogę.

- Barsidzar? - zabrzmiał w głębi korytarza głos Bordzina.

Nikt mu nie odpowiedział. Pitt uśmiechnął się pod nosem. Czuł, że między nim i Bordzinem nie ma więcej strażników. Rzucił włącznię z tuniką i ruszył w kierunku głosu Bordzina, Nogi miał jak z ołowiu. Wolną ręką trzymał się ściany, żeby zachować równowagę. Na końcu korytarza przed nim plusk kroków Bordzina nagle umilkł.

Rozległ się głośny łoskot. Pod naporem rzeki zawaliła się następna część północnego skrzydła. Cała rezydencja zadrżała. Pitt wiedział, że dom zbudowany na zboczu góry może się zsunąć w dół. Ale nie zamierzał uciekać.

Minął szybko kilka pokoi, dotarł do pocerniałego od pożaru studia i się zawahał. Był przemarznięty i mokry, ale opanował dreszcze i zmusił się do skoncentrowania uwagi na otoczeniu. Jednostajny szum wody był tutaj głośniejszy. W słabym świetle lampy awaryjnej Pitt zobaczył, że woda spływa kaskadami po schodach tuż za studiem. Zauważył też mokre ślady stóp prowadzące do suchej sali konferencyjnej na końcu korytarza.

Przeszedł wolno obok zalanych schodów, zadowolony, że wreszcie wy dostał się z lodowatej wody. Zbliżył się ostrożnie do drzwi sali konferencyjnej i zajrzał do środka. Przez wysokie okna wpadał srebrzysty blask księżyca wschodzącego późno nad horyzontem. Wytężył wzrok i słuch, żeby w przestronnym pomieszczeniu

zlokalizować Bordzina, ale wszędzie panował spokój. Przesząpił cicho próg, wodząc lufą colta za swoim wzrokiem.

Bordzin bezbłędnie skoordynował atak. Wyskoczył zza stołu konferencyjnego, kiedy Pitt patrzył w inną stronę. Pitt za późno zareagował.

Odwracając się na zdrtwiałych nogach, omal nie stracił równowagi. Strzelił do Bordzina, ale trafił w okno i pocisk roztrzaskał szybę. Bordzin wycelował dokładniej.

Pitt ledwo dostrzegł mknącą ku niemu pierzastą strzałę, która z głuchym odgłosem przebiła mu pierś tuż poniżej serca. Uderzenie było potężne i zważyło go z nóg. Kiedy upadał na plecy, zobaczył Bordzina z kuszą w rękach. W blasku księżyca lśniły jego zęby, wyszczerzone w szerokim uśmiechu mściwej satysfakcji.

61

Gunn przejechał Range-Roverem po gruzach zwałonego muru i skręcił w kierunku niewielkiego wzniesienia na zewnątrz kompleksu. Na wzgórzu zawrócił i zgasił światła. Z góry mieli doskonały widok. Przez wyrwę w murze walała woda i zalewała rezydencję, z laboratorium wydobywało się coraz więcej dymu i płomieni.

Wofford obserwował to z satysfakcją.

- Byłbym szczęśliwy, gdyby nic z tego nie zostało.
- Zważywszy, że znajdujemy się dwieście czterdzieści kilometrów od najbliższej remizy strażackiej, jest na to duża szansa - odrzekł Gunn. Pocił się w samochodzie od gorącego nawiewu, który suszył i rozgrzewał pozostałych, i w końcu wysiadł z Range-Rovera. Kulejący Giordino wygramolił się za nim i popatrzył na zniszczenia w dole. Z rezydencji dobiegł terkot serii z broni automatycznej, potem huk pojedynczego wystrzału.

Giordino zaklął.

- Nie powinien był tam wracać sam.
- Nikt by go nie powstrzymał - odparł Gunn. - Nic mu się nie stanie. Ale dziwne uczucie w żołądku mówiło mu co innego.

Bordzin odłożył na miejsce średniowieczną kuszę ze swojej kolekcji starej broni, podszedł do rozbitego okna i wyjrzał na zewnątrz. Za domem woda spadała szerokim wodospadem z urwiska. Bardziej martwiło go to, że powódź na dziedzińcu zbliża się do sanktuarium. Spojrzał z niepokojem na kamienną budowlę. Trzęsienie ziemi zburzyło łukowe wejście.

Nie zwracając uwagi na Pitta, leżącego w drugim końcu sali konferencyjnej, wypadł na korytarz i zaczął brnąć w dół po schodach zalewanych kaskadami wody. Musiał mocno trzymać się poręczy. Przystanął na moment na podeście, zerknął na ciemny portret wielkiego chana i skinął lekko głową. Na dole woda sięgała mu niemal do pasa. Otworzył boczne drzwi, żeby wylała się na dziedziniec, potem ruszył przez zatopione podwórze w kierunku zniszczonego wejścia do sanktuarium, zataczając się jak pijany marynarz. Wdrapał się na stertę zwalonych kamieni, wszedł do oświetlonego pochodniami wnętrza i odetchnął z ulgą. Po podwyższonej podłodze płynęła tylko kilkucentymetrowa warstwa wody.

Sprawdził, czy nie ucierpiały grobowce, potem obejrzał ściany i sufit. Na kopułowym sklepieniu widniała sieć pęknięć. Wyglądała jak wielka pajęczyna. Trzęsienie ziemi niebezpiecznie osłabiło starą konstrukcję. Bordzin przeniósł nerwowo wzrok z sufitu na środkowy sarkofag. Zastanawiał się, jak najlepiej zabezpieczyć swój najcenniejszy skarb. Nie zauważył chybotliwego cienia, który pojawił się w świetle pochodni.

- To koniec twojego świata, Bordzin. Twój też.

Mongoł odwrócił się gwałtownie i zamarł, jakby zobaczył upiora. Duch Pitta stał na własnych nogach ze strzałą z kuszy w piersi. Tylko colt 45 wycelowany w serce Bordzina nie pozostawiał wątpliwości, że to nie jest zmartwychwstanie za sprawą sił nadprzyrodzonych. Bordzin nie wierzył własnym oczom.

Pitt przesunął się w kierunku jednego z marmurowych grobowców z boku krypty i wskazał go łufą pistoletu.

- To ładnie z twojej strony, że ulokowałeś krewnych blisko siebie. Twój ojciec?

Bordzin skinął w milczeniu głową. Starał się opanować po szoku na widok mówiącego trupa.

- To twój ojciec ukradł brytyjskiemu archeologowi mapę wskazującą grób Czyngis-chana - ciągnął Pitt. - Ale to nie wystarczyło do jego zlokalizowania.

- Mój ojciec zdobył informacje o przybliżonej lokalizacji. Znalezienie grobu wymagało użycia specjalnej techniki.

- Akustycznej aparatury sejsmicznej von Wachtera.

- Owszem. Grób wykrył prototyp. Modyfikacje urządzenia przyniosły zadziwiające efekty, sam widziałeś - odrzekł ironicznie Bordzin, szukając wzrokiem jakichś środków obrony.

Pitt wyszedł wolno na środek krypty i położył rękę na granitowym grobowcu na piedestale.

- Czyngis-chan - powiedział. Mimo, że był zmęczony i przemarznięty, przepelniał go dziwny szacunek dla wielkiego średniowiecznego wojownika. - Podejrzewam, że twoi rodacy nie będą zachwyceni, kiedy się dowiedzą że trzymasz go na swoim podwórku.

- Naród mongolski będzie się upajał nowymi podbojami! - zawołał Bordzin. - W imieniu Temudżyna powstaniemy przeciwko głupcom tego świata i zajmiemy należne nam miejsce.

Ledwo skończył te brednie, spod podłogi dobiegło głucho dudnienie. Narastało przez kilka sekund, potem rozległ się głośny łomot. Reszta północnego skrzydła rezydencji oderwała się od fundamentów i zsunęła w dół zbocza.

Uderzenie zatrzęsło całym terenem posiadłości, pozostała częścią rezydencji i sanktuarium. Osłabiony, wyczerpany zimnem Pitt chwycił się grobowca, żeby móc trzymać Bordzina na muszce.

Bordzin opadł na kolana. Wstał, gdy dudnienie i wstrząsy ustały. Wytrzeszczył oczy, kiedy w górze rozległ się trzask. Podniósł wzrok i zobaczył spadający fragment sufitu, który wylądował obok niego.

Pitt przywarł do boku grobowca, gdy zawałiła się tylna część sanktuarium. Na ziemię runęły kamienie i kawałki zaprawy, do góry wzbił się gęsty tuman kurzu, który przesłonił widok. Pitt czekał przez kilka sekund, aż opadnie kurz, czując na ciele chłodny nocny wiatr. Stojąc w ciemnym teraz sanktuarium, zobaczył, że nie ma już połowy

sklepienia i całej tylnej ściany. Za stertami kamieni widział wyraźnie zagrodę i zaparkowany w niej stary samochód.

Minęła dłuższa chwila, zanim dostrzegł w rumowisku Bordzina. Spod stosu gruzu wystawała tylko jego głowa i część torsu. Pitt podszedł do niego. Bordzin uniósł powieki. Miał tępe, obojętne spojrzenie. Z ust ciekła mu strużka krwi. Pitt zauważył, że szyja Mongoła jest nienaturalnie wygięta. Bordzin utkwiał w nim nienawistny wzrok.

- Dlaczego... dlaczego jeszcze żyjesz? - wykrztusił.

Z jego gardła wydobył się charkot, zaszkliły mu się oczy. Przygnieciony swoim pomnikiem zwycięstwa Tołgoj Bordzin skonał w cieniu Czyngis-chana.

Pitt patrzył na jego śmierć bez współczucia. Opuścił wolno colta, odciągnął suwak dużej kieszeni z przodu swojej kurtki i zajrzał w świetle księżyca do środka. Gruba instrukcja obsługi aparatury sejsmicznej i metalowy clipboard znajdowały się tam, gdzie schował je Gunn. Broszura była przebita strzałą z kuszy, która przeszła przez wszystkie kartki, zatrzymała się na metalowym clipboardzie i nie dotarła do serca Pitta.

- Czasami po prostu mam szczęście - powiedział głośno Pitt w odpowiedzi na ostatnie pytanie Bordzina.

Po zawaleniu się północnego skrzydła rezydencji na dziedzińcu przybywało wody. Przepływała z głośnym szumem wzdłuż sanktuarium, co groziło zalaniem rozpadającej się budowli. Było jasne, że powódź wkrótce wypłucze spod niej ziemię i mauzoleum zsunie się z górskiego zbocza. Grobowiec Czyngis-chana zostanie zniszczony i jego kości przepadną, tym razem na zawsze.

Pitt odwrócił się, żeby uciec, zanim runą wszystkie ściany, ale zawahał się, gdy zerknął przez dziurę z tyłu budowli na zagrodę za sanktuarium. Obejrzał się i popatrzył jeszcze raz na grobowiec Czyngis-chana, jakimś cudem nietknięty. Zastanawiał się przez moment, czy będzie ostatnim człowiekiem, który widział sarkofag. Potem podjął decyzję. Wiedział, że to szalony pomysł, i choć drżał z zimna, nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

- Dobra, stary - mruknął do grobowca - zobaczymy, czy zostało w tobie coś ze zwycięzcy.

Kiedy Pitt szedł z sanktuarium do zagrody, zaczął odzyskiwać czucie w nogach. Towarzyszyło temu bolesne mrowienie. Zatoczył się w bok, potem szybko oderwał od drewnianego płotu kilka sztachet, żeby zrobić otwór. Odrzucał na bok kartony i skrzynki, torował sobie szeroką drogę przez śmiecie, aż dotarł do celu, do zakurzonego starego samochodu.

Kabriolet Rolls-Royce Silver Ghost z 1921 roku miał nadwozie wykonane na zamówienie przez angielską wytwórnię powozów Park Ward. Karoserię w unikatowym, fioletowo-czerwonym kolorze pokrywał kilkudziesięcioletni brud, Jak takie wspaniałe auto, które bardziej pasowałoby do ulic Londynu, mogło trafić do Mongolii? Potem Pitt przypomniał sobie, że pancernego Rolls-Royce'a na podwoziu Silver Ghosta z 1914 roku używał w Arabii T.E. Lawrence podczas swojej pustynnej kampanii przeciwko Turkom. Czyżby opinia o trwałości tego samochodu w pustynnych warunkach dotarła przed laty na Gobi?

Teraz ważne było tylko to, że z przodu auta wystawała korba ze srebrnym uchwytem. Spełniała rolę ręcznego rozrusznika, gdy zawodził elektryczny. Pitt miał nikłą nadzieję, że uda mu się uruchomić nią silnik, mimo braku prądu w dawno rozładowanym akumulatorze. Jeśli w ogóle zdoła obrócić wałem korbowym.

Otworzył drzwi kierowcy z prawej strony, przesunął dźwignię zmiany biegów na luz i podszedł do maski samochodu. Schylił się, zaparł nogami, chwycił obiema rękami korbę i pociągnął do góry. Ani drgnęła. Stęknął z wysiłku przy drugiej próbie i uchwyt trochę się uniośł. Odpoczął sekundę i znów szarpnął. Opór wału korbowego zelżał i sześć tłoków poruszyło się w swoich cylindrach w górę i w dół.

Pitt miał w Waszyngtonie kolekcję zabytkowych samochodów i dobrze znał tajniki uruchamiania starych silników. Wsiadł do auta i ustawił dźwignienkami przepustnicę i zapłon. Miał nadzieję, że mosiężny zbiornik paliwa nie jest pusty.

Przy każdym obrocie korby rozlegała się seria zgrzytów. Stary sześciocylindrowy silnik próbował zassać paliwo i powietrze. Przemarznięty Pitt szybko tracił siły. Ale się nie poddawał. Przy

dziesiątej próbie silnik kaszlnął. Po kilku następnych szarpnięciach korby zarzęził. Pitt miał lodowate nogi, ale na czoło wystąpiły mu krople potu. Znów pociągnął korbę. Wał korbowy obrócił się i silnik ożył.

Pitt odpoczął chwilę, kiedy silnik się rozgrzewał. Z zardzewiałej rury wydechowej wydobywał się gęsty czarny dym. Pitt przetrząsał zagrodę i znalazł beczkę pełną łańcuchów. Wrzucił je na tylne siedzenie, wsiadł za kierownicę, włączył bieg, zwolnił zdrętwiałą lewą nogą sprzęgło i wyjechał ostrożnie z zagrody.

63

Gunn spojrzał ponuro na zegarek.

- Godzina dawno minęła - zauważył.

Stali z Giordinem na wzniesieniu i patrzyli na dzieło zniszczenia w dole. Pożar w laboratorium ogarnął cały budynek i sąsiadujący z nim garaż. Pod niebo unosił się czarny dym, w powietrze strzelały płomienie i oświetlały żółtym blaskiem cały kompleks. Tam, gdzie przedtem było północne skrzydło domu, płynęła teraz woda.

- Zjedźmy na dół - zaproponował Giordino. - Może jest ranny i nie może się stamtąd wydostać.

Gunn skinął głową. Strzały z broni automatycznej słyszeli prawie godzinę temu. Pitt dawno powinien wrócić.

Ledwo ruszyli do samochodu, z dołu dobiegło przytłumione dudnienie. Wiedzieli, że tym razem to nie trzęsienie ziemi, lecz raczej skutek erozji powodowanej przez powódź. Przystanęli i zobaczyli to, czego się obawiali. Z ich punktu obserwacyjnego widok przypominał walący się domek z kart. Ściany północnego krańca rezydencji zaczęły się kolejno przewracać. Zniszczenia postępowały coraz dalej w kierunku środka domu. Centralna część budynku runęła i zniknęła pod wodą. Wielka biała iglica nad wejściem rozpadła się na tysiąc kawałków. Widzieli gruzy wystające z wody, kiedy niemal cała rezydencji zsuwała się ze skalnej półki. Została zmyta ze zbocza góry i po kilku sekundach przestała istnieć. Ocalał tylko niewielki fragment południowego skrzydła. Miejsce, gdzie wcześniej stała reszta domu, zalewał szeroki strumień wody.

Gunn i Giordino stracili nadzieję na odnalezienie Pitta. Wiedzieli, że w zniszczonej rezydencji i wokół niej nikt nie mógł przeżyć. Patrzyli ponuro w milczeniu, jak rwąca rzeka płynie przez fundamenty domu i spada z hukiem z urwiska. W nocnej ciszy słyszeli tylko szum wody i trzask ognia w płonącym laboratorium. Nagle Gunn złowił uchem inny dźwięk.

- Co to? - zapytał i wycelował palec w kierunku resztki południowego skrzydła budynku, która stała na suchym gruncie i przetrwała zawalenie się pozostałej części rezydencji. Od strony zbocza za zrujnowanym domem dochodziło wycie silnika pracującego na wysokich obrotach, który chwilami dławił się i przerywał. Hałas narastał i w końcu ukazały się dwa światła, które pięły się wolno pod górę.

Przez dym i płomienie wydobywające się z laboratorium obiekt wyglądał jak ogromny pierwotny owad, który wypełza z dziury w ziemi. Wielkie żółte oczy badające noc. Lśniący metaliczny tułów, otoczony tumanem kurzu wyrzucanym spod tylnych kończyn. Żywa bestia nawet oddychała, z jej głowy unosił się biały obłok pary.

Stworzenie posuwało się z trudem. Kiedy wreszcie zbliżyło się do szczytu, nagły podmuch wiatru rozwiął dym i kurz. Gunn i Giordino zobaczyli w blasku pożaru, że to nie żaden owad, lecz stary Rolls-Royce.

- Znam tylko jednego faceta, który w takiej chwili mógłby powozić takim starym rżęchem! - wykrzyknął z ulgą Giordino.

Gunn wskoczył do Range-Rovera i zjechali ze wznieśnienia. W świetle reflektorów zobaczyli, że stary samochód wciąż brnie naprzód. Do jego tylnego zderzaka był przyczepiony naprężony łańcuch. Auto próbowało wciągnąć coś na wzgórze.

Pitt pomachał zza kierownicy do nadjeżdżającego Range-Rovera. Zdrętwiałą prawą nogą wciskał gaz do dechy, jadąc wciąż na pierwszym biegu. Tylna koła buksowały, łysa opony bez powietrza próbowały złapać przyczepność, ale ciężar na holu był zbyt duży. Przegrzany silnik zaczynał protestować głośnymi stukami. Resztką wody w chłodnicy prawie się wygotowała i Pitt wiedział, że samochód niedługo stanie.

Nagle obok pojawił się Giordino. Chwycił za słupek drzwiowy i mimo obandażowanej nogi zaczął pchać samochód. Dołączyli do niego

Gunn, Wofford i Theresa. Zajęli pozycje wokół Rollsa i natarli na niego z całej siły.

Dodatkowy napęd w postaci ludzkich mięśni wystarczył, by auto ruszyło naprzód, holując na łańcuchu wielki granitowy blok. Pitt dojechał do bezpiecznego, suchego miejsca i wyłączył silnik wśród kłębow pary spod maski.

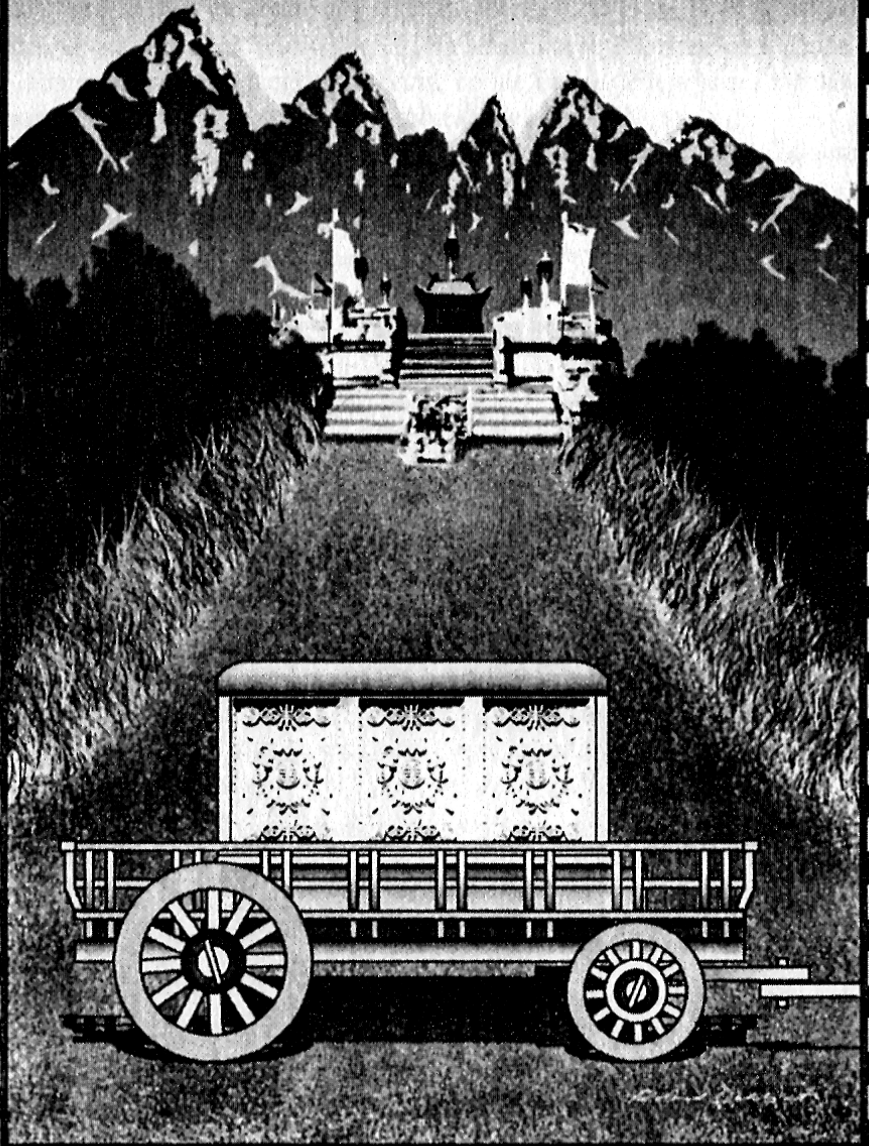
Kiedy para się rozwiła, zobaczył, że otacza go kilkunastu naukowców i techników. Było też wśród nich kilku strażników. Przestali gasić pożar w laboratorium i przybiegli sprawdzić, co się dzieje. Pitt wysiadł z Rollsa i poszedł sprawdzić, czy holowany obiekt nie ucierpiał.

Na wszelki wypadek sięgnął po swoją czterdziestkępiątkę. Całkiem niepotrzebnie.

Na widok uratowanego z powodzi grobowca Czyngis-chana naukowcy i strażnicy zaczęli wiwatować.

Podróż do raju

Grobowiec Czyngis-chana



Krażownik marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych „Anzio” skręcił na północ ze swojej pozycji u wybrzeży Zjednoczonych Emiratów Arabskich sto mil morskich włąbi cieśniny Ormuz i skierował się do Zatoki Perskiej. Nie był największym okrętem na tych wodach, ale najbardziej groźnym. Jego system radarowy potrafił wykryć i namierzyć ruchomy obiekt nieprzyjacielski na lądzie, morzu lub w powietrzu w promieniu dwustu mil morskich. Za naciśnięciem przycisku z pionowej wyrzutni pod pokładem mógł wystartować jeden ze stu dwudziestu jeden pocisków raketowych Tomahawk lub Standard i zniszczyć cel w ciągu paru sekund.

Tym zaawansowanym technicznie arsenałem zarządzało CIC - Bojowe Centrum Informacji, ulokowane w ciemnym pomieszczeniu kontrolnym w czeluściach okrętu. W przyćmionym niebieskim świetle lamp sufitowych kapitan Robert Buns patrzył uważnie na duży ekran projekcyjny na ścianie. Na tle różnokolorowego obrazu rejonu zatoki przesuwały się wolno różne figury geometryczne i symbole. Oznaczały okręty i samoloty śledzone przez system radarowy. Jeden z kształtów, jaskrawoczerwona kula, zbliżał się do cieśniny Ormuz, przecinając kurs krążownika.

- Dwanaście mil do punktu przechwycenia, panie kapitanie - zameldował siedzący w pobliżu Buns marynarz, jeden z kilku elektroników na stanowiskach komputerowych w pomieszczeniu.

- Tak trzymać - odpowiedział kapitan. Uwielbiany przez załogę, tęsknił za żoną i dwójką dzieci, ale lubił swoją obecną służbę w zatoce. Zdarzające się czasem niebezpieczne sytuacje stanowiły dla niego wyzwanie.

- Trzy mile do irańskich wód terytorialnych - ostrzegł stojący przy nim młody oficer odpowiedzialny za operacje taktyczne. - Trzymają się blisko irańskiego wybrzeża. Najwyraźniej dla bezpieczeństwa.

- Wątpię, żeby po tym, co się stało na wyspie Chark, Irańczycy udzielili tym facetom schronienia - odparł Buns. - Pat, obejrż przedstawię z mostka. Przejmujesz CIC.

- Tak jest, kapitanie. Na wszelki wypadek będziemy w kontakcie. Buns wyszedł z centrum dowodzenia i wspiął się na mostek zalany słońcem, które odbijało się w wodach zatoki. Blisko steru stał ciemnowłosy oficer i obserwował przez lornetkę czarny statek.

- To nasz cel, komandorze? - zapytał kapitan.

Komandor Brad Knight, szef operacji wywiadowczych „Anzio”, skinął głową.

- Tak jest, panie kapitanie. Statek wiertniczy. Rozpoznanie lotnicze potwierdziło, że to „Bayan Star” z Kuala Lumpur. Ta sama jednostka, którą nasze satelity sfotografowały w pobliżu Ras Tannury i wyspy Chark przed tamtymi trzęsieniami ziemi.

Knight popatrzył w dół na pokład dziobowy krążownika, gdzie oddział marines w oporządzeniu bojowym przygotowywał dwa pontony Zodiac.

- Wygląda na to, że grupa inspekcyjna może ruszać, panie kapitanie.

- Dobra, zobaczymy, jak to rozegra „Bayan Star”.

Buns podszedł do oficera łączności i wydał rozkaz. Krążownik zaczął wywoływać statek wiertniczy, najpierw po angielsku, potem po arabsku. Powtarzał, że statek ma się zatrzymać do kontroli. „Bayan Star” ignorował te wezwania.

- Nie zmienia szybkości - zameldował operator radaru.

- Nie do wiary, że nie zwracają uwagi na hornety - powiedział Knight. Dwa F/A-18 z lotniskowca „Ronald Reagan” od godziny latały nad statkiem wiertniczym.

- Będziemy musieli strzelić im przed dziób - odrzekł Buns. Krążownik miał dwa pięciocalowe działa, które nadawały się nie tylko do tego.

„Anzio” był dwie mile morskie od statku wiertniczego, gdy operator radaru zameldował:

- Zwalnia, panie kapitanie.

Buns pochylił się nad wyświetlaczem i zobaczył, że punkt oznaczający „Bayan Star” na kursie południowo-zachodnim przestaje się poruszać.

- Podchodzimy do niego. Niech grupa inspekcyjna będzie w pogotowiu. Smukły szary krążownik skręcił na południowy wschód i zrównał się ze statkiem wiertniczym. Obie jednostki dzieliło pół mili

morskiej. Marines wsiedli szybko do pontonów i zostali opuszczeni za burłę. Kiedy uruchomili silniki i odpłynęli, Knight zaalarmował nagle Buns:

- Panie kapitanie, widzę dwie łodzie za rufą tamtego statku. Załoga chyba opuszcza pokład.

Buns wziął lornetkę i spojrzał w tamtym kierunku. Od „Bayan Star” oddalały się dwie szalupy pełne ludzi w czarnych kombinezonach. Przeniósł wzrok na statek i zobaczył biały dym buchający z dolnego pokładu.

- Chcą go zatopić - powiedział. - Wezwać z powrotem grupę inspekcyjną.

Załoga „Anzio” patrzyła z zaskoczeniem, jak statek wiertniczy szybko się zanurza. Po kilku minutach słona woda Zatoki Perskiej zaczęła się przelewać przez jego dziób. Rufa uniosła się ku niebu i statek z głośnym szumem poszedł na dno dziobem w dół.

Gdy z powierzchni morza zniknęły pęcherze powietrza, Knight pokręcił głową.

- Pentagon nie będzie zachwycony. Liczyli na to, że zatrzymamy go w nienaruszonym stanie. Wywiad interesowała technika na jego pokładzie.

- Będziemy mieli załogę - odrzekł Buns i wskazał głową dwie łodzie ratunkowe, który płynęły dobrowolnie w kierunku krążownika. - A dla Pentagonu ten statek to jeszcze nic straconego. Leży na głębokości zaledwie dziewięćdziesięciu metrów na irańskich wodach - dodał z uśmiechem.

65

U podnóża Burchan Chałdun wiał orzeźwiający wiatr. Wysoko w górze trzepotało mnóstwo niebiesko-czerwonych mongolskich flag państwowych. Największa, o szerokości piętnastu metrów, powiewała nad wielkim granitowym mauzoleum z rzeźbioną fasadą którą miejscowi rzemieślnicy wykończyli w pośpiechu kilka dni wcześniej. Budowlę otaczał liczny tłum dygnitarzy i reporterów. Rozmawiali cicho między sobą w oczekiwaniu na przybycie przysłego lokatora mauzoleum.

Gdy rozległ się odgłos marszowych kroków, przez tłum przebiegł szmer podnieconych szeptów, potem zapadła cisza. Spomiędzy sosen wyłoniła się kompania wojska. Mongolscy żołnierze maszerowali w górę wzniesienia ku czekającym zebranych. Byli czołówką licznej wojskowej eskorty honorowej, która odprowadzała szczątki Czyngis-chana do miejsca jego spoczynku.

Czyngis spadł z konia podczas oblężenia Inczuan w północno-zachodnich Chinach i zmarł kilka dni później na skutek odniesionych ran. W 1227 roku jego ciało przetransportowano potajemnie do podnóża Burchan Chałdun, ale źródła historyczne nie podają szczegółów pogrzebu. Prawdopodobnie wierni towarzysze wodza, chcąc utrzymać w tajemnicy jego śmierć, pochowali go w nieoznakowanym grobie. Prawie osiem wieków później jego ponowny pogrzeb miał być jak najbardziej jawny.

Szcątki Czyngis-chana przez tydzień były wystawione na widok publiczny w Ułan Bator. Tysiące ludzi ze wszystkich zakątków Mongolii pielgrzymowały do stolicy, by zobaczyć jego trumnę. Równie wielkie tłumy z flagami i wizerunkami średniowiecznego władcy stały wzdłuż trasy trzydniowego przejazdu orszaku żałobnego do mauzoleum w górach Chentej. Kobiety i dzieci płakały, jakby żegnały ukochanego członka rodziny. Gdy kondukt pogrzebowy rozpoczął trzeci etap podróży, ogłoszono dzień żałoby narodowej, który od następnego roku miał być świętem pamięci. Tego dnia karawan dotarł do podnóża Burchan Chałdun, gdzie urodził się wielki wódz.

Pitt, Giordino i Gunn, wraz z Theresą i Woffordem, siedzieli w pierwszym rzędzie dygnitarzy, niedaleko prezydenta Mongolii i przedstawicieli parlamentu. Kiedy orszak żałobny był już blisko, Pitt odwrócił się i mrugnął do chłopca siedzącego za nim. Nojon i jego rodzice, specjaliści goście Pitta, rozglądali się oszołomieni. Gdy wreszcie pojawił się karawan z trumną chana, chłopiec z podziwu wytrzeszczył oczy.

Z przepychem godnym największego zdobywcy, jakiego znał świat, szczątki Czyngis-chana wieziono na ogromnym drewnianym wozie amunicyjnym w jaskrawożółtym kolorze, zaprzężonym w sześć wspaniałych śnieżnobiałych ogierów. Na jaszczu spoczywał granitowy

grobowiec, uratowany przez Pitta z powodzi. Leżały na nim świeże kwiaty lotosu.

Przed grobowcem zajęła w milczeniu miejsce grupa starych lamów w jaskrawoczerwonych szatach i żółtych nakryciach głowy. Dwaj mnisi u podnóża góry zadęli w radongi, ogromne trąby przypominające teleskopy. Kiedy wiatr niósł głębokie buczenie w dolinę, lamowie rozpoczęli modły, którym towarzyszyły dźwięki bębnów i woń płonącego kadzidła. Po ceremonii odeszli na bok i pojawił się stary szaman. W czasach Czyngis-chana szamanizm odgrywał ważną rolę w życiu koczowników. Siwy szaman z długą falującą brodą, ubrany w zwierzęce skóry, tańczył i zawodził wokół wielkiego ogniska, w którym płonęły kości owiec. Z przeraźliwym jękiem pobłogosławił szczątki chana, przenosząc je symbolicznie z kraju błękitnego nieba do rajy zwycięstw w życiu pozagrobowym.

Po zakończeniu nabożeństwa granitowy sarkofag wsunięto do mauzoleum i przykryto sześciotonową płytą z polerowanego kamienia, którą opuścił żuraw. Wszyscy uczestnicy uroczystości przysięgali później, że w momencie zamknięcia grobowca usłyszeli daleki grzmot, choć na niebie nie było ani jednej chmurki. Czyngis-chan znów spoczął w swoich ukochanych ojczystych górach, a jego mauzoleum stało się celem pielgrzymek turystów, historyków i wszystkich mieszkańców Mongolii.

Kiedy tłum zaczął się przersedzać, podeszli Iwan Korsow i Aleksander Sarkow, którzy siedzieli z tyłu z rosyjskim ambasadorem.

- Widzę, że potraficie wywęszyć skarby historyczne nie tylko w morzu, ale i na lądzie. - Sarkow się roześmiał i uściskał serdecznie Pitta i Giordina.

- To po prostu premia za wyjaśnienie, dlaczego ktoś chciał zatopić „Wierieszczagina” - odrzekł Pitt.

- Fakt. A przy okazji, jeszcze nie skończyliśmy naszego wspólnego projektu na jeziorze Bajkał. „Wierieszczagin” zostanie wyremontowany i będzie gotowy do akcji w przyszłym sezonie. Mam nadzieję, że dołączycie do nas.

- Przylecimy, Aleksanderze.

- O ile nie będzie więcej sejszy - zastrzegł Giordino.

Korsow przysunął się bliżej. Jak zwykle uśmiechał się od ucha do ucha.

- Powinniście wstąpić do rosyjskiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Jest zapotrzebowanie na ludzi z waszymi umiejętnościami.

- Musiałbym uzyskać zgodę swego szefa. - Pitt się roześmiał.

Zbliżał się prezydent Mongolii ze swą żoną. Sarkow szybko się pożegnał, a Korsow wtopił się w tłum. Niski, elegancki, czterdziestopięcioletni przywódca mongolski mówił niemal bezbłędnie po angielsku.

- Panie Pitt, w imieniu narodu mongolskiego chciałbym podziękować panu i pańskiemu zespołowi NUMA za uratowanie Czyngisa dla przyszłych pokoleń.

- Wielka postać historyczna zasługuje na to, by żyć wiecznie - odrzekł Pitt i wskazał głową mauzoleum. - Szkoda tylko, że z grobowca zniknęły wszystkie cenne rzeczy.

- Tak, to tragedia, że skarby Czyngisa trafiły do kolekcjonerów na całym świecie po to, żeby mógł się wzbogacić Bordzin i jego rodzeństwo. Być może nasz kraj będzie w stanie odkupić z powrotem część tych antyków za pieniądze ze sprzedaży ropy z nowo odkrytych złóż. Archeolodzy uważają że jeszcze większe bogactwa zostały pochowane z Kubilaj-chanem. Całe szczęście, że Bordzinowi nie udało się odnaleźć tego grobowca. Przynajmniej Kubilaj i jego skarb leżą spokojnie w mongolskiej ziemi gdzieś wśród tych gór.

- Kubilaj-chan - mruknął Pitt i popatrzył na mauzoleum Czyngisa. Na granitowej fasadzie zauważył płaskorzeźbę samotnego wilka. Jego kontur był pomalowany na niebiesko.

- Tak mówi legenda. Panie Pitt, chciałbym panu również osobiście podziękować za ujawnienie korupcyjnej działalności rodziny Bordzinów i pomoc w przerwaniu ich samowoli. Poleciałem wszczęcie śledztwa w celu ustalenia, jak rozległe wpływy w moim rządzie miał Bordzin. Jego śmierć musi oznaczać koniec tego bezprawia.

- Mam nadzieję, że Tatiana jest skłonna do współpracy.

- Owszem - przytaknął z uśmiechem prezydent. Wiedział, że Tatiana jest trzymana pod kluczem w niezbyt komfortowych warunkach. - Z jej pomocą i przy udziale pańskich towarzyszy z branży naftowej - wskazał ruchem głowy Theresę i Wofforda - będziemy mogli eksploatować odkryte złoża ropy dla dobra nowej Mongolii.

- Chiny nie zamierzają renegeować umowy o przekazaniu pańskiemu krajowi Mongolii Wewnętrznej? - zapytał Gunn.

- To byłoby dla nich zbyt ryzykowne politycznie, zarówno na arenie międzynarodowej, jak i na terytorium Mongolii Wewnętrznej, której mieszkańcy cieszą się z oderwania od Chin. Nie, Chińczycy są zadowoleni, że zgodziliśmy się sprzedawać im ropę po korzystnej cenie. To znaczy, dopóki nie zostanie ukończona budowa naszego rurociągu do rosyjskiego miasta portowego Nachodka. - Prezydent uśmiechnął się i pomachał ręką do rosyjskiego ambasadora, który stał w pobliżu i gawędził z Sarkowem.

- Tylko niech pan dopilnuje, żeby zyski z ropy służyły najbardziej potrzebującym - powiedział Pitt.

- Oczywiście. Wyciągnęliśmy wnioski z waszych doświadczeń w stanie Alaska. Część dochodów otrzymają wszyscy obywatele naszego kraju. Reszta środków będzie przeznaczana na rozwój służby zdrowia, szkolnictwa i infrastruktury. Bordzin dał nam dobrą lekcję. Zapewniam pana, że nawet jeden tugrik z eksportu ropy nie trafi w prywatne ręce.

- Panie prezydencie, mam jedną prośbę. Na pustyni Gobi odkryliśmy wrak samolotu.

- Minister kultury już mnie o tym poinformował. Wkrótce wyślemy tam zespół naukowców z Mongolskiego Uniwersytetu Narodowego, żeby odkopali tę maszynę. Szczątki ludzi na pokładzie zostaną przekazane krewnym, by mogli je pochować.

- Zaslugują na to.

- Miło mi było, panie Pitt - powiedział prezydent, kiedy doradca pociągnął go za rękaw. Odwrócił się i zrobił kilka kroków, potem przystanął.

- Byłbym zapomniał, panie Pitt. Mam dla pana prezent od narodu mongolskiego. O ile wiem, potrafi pan docenić wartość takich rzeczy.

Wskazał ciężarówkę w dole wzniesienia, która przyjechała dyskretnie za orszakiem pogrzebowym. Na jej platformie spoczywał duży obiekt przykryty brezentem. Pitt i inni przyglądali się z zaciekawieniem, jak dwaj robotnicy wspinają się na platformę i ściągają plandekę. Pod spodem stał zakurzony Rolls-Royce z posiadłości Bordzina.

- Odrestaurowywanie go powinno być przyjemnym zajęciem w weekendy - powiedział Wofford.

- Moja żona będzie zachwycona. - Pitt uśmiechnął się nieszczerze.

- Chciałabym ją kiedyś poznać - powiedziała Theresa.
- Mogłabyś wpaść do Waszyngtonu. Choć rozumiem, że teraz przez jakiś czas będziesz pracowała w Mongolii.

- Firma dała nam trzy tygodnie płatnego urlopu jako rekompensatę za to, co tu przeżyliśmy. Chcemy oboje polecieć do domu, odpocząć, a potem Jim i ja wrócimy tutaj.

Spojrzenie, które posłała Giordinowi, i ton jej głosu wskazywały wyraźnie, kogo miała na myśli.

- Nie przypuszczałem, że zamierzasz niańczyć takiego starego wilka morskiego jak Al - powiedział Pitt.

- Mam taki plan - przyznała nieśmiało. Oparty na kuli Giordino uśmiechnął się.

- Dzięki, szefie. Zawsze chciałem zobaczyć Zuiderzee.

Rozstali się. Pitt ruszył w dół z boczka do ciężarówki. Przy starym Rollsie dołączył do niego Gunn.

- Mongolski minister energetyki właśnie mi powiedział, że cena ropy spadła dziś o następnych dziesięć dolarów - poinformował. - Rynki wreszcie przyjęły do wiadomości, że Konsorcjum Naftowe Awarga wypadło z interesu na dobre i nie będzie więcej niszczycielskich trzęsień ziemi. Eksperci przewidują że w połączeniu z odkryciem złóż ropy w Mongolii Wewnętrznej spowoduje to wkrótce spadek ceny do niższego poziomu niż tamten sprzed katastrofy w Zatoce Perskiej.

- Więc panika minęła i nie grozi nam światowy kryzys gospodarczy. Może potęgi ekonomiczne wreszcie czegoś się nauczyły i pomyślały o rozwoju odnawialnych źródeł energii.

- Nie wezmą się do tego, dopóki nie stanie się to absolutną koniecznością - odparł Gunn. - Pentagon podobno nie jest zachwycony, że wszystkie trzy urządzenia sejsmiczne von Wachtera zostały zniszczone. Ostatni znany egzemplarz zatonął w Zatoce Perskiej.

- NUMA nie może ponosić odpowiedzialności za to zdarzenie.

- To prawda. Mieliśmy szczęście, że Summer i Dirk natknęli się na Hawajach na brata Bordżina i drugie urządzenie. Gdyby tamten statek dotarł do Valdez i zniszczył rurociąg Alaski, byłby istny koniec świata.

- Z jakiegoś powodu przyciągnął ich tam ten chiński wrak, który odkryła Summer - powiedział w zamyśleniu Pitt. Patrzył w przestrzeń,

jakby szukał tam wskazówek. Nagle w jego zielonych oczach pojawił się błysk olśnienia.

Gunna nie interesowała tajemnica chińskiego wraka. Myślał o bieżących potrzebach swojego rządu.

- Przepadły nie tylko wszystkie trzy urządzenia sejsmiczne von Wachtera, ale również jego materiały badawcze. Bordzin trzymał wszystkie dane w budynku laboratorium, który teraz jest kupą zgliszczy. Nie zostało nic, z czego można byłoby zrekonstruować aparaturę profesora.

- Czy to źle?

- Czułbym się lepiej, mając świadomość, że ta wiedza jest w naszych rękach, a nie kogoś takiego jak Bordzin.

- No to powiem ci coś w sekrecie. Tak się składa, że instrukcja obsługi, którą zabrałeś z laboratorium, ocalała z powodzi i pożaru.

- Ocalała? Byłaby bardzo przydatna dla kogoś, kto chciałby skopiować wynalazek von Wachtera. Mam nadzieję, że nikt jej nie dostanie.

- Jest w bezpiecznym miejscu.

- Na pewno?

Pitt otworzył duży skórzany kufer zamontowany na bagażniku Rollsa. Na dnie leżała instrukcja obsługi aparatury sejsmicznej. W okładce wciąż tkwił grot strzały z kuszy.

Gunn gwizdnął cicho, potem zasłonił rękami oczy i odwrócił się.

- Nigdy jej nie widziałem - oznajmił.

Pitt zamknął kufer, a potem obejrzał pobieżnie resztę auta. Z zachodu zaczęły szybko napływać ciemnoszare chmury. Pozostali przy grobowcu żałobnicy pobiegli do swoich samochodów zaparkowanych w dole wzgórza, żeby schronić się przed deszczem.

- Lepiej już jedźmy - powiedział Gunn i poprowadził Pitta do dżipa. - Więc wracamy do Waszyngtonu?

Pitt zatrzymał się i po raz ostatni popatrzył na mauzoleum Czyngis-chana. Potem pokręcił głową.

- Nie, Rudi, wracasz sam. Dołączę do ciebie za kilka dni.

- Zostajesz tutaj?

- Nie - zaprzeczył Pitt z nieobecny spojrzeniem. - Zamierzam zapolować na wilka.

Na pokładzie „Mariany Explorera” prażyło tropikalne słońce. Statek NUMA okrążył skalisty cypel Kahakahakea. Kapitan Bill Stenseth kazał sternikowi zwolnić, kiedy weszli do zatoki Keliuli. Nieco w lewo przed dziobem zauważył czerwoną boję. Dwadzieścia jeden metrów pod nią leżał wrak statku wiertniczego Konsorcjum Naftowego Awarga, przysypany częściowo odłamkami skał. Na płytszej wodzie Stenseth kazał zatrzymać statek badawczy, wyłączyć silniki i rzucić kotwicę. Potem odwrócił się w stronę tylnej części sterowni.

- Zatoka Keliuli - oznajmił.

Przy mahoniowym stole nawigacyjnym siedział Pitt i oglądał przez szkło powiększające mapę morską hawajskiego wybrzeża. Obok leżała skóra geparda, którą zabrał na pustyni Gobi z rozbitego Fokkera Leigh Hunta. Dzieci Pitta, Dirk i Summer, stały za ojcem i z zaciekawieniem zaglądały mu przez ramię.

Pitt senior wstał i wyrzwał przez okno.

- Więc to jest miejsce zbrodni - powiedział, przeciągnął się i ziewnął. Był zmęczony po długim locie z Ułan Bator do Honolulu przez Irkuck i Tokio. Ciepłe, wilgotne powietrze działało na niego orzeźwiająco. Choć w Mongolii było dopiero późne lato, kiedy wsiadał do samolotu, nastąpił atak zimna i sypnęło śniegiem.

Pitt wracał na Hawaje z pewną melancholią która pogłębiła się w czasie postoju w Honolulu. Musiał czekać trzy godziny na odlot do Hilo, więc wypożyczył samochód i pojechał przez góry Koolau na wschodnie wybrzeże Oahu. W pobliżu plaży Kailua skręcił w boczną drogę i powędrował na maleńki cmentarz z widokiem na ocean. Dobrze utrzymany cmentarz otaczała bujna roślinność. Pitt przyglądał się nagrobkom. W cieniu rozłożystych gałęzi kwitnącej plumerii znalazł grób Summer Moran.

Pierwsza i największa miłość Pitta, matka jego dzieci, zmarła niedawno. Pitt nie wiedział, że Summer Moran mieszka samotnie po wypadku, który ją oszpecił. Myślał, że nie żyje od wielu lat. Długo próbował o niej zapomnieć, aż pewnego dnia zjawilo się u niego dwoje

jego dorosłych dzieci. Powróciły wspomnienia. Zastanawiał się z bólem, jak wyglądałoby jego życie, gdyby wiedział, że Summer Moran żyje i wychowuje dwójkę ich dzieci bliźniaków. Teraz z dziećmi łączyła go silna więź i kochał swoją żonę Loren. Ale poczucie straty pozostało.

Z ciężkim sercem zebrał garść wonnych kwiatów plumerii i rozsypał je delikatnie na grobie. Przez dłuższą chwilę stał pogrążony w smutku i patrzył na ocean. Toczące się fale morza pomogły mu ukoić ból.

Stał teraz na mostku ze swoimi dziećmi, czuł wewnętrzne ciepło, wiedział, że Summer Moran w pewnym sensie nadal żyje.

- Tamtą boją jest oznaczone miejsce, gdzie Summer zatopiła statek wiertniczy - wskazał z uśmiechem Dirk. - Chiński wrak leży prawie na samym środku zatoki.

- Artefakty są co najmniej z XIII wieku? - zapytał Pitt.

- Wszystko na to wskazuje - odrzekła Summer. - Wydobyte kawałki ceramiki pochodzą z późnego okresu panowania dynastii Song i pierwszych kilkunastu lat rządów dynastii Jüan. Badania próbek drewna wykazały, że to wiąz z 1280 roku. Właśnie takiego drewna używała do budowy statków słynna chińska stocznia w Longjiang.

- Miejscowe archiwa geologiczne też okazały się przydatne - dodał Dirk. - Ponieważ wrak załała lava, sprawdziliśmy historię erupcji wulkanów na wyspie Hawaii. Choć najbardziej znanym aktywnym wulkanem jest Kilauea, Hualalai i Mauna Loa też się odzywają. Najbliżej nas leży Mauna Loa, która w ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat wybuchała trzydzieści sześć razy. Trudno określić liczbę jej erupcji w poprzednich wiekach. Miejscowym geologom udało się pobrać spod lawy próbki węgla drzewnego i zbadać je metodą izotopowego datowania. Jedna z próbek lawy, z pobliskiej zatoki Pohue, ma około ośmiuset lat. Nie wiemy na pewno, czy lava, która wlała się do tutejszej zatoki i uwięziła nasz wrak, pochodziła z tej samej erupcji. Jeśli tak, to ten statek przyplłynął tu nie później niż w 1300 roku.

- Czy wynika to też z tej tajemniczej skóry geparda? - zapytała Summer.

- Określenie daty jest niemożliwe, ale w przedstawionym na niej rysunku są interesujące podobieństwa - odrzekł Pitt. - Statek na czele to ogromna, czteromasztowa dżonka. Sądząc po wymiarach steru odkrytego

przez Dirka i Jacka, ten żaglowiec miał wielkość waszego wraka. Na skórze można odczytać tylko kilka słów: „długa podróż do raj”.

Pitt usiadł i przyjrzał się artystycznym rysunkom na zwierzęcej skórze. Przedstawiały wyraźnie czteromasztowa dżonkę i towarzyszące jej dwa mniejsze statki. Kilka obrazków ukazywało rejs żaglowców przez ocean i to, jak dotarli do skupiska wysp. Archipelag przypominał osiem głównych wysp hawajskich. Na jednym z rysunków wielka dżonka stała przy brzegu największej wyspy, zakotwiczona niedaleko jaskini u podnóża wysokiego klifu. Pitta najbardziej intrygował ostatni obrazek. Przedstawiał zacumowany statek w pobliżu jakichś skrzyń pod urwiskiem. Wszędzie widać było ogień i dym. Pitta zainteresowała zwłaszcza płonąca flaga na maszcie dżonki.

- Erupcja wulkanu - stwierdził. - Pożar spowodowany przez lawę.

- W tamtych skrzyniach musiały być skarby - zauważyła Summer. - Tong, czy też Bordżin, jak twierdzisz, wiedział coś o ładunku tego statku. Dlatego próbowali rozbić pokrywę lawową wywołując trzęsienie ziemi.

- Pomylili się - powiedział Dirk. - We wraku nie ma skarbu. Z rysunku widać, że ładunek został przeniesiony na brzeg i zniszczony przez lawę.

Pitt uśmiechnął się chyttrze.

- Na pewno?

- A jak mógłby przetrwać wybuch wulkanu? - zapytała Summer. Wzięła szkło powiększające i popatrzyła na ostatni obrazek. Kiedy przyjrzała się dokładnie skrzyniom, uniosła brwi. Na ładunku ani wokół niego nie było płomieni.

- Skrzynie się nie palą. Naprawdę myślisz, że mogły ocaleć?

- Uważam, że warto sprawdzić. Chodźmy.

- Ale musiałyby leżeć pod lawą - zaprotestował Dirk.

- Miej trochę zaufania do swojego ojca. - Pitt uśmiechnął się i wyszedł ze sterowni.

Dirk i Summer bez przekonania pomaszzerowali za ojcem na rufę statku i wzięli sprzęt do nurkowania. Wsiedli do pontonu. Jack Dahlgren opuścił ich za burtę.

- Na tego, kto pierwszy znajdzie wagę z epoki dynastii Ming, będzie czekała butelka tequili - zażartował i odcumował łódź.

- Nie zapomnij o soli i limonce! - odkrzyknęła Summer.

Pitt skierował zodiaca w kierunku brzegu zatoki i wyłączył silnik kilka metrów od linii przyboju. Dirk rzucił kotwicę i wszyscy włożyli skafandry neoprenowe.

- Popłyniemy wzdłuż brzegu, możliwie jak najbliżej linii przyboju - powiedział Pitt. - Obserwujcie fale.

- A czego właściwie szukamy? - zapytał Dirk.

- Schodów do nieba. - Jego ojciec uśmiechnął się tajemniczo i opuścił na twarz maskę. Usiadł na burcie pontonu, opadł tyłem do wody i zniknął pod powierzchnią. Dirk i Summer poszli w jego ślady.

Spotkali się wszyscy na dnie zatoki pięć metrów poniżej, w ciemnej, mętnej toni. Fale przyboju burzyły wodę, wirujący muł ograniczał widoczność do kilkudziesięciu centymetrów. Summer zobaczyła, że ojciec skinął do niej głową i zagłębił się w mrok. Skierowała się za nim, wiedząc, że jej brat również za nimi popłynie.

Powierzchnię dna tworzyła czarna lawa, która wznosiła się ostro na lewo od niej. Nawet pod wodą fale spychały Summer w bok. Musiała stale skręcać w kierunku morza i z całej siły pracować płetwami, żeby uniknąć zderzenia z podwodną górą.

Posuwała się za ojcem, śladem jego pęcherzy powietrza, przez dwadzieścia minut, aż w końcu straciła go z oczu. Domyślała się, że są mniej więcej w połowie długości brzegu zatoki. Postanowiła, że będzie płynęła jeszcze dziesięć minut, potem wynurzy się i zorientuje, gdzie dokładnie jest.

Nagle duża fala zniosła ją na wypiętrzenie lawy. Skręciła, żeby się od niego oddalić, ale druga, silniejsza fala popchnęła ją w stronę brzegu. Uderzyła plecami o skałę, aż zazgrzytała jej stalowa butla tlenowa.

Summer nic się nie stało, ale nie mogła się ruszyć, dopóki fala nie przetoczyła się dalej. Już miała odpłynąć, gdy zobaczyła ciemną plamę na skałe nad swoją głową. Zbliżyła się i zajrzała do czarnego tunelu, który skręcał lekko w górę i biegł w kierunku brzegu. Wyjęła latarkę i poświeciła do środka. Snop światła nikał daleko w wodzie. Tunel najwyraźniej był długi.

Serce zabiło jej żywiej, kiedy zdała sobie sprawę, że właśnie tego szuka ojciec. Przytrzymała się skały, gdy nadciągnęła następna duża fala,

potem sięgnęła za plecy i postukała latarką w butlę akwalungu. Pod wodą rozszedł się metaliczny dźwięk.

Niemal natychmiast zjawił się Dirk i spojrzał na nią pytająco. Wskazała mu otwór. Chwilę później dołączył do nich ojciec. Kiedy zobaczył tunel, poklepał Summer po głowie. Zapalił swoją latarkę i wpłynęli do środka.

Pitt od razu rozpoznał korytarz lawowy. Cylindryczna powierzchnia wewnętrzna była idealnie uformowana, okrągła i gładka, jakby zrobiła ją maszyna. Ale w rzeczywistości tunel powstał w wyniku stałego przepływu gorącej lawy, która stygła na wierzchu i tworzyła zewnętrzną powłokę. Pitt wiedział, że istnieją korytarze lawowe o szerokości piętnastu metrów, a niektóre mają długość paru kilometrów. Tunel odkryty przez Summer był stosunkowo mały, miał średnicę około dwóch metrów.

Przełynęli dziesięć metrów tunelu. Głębokościomierz pokazywał, że cały czas się wznoszą. Korytarz nagle się poszerzył, Pitt zobaczył odbicie światła swojej latarki i po chwili przebił głową powierzchnię spokojnej wody. Poświecił dookoła. Z trzech stron otaczały go pionowe ściany czarnej lawy. Z czwartej strony otwierała się szeroka wolna przestrzeń. Kiedy obok niego wynurzyły się światła Dirka i Summer, popłynął wolno do brzegu. Wyszli z wody.

- To zdumiewające - powiedziała Summer. - Podziemna grota, do której prowadzi zalany korytarz lawowy.

Powietrze w jaskini było wilgotne i stęchłe. Summer zastanawiała się, czy nie oddychać tlenem z akwalungu.

- Kiedyś ta grota była prawdopodobnie dużo głębsza, ale zalała ją lawa spływająca po zboczu góry - odrzekł Pitt. - To szczęśliwy traf, że korytarz lawowy uformował się u wejścia do jaskini.

Dirk zdjął akwalung i pas balastowy, oświetlił latarką wolną przestrzeń. Coś w skałach zwróciło jego uwagę.

- Summer, za tobą!

Odwróciła się i wstrzymała gwałtownie oddech. Tuż za nią stał mężczyzna. Stłumiła okrzyk przerażenia, gdy uświadomiła sobie, że to posąg.

- Gliniany wojownik? - zapytał Dirk.

Summer oświetliła postać latarką i zobaczyła w pobliżu drugą. Obie figury były naturalnej wielkości, miały namalowane mundury i wyrzeźbione miecze. Summer podeszła bliżej i przyjrzała się dwóm skośnookim żołnierzom z włosami splecionymi w warkocz i obwisłymi wąsami.

- Terakotowi wojownicy cesarza Szy Huang-ti, sprowadzeni z Si-an, czy ich XIII-wieczne kopie? - zapytał Pitt.

Summer spojrzała na ojca z zaciekawieniem.

- Trzynastowieczne? Co tutaj robią?

Pitt zbliżył się do dwóch posągów i zauważył między nimi wąską ścieżkę wykutą w lawie.

- Myślę, że oni wskazują nam odpowiedź - odrzekł.

Wszedł między terakotowe postacie i ruszył ścieżką. Dirk i Summer poszli za nim. Szlak wił się wśród ścian lawy i doprowadził ich do wielkiego pomieszczenia.

Zatrzymali się na progu, oszołomieni widokiem, który zobaczyli w świetle latarek. Pod ścianami stała armia terakotowych żołnierzy. Każdy miał ciężki złoty naszyjnik lub amulet wysadzany klejnotami. Przestrzeń między wojownikami wypełniona była innymi rzeźbami, głównie zwierząt naturalnej wielkości. Jedne zostały wykute w jadeicie, inne były pozłacane. Jelenie pasły się bez lęku obok sokołów, bliżej środka pomieszczenia stały dęba dwie białe klacze.

Wśród rzeźb było wiele lakierowanych komód i stolików pokrytych kurzem. Summer zauważyła na dużym, nakrytym jedwabnym obrusem stole sztuce, talerze, półmiski i puchary. Zastawa z ornamentami z arabskim i chińskim pismem lśniła w świetle latarek i miała złotawy odcień. Summer dostrzegła na stolikach lusterka, szkatułki i wyroby artystyczne, ozdobione klejnotami. Podeszła do najbliższej komody z namalowanymi w jaskrawych kolorach scenami bitew i wyciągnęła szufladę. Na paletach wyłożonych jedwabiem leżały bursztyny, szafiry i rubiny.

Pitta nie interesowały rzeźby i klejnoty. Patrzył na główny obiekt w izbie. Na kamiennej platformie na środku pomieszczenia spoczywała duża, drewniana skrzynia. Miała jaskrawożółty kolor i rzeźbione

powierzchnie. Pitt podszedł bliżej i oświetlił jej wierzch. Wypchany gepard z wytrzeszczonymi zębami zdawał się zamierzać na niego łapą. Pitt opuścił snop światła na wieko skrzyni i uśmiechnął się na widok wizerunku niebieskiego wilka.

- Przedstawiam wam władcę imperium Jüan, wielkiego Kubiłaj-chana - powiedział.

Summer otworzyła szeroko oczy.

- Kubiłaj-chan - szepnęła z szacunkiem. - To niemożliwe.

- Myślałem, że został pochowany gdzieś w pobliżu Czyngis-chana - powiedział Dirk.

- Tak głosi legenda. Jak widać, nie jest to zgodne z prawdą. Bordzinowi udało się przy użyciu aparatury sejsmicznej zlokalizować grób Czyngis-chana, ale nie znalazł Kubiłaja, choć powinni być pochowani razem. Potem zjawił się tutaj wasz doktor Tong. Wpadł tu po drodze, żeby zobaczyć wrak. Na pewno była to dla niego większa atrakcja niż zniszczenie rurociągu Alaska. Podejrzewam, że odkryli w Mongolii pusty grobowiec dla Kubiłaja, albo natrafili na inny ślad wskazujący, że jest pochowany gdzie indziej.

- Nadal nie rozumiem, skąd się wziął tutaj - odrzekła Summer.

- Wyjaśnienie jest na skórze geparda. Znalaziono ją w Szang-tu, więc miała jakiś związek z Kubiłajem. Używał on do polowań tresowanych gepardów, więc może nawet jest to skóra jednego z tamtych zwierząt. Co ważniejsze, wykopano ją razem z jedwabną mapą ukazującą lokalizację grobu Czyngis-chana. Ojciec Bordzina zdobył tę mapę, a sam Bordzin przyznał, że pomogła mu trafić do grobowca. Jakoś nikogo nie zainteresowało znaczenie rysunków na skórze geparda. Na właściwy trop naprowadził mnie niebieski wilk.

- Jaki niebieski wilk? - zapytała Summer. Pitt wskazał malowidło na drewnianej trumnie.

- To symbol chanów od czasów Czyngisa. Jeśli przyjrzesz się uważnie ostatniemu rysunkowi na skórze geparda, zobaczysz na maszcie płonącej dżonki flagę z niebieskim wilkiem. Nie byłoby jej tam, gdyby tym żaglowcem nie płynął chan. Twój wrak, który wielkością odpowiada cesarskiemu statkowi na obrazkach, wyruszył z Chin pięćdziesiąt lat po śmierci Czyngis-chana. Data zgadza się z okresem panowania Kubiłaja. Na skórze geparda jest przedstawiona jego ostatnia podróż, kiedy już nie żył.

- Ale dlaczego zabrano go na Hawaje? - spytała Summer i oświetliła latarką sarkofag. Zatrzymała się na drągu opartym o koniec grobowca. Zauważyła ze zdziwieniem, że wisi na nim naszyjnik z zębów rekina.

- Może zaplanował tę „podróż do raję”, żeby po śmierci żyć w innym świecie?

- Tato, skąd wiedziałeś, że jego grobowiec przetrwał erupcję wulkanu i będziemy mogli go odnaleźć? - zapytał Dirk.

- Ten, kto namalował rysunki na skórze geparda, wiedział, że sarkofag i skarby ocalały, bo inaczej zilustrowałyby ich zniszczenie przez ogień w czasie wylewu lawy. Domyśliłem się, że skoro poziom morza jest teraz wyżej niż osiemset lat temu, to wejście może być pod wodą.

- Kubilaj musiał zgromadzić te skarby w czasie swoich podbojów - powiedział Dirk, oszołomiony ilością bogactw dookoła. - Może część zdobył Czyngis-chan. To wszystko musi być warte niewyobrażalną fortunę.

- Mieszkańcom Mongolii ukradziono skarb Czyngis-chana. Wypadałoby zwrócić im bogactwa Kubilaja. Na pewno znajdą bardziej odpowiednie miejsce dla jego szczątków na górze Burchan Chałdun.

Ukryty grobowiec działał na wyobraźnię całej trójki. Przylapali się na tym, że przy oglądaniu skarbów mówią szeptem. W mrocznym pomieszczeniu, oświetlonym tylko blaskiem ich latarek, panowała tajemnicza atmosfera średniowiecza. Snopy światła pląsały po lśniących ścianach. Pitt wyrecytował cicho fragment poematu Samuela Coleridge'a.

Summer podeszła do ojca, ścisnęła jego rękę i uśmiechnęła się.

- Mama zawsze nam mówiła, że jesteś beznadziejnym romantykiem. Latarki zaczęły przygasać. Pitt i Summer skierowali się w stronę korytarza. Dirk dołączył do nich, gdy po raz ostatni rozglądali się wokół.

- Najpierw uratowałeś sarkofag Czyngisa, teraz odnalazłeś grobowiec Kubilaj-chana i skarby jego imperium - powiedział z podziwem. - To epokowe odkrycie.

Summer przytaknęła.

- Czasami jesteś zdumiewający, tato. Pitt objął swoje dzieci.

- Nie - odrzekł z szerokim uśmiechem. - Czasami po prostu mam szczęście.

Od autora skanu:

Podobała Ci się książka, jakość skanu? Jeśli możesz udostępniaj ją w sieci p2p jak najdłużej możesz. Jeśli chcesz zobaczyć kolejne polskie wydania powieści Clive Cussler'a przyczynić się do tego by było to opłacalne dla wydawnictwa „AMBER” - kup oryginał!

Możesz to zrobić online na następujących stronach:

1. <http://amber.sm.pl/> ,
2. <http://merlin.com.pl/> ,
3. <http://wysylkowa.pl/> ,

oraz wielu, wielu innych...

W przygotowaniu skany kolejnych powieści Cussler'a min.:

- Czarny Wiatr,
- Święty Kamień,
- The Chase (wersja Angielskojęzyczna)

Masz jakieś pytania, propozycje, uwagi, komentarze? Skomentuj pozycje w serwisie za pośrednictwem którego ściągnąłeś tą pozycję.

Pozdrawiam,
SiG